

ŚLADY



ZBRODNI

DAVID BALDACCI

Bestsellerowa seria z Johnem Pullerem

A man in a dark jacket and pants is walking away from the camera down a street. The street is lined with parked cars, including a white sedan on the left and a dark SUV on the right. The scene is hazy and foggy, with trees and buildings visible in the background.

Dzień
zero

Dzień
zero

Seria z Johnem Pullerem

Dzień
zero

Towar

DAVID
BALDACCI

Dzień zero

Przełożył z angielskiego
Andrzej Leszczyński


WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

Zapraszamy na www.publicat.pl

Tytuł oryginału
Zero Day

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografie na okładce
© Patrick Cole/Unsplash
© Werren Wong/ Unsplash

Koordinacja projektu
NATALIA STECKA

Redakcja
JOANNA HABIERA

Korekta
URSZULA WŁODARSKA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © 2011 by Columbus Rose, Ltd.

Polish edition © Publicat S.A., MMXIX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-5961-8

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 2519, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[1](#) / [2](#) / [3](#) / [4](#) / [5](#) / [6](#) / [7](#) / [8](#) / [9](#) / [10](#) / [11](#) / [12](#) / [13](#) / [14](#) / [15](#) / [16](#) /

[17](#) / [18](#) / [19](#) / [20](#) / [21](#) / [22](#) / [23](#) / [24](#) / [25](#) / [26](#) / [27](#) / [28](#) / [29](#) / [30](#) /

[31](#) / [32](#) / [33](#) / [34](#) / [35](#) / [36](#) / [37](#) / [38](#) / [39](#) / [40](#) / [41](#) / [42](#) / [43](#) / [44](#) /

[45](#) / [46](#) / [47](#) / [48](#) / [49](#) / [50](#) / [51](#) / [52](#) / [53](#) / [54](#) / [55](#) / [56](#) / [57](#) / [58](#) /

[59](#) / [60](#) / [61](#) / [62](#) / [63](#) / [64](#) / [65](#) / [66](#) / [67](#) / [68](#) / [69](#) / [70](#) / [71](#) / [72](#) /

[73](#) / [74](#) / [75](#) / [76](#) / [77](#) / [78](#) / [79](#) / [80](#) / [81](#) / [82](#) / [83](#) / [84](#) / [85](#) / [86](#) /

[87](#) / [88](#) / [89](#) / [90](#) / [91](#) / [92](#) / [93](#) / [94](#) / [95](#) / [96](#) /

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

*Pamięci mojej matki
oraz Charlesowi „Chuckowi” Betackowi,
mojemu przyjacielowi*

1

Chmura pyłu węglowego, którą Howard Reed mimowolnie wciągnął głęboko do płuc, przyprawiła go o chęć zatrzymania furgonu pocztowego na poboczu i zwymiotowania w skarłowaciałą, spaloną słońcem trawę. Ale tylko zakasłał, splunął i opanował nudności. Wdepnął pedał gazu i zjechał na lewo, żeby szybciej wyminąć szereg ciężarówek wypełnionych czarnym pyłem, czekających w kolejce do maszyny wyrzucającej ich ładunek wysoko w powietrze niczym konfetti. Równocześnie powietrze cuchnęło siarką, ponieważ, jak to się często zdarza, w hałdach kopalnianych odpadów został zaproszony ogień. Niesione dymem związki siarkowe reagowały w górnych warstwach atmosfery z tlenem, utleniały się do trójtlenku siarki, po czym reagowały z drobinami pary wodnej, tworząc szczególnie żrącą substancję, która wracała na ziemię w postaci kwaśnego deszczu. Wszystko to stało w jawnej sprzeczności z zasadami ochrony środowiska naturalnego.

Reed zaciskał palce na dźwigniach specjalnego mechanizmu swego osiemnastoletniego forda explorera, któremu pobrzękiwała rura wydechowa i wył poluzowany wał napędowy. Bez trudu utrzymywał jednak wóz na wstędze spękanego asfaltu. Ten furgon był jego osobistym pojazdem, toteż przystosował go tak, by móc nim kierować, siedząc na prawym fotelu i obsługując skrzynki na listy bez wysiadania z szoferki. Specjalnie w tym celu skonstruował system przekładni wyglądających jak firmowy pas transmisyjny. Dzięki nim mógł skręcać koła, hamować i dodawać gazu z prawego fotela auta.

Po tym, jak został wiejskim listonoszem i nauczył się prowadzić furgon, siedząc na miejscu pasażera, zapragnął wybrać się do Anglii, żeby spróbować swoich nowych umiejętności w tamtejszym lewostronnym ruchu drogowym. Wyczytał, że to różnicowanie wywodzi się jeszcze z czasów turniejów rycerskich, kiedy stanowiący większość praworęczni zajmowali pozycje po lewej stronie terenu walki, żeby ich broń, lanca bądź miecz, znajdowała się od strony przeciwnika. Niemniej jego żona powtarzała, że jest idiotą i pewnie szybko znalazłby śmierć w obcym kraju.

Minął wzgórze, a raczej miejsce po wzgórzu, które firma Trent Mining & Exploration Company zrównała z ziemią, żeby się dostać do leżących płytko pod powierzchnią bogatych pokładów węgla. W związku z tym znaczne połacie

terenu przypominały teraz krajobraz księżycowy, огоłocony z gleby i usłany kraterami. Był to wynik działań z zakresu górnictwa odkrywkowego. Reed wolał je nazywać mianem anihilacji powierzchni.

Znajdował się jednak w Wirginii Zachodniej, gdzie wydobycie węgla zapewniało dobrze płatne miejsca pracy. Nie bardzo mógł protestować po tym, jak jego dom zalała lawina półpłynnych osadów kopalnianych, które przerwały wał zabezpieczający zbiornik. Albo z powodu zatrutej wody w studni, która stała się czarna i zaczęła cuchnąć zepsutymi jajami. Ani też powietrza, które wypełniło się substancjami niezbyt korzystnymi dla zdrowia. Nie skarżył się zanadto na stan jedynej funkcjonującej nerki, zniszczonej wątroby czy płuc z powodu stałego kontaktu z licznymi truciznami. Nie chciał zostać uznany za wroga górnictwa, a tym samym przeciwnika istniejących miejsc pracy. Po prostu nie chciał przysparzać sobie niepotrzebnych zmartwień.

Pojechał dalej starą drogą, żeby dostarczyć ostatnią tego dnia przesyłkę. Była to paczka, której odbiór musiał zostać potwierdzony. Aż zaklął pod nosem, gdy rano odebrał swoją pocztę i znalazł w niej właśnie tę paczkę. Potwierdzenie odbioru oznaczało, że musiał nawiązać kontakt z adresatem. Tymczasem o tej porze myślał już tylko o wizycie w barze Dollar, w którym zawsze w poniedziałki można było dostać kufel piwa za ćwierćdolarówkę. Marzył o tym, żeby zasiąść na swoim wytartym stołku przy końcu mahoniowego kontuaru i odegnać ponure myśli o powrocie do domu, gdzie żona z pewnością poczuje od niego alkohol i rozpocznie czterogodzinną tyradę na temat jego pijaństwa.

Wreszcie skręcił na wysypany żwirem podjazd. Kiedyś była to piękna okolica, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych. Teraz trudno ją było nazwać piękną, podobnie jak spotkać tu żywą duszę. Dzieci nie bawiły się na podwórkach, jakby to była druga w nocy, a nie druga po południu. Kiedyś w taki upalny letni dzień dzieciaki biegały pod strumieniami wody wyrzucanymi przez zraszacze do trawy albo bawiły się w chowanego, ale Reed świetnie wiedział, że te czasy minęły bezpowrotnie. Teraz siedziały w klimatyzowanych pomieszczeniach i grały w gry komputerowe tak brutalne i krwawe, że sam zabronił swoim wnukom takiej zabawy w jego domu.

Teraz na podwórzach walały się śmieci i zepsute plastikowe zabawki. Zabytkowe, przeżarte rdzą fordzy i dodge stały bez kół na pustakach. Tandetne plastikowe okładziny domów oblażyły płatami, każdy drewniany element domagał się malowania, a dachy zaczynały się zapadać, jakby sam Bóg naciskał na nie z nieba. To wszystko składało się na smutny i żaloszny pejzaż, który tylko

wzmagał ochotę na piwo, jako że Reed świetnie zdawał sobie sprawę, że jego osiedle wygląda bardzo podobnie. Wiedział także, że są ludzie, którzy szybko się bogacą na eksploatacji pokładów węgla. Ale tak się składało, że żaden z nich nie mieszkał w tej okolicy.

Wyjął paczkę z pocztowego pojemnika i ruszył w stronę budynku. Był to nadgryziony zębem czasu piętrowy domek jednorodzinny z tanią winylową okładziną na ścianach. Prowadziły do niego puste w środku sklejkowe drzwi, pomalowane na biało i upstrzone licznymi zadrapaniami. Z boku zauważył skleconą z wiórowych płyt pochylnię dla wózka inwalidzkiego. Krzewy na frontowym trawniku zdziczały zaniedbane, ich gałęzie odkształcały plastikowe arkusze ściennej okładziny. Na żwirowanym placu na końcu podjazdu stały dwa samochody, kompaktowy rodzinny chrysler oraz najnowszy model lexusa.

Przystanął na chwilę, żeby popatrzeć na to japońskie cacko. Musiało kosztować więcej niż jego roczne przychody. W zamyśleniu musnął palcami po błękitnym metalicznym lakierze karoserii. Zauważył ciemne lotnicze okulary wiszące o wstecznym lusterku. Na tylnym siedzeniu leżała aktówka, obok niej zielona marynarka. Oba pojazdy miały tablice rejestracyjne z Wirginii.

Poszedł dalej, ominął rampę, wybił się na pierwszym betonowym stopniu schodów, jednym susem przeskoczył trzy następne i nacisnął dzwonek. Zza drzwi doleciał go stłumiony melodyjny dźwięk gongu.

Czekał cierpliwie. Minęło dziesięć sekund. Potem dwadzieścia. Poczł rosłą irytację.

Zadzwoił po raz drugi.

– Halo?! Poczta! Mam przesyłkę poleconą wymagającą potwierdzenia odbioru.

Jego własny głos, którego prawie nie używał całymi dniami, wydał mu się dziwny, jakby nawoływał ktoś obcy. Popatrzył na trzymany w ręku płaski pakiet formatu A4, do którego był przyklejony pocztowy formularz potwierdzenia.

Daj spokój, jest gorąco jak w piekle, a w barze Dollar pewnie już mnie wypatrują.

Popatrzył na wydrukowane nazwisko adresata i zawołał:

– Panie Halverson?!

Nie znał tego człowieka, choć kojarzył jego nazwisko z wcześniejszych przesyłek. Większość wiejskich listonoszy szybko zaprzyjaźniała się z

adresatami ze swojego terenu. Ale Reed się do nich nie zaliczał. Zależało mu tylko na piwie, a nie na rozmowie z klientem.

Zadzwoił po raz kolejny, a następnie zapukał w szybę w drzwiach, dwukrotnie uderzając w nią knykciami prawej pięści. Starł palcami kroplę potu spływającą po spalonej słońcem prawej stronie karku, efekt choroby zawodowej wskutek siedzenia przez cały dzień w otwartym oknie furgonu w promieniach palącego słońca. Pod pachami miał wielkie mokre plamy, które zaczynały śmierdzieć potem. Wyłączał klimatyzację w szoferce furgonu, kiedy siedział przy opuszczonej szybie, gdyż paliwo było za drogie, żeby je niepotrzebnie marnować.

Zawołał głośniej:

– Halo! Poczta! Potrzebuję potwierdzenia odbioru! Jeśli ten list wróci do urzędu, pewnie już nigdy nie dotrze do adresata.

Powietrze falowało w pełnym słońcu. Od samego tego widoku można było dostać zawrotów głowy. Czuł się już na to za stary.

Obejrzał się na dwa samochody na podjeździe. Ktoś powinien być w domu. Cofnął się o krok i rozejrzał na boki, ale nikt nie wyglądał na niego z okien na parterze. Jedno z nich było uchylone, przez co sprawiało wrażenie niepasującego do reszty. Zapukał po raz kolejny.

Wreszcie usłyszał czyjeś kroki. Zwrócił uwagę, że drzwi nie są całkiem zamknięte, lecz uchylone na centymetr. Dobiegające z nich dźwięki umilkły. Nie miał kłopotów ze słuchem, lecz mimo to nie wyłowił specyfiki odgłosów.

– Poczta! Potrzebne potwierdzenie odbioru! – zawołał.

Oblizwał suche wargi. Oczyma wyobraźni już widział w swoim ręku kufel z piwem. Miał ochotę go upić.

Otwórz wreszcie te cholerne drzwi!

– Ma pan zamiar odebrać tę przesyłkę? – zapytał.

Mnie ona gównem obchodzi. Mogę ją zrzucić ze szczytu urwiska, jak już to robiłem wcześniej.

W końcu drzwi uchyliły się nieco szerzej. Reed cofnął się o krok i wyciągając przed siebie kopertę, zapytał:

– Ma pan długopis?

Kiedy nie uzyskał odpowiedzi, zamrugał nerwowo. W otwartych drzwiach nikogo nie było. Dopiero po chwili spojrzął w dół, na miniaturowego collie, który mu się przyglądał. Długi pysk psa i gęsto owłosiony ogon kołysały się na

boki. Nie ulegało wątpliwości, że to on nosem uchylił drzwi.

Reed nie był typowym listonoszem. Uwielbiał psy, sam miał dwa.

– Cześć, kolego. – Przykucnął. – Co u ciebie? – Podrapał psa za uchem. – Jest ktoś w domu? A może sam potwierdzisz odbiór tej przesyłki?

Kiedy poczuł pod palcami wilgoć, pomyślał, że pies się obsikał, i szybko cofnął rękę. Ale spojrzawszy w dół i dostrzegł na palcach coś czerwonego i lepkiego, co zgarnął z sierści collie.

Krew.

– Zraniłeś się, mały?

Obejrzał uważnie psa. Pokrywały go plamy krwi, ale nigdzie nie było widać rany.

– Co jest, do cholery? – mruknął Reed.

Wstał i położył dłoń na klamce.

– Halo?! Jest tu ktoś? Halo?!

Obejrzał się, nie wiedząc, co robić. Jeszcze raz popatrzył na psa, który wbił w niego nieruchome spojrzenie, jak gdyby pełne smutku. Nagle Reedowi wydało się dziwne, że pies ani razu nie szczebkał. Oba jego kundły narobiłyby straszego rabanu, gdyby ktoś stanął w drzwiach jego domu.

– Cholera! – syknął pod nosem. – Halo?! – zawołał znowu. – Wszystko w porządku?

Pochylił się i zajrzał do domu. W środku było bardzo ciepło, w powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń. Gdyby zdołał się oderwać od swoich natrętnych wizji, ten smród musiałby mu się wydać o wiele bardziej nieprzyjemny niż zwykle.

– Halo! Twój pies jest cały zakrwawiony! Wszystko w porządku?

Nieśmiało wszedł do ciasnego holu i wyjrzał zza rogu do niewielkiego saloniku znajdującego się za ścianą.

Chwilę później drewniane drzwi odskoczyły z takim impetem, że aż klamka wybiła głęboką dziurę w ścianie holu, a odłamki szyby roztrzaskały się o brzeg żelaznej poręczy ganku na setki szklanych okruchów. Reed zeskoczył z najwyższego stopnia schodów na ziemię i zakopawszy się w pylistym gruncie, poleciał do przodu, wsparł się na jednym ręku i na kolanach, zwymiotował gwałtownie, choć nie za bardzo miał czym. Potem wstał, na miękkich nogach doszedł do swojego furgonu, kaszląc i krztusząc się od torsji, wreszcie zawył z przerażenia jak człowiek, który nagle popadł w obłąd.

Bo i tak się stało.

Tego popołudnia Reedowi Howardowi nie było dane dotrzeć do jego ulubionego baru Dollar.

2

John Puller patrzył na rozległy stan Kansas leżący kilka tysięcy metrów niżej. Przechylił się w stronę okna i spojrzał w dół. Tor podejścia do międzynarodowego lotniska w Kansas City prowadził nad Missouri ku zachodowi, w głąb równin. Pilot musiał zrobić szereg zwrotów przez skrzydło, żeby ustawić maszynę tyłem do nich i wymierzyć nosem w początek pasa startowego. W ten sposób wlatywał nad teren należący do władz federalnych. Konkretnie było to duże więzienie, a raczej cały ich kompleks obejmujący więzienia kryminalne i wojskowe. Tam więc mieli pod sobą kilka tysięcy osób walczących ze świadomością utraty wolności, w wielu wypadkach na zawsze.

Puller zmrużył oczy i osłonił je dłonią od jaskrawego słońca. Przelatywali właśnie nad starym USDB, czyli koszarami karnej jednostki armii Stanów Zjednoczonych, pospolicie zwanymi Zamkiem. Od ponad stu lat umieszczano tu najgroźniejszych przestępców sił zbrojnych. I choć stary Zamek wyglądał jak średniowieczna twierdza z kamienia i cegły, siedziba nowego USDB przypominała budynek państwowej szkoły średniej. Przynajmniej dopóki się nie zauważyło szeregów czterometrowego siatkowego ogrodzenia otaczającego cały kompleks.

Cywilne więzienie federalne w Leavenworth znajdowało się sześć kilometrów dalej na południe.

W USDB osadzano tylko mężczyzn. Skazane kobiety odsiadywały wyroki w areszcie marynarki w San Diego. Ponadto tutaj przetrzymywano tylko więźniów z wyrokami sądów wojskowych o naruszenie podstawowych przepisów regulaminu wojskowego, odsiadujących kary co najmniej pięciu lat pozbawienia wolności, bądź uznanych winnymi naruszenia zasad bezpieczeństwa narodowego.

Właśnie z tego powodu John Puller przyleciał do Kansas City.

Z szumem wysunęło się podwozie odrzutowca, który zaczął schodzić do lądowania i wkrótce łagodnie osiadł na pasie startowym.

Pół godziny później Puller wsiadł do wynajętego samochodu, wyjechał z parkingu lotniska i skierował się na zachód, w stronę Kansas. Droga prowadziła między zielonymi wzgórzami. Mimo stojącego, rozgrzanego powietrza Puller

nie włączył klimatyzacji. Wolał oddychać świeżym powietrzem, nawet gorącym. Miał dokładnie sto dziewięćdziesiąt dwa i pół centymetra wzrostu. Wiedział to dzięki pracodawcy, armii Stanów Zjednoczonych, która miała zwyczaj precyzyjnie mierzyć swój personel. Ważył sto cztery kilogramy. Według wojskowych standardów stosunku wagi do wzrostu, uwzględniając poprawkę na wiek trzydziestu pięciu lat, miał około pięciu kilogramów nadwagi. Ale nikt by tak nie pomyślał, patrząc na niego. Jeśli miał pod skórą choćby odrobinę tłuszczu, można to było zobaczyć tylko pod mikroskopem.

Tak więc górował wzrostem nad większością żołnierzy, w tym także zwiadowców ze wszystkich jednostek, w których służył. Miało to swoje plusy i minusy. Odznaczał się długimi i bardzo mocnymi mięśniami, dzięki czemu łatwo uzyskiwał przewagę nad przeciwnikiem o standardowym zasięgu rąk, ale jednocześnie stanowił znacznie wyraźniejszy i większy cel od pozostałych.

W szkole średniej miał niezłe wzięcie, w soboty nie musiał szukać sobie partnerki na wieczór. Brakowało mu szybkości oraz zręczności, żeby zrobić karierę w zawodowym futbolu amerykańskim, ale nie był też on przedmiotem jego ambicji. Od wczesnej młodości zależało mu bowiem tylko na jednym, by przywdziać mundur oficera armii Stanów Zjednoczonych.

Ale tego dnia nie był w mundurze. Nigdy go nie wkładał, udając się z wizytą do USDB. Przemierzał kolejne mile. Minął znak otwierający słynny szlak Lewisa i Clarka. Potem zobaczył niebieski most. Przejechał nim. Tym samym przekroczył granicę stanu Kansas. A konkretnie wjechał do Fortu Leavenworth.

Minął główny punkt kontrolny, na którym szczegółowo sprawdzono jego dane osobowe i spisano numery rejestracyjne samochodu. W końcu wartownik zsalutował chorążemu Pullerowi i powiedział:

– Dziękuję, sir. Może pan przejechać.

I Puller pojechał dalej. Przy dźwiękach płynącego z radia utworu Eminema skierował się na Grant Avenue i obrzucił ciekawym spojrzeniem pozostałości starego Zamku. Zwłaszcza resztki drucianej siatki rozciągającej się ponad całym terenem byłego więzienia. Została tam umieszczona specjalnie po to, by uniemożliwić więźniom ucieczkę helikopterem. Armia starała się brać pod uwagę wszelkie możliwości.

Trzy kilometry dalej zatrzymał się przed bramą USDB. Gdzieś z oddali doleciał głos kolejowej syreny. Z pobliskiego wojskowego lotniska polowego Shermana wzbijała się w powietrze cessna, tępym nosem i kanciastymi skrzydłami ustawiając się pod boczny wiatr. Puller zaparkował auto i

wysiadając zostawił w nim portfel wraz z większością rzeczy osobistych, w tym także służbowego siga P228, znanego powszechnie w wojsku pod nazwą M11. Dokładnie sprawdzał broń osobistą wraz z zapasowymi magazynkami amunicji przed startem. Miał prawo w każdej sytuacji występować z bronią u boku, uważał jednak, że wizyta w więzieniu z pistoletem to nie najlepszy pomysł, nawet jeśli jest zgodny z przepisami. I tak musiałby go zostawić w szafie, ponieważ z oczywistych powodów nie wolno wносить broni do pomieszczenia, w którym przebywają więźniowie.

Przy bramce wykrywacza metali dyżurował znudzony kadet żandarmerii wojskowej. Wyglądał na świeżo ściągniętego z obozu szkoleniowego rekrutów. Puller okazał swoje prawo jazdy oraz komplet przepustek.

Ogorzały chłopak w służbie żandarmerii wojskowej uważnie obejrzał jego służbową odznakę i legitymację przedstawiającą go jako oficera Wojskowego Wydziału Śledczego, czyli, inaczej mówiąc, agenta specjalnego CID. Centralne miejsce odznaki zajmował przycupnięty orzeł z głową skierowaną na prawo. Wielkimi szponami obejmował górną krawędź tarczy, a dziób odchyłał w pozie szykowania się do ataku. Młody żandarm zasalutował, a dopiero potem obrzucił uważnym spojrzeniem wysokiego barczystego przybysza.

– Pan w sprawach służbowych, sir?

– Nie.

– John Puller junior? Czy nie jest pan spokrewniony...?

– Owszem, jestem, ze swoim ojcem.

Chłopak rozdziawił usta ze zdumienia. W armii Stanów Zjednoczonych krążyły legendy wojenne, a John Puller senior był bohaterem jednej z najbardziej cenionych.

– Tak jest, sir. Proszę przekazać mu wyrazy szacunku, sir.

Puller przeszedł przez bramkę wykrywacza metali i rozległ się głośny pisk. Jak zawsze uruchomił alarm. Z powodu protezy w prawym przedramieniu.

– Tytanowa proteza – wyjaśnił, podciągając rękaw, żeby pokazać bliznę po operacji.

Ale bramka podniosła alarm także na jego lewy staw skokowy.

Żandarm obrzucił go zdumionym wzrokiem.

– Śruby i płytki wzmacniające – rzucił Puller. – Mogę podciągnąć nogawkę spodni.

– Będzie pan łaskaw, sir.

Kiedy po chwili Puller opuścił nogawkę, żandarm mruknął przeproszającym tonem:

– Wypełniam tylko swoje obowiązki, sir.

– Dałbym ci niezły wycisk, gdybyś ich nie wypełniał, szeregowy.

Chłopak zrobił wielkie oczy i zapytał nieśmiało:

– To skutek ran odniesionych w boju, sir?

– Nie myślisz chyba, że sam się postrzeliłem?

Puller chwycił kluczyki samochodowe z pojemnika, do którego wcześniej je włożył, wsunął prawo jazdy i legitymację służbową do kieszonki koszuli, po czym wpisał się do dziennika odwiedzin.

Elektryczny zamek masywnych żelaznych drzwi już brzęczał, więc pchnął je i wszedł do sali odwiedzin. Przy stolikach siedziało trzech innych więźniów przyjmujących gości. Małe dzieci bawiły się na podłodze, podczas gdy ich ojcowie porozumiewali się półgłosem z żonami bądź kochankami. Dzieciom nie pozwalano siadać na kolanach więźniów. Możliwy był tylko jeden uścisk, cmoknięcie w policzek albo podanie dłoni na początku lub na zakończenie odwiedzin. Nie wolno było sięgać do kieszeni ani pod ubranie. Więźniowie i odwiedzające ich kobiety mogli jedynie na krótko spleść palce na stole. Wszystkie rozmowy musiały być prowadzone normalnym tonem. Wolno było korzystać z pióra lub długopisu, ale nie z ołówka czy kredek. Według Pullera ten zapis regulaminu musiał być efektem bałaganu narobionego przez dziecko. Uważał ten zakaz za idiotyczny, ponieważ piórem lub długopisem można wyrządzić większą krzywdę niż ołówkiem czy kredką.

Zatrzymał się przy drzwiach i popatrzył, jak pewna kobieta, wyglądająca na matkę więźnia, czyta mu ustępy z Biblii. Odwiedzającym pozwalano przynosić ze sobą książki, ale nie wolno ich było przekazywać więźniom, podobnie jak gazet lub czasopism. Nie zezwalamo na przynoszenie żywności, można było jednak ją kupić w którymś z wielu automatów. Więźniowie nie mogli sami niczego kupować. Puller uważał, że byłoby to namiastką normalnego życia, a przecież więzienie nie mogło stanowić jego namiastki. Jeśli odwiedzający życzył sobie otwarcia pokoju, w którym odbywało się spotkanie, oznaczało to automatyczny koniec widzenia. Istniał tylko jeden wyjątek od więziennego rygoru: karmienie piersią. Do tego była przeznaczona specjalna sala na piętrze.

Drzwi w drugim końcu sali otworzyły się i wyszedł zza nich mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie. Puller zmierzył go uważnym spojrzeniem.

Był wysoki, lecz nie tak bardzo jak on, w dodatku o wiele mniej barczysty. Z rysów twarzy był do niego podobny, ale włosy miał ciemniejsze i dłuższe. I w wielu miejscach przyprószone siwizną. Zarys dolnej szczęki miał tak samo kwadratowy, a nos równie wąski i tak samo przekrzywiony na prawo, do tego duże zęby, dosyć równe. W dodatku wyróżniał się dołkiem w prawym policzku i oczami sprawiającymi wrażenie zielonych w sztucznym świetle, lecz niebieskich w słońcu.

Puller miał takie samo piętno po lewej stronie szyi, skracające ku karkowi. Ponadto odróżniał się znakami szczególnymi na lewej nodze, prawym ramieniu oraz górnej części klatki piersiowej, zarówno z przodu, jak i z tyłu. Wszystkie były pozostałościami po wrogich obiektach, które z wielkim impetem wbiły się w ich ciało. Tamten mężczyzna nie miał blizn, w tych samych miejscach miał białą i gładką skórę.

Tak więc Puller odróżniał się przede wszystkim bliznami będącymi efektem działania piekielnego żaru, wiatru i wyniszczającego chłodu. Zdawał sobie sprawę, że do jego wyglądu najlepiej pasuje słowo „dziki”. Nie był przystojny. Tym bardziej nie był ładny. W najlepszym razie mógłby uchodzić za atrakcyjnego czy też prędzej za interesującego z wyglądu. Ale on nigdy nie oceniał siebie w tych kategoriach. Był żołnierzem, a nie modelem.

Nie objęli się na przywitanie, uścisnęli sobie tylko dłonie.

Drugi mężczyzna uśmiechnął się lekko.

– Miło cię widzieć, bracie.

Bracia Puller zasiedli przy stoliku.

3

Schudłeś? – zapytał Puller.

Jego brat, Robert, odchylił się na krześle do tyłu i założył nogę na nogę.

– Żarcie tutaj nie jest takie dobre jak w lotnictwie.

– Najlepsze jest w marynarce. Armia zajmuje odległe trzecie miejsce. A to dlatego, że lotnicy i marynarze to słabeusze.

– Słyszałem, że dostałeś awans na chorążego. Już nie jesteś sierżantem.

– Ale robota ta sama. Tylko żołd trochę wyższy.

– Zależało ci na tym?

– Zależało.

Zapadła cisza. Puller spojrzał w lewo, na młodą kobietę, która trzymała więźnia za rękę i pokazywała mu jakieś zdjęcia. U stóp matki na podłodze baraszkowały dwa brzdące. Popatrzył z powrotem na brata.

– Co mówią adwokaci?

Robert wyprostował się na krześle. On też zerkał ukradkiem na młodą parę. Miał trzydzieści siedem lat, nie był żonaty i nie miał dzieci.

– Nic już się nie da zrobić. Co u taty?

Puller skrzywił się lekko.

– Bez zmian.

– Odwiedzałeś go?

– W ubiegłym tygodniu.

– Co ci powiedział lekarz?

– To samo, co twoi adwokaci. Niewiele da się zrobić.

– Pozdrów go ode mnie.

– Wie o wszystkim.

W oczach Roberta zabłyśły iskry gniewu.

– Jasne. Mogłem się tego domyślać.

Jego podniesiony głos przyciągnął uważne spojrzenie ogorzałego żandarma opartego o ścianę.

Robert dodał więc ciszej:

- Mimo wszystko przekaż mu pozdrowienia.
- Potrzebujesz czegoś?
- Niczego, co mógłbyś mi zapewnić. I nie musisz tak często przyjeżdżać.
- Robię to z własnej woli.
- Z poczucia winy młodszego brata.
- Chciałbyś.

Robert przesunął po stoliku dłoń w jego kierunku.

- Tu nie jest tak źle. To nie Leavenworth.
- Jasne. Ale to nadal więzienie. – Puller pochylił się ku bratu. – Zrobiłeś to?

Robert podniósł na niego wzrok.

- Zastanawiałem się, dlaczego do tej pory nie zadałeś tego pytania.
- Więc pytam teraz.
- Nie mam nic do powiedzenia na ten temat – odpowiedział brat.
- Myślisz, że próbuję cię nakłonić do zeznań? Dostałeś już wyrok.
- Nie, ale jesteś śledczym. Znam twoje poczucie sprawiedliwości. Nie chciałbym cię narażać na konflikt interesów albo przekonań.

Puller odchylił się na oparcie.

- Umiem rozdzielać takie sprawy.
- Jak przystało na syna Johna Pullera. Wiem coś o tym.
- Zawsze traktowałeś to jak balast.
- A nie tak jest?
- Można to nazywać na różne sposoby. Jesteś mądrzejszy ode mnie. Powinieneś już dawno sam do tego dojść.
- Niemniej obaj wstąpiliśmy do wojska.
- Ale ty poszedłeś do szkoły oficerskiej, jak stary. Ja się tylko zaciągnąłem na ochotnika.
- I twierdzisz, że jestem mądrzejszy? – Jesteś specjalistą w fizyce jądrowej, specem od atomowych grzybków. A ja zwykłym tępem z odznaką śledczego.
- Z odznaką – podkreślił jego brat. – Ja zaś mam szczęście, że jeszcze żyję.
- Nie wykonano tu ani jednego wyroku śmierci od roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego.
- Sprawdziłeś to?

– Sprawdziłem.

– Bezpieczeństwo narodowe. Zdrada. Tak, naprawdę mam szczęście, że jeszcze żyję.

– Czujesz się szczęśliwy z tego powodu?

– Może.

– Więc chyba odpowiedziałeś na moje pytanie. Potrzebujesz czegoś? – zapytał znowu.

Robert spróbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu grymas, który nie zdołał zamaskować miny wyrażającej obawę.

– Niczego nie potrzebuję – odparł matowym głosem, jakby w jednej chwili uszła z niego cała energia.

Puller spojrzał bratu w oczy. Był młodszy od Roberta tylko dwa lata, przez co byli nierozłączni nie tylko w młodości, lecz także później, gdy obaj już nosili mundury. Ale teraz pojawił się między nimi mur znacznie wyższy od tego, który otaczał to więzienie. I nic nie mógł na to poradzić. Mimo że miał brata przed sobą, odnosił wrażenie, jakby go tu nie było, jakby jego miejsce zajął obcy człowiek w pomarańczowym więziennym kombinezonie, który miał spędzić za kratkami resztę życia. A potem może nawet całą wieczność. Wolał jednak nie poruszać tego tematu.

– Nie tak dawno pewien chłopak stracił tu życie – odezwał się Robert.

Puller słyszał o tym:

– Podejrzewali, że był wtyczką. Na boisku dostał kijem baseballowym po głowie.

– To też sprawdziłeś?

– Sprawdziłem. Znałeś go?

Robert pokręcił głową.

– Jestem na dwudziestce trójce. Nie za bardzo mam czas na nawiązywanie znajomości.

Oznaczało to, że przez dwadzieścia trzy godziny na dobę musiał siedzieć zamknięty w celi, a godzinę przeznaczoną na ćwiczenia też spędzał w samotności, w odosobnionym miejscu.

Pullera to zaskoczyło.

– Od kiedy?

Robert uśmiechnął się.

- A więc jednak nie wszystko sprawdziłeś?
- Od kiedy?
- Od czasu, gdy stłukłem żandarma.
- Z jakiego powodu?
- Za to, że powiedział coś, co mało mnie obchodziło.
- To znaczy?
- Nie musisz tego wiedzieć.
- Dlaczego?
- Zaufaj mi. Sam powiedziałeś, że jestem mądrzejszy. A przecież nie mogą mi bardziej wydłużyć wyroku.
- Miało to coś wspólnego z naszym starszkiem?
- Lepiej idź już. Na pewno nie chcesz się spóźnić na samolot.
- Mam jeszcze czas. Więc poszło o ojca?
- Nie jesteśmy na przesłuchaniu, braciszku. Nie masz prawa zmuszać mnie do zeznań. Poza tym już od dawna nie możesz mnie postraszyć sądem polowym.

Puller popatrzył na łańcuch skuwający Robertowi nogi w kostkach.

- Dostarczają ci jedzenie przez okienko?

W USDB nie było krat. Tutaj cele były zamykane solidnymi masywnymi drzwiami. Więźniom skazanym na odosobnienie jedzenie dostarczano trzy razy dziennie przez okienko w drzwiach. Znajdowała się w nich jeszcze kłapa nad podłogą umożliwiającą skucie więźnia przed otwarciem celi.

Robert skinął głową.

- Pewnie powinienem się cieszyć, że nie zabronili mi całkowicie kontaktów z ludźmi, bo inaczej nie moglibyśmy się widywać.

- Grozili ci?

- Tutaj mówi się wiele rzeczy.

Na jakiś czas zapadła cisza.

Wreszcie Robert powiedział:

- Lepiej już idź. Mam sporo rzeczy do zrobienia. Jestem bardzo zajęty.
- Zobaczymy się jeszcze.
- Nie ma po co. Chyba nie powinniśmy się widywać.
- Przekażę ojcu twoje pozdrowienia.

Wstali i uścisnęli sobie dłonie. Robert szybko podniósł lewą rękę i poklepał brata po ramieniu.

– Tęsknisz za Bliskim Wschodem?

– Nie. I nie znam nikogo, kto by tęsknił, jeśli tam służył.

– Cieszę się, że wróciłeś cały i zdrow.

– Wielu się to nie udało.

– Prowadzisz jakieś ciekawe sprawy?

– Niespecjalnie.

– Trzymaj się.

– Ty też.

Puller uświadomił sobie, że te puste słowa nic nie znaczą, nawet jeszcze zanim wydusił je z siebie.

Odwrócił się do wyjścia. Jak na komendę żandarm podszedł do więźnia.

– Hej, John!

Obejrzał się. Żandarm trzymał masywne łąpsko na lewym ramieniu Roberta. Przez chwilę Puller walczył z chęcią zawrócenia, zrzucenia mu tej ręki i popchnięcia go na ścianę. Ale szybko się opanował.

– Tak? – Wymienił z bratem znaczące spojrzenia.

– Nic takiego, stary. Drobnostka. Cieszę się, że wpadłeś.

Szybkim krokiem minął bramkę wykrywacza metali, a żandarm stanął na baczność na jego widok. Zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Telefon zadzwonił, gdy wsiadał do wypożyczonego samochodu. Spojrzał na wyświetlacz.

Dzwonił ktoś z siedemset pierwszej jednostki żandarmerii z Quantico w Wirginii, gdzie został przydzielony jako agent specjalny wydziału dochodzeniowego.

Odebrał połączenie i przycisnął aparat do ucha. Służba wojskowa uczyła każdego mniej mówić, niż słuchać. O wiele mniej.

Odpowiedział krótko:

– Już jadę. – Spojrzał na zegarek i przeliczył w pamięci czasy dojazdów i przelotu. Wziął pod uwagę godzinę przesunięcia czasu w trakcie podróży z zachodu na wschód. – Trzy godziny i pięćdziesiąt minut, sir.

Doszło do jatki na jakimś zadupiu w Wirginii Zachodniej. Wśród ofiar znalazł się pułkownik. Sam ten fakt stał się powodem zaangażowania wydziału

śledczego, chociaż Puller nie umiał powiedzieć, czemu sprawę przekazano właśnie siedemset pierwszej jednostce. Ale był żołnierzem. I dostał rozkaz. Musiał go wykonać.

Powinien wrócić samolotem do Wirginii, wziąć swój sprzęt, odebrać pisemny rozkaz, a potem popędzić na pełnym gazie na wskazane zadupie. Jednak chwilowo nie umiał się jeszcze skoncentrować na sprawie zabójstwa pułkownika, skoro wciąż miał przed oczami minę brata. Ten widok wrył się mu w pamięć. W końcu naprawdę miał wprawę w rozdzielaniu spraw od siebie. Ale w takiej chwili nie potrafił się na tym skupić. Z jego pamięci wypłynęły bowiem wspomnienia związane z bratem, ale pochodzące z innych czasów i miejsc.

Robert Puller zrobił błyskawiczną karierę w randze majora sił powietrznych, oddelegowanego do nadzoru arsenału nuklearnego. Szykował mu się awans co najmniej o jedną gwiazdkę, a nawet o dwie. Tymczasem został oskarżony o zdradę, osądzony i zamknięty w USDB aż po kres swojego żywota.

Jednak wciąż był jego bratem. Nawet służba w armii Stanów Zjednoczonych nie mogła tego zmienić.

Chwilę później Puller uruchomił silnik i wrzucił bieg. Miał wrażenie, że z każdą wizytą w więzieniu zostawia tutaj jakąś część siebie. Mógł się tylko ludzi, że nadejdzie dzień, kiedy nie będzie miał tu po co wracać.

Nigdy nie afiszował się ze swoimi uczuciami. Nie uronił ani jednej łzy, chociaż zdarzało się, że ludzie wokół niego umierali na polu walki, często w straszliwych męczarniach. Zawsze skupiał się na tym, żeby ich pomścić w równie bezwzględny i okrutny sposób. Nie przystępował do walki, jeśli czuł w sobie niepohamowany gniew, bo to by tylko uwypukliło jego słabości. A słabość była przyczyną porażki. Nie uronił łzy nawet wtedy, gdy jego brat został osądzony za zdradę stanu. Pullerowie po prostu nie płakali.

To była zasada numer jeden.

Mężczyźni z rodu Pullerów zawsze zachowywali spokój i opanowanie, gdyż to zwiększało szanse na zwycięstwo.

To była zasada numer dwa.

Wszelkie pozostałe zasady były już pochodnymi tych najważniejszych.

Zatem John Puller nie był maszyną, ale często dostrzegał, że coraz bardziej ją przypomina.

Poza tym wolał się nie zagłębiać w jakiejkolwiek samooceny.

Opuścił teren USDB znacznie szybciej, niż do niego wkroczył. I znacznie szybszy powrót samochodem na wschód miał go wprowadzić w nowe dochodzenie. Z radością witał tę świadomość, tym bardziej, że umożliwiła mu oderwanie się od tego jednego jedyne go problemu, którego dotąd nie potrafił zrozumieć.

I nad którym nie potrafił zapanować.

Nad sytuacją rodzinną.

4

W tej sprawie jesteś zdany wyłącznie na siebie, Puller.

John usiadł przed biurkiem swojego przełożonego, agenta specjalnego Dona White'a, szefa Wojskowego Wydziału Śledczego w siedzibie jednostki w Quantico, w Wirginii. Przez wiele lat wydział mieścił się dalej na północ, w Forcie Belvoir. Jednakże ludzie kierujący reorganizacją bazy zdecydowali się umieścić razem jednostki CID ze wszystkich rodzajów wojsk w jednym miejscu, właśnie w Quantico, gdzie znajdowała się ponadto Akademia FBI oraz dowództwo korpusu marines.

Puller zajrzał do swojego mieszkania poza terenem bazy, żeby zabrać parę rzeczy i zadbać o spasionego kocura, brązowego z pomarańczowymi pręgami, którego nazwał Dezerterem ze względu na jego umiejętność znikania w najmniej oczekiwanych momentach. Kot najpierw zamiauczał, potem parsknął, wreszcie zaczął się ocierać o jego nogi i wyginać grzbiet, domagając się głaskania.

– Mam pilną sprawę, Dezerter. Nie wiem, kiedy wrócę. Żarcie, wodę i kuwetę masz tam gdzie zawsze.

Kot miauknął, jakby zrozumiał i odszedł z dumnie zadartym łepkiem. Przybłąkał się około dwóch lat temu, toteż Puller był przekonany, że któregoś dnia po prostu zniknie bez śladu.

Na automatycznej sekretarce telefonu stacjonarnego znalazł nagranych kilka wiadomości. Utrzymawał to urządzenie tylko na wypadek jakiejś awarii sieci lub zasilania i niemożności korzystania z komórki. Tylko jedną wiadomość odsłuchiwał w całości.

Usiadł na podłodze i włączył ją po raz drugi.

Wiadomość od ojca.

Generał „Waleczny John” Puller był jednym z najsympatyczniejszych amerykańskich oficerów, dowódcą Krzykliwych Orłów, wręcz legendarnej 101. dywizji desantu powietrznego. Teraz nie służył już w wojsku i nie dowodził żadną jednostką, co nie oznaczało, że pogodził się z brutalną rzeczywistością. Prawdę powiedziawszy, ani trochę się nie pogodził. A to oznaczało, że żył w świecie niezupełnie rzeczywistym.

Z tego też powodu wciąż rozkazywał młodszemu synowi tak, jakby nadal był na szczycie, a on na samym dole służbowej hierarchii. Często nie pamiętał, co mu polecił przez telefon. Mógł zapomnieć nawet, że do niego dzwonił. Ale równie dobrze przy najbliższej okazji potrafił go zrugać za to, że nie wykonał rozkazów. W cywilu staruszek był co najmniej tak samo nieprzewidywalny jak na polu bitwy. To właśnie czyniło go nadzwyczaj trudnym przeciwnikiem. Jeśli żołnierze czegoś się bali, to właśnie przeciwników reagujących nietypowo, wrogów nie tylko zdeterminowanych, ale na dodatek gotowych dla zwycięstwa sięgnąć po wszelkie, choćby najbardziej szokujące środki. Takim właśnie przeciwnikiem był „Waleczny John” Puller. Wygrał dużo więcej, niż stracił, a jego taktyka stała się przedmiotem wykładów w szkoleniu armii. Przyszli oficerowie uczyli się o nim w Akademii Wojskowej i próbowali rozciągać metody taktyczne Pullera na wszystkie rodzaje wojsk.

Skasował nagraną wiadomość. Jego ojciec musiał poczekać.

Następnym przystankiem w jego podróży była siedziba CID.

Wojskowy Wydział Śledczy założył generał „Czarny Jack” Pershing we Francji podczas pierwszej wojny światowej. W roku 1971 formacja stała się oczkiem w głowie sztabu generalnego, a na jej czele stanął sam generał. Pod jego rozkazami znalazło się prawie trzy tysiące agentów działających na całym świecie, w tym dziewięciuset agentów specjalnych, do których teraz zaliczał się też John Puller. Była to struktura scentralizowana, podlegająca bezpośrednio sekretarzom armii w departamencie obrony, od którego siatkę agentów specjalnych dzieliły trzy szczeble biurokracji. Zdaniem Pullera przypominała lasagnę zawierającą zdecydowanie za dużo warstw makaronu.

Skupił się na dowódcy.

– W sprawach zabójstwa po służbie wysokich rangą oficerów zwykle formuje się nieco liczniejszy zespół niż jednoosobowy, sir.

White odparł:

– Staram się zebrać jakąś sensowną grupę w Wirginii Zachodniej, ale na razie nie wygląda to zbyt zachęcająco.

Puller zadał w końcu pytanie, które nurtowało go od chwili zapoznania się z najważniejszymi aspektami sprawy:

– W Forcie Campbell w Kentucky w tysięcznym batalionie stacjonuje trzecia grupa żandarmerii wojskowej, której teren działań obejmuje także Wirginię Zachodnią. Więc to oni chyba powinni się zająć sprawą zabójstwa pułkownika.

– Zamordowany służył w Agencji Kontrwywiadu. Pewnie dlatego dowództwo zdecydowało o wszczęciu „profesjonalnego dyskretnego” dochodzenia przez naszą jednostkę. – White aż się uśmiechnął na myśl, że musi to opisywać wysokiemu rangą i doświadczonemu śledczemu.

Ale Puller nie skwitował tego uśmiechem.

– Fort Campbell – dodał więc White – jest także miejscem stacjonowania 101. dywizji, jednostki twojego ojca, słynnych Krzykliwych Orłów.

– To było dawno temu, sir.

– Jak się miewa twój staruszek?

– Całkiem nieźle, sir – odparł Puller spiętym głosem. Nie zamierzał rozmawiać o swoim ojcu z kimś innym poza swoim bratem. Zresztą nawet w rozmowach z Robertem ograniczał się najwyżej do kilku zdań.

– Jasne. To dobrze. W każdym razie nasza siedemset pierwsza jednostka cieszy się opinią najlepszej z najlepszych, Puller. Nie zostałeś tu przydzielony jak do zwykłego oddziału żandarmerii. Zostałeś nominowany.

– Rozumiem. – Puller zaczął się zastanawiać, kiedy wreszcie jego dowódca zdecyduje się ujawnić mu coś, o czym jeszcze nie wiedział.

White popchnął ku niemu po blacie biurka teczkę z dokumentami.

– Tu masz wstępne analizy. Zebrał je oficer dyżurny. Skontaktuj się z dowódcą swojego pododdziału, zanim wyjedziesz. Jest już gotowy plan dochodzenia, ale nie musisz się czuć nim związany, możesz go zmienić w zależności od warunków panujących na miejscu zdarzenia.

Puller przysunął sobie teczkę, ale nie spuszczał wzroku z przełożonego.

– Co z odciskami palców?

– Zabity został pułkownik Matthew Reynolds. Jak już powiedziałem, był oficerem DIA. Stacjonował w Pentagonie. Znajdziesz tam jego domowy adres z Fairfax City w Wirginii.

– Był powiązany z Wirginią Zachodnią?

– Nic o tym nie wiadomo. Pewna jest tylko jego identyfikacja, więc nie ma wątpliwości, że to on.

– Jakie miał obowiązki w DIA? Zajmował się czymś, co mogło stać się przyczyną zabójstwa?

– DIA słynie z otaczania tajemnicą swoich ludzi i ich obowiązków. Dowiedzieliśmy się jednak, że Reynolds był w trakcie załatwiania sobie emerytury i przechodzenia do sektora prywatnego. Jeśli będziesz musiał wejść

w szczególności w ramach prowadzonego dochodzenia, ułatwimy ci dostęp do informacji.

Jeśli?, pomyślał Puller.

– Co należało do jego służbowych obowiązków w DIA?

Jego przełożony nerwowo poruszył się na krześle.

– Odpowiadał bezpośrednio przed wicedyrektorem pionu J2.

– Kieruje nim dwugwiazdkowy generał, prawda? Który codziennie zdaje bieżący raport przewodniczącemu Komisji Połączonych Sztabów?

– Zgadza się.

– Więc jeśli ktoś taki został zamordowany, dlaczego DIA nie przejęła dochodzenia? Czyżby nie darzyła zaufaniem swoich śledczych?

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że zadanie spadło na nas. A konkretnie na ciebie.

– A jeśli złapiemy sprawcę, to DIA, czy może prędzej FBI, położy na wszystkim łapę i zajmie się szykowaniem oskarżenia?

– To już nie moja działka.

– Więc DIA będzie nad tym jednak czuwała?

– Powtarzam, że nic więcej nie wiem.

– Dobrze. Wiadomo przynajmniej, gdzie chciał się zatrudnić po zakończeniu służby?

White pokręcił głową.

– Jeszcze nie ustalono. Możesz się skontaktować bezpośrednio z przełożonym Reynoldsa w sprawie takich szczegółów. To generał Julie Carson.

Puller nie zdołał się powstrzymać i mruknął:

– Wygląda na to, sir, że będę musiał uzyskać oficjalny dostęp do pewnych informacji, by prowadzić dochodzenie.

– Zobaczymy.

Nie dość, że odpowiedź była bezsensowna, to Puller w dodatku zwrócił uwagę, że dowódca specjalnie unika jego wzroku.

– Są inne ofiary? – zapytał.

– Żona i dwoje dzieci. Wszyscy zginęli.

Puller odchylił się na oparcie krzesła.

– Jasne, mamy zatem czworo zabitych, scenę zbrodni prawdopodobnie

skazoną działaniami policji z Wirginii Zachodniej, a do tego zapewne potajemny nadzór DIA nad naszym dochodzeniem. W normalnych warunkach wysłalibyśmy tam od czterech do sześciu ludzi z najlepszym sprzętem analitycznym z zakresu dochodzeniowego. Pewnie wezwalibyśmy też jakichś biegłych z USACIL – dodał, mając na myśli Wojskowe Laboratorium Kryminalistyczne w Forcie Gillem w Georgii. – A wszystko to po to, żeby zapewnić właściwą obróbkę materiału dowodowego. I jeszcze powstałby specjalistyczny zespół do zapewnienia współpracy z DIA.

– Mam wrażenie, że trafiłeś na właściwy grunt operacyjny.

– To znaczy?

– Normalny.

Puller wyprostował się jeszcze bardziej.

– Normalnie w zespole tak licznym jak nasza jednostka siedemset pierwsza, odbierałbym rozkazy od dowódcy swojej kompanii, a nie od pana, sir.

– Zgadza się.

White nie zamierzał jednak drążyć tego tematu.

Puller popatrzył więc na kartonową teczkę z dokumentami. Nie miał już żadnych wątpliwości, że jest w tej sprawie pozostawiony sam sobie.

– W rozmowie telefonicznej padło określenie „jotka”.

White skinął głową.

– Tak to zostało opisane. Trudno mi powiedzieć, ile podobnych spraw przytrafiło się tym z Wirginii Zachodniej, podejrzewam jednak, że na miejscu zdarzenia faktycznie było dużo krwi. Ale cokolwiek tam się stało, zapewne widywałeś dużo gorsze rzeczy podczas służby na Bliskim Wschodzie.

Puller nie odpowiedział. Podobnie, jak w sprawie ojca, nie zamierzał z nikim dyskutować o swoich patrolach na pustyni.

White ciągnął:

– Od początku dochodzeniem zajęła się miejscowa policja, bo to ich teren. Ale, jeśli się nie mylę, to odludny okręg i nie ma tam nawet jednego śledczego, dochodzenia kryminalne prowadzą zwykli mundurowi. To kolejny powód, dla którego będzie potrzebna finezja. Od strony formalnej nie mamy nawet podstaw do zaangażowania, dopóki nie wyjdzie na jaw, że sprawcą był wojskowy. Biorąc jeszcze pod uwagę pozycję Reynoldsa, masz zrobić wszystko, żeby współpraca z miejscowymi przebiegała w przyjaznej atmosferze.

– Jest tam jakieś bezpieczne miejsce, gdzie mógłbym trzymać ewentualne

dowody rzeczowe?

– Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego ma swój oddział terenowy jakieś pięćdziesiąt kilometrów dalej. Podobno zawsze jest tam ktoś, kto może być świadkiem podczas otwierania i zamykania sejfu. Już wystąpiłem o stosowne upoważnienie dla ciebie.

– Zakładam, że nadal będę mógł liczyć na pełen dostęp do USACIL?

– Owszem, będziesz mógł. Skontaktowałem się też z odpowiednimi placówkami z Wirginii Zachodniej, które nie wyraziły sprzeciwu na zaangażowanie CID w to dochodzenie. Nasi prawnicy później zajmą się formalnościami.

– Proszę tylko dopilnować, żeby o niczym nie zapomnieli, sir.

White obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Nie zapominaj jednak, że służymy w wojsku, więc poza papierkami może czasem być konieczne użycie pięści. Domyślam się, że jesteś tak samo przygotowany do posługiwania się jednym i drugim.

Puller nie odpowiedział. Przez całą dotychczasową karierę stykał się z podobnymi zawodowymi oficerami. Jedni byli dobrzy na swoich stanowiskach, innych można było tylko zaliczyć do idiotów. A on jeszcze nie umiał zdecydować, jak należałoby rozsądzić w tym wypadku.

– Jestem tu dopiero od miesiąca – powiedział White – dostałem przydział po przeniesieniu wydziału z Fortu Belvoir. I wciąż jeszcze uczę się poruszać prawidłowo. Ty miałeś na to pięć lat.

– Prawie sześć.

– Wszyscy, którzy się liczą, powtarzają mi, że jesteś tu najlepszy, choć stosujesz nieszablonowe metody. – Pochylił się i oparł łokcie na biurku. – Więc na pewno nie muszę ci mówić, że ta sprawa budzi wielkie zainteresowanie na górze. Odbieram telefony z różnych cywilnych agend z Waszyngtonu, nie pomijając nawet sekretarza obrony.

– Rozumiem. Zajmowałem się już sprawami z podwórka wywiadu obrony, które trzeba było traktować jak wszystkie inne. Jeśli ta sprawa budzi aż tak wielkie zainteresowanie na najwyższych szczeblach, pułkownik Reynolds powinien dostać trochę więcej kremu na torcie w Pentagonie. – Urwał na krótko. – Chyba że to krem zatruty.

White uśmiechnął się.

– Może faktycznie jesteś tak dobry, jak mówią.

Puller popatrzył mu w oczy, myśląc: A może jestem tylko pierwszy do odstrzału, jeśli rozpęta się piekło.

– A więc prowadzisz dochodzenia już od sześciu lat? – zagadnął White.

Puller nie odpowiedział. Miał wrażenie, że wie, do czego tamten zmierza, ponieważ inni zachowywali się podobnie. Następne zdanie przełożonego udowodniło mu, że miał rację.

– Skończyłeś college. Świetnie znasz francuski i niemiecki, nieźle mówisz po włosku. Twój ojciec i brat są oficerami.

– Byli oficerami – poprawił go Puller. – A obce języki znam tak dobrze tylko dlatego, że mój ojciec stacjonował w Europie, gdy byłem dzieckiem.

White zdawał się nie słuchać.

– Wiem, że byłeś gwiazdą swojej grupy na obozie szkoleniowym – ciągnął, nawiązując do wyników Pullera ze szkoły żandarmerii Stanów Zjednoczonych w Forcie Leonard Wood w Missouri. – W czasie służby zgarniałeś pijanych maruderów na całym świecie. Zajmowałeś się dochodzeniami prawie wszędzie tam, gdzie tylko były nasze wojska. W dodatku masz uprawnienia tajnych służb i dostęp do cywilnych informacji tajnych. – Przerwał na chwilę. – Mimo że to, co zrobił twój brat, omal nie odbiło się na tobie rykoszetem.

– Nie jestem nim. I pomyślnie przeszedłem na nowo wszelkie weryfikacje.

– Wiem. – White ucichł na dłużej i zabębnił palcami o poręcz krzesła.

Puller milczał. Wiedział, co będzie dalej. Zawsze było tak samo.

– Więc dlaczego nie zdecydowałeś się na West Point? I dlaczego zostałeś w tym wydziale? Masz nieskazitelną przebieg służby. Najlepsze wyniki w szkole rangersów. Powalającą kartotekę. Jesteś liderem w swojej działce. Twój ojciec przez trzy dekady służby dostał czterdzieści dziewięć ważnych medali i jest żywą legendą w armii. Ty zdobyłeś prawie połowę tego w sześciu turach w Iraku i Afganistanie. Masz dwa srebrne krzyże, przy czym każdy z nich okupiłeś trzymiesięcznym pobytem w szpitalu, trzy brązowe ze wstęgami, do tego trzy Purpurowe Serca. Sam dopadłeś faceta z talii pięćdziesięciu dwóch kart najbardziej poszukiwanych w Iraku, zgadza się?

– Był piątką pik, sir – odparł Puller.

– Owszem. Zatem masz już aż nadto gwiazd i ran. Armia uwielbia takie połączenia. Przypominasz rasowego ogiera o nieskazitelnym rodowodzie. Gdybyś został rangersem, do dziś wywindowaliby cię na same szczyty. Gdybyś poszedł do West Point, miałbyś teraz stopień majora, może nawet pułkownika. I

dorobiłbyś się co najmniej dwóch generalskich gwiazdek przed przejściem na emeryturę. Cholera, może nawet trzech, jak twój stary, gdybyś właściwie rozegrał to politycznie. W wydziale dochodzeniowym agent z naboru kończy najwyżej jako starszy sierżant. A wiem od swojego poprzednika, że zgodziłeś się przejść szkolenie podoficerskie tylko dlatego, że sierżanci dostają miejsce za biurkiem, podczas gdy chorążcy nadal może prowadzić sprawy w terenie.

– Nie przepadam za biurkami, sir.

– Tak więc nadal jesteś tutaj, w CID. Po przeciwnej stronie lady od baretek i brzęczących blaszek. A ja nie pierwszy łamię sobie nad tym głowę, żołnierzu.

Puller mimowolnie zerknął na szereg baretek na piersi White'a, który miał na sobie nowy granatowy mundur, wprowadzony niedawno zamiast wcześniejszego zielonego. Dla każdego pełniącego służbę wojskową szereg baretek uzupełniony ewentualnie medalami stanowił odpowiednik DNA kariery danego oficera. Doświadczone oko potrafiło wyczytać z niego bardzo dużo, nawet rzeczy mające ukryte znaczenie. Ale na piersi agenta specjalnego nie było niczego, co można by uznać za warte odnotowania w historii jego służby, ani Purpurowego Serca, ani innego znaczącego odznaczenia. Niemniej liczba baretek mogła robić wrażenie, zwłaszcza na laikach, lecz Puller wnioskował na ich podstawie, że nowy dowódca był zwykłym urzędniczym karierowiczem, używającym broni wyłącznie przy okazji koniecznych zaliczeń podczas kolejnych awansów.

– Podoba mi się tutaj, sir – powiedział. – I lubię metody, dzięki którym osiągnąłem swoją pozycję. Jeśli to nawet sprawa dyskusyjna, zwyczajnie jest jaka jest.

– Pewnie masz rację, Puller. Nie inaczej. Ale znam takich, którzy zaliczyliby cię do ludzi celowo uzyskujących wyniki poniżej swoich możliwości.

– Może to skaza na charakterze, ale nigdy nie dbałem, co inni o mnie mówią.

– Takie też słyszałem o tobie opinie.

Puller nie spuszczał wzroku z twarzy White.

– Nie wątpię, sir. Odnoszę jednak wrażenie, że czas nas goni.

Tamten popatrzył na ekran komputera.

– W takim razie zbieraj swój sprzęt i ruszaj.

Kiedy White po chwili oderwał wzrok od monitora, Pullera już nie było.

Nawet nie usłyszał, kiedy olbrzym wstał i wyszedł. Odchylił się na oparcie skrzypiącego krzesła. Pomyślał, że może właśnie dlatego Puller miał tak dużo

odznaczeń. Nie dało się zabić wroga, jeśli zbliżał się niepostrzeżenie.

5

Siedząc na klapie bagażnika swojego służbowego, a więc czarnego chevy malibu i sącząc gorącą kawę z dużego plastikowego kubka, Puller w świetle latarni na parkingu przed siedzibą CID czytał odebrane akta. W tym skrzydle mieściły się wszystkie wydziały dochodzeniowe różnych rodzajów wojsk, między innymi także zespół śledczych marynarki, który stał się niezwykle popularny dzięki serialowi telewizyjnemu. Puller mógł tylko marzyć o rozwiązywaniu kolejnych spraw w ciągu jednej godziny tygodniowo, jak robili to jego rywale na ekranach telewizorów. W świecie rzeczywistym dochodzenia ciągnęły się znacznie dłużej, a czasami w ogóle nie udawało się rozwikłać danej sprawy.

Nieco rozpraszały go dobiegające z oddali odgłosy strzałów. Wiedział, że to oznaka wspólnych ćwiczeń Drużyny Ratowania Zakładników FBI i oddziału szturmowego marines, które o różnych porach dnia i nocy używały ostrej amunicji. Był tak przyzwyczajony do strzelaniny, że ledwie zwracał na nią uwagę i reagował tylko wtedy, gdy pojawiało się realne zagrożenie. Ale jak na ironię strzały w Quantico świadczyły wyraźnie, że dzieje się coś złego.

Odwrócił kartkę w skoroszytcie. W zakresie gromadzenia dokumentacji wojsko było tak samo skrupulatne i precyzyjne jak w każdej innej dziedzinie. Miał podaną wielkość pliku, liczbę stron dokumentacji w teczce, liczbę kartek z podziałem na zapisane jednostronnie i dwustronnie, a nawet rejestr oznaczeń kolorowymi kropkami, myślnikami czy potrójnymi ukośnikami. Każdy szczegół służby w terenie określały całe tomy regulaminów. Zalecenia dotyczące prowadzenia Policyjnego Rejestru Żandarmerii zdawały się wręcz nieprawdopodobnie szczegółowe. Ale dla Pullera zawsze najważniejsza była treść zapisków w aktach, a nie ich ściśle określone miejsce w konkretnym zestawie danych.

Matthew Reynolds, jego żona, Stacey, oraz dwoje ich nastoletnich dzieci, dziewczyna i chłopak, zostali zamordowani w wiejskim domu w Wirginii Zachodniej. Zwłoki znalazł listonosz. Na miejscu zjawiała się lokalna policja. Zabity mężczyzna okazał się pułkownikiem wywiadu. Kończył właśnie dwudziestosześcioletnią służbę wojskową i przechodził do sektora prywatnego. Stacjonował w Pentagonie, a mieszkał w Fairfax City, więc Puller nie mógł

zrozumieć, co robił z całą rodziną w wiejskim domu w Wirginii Zachodniej. Zanotował to sobie w pamięci jako jedno z najważniejszych pytań, na które trzeba znaleźć odpowiedź. Niewykluczone, że tamtejsi śledczy już ją znali. Był w stanie zaakceptować każdą poszlakę, bo i tak musiał wszystko zweryfikować niezależnie od ustaleń policji.

W końcu zamknął teczkę, włożył ją do aktówki i sprawdził swój sprzęt w bagażniku auta, umieszczony w typowym plecaku amerykańskiej piechoty zawierającym ponad sto różnych kieszeni. Było tam niemal wszystko, co niezbędne do pracy w terenie: jasnoniebieskie rękawiczki lateksowe, latarki, papierowe torby, worki na zwłoki wraz z zestawami naklejek, gotowe do pracy małoobrazkowe aparaty fotograficzne, zielony kombinezon ochrony biochemicznej z kapturem i filtrami powietrza, białe pojemniki na dowody rzeczowe, taśmę mierniczą, linijkę, żółtą taśmę do ogradzania miejsca zbrodni, wydziałowe formularze do opisywania dowodów, zestaw do utrwalania odcisków palców, zestaw do wykrywania śladów prochu strzelniczego, rolkę plastikowej folii, cyfrowy dyktafon, notes do opisu miejsca zbrodni, apteczkę pierwszej pomocy, ochraniacze na buty, termometr lekarski, maseczkę chirurgiczną, kamizelkę odblaskową, szczyryk i ponad sześćdziesiąt innych rzeczy. Dysponował dwoma pistoletami M11 z dodatkowymi magazynkami, trzynasto- i dwudziestonabojowymi. Oprócz tego wozził w bagażniku pistolet maszynowy MP5. W drugiej torbie sportowej trzymał spakowane zapasowe mundury polowe. Na razie zadowalał się koszulą z krótkimi rękawami, swetrem i sportowymi butami, gdyż temperatura nawet w nocy wynosiła około trzydziestu stopni.

Nigdy dotąd nie rozpoczynał w pojedynkę dochodzenia w takiej sprawie. Zazwyczaj towarzyszył mu co najmniej jeszcze jeden agent CID, nie licząc zespołu technicznego. Ta sprawa aż się prosiła o więcej środków. Ale on miał przydzielone zadanie. A w wojsku następnym krokiem mogło być tylko jego wykonanie. W przeciwnym razie trzeba się było liczyć z groźbą postawienia przed sądem wojskowym i z ewentualnością przeniesienia do zakładu karnego.

Wprowadził do nawigatora GPS adres docelowy, zatrzasnął drzwi auta, wpednął pedał gazu i wyjechał z parkingu centrali w Quantico.

Zatrzymał się tylko raz, żeby skorzystać z toalety i kupić następny kubek czarnej kawy. Do Drake w Wirginii Zachodniej, liczącego 6547 mieszkańców, jak wyczytał na tablicy, dotarł o trzeciej nad ranem. Do wschodu słońca pozostało jeszcze ponad trzy godziny. W końcu się zgubił, gdy GPS

doprowadził go do dwupasmowej szosy biegnącej obrzeżami miasta.

Światła reflektorów omiotły szeregi opuszczonych domków jednorodzinnych. Musiało ich być co najmniej sto, zapewne dużo więcej. Wyglądały na zbudowane z prefabrykatów i wznoszone hurtowo w równiutkich rzędach. Wzdłuż pobocza jezdni ciągnął się szereg słupów obciążonych grubymi pękami kabli energetycznych i telefonicznych. Sunąc powoli jedną z ulic tego przymusowego objazdu, Puller nagle zmienił zdanie. Domy wcale nie były opuszczone, przynajmniej część z nich pozostawała zamieszкана. Na frontowych podwórkach stały zaparkowane stare samochody. W kilku oknach paliły się światła, ale z pewnością nie było to oświetlenie elektryczne, najwyżej gazowe lub akumulatorowe. Ujechał jeszcze kawałek, aż wreszcie w świetle jego reflektorów wyłoniła się dziwaczna struktura. Sprawiała wrażenie ogromnej kopuły z lanego betonu wyrastającej z ziemi na skraju lasu.

Co to jest, do cholery?

Pomimo rosnącej ciekawości jechał dalej, chcąc się przekonać, dokąd go zaprowadzi nawigacja. Wreszcie GPS zaktualizował odczyty satelitarne i wskazał właściwą drogę. Puller nie odczuwał zmęczenia. Długa jazda tylko go zrelaksowała i dodała mu sił. Chciał jak najszybciej przystąpić do pracy.

Wcześniej zarezerwował telefonicznie pokój w jedynym motelu w tej okolicy. Pod internetowym anonsem motelu U Annie znalazł kilka zjadliwych uwag zawiedzionych gości, ale nie wziął ich sobie do serca. Wiele razy zdarzało mu się mieszkać w blaszanych barakach na bagnach, gdzie za prysznic musiało służyć wiadro z wodą zawieszona na gałęzi drzewa, a za toaletę dziura wykopana w ziemi, więc każde schronienie o czterech ścianach i szczelnym dachu traktował jak apartament w Ritzu.

Drzwi biura były zamknięte, ale po trzecim naciśnięciu dzwonka uchyliły się ostrożnie. Później, gdy już zaspana starsza pani z włosami w lokówkach, ubrana w znoszony i sprany szlafrok, zameldowała go, stojąc za kontuarem, zapytała z ciekawością, co go sprowadza do miasta.

Obracając w palcach klucz od pokoju, Puller odparł:

– Przyjechałem na wakacje.

Kobieta zaśmiała się serdecznie.

– Sprytny z ciebie okaz, kolego – odparła, lekko sepleniąc z powodu szerokiej szpary między przednimi zębami. Zalatywało od niej nikotyną, czosnkiem i salsą, co tworzyło prawdziwie imponujące połączenie. – I duży. – Zadarła głowę i obrzuciła go taksującym spojrzeniem ze swojej grzędy

umieszczonej sto pięćdziesiąt pięć centymetrów nad ziemią.

– Mogłaby mi pani polecić jakiś lokal z dobrym jedzeniem?

Zastosował się do podstawowej zasady w wojsku: najpierw należało sobie zapewnić odpowiedni wikt.

– To zależy – odpowiedziała.

– Od czego?

– Czy nie przeszkadza ci pył węglowy w jajecznicy.

– Nie może być nic gorszego od zużytego paliwa uranowego w porannej kawie. Ale i ono nie dało mi rady.

Zachichotała.

– W takim razie zadowolili cię każdy lokal w mieście. Wszystkie są bardzo podobne do siebie, kochasiu.

Odwrócił się już, gdy jeszcze zapytała:

– Jesteś żonaty?

– A ty szukasz partnera? – zapytał, odwracając się, żeby zajrzeć w jej szparę między zębami odsłoniętą w szerokim uśmiechu.

– Nie tylko ja, kochasiu. Nie tylko. Wyśpij się dobrze.

Puller wyszedł z biura. Sen nie leżał jednak w kręgu jego zainteresowań.

6

W drodze do Wirginii Zachodniej Puller kilkakrotnie dzwonił do policyjnego śledczego, który prowadził dochodzenie i zostawił mu kilka wiadomości na poczcie głosowej. Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Przemknęło mu przez myśl, że może miejscowi wcale nie będą tak chętni do współpracy, jak sugerował jego dowódca. A może po prostu cztery martwe ciała i zagmatwana układanka dochodzeniowa w perspektywie całkiem ich przerosły? Trudno mieć pretensje, gdyby tak właśnie było.

Motel zajmował parterowy barak otaczający z trzech stron duży dziedziniec. Po drodze do swojego pokoju Puller minął jakiegoś nieprzytomnego człowieka, który leżał na wąskim trawniku, przed automatem do sprzedaży pepsy, przykutym do masywnego żelaznego słupa zaledwie dziesięć metrów od drzwi biura motelu. Obejrzał dokładnie leżącego, czy nie jest ranny, ale nic na to nie wskazywało. Zanim poszedł dalej, upewnił się, że jego puls jest wyczuwalny, a w oddechu wyraźnie czuć alkohol. Otworzył drzwi i wtaszczył swoją torbę podróżną do pokoju o wymiarach cztery na cztery metry. Łazienka była tak ciasna, że stojąc na środku, był w stanie dotknąć kolejno wszystkich ścian.

Skorzystał z elektrycznego czajnika, z którym się nie rozstawał we wszystkich swoich wozach, i zaparzył sobie kawę z przywiezionych zapasów. Następnie usiadł po turecku na podłodze i rozłożył przed sobą akta sprawy. Odnalazł numer i sięgnął po swoją komórkę.

Odezwał się żeński, wyraźnie zaspany głos:

– Halo?

– Poproszę z Samem Cole'em.

– Słucham.

– Sam Cole? – powtórzył z niedowierzaniem.

Kobieta odpowiedziała nieco głośniejszym i ostrzejszym głosem.

– Skrót od Samantha. Kto mówi, do diabła? Masz pojęcie, człowieku, która jest godzina?

Puller zwrócił uwagę, że wraz z narastającym gniewem rozmówczyni coraz wyraźniejszy stawał się jej miejscowy akcent.

– Owszem, jest trzecia dwadzieścia, czyli dwadzieścia minut po trzeciej w języku cywilów.

Zapadła cisza. Niemalże słyszał, jak obracają się kółka zębate w umyśle kobiety usiłującej przełożyć jego słowa na coś bardziej zrozumiałego.

– Cholera, jesteś z wojska, prawda? – odezwała się w końcu stłumionym, miękkim, atrakcyjnym głosem.

– John Puller, agent specjalny z Wojskowego Wydziału Śledczego siedemset pierwszej jednostki żandarmerii z Quantico w Wirginii – wyrzucił jednym tchem, jak robił to wcześniej setki razy.

Oczyma wyobraźni ujrzał ją siedzącą na łóżku i zaczął się zastanawiać, czy spała sama. Nie słyszał w tle żadnych męskich mamrotań. W czasie kilkusekundowej ciszy złowił za to wyraźnie kilka trzasków kółka benzynowej zapalniczki Zippo. Potem rozległ się syk wciąganego głęboko dymu papierosowego i cichy szum wypuszczanego powietrza.

– Czyżby przeoczyła pani ostrzeżenia naczelnego lekarza krajowego, panno Cole?

– Trudno je przeoczyć, skoro są wydrukowane wołami na opakowaniu papierosów. Dlaczego, do diabła, dzwonisz do mnie w środku nocy?

– Bo figuruje pani w moich papierach jako prowadząca sprawę. Właśnie przyjechałem do miasta. Muszę jak najszybciej zabrać się do pracy. Gwoli ścisłości, w ciągu ostatnich sześciu godzin dzwoniłem pod ten numer cztery razy i za każdym razem zostawiałem wiadomość na poczcie głosowej, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

– Byłam zajęta, nawet nie sprawdziłam automatycznej sekretarki.

– Nie wątpię, że była pani zajęta, madam. – A w myślach dodał: Nie wątpię też, że sprawdzałaś nagrania, tylko nie chciało ci się do mnie oddzwonić. Przypomniał sobie polecenie dowódcy: Pogrywaj łagodnie.

– Proszę wybaczyć, że wyciągnąłem panią z łóżka, madam. Myślałem, że może wciąż przebywa pani na miejscu zbrodni.

– Pracowałam nad tą sprawą przez cały dzień i większą część nocy – odparła.

– Przyłożyłam głowę do poduszki zaledwie godzinę temu.

– Co oznacza, że jest dużo materiału, z którym będę musiał się zapoznać. Ale mogę zadzwonić później.

Usłyszał, że ona wstaje, potyka się i przeklina pod nosem.

– Madam, powiedziałem, że mogę zadzwonić później. Proszę wracać do

łóżka.

– A nie mógłbyś się po prostu zamknąć na chwilę? – warknęła.

– Słucham? – zapytał ostrzej.

– Muszę się wysikać!

Rozległ się stuk odkładanego telefonu. Potem kroki. Odgłos zamykanych drzwi, żeby nie słyszał, jak ona się załatwia. Minęła kolejna minuta. Postanowił nie marnować czasu i znów zaczął czytać raport.

Nareszcie wróciła.

– Spotkamy się na miejscu o siódmej... och, przepraszam, o zero siedem zero zero przed południem, czy jak to się tam u was mówi.

– Zero siedem sto Julia.

Doleciał go szmer, z jakim zaciągnęła się dymem papierosa.

– Julia? – zdziwiła się. – Mówiłam, że mam na imię Sam.

– W żargonie wojskowym to oznacza lokalny czas letni. Gdyby była zima i znajdowalibyśmy się we wschodniej strefie czasowej, określenie brzmiałoby zero siedem sto Romeo.

– Romeo i Julia? – rzuciła ironicznie.

– Wbrew powszechnym opiniom w armii Stanów Zjednoczonych też są ludzie z poczuciem humoru.

– Do zobaczenia, Puller. Aha, gwoli ścisłości, to jestem sierżant Samantha Cole, a nie żadna madam ani Julia, Romeo!

– Rozumiem, sierżant Cole. Zobaczymy się o zero siedem. Nie mogę się doczekać naszej współpracy.

– Jasne – mruknęła.

W wyobraźni ujrzał, jak ona rzuca słuchawkę na stolik i pada z powrotem do łóżka.

Odłożył telefon, dopił kawę i zaczął kartkować papiery w teczce. Pół godziny później uzbroił się, wsuwając jeden M11 do kabury z przodu, a drugi do takiej samej z tyłu na biodrze. Po licznych potyczkach na Bliskim Wschodzie zawsze miał wrażenie, że jest niedostatecznie uzbrojony. Włożył kurtkę, wyszedł z pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Młody człowiek, który leżał na ziemi, teraz siedział pod krzakiem i rozglądał się tępym wzrokiem, najwyraźniej oszołomiony.

Puller podszedł i stanął przed nim.

– Powinieneś się zastanowić nad ograniczeniem picia. Albo przynajmniej tracić świadomość gdzieś, gdzie będziesz miał dach nad głową.

Tamten zamrugał szybko.

– Kim jesteś, do cholery?

– John Puller. A ty?

Mężczyzna oblizał wargi, jakby miał już ochotę na następną kolejkę.

– Nazywasz się jakoś? – zagadnął Puller.

Tamten wstał chwiejnie.

– Randy Cole. – Nerwowo potarł dłońmi o dzinsy na kolanach.

Puller od razu zwrócił uwagę na zbieżność nazwisk, ale postanowił zachować to dla siebie.

Randy Cole był dość przystojny, z wyglądu nie miał jeszcze trzydziestki. Około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, słusznej budowy ciała. Tyle że pod koszulą rysował się dość wyraźnie sześciopak brzucha. Włosy ciemnoblonde, kręcone, rysy twarzy dość ostre, ale przyjemne. Nie nosił obrączki na palcu.

– Nocujesz w tym motelu? – zapytał Puller.

Randy pokręcił głową.

– Nie, jestem tutejszy. Ty jesteś obcy.

– Zgadza się.

– Co cię sprowadza do Drake?

– Interesy.

Randy prychnął pogardliwie.

– Interesy? Nie wyglądasz mi na bubka handlującego węglem.

– Bo nie handluję.

– Więc co to za interesy?

– Po prostu interesy – powtórzył tonem mówiącym wyraźnie, że zamierza poprzestać na tej lakonicznej odpowiedzi. – Masz samochód? Dasz radę prowadzić?

– Nic mi nie jest. – Randy wygramolił się z krzaków.

– Na pewno? Bo jeśli chcesz gdzieś podjechać, mogę cię podwieźć.

– Powiedziałem, że nic mi nie jest.

Ale zachwiał się i chwycił obręcz za głowę. Puller złapał go pod rękę.

- Nie wyglądasz na takiego, któremu nic nie jest. Kac to straszna rzecz.
- To chyba nie tylko kac. Bardzo boli mnie głowa.
- Więc powinienes się zgłosić do lekarza.
- No pewnie, zaraz polecę do najlepszych specjalistów na świecie. I zapłacę im gotówką.
- Cóż, mam nadzieję, że następnym razem znajdziesz sobie jakieś łóżko, w którym się wyśpisz – mruknął Puller.
- Cholera, czasami krzaki są dużo lepsze od łóżka – rzekł Randy. – Wszystko zależy od tego, z kim się kładziesz spać. Mam rację?
- Masz.

Pojechał na zachód, kierując się wskazaniem GPS-u, ale w gruncie rzeczy polegał głównie na wewnętrznym kompasie. Nowoczesny sprzęt elektroniczny był niezły, ale nie mógł zastąpić tego, co ma się w głowie. Sprzęt czasami zawodził, a głowa nie, chyba że ktoś wpakował w nią kulkę, ale wtedy trzeba się było liczyć z większymi kłopotami niż tylko zgubienie drogi.

Zastanawiał się przez chwilę, czy Randy Cole jest jakoś powiązany z Samanthą. Policjantka i pijak. Nie byłaby to wcale wyjątkowa sytuacja. Nierzadko policjant był jednocześnie pijakiem.

Po czterdziestu minutach jazdy wąskimi i krętymi bitymi drogami, kilku nawrotach i jednej utracie orientacji, odnalazł wskazaną ulicę. Wewnętrzny kompas mówił mu, że przez te czterdzieści minut przejechał jakieś dwanaście kilometrów, i GPS się z tym zgodził. W górzystym terenie nie było prostych dróg, więc ani razu nie miał okazji rozpedzić malibu powyżej pięćdziesiątki.

Teraz zwolnił i zaczął się rozglądać. Przypomniał sobie stare kredo agentów CID.

Patrz. Słuchaj. Wąchaj.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Właśnie teraz wszystko miało się zacząć.

Po raz kolejny.

7

Zjechał na pobocze i wyrztał przez okno. Miał jedyną okazję ku temu, żeby wykorzystać doznania wszystkich zmysłów nieskażone wcześniejszymi doświadczeniami.

Wysiadł i oparł się o maskę auta. Po raz kolejny wziął głęboki oddech. Prądy powietrza niosły woń z kopalni węgla, którą minął parę kilometrów wcześniej. Złowił dolatujący z oddali, ledwie słyszalny warkot ciężarówek. Popatrzył na zachód i ujrzał krzyżujące się na niebie snopy świateł reflektorów. Nie miał pojęcia, do czego służyły.

Rozejrzał się po okolicy. Wzrok miał doskonały, a blask księżyca i poświata nocnego nieba pozwalały mu dostrzec szczegóły terenu. Małe sześciiany chylących się ku ruinie domków jednorodzinnych. Zabawki walające się na podwórkach. Zardzewiałe półciężarówki stojące na ceglach. Błąkający się kot. To osiedle symbolizowało przemęczenie. Powolną śmierć. Może już było martwe. Jak rodzina Reynoldsów. Wyeliminowane.

Jednak najbardziej denerwujące było to, czego Puller nie mógł zobaczyć.

Rozciągnięta przed drzwiami policyjna taśma nakazywała wszystkim trzymać się z dala od domu. Ktoś dodatkowo zrobił prowizoryczną barykadę przegradzającą wjazd na podjazd, zrobioną z żółtej taśmy rozciągniętej między dwoma wiadrami ustawionymi dnem do góry.

Ale nigdzie nie było widać policjanta, który by strzegł tego terenu. Nikt nie pilnował miejsca zbrodni, do której doszło niespełna czternaście godzin temu. To był zły znak. W gruncie rzeczy nawet niewiarygodny. Nie ulegało wątpliwości, że wszelkie dowody rzeczowe mogą zniknąć z powierzchni ziemi, skoro miejsce przestępstwa pozostawiono bez nadzoru.

Nie miał na to najmniejszej ochoty, ale pozostawienie sprawy bez interwencji nie tylko jego mogło kosztować przerwanie kariery. Wyjął telefon i wybrał numer z podręcznej pamięci.

Odebrała po drugim sygnale.

– Przysięgam na Boga, że zastrzelę, niezależnie od tego, kto dzwoni.

– Tu znowu Puller, sierżant Cole.

– Życie ci obrzydło?! – wrzasnęła dziko.
– Nie ma tu nikogo na straży.
– Gdzie?
– Na miejscu zbrodni.
– A skąd, do cholery, możesz to wiedzieć?
– Ponieważ właśnie zaparkowałem przed domem.
– Jesteś w błędzie. Stoi tam radiowóz będącego na służbie zastępcy szeryfa.
Sama wydałam taki rozkaz.

Puller znowu się rozejrzał.

– No cóż, jeśli nie ukrył się gdzieś w lesie albo nie zamaskował auta, to musiał się stać niewidzialny. A czyż nie chodzi o to, żeby na straży terenu być widzialnym z daleka?

– Cholera. Naprawdę jesteś na miejscu?

– Tak, naprawdę.

– I naprawdę nie ma tam radiowozu?

– Naprawdę nie ma.

– Będę za trzydzieści pięć minut.

– Nie da się szybciej?

– Gdybym chciała dojechać szybciej po tamtejszych bocznych drogach w środku nocy, albo wylądowałabym na drzewie, albo zjechała ze szczytu urwiska. – Umilkła i w słuchawce dało się słyszeć człapanie jej bosych stóp i szum wysuwanych szuflad, na pewno w celu wyciągnięcia świeżych ubrań.

– Posłuchaj, Puller, wyświadczyć mi przysługę i czasowo sam zabezpiecz miejsce zbrodni, dobrze? Zaraz zadzwonię do funkcjonariusza, który powinien tam czuwać, i odgryzę mu dupsko.

– Mogę zabezpieczyć teren. Są zwłoki nadal są w środku?

– Czemu pytasz?

– Bo jeśli są, chciałbym je zobaczyć.

– Owszem, nadal są w środku.

Upłynęło dość dużo czasu jak na przetrzymywanie ofiar na miejscu zabójstwa, postanowił jednak nie komentować tego faktu. W pewnym sensie nawet się z tego ucieszył. Miał okazję zobaczyć miejsce zbrodni w takim stanie, w jakim zostawił je morderca.

– Nie chciałbym pozacierać żadnych śladów. Zebraliście już odciski palców

w pomieszczeniach? Przeszukaliście je dokładnie? – zapytał.

– Dość dokładnie. Miałam zamiar przyjrzeć się wszystkiemu jeszcze raz dzisiaj rano.

– Jasne. Zauważyłaś ślady włamania?

– Nie, nic nie widać, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Więc mogę normalnie wejść drzwiami?

– Są zamknięte. W każdym razie powinny.

– W takim razie wejdę do środka.

– Puller...

– Czekam trzydzieści pięć minut.

Odparła z ociąganiem:

– W porządku, do zobaczenia. I... dzięki za pomoc.

Zamknął klapy telefonu i rozejrzał się dookoła. Przy krótkiej ślepej uliczce stało osiem domów. Wszystkie tonęły w ciemnościach. Ale o tej porze nie było w tym nic dziwnego. Na wszystkich podjazdach stały samochody. Na tyłach domów po obu stronach ciągnął się las.

Puller wyciągnął kilka rzeczy z plecaka i przełożył je do małego składanego plecaczka, z którym nigdy się nie rozstawał. Nałożył słuchawki z mikrofonem i podłączył je do dyktafonu, który wsunął do kieszonki na pasku. Na dłonie wciągnął niebieskie plastikowe rękawiczki.

Ruszył w stronę frontowych drzwi i świecąc sobie latarką, rozglądał się uważnie po wysypanym żwirem podjeździe. Nie chciał zdeptać śladów samochodów, chociaż mogły je zostawić wozy policyjne. W myślach odtworzył chronologię wydarzeń.

Listonosz odnalazł zwłoki około czternastej i natychmiast zawiadomił policję. Pierwsze jednostki ratownictwa zjawyły się pół godziny później. Po dziesięciu minutach zawiadomione zostały służby wojskowe. A więc dość szybko. Ktoś tutaj wyraźnie spanikował. Przemknęło mu przez myśl, że mogła to być Cole. Odebrał wezwanie w Kansas i złapał pierwsze połączenie. Samolot miał silny tylny wiatr i wylądował czterdzieści minut przed czasem. Po krótkiej wizycie w mieszkaniu dotarł pod centralę CID o osiemnastej czterdzieści. A wyjechał z parkingu o dziewiętnastej pięćdziesiąt. Jechał bez dłuższych przerw i dotarł do Drake krótko po trzeciej. Teraz dochodziła piąta rano.

Obrzucił uważnym spojrzeniem rampę dla wózków inwalidzkich. Matthew Reynolds był przed pięćdziesiątką i cieszył się wystarczająco dobrym

zdrowiem, żeby pozostawać w służbie. Jego żona miała pięć lat mniej i też nie skarżyła się na kłopoty ze zdrowiem. W każdym razie jej kartoteka ubezpieczeniowa była czysta. Dzieci w wieku szesnastu i siedemnastu lat również nie chorowały. Nikt z lokatorów nie wymagał takiej rampy. A więc to nie był ich dom. Przebywali tu z innego powodu. Czyżby takiego, który kosztował ich życie?

Jeszcze raz popatrzył na ślady kół na podjeździe i powędrował za nimi wzrokiem aż do ciemnej plamy. Znajdowała się w miejscu, gdzie powinien być silnik samochodu zaparkowanego przed domem i zwróconego w kierunku wschodnim. Uważając, by nie zdeptać śladów bieżnika opon, przykucnął i wetknął palec w plamę. Była jeszcze ciepła. Z oleju silnikowego. A więc świeża. Czyżby z policyjnego radiowozu? Możliwe. A jeśli tak, to gdzie on się podział?

Szybkim krokiem ruszył do drzwi i z daleka zauważył wybitą szybę. Przystanął, żeby założyć ochraniacze na buty. Frontowe drzwi były zamknięte, ale nie na zasuwkę. Ich otwarcie zajęło mu najwyżej trzy sekundy.

Ostrożnie wszedł do środka, przyświecając sobie latarką trzymaną w lewej ręce, gdyż prawą opierał na kolbie pistoletu w kaburze.

Błyskawicznie uświadomił sobie, że skoro wchodzi do domu, gdzie zamordowano cztery osoby, a na ulicy nie ma policjanta, który powinien pilnować miejsca zbrodni, należy się liczyć z kilkoma ewentualnościami. Skręcił do salonu i nagle ujrzał ich w świetle latarki.

Leżeli na kanapie.

Ułożeni obok siebie.

Cztery ciała, z których każde swoim ciężarem przytrzymywało kolejne.

Schował z powrotem pistolet do kabury, przesunął się pod ścianę i przemówił półgłosem do mikrofonu, opisując widok.

Ojciec od prawej, nastoletnia córka na przeciwległym końcu. Matka i brat w środku. Ona od strony męża. Omiótł światłem latarki leżący przed łóżkiem dywanik. Nie było na nim śladów krwi. Podniósł wzrok i wycelował wiązkę światła nad głowę.

Ojciec wziął na siebie cały ciężar, pocisk trafił go prosto w twarz, z bliskiej odległości tworząc rozległą ranę.

Jego żona miała twarz nienaruszoną, ale za to podziurawioną górną część klatki piersiowej. Kiedy Puller popatrzył na jej ręce, zwrócił uwagę, że palce są

niemal przezroczyste. Musiała długo trzymać je w górze, zanim zginęła od kuli. Oczywiście nie była w stanie uchronić się dłońmi przed wystrzelonym pociskiem, ale zapewne odruchowo chciała się zasłonić.

Nastoletnie rodzeństwo także nie miało widocznych na pierwszy rzut oka obrażeń. Być może oboje zostali zabici strzałem w plecy. Ale ich rodzice na pewno nie zginęli tutaj. Rozbryzgi krwi byłyby widoczne w całym pokoju. Musieli zostać zamordowani gdzieś w głębi domu, a ich ciała później przeniesiono i ułożono na kanapie, jakby cała rodzina siedziała przed telewizorem.

Nie było to normalne. Ale przecież nikt normalny nie zamordowałby całej rodziny.

Zrobił to ktoś chory albo pozbawiony skrupułów zawodowiec.

O ile nie sprowadzało się to do tego samego.

Podszedł krok bliżej, uważając, żeby nie nadepnąć na leżące na dywanie znaczki dowodów rzeczowych. Mężczyzna miał na sobie typowy ciemnozielony mundur wojskowy klasy B, które miały wyjść z użytku dopiero za kilka lat. Prawa strona jego twarzy prawie całkiem zniknęła, w głębi rozległej rany widać było nawet kręgosłup. Puller popatrzył na szczątki potrzaskanych kości i pusty oczodół. Nie dostrzegł jednak żadnej rany postrzałowej na piersi. Pułkownik musiał zginąć od tego jednego strzału z bliskiej odległości prosto w twarz.

Najbardziej prawdopodobne wydawało się to, że zginął od kuli wystrzelonej z obrzyna.

W głębi rany dawało się dostrzec białawe kłaczkę, bez wątplenia pochodzące z filcowej włókniny przybitki. Można było mieć nadzieję, że technicy będą w stanie ocenić kaliber broni na podstawie wielkości tych kłaczek czy też oznaczeń producenta amunicji wybitych na kuli, jeśli dały się jeszcze odczytać.

Kobieta wpatrywała się w niego szklistymi oczami. Dla obserwatora skłonnego do melodramatycznych wniosków nie ulegałoby wątpliwości, że w jej oczach zastygł błagalny wyraz. Jakby prośba:

Znajdź mojego zabójcę.

Puller przesunął snop światła latarki na jej biust. Dziesiątki drobnych dziurek było rozmieszczonych losowo. A więc i do niej strzelano z obrzyna, ale zdecydowanie w inny sposób niż do jej męża.

Wyciągnął z kieszeni miarkę i pomierzył odległości między dziurami w

bluzce pani Reynolds, pierwotnie białej, teraz prawie szkarłatnej. Zrobił w myślach kilka szybkich obliczeń i schował miarkę. Pomacał najpierw rękę mężczyzny, potem kobiety. Oba ciała znajdowały się jeszcze w stężeniu pośmiertnym, które już zaczynało ustępować, mięśnie się rozluźniały. Zwłoki miały temperaturę pokojową, być może nieco niższą. Wyciągnął z plecaka termometr i odczytał jego wskazania. Krew gromadziła się w dolnych partiach ciała. Jelita i pęcherze moczowe były od dawna opróżnione. Skóra miała odcień zielonkawoniebieski. Wyraźny był już fetor rozkładu, rysy twarzy stopniowo się rozmywały. Po śmierci każdy robił się brzydki.

Skierował uwagę na ciała nastoletnich dzieci.

Nagle wyprostował się i obrócił na pięcie. Doleciał go stłumiony hałas. Gdzieś z głębi domu.

Najwyraźniej nie był tu jedyną żywą osobą.

8

Łup, łup, łup...

Rozlegały się stłumione uderzenia.

Gdzieś z dołu, z piwnicy.

No jasne.

Szybko odnalazł właściwe drzwi.

Wciągnął nosem powietrze. Odór rozkładających się zwłok był nieznośny, ale zlekceważył go, próbując wyczuć coś innego. Pot. Wodę kolońską. Swąd papierosów. Molekularny ślad nieświeżego oddechu. Wszystko, co mogło stanowić punkt zaczepienia.

Nic.

Pchnął dalej drzwi, które przytrzymał nogą. Zejście na dół tonęło w ciemności.

Oczywiście.

Łup, łup, łup...

Regularność stuków dodatkowo działała mu na nerwy.

Gdyby polował na czyjeś życie, uciekłby się do oszustwa. Prawdę mówiąc, robił to wielokrotnie w Iraku i Afganistanie, podobnie jak wrogowie stosowali takie same sztuczki wobec niego.

Wyjął z plecaka gogle noktowizyjne, włożył je na głowę, nasunął wizjer na oczy i włączył zasilanie. Rozciągający się przed nim tunel ciemności natychmiast ożył, choć na zielono i nieco mgliście. Przykucnął i wyjął z kabury drugi pistolet. Oba pistolety były samopowtarzalne, odbezpieczone, gotowe do strzału. Zwykle nie używał dwóch pistoletów jednocześnie, z prostego powodu – ograniczyłyby sobie celność i precyzję strzału, gdyby chciał trafić dwa cele naraz. Jednakże w ciasnej, zamkniętej przestrzeni, gdzie celność nie odgrywała tak dużej roli, chciał dysponować maksymalną siłą ognia.

Dwie podstawowe różnice między żandarmami a agentami specjalnymi dotyczyły broni. Pierwszym nie wolno było trzymać pistoletów z nabojem w komorze, podczas gdy śledczy z CID zawsze mieli broń gotową do strzału. Żandarmi zostawiali broń w magazynie po zakończeniu służby, natomiast

agenci nie rozstawali się z nią o żadnej porze dnia i nocy.

Kiedy Puller stosował nacisk sześciu kilogramów na język spustowy i padał strzał, suwadło ponownie napinało kurek i wprowadzało kolejny nabój do komory. Z magazynkami na dwadzieścia nabojów mógł w sumie oddać czterdzieści strzałów, chociaż zwykle wystarczał tylko jeden. Nigdy nie należał do tych, co strzelają raz za razem. Ale gdyby zaszła taka potrzeba, potrafiłby z dystansu piętnastu metrów opróżnić oba magazynki w ciągu dziesięciu sekund, pakując przy tym wszystkie kule w tarczę wielkości człowieka. W tej sytuacji wystarczyłoby mu tylko raz trafić w cel, najlepiej zanim sam zostanie trafiony.

Nisko pochylony zaczął bokiem schodzić ostrożnie po zakrytych chodnikiem schodach. Spoglądał przed siebie ponad szczerbinką pistoletu w prawym ręku. Nie lubił przebywać w ograniczonej przestrzeni. W wojsku nazywano to „zgubnym tunelem”. Dysponował dużą siłą ognia, ale przeciwnik mógł mieć jeszcze większą.

Łup, łup, łup...

Stukot robił wrażenie mechanicznego. Ale przecież ktoś musiał go zainicjować.

W aktach znalazł wzmiankę o psie. Cole i jej ludzie musieli go stąd zabrać. Nie zostawiliby psa w domu, na miejscu zbrodni, zwłaszcza razem z zakrwawionymi zwłokami. Co prawda, zwierzę było oswojone, ale w końcu należało do drapieżnych.

Łup, łup, łup...

Zszedł na sam dół, przekradł się pod ścianą do rogu i stamtąd rozejrzał po piwnicy.

Przestrzeń nie była podzielona ściankami.

Posadzka z lanego betonu, betonowe ściany obejmujące słupy nośne, goły sufit. Po ścianach ciągnęły się pęki kabli. W powietrzu wisiał smród pleśni. I tak był lepszy od fetoru panującego na górze.

Pierwsze ślady ujrzał pod ścianą. I na podłodze od frontu.

Krew. Zabójstwa dokonano właśnie tutaj. Przynajmniej tu zginęli rodzice.

Łup, łup, łup...

Jeszcze raz rozejrzał się uważnie. W drugim końcu była część niewidoczna, skryta za szerokim betonowym wspornikiem.

Łup, łup, łup...

Oczywiście hałasy dobiegały stamtąd.

Wyciągnąwszy przed siebie oba pistolety, ruszył powoli w tamtym kierunku, posuwając się bokiem, z głową wciśniętą w ramiona.

Dotarł do rogu za schodami i skręcił wzdłuż ściany. Kąty pomieszczeń też były niepewne. W wojsku nazywano je „kątami dynamicznymi”, gdyż sytuacja mogła ulec diametralnej zmianie, gdy się je mijało. Odezwał się głośno:

– Tu agent federalny.

Bez reakcji.

– Agent federalny!

Obrzucił wzrokiem ścianę. Beton. Gdyby była z drewna lub pokrytej gipsem tektury, strzeliłby kilka razy przez nią, żeby odwrócić uwagę kryjącego się za nią ewentualnego przeciwnika, przyczajonego w zasadzce. Ale do betonu nie mógł strzelać, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa pociski odbiłyby się z powrotem w jego kierunku.

– Połóż broń na ziemi i wyjdź z rękoma splecionymi za głową. Liczę do pięciu. Jeden fałszywy ruch i zacznę strzelać.

Zaczął głośno odliczać, choć miał nadzieję, że zyska okazję do użycia pistoletu.

Łup, łup, łup...

Schował jeden pistolet do kabury, zdjął z ramion plecak, wziął zamach i rzucił go za słup nośny.

Łup, łup, łup...

Albo nie było tam nikogo, albo trafił na sprytnego przeciwnika. Przykucnął i wychylił się na ułamek sekundy, żeby wyrzeć za róg. Jednym szybkim spojrzeniem ogarnął całą przestrzeń za filarem. Nie wróżyło to dobrze.

Wychylił się zza rogu. Stukot dobiegał z dołu. Na podłodze leżał przewrócony wentylator. To on wydawał te regularne dźwięki. Był przestawiony na półobrót i stukot rozlegał się za każdym razem, ilekroć jego osłona uderzała o podłogę.

Ktoś musiał go jednak włączyć. Chwilę później stało się jasne, kto to zrobił.

Puller spojrzał w górę. Mężczyzna miał na sobie mundur. Wisiał pod sufitem. Pasek, którym został uduszony, poluzował się i ciało zwisło, ale wciąż dyndało jak na stryczku. To ono musiało przewrócić stojący na podłodze i obracający się wentylator.

Stało się jasne, dlaczego policjanta wyznaczonego do pilnowania miejsca zbrodni nie było na posterunku.

Puller popatrzył na jego ciało przez gogle noktowizyjne. Bez wątpienia był martwy. Miał wybałuszone i szkliste oczy. Do tego zwisał bezwładnie. Skrępowano mu nadgarstki. I kostki nóg. Podeszedł bliżej i dotknął jego skóry. Jeszcze ciepła, ale już stygła. Śmierć nastąpiła niedawno. Dla formalności zacisnął palce na przegubie, żeby wymacać puls. Nie wyczuł tętna. Jak tylko serce się zatrzymało, inne narządy również błyskawicznie przestały funkcjonować. Policjant znalazł się już za granicą bez powrotu, choć niezbyt daleko.

Bandyci musieli zabrać radiowóz. Pewnie też nie był jeszcze całkiem zimny.

Trup wyglądał młodo. Ale był tylko pacynką na czyimś paluchu i trafił na niewłaściwy przydział służbowy. Ochrona zwłok w czasie nocy doprowadziła do tego, że sam był teraz trupem. Puller spojrział na plakietkę na kieszonce munduru. Wisielec był zastępcą szeryfa okręgu Drake, o czym świadczyła jego odznaka. Popatrzył na kaburę, lecz nie było w niej broni. Ani trochę go to nie zaskoczyło. Uzbrojony człowiek nie dałby się tak powiesić bez walki. Twarz była mocno opuchnięta, nie dało się więc ocenić, czy wcześniej został pobity.

Schylił się i wyłączył wentylator.

Rytmiczne stukoty ucichły.

Puller przysunął się bliżej do zwłok i nakierował gogle na górną część kieszonki munduru.

Posterunkowy Wellman.

Napastnicy musieli mieć jaja, pomyślał, żeby się tu zjawić i zabić policjanta. W ogóle żeby wrócić na miejsce zbrodni.

Czyżby o czymś zapomnieli? Albo coś zostawili?

Błyskawicznie zawrócił i pognął schodami na górę.

Ktoś nadjeżdżał.

Spojrział na zegarek.

To mogła być sierżant Samantha Cole.

Chociaż niekoniecznie.

9

Kobieta wysiadła z samochodu. Nie był to wóz policyjny, lecz zwykły stary pickup z napędem na cztery koła i trzema długimi antenami sterzącymi nad dachem kabiny. Ale zamiast skrzyni miał typową białą część mieszkalną z oknami po bokach i odchylanymi do góry tylnymi drzwiami z wymalowanym na nich przez szablon napisem „Chevy”. Jasnoniebieski lakier nie był oryginalny.

Samantha Cole nie włożyła munduru. Miała na sobie wytarte džinsy, biały T-shirt, traperską wiatrówkę i zniszczone buty z cholewkami do pół łydki. Z kabury podramiennej wystawała kolba automatycznej cobry kalibru 11,4 milimetra. Nosiła broń pod lewą pachą, co oznaczało, że była praworęczna. Biorąc poprawkę na obcasy, miała jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i pięćdziesiąt kilogramów wagi, wysportowaną sylwetkę i ciemnoblonde włosy sięgające do ramion. Uwagę zwracały duże niebieskie oczy, a wydatne, szeroko rozstawione kości policzkowe sugerowały indiańskich przodków. Twarz miała upstrzoną jasnymi piegami.

Była atrakcyjną kobietą, ale wyglądała na osobę twardą i cyniczną, dla której życie nie było nazbyt łaskawe.

Szybkim spojrzeniem obrzuciła malibu Pullera, a następnie dom, w którym zabici Reynoldsowie leżeli obok siebie w rzędzie. Z ręką na kolbie pistoletu ruszyła po wysypanym żwirze podjeździe. Mijała lexusa, kiedy nastąpił atak.

Napastnik błyskawicznie złapał ją od tyłu i unieruchomił ręce w żelaznym uścisku. Nie miała szans. Pociągnął ją ku ziemi i powlókł tyłem za samochód.

– Cholera!

Zacisnęła palce na dużych męskich paluchach, ale nie mogła ich odchylić. Sięgnęła lewą ręką do kabury, ale ta była poza jej zasięgiem, gdyż napastnik przyciskał jej rękę w łokciu do boku. Poczwała się bezradna.

– Tylko się nie wychylaj, Cole – szepnęła jej mężczyzna do ucha. – Tam może się kryć strzelec.

– Puller? – syknęła i odwróciła się do niego, gdyż rozluźnił uścisk i przesunął się bliżej prawego końca przedniego zderzaka lexusa. Zsunął gogle noktowizyjne na czoło. W jednym ręku trzymał swojego M11, drugi tkwił w

kaburze na jego biodrze.

– Miło cię poznać.

– O mało nie dostałam zawału. W ogóle nie słyszałam twoich kroków.

– I dobrze.

– Mało brakowało, żebyś mi złamał rękę. Jesteś robocodem?

Wzruszył ramionami.

– Nie, po prostu żołnierzem.

– Czemu mnie złapałeś od tyłu?

– Wellman to twój człowiek?

– Co?

– To ten gliniarz, który miał służbę dzisiejszej nocy?

– Zgadza się, Larry Wellman. Skąd wiesz?

– Ktoś go powiesił w piwnicy, a potem ukradł jego radiowóz.

Szczęka jej opadła.

– Larry nie żyje?

– Obawiam się, że tak.

– I mówisz, że tam może być strzelec?

Wskazał swoje gogle.

– Zauważyłem przez okno jakiś ruch, kiedy nadjeżdżałaś.

– Gdzie?

– W lesie za domem.

– Myślisz, że...?

– Nie kieruję się domysłami. Dlatego cię złapałem. Skoro zabili jednego policjanta, czemu nie mieliby strzelić do drugiego?

Obrzuciła go taksującym spojrzeniem.

– Doceniam to. Ale nie mogę uwierzyć, że Larry nie żyje. Nic dziwnego, że nie odpowiadał na moje wywołania. – Urwała. – Miał żonę i małe dziecko.

– Przykro mi.

– Jesteś pewien, że on nie żyje?

– Gdybym nie był pewien, odciąłbym go i próbował reanimować. Ale możesz mi wierzyć, że to by było bezcelowe. Zmarł jednak niezbyt dawno temu. Zwłoki są jeszcze ciepłe.

– Cholera – syknęła po raz drugi niepewnym głosem.

Wciągnął w nozdrza jej zapach. Zapach mięty z ust nie był w stanie zamaskować swądu dymu tytoniowego. Nie używała perfum. I nie miała czasu, aby umyć włosy. Spojrzał na zegarek. Dotarła na miejsce dwie minuty przed wyznaczonym przez siebie samą terminem.

Dostrzegł, że jej oczy zaczynają błyszczeć. Po chwili samotna łza zsunęła się z powieki i potoczyła w dół policzka.

– Nie chcesz złożyć meldunku? – zapytał.

– Co? – odpowiedziała głucho, co zdradzało przemęczenie. – Ach, tak.

Natychmiast otarła oczy i wyjęła telefon komórkowy. Pospieszenie wybrała numer. Mówiła szybko, ale wyraźnie. Zgłosiła także rozpoczęcie poszukiwań radiowozu policyjnego. W ciągu paru sekund zdruzgotana kobieta potrafiła się zdobyć na profesjonalną rzeczowość. To zrobiło wrażenie na Pullerze.

Zamknęła telefon.

– Ilu funkcjonariuszy masz do dyspozycji? – zapytał.

– To wiejski okręg, Puller. Dużo terenu, mało forsy. Cięcia budżetowe omal nas nie wykończyły, musieliśmy zredukować personel o jedną trzecią. Poza tym trzech moich ludzi będących w rezerwie zgłosiło się do służby w Afganistanie. Krótko mówiąc, łącznie dwudziestu jeden mundurowych zabezpiecza teren ponad tysiąca kilometrów kwadratowych. Do tego dwóch dochodzi jeszcze do siebie po wypadku samochodowym sprzed tygodnia.

– Więc razem masz dziewiętnastu ludzi. Łącznie z tobą?

– Łącznie ze mną.

– Ilu się teraz tu pojawi?

– Trzech. W dodatku nie tak szybko. Nie ma ich na razie nigdzie w pobliżu.

Puller spojrzał w stronę lasu.

– Więc może ty zostań i poczekaj na nich, a ja pójde sprawdzic, co widzialem w lesie.

– Dlaczego mam zostac? Jestem uzbrojona. Dwa pistolety to zawsze wiecej niz jeden.

– Jak chcesz.

Jeszcze raz popatrzył na las, rozmyślając nad taktyką. Sposób rozumowania miał tak wytrenowany, że układał plan wręcz automatycznie, bez zastanowienia.

– Byłaś kiedyś w wojsku? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Po czterech latach w policji stanowej wróciłam na stare śmieci. Dla ścisłości, cholernie dobrze strzelam. Na dowód mogę pokazać całą galerię medali i pucharów.

– W porządku, ale nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli to ja pokieruję tymi poszukiwaniami?

I ona popatrzyła na ciemną ścianę lasu, po czym obrzuciła spojrzeniem atletyczną sylwetkę mężczyzny.

– Może być.

10

Kiedy obejrzał się po kilku minutach, spostrzegł, że Sam Cole z trudem stara się za nim nadążyć w gęstych zaroślach. Zatrzymał się i podniósł rękę. W jednej chwili zastygła. Uważnie zlustrował przez gogle noktowizyjne teren przed sobą. Drzewa, krzaki, kopczyki sarnich odchodów. Nikt nie czyhał na ich życie.

Nadal nie ruszając się z miejsca, odtworzył w pamięci to, co widział z okna na skraju lasu. Na pewno była to sylwetka człowieka, nie zwierzęcia. Może nie miało to nic wspólnego z zabójstwami, choć rachunek prawdopodobieństwa podpowiadał coś innego.

– Puller?

Nie oglądając się, przywołał ją ruchem ręki. Po kilku sekundach przykucnęła obok niego.

– Dostrzegłeś cokolwiek przez to swoje fikuśne ustrojstwo?

– Tylko sarny i gęstwinę drzew.

– Nie słyszałam niczego podejrzanego.

Spojrzał na szarzące niebo.

– Kiedy tu przyjechałem, widziałem smugę światła z reflektora przeciwlotniczego. Kilka kilometrów na wschód od motelu.

– To pewnie z wyrobiska górniczego.

– Po co im reflektor?

– Chyba do naprowadzania lądujących helikopterów. Żeby pilot z daleka namierzył lądowisko.

– Jakież helikoptery lądują na terenie kopalni w środku nocy?

– Nikt im tego nie zabrania. Poza tym to nie jest kopalnia. Tutaj po prostu ścinają całe szczyty. Nie ryją korytarzy pod ziemią, tylko wysadzają kolejne wzgórza.

Puller bez przerwy lustrował teren przed sobą.

– Czy to ty zawiadomiłaś armię o zabójstwie Reynoldsów?

– Tak. On zginął w mundurze, więc to był nasz pierwszy trop. A gdy przeszukaliśmy samochód, znaleźliśmy jego przepustkę wojskową. – Urwała. – Jak rozumiem, byłeś w środku. Na pewno widziałeś, jak mało zostało z jego

twarzy.

- Miał teczkę albo laptopa?
- Jedno i drugie.
- Chcę je zobaczyć.
- Jasne.
- Mogą się w nich znajdować tajne materiały.
- Owszem.
- Są zabezpieczone?
- W naszym magazynie dowodów rzeczowych na tyłach posterunku.

Puller zamyślił się na chwilę.

– Chcę, żebyś sprawdziła, czy nikt nie próbuje uzyskać do nich dostępu. Reynolds służył w DIA, w kontrwywiadzie. Narobiłoby się sporo zamieszania, gdyby ktoś nieupoważniony uzyskał dostęp do tajnych materiałów. Na pewno wolałabyś uniknąć takich kłopotów.

- Rozumiem. Mogę to załatwić przez telefon.
- Dzięki. Wyczytałem w aktach, że pobrałaś odciski palców zabitego.
- I przesłałam je faksem do Pentagonu, pod numer, który mi podali. Macie już potwierdzenie jego tożsamości?
- Iloza technikami dochodzeniowymi dysponujesz?
- Tylko jednym, ale to solidny fachowiec.
- Ma uprawnienia do prowadzenia sekcji zwłok?
- Nie tylko z komendy w Charleston, ale jeszcze ze stanowego laboratorium medycznego.

Puller ani na chwilę nie przerywał lustrowania terenu w trakcie tej rozmowy. Ale wyglądało na to, że człowiek, którego widział, zniknął bez śladu.

- Dlaczego zostawiliście zwłoki na miejscu zbrodni?
- Z kilku powodów, ale głównie dlatego, że nie mamy stosownego miejsca, żeby je trzymać.
- A w szpitalu?
- Najbliższy jest dobrą godzinę drogi stąd.
- U miejscowego patologa?
- Chwilowo go nie mamy.
- Co to znaczy?

– Dotychczasowy patolog wyniósł się z miasta. Zresztą nawet nie był lekarzem, tylko sanitariuszem. Ale zgodnie z prawem to wystarczyło, żeby pełnił też funkcję koronera.

– Więc kto się teraz zajmuje badaniem ofiar?

– Staramy się znaleźć kogoś nowego. Posadę pewnie obejmie miejscowy lekarz rodzinny, który ma jakieś doświadczenie w patologii. A ilu techników dochodzeniowych przyjechało z tobą?

– Jeden, którego masz przed sobą.

– Technik i detektyw w jednej osobie? To dość niezwykle.

– Ja nazwałbym to sprytnym rozwiązaniem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że w ten sposób nic nie może zakłócić mojego spojrzenia na dowody rzeczowe. Poza tym zawsze mogę skorzystać z pomocy fachowców z wojskowego laboratorium kryminalistyki. Wracajmy do domu.

Minutę później stanęli przed czterema ciałami zabitych. Robiło się coraz jaśniej, lecz Cole mimo to zapaliła światło.

– Miejsce zbrodni zostało naruszone – rzekł Puller. – Zabójcy wrócili. Mogli ingerować w dowody rzeczowe.

– Równie dobrze mogli to zrobić wcześniej – odparła Cole.

– Nawet gdybyśmy znaleźli podejrzanego do postawienia przed sądem, jego adwokat mógłby obalić akt oskarżenia tylko na tej podstawie.

Nie odpowiedziała, ale po jej minie było widać, że świetnie zdaje sobie z tego sprawę.

– Więc co mamy z tym zrobić? – zapytała w końcu.

– Na razie nic. Nie zbadaliśmy jeszcze do końca miejsca zbrodni.

– Będziesz musiał to umieścić w raporcie?

Teraz to on nie odpowiedział. Rozejrzał się tylko i zapytał:

– Reynoldsowie tu nie mieszkali. Więc co tu robili?

– Dom należy do Richarda i Minnie Halversonów. To rodzice pani Reynolds. Przebywają w domu opieki. W każdym razie on. Pani Halverson mieszkała tutaj, ale niedawno miała wylew i leży teraz w specjalistycznym szpitalu niedaleko Pikeville. To nawet nie tak daleko, ale po naszych dziurawych drogach trzeba tam jechać dobre półtorej godziny.

– Przekonałem się o tym, jadąc tutaj.

– Wszystko wskazuje na to, że pani Reynolds zaglądała tu często, żeby zająć się najpilniejszymi rzeczami, zatroszczyć się o opiekę nad ojcem, przygotować dom na sprzedaż, załatwić matce miejsce w tym samym domu opieki, skoro nie mogła już mieszkać sama. Latem dzieci przyjeżdżały tu z nią. A pan Reynolds najwyraźniej dołączał do nich w trakcie weekendów.

– Skąd masz te wszystkie informacje?

– Z miejscowych źródeł, z domu opieki i szpitala. Także od ludzi patrolujących tę okolicę. Dodatkowo wczoraj rozmawialiśmy z niektórymi sąsiadami mieszkającymi przy tej ulicy.

– Dobra robota – przyznał Puller.

– Nie wróciłam, żeby odwalać główniane obowiązki.

– Zrozum, przyjechałem tutaj tylko dlatego, że jedna z ofiar nosiła wojskowy mundur. A mój przełożony powiedział, że chętnie zgodzicie się na współpracę w dochodzeniu.

– To robota mojego szefa.

– A co ty myślisz?

– Powiedzmy, że przysięgli jeszcze się naradzają.

– Mnie to wystarczy.

– Więc mówisz, że pracował w wojskowym kontrwywiadzie?

– Nie powiedzieli ci tego, kiedy przesyłałaś faksem materiały do naszej centrali?

– Nie. Potwierdzili tylko jego personalia. Zatem chodzi o kontrwywiad? Czyżby był szpiegiem? To dlatego musiał zginąć?

– Nie wiem. Szykował się do przejścia na emeryturę. Niewykluczone, że tylko przekładał papierki, a sektor prywatny wziął go na celownik wyłącznie z uwagi na orła w wieńcu laurowym, jakiego nosił na piersi. W pentagonie jest bez liku takich ludzi.

Puller wolał nie zdradzać, jakimi sprawami w centrali DIA zajmował się Reynolds. Ona nie miała uprawnień, by posiadać tego typu informacje, a on nie zamierzał zostać oskarżonym o ujawnianie tajnych danych.

– W takim razie to właściwie nie zmienia naszej sytuacji.

Wrodzona uczciwość wzięła górę.

– Być może wcale nie był zwykłym gryzipiórkim.

– Ale przecież sam powiedziałaś...

– Powiedziałem, że nie wiem. To nie jest pewne. A ja też dopiero wchodzę w to dochodzenie. O wielu sprawach jeszcze nie mam pojęcia.

– Rozumiem.

Puller pochylił się nad zwłokami.

– Tak je znaleźliście? Wszystkie ciała ułożone w rzędzie?

– Tak.

– Przyczyny śmierci rodziców są raczej oczywiste. A co z dziećmi? – zapytał, wskazując parę nastolatków.

Nie uzyskawszy odpowiedzi, Puller odwrócił się do niej.

Trzymała swoją cokrę w wyciągniętej ręce i mierzyła mu w głowę.

11

Coś powiedziałem nie tak? – zapytał cicho, wbijając wzrok w jej twarz, a nie w wylot lufy pistoletu.

Świetnie pamiętał, że gdy ma się przed sobą broń wymierzoną prosto w twarz, należy patrzeć przeciwnikowi w oczy, ponieważ tylko to może świadczyć o dobrych intencjach. Bo jej intencją było wpakować mu kulkę w łeb, jeśli udzieli błędnej odpowiedzi lub wykona niewłaściwy ruch.

– Chyba coś mi odbija z powodu braku snu – powiedziała.

– Nie rozumiem.

– Nie mam pojęcia, czy jesteś tym, za kogo się podajesz. Musiałam uwierzyć ci na słowo, że jesteś agentem CID. Nie udzieliłam ci zgody na wejście na miejsce zbrodni. Myślę, że równie dobrze ty mogłeś zabić Larry’ego Wellmana i wymyślić bajeczkę o podejrzanym hałasie w lesie. Może jesteś szpiegiem i zamierzasz wykraść coś z teczki zabitego?

– Przed domem stoi mój samochód, który ma wojskowe numery rejestracyjne.

– Może to wcale nie jest twój samochód? Może go ukradłeś?

– Mam przy sobie legitymację.

– To właśnie chciałam usłyszeć. – Zakołysała pistoletem na boki. – Pokaż mi ją, tylko naprawdę bardzo, bardzo powoli.

Zrobiła krok w tył. Puller zwrócił uwagę, że przyjęła klasyczną pozycję strzelecką Weavera, nazwaną od nazwiska okręgowego zastępcy szeryfa z Kalifornii, który stał się rewelacją zawodów strzeleckich pod koniec lat pięćdziesiątych. Stopy rozstawione na szerokość ramion, kolana zwrócone lekko ku sobie, stopa zakroczna kilkadziesiąt centymetrów z tyłu za wykroczną. W ten sposób łatwiej było opanować odrzut broni po oddaniu strzału. Doskonale widział, że zablokowała w łokciu prawą rękę, ale nie zrobiła tego samego z nadgarstkiem. Przez to mogła mieć kłopoty z precyzją strzału. Ale trzymała cobrę tak, jakby doskonale ją знаła. I choć jej postawa nie była doskonała, należało ją uznać za wystarczająco dobrą, żeby powalić go jednym strzałem z tej odległości.

Trzema palcami wyciągnął swoją legitymację z kieszonki na piersi.

– Rozłóż mi ją przed oczami – poleciła. – Najpierw odznakę, potem legitymację.

Tak też zrobił. Zapatrzyła się na jego zdjęcie, po czym spojrzała na niego. Opuściła broń.

– Przepraszam.

– Postąpiłbym tak samo.

Wsunęła cokrę do kabury.

– Ale ty także nie zapytałeś mnie o legitymację.

– Wezwałem cię tu przez telefon. Twoje nazwisko i numer telefonu znalazłem w oficjalnych aktach wojskowych. Armia nie popełnia błędów, zwłaszcza tak podstawowych. Widziałem, jak wysiadałaś z samochodu. Kiedy cię złapałem od tyłu i krzyknęłaś, rozpoznałem ten samo głos, który słyszałem przez telefon.

– Ale i tak cię zaskoczyłam – powiedziała.

– Może wcale nie tak bardzo, jak ci się zdaje.

Pokazał jej czarny nóż myśliwski, który trzymał w drugim ręku, ukryty za przedramieniem.

– Pewnie zdążyłabyś jeszcze odruchowo wystrzelić, może nawet oboje równocześnie padlibyśmy na ziemię. – Wsunął nóż do pochwy przy pasie. – Ale do niczego nie doszło.

– Nawet nie zauważyłam, kiedy wyciągnąłeś nóż.

– Zrobiłem to, zanim sięgnęłaś po pistolet.

– Dlaczego?

– Zauważyłem, jak mi się przyglądasz, jak zerkasz na swoją kaburę, a dopiero potem na zwłoki. Nietrudno się było domyślić, co kombinujesz.

– Więc dlaczego nie sięgnąłeś po swój pistolet?

– Sięgam po niego tylko wtedy, kiedy zamierzam go użyć. A nie chciałem dodatkowo pogarszać niezręcznej sytuacji. Wiedziałem, że kiedyś zapytasz o moją odznakę i legitymację. Trzymałem nóż w rezerwie na wypadek, gdybyś próbowała mnie zaskoczyć. – Popatrzył na ciała nastolatków. – Więc co z dziećmi?

Zbliżyła się o krok, wyjęła z kieszeni wiatrówki gumowe rękawiczki, nałożyła je, ostrożnie wsunęła dłoń pod głowę chłopca i uniosła ją, odchylając

około dziesięciu stopni w bok. Drugą ręką wskazała skórę u nasady szyi.

Puller skierował na to miejsce strumień światła latarki. Widniał tam rozległy fioletowy siniak.

– Ktoś roztrzaskał mu podstawę czaszki.

Ułożyła z powrotem głowę zabitego w pierwotnej pozycji.

– Przynajmniej na to wygląda.

– Tak samo została zamordowana dziewczyna?

– Tak.

– Sądząc po stanie zwłok, wszyscy zginęli ponad dwadzieścia cztery godziny temu, w przybliżeniu, ale nie dalej niż trzydzieści sześć godzin. Twój technik podał dokładny czas zgonu?

– Ocenił go na dwadzieścia dziewięć godzin, a więc prawie tak samo.

Puller spojrział na zegarek.

– Zatem zginęli w niedzielę wieczorem około północy?

– Zgadza się.

– A listonosz znalazł zwłoki w poniedziałek wczesnym popołudniem. Tak więc powinny już wtedy wystąpić początki stężenia pośmiertnego. Możesz potwierdzić ten fakt jako uzupełniający w celu określenia godziny napaści?

– Tak.

– Czy listonosz zauważył coś podejrzanego?

– Po tym, jak zwymiotował po raz czwarty na trawniku przed domem już po naszym przyjeździe? Niespecjalnie. Po zabójcach dawno nie było śladu.

– Ale wrócili wieczorem. I zabili policjanta. Zwróciły waszą uwagę jakieś szczególne rany lub obrażenia?

– Jak sam widzisz, nawet nie rozbieraliśmy zwłok, ale dokonaliśmy gruntownych oględzin i nie znaleźliśmy niczego niezwykłego. Tyle tylko, że otrzymali ciosy wystarczająco silne, by przerwać rdzenie kręgowy.

– Tak, to jasne. – Rozejrzał się po pokoju. – Nie wątpię, że była to robota fachowca. Cios musiał być precyzyjny, inaczej ofiara zostałaby tylko ogłuszona.

– Mamy do czynienia z zawodowcami.

Puller pomyślał: albo żołnierzami. A jeśli to zemsta jednego wojskowego na drugim?

– Na pewno nie chodzi o dzieło przypadku – odparł, spoglądając na

dziewczynę. – Trudno dwukrotnie mieć takie samo szczęście. Jednak ofiary nie zginęły tutaj, dotyczy to przynajmniej pułkownika i jego żony.

Cole cofnęła się na krok od kanapy i spojrzała na dywan.

– Zgadza się, świadczą o tym ślady krwi. Tutaj ich brak. W piwnicy jest ich mnóstwo.

– Zwróciłem na to uwagę, gdy byłem na dole.

– Skoro o tym mowa, powinnam pójść i obejrzeć Larry’ego.

Puller odniósł wrażenie, że głos jej się załamał, choć próbowała to powiedzieć obojętnym tonem.

– Możesz mi wcześniej wyświadczyć przysługę?

– Jaką?

– Zadzwoń na posterunek i poproś o specjalne zabezpieczenie teczki i laptopa pułkownika.

Zrobiła jak prosił. Gdy tylko schowała telefon, powiedział:

– Chodź za mną.

Zeszła za nim po schodach do piwnicy. Zaprowadził ją na miejsce śmierci policjanta, który wisiał jeszcze niżej, jego czarne buty prawie dotykały betonu.

Obserwował ją, gdy przyglądała się martwemu koledze. Tym razem obyło się bez łez. Tylko raz krótko skinęła głową. Jakby usiłowała się pogodzić z tym, co widzi. Pewnie była zmieszana, że wcześniej okazała przed nim swoje uczucia. A potem głos jej się załamał. Nie powinna się tego wstydzić. On wielokrotnie był świadkiem śmierci przyjaciół. Wiedział, że to nigdy nie przychodzi łatwo. Z czasem staje się nawet trudniejsze. Każdy myśli, że już się uodpornił, ale to tylko złudzenie. Dziura w umyśle człowieka staje się tym głębsza, im więcej gówna w nią wpada.

Cofnęła się.

– Dopadnę tego, kto to zrobił.

– Szczytny zamiar.

– Możemy go odciąć? Nie chcę, żeby tak wisiał, jak zarżnięty beapanski pies.

Puller przyjrzał się mocowaniu liny na karku wisielca.

– Możemy przeciąć pasek powyżej węzła zaciskającego stryczek, żeby niczego nie naruszyć. Tylko zaczekaj chwilę.

Obrócił się na pięcie, pobiegł do swego samochodu i chwycił plecak z bagażnika.

Zbiegł z powrotem na dół, wyjął arkusz grubej folii i składaną drabinkę.

– Musimy go zawinąć w folię, żeby zabezpieczyć wszelkie ślady na jego ciele. Ja go przytrzymam, a ty wejdiesz po drabince i odetniesz pasek. Tylko pamiętaj, żeby ciąć powyżej węzła. Zaraz dam ci nóż.

Uczynili to bez kłopotów i po chwili owinięty folią trup spoczął w ramionach Pullera. Ułożył go ostrożnie na wznak na podłodze i popatrzył na schodzącą z drabinki Cole.

– Zapal tamto światło – rzekł, wskazując wyłącznik na przeciwległej ścianie.

Kiedy zrobiło się jasno, obejrzał szyję Wellmana.

– Zmiażdżona krtań i kręgi szyjne. Pewnie została też uszkodzona kość gnykowa. Sekcja to potwierdzi. – Wskazał kilka sinych miejsc pod skórą szyi. – Popękane naczynia krwionośne dowodzą, że był żywy, gdy go wieszali.

Ostrożnie przekręcił zwłoki policjanta na bok, żeby obejrzyć jego ręce skrępowane za plecami.

– Poszukaj świeżych ran i sprawdź, czy ma coś za paznokciami. Jeśli dopisze nam szczęście, zyskamy próbkę do analizy DNA.

Cole wzięła od niego mocniejszą latarkę, żeby to zrobić.

– Nic tu nie widzę – rzekła po chwili. – Co wydaje mi się niezrozumiałe. Larry powinien się bronić. Chyba że zabójca później umył mu ręce.

– Spójrz, to wszystko tłumaczy. – Wskazał posklejane krwią włosy mężczyzny. – Najpierw go ogłuszyli, dopiero później powiesili.

Wyjął z plecaka termometr lekarski, przytknął go do czoła Wellmana i popatrzył na odczyt.

– Niecałe pięć stopni poniżej normy – rzekł. Szybko wykonał w pamięci obliczenia. – Nie żyje mniej więcej od trzech godzin. Zatem zginął o wpół do trzeciej.

Usłyszeli zajeżdżające przed dom samochody.

– Dotarła wreszcie kawaleria – mruknął Puller.

Cole popatrzyła na zabitego kolegę.

– Wygląda na to, że znasz się na rzeczy – powiedziała cicho, wpatrując się w trupa.

– Służę pomocą, jeśli zechcecie. Decyzja należy do was.

– Owszem, przyjmę twoją pomoc.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia z piwnicy.

– Wiem, że już zbadaliście miejsce zbrodni, ale chciałbym to zrobić jeszcze raz – rzucił za nią, a po chwili dodał: – Nie zamierzam nadepnąć nikomu na odcisk, ale i ja muszę złożyć raport. Moi przełożeni oczekują, że poprowadzę dochodzenie pod specyficznym kątem.

– Nie dbam o to, jeśli tylko w ten sposób dopadniemy sukinsyna, który to zrobił.

Pobiegła schodami na górę.

Puller spojrzął jeszcze raz na zabitego policjanta, a następnie na podłogę pod przeciwległą ścianą, gdzie ślady krwi na betonie znaczyły miejsce śmierci małżeństwa Reynoldsów.

Nawet nie śmierci, a egzekucji, skorygował się w myślach.

Dla niego kulka w głowę, dla niej w serce. Zaciekała go przyczyna tej różnicy. A potem dzieci, zabite nawet bez strzału. Zwykle w masowym zabójstwie wszystkie ofiary ginęły w ten sam sposób. Zmiana broni zabierała cenny czas. A przeniesienie zwłok po zabójstwie było dodatkowym marnotrawstwem czasu. Czyżby mordercy wcale nie musieli się spieszyć?

Popatrzył znowu na ciało Wellmana na podłodze.

Wszystkie morderstwa łączył wspólny efekt, ofiara ginęła w wyniku jakichś gwałtownych działań. Poza tym wszelkie szczegóły różniły się od siebie.

A rozwiązywanie zagadki przypominało leczenie raka. To, co sprawdzało się w jednym wypadku, bardzo rzadko dawało efekt w innym. Każda sprawa wymagała indywidualnego podejścia.

Ruszył na górę śladem Cole.

12

Trzech gliniarzy z komendy okręgu Drake stało rzędem, spoglądając na zabitego kolegę. Puller miał okazję im się przyjrzeć. Wszyscy mieli około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, dwaj byli szczupli, jeden grubszy. I młodzi, najstarszy był zaledwie po trzydziestce. Zwrócił uwagę, że jeden ma na rękę wytatuowaną kotwicę.

– Marynarka? – zapytał.

Tamten skinął głową, na sekundę odrywając wzrok od Wellmana.

Puller wiedział, że takie tatuaże ludzie robili sobie już po zakończeniu służby. W trakcie jej trwania było to zabronione.

– Jesteś wojskowym? – zapytał po chwili ten z kotwicą.

– Tak, jestem oficerem dochodzeniowym z siedemset pierwszej jednostki z Quantico.

– To tam szkolą się marines, prawda? – zaciekawiał się grubszy.

– Zgadza się – odparł Puller.

– Mój kuzyn służy w komandosach – powiedział grubszy. – Mówi, że w każdej walce zawsze są na pierwszej linii.

– Na Bliskim Wschodzie marines wielokrotnie ratowali mi tyłek.

Do piwnicy zeszła Cole.

– Pewien górnik w drodze do pracy natknął się na radiowóz Larry’ego około trzech kilometrów stąd, na dnie wąwozu, i zadzwonił na policję. Nasz technik już tam pojechał, żeby zabezpieczyć ślady.

Puller przytaknął ruchem głowy.

– Czy potem mógłby zajrzeć tutaj? Muszę z nim porozmawiać.

– Dam mu znać. – Odwróciła się do swoich ludzi. – Biorąc pod uwagę, co spotkało Larry’ego, będziemy potrzebować dwóch funkcjonariuszy, aby czuwali tu w dzień i w nocy.

– Kto wtedy będzie miał służbę patrolową, sierżancie? I tak brakuje nam ludzi – odezwał się ten z kotwicą.

Wskazała na zwłoki Wellmana.

- Może Larry myślał podobnie i sami widzicie, jak to się skończyło.
- Tak jest, sierżancie.
- Dwayne, jedź nad wąwóz i zajmij się wozem Larry’ego.
- Tak jest – odparł tamten.

Puller popatrzył na dwóch pozostałych gliniarzy, obserwując ich reakcje na rozkazy przełożonej. Jeśli Wirginię Zachodnią można było porównywać z armią, to mimo dwudziestego pierwszego wieku kobiety wciąż miały trudności w służbie. I już na pierwszy rzut oka się domyślił, że w tym górzystym stanie kobietom ani trochę nie było łatwiej niż w wojsku.

- Agent specjalny Puller będzie nam pomagał w dochodzeniu – wyjaśniła.

Wszyscy trzej popatrzyli na niego z zaciśniętymi ustami. Wcale się im nie dziwił. Na ich miejscu także nie byłby specjalnie zachwycony.

Nie odezwał się, bo nie chciał przytaczać banałów w rodzaju tego, że wszystkim zależy na tym samym, sprawiedliwości. Dlatego postanowił milczeć. Musiał zachowywać się uprzejmie i profesjonalnie, bo prawda była taka, że nie miał żadnej władzy nad tymi ludźmi. Tylko Cole mogła utrzymać ich w ryzach.

– Gdzie jest raport z oględzin miejsca zbrodni? – zapytał panią sierżant, która właśnie zapinała wiatrówkę na suwak, jakby nie chciała, żeby jej ludzie widzieli, że pod spodem ma tylko koszulkę.

- W moim samochodzie.

Przyniosła mu raport, na którym od razu dopisał swoje nazwisko wraz z datą i godziną wejścia do domu. Popatrzył na inne nazwiska figurujące w spisie. Trzech policjantów i jeden technik. Następnie sanitariusz, który bez wahania potwierdził zgon czterech zastanych tutaj ofiar napadu.

Odczekał, aż Cole wyjaśni Dwayne’owi, gdzie znaleziono radiowóz Wellmana.

– Nie pojawili się jeszcze dziennikarze? – zapytał, gdy wyszli razem na werandę. Wstawał dzień, zrobiło się wystarczająco jasno, by mógł dostrzec głębokie cienie pod jej oczami. Wytrząsnęła papierosa z pudełka i zapaliła. Oślonił dłonią usta i dodał półgłosem, żeby nie słyszeli dwaj gliniarze pozostali w domu: – Tam, z boku domu, możemy zorganizować kącik socjalnych, bo dokładne oględziny miejsca zbrodni na pewno trochę potrważą. Będziecie mieli gdzie zapalić, zjeść lunch, gromadzić śmieci. Przydałaby się też przenośna ubikacja.

- W środku są dwie łazienki.

– Nie ingerujmy na razie w miejsce zbrodni. Lepiej nie odkręcać kranów, nie korzystać z toalety, nie jeść, nie pić i nie palić, a nawet żuć tytoniu. Jeśli dodatkowo zanieczyścimy pomieszczenia, przysporzymy sobie tylko dodatkowych kłopotów.

Odłożyła papierosa i skrzyżowała ręce na piersiach.

– W porządku – mruknęła niechętnie.

– Więc co z dziennikarzami? – powtórzył.

– Ukazuje się tu tylko jeden tygodnik. Najbliższe redakcje telewizyjne i radiowe są dość daleko stąd. Pewnie dlatego nie pojawił się tu jeszcze żaden dziennikarz. A ja nie zamierzam organizować konferencji prasowej, gdyby cię to interesowało. Niełatwo się tu dostać. Człowiekowi musi naprawdę zależeć, żeby dotrzeć do Drake. A w dzisiejszych czasach dziennikarzom chyba coraz mniej na czymkolwiek zależy.

– To dobrze. – Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– O co chodzi? – zapytała, wyraźnie speszona.

– Jesteś powiązana z niejakim Randym Cole'em?

– To mój młodszy brat. Czemu pytasz?

– Natknąłem się wcześniej na niego.

– Natknąłeś się na niego? Gdzie? – zapytała ostro.

– Tam, gdzie się zatrzymałem.

Zrobiła obojętną minę, ale widać było, że tylko teatralna maska.

– W jakim był stanie?

– Co masz na myśli?

– Czy był tylko wstawiony, czy całkiem pijany?

– Był trzeźwy.

– Niemożliwe.

– Ale powiedział, że bardzo boli go głowa.

– Nic nowego – mruknęła z niechęcią. – Tak samo boli go już od roku czy nawet dłużej.

– Poradziłem mu, żeby poszedł do lekarza.

– Mówiłam mu to samo, co nie oznacza, że to zrobi. Prawdę mówiąc, oznacza to raczej, że tego nie zrobi.

– Chcę wziąć swój sprzęt i zabrać się do pracy.

– Pomóc ci?

– Ty dowodzisz. Więc chyba nie zamierzasz służyć za tragarza, co nie?

– Tutaj żadna praca nie hańbi. Wszyscy tak samo bierzemy się do roboty. A nawet, gdyby było inaczej, to śmierć Larry’ego sporo zmieniła. Przynajmniej dla mnie. Jeszcze nigdy nie straciłam człowieka na swojej zmianie. Dopiero teraz. Zatem to zmienia wszystko – powtórzyła.

– Potrafię to zrozumieć. Dam ci znać, jeśli będę potrzebował pomocy.

– Ty straciłeś dużo swoich ludzi na Bliskim Wschodzie?

– Jednego, to znaczy o jednego za dużo – odparł.

13

Zaczął od naszkicowania rozkładu pomieszczeń na parterze i w piwnicy budynku. Uzupełnił rysunki na luźnych, wpinanych do skoroszytu kartkach notatnika o swoje nazwisko, stopień służbowy, datę oraz warunki atmosferyczne i oświetleniowe z każdej strony domu, wzbogacone o kierunki świata. Dokonał pobieżnych pomiarów odległości od ważnych punktów orientacyjnych, w stosunku do których rozmieścił meble w poszczególnych pokojach.

Cole, która przyglądała się uważnie, gdy kończył rysować, zapytała:

- Nauczyłeś się tego w wojsku?
- Wojsko nauczyło mnie wielu pożytecznych rzeczy.
- Jak sądzisz, po co tu wrócili?
- Żeby coś zabrać. Albo coś zostawić. Jeszcze nie zdecydowałem, która z tych opcji wygrała.

Cole westchnęła głośno, z frustracją.

- Nigdy nie myślałam, że coś takiego może się tu zdarzyć. Mówię o powrocie bandytów na miejsce zbrodni i zabiciu gliniarza pilnującego domu.

Odłożył szkicownik i wyjął z plecaka 35-milimetrową kamerę, statyw oraz flesz z kablem podłączeniowym. Do kieszonki przy pasie wsunął sobie również coś, co wyglądało jak klasyczna latarka.

- Mój człowiek już robił zdjęcia – zauważyła Cole.
- Zawsze wolę mieć własne. Poza tym są procedury, których musimy się trzymać, jak już powiedziałem.
- Rozumiem. Ale nasz fotograf jest całkiem niezły i będziesz miał dostęp do wszystkiego, co nam dostarczy.
- Doceniam to. Nawiasem mówiąc, gdzie on się podziewa? Zrobienie zdjęć zgruchotanego radiowozu nie powinno mu zabrać aż tyle.

Cole podeszła do okna.

- O wilku mowa – mruknęła.
- Landry Monroe – rzucił Puller.
- Znasz go?

- Nie, zapamiętałem nazwisko z raportu.
- Nazywamy go Lan.
- Opowiedz mi o nim coś więcej.
- Dwadzieścia cztery lata. Absolwent uniwersytetu stanowego. Certyfikat służb dochodzeniowych w zakresie obróbki materiału dowodowego. Przez dwa lata pracował w wywiadzie.
- I tam uzyskał ten certyfikat?
- Prowadzi własny program z puli stanowej.
- Rozumiem.
- Ale to cholernie dobry program, Puller.
- Nie powiedziałem, że nie jest dobry.
- Jednak łatwo to wyczytać z twojej miny.
- Jaki przyświeca ci cel?
- Słucham?
- Co jest twoim celem?
- Schwytywanie sprawcy tych zabójstw – odparła ponuro.
- Ja mam identyczny cel. Jeśli będziemy pracować razem i szanować wzajemnie swoje kodeksy postępowania, będzie to wyglądało dużo lepiej, a ludzie zaczną się wykazywać odpowiedzialnością.

Przez kilka długich, niezręcznych chwil patrzyli sobie w oczy.

Wreszcie Cole odwróciła się, podeszła do drzwi i zawołała do człowieka, który stał pochylony nad otwartym bagażnikiem:

– Lan, zbieraj swoje rzeczy i chodź tutaj. Jest tu ktoś, kto nie może się doczekać, żeby z tobą pracować. – Odwróciła się do Pullera i wymierzyła w niego palec wskazujący. – Ustalmy jedną rzecz. To jeszcze dzieciak. Można go trochę polechtać, powiedzieć parę słów, dzięki którym poczuje się lepiej, ale nie waz się podważać jego kompetencji. Ty po wszystkim wyjedziesz z Wirginii Zachodniej, ale ja tu zostanę. Będę musiała dalej z nim pracować, a nie mam nikogo innego. Jasne?

Skinął głową.

– Rozumiem.

Minęło jeszcze pół minuty, zanim do środka wkroczył Lan Monroe objuczony torbami i plecakami. Był czarny i miał na sobie zielony mundur polowy. Stał w drzwiach, po czym rzucił swoje rzeczy na podłogę, żeby

założyć ochraniacze na buty i gumowe rękawiczki. Następnie podpisał się w odpowiedniej rubryce dziennego raportu, który podsunął mu jeden z funkcjonariuszy, dopiero wtedy wszedł dalej.

Był niewiele wyższy od Cole, wąski w ramionach, z nisko zawieszonym środkiem ciężkości gdzieś między brzuchem, biodrami i pośladkami. Stąpał na krótkich, grubych nogach. Głowę miał ogoloną na gładko i nosił okulary w drucianej oprawie, które zsunęły mu się do połowy długości nosa.

– Lan, przedstawiam ci agenta specjalnego CID, Johna Pullera – powiedziała Cole.

Monroe uśmiechnął się nieśmiało, zadarł wzrok na Pullera wyższego prawie o trzydzieści centymetrów i wyciągnął rękę na przywitanie. Uścisnęli sobie dłonie.

– Miło mi pana poznać, agencie specjalny.

– Wystarczy Puller. – Spojrzał na torby i plecaki. – To twój sprzęt?

– Tak.

– Zebrałeś ślady z samochodu Larry’ego? – zapytała pośpiesznie Cole.

Monroe przytaknął ruchem głowy.

– Wstępne analizy nie przyniosły żadnych rezultatów. W środku nie było śladów krwi. Musiałem go po prostu odholować na parking komendy. Tam wykonam dokładniejsze badania.

– Sierżant Cole powiedziała, że na pewno zrobiłeś mnóstwo zdjęć – wtrącił Puller. – Moglibyśmy je obejrzeć?

– To prawda. Mam teraz dobrego kumpla, tysiąc cztery.

Kiedy pochylił się nad jedną z toreb, Puller zerknął na Cole, unosząc brwi. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się krzywo.

Monroe wysupłał z torby wielki cyfrowy aparat, włączył go i wyciągnął w stronę Pullera, obracając odchylanym ekranem w jego kierunku.

– Lustrzanka z trzydziestoma pięcioma milionami pikseli? – zapytał ten, zdumiony.

– Zgadza się. Właśnie na takim uczyli nas pracować na kursie. Wystarczy zrobić trzy ujęcia, jedno z pobliskimi obiektami w tle, drugie z linijką, a trzecie w zbliżeniu.

– Świetnie. Jakie stosowałeś ustawienia przysłony i migawki?

Cole obrzuciła go piorunującym spojrzeniem, które zlekceważył.

Monroe jakby nie zwrócił na to uwagi. Odparł poważnie:

– Przysłone szesnastkę, zapewniającą głębię ostrości od trzech metrów do nieskończoności, i dwudziestkę ósemkę do zbliżeń.

Puller z uznaniem pokiwał głową.

– A pod jakim kątem robiłeś zdjęcia?

– Wszystkie na poziomie oczu.

– Da się z nich zrobić trzystusześćdziesięciostopniową panoramę?

Monroe skrzywił się nagle, pokręcił głową i z niepewną miną odparł:

– No, nie... chyba nie.

Puller zerknął na Cole, która z rękoma na biodrach i wydętymi wargami wpatrywała się w niego wyzywająco. Przemknęło mu przez myśl, że pewnie chciałaby znowu sięgnąć po swoją cobrę.

– Nie ma sprawy – rzekł. – Wystarczą mi wojskowe zdjęcia satelitarne. Posłuchaj Lan, potrzebny mi doświadczony technik do utrwalenia tego miejsca zbrodni. A widzę, że świetnie umiesz się posługiwać tym aparatem.

– Jasne – mruknął Monroe, błyskawicznie odzyskując dobry nastrój. – Zrobię to z przyjemnością. – Wskazał na statyw i resztę sprzętu, jaki Puller zdążył wyciągnąć z plecaka. – To ma podłączenie do flesza? – zapytał.

Ten skinął głową.

– Wykorzystamy go do fotografowania odcisków palców, odcisków bieżników opon i wszelkich znaków na narzędziach. Podłączymy flesz do gniazdka synchronizującego.

– Z jakiej odległości nakazują wam w wojsku robić takie makrozdjęcia? – zapytał Monroe z ciekawością.

– Mniej więcej z odległości metra. I pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Po dwa ujęcia z każdej z czterech stron.

– Co to za heca z tymi makrozdjęciami? – zapytała Cole.

Puller odparł spokojnie:

– Pozwalają uniknąć refleksów świetlnych. Za to powodują przeświecenie górnych partii zdjęć.

– Super – dodał Monroe.

Puller wskazał czwórkę zabitych Reynoldsów.

– Zwłoki nie były stąd ruszane, dlatego należy je prawidłowo sfotografować w odpowiednim świetle. Ze wszystkich czterech stron, w tym także od tyłu. Po

pięć ujęć każdej twarzy, wszystkich ran i innych urazów. Z linijką i bez niej, z przybliżeniami pośmiertnych przebarwień i plamkami od prochu strzelniczego wokół śladów po kulach. Masz kamerę?

Monroe skinął głową.

– Do tego całą scenę trzeba nagrać na wideo – dodał Puller – ale nie koncentrować się na ujęciach szczegółów. Adwokat obrony natychmiast złoży wniosek o odrzucenie takich zbliżeń.

– Miałeś już do czynienia z takim przypadkiem? – zaciekała się Cole.

– Wszyscy się z tym zetknęli – rzekł.

Podszedł do statywu, żeby go rozstawić i przystąpić do fotografowania zwłok, kiedy nagle znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w dywan. Ukląkł i zaczął mu się przyglądać z boku.

– Co wy tu widzicie? – zapytał.

Monroe i Cole pochylili się nad nim. Technik też ukląknął i popatrzył pod innym kątem.

– Trudno powiedzieć – rzekł. – Coś tu się odcisnęło.

– Na to wygląda. Trzy zagłębienia, półkolisty, w układzie trójkąta... – Puller podniósł swój statyw, ustawił go kilkadziesiąt centymetrów od wgłębień, a po chwili podniósł. – Co widzicie?

Monroe przyjrzał się śladom. Cole także. Oboje przez chwilę spoglądali to na starsze ślady, to znów na nowe. Zagłębienia były niemal identyczne.

– A więc rozstawił statyw – powiedziała Cole. – Tylko po co?

Puller przeniósł spojrzenie z zagłębień w dywanie na cztery ciała leżące w równym szeregu na kanapie.

– Ułożyli zwłoki w rzędzie. Tutaj rozstawili statyw i zamontowali na nim kamerę.

– Filmowali Reynoldsów? – zdziwiła się Cole.

Puller spojrzął pod kątem na tę scenę.

– Nie. Rejestrowali ich przesłuchanie.

14

Po kilku godzinach zakończyli fotografowanie czterech ciał oraz szczegółowe oględziny miejsca zbrodni. Puller z Monroe ułożyli zwłoki obok siebie na białych arkuszach plastiku rozciągniętego na podłodze. Ciało Larry'ego Wellmana wcześniej przeniesiono z piwnicy i leżało teraz w zapiętym na suwak plastikowym worku w jadalni. Na ciałach żadnej z pięciu ofiar nie odnaleźli śladów walki, co oznaczało, że wszyscy zostali zaskoczeni i nawet nie próbowali się bronić.

Puller nagrał swoje uwagi na dyktafonie i wykorzystał urządzenie schowane wcześniej w kieszonce przy pasie do sporządzenia wstępnego planu śledztwa. Podekscytowany Monroe zaciekał się, co to za niezwykły sprzęt.

– W wojsku nazwali go CSED, czyli skanerem badania miejsca zbrodni. To skrzyżowanie czytnika kodów kreskowych z minikomputerem, programatorem naklejek i drukarką termiczną. Ma wyjście USB, więc mogę przenosić dane do swojego laptopa albo z niego. Tak samo da się podłączyć dyktafon. Do tego mam program automatycznej transkrypcji zapisów dźwiękowych na tekst, więc mogę od razu drukować swoje nagrane spostrzeżenia. To mi ułatwia życie, bo słabo piszę na klawiaturze.

– Fantastyczny zestaw – przyznał Monroe.

– Nie podniecaj się za bardzo, Lan – ostudziła go Cole. – Wątpię, byśmy znaleźli w budżecie środki na zakup czegoś takiego.

Puller obejrzał się na nią.

– Opowiedz mi o psie, który był w tym domu.

– To owczarek collie. Mój kolega się nim zajął. Po znajomości.

– Rozumiem, ale chciałbym wiedzieć, czy nikt z sąsiadów nie słyszał szczekania.

– Ten pies nie potrafi szczekać – wyjaśniła Samantha. – To pewnie zasadniczy powód, dla którego bandyci zostawili go przy życiu.

– Nie potrafi szczekać?

– No cóż, na nas nie zaszczekał ani razu. Pewnie przeszedł jakiś zabieg. Czasami psy po operacji tracą zdolność szczekania. Przynajmniej tak twierdzi

zaprzyjaźniony weterynarz, którego o to pytałam. – Popatrzyła na ułożone rzędem zwłoki i zapytała: – Powiedziałeś, że byli przesłuchiwanii, ale nie wyjaśniłeś, co przez to rozumiesz. Na pewno nikt ich nie przesłuchiwał po tym, jak zginęli. Czemu więc zabójcy ułożyli zwłoki rzędem na kanapie?

– Myślę, że ktoś chciał dostać zapis ich przesłuchania. I chciał też przekonać się na własne oczy, że cała rodzina zginęła.

– Sądzisz więc, że to nagranie zrobiono na czyjeś polecenie?

– Tak uważam.

Cole w zamyśleniu pokiwała głową.

– Więc gdyby ten zapis wideo wpadł nam w ręce, moglibyśmy uzyskać jakieś wskazówki. Gdyby, dajmy na to, jeden z zabójców przypadkowo pojawił się w kadrze, czy coś w tym rodzaju. Albo nagrałoby się odbicie bandyty w jakiejś szklanej powierzchni.

– Masz rację. Ale szanse na dotarcie do tego nagrania są niemal takie same jak na schwytanie sprawców. Takich rzeczy nie gubi się przypadkiem.

– Cóż, miejmy nadzieję, że zabójcy okażą się lekkomyślni.

– Na razie musimy jak najszybciej przewieźć zwłoki do chłodni i zająć się śladami z miejsca zbrodni – powiedział Puller, spoglądając na zaczynające się rozkładać ciała. – Na pewnym etapie należy też zacząć wydzielać dowody rzeczowe nadające się do przedstawienia przed sądem. Jak w tym kontekście wygląda raport twojego przyjaciela lekarza?

– Obiecał przedstawić konkretne ustalenia dziś po południu.

Puller klęknął przy zwłokach Matta Reynoldsa.

– Został zabity strzałem w twarz, z odległości nie większej niż trzy metry, sądząc po rozrzucie śrucin i głębokości ran. Jeśli strzelba, z której padł strzał, miała opiłowaną muszkę, przysporzy nam to kłopotów w analizie. – Wskazał na widoczne strzępki włókniny. – Lan, brałeś próbki tej substancji?

– Tak. Nie zrobiłem jeszcze badań, ale mam nadzieję, że porównując średnicę kul z wielkością ran zabitych od razu poznamy odpowiedź.

Puller odwrócił się do zwłok pani Reynolds.

– Zmierzyłem rozrzut śrucin, który w połączeniu z brakiem głównej centralnej rany postrzałowej świadczy wyraźnie, że kobieta została zastrzelona z odległości większej niż trzy metry.

– Ale w piwnicy? – zagadnęła klęcząca obok niego Cole.

– Prawdopodobnie tak. Potwierdzą to wyniki badań serologicznych – odparł.

– Tylko dlaczego w piwnicy? – zdziwiła się policjantka.

– Żeby narobić mniej hałasu – powiedział. – Ale i tak powinni napotkać trudności.

– Jakie?

– Huk wystrzału z obrzyna nawet w zamkniętej piwnicy przyciąga uwagę. Poza tym trzeba mieć na względzie resztę zakładników. Jeśli usłyszą wystrzał, wpadną w panikę, zaczną krzyczeć, spróbują uciec, zdając sobie sprawę, że są następni w kolejce.

Monroe pstryknął palcami, otworzył blaszaną skrzynkę na zebrane materiały i wyjął z niej kilka dowodów rzeczowych w opisanych zamkniętych woreczkach foliowych.

– A ja się zastanawiałem, skąd to się wzięło na miejscu zbrodni. To, co właśnie usłyszałem, wiele wyjaśnia.

Zaczął przerzucać woreczki i wybrał jeden z nich.

– Co to jest? – zaciekawił się Puller.

– Ten zbitek szarej włókniny wyciągnąłem z lewego ucha dziewczyny. Biała pochodzi z ust chłopaka. Podobną znalazłem przyklejoną do zęba trzonowego pani Reynolds.

Cole popatrzyła na niego ponad ramieniem Pullera.

– Znalazłeś tę białą włókninę w ustach? – zapytała. – Czyżby to pozostałości knebla?

– A ta szara była w uchu? – dołączyła się Cole.

– Moim zdaniem to resztki osłony wkładki do ucha – powiedział Monroe. – Mniej więcej takiej, jakie stosuje się na słuchawkach do iPodów lub odtwarzaczy mp3.

– To by znaczyło, że puszczali im ogłuszającą muzykę, strzelając do innych domowników – rzekł Puller. – Żeby nie słyszeli huków wystrzałów.

– To brutalny sposób – dodał Monroe.

– Ale nie wyjaśnia użycia strzelby – ciągnął Puller. – Jeśli domownicy nic nie słyszeli, coś mogli słyszeć sąsiedzi.

Cole wstała, podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Po chwili odwróciła się na pięcie.

– Powiedziałeś, że huk wystrzałów musiał być głośny?

Puller pomógł Monroe zawiesić ostatnią torbę na ramieniu, odwrócił się do

niej i rzekł:

– No, tak, zgadza się.

– Kopalnia Trenta. Możliwe, że w sobotę wieczorem wysadzali skały. Prowadzą prace zaledwie kilka kilometrów stąd.

15

Puller wpatrywał się w Cole.

– Jasne, tylko czy wybuchy słycać tutaj wystarczająco wyraźnie, żeby zagłuszyły sąsiadom wystrzał z obrzyna?

– Wydaje mi się, że tak, jeśli rzeczywiście strzelano w piwnicy. Czasami wybuchy są tak głośne, że podrywają człowieka z łóżka.

– Podejrzewasz, że mogli w kopalni odpalać ładunki. Nie wiesz tego na pewno?

– Nie, mieszkam dość daleko stąd. Ale w tej okolicy powinny być słyszalne eksplozje ładunków z kopalni Trenta. W pobliżu nie ma żadnej innej.

– Chwileczkę – odezwał się w zamyśleniu Monroe. – Do późnego wieczora byłem ze swoją dziewczyną. Jakies trzy kilometry stąd, tyle że w przeciwnym kierunku. Pamiętam jednak, że słycałem wybuchy.

– Pamiętasz, która to mogła być godzina? – zapytał Puller.

Technik zamyślił się na chwilę.

– Powiedziałbym, że między dwunastą a pierwszą w nocy.

– To by się zgadzało ze stanem rozkładu zwłok – przyznał Puller. – Ale dokładniejsze określenie czasu bardzo by nam pomogło w dalszym śledztwie.

– Pomogłoby w ustaleniu alibi bądź jego braku – dodała Cole, a Monroe przytaknął ruchem głowy.

– Poza tym musielibyśmy znaleźć wyjaśnienie, dlaczego zabili z obrzyna rodziców, a dzieci nie – dodał Puller. – Albo dlaczego nie zastrzelili wszystkich domowników, skoro nie musieli się przejmować, że ktoś usłyszy strzały?

Ani Cole, ani Monroe nie znali odpowiedzi na te pytania.

Puller spojrział na technika.

– Domyślam się, że masz już niezbędne do wyeliminowania podejrzanych odciski palców ofiar oraz rodziców pani Reynolds?

– Tak, mam. Zdejmowałem je dzisiaj rano, zanim musiałem wyjechać, żeby zabezpieczyć ślady w samochodzie.

– Ale mam nadzieję, że nikomu nie mówiłeś, co się stało, prawda? – zapytała szybko Cole.

– No cóż, kobieta jest po wylewie, kiedy zdejmowałem jej odciski, wciąż była nieprzytomna, więc nie musiałem niczego tłumaczyć. A dziadek to odzyskiwał świadomość, to ją tracił, toteż i z nim urządziłem podobną zabawę i nie musiałem niczego wyjaśniać.

– Starcza demencja? – zapytał Puller, na co Cole skinęła głową. – Miewa jakieś dłuższe przebłyski świadomości?

– Wydaje mi się, że tak, przynajmniej od czasu do czasu. Sądzisz, że mógłby się nam do czegoś przydać?

Wzruszył ramionami.

– Cóż, jeśli tych ludzi zabił ktoś tutejszy, pewnie mógłby coś wiedzieć. Widzę następujące możliwości. Po pierwsze, wszyscy zginęli z powodu zadań wykonywanych przez pułkownika Reynoldsa w wojskowym kontrwywiadzie. Po drugie, mogło to mieć coś wspólnego z panią Reynolds. Po trzecie, z zachowaniem dzieci. Po czwarte, z rodzicami pani Reynolds. Po piąte, wynikało z nieznanym nam dotąd przyczyn.

– To mógł być skutek przypadkowego włamania – podsunął Monroe.

Puller pokręcił głową.

– Bandyci nie zabrali nowego modelu lexusa, laptopa, ślubnej obrączki pani domu. Nie ma żadnych informacji, aby zginęły jakieś cenne rzeczy. Poza tym przypadkowi włamywacze raczej nie poświęcają czasu na przesłuchiwanie ofiar.

– Jestem pewna, że rodzice pani Reynolds nie mają wrogów – wtrąciła Cole. – Zresztą ona z dziećmi mieszkała tutaj tylko latem. Wątpię, aby mieli czas i okazję, żeby ich sobie narobić. Zatem powinniśmy się koncentrować na pułkowniku Reynoldsie.

– Może i tak. Wszystko trzeba jeszcze sprawdzić. – Puller wstał. – Znalazłeś tu jakieś odciski palców, które nie pasują ani do domowników, ani osób zakwalifikowanych do eliminacji w pierwszej kolejności?

– Owszem, listonosza. I pielęgniarki z domu opieki. Zostawiła je na drzwiach lodówki. Ale wiadomo, że przyjechała tutaj, aby pomóc panu Halversonowi się spakować przed wyjazdem do domu opieki. No i wreszcie dwóch sanitariuszy, którzy zjawili się tu na wezwanie, kiedy starsza pani dostała wylewu.

– Żadnych innych?

– Były jeszcze dwa. Jeden na ścianie w salonie, drugi na blacie kuchennym. Poleciałem ich sprawdzenie w naszej policyjnej bazie danych.

– Daj mi kopie tych odcisków – rzekł Puller. – Wyślę je do sprawdzenia w federalnych bazach danych.

– Dzięki.

– Skąd zbójcy mogli wiedzieć, o której godzinie będą odpalane ładunki w kopalni? – zapytał. – Takie informacje podaje się do publicznej wiadomości?

– Tak – odparła Cole. – Jest mnóstwo przepisów regulujących warunki dokonywania eksplozji w górnictwie odkrywkowym. Trzeba uzyskać odpowiednie zezwolenia, przedstawiając harmonogram prac. Ten sam harmonogram musi zostać z wyprzedzeniem opublikowany w lokalnej prasie. Ludzie mieszkający najbliżej muszą być powiadomieni indywidualnie. Obowiązkowe są komunikaty radiowe. I z uwagi na ograniczenia hałasu należy możliwie zminimalizować głośność serii wybuchów. Ponadto konieczne są pomiary stabilności gruntu w czasie eksplozji. Dlatego często stosuje się rozdzielanie kolejnych wybuchów z interwałami ośmiu milisekund.

– Po co? – zdziwił się Monroe, który słuchał tego jak zauroczony, a pochwycawszy zaciekawione spojrzenie Pullera, wyjaśnił szybko: – Podpisałem kontrakt z miejscową komendą policji, ale nie pochodzę stąd.

– Te osiem milisekund opóźnienia podobno wystarczy do utrzymania poziomu hałasu i drgań podłoża w normie.

Puller popatrzył na nią.

– Widzę, że sporo wiesz na ten temat. Z jakiegoś konkretnego powodu?

Wzruszyła ramionami.

– Jestem dziewczyną z Wirginii Zachodniej. Cały ten stan to jedna wielka kopalnia. Przynajmniej czasami tak się wydaje.

– To nie dlatego, że twój ojciec pracuje w kopalni Trenta? – zapytał Monroe.

Cole lekliwie zerknęła na Pullera, który obserwował ją z natężoną uwagą.

– Pracował – poprawiła cicho. – Już nie pracuje.

– Dlaczego? – zainteresował się Puller.

– Bo nie żyje.

– Przykro mi. – Na dłuższą chwilę zapadła cisza. – Jakich materiałów wybuchowych używają w kopalni do kruszenia skał?

– Najczęściej ANFO, czyli mieszaniny saletry amonowej, a więc pospolitego nawozu, z olejem napędowym. Zgarniają powierzchniowe warstwy gleby i wiercą otwory w skałach. Bo głównym celem tych prac jest naruszenie spistości powierzchniowych warstw skalnych. Potem sprowadza się ciężki

sprzęt do wybierania odsłoniętych pokładów węgla.

– Czemu wysadzają skały zamiast drążyć sztolnie?

– Jeszcze kilkadziesiąt lat temu drążyli tunele, ale dotarcie do pokładów węgla wcale nie wymaga tu kopania sztolni. Skały są miękkie. Przynajmniej tak twierdzą geolodzy. Swoją drogą to zabawne.

– Dlaczego? – zapytał Puller.

– Bo zazwyczaj odpalanie ładunków prowadzi się między wschodem i zachodem słońca, tylko w dni powszednie. Trent musiał zdobyć specjalne pozwolenie, żeby wysadzać skały także nocą i w niedziele.

– Zatem harmonogram wybuchów jest powszechnie znany – powiedział Puller. – Nie pomoże nam to zawęzić listy ewentualnych podejrzanych. Ale powiedz mi coś więcej o kopalni Trenta.

– To zdecydowanie największa spółka wydobywcza w tym okręgu.

– Powszechnie lubiana? – zapytał Puller.

Cole zacisnęła usta.

– Nikt tu nie kocha spółek węglowych. A sposób, w jaki Trent wydobywa węgiel, doprowadził do zapełnienia wielu dolin odpadami kopalnianymi. Wywołuje to powodzie i podtopienia, nie mówiąc już o całym szeregu innych efektów środowiskowych, jak choćby takim, że ścinanie całych wierzchołków wzgórz po prostu szpeci krajobraz. Ale metoda odkrywkowa jest dużo tańsza, dlatego kopalnie nagminnie ją stosują. W ten sposób windują sobie zyski.

– Ale zarazem tworzą miejsca pracy – wtrącił Monroe. – Mój kuzyn jest inżynierem geologiem u Trenta. Zarabia na życie.

– Roger Trent to jedyny właściciel prywatnej firmy – ciągnęła Cole. – Ma swój udział w łamaniu prawa i powodowaniu wypadków, w których ginęli ludzie. Sam mieszka w prawdziwym pałacu oddzielonym od świata masywną bramą i czerpie wodę ze specjalnie filtrowanych ujęć, za to jego pracownicy żyją w ruderach i przez działania spółki mają w kranach zatrutą wodę.

– I tutejsi mieszkańcy godzą się na to bez protestu?

– Trent ma na zawołanie skorumpowanych prawników i choć władze stanowe próbują ukrócić korupcję w wymiarze sprawiedliwości, i tak opłaca co najmniej połowę lokalnych sędziów. Ale daje zatrudnienie tysiącom ludzi, wypłaca godziwe zarobki i nie szczędzi środków na cele charytatywne, więc jest tolerowany. Lecz wystarczy jeszcze kilka wypadków w kopalni i kilka nowych przypadków raka wywołanego zatruciem środowiska, a może na dobre

zniknąć z horyzontu.

Puller obejrzał się na leżące szeregiem zwłoki.

– Od jak dawna Reynoldsowie przebywali w tej okolicy?

– Mniej więcej od pięciu tygodni – odparła Cole – przynajmniej według zeznań świadków.

– A pułkownik stale jeździł do Waszyngtonu i z powrotem – rzekł Puller, wyglądając przez okno. – Wypytałiście wszystkich mieszkańców z sąsiedztwa?

– W okolicy stoi siedem innych domów. Rozmawialiśmy już z ich mieszkańcami – odparła Cole. – Wszyscy są zgodni.

– Trudno w to uwierzyć – mruknął Puller. – Zabójcy dokonali mordu w takiej okolicy i nikt niczego nie widział ani nie słyszał. W dodatku później zginął jeszcze policjant, a ktoś obcy odjechał jego radiowozem, i też nic?

– Mogę tylko powtórzyć ich słowa.

– Sądzę zatem, że najwyższa pora, żeby porozmawiać ze wszystkimi po raz drugi.

16

Puller zbiegł po schodkach frontowej werandy i ruszył przed siebie, zatrzymał się dopiero na środku trawnika porośniętego zeschniętą trawą. Cole wyszła za nim. Tylko Lan Monroe został w środku, żeby spakować materiał dowodowy.

Agent rozejrzał się uważnie na boki, później na wprost. Dzień przeleciał jak z bicza strzelił. Słońce chyliło się już ku zachodowi, lecz powietrze nadal stało bardzo rozgrzane, parne i nieruchome. Wilgoć zdawała się napierać ze wszystkich stron.

– Chcesz, żebyśmy się podzielili sąsiednimi domami? – zapytała Cole.

Nie odpowiedział.

Wcześniej musiał przeanalizować poczynione obserwacje i zapamiętać je w odpowiedniej perspektywie. Przy ulicy stało osiem domów, po cztery z każdej strony, włączając także ten, w którym doszło do zabójstw. Przed sześcioma z nich znajdowali się ludzie – mężczyźni, kobiety, gdzieśdzie dzieci. Wszyscy ostentacyjnie udawali, że są zajęci codziennymi zajęciami, myciem samochodu, koszeniem trawy, przeglądaniem poczty wyjętej ze skrzynki, grą w piłkę lub zwykłą rozmową. Ale w rzeczywistości pragnęli tylko zaspokoić chorobliwą ciekawość i ukradkiem zerkali w stronę domu, w którym doszło do tragedii.

Podstawowym zadaniem Pullera było oddzielenie rzeczy oczywistych i normalnych od ich przeciwieństw. Najpierw skupił się na domu po drugiej stronie ulicy. Na podjeździe przed nim stały dwa samochody i wielki ciężki harley do długich podróży autostradami. Ale przed domem nie było nikogo. Jakby mieszkańcy nie byli niczego ciekawi.

– Rozmawiałaś z mieszkańcami tamtej posesji? – zapytał.

Cole podążyła za jego wzrokiem. Wcisnęła klawisz umieszczonej na ramieniu krótkofalówki i rzuciła do mikrofonu:

– Lou, chyba ty rozmawiałeś z mieszkańcami z naprzeciwka, prawda?

Policjant wyszedł przed dom. To był ten gruby. Skórzany pas cicho trzeszczał mu na brzuchu przy każdym kroku.

Puller od razu pomyślał, że świadczy to o małym doświadczeniu, bo sztywny

pas należało natłuścić. Takie trzeszczenie mogło się źle skończyć.

Lou wyjął notes i zaczął przerzucać kartki.

– Owszem, rozmawiałem z człowiekiem, który przedstawił się jako Eric Treadwell. Mieszka w tym domu z kobietą, niejaką Molly Bitner. Powiedział, że wcześniej rano wyjechała do pracy, a on nie słyszał i nie widział niczego podejrzanego. Obiecał jednak, że porozmawia z nią. Później przekazał, że nie widziała i nie słyszała niczego podejrzanego.

– Ale może zauważył coś ostatniej nocy, kiedy zginął Larry – powiedziała Cole. – Proszę, żebyście wszystkich mieszkańców z sąsiedztwa przepytali ponownie. Ktoś przecież odjechał stąd radiowozem Larry’ego. A więc jeden z sąsiadów mógł coś słyszeć.

– Rozumiem, pani sierżant.

– Czy ten Treadwell okazał jakiś dokument tożsamości? – zapytał Puller.

Lou, który wyłączył już krótkofalówkę i odwracał się, żeby wykonać rozkaz, obejrzał się na niego.

– Dokument tożsamości?

– Tak, żeby udowodnić, że jest tu zameldowany.

– Nie, nie pokazywał żadnych dokumentów.

– Nie kazałeś mu się wylegitymować?

– Nie, nie kazałem – odparł tamten ostrzejszym tonem.

– Jak wyglądała wasza rozmowa? To ty podszedłeś do niego? – dopytywał się Puller.

– No tak, stał w drzwiach, kiedy wszedłem na teren – odparł gliniarz. – Pewnie dlatego nie zapytałem go o dokumenty, bo otworzył mi drzwi.

To była idiotyczna wymówka. Lou z pewnością chciał tylko w ten sposób uzasadnić brak profesjonalizmu, a nawet zdrowego rozsądku.

– Ale nie znałeś wcześniej Erica Treadwella z widzenia?

Cole popatrzyła na swojego zastępcę, który rzucał Pullerowi coraz groźniejsze spojrzenia.

– Odpowiedz na pytanie, Lou.

– Nie – mruknął tamten.

– Więc może zna go któryś z twoich kolegów?

– Żaden o tym nie wspominał.

– O której to było godzinie?

Lou znowu zajął do swoich notatek.

– Krótko po trzeciej po południu. Wzięliśmy się ostro do pracy, jak tylko odebraliśmy zgłoszenie.

– Czy był wtedy przed domem któryś z pozostałych sąsiadów?

– Nie, o tak wczesnej porze nie ma co na to liczyć. Ludzie do późna pracują u Trenta. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

– Ale on najwyraźniej nie pracuje w kopalni.

– Do czego zmierzasz, Puller? – wtrąciła Cole. – Chcesz powiedzieć, że ten człowiek to morderca? Zachowałby się bardzo głupio, gdyby po wszystkim siedział w domu i spokojnie rozmawiał z policją.

Wskazał dom po drugiej stronie ulicy.

– Jest piąta po południu, a na podjeździe stoją dwa samochody. Stały tam, gdy tu przyjechałem, czyli około czwartej nad ranem, więc ludzie są w domu przez cały dzień. Toteż jeśli nawet twierdzicie, że wszyscy tu pracują w kopalni do późna, wydaje się to nie dotyczyć mieszkańców tamtego domu. Poza tym przed każdym innym domem kręcą się teraz ludzie, którzy nie spuszczaają nas z oczu. To całkiem zrozumiałe. Przed tym jednak nie ma nikogo, nikt nie wygląda nawet przez okna. Biorąc pod uwagę okoliczności, to nie jest normalne. – Zwrócił się do Lou: – Kiedy rozmawiałeś z facetem w poniedziałek, przed domem stały te dwa samochody i harley?

Lou zsunął kapelusz na tył głowy i zamyślił się na chwilę.

– Tak, chyba tak. A dlaczego?

– Przecież mężczyzna powiedział ci, że jego żona pojechała do pracy. Więc ile mają jeszcze samochodów?

– Cholera – wycedziła przez zęby Cole, spoglądając na Lou. – Chodź ze mną.

Ruszyła w stronę tamtego domu, a Puller i Lou poszli za nią. Zapukała do drzwi, a gdy nikt nie odpowiedział, zapukała głośniejsze.

Nie było reakcji.

– Problem polega na tym, że nie mamy nakazu przeszukania – powiedziała. – I nie mamy też żadnych przesłanek, żeby się włamać do środka... – Urwała nagle i burknęła: – Co robisz?

Puller pochylił się nad poręczą werandy i zajął przez frontowe okno do środka.

– Chyba już wiem, czemu nikt nie odpowiada.

– Czemu? – zapytała ostro Cole.

Wyciągnął pistolet.

– Co robisz? – syknęła sierżant.

Wymierzył solidne kopnięcie stopą kilkanaście centymetrów od zamka drzwi i wgiął je do środka. Natarcie ramieniem dokończyło dzieła. Wskoczył do holu, nisko pochylony, rozglądając się błyskawicznie na boki i wodząc bronią za swoim wzrokiem. Po chwili dał nura za róg i zniknął z pola widzenia.

– Chodźcie tutaj! – zawołał po chwili. – Tylko ostrożnie. To miejsce jeszcze nie zostało poddane oględzinom.

Cole i Lou, z bronią gotową do strzału, weszli jego śladem do domu. Kiedy sierżant wyjrzała zza załomu ściany, napotkała piorunujące spojrzenie Pullera.

– Do jasnej cholery! – wycedził.

17

Mężczyzna i kobieta. Oboje tędzy, na oko po czterdziestce. Z daleka trudno było powiedzieć, w jakim są stanie. W oczy rzucała się jego wydatna broda oraz wielkie tatuaże na obu rękach, sięgające aż do połowy przedramion. Widoczny był też orzeł wytatuowany na nagiej piersi. Ona odznaczała się włosami utlenionymi na jasny blond i miała na sobie dolną część zielonego kombinezonu szpitalnego, ale do pasa również była naga.

Oboje siedzieli w salonie na kanapie.

Z daleka było widać, że nie żyją, ale nie dało się ocenić, w jaki sposób zginęli.

Cole stanęła obok Pullera i popatrzyła na dwa trupy.

Ten omiół spojrzeniem podłogę. Nie zauważył nigdzie charakterystycznych śladów po statywie, gdyż nie było tu dywanu, tylko goły parkiet. Mimo to instynkt podpowiadał mu wyraźnie. Tych dwoje też przesłuchiowano.

Oba ciała już zieleniały. Nie trzeba było wzywać karetki, tylko od razu koronera.

On miał na palcu prawej ręki sygnet absolwenta politechniki z Wirginii. Ona na lewym przegubie bransoletkę z zegarkiem timexa.

– Wygląda na to, że zginęli w tym samym czasie, co Reynoldsowie – rzekł. – Potrzebujemy kogoś, kto oficjalnie potwierdzi odkrycie dwóch trupów.

– Rozumiem. Ale jak zginęli? – zapytała Cole.

Puller jeszcze raz zlustrował uważnie podłogę. Nigdzie nie zauważył śladów krwi. Z trzaskiem włożył więc świeże gumowe rękawiczki, które wyciągnął z kieszonki przy pasie, i odchylił głowę mężczyzny do przodu. Nie znalazł jednak rany postrzałowej. Skóra na karku nie nosiła śladów stłuczenia. Nie było ran od noża ani śladów cięcia na szyi. Nie było też urazów w dolnej części brzucha.

– Został uduszony? – podpowiedział Lou, który stał w przejściu i spoglądał na salon z kwaśną miną, jakby dawał mu się we znaki wyczuwalny odór śmierci.

Puller ostrożnie odchylił lewą powiekę mężczyzny.

– Brak śladów krwotoku wybroczynowego.

Popatrzył z góry na tors mężczyzny, potem na piersi kobiety.

– O co chodzi? – zaciekała się Cole, pochwyciwszy jego zdumione spojrzenie.

– Trupy zostały tu przeniesione. Wcześniej rozebrano je do pasa.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się.

Przeciagnał palcem wzdłuż jaśniejszych partii na ramionach i pod szyją zwłok.

– To ślady uciskowe. Nacisk na skórę spowodowany ciaśniejszymi elementami ubrań hamował przepływ krwi w naczynkach włoskowatych. Oznacza to, że oboje byli ubrani jeszcze jakiś czas po śmierci. Poza tym gromadzenie się krwi w dolnych partiach ciała po śmierci świadczy wyraźnie, że nie zginęli w takich pozycjach, w jakich ich znaleźliśmy.

– Rzeczywiście są zasinienia – przyznała Cole.

– Otóż to – potwierdził. – Dopiero sześć godzin po śmierci krzepnie krew w naczynkach włoskowatych. Wtedy też pojawia się zasinienie pośmiertne.

– Tylko dlaczego ktoś miałby ich po śmierci rozbierać do pasa?

– Przecież nawet nie wiemy, czy ktoś ich zabił, co nie? – zagadnął Lou. – Może popełnili samobójstwo? Na przykład łyknęli truciznę czy coś, a potem sami się rozebrali?

Puller pokręcił głową.

– Badania toksykologiczne to zweryfikują, ale w większości zatruc dochodzi do przebarwienia obszarów hipostatycznych, robią się czerwone, wiśniowe, czerwono-brązowe, a nawet brunatne. U nich nie widać żadnych przebarwień.

Cole obejrzała dokładnie dłonie ofiar.

– Nie ma też śladów walki. Paznokcie wyglądają na stosunkowo czyste. Więc po co rozebrano zwłoki do pasa? Zwłaszcza ją. To znaczy... gdybym jako kobieta miała popełnić samobójstwo, za nic nie chciałabym zostać znaleziona rozebrana do pasa.

Obrzuciła uważnym spojrzeniem duże, usiane fioletowymi żyłkami piersi kobiety, które zwieszały jej się niemal do pasa.

– Zabójcy rozebrali trupy – zaczął powoli Puller – żebyśmy nie mogli od razu odgadnąć przyczyn śmierci.

– To znaczy?

– Widocznie na ubraniach zostały plamy krwi.

– Skąd wiesz?

Wskazał miejsce u nasady prawej piersi kobiety.

– W tym miejscu jej bluzka musiała przesiąknąć krwią, a rozmiar plamy utrwalił się na skórze. Zabójcy musieli to przeoczyć, ale poza tym doskonale zatarli ślady, bo inaczej mielibyśmy pod dostatkiem plam krwi i resztek tkanek.

– Jeśli nawet, to z jakich ran? – zapytała sfrustrowana Cole.

Puller pochylił się znowu i odchylił prawą powiekę mężczyzny.

– Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi i zajrzałem do niewłaściwego oczodołu.

Cole pochyliła się przy jego ramieniu.

– Jasna cholera...

Oka nie było. W jego miejscu ciemniał nieregularny otwór.

– To rana kontaktowa – dodał Puller. – Na pewno znajdują się wokół niej ślady prochu na skórze. Zginęli od broni małego kalibru. Sprawdź u kobiety.

Cole także włożyła gumowe rękawiczki. Pod lewą powieką kobiety ziała podobna dziura. Na jej obrzeżach widać było szarą substancję mózgową.

– Tylko raz widziałem coś podobnego – rzekł Puller. – W Niemczech. Po walce dwóch żołnierzy sił specjalnych. Obaj doskonale wiedzieli, jak zabić przeciwnika, żeby nie zostawiać ewidentnych śladów.

Cole wyprostowała się i oparła pięści na biodrach.

– Tylko po co robili taką zadymę? Gdybyśmy nie znaleźli tych trupów, w końcu odnalazłby je listonosz.

– Chyba tak. A może liczyli na to, że wezwiemy pogotowie, jeśli nie zdołamy ustalić przyczyny śmierci. Albo zrezygnujemy z prześwietleń, które muszą wykazać obecność kuli w mózgu. Często się tak niestety dzieje, więc może doszli do wniosku, że warto podjąć ryzyko. Dobre wiadomości są takie, że nie widać ran wylotowych po kulach u żadnej z ofiar. To oznacza, że pociski nadal powinny tkwić w ich głowach. – Obejrzał się na Lou. – Jak się domyślam, to nie jest człowiek, z którym wczoraj rozmawiałeś.

– Nie. Tamten był dużo chudszy i łysy – przyznał żalonym głosem policjant.

– Więc opisz nam go teraz.

Lou posłuchał rozkazu.

– I tak trzeba sprawdzić tożsamość tych dwojga – rzekł Puller.

– Wygląda na to, że ten gość był już martwy, gdy rozmawiałeś z rzekomym

właścicielem domu, Lou – odezwała się Cole. – Więc lepiej opisz go grafikowi, żeby można było rozesłać portrety pamięciowe do naszych patroli. I zrób to jak najszybciej, chociaż zabójca pewnie już zniknął z naszego terenu. – Odwróciła głowę i spojrzała na Pullera. – A więc mamy teraz dwa przestępstwa. I dwa miejsca zbrodni do zbadania. Obawiam się, że zabraknie mi ludzi. Myślisz, że armia mogłaby nam podesłać jakichś specjalistów?

– Nie wiem – odparł z ociąganiem, walcząc z myślą:

Niewykluczone, że tylko pozornie chcieli mi zaoszczędzić kłopotów. Czy te odkrycia zmieniają sytuację?

– Najwyraźniej obie sprawy są ze sobą powiązane – powiedziała. – Wszystko na to wskazuje. Trudno zakładać, że przez przypadek doszło do dwóch zbiorowych zabójstw przy tej samej ulicy w tym samym czasie i są za to odpowiedzialni całkiem inni ludzie. – Kiedy nie odpowiedział, dodała: – Te zabójstwa muszą być ze sobą powiązane, prawda?

– Musimy to udowodnić.

– Ale na pewno masz jakąś wstępną teorię, że te zabójstwa coś łączy?

Puller popatrzył w okno.

– Widać stąd całą posiadłość Reynoldsów.

Cole podeszła i wyjrzała na dwór.

– Sądziś więc, że tych dwoje mogło coś widzieć i dlatego trzeba było ich wyeliminować?

– Jeśli spojrzysz na to z drugiej strony, z okien domu Reynoldsów doskonale widać całą tę posesję.

Cole pokiwała głową, zrozumiawszy, dokąd prowadzi jego sposób rozumowania.

– Czyżbyśmy wracali do pytania o jajko i kurę? Co było pierwsze?

– Niewykluczone.

– No cóż, mamy do wyboru tylko dwie odpowiedzi.

– Wcale niekoniecznie – odparł.

18

Zwłoki nie dostarczyły zbyt wielu wskazówek.

Piwnica okazała się dużo bardziej interesująca.

Gdy przeszukiwali najniższy poziom, Puller i Cole natknęli się na zamknięte drzwi. Za zgodą pani sierżant agent wykorzystał dużą łyżkę do opon leżącą w skrzynce narzędziowej pod ścianą i z jej pomocą wyważył drzwi. Ich oczom ukazało się pomieszczenie o wielkości trzech na cztery metry.

Na dużym składanym stole kempingowym stały butle z propanem, butelki z rozpuszczalnikiem, duży kanister z płynem do rozpalania ognisk, słoje pełne jakichś płynów, odcinki rur hydraulicznych, butle z palnikiem acetylenowym, pojemniki z różnymi tabletkami i proszkami, węże plastikowe i klamrowe zaciski, filtry do kawy, poszewki na poduszki, pudełka i termosy.

– Masz do dyspozycji zespół do zwalczania zagrożeń biochemicznych? – zapytał Puller, zakrywając dłonią usta i nos od drażniących oparów rozpuszczalników i chemikaliów.

– Mam dostęp do laboratorium antynarkotykowego – odparła Cole.

– Antynarkotykowego? – powtórzył ze zdumieniem. – Pytałem o ratownictwo biochemiczne. Tu jest cała masa rzeczy wybuchowych. A piętro wyżej mamy miejsce zbrodni.

– Nie dysponuję takim zespołem ratowniczym, Puller.

– Więc będę musiał sam sobie z tym poradzić.

Dwadzieścia minut później, na oczach zaciekawionych sąsiadów oraz wszystkich podwładnych Cole, Puller ponownie wkroczył do domu, ubrany w wydobyty z przepastnego plecaka zielony kombinezon ochrony bakteriologicznej wyposażony w filtr powietrza, czerwone ochraniacze na buty i zielone gumowe rękawice. Zaczął metodycznie sprawdzać odkryte w piwnicy pomieszczenie, zbierać odciski palców, rozdzielać substancje łatwopalne i wybuchowe oraz fotografować znalezisko. Kiedy po dwóch godzinach wyszedł na dwór, słońce chyliło się już ku zachodowi. Ściągnął z głowy maskę z kapturem. Cały był zlany potem. W domu było bardzo ciepło, a w jego kombinezonie panowała temperatura co najmniej o dwadzieścia stopni wyższa.

Cole szybkim spojrzeniem obrzuciła krople potu spływające mu po twarzy oraz całkiem mokre włosy, i od razu podała mu butelkę zimnej wody mineralnej.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz na skonanego.

Jednym haustem opróżnił pół butelki.

– Nic mi nie jest. Strasznie dużo tam różnych rzeczy. W wojskowym wydziale dochodzeniowym prowadziłem kilka spraw dotyczących produkcji narkotyków. To laboratorium robi wrażenie dość prymitywnego, ale mogłoby działać skutecznie. Wychodziłby z niego niezły jakościowo produkt, tyle że w niezbyt dużych ilościach.

– Kiedy byłeś zajęty w piwnicy, ja znalazłam miejsce na przechowanie ciał.

– Tak? Jakie?

– Lokalny zakład pogrzebowy. Jest wyposażony w dużą chłodnię.

– Trzeba go dodatkowo zabezpieczyć.

– Oddelegowałam do tego zadania swoich trzech zastępców, jeden ma czuwać tam, a dwóch tutaj. I to przez całą dobę.

Puller odchylił się do tyłu, żeby poluzować obolałe mięśnie karku.

– Nie jesteś głodny? – zapytała sierżant.

– Jestem.

– Znam w mieście niezłą restaurację. Jest czynna do późna.

– Wystarczająco długo, żebym zdążył jeszcze wziąć prysznic i się przebrać?

– Tak. Planuję zrobić to samo. Spróbuj zmyć z siebie ten trupi fetor.

– Jeszcze powiedz mi, jak się tam dostać.

– A gdzie się zatrzymałeś?

– W motelu U Annie.

– To masz stamtąd do restauracji nie więcej niż trzy minuty drogi, dwa kwartały na wschód. Gdy skręcisz w prawo w Cyrus Street, na pewno ją zobaczysz. Do diabła, tutaj do wszystkiego jest nie więcej jak trzy minuty drogi. Taka to metropolia.

– Ale do motelu mam czterdzieści minut. Potem dziesięć minut na prysznic i ubranie. Pięć minut na dojeżdżenie. Zatem spotkamy się na miejscu za godzinę.

– Jeśli umiem dodawać, doliczyłeś się tylko pięćdziesięciu pięciu minut.

– Potrzebuję dodatkowych pięciu na rozmowę ze swoim szefem. Powinienem był to zrobić przed wejściem do tego domu, ale trochę mi się nawarstwiło

pilnych zajęć.

– Pilnych zajęć? Chyba za dużo od siebie wymagasz. W każdym razie uruchamiam stoper. Nie zawieź mnie.

Pojechał z powrotem do motelu, minawszy po drodze restaurację, w której mieli się spotkać. Wziął prysznic, włożył świeże dżinsy i T-shirt. Następnie wyjął swojego laptopa, podłączył do niego modem i wysłał zaszyfrowany komunikat do centrali w Quantico. Później poświęcił jeszcze dwie minuty, żeby przez telefon przekazać dowódcy sekcji wstępny raport ze swoich ustaleń oraz dotychczasowych decyzji. Don White poprosił, żeby nazajutrz wysłał mu mailem szczegółowy raport, w dodatku bardziej formalny, wolny od ograniczeń tradycyjnej, krótkiej wiadomości tekstowej.

– Mnóstwo ludzi interesuje się tą sprawą, Puller.

– Tak, rozumiem. Wyłożył mi to pan bardzo jasno.

– Masz już jakąś teorię? – zapytał White.

– Jak tylko będę ją miał, powiadomię pana. Laptop i teczka pułkownika są bezpieczne. Postaram się jak najszybciej wydobyć je z policyjnego magazynu i przesłać do najbliższego oddziału Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Przygotowałeś już coś, co można by wysłać do dowództwa wywiadu wojskowego?

– Nie, dopiero szykuję raport, sir. Jutro powinien być gotowy. Przynajmniej jego wstępna wersja. Mam tu mnóstwo roboty. Do zbadania są dwa miejsca zbrodni, a nie jedno. – Urwał, by ta informacja dotarła do jego dowódcy, mając nadzieję, że uzyska ofertę przysłania jakichś ludzi do pomocy. Przeliczył się jednak.

– Czekam na kolejne meldunki, Puller – rzucił White.

– Tak jest, sir.

Zamknął telefon i wsunął miniaturowego laptopa do wewnętrznej kieszeni marynarki. Nie lubił zostawiać takich rzeczy w motelu, gdzie ktoś mógł się włamać do pokoju, używając zwykłej karty kredytowej czy choćby noża. Na koniec sprawdził rozmieszczenie pistoletów w kaburach, jednego w przedniej, drugiego w tylnej.

Przed motelem sprawdził jeszcze dokładnie, czy samochód jest zamknięty. Już wcześniej podjął decyzję, że szybciej dotrze na miejsce pieszo niż samochodem.

Wreszcie ruszył do miasta. Uznał, że zyska dodatkową okazję, żeby przyjrzeć

się ukształtowaniu terenu. Po cichu liczył nawet na to, że rozpozna człowieka odpowiedzialnego za zamordowanie dwóch rodzin. Miał przecucie, że przyczyną zabójstw były jakieś lokalne porachunki. Może nie pod każdym względem.

19

Lokal wyglądał jak tysiące innych, w których Puller jadał w małych prowincjonalnych miasteczkach. Na wielkich taflach szkła w witrynach nazwa The Crib Room była wymalowana przez szablon, i to chyba jeszcze przed przyjściem Pullera na świat. Nieduża tablica w oknie zapraszała na śniadanie o dowolnej porze dnia. W środku znajdował się długi kontuar z rzędem obrotowych stołków o siedzeniach obitych popękany czerwonym skajem. Na pulpicie za kontuarem stał szereg dzbanków z kawą, które mimo upalnego wieczoru były w ciągłym użyciu, chociaż nie uszło jego uwagi, że stoliki są zastawione butelkami z zimnym piwem i mocniejszymi trunkami, którymi raczyli się spragnieni goście.

Za okienkiem, z którego podawano potrawy z kuchni, widać było szereg zabytkowych elektrycznych frytkownic oraz regał z koszami z drucianej siatki gotowymi do wstawienia do gorącego, parującego oleju. Na palnikach kuchni gazowej stały wielkie okopcone aluminiowe gary. Krzątało się tam dwóch kucharzy w małych białych kapelusikach i poplamionych koszulkach. W powietrzu unosił się ciężki zapach oleju nie zmienianego chyba od dziesięcioleci.

Pod ścianą ciągnęły się przepierzenia rozdzielające czteroosobowe stoliki, z sofami obitymi tym samym, tłoczonym w szachownicę czerwonym skajem, a stoliki na otwartej przestrzeni między przepierzeniami i kontuarem były zakryte kraciastymi obrusami. Mniej więcej trzy czwarte miejsc było zajętych. Stosunek mężczyzn do kobiet wynosił sześć do czterech. Mężczyźni w większości byli bardzo szczupli, wręcz chudzi. Ubrani głównie w dżinsy i kraciaste flanelowe koszule oraz buty z noskami obitymi blachą. Włosy mieli zaczesane gładko do tyłu i wilgotne, zapewne po niedawnej kąpieli. Pullerowi przyszło na myśl, że są to głównie górnicy, pewnie krótko po zakończeniu swojej zmiany. Przypomniał sobie, jak Cole mówiła, że tu nie drąży się sztolni, tylko wysadza całe wzgórza i wywozi wykopywany odkrywkowo węgiel po krętych wyboistych drogach. Zatem i tak była to niebezpieczna, ciężka praca. A ci ludzie wyglądali na górników.

Kobiety dzieliły się wyraźnie na dwa typy, matrony w szerokich spódnicach do kolan i wyjściowych bluzkach oraz młodsze i szczuplejsze w szortach albo

dżinsach. Było też kilka nastolatków w obcisłych strojach, wystarczająco skąpych, żeby odsłaniać brzegi majtek bądź bladą skórę pośladków, zapewne ku ucieście ich ogorzałych, wyglądających na krewkich chłopaków. Było też kilku mężczyzn w garniturach, koszulach z krawatem i wypastowanych pantoflach. Ci sprawiali wrażenie pracowników biur kopalni, którzy nie musieli brudzić sobie palców węglem ani nadwerężyć grzbietów, żeby zarobić na chleb. Niemniej wyglądało na to, że wszyscy chętnie odwiedzają ten lokal.

Oto najlepszy dowód powszechnej demokracji, pomyślał Puller.

Cole już czekała na niego przy stoliku za przepierzeniem na samym końcu sali. Pomachała mu ręką i ruszył w jej kierunku. Miała na sobie dżinsową spódnicę ukazującą umięśnione łydki oraz białą bluzkę bez rękawów odsłaniającą szerokie opalone ramiona. Była w sandałach, paznokcie u nóg miała niepolakierowane. Tuż przy niej, na sofie stała duża torebka, w której bez trudu mieściła się służbowa cobra wraz z policyjną odznaką. Włosy też miała jeszcze wilgotne po niedawnej kąpieli. Dolatujący od niej zapach kokosowego szamponu skutecznie tłumił swąd rozgrzanego oleju. Wszyscy w sąsiedztwie gapili się na niego, co uznawał za całkiem normalne i uzasadnione w zaistniałych okolicznościach. Poza tym był przekonany, że w Drake niezbyt często widuje się przyjezdnych. Ale zaliczał się do nich także pułkownik Reynolds. A on właśnie został zamordowany.

Usiadł. Cole podała mu plastikowe menu.

– Pięćdziesiąt osiem minut. Nie zawiodłeś mnie.

– Wzięłem naprawdę szybki prysznic. Jak kawa? – zapytał.

– Prawdopodobnie nie gorsza niż wojskowa.

Uśmiechnął się zdawkowo z tego czerstwego dowcipu. Przebiegł wzrokiem menu i je odłożył.

– Już wybrałeś? – zdziwiła się.

– Tak.

– Wygląda na to, że szybkie decyzje są koniecznością dla kogoś takiego jak ty.

– Tylko dopóki są właściwe. Skąd nazwa The Crib Room? Sala ze żłóbkiem?

– To z górniczego żargonu. Oznacza miejsce na wyrobisku przeznaczone do spożywania posiłków i odpoczynku.

– Sprawia wrażenie doskonale prosperującego biznesu.

– To jeden z niewielu lokali w mieście otwartych o tak późnej porze.

– Żyła złota dla właściciela.

– Czyli dla Rogera Trenta.

– Restauracja też należy do niego?

– Prawie całe Drake należy do niego. Wykupuje je za grosze. Środowisko tu jest tak skażone, że ludzie chcą jak najszybciej sprzedać swoje domy i wyjechać. A ci, którzy zostają, muszą tańczyć tak, jak im zagra. Do niego należą sklepy spożywcze i punkty naprawy aut, warsztaty hydrauliczne i elektryczne, ta restauracja, tamta stacja benzynowa, piekarnia czy sklep odzieżowy. Lista jest imponująca i wciąż się wydłuża. Tylko patrzeć, jak zmienią nazwę miasta na Trentsville.

– Więc bogaci się, zmieniając środowisko w prawdziwe piekło.

– Życie i tak jest do dupy, co nie?

– A motel U Annie? Też należy do niego?

– Nie. Właścicielka nie zgodziła się na sprzedaż. Ledwie wiąże koniec z końcem, podejrzewam więc, że Roger naprawdę wcale nie był zainteresowany wykupieniem motelu.

Cole rozejrzała się na boki.

– Ludzie są bardzo zaciekawieni.

– A mianowicie czym?

– Tobą. Tym, co się stało.

– To zrozumiałe. Plotki szybko się tu rozchodzą.

– Jak dawne zarazy. Z ust do ust.

– Dziennikarze jeszcze nie węszą?

– Chyba w końcu do nich dotarło, sądząc po liczbie wiadomości nagranych na mojej automatycznej sekretarce. Prasa. Miejscowa radiostacja. Dostałam nawet maila z redakcji telewizyjnej z Parkersburga. Tylko patrzeć, jak odezwą się nawet z Charlestonu. Jak tylko wydarzy się coś złego, wszyscy chcieliby poznać szczegóły z pierwszej ręki, w ciągu pierwszego kwadransu.

– Postaraj się wszystkich na razie zbywać byle czym.

– Spróbuję trzymać ich na dystans tak długo, jak tylko się da, ale ostatnie słowo i tak nie należy do mnie.

– Do twojego szefa?

– Szeryfa Pata Lindemanna. To porządny facet. Ale nie ma doświadczenia w rozmowach z przedstawicielami mediów.

- Mogę mu w tym pomóc.
- Często prowadzisz konferencje prasowe?
- Nie, ale w wojsku są specjaliści od tych rzeczy. I to całkiem dobrzy.
- Przekażę szeryfowi.
- Zakładam, że wszyscy już słyszeli o zabójstwach w drugim domu.
- To wielce prawdopodobne.

Znaleźli dowody tożsamości zabitych. Mężczyzna nazywał się Eric Treadwell, miał czterdzieści trzy lata. Wraz z nim zginęła trzydziestodwuletnia Molly Bitner.

– Zatem morderca musiał się przedstawić jako Treadwell podczas rozmowy z moim zastępcą. Podjął spore ryzyko. Bo przecież Lou mógł poprosić o dowód tożsamości albo zechcieć wejść do środka. Poza tym mógł znać Treadwella. W końcu Drake to nie takie duże miasto.

– Masz rację. Podjął duże ryzyko. Ale wkalkulowane. Zresztą mu się opłaciło. A ludzie gotowi do podjęcia tego rodzaju wyzwań i rozgrywający je na swoją korzyść są najtrudniejszymi przeciwnikami.

W rzeczywistości Puller nie mógł się pozbyć wrażenia, że bandyta przeszedł jakieś specjalne przeszkolenie w tym zakresie. Może nawet wojskowe. I że z tego powodu bardzo szybko znajdą się w szczególnie trudnej sytuacji. Jednocześnie przyszło mu na myśl, że dowódcy wcale nie byli zaskoczeni i zapewne dlatego do rozwikłania sprawy oddelegowano właśnie jego, i to w pojedynkę.

Podeszła do nich kelnerka, niska i koścista, o siwych włosach, z mocno podkrążonymi oczami i chrapliwym głosem.

Puller zdecydował się na śniadanie: trzy sadzone jaja, smażony boczek, płatki owsiane, ziemniaki z cebulą, tosty i kawa. Cole poprosiła tylko o sałatkę Cobba z winegretem oraz mrożoną herbatę. Kiedy podniósł ze stołu menu, żeby oddać kelnerce, spod uchylonej poły marynarki wyłoniła się kolba pistoletu w kaburze. Kobieta uniosła wysoko brwi, chwyciła kartę i zawróciła na pięcie. Zwrócił uwagę na tę reakcję, chociaż miał wątpliwości, czy kobieta nigdy wcześniej nie widziała broni.

- Śniadanie o tej porze? – zapytała Cole.
- Dzisiaj to mój pierwszy posiłek. Pomyślałem, że dobrze byłoby go zjeść przed pójściem do łóżka.
- Skontaktowałeś się ze swoim szefem?

– Tak.

– Jest zadowolony z postępów śledztwa?

– Tego nie powiedział. Zresztą, prawdę mówiąc, sam nie widzę żadnych postępów. Mamy jedynie całą masę pytań.

Kelnerka przyniosła jej mrożoną herbatę i jego kawę.

Cole upiła drobny łyk i zapytała:

– Naprawdę sądzisz, że ofiary były przesłuchiwane przed śmiercią?

– To pozostaje w szarej strefie między domysłami a wynikami dedukcji.

– Myślisz, że mieli w piwnicy wytwórnię amfy?

– W tej kwestii prosiłbym o zachowanie ścisłej tajemnicy.

– Postaramy się. Naprawdę kazałam swoim ludziom zachować pełną dyskrecję... – Urwała nagle, spoglądając w bok.

Puller miał wrażenie, że czyta w jej myślach.

– Ale to małe miasteczko i czasami różne rzeczy się wymykają spod kontroli?

Skinęła głową.

– W jakiej sprawie zabici mieliby być przesłuchiwani?

– Powiedzmy, że ludzie, którzy zabili Treadwella i Bitner, współpracowali z nimi w branży narkotykowej. Co najmniej jedno z Reynoldsów zwróciło uwagę na nietypową aktywność po drugiej stronie ulicy i zostało na tym przyłapano. Tamci postanowili więc sprawdzić, ile wie i czy stanowi zagrożenie.

– I jeszcze nagrali to na wideo, żeby ktoś inny mógł obejrzeć przesłuchanie? Dlaczego, skoro to jest sprawa lokalna?

– Takie sprawy nigdy nie są w pełni lokalne. Meksykańskie kartele porozmieszczały swoich ludzi po całym kraju. Zarówno w miastach, jak i na prowincji. A mówimy o facetach, którzy się nie patyczkują. Chcą wiedzieć o wszystkim. Dysponują pierwszorzędym sprzętem, w tym także środkami łączności. Bez trudu potrafią zorganizować przekaz na żywo.

– Powiedziałaś jednak, że to tylko małe laboratorium, które nie mogło dostarczać większych ilości produktu.

– Ale dla Treadwella i Bitner mogło być źródłem znaczących dodatkowych zarobków. I mieli mnóstwo czasu, żeby zorganizować tu krąg dystrybucyjny. Zetknęliście się już z podobnymi problemami na tym terenie?

– A jest jeszcze miasto, które się z nimi nie zetknęło?

– Bardziej niż inne?

– Myślę, że dostajemy swoją działkę – przyznała Cole. – Ale w dużym stopniu chodzi o środki przepisywane na receptę. Pozostańmy więc przy twojej teorii. Co mogło stać się powodem śmierci Bitner i Treadwella?

– Być może byli świadkami zabójstwa i dlatego sami musieli zostać uciszeni na zawsze?

– Nie jestem pewna, ale myślę, że to dość prawdopodobne – mruknęła Cole.

– Na podstawie tego, co już wiemy, trudno jednoznacznie określić przyczynę. Nie odrzucałbym żadnych poszlak. Żadne z nich nie miało na palcu ślubnej obrączki.

– Z tego, co zdołałam się dowiedzieć, po prostu mieszkali razem.

– Jak długo?

– Około trzech lat.

– I nie planowali zalegalizować tego związku?

– Nie. Z tego, co się dowiedziałam, mieszkali razem przede wszystkim ze względu na koszty.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– To znaczy?

– Kiedy się spłaca kredyt hipoteczny albo raty za zakup domu, można łatwo uzyskać przesunięcie terminu opłat czynszowych. Tutaj to częsta praktyka. Ludzie muszą jakoś żyć.

– Jasne. Co jeszcze o nich wiesz?

– Próbowali się dorobić szybko i nie do końca legalnie, podejmując spore ryzyko. Nie znałam ich osobiście, ale to małe miasteczko. On skończył politechnikę. Zajął się prywatną działalnością gospodarczą, lecz nic mu z tego nie wyszło. Potem dość szybko zaliczył krótką serię etatów. Przez lata był tutaj naczelnym inżynierem, ale rzucił tę robotę jakiś czas temu. Później przez rok pracował w sklepie z artykułami chemicznym na zachodnim skraju miasta.

– Chemia? Tak zapoznał się z urządzeniami do założenia laboratorium narkotykowego. Niewykluczone, że wykradł coś z magazynu sklepowego, jeśli wcześniej planował wejść w produkcję narkotyków. Trafiałaś na jakiś ślad, że mógł być powiązany z handlem narkotykami?

– Nie, chociaż za bardzo nie szukałam. Nigdy nie był oskarżony o żadne poważne wykroczenie związane z narkotykami. Według naszej kartoteki był czysty.

– Co oznacza, że mógł być wystarczająco inteligentny, aby nie dać się złapać. Albo dopiero rozkręcał swój amfetaminowy interes. Jak sama zauważyłaś, czasy są ciężkie, każdy stara się jakoś związać koniec z końcem. A Bitner?

– Pracowała w biurze tutejszej filii zarządu należącej do Trenta Spółki Poszukiwań i Wydobycia Węgla.

Puller spojrział na nią.

– Tak więc po raz kolejny pojawia się nasz potentat górnictwa.

– Wszystko na to wskazuje – odparła z ociąganiem Cole, unikając jego wzroku.

– To jest jakiś problem? – zapytał.

Szybko obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

– Sposób, w jaki to powiedziałaś, nasuwa wniosek, że musi być.

– Nie wątpię, że ten Trent ma najlepsze notowania w tutejszych sondażach.

– W tym zakresie nie ma żadnych problemów, Puller, możesz mi wierzyć.

– Świetnie. Czym zajmowała się w tym biurze?

– Zwykłymi sprawami urzędniczymi, z tego, co mi wiadomo. Będziemy to jeszcze dokładniej sprawdzać.

– Zatem oboje mieli niezłą pracę, do tego laboratorium narkotykowe na boku i żyli razem w dosyć zniszczonym domu, aby oszczędzać pieniądze. Uważasz, że koszty życia są tutaj wysokie?

– No tak, owszem, w przeciwieństwie do płac.

Kelnerka przyniosła zamówione przez nich potrawy, toteż oboje wygłodniali rzucili się na jedzenie. Puller poprosił o kolejne dwa kubki kawy.

– Myślisz, że dasz radę po tym zasnąć? – zapytała Cole, patrząc jak unosi do ust trzeci kubek czarnego płynu.

– Mam dość nietypową fizjologię. Im więcej pochłaniam kofeiny, tym lepiej śpię.

– Żartujesz?

– Prawdę mówiąc, wojsko wymaga od ludzi, żeby spali wtedy, gdy tego potrzebują. Dzisiaj bardzo będę potrzebował odpoczynku, więc na pewno zasnę kamiennym snem.

– Chyba mogę powiedzieć to samo. Tylko na krótko udało mi się dzisiaj zmrużyć oko. – Popatrzyła na niego z delikatnym ironicznym uśmieszkiem na wargach. – I to przez ciebie, Romeo.

- To się już nie powtórzy.
- Szumna deklaracja.
- Czy ciała ofiar zostały już odtransportowane?
- Tak, już są na miejscu.
- I mówisz, że zastępca szeryfa Wellman był żonaty?

Skinęła głową.

– Szeryf Lindemann zobowiązał się spotkać z żoną Larry’ego. Podjadę do niej jutro. Nie znam Angie za dobrze, ale teraz potrzebuje wszelkiego możliwego wsparcia. Na pewno strasznie to przeżywa. W każdym razie ja na jej miejscu bym przeżywała.

– Ma jakąś rodzinę w okolicy?

– Larry pochodził stąd. Angie przeniosła się tu z południowo-zachodniej Wirginii.

– Dlaczego?

Pogardliwie wykrzywiła usta.

– No tak, pewnie myślisz, że ludzie stąd tylko wyjeżdżają, nikt nie ma odwagi się tu osiedlić.

– Nic takiego nie miałem na myśli. Sama powiedziałaś, że mnóstwo ludzi próbuje się stąd wyrwać. Staram się tylko ogarnąć tutejszą sytuację.

– Larry zrobił maturę w pobliskim państwowym college’u. To nie tak daleko stąd, nawet wrony tam dolatują. Tam się poznali. I wrócili tu już jako para.

– A ty?

Gwałtownie odstawiła swoją szklankę z mrożoną herbatą.

– Co ja?

– Wiem, że mieszka tu twój brat, a twój ojciec nie żyje. Masz jeszcze jakichś krewnych w okolicy?

Spojrzał na jej dłoń. Nie nosiła obrączki. Być może tylko nie wkładała jej do pracy. A może cały czas była w pracy?

– Nie jestem zamężna – odparła, pochwyciwszy jego spojrzenie. – Moi rodzice nie żyją. Mam tu jeszcze siostrę. A ty?

– Nie mam żadnej rodziny w tej okolicy.

– Dobrze wiesz, że nie o pytałam, mądrało.

– Mam ojca i brata.

- Obaj służą w wojsku?
- Służyli.
- Więc są już w cywilu?
- Można tak powiedzieć. – Puller wyjął parę banknotów i położył je na stole.
- O której chcesz się ze mną jutro spotkać?
- Popatrzyła na pieniądze.
- Może znowu o siódmej. Julia.
- Zatem będę na miejscu o szóstej. Czy jest szansa, żebym uzyskał dostęp do laptopa i teczki Reynoldsa jeszcze dziś wieczorem?
- Formalnie to dowody rzeczowe.
- Formalnie tak, ale mogę cię zapewnić, że jest w Waszyngtonie sporo ludzi, i to niekoniecznie w mundurach, którzy bardzo by chcieli dostać te rzeczy z powrotem.
- Mam to uznać za pogroźkę?
- Nie. Jak mówiłem wcześniej, nie chcę, abyś nieświadomie zrobiła coś, przez co później możesz mieć kłopoty. Mogę cię zapewnić, że wszystko, co nie jest ściśle tajne i co może się przydać w prowadzonym dochodzeniu, otrzymasz z powrotem.
- A kto będzie to rozstrzygał?
- Odpowiednie czynniki.
- Wolałabym sama zadecydować o takich rzeczach.
- Proszę bardzo. Tylko czy masz uprawnienia na dostęp do materiałów ściśle tajnych albo do SCI?
- Odsunęła kosmyk włosów, który opadł jej na twarz, i łypnęła na niego groźnie spode łba.
- Nie mam nawet pojęcia, co oznacza skrót SCI.
- Materiały o charakterze poufnym. Bardzo trudno jest zdobyć takie uprawnienia. Głównym kryterium jest tajność materiałów, bo trzeba mieć do nich specjalny dostęp. Reynolds miał uprawnienia do wszystkich stopni tajności, zarówno wydziałowej, jak i tematycznej. Wynika stąd, że jeśli będziesz próbowała dostać się do zapisów w jego laptopie albo dokumentów w teczce, nie mając stosownych uprawnień, narazisz się na oskarżenie o zdradę. Nie chcę, żeby do tego doszło, i wiem, że ty także tego nie chcesz. Zdaję sobie sprawę, że wszystkie te akronimy mogą ci się wydawać głupie, ale ludzie z

kręgów rządowych traktują je bardzo poważnie. A konsekwencje naruszenia ograniczeń, nawet przez przypadek, są poważne. To naprawdę oznacza duże kłopoty, których na pewno sobie nie życzysz, Cole.

– Dziwny jest świat, w którym się obracasz.

– Nie powiem, że się z tym nie zgadzam.

Ze wszystkich stron porządni obywatele Drake obrzucali ich ciekawskimi spojrzeniami. Dwaj ludzie w garniturach zdawali się zwracać na nich szczególną uwagę. Podobnie jak czterech osiłków stłoczonych przy małym stoliku, ubranych w sztruksowe spodnie i koszule z krótkimi rękawami opinającymi się na wielkich mięśniach. Jeden z nich miał na głowie czapkę z emblematem firmy Havoline, a drugi wyświechtany kowbojski kapelusz z przetartym brzegiem po prawej stronie runda. Trzeci z wolna pociągał piwo ze szklanki, udając zainteresowanie widokiem za oknem, a czwarty, najmniejszy z nich, choć i tak ważący około stu kilogramów, gapił się na odbicie Pullera i Cole w wielkim lustrze na ścianie.

Cole podniosła wzrok i popatrzyła na gotówkę.

– Komenda policji jest tylko...

– Trzy minuty drogi stąd, jak wszystko.

– Prawdę mówiąc, to raczej osiem minut.

– Więc mogę obejrzeć te rzeczy?

– A mogę ci zaufać?

– Nie zadecyduję za ciebie.

– Więc chyba mogę.

Dołożyła kilka dolarów do banknotów na stole, żeby zapłacić za swoją kolację.

– Wydaje mi się, że zostawiam wystarczająco dużo, żeby pokryć koszty obu zamówień i napiwku – rzekł Puller.

– Ale ja nie cierpię długów. – Wstała z sofy. – Chodźmy.

Puller bez wahania zostawił pieniądze tam, gdzie należało, i na oczach wszystkich gapiów z Drake ruszył do wyjścia.

20

Ruszyli ulicą. Kilka osób odprowadziło zaciekawionym wzrokiem Pullera ubranego w granatową marynarkę ze złotym emblematem CID. Ale nikt go nie zaczepił. Był przyzwyczajony do tego, iż budzi niezdrową sensację. Pojawiał się w takich cichych prowincjonalnych miasteczkach, gdy dochodziło do bulwersujących wydarzeń. A ludzie mieli napięte nerwy. Często ich sąsiedzi padali ofiarami przemocy. Obcy węszący dokoła takich zdarzeń tylko przysparzał im zmartwień, mnożąc podejrzenia. Z takimi sprawami Puller mógł sobie sam poradzić, wiedział jednak, że gdzieś w pobliżu czai się zabójca, może nawet niejeden. I coś mu podpowiadało, że jest gdzieś niedaleko. Może nie więcej niż trzy minuty drogi stąd, jak wszystko tutaj. Poza komendą policji.

Cole skinieniem głowy odpowiadała na pozdrowienia niektórych mieszkańców, rzuciła zdawkowe „dzień dobry” starszej kobiecie wolno poruszającej się za pomocą chodzika. Tymczasem ta niespodziewanie zauważyła z przyganą w głosie:

- Młoda damo, od dłuższego czasu nie byłaś w kościele.
- To prawda, pani Baffle. Muszę się bardziej postarać.
- Będę się za ciebie modlić, Sam.
- Dziękuję. Na pewno bardzo mi się to przyda, bez dwóch zdań.

Kiedy starsza pani się oddaliła, Puller zapytał cicho:

- Małe miasteczko?
- Ze wszystkimi cierniami i płatkami róży – odparła Cole.

Uszli kawałek dalej.

– Wiemy przynajmniej, że ten, kto zabił Reynoldsów, nie szukał ściśle tajnych wojskowych materiałów. W przeciwnym razie zarówno laptop, jak i aktówka generała, zniknęłyby bez śladu. Może to całkowicie wyklucza wątek szpiegowski.

Puller pokręcił głową.

– Pliki z twardego dysku laptopa bez trudu da się przegrać na pamięć przenośną. Więc nie trzeba do tego specjalnego sprzętu. Miałś okazję spojrzeć, co jest w teczce zabitego?

Obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

– Ależ skąd, Puller! Przecież nie mam uprawnień do wglądu w materiały poufne i ściśle tajne! Nawet do głowy mi to nie przyszło. Nie chcę zostać oskarżona o zdradę stanu.

– W porządku, sam się o to prosiłem. Ale czy cokolwiek widziałaś?

– Teczka jest wyposażona w zamek cyfrowy, a nie chciałam włamywać się do niej w trybie pilnym, więc zawartość jest nienaruszona.

Patrząc prosto przed siebie, rzekł:

– Ktoś jest na naszej siódmej. Skup się na ostatnich trzech kwartałach. W odległości do dwudziestu metrów z tyłu.

Ona również się nie obejrzała. Po chwili zapytał:

– Możliwe, że tamci ludzie znowu idą za nami. Jak wyglądają według ciebie?

– Starszy mężczyzna w garniturze. Poza tym barczysty dwudziestolatek w koszulce z krótkimi rękawami, spod których wyłania się tatuaż schodzący w dół prawej ręki.

– Myślisz, że są razem?

– Na to wygląda. Co prawda siedzieli w restauracji przy różnych stolikach, ale cały czas się na nas gapili.

– Chodź za mną.

Cole gwałtownie skręciła w lewo i wkroczyła na przejście przez ulicę. Przepuściła nadjeżdżający samochód, po czym rozejrzała się na boki, jakby chciała sprawdzić, czy nic więcej nie nadjeżdża. Po przejściu przez jezdnię skręciła w prawo, w tym samym kierunku, w którym szli wcześniej, udając, że tylko kontynuuje wcześniejszą trasę po drugiej stronie ulicy.

– Poznajesz ich? – zapytał Puller.

– Ten w garniturze to Bill Strauss.

– Czym się zajmuje?

– Pracuje na kierowniczym stanowisku w dziale badawczym Trenta. Człowiek numer dwa w firmie, zaraz po Rogene.

– A ten osiłek w rezerwie?

– To jego syn, Dickie.

– Dickie?

– Nie ja go tak ochrzciłam.

– Czymże zajmuje się ten Dickie? Ma coś wspólnego z sekcją wydobywczą

koncernu Trenta?

– Nie wiem dokładnie. Przez pewien czas służył w wojsku.

– A dokładniej?

– Nie wiem.

– Jasne.

– I co teraz?

– No cóż, powinniśmy się przekonać, jakie mają zamiary.

– Po co?

– Bo nas doganiają – rzucił Puller.

Z nawyku obrócił się lekko i prawo rękę opuścił luźno wzdłuż ciała. Pochylił też nieco głowę i odwrócił ją o czterdzieści pięć stopni w lewo, żeby kątem oka widzieć to, co się dzieje za jego plecami. Stapał na piętach, równo rozkładając ciężar ciała na obie nogi, toteż w każdej chwili mógł błyskawicznie uskoczyć w bok. Nie martwił go starszy mężczyzna. Bill Strauss był po pięćdziesiątce, garbił się i z daleka słychać było jego świszczący oddech, przyspieszony od szybkiego marszu.

Ale jego synek, Dickie, to była zupełnie inna historia. Niemniej Puller szybko doszedł do wniosku, że nim także nie ma się co specjalnie przejmować. Dobiegał trzydziestki, miał nieco ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył ponad sto kilogramów. Musiał zdecydowanie przytyć po wyjściu z wojska, po którym została mu tylko szczecina króciutko przystrzyżonych włosów i imponująca muskulatura.

– Sierżant Cole? – zawołał Strauss.

Zatrzymali się i odwrócili.

Strauss z synem podeszli do nich.

– Witam, panie Strauss, czym mogę służyć? – zagadnęła Cole.

Mężczyzna miał jakieś trzydzieści kilogramów nadwagi i też około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Był ubrany w elegancki prążkowany garnitur i białą koszulę z poluzowanym pod szyją niebieskim krawatem. Włosy miał prawie całkiem siwe i dłuższe niż jego syn, a twarz pokrytą drobnymi zmarszczkami, zwłaszcza wokół ust. Mówił mocno zachrypniętym, niemal całkowicie zniszczonym głosem, co wyjaśniała czerwona paczka marlboro wystająca z kieszonki koszuli oraz palce mocno zażółcone od nikotyny.

Bardzo się pan stara o raka płuc, panie astmatyku.

Jego syn odznaczał się puciołowatą twarzą, ogorzałą od słońca. Bicepsy miał tak napakowane od nadmiaru ćwiczeń fizycznych, że rozpychały mu rękawy koszuli, za to wyraźnie zaniedbał rozwój innych mięśni, zwłaszcza w dolnej połowie ciała. Puller poważnie wątpił, by w takim stanie mógł zaliczyć dwumilowy bieg przełajowy w wymaganym przez armię czasie. Ponadto wzrok przyciągał tatuaż na jego przedramieniu.

– Słyszałem, że natknęliście się na zwłoki – powiedział Strauss. – Molly Bitner pracowała w moim biurze.

– To już wiemy.

– Straszna historia. Nie mogę uwierzyć, że została zabita. Była bardzo sympatyczną kobietą.

– Nie wątpię. Dobrze ją pan znał?

– Tylko z widzenia, z biura. Była jedną z wielu pracujących tam dziewcząt, nie przysparzała nam żadnych kłopotów.

– Czyżby podejrzewał pan, że mogła przysparzać kłopotów? – odezwał się Puller.

Strauss obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

– Jak się domyślam, jest pan z wojska. Śledczy?

Puller bez słowa przytaknął ruchem głowy.

Tamten z powrotem przeniósł spojrzenie na Cole.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zapytam, czemu nie ty prowadzisz dochodzenie?

– Prowadzę. To nasze wspólne śledztwo, panie Strauss. Wśród ofiar znalazł się wysoki rangą oficer, dlatego współpracuje z nami agent Puller. To standardowa procedura.

– Rozumiem. Oczywiście. Po prostu byłem ciekaw.

– Czy pani Bitner w ostatnich dniach zachowywała się normalnie? – zapytał Puller. – Nie robiła wrażenia zmartwionej?

Strauss wzruszył ramionami.

– Powtarzam, że nie miałem z nią kontaktu. Sprawy formalne załatwiam przez osobistą sekretarkę, a Molly pracowała w głównej części biura.

– Czym dokładnie się zajmowała?

– Zapewne bieżącymi zadaniami biurowymi. Szczegółowych wyjaśnień prawdopodobnie może udzielić kierowniczka biura, pani Johnson. Miała

zdecydowanie więcej styczności z Molly niż ja.

Puller słuchał, ale przyglądał się uważnie stojącemu nieco z tyłu synowi Straussa. Dickie wbił bowiem spojrzenie w czubki swoich roboczych butów, trzymając obie ręce w kieszeniach znoszonych sztruksów.

– Słyszałem, że byłeś w wojsku – odezwał się do niego.

Tamten skinął głową, ale nie podniósł wzroku.

– W której dywizji?

– Pierwszej piechoty.

– Wojska zmechanizowane. Fort Riley czy Niemcy?

– Riley. Nigdy nie byłem w Niemczech.

– Jak długo służyłeś?

– Tylko rundę podstawową.

– Nie podobało ci się w wojsku?

– Raczej ja nie spodobałem się wojsku.

– BCD czy DD?

– Myślę, że nie będziemy zajmować państwu więcej czasu – wtrącił pospiesznie Strauss. – Gdybym mógł służyć pomocą, może pani na mnie liczyć, sierżant Cole.

– Jasne. Na pewno zjawimy się w pańskim biurze, aby zadać kilka pytań.

– Oczywiście. Chodźmy, synu.

Kiedy odeszli, Puller zapytał:

– Dobrze znasz tego człowieka?

– To jedna z ważniejszych osób w Drake. I jedna z najbogatszych.

– Rozumiem. Człowiek numer dwa. Więc gra w tej samej lidze, co Trent?

– Trentowie są ligą samą w sobie. Strauss to tylko jeden z ich posłańców. Ale posłaniec bardzo dobrze opłacany. Dom ma mniejszy niż Trenta ale według tutejszych standardów i tak imponujący.

– Pochodzi stąd?

– Nie, przeniósł się tu z rodziną ponad dwadzieścia lat temu. Gdzieś ze wschodniego wybrzeża, przynajmniej tak mi się zdaje.

– Nie potraktuj tego źle, ale co go tu przygnało?

– Praca. To biznesmen i specjalista w dziedzinie energetyki. Drake może nie wygląda zachęcająco, ale dysponuje źródłami energii w postaci węgla i gazu.

Zaczął pracować dla Trenta, gdy spółka dopiero się rozkręcała. Wyjaśnij teraz, o co chodzi z tym DD i czymś tam jeszcze.

– BCD to nie skrót od Big Chicken Dinner, lecz od karnego wydalenia ze służby. DD jest dużo gorsze, to karna degradacja. Dickie pozostaje na wolności, więc raczej nie wydali go za DD. Wyleciał z wojska z powodu, za który nie groził jeszcze sąd polowy. Pewnie to samo miał na myśli, gdy powiedział, że to on się wojsku nie spodobał.

Cole obejrzała się za Straussami.

– Nie wiedziałam o tym.

– Jedyne powód, który może być istotny dla ciebie, jest taki, że wiele przypadków BCD wiąże się z zażywaniem narkotyków, z którymi wojsko po prostu nie chce mieć nic wspólnego. Dlatego pozbywa się delikwentów, zamiast formułować przeciwko nim oskarżenia.

– Myślisz, że ma to jakiś związek z nielegalnym laboratorium produkcji amfetaminy?

– Też od razu zwróciłaś na to uwagę, prawda? – rzekł Puller.

Skinęła głową.

– Jak i na to, że Dickie ma identyczny tatuaż, jak Eric Treadwell.

21

Pullerowi udało się wydostać laptopa i teczkę z magazynu dowodów rzeczowych. Musiał wypełnić niezbędne formularze, aby wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

Kiedy wyszli z biura szeryfa, Cole przeciągnęła się i ziewnęła.

– Powinnaś wrócić do domu i się zdrzemnąć – rzekł. – Obiecuję, że nie będę dzwonił i cię budził.

Uśmiechnęła się.

– Doceniam to.

– Jak sądzisz, czy ten specyficzny tatuaż na przedramieniu jest oznaką przynależności do gangu, czy tutejsi ludzie lubują się w tym konkretnym rysunku?

– Podejrzewam, że już wcześniej widziałam go na ręku Dickiego, ale dotąd nie zwracałam na niego uwagi. Mogę popytać.

– Dzięki. Zobaczymy się jutro.

– Naprawdę chcesz się spotkać na miejscu o szóstej rano?

– Będę wyrozumiała. O wpół do siódmej.

– Aha, znalazłam lekarza, który na zlecenie zrobi sekcje zwłok.

– Kto to taki?

– Walter Kellerman. Znakomity specjalista. Napisał nawet podręcznik na temat patologii kryminalistycznej.

– Kiedy będzie mógł się zająć sekcjami?

– Zacznie jutro po południu. W swoim gabinecie w Drake około drugiej. Chcesz być przy tym?

– Tak.

Odwrócił się i ruszył w stronę motelu.

– Hej, Puller, dlaczego coś mi mówi, że wcale nie zamierzasz jeszcze iść spać?

Obejrzał się.

– Jak będziesz mnie potrzebowała, znasz mój numer.

– To znaczy, że mogę dzwonić i cię budzić?

– Kiedy tylko zechcesz.

Szybko wrócił do motelu U Annie. Cole zgadła. Wcale nie zamierzał jeszcze spać. Sprawdził wszystkie znaczniki, które zawsze rozmieszczał w pokojach, aby się upewnić, że nikt nie myszkował w jego bagażu. Tutaj nie było ani sprzątaczkę, ani obsługi hotelowej. Trzeba było samemu troszczyć się o swoje rzeczy i dbać o porządek, co jemu w pełni odpowiadało. Nie znalazł jednak żadnych śladów obecności intruza.

Po pięciu minutach był już znowu w drodze, tym razem do najbliższej placówki Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Chciał tym manewrem upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wcześniej zadzwonił i umówił się na spotkanie ze stacjonującym tu agentem. Musiał poświęcić na przejazd krętymi, wąskimi drogami aż pięćdziesiąt minut. Zazwyczaj śledczy pracujący w terenie wykorzystywali tego typu placówki jako punkty przechowywania materiałów dowodowych, gdy nie mieli łatwego dostępu do innych instytucji zapewniających wystarczające bezpieczeństwo, jako że w filiach departamentu z oczywistych powodów wymagany był podpis aż dwóch upoważnionych agentów, by zdeponować bądź pobrać jakiś dowód.

Kiedy dotarł na miejsce, agent prowadzący placówkę szybko zapakował laptopa i teczkę pułkownika do przygotowanych wcześniej pojemników, które miały zostać przesłane do wojskowego laboratorium kryminalistycznego w Atlancie. Puller nie dysponował wystarczającą wiedzą techniczną, żeby we własnym zakresie złamać kody i uzyskać dostęp do plików zapisanych na dysku laptopa. Przeczuwał ponadto, że mimo iż ma dostęp do materiałów tajnych i ściśle tajnych, i tak nie byłby upoważniony do wglądu w te informacje. Ponieważ w teście i laptopie mogły się znajdować materiały dotyczące bezpieczeństwa narodowego, nie mógł polegać na usługach firmy kurierskiej. Dlatego wezwał specjalnego kuriera wojskowego, który z samego rana miał zabrać oba pojemniki samolotem z Charlestonu w Wirginii Zachodniej. Powinny więc dotrzeć do Atlanty nazajutrz po południu. Mógł osobiście zająć się eskortowaniem cennych dowodów, co zresztą nieraz robił w przeszłości, przeczuwał jednak, że tym razem nie powinien opuszczać miejsca zbrodni.

W armii wszyscy dbali przede wszystkim o krycie własnego tyłka. Dlatego zawczasu poprosił o zgodę na skorzystanie z takiej procedury i uzyskał ją od dowódcy wydziału, który bez wątplenia potrzebował zgody swojego przełożonego. Prawdopodobnie sprawa zyskała więc akceptację jakiegoś

wysokiego rangą oficera, który pewnie też się jakoś zabezpieczył, tyle że Pullera już nie obchodziło jak i dlaczego.

W drodze powrotnej do Drake zadzwonił do dyżurnej laboratorium w Atlancie, starej znajomej, która często pracowała na nocnej zmianie. Nazywała się Kristen Craig i była pracownikiem cywilnym. Współpracowali ze sobą w wielu sprawach, chociaż osobiście spotkali się zaledwie parę razy. W kilku zdaniach uprzedził ją, czego może się spodziewać w jutrzejszej przesyłce.

– Kristen, wiem, że masz wszelkie stosowne uprawnienia, ale w tej sprawie będziesz potrzebowała specjalnej zgody dowództwa wywiadu wojskowego. I trzymaj te rzeczy w swoim sejfie. Odpowiednio oznakowałem przesyłkę.

– Rozumiem, Puller. Dzięki, że mnie uprzedziłeś.

W wojskowym laboratorium kryminalistycznym istniało wiele sekcji, z których każda przetwarzała inne informacje. Odciski palców, broń palna, specjalistyczne narzędzia, chemia farmaceutyczna, analizy DNA, serologia, farby i lakiery, samochody, pliki cyfrowe i komputery – tego typu lista ciągnęła się w nieskończoność.

– Jeszcze jedno, Kristen. Miejsce zbrodni jest dość złożone. Będę systematycznie przysyłał materiały przeznaczone dla różnych pracowni. Bądź na to przygotowana. W miarę możliwości postaram się dołączać dokładne dane, ale i tak pewnie będę musiał tłumaczyć pewne okoliczności telefonicznie albo w majlu. Poza tym mam wrażenie, że dowództwo aż nadto niecierpliwie oczekuje na wyniki tego dochodzenia.

– Więc mogę się tylko dziwić, że nikt się do nas nie zwrócił z prośbą o wsparcie techniczne. Ilu agentów działa z tobą?

– Jestem sam.

– Żartujesz?

– Nie, działałam w pojedynkę, Kristen.

Usłyszał, że głośno westchnęła.

– Wiesz co, Puller?

– Tak?

– To, co mi właśnie powiedziałeś, rzuca nowe światło na wczorajsze wydarzenia.

– A co się stało?

– Mieliśmy telefon od samego sekretarza Departamentu Obrony.

Puller jedną rękę zaciskał na kierownicy samochodu, a drugą przyciskał

telefon do ucha.

– Od samego sekretarza?

– Owszem. A to nie zdarza się zbyt często.

– Jasne. Czego chciał?

– Żeby na bieżąco o wszystkim go informować. A potem odebraliśmy drugi telefon.

– Staliście się popularni. Od kogo?

– Z FBI. Z biura dyrektora. To samo. Prosimy o informacje na bieżąco. Chyba rozumiesz, dlaczego pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Puller zamyślił się. Jego dowódca powiedział, że wiele osób śledzi tę sprawę i chyba ani trochę nie przesadzał. Może wyjaśnienie zagadki kryło się w charakterze zadań, jakie pułkownikiem Reynolds wykonywał dla wywiadu wojskowego. Tylko dlaczego interesowało się tym również FBI?

– Dzięki, Kristen.

– Co u twojego ojca?

– Jakoś się trzyma.

Nikt nigdy nie zapytał go o brata.

Odłożył telefon i pojechał dalej.

Wrócił do motelu, wziął swój plecak i ruszył do pokoju. Bagażnik jego malibu był wyposażony w specjalny alarm, a ponadto krył kilka niespodzianek, których na pewno nie umieścił tam producent. Jednak Puller był przekonany, że przede wszystkim to on sam jest najlepszym zabezpieczeniem najważniejszych dowodów rzeczowych i z tego powodu nie rozstawał się z nimi nawet na chwilę.

Sypiał z jednym pistoletem M11 pod poduszką. Drugi trzymał tuż pod ręką. I jedyna różnica między służbą w ciągu dnia a nocną, była taka, że na noc nie zostawiał pocisku w komorze żadnego z nich. Zatem po obudzeniu musiał odciągnąć suwadło zamka, wprowadzić nabój do komory, wycelować i dopiero wtedy strzelać. I do tego nie chybić. Potrafił wykonać wszystkie te czynności w ciągu trzech sekund i był przekonany, że to wystarczy.

Teraz jednak musiał odpocząć. I zasnąć w ciągu dziesięciu sekund tak, jak nauczono go w wojsku.

W gruncie rzeczy pamiętał głównie wymianę ognia. W każdym wypadku. A w niektórych tylko ją. Proch, rozgrzany metal i ludzkie ciało tworzyły razem wyjątkową mieszaninę zapachów. Taką, która utrwałała się bezpośrednio w łańcuchu DNA. Na zawsze stawała się nieodłączną częścią człowieka. W każdym razie była jego nieodłączną częścią.

Kiedy pocisk rozszarpał mu prawe przedramię i musiał strzelać z lewej ręki, kolbę karabinu zaklinował w dolnej części ramienia, prawie pod pachą. Dla wielu naciśnięcie lewym palcem spustu ustawionego dla praworęcznych stanowiło nie lada problem, ale on był przygotowany i na taką ewentualność. Przelewał krew i pot, żeby być gotowym na tę chwilę, aż w końcu stał się oburęczny i mógł niemal równie skutecznie strzelać z obu stron.

Jego mundur był przesiąknięty smrodem spalin silnika dieslowskiego. Hełm stracił jakiś czas temu, gdy zdmuchnęła go fala uderzeniowa po eksplozji granatu. Czuł jeszcze na policzku dotyk silnie rozgrzanego paska, gdy wyskakiwał z łoża. A na wargach czuł słony smak krwi.

I swojej, i innych.

Na twarzy miał resztki rozerwanych eksplozją ludzkich tkanek.

I swoich, i innych.

Słońce paliło tak mocno, że pewnie mogło spowodować samozapłon benzyny, a jego spalić na popiół. Chyba niewiele go dzieliło od tego, żeby się zmienić w żywą pochodnię.

Błyskawicznie ocenił sytuację. Góra, dół, lewo, prawo. Musiał uważać na wszystkie strony. Nie wyglądało to dobrze. Właściwie nigdy nie wyglądało to dobrze. Dwa cholernie ciężkie humvee leżały na boku jak ustrzelone nosorożce. Mimo silnego uzbrojenia czterech z jego ludzi nie żyło albo było śmiertelnie rannych. Tylko on jeden mógł się poruszać. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego jemu się udało. Miał szczęście, nic poza tym. Żaden z jego zabitych lub konających kolegów nie zrobił przecież niczego złego. Ani on nie dokonał niczego szczególnie dobrego.

Bomby rozmieszczone na skraju drogi zrobiły swoje. Terrorysty byli coraz skuteczniejsi. Amerykanie wciąż się zbroili, toteż ich przeciwnicy w turbanach

szykowali coraz mocniejsze bomby, by zrekompensować przewagę.

Omiótł teren przed sobą kilkoma seriami, opróżniając dwa magazynki, po czym rzucił karabinek na ziemię, wyciągnął pistolet i także opróżnił magazynek. Nawet nie próbował trafić kryjącego się wroga, chciał tylko przyciągnąć jego uwagę. Chciał dać mu znać, że wciąż żyje. Poinformować, że nie da się tu tak po prostu podejść, żeby zabrać rannych i zabitych. Że nie będzie łatwo. I trzeba mnóstwa sprytu, by się tego podjąć.

Kolejna broń, której dobył z rozbitego humvee, to jego ulubiony jednostrzałowy karabinek snajperski. Teraz zamierzał strzelać z dużo większą rozważą i spokojem. Zajął stanowisko za osłoną przewróconego wozu terenowego. Wróg musiał wiedzieć, że to już nie przelewki.

Wystrzelił pierwszy pocisk tylko po to, żeby rozgrzać lufę. Nawet najlepsi strzelcy chybiali celu, kiedy wystrzelona kula musiała się przemieszczać w zimnej lufie. Snajperzy zwykle korzystali z pomocy obserwatorów, ale w tej sytuacji nie mógł liczyć na taki luksus. Tak więc, zdany tylko na siebie, przeliczał odległości, wymierzał kąt i dystans, uwzględniał ukształtowanie terenu, temperaturę powietrza oraz kierunek i prędkość wiatru, żeby właściwie ustawić celownik optyczny. Robił to automatycznie, bez zastanowienia, jak komputer wykonujący sprawdzony i pewny algorytm. Im większa była odległość do celu, tym większy błąd mogły spowodować nawet najdrobniejsze pomyłki w obliczeniach. Wystarczy drobne niedoszacowanie w ocenie, żeby wystrzelony pocisk minął cel o metry. A przecież miał strzelać do ludzi, którzy biegiem pokonywali niewielką otwartą przestrzeń po drugiej stronie ulicy. Bez wyjątku byli szczupli i wytrzymali, mogli tak biegać przez cały dzień. Nie mieli pod skórą ani grama tłuszczu pochodzącego z kultury zachodniej. Byli bezwzględni i zahartowani, pojęcie litości nie mieściło się w ich słowniku.

Ale on także był bezwzględny i zahartowany, a litość i z jego słownika zniknęła w dniu włożenia wojskowego munduru. Zasady walki były jasne i nie uległy zmianie od czasu, gdy człowiek po raz pierwszy sięgnął po broń przeciwko drugiemu człowiekowi.

Uspokoił oddech, po czym wypuścił powietrze z płuc, żeby osiągnąć stan snajperskiej doskonałości. W celu zminimalizowania drgań lufy między kolejnymi uderzeniami serca zaczął wykonywać lekkie, systematyczne naciśnięcia palca na język spustowy, żeby go optymalnie ułożyć. Pierwszy pocisk trafił w cel, biegnący talib obrócił się nagle w powietrzu jak baletnica. Zwalił się na pylistą afgańską ziemię na środku ulicy. Legł tam bez ruchu z

mózgiem przeszytym wielkokalibrowym pociskiem wystrzelonym przez kaprala Johna Pullera Juniora.

Sięgnął do dźwigni zamka i bez pośpiechu wprowadził do komory następny nabój kalibru 7,62 milimetra.

Chwilę później do biegu przez ulicę wystartował jeszcze wyższy i szczuplejszy talib.

Puller wykonał swój algorytm śmierci błyskawicznie, impulsy w jego synapsach przemieszczały się o wiele szybciej od wystrzelonej kuli. Po kolejnym naciśnięciu spustu drugi Afgańczyk zakręcił się w miejscu, a w zasadzie obróciło się tylko jego ciało, bo istotne części mózgu zostały rozszarpane pociskiem. Z gracją obrócił się w powietrzu przed nieuchronnym spotkaniem z przeznaczeniem. Na tej pustynnej scenie nie zapowiadał się drugi akt, jako że wrogi aktor, podobnie jak pierwszy, nawet nie zdążył sobie uświadomić, że został trafiony, gdyż w takich sytuacjach działanie ludzkiego mózgu ulega gwałtownemu spowolnieniu. Za to powietrze rozcięły dzikie wrzaski towarzyszy zabitego, którzy gwałtownie zaczęli sięgać po swoją broń.

Byli rozwścieczeni.

A zatem pierwszy cel jego misji został osiągnięty. Zdenerwowani ludzie nie byli godnymi przeciwnikami w walce.

Niemniej musieli teraz działać rozważniej, wiedząc, że jest wrogiem, z którym należy się liczyć. Obejrzał się na swoich ludzi, żeby choć z daleka ocenić sytuację, w której i jego ciało krwawiło z licznych ran. Trzech było martwych, spalonych wręcz nie do poznania, jako że zapasy paliwa i amunicji dosłownie rozerwały się tuż przed nimi. Żaden z nich nie miał szans. Jeden został impetem eksplozji odrzucony dalej od ognia, ale i on teraz konał. Wybuch urwał mu prawą nogę oraz wielki kawał ciała z piersi, na oczach Pullera musiała mu pęknąć naderwana tętnica, gdyż w powietrze strzeliła przerażająca purpurowa fontanna krwi. Miał wyzionąć ducha w ciągu najbliższych paru sekund. Ale pozostałych czterech rannych mógł jeszcze uratować. Albo też zginąć, próbując tego dokonać.

Posypały się kule w jego kierunku. Talibowie nie próbowali już przebiegać przez ulicę. Postanowili zostać w ukryciu i wykorzystać swą broń – najczęściej także amerykańską, pozostałą z dostaw z czasów wojny przeciwko sowieckim najeźdźcom – aby go zabić.

Byli zdeterminowani.

Tak samo jak on.

Walczyli o uratowanie rannych towarzyszy.

Tak samo jak on.

Mogło ich być dużo więcej. Zdążył wezwać przez radio posiłki. Tyle że ich dotarcie na miejsce mogło zająć zdecydowanie za długo. Chcąc wyjść cało z tej zasadzki, musiał pozabijać wszystkich wrogów.

I John Puller był na to przygotowany. W rzeczywistości miał nawet nadzieję, że tak się to skończy.

Odciał się od wszelkich nieistotnych myśli. Musiał się skupić. Myślenie tylko w tym przeszkadzało. Musiał skoncentrować się na tym, do czego został wyszkolony. Musiał podjąć walkę, dopóki jego serce jeszcze biło.

Maksymalnie się skoncentrować. Właśnie o to chodziło. Tylko temu miały służyć długie lata wyciskania z siebie potu, walki z bólem, ignorowania kogoś wrzeszczącego, że nie dasz rady tego zrobić, ale w rzeczywistości oczekującego, że właśnie to zrobisz. A to wszystko w ciągu najbliższych trzech minut. Bo chyba nie potrzebował więcej czasu, żeby wyłonić zwycięzcę tej konkretnej potyczki również zdesperowanych ludzi. Gdyby pomnożyć rezultaty podobnych indywidualnych pojedynków przez milion, w rezultacie uzyskałoby się coś podobnego do obiegowego pojęcia wojny.

Zaczekał, aż ostrzał ustanie. Kilka pocisków z impetem zadzwoniło o kuloodporną karoserię przewróconego humvee. Inne przeleciały obok jego głowy niczym miniaturowe myśliwce odrzutowe. Jeden drasnął go w lewą rękę, zadając ranę całkowicie nieznaczącą pośród innych urazów. Dopiero później miał stwierdzić, że drugi otarł się o jego kamizelkę kuloodporną, zrykoszetował na pancerzu humvee, odbił się z powrotem i trafił go w szyję, nie mając już prawie żadnej siły rażenia. Lekarze mieli go później opisać jako wielki metalowy odłamek, który utkwiał tuż pod skórą. Na razie nawet nie zauważył jego obecności. Nie dbał o to.

Podniósł się znowu i po raz kolejny uniósł karabinek snajperski...

23

Jak zawsze obudził się gwałtownie. Poderwał się i usiadł na cienkim materacu łóżka w motelu U Annie. W pełni nad sobą panował, poruszał się z wyćwiczoną celowością. Ale nie był na przedmieściach Kandaharu wśród noszących turbany okrutnych wojowników. Znajdował się w okręgu górniczym Wirginii Zachodniej i próbował wytropić prawdopodobnie amatorskich zabójców.

Nawet nie musiał sprawdzać godziny. Jego wewnętrzny zegar podpowiadał mu to, co w życiu najważniejsze – że było w pół do piątej rano. Wziął prysznic i poświęcił dodatkowe pół minuty pod strumieniem ciepłej wody na odegnanie natrętnych wspomnień sprzed lat. Ale i to nie przyniosło skutku. Nic nie działało. Musiał jakoś z tym żyć. Ubrał się w to, co miało stać się tutaj jego mundurem, dzinsy i firmową koszulkę polo, pozwolił sobie jednak zamienić parę starych beżowych butów wojsk desantowych na wygodne adidasy. Na dworze już było gorąco. Jak gdyby noc w najmniejszym stopniu nie przyniosła ochłodzenia. Ale i tak tutejszy upał nie mógł się równać z żarem, jaki latem lał się z nieba w Afganistanie albo w Iraku. Tamtego upału po prostu nie sposób było zapomnieć. Zwłaszcza gdy dokładał się do niego żar płonącej ropy. I krzyki ludzi palących się żywcem. Najpierw czerniejących, potem czerwieniejących, następnie rozpadających się na części.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. Pewnie dzwonił ktoś z biura. A może Cole? Może stało się coś jeszcze? Spojrzał na wyświetlacz. Wyraz skupienia na jego twarzy błyskawicznie przerodził się w coś zupełnie innego, bardziej odpowiadającego zmieszaniu.

– John Puller.

– Dlaczego nie oddzwoniłeś do mnie, żołnierzu?

– Bo jestem w trakcie wykonywania zadania. – Urwał, ale tylko na sekundę.

– Jak się masz, generale?

Ze strony Johna Pullera Seniora doleciał jak gdyby odgłos warknięcia dużego i silnego psa. W armii krążyły plotki, że jego ojciec potrafił zabijać ludzi głosem, od którego brzmienia ich serca ścisnęły się ze strachu.

– Nie oddzwoniłeś do mnie, żołnierzu – powtórzył generał, jakby nie dotarła

do niego wcześniejsza odpowiedź.

– Zamierzałem to zrobić trochę później, sir. Jakież problemy?

– Moje dowództwo już nic nie znaczy.

Ojciec Pullera był w średnim wieku, gdy przyszli na świat jego synowie. Teraz miał siedemdziesiąt pięć lat i podupadał na zdrowiu.

– Na pewno szybko przywrócisz wcześniejszy ład. Jak zawsze. Masz pod sobą dobrych ludzi. Na pewno rozumieją. Rangersi zawsze będą górą, generale. – Puller już dawno zrezygnował z prób przedstawiania ojcu logicznych argumentów, tłumaczenia mu, że od pewnego czasu nie dowodzi już nikim, że jest starym i schorowanym emerytem, umierającym szybciej, niż można by przypuszczać. Miał poczucie, że stary wojak nabrał przekonania, że nigdy nie umrze.

– Jesteś mi potrzebny. Umiesz postawić ich do pionu. Liczę na ciebie jak zawsze, żołnierzu.

Puller wstąpił do wojska w ostatnim okresie kariery swojego sławnego ojca. Nigdy nie służył pod jego dowództwem. Ale starszy baczenie obserwował postępy młodszego syna. Jemu zaś ani trochę nie ułatwiało kariery zainteresowanie starego generała. Prawdę powiedziawszy, niezmiernie ją utrudniało.

– Dziękuję, sir. Jednak, jak powiedziałem, jestem na innej misji. – Znowu przerwał i spojrzął na zegarek. Miał już opóźnienie. Nie lubił zgrywać swojej atutowej karty, ale korzystał z niej, kiedy musiał. – Widziałem się wczoraj z Bobbym. Prosił, żebym przekazał ci pozdrowienia.

Na linii zapadła martwa cisza.

Zamknął kłapkę telefonu i wsunął go do kieszonki przy pasie. Przesiedział jeszcze kilka sekund, zapatrzony w czubki butów. Tłumaczył sobie, że musi już iść, naprawdę musi. Zamiast tego sięgnął po swój portfel i wysunął z niego stare zdjęcie.

Trzej mężczyźni stali na nim w szeregu. Wszyscy podobnie wysocy, chociaż John Junior był najwyższy, przerastał ojca o dobre dwa centymetry. Twarz generała wyglądała jak wykuta z granitu. Jego oczy opisywano jako dziury po kulach o wielkiej sile rażenia. Można było się podciągnąć, zaciskając palce na jego dolnej szczęce. Wyglądał jak skrzyżowanie Pattona i MacArthura, tylko większe od nich obu, bardziej surowe i bezwzględne. Jako generał okazał się nadzwyczaj skuteczny, żołnierze go uwielbiali, ginęli dla niego.

Jako ojciec też był niezłym sukinsynem. A jego synowie?

Kocham go. Ja też mógłbym umrzeć dla niego.

W West Point Puller Senior został kapitanem wojskowej reprezentacji koszykarskiej. Ani razu nie zdobył z nią mistrzostwa w czasie czterech lat spędzonych w akademii. Ale każda drużyna, z którą grali, wracała z meczu mocno poobijana i posiniaczona. A ta, której nawet udało się wygrać z zespołem generała, po meczu była w takim nastroju, jakby sromotnie przegrała. Mówiło się: „zostać wypullerowanym”. I na boisku do koszykówki, i na polu walki. Dla starego bez dwóch zdań okoliczności były takie same. Z każdego człowieka bez litości wytrząsał gównem, dopóki nie włączyły się dzwonki alarmowe.

Albo dopóki nie brakowało amunicji i świeżego mięsa armatniego, które można by jeszcze rzucić do walki.

Tylko na krótko przeniósł wzrok na lewo od ojca na zdjęciu. Miał wrażenie, że nie ma tam nikogo, chociaż powinien być.

Powinien być.

Schował zdjęcie z powrotem, wsunął pistolety do kabur, włożył do kieszeni kurtki swoją odznakę i zamknął za sobą drzwi.

Przeszłość była, jaka była.

Przeszła.

24

Po wyjściu na dwór chciał już wsiąść do samochodu, gdy zwrócił uwagę, że w biurze pali się światło. Kierowany ciekawością postanowił to sprawdzić. Ostrożnie otworzył drzwi. Staruszka siedziała w fotelu przed kontuarem. Prawą rękę przyciskała do piersi. W jej spojrzeniu dominował strach, pierś unosiła się gwałtownie w szybkim urywanym oddechu, policzki miała nabiegłe krwią, ale dokoła rumieńców rozlewał się już szary odcień.

Zamknął drzwi i podszedł bliżej. Jej skóra na wargach i płatkach nosa jeszcze nie zniebieszczała, nie było objawów sinicy.

Jeszcze.

Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer 911 bez patrzenia na klawiaturę.

– Jak długo to już trwa? – zapytał.

– Jakieś dziesięć minut – wymamrotała.

Ukląkł obok niej.

– Zdarzało się już wcześniej?

– Od dawna nie było aż tak źle. Wszczepili mi wtedy poczwórny bypass.

– A więc słaba pompka?

– Bardzo słaba. Aż dziw, że pociągnęłam jeszcze tak długo. – Jęknęła i mocniej przycisnęła rękę do piersi.

– Jakby na klatce spoczywał wielki ciężar?

Przytaknęła ruchem głowy.

– Połączony z ostrymi bólami w rękach?

Pokręciła głową. Łzy pociekły jej z oczu.

Wrażenie słonia siedzącego na piersi było pierwszym objawem zawału serca. Później zwykle pojawiał się też ostry ból lewej ręki. Ale nie pojawiał się w każdym przypadku i niekoniecznie w lewej ręce, zwłaszcza u kobiet, lecz Puller nie zamierzał czekać, aż do tego dojdzie.

Kiedy na linii odezwał się dyspozytor, krótko i rzeczowo opisał sytuację, po czym zamknął i schował telefon.

– Już jadą.

– Boję się – wyszeptwała łamiącym się głosem.

– Wiem. Ale wszystko będzie dobrze.

Wymacał jej puls. Słaby. Nic dziwnego. Słaba pompka oznaczała ograniczenie przepływu krwi, skutkiem czego był słabo wyczuwalny puls. U ludzi w jej wieku mogło nawet dojść do wylewu. Dłoń miała zimną i lepłą. Żyłki na szyi zdawały się wyłazić spod skóry. Kolejny zły znak. Mógł również oznaczać zator tętniczy.

– Proszę odpowiadać tylko ruchami głowy. Ma pani mdłości?

Przytaknęła.

– Nie może złapać oddechu?

Znowu przytaknęła.

– Bierze pani jakieś leki na serce?

Jeszcze raz skinęła głową. Zwrócił uwagę na małe kropelki potu zbierające jej się w brwiach, przypominające drobny naszyjnik z prawie przezroczystych perełek.

– Mam nawet nitroglicerynę. Ale nie dałam rady po nią pójść.

– A aspirynę?

– W tym samym miejscu.

– To znaczy gdzie?

– W szufladzie nocnej szafki. – Roztrzęsionym palcem wskazała otwarte drzwi po lewej stronie.

Puller wrócił po dziesięciu sekundach z dwiema fiolkami w ręku.

Podał kobiecie tabletkę aspiryny z wodą do popicia. Jeśli doszło do zakrzepu, aspiryna powinna spełnić swoje zadanie i zapobiec dalszemu zlepianiu się płytek krwi. Do tego działała szybko i nie wpływała na ciśnienie.

Natomiast problem z nitrogliceryną polegał na tym, że zwalczała jedynie objawy, nie wpływała na będącą ich przyczyną samą chorobę wieńcową. Mogła przynieść ulgę w silnym bólu w klatce piersiowej, lecz jeśli ciśnienie krwi już było niskie, niepotrzebnie jeszcze bardziej by je obniżyła, gdyż właśnie na tym polegało jej działanie. A to mogło znacznie zwiększyć problemy z sercem i wpłynąć na niedotlenienie narządów wewnętrznych. Ryzyko było za duże. Najpierw należało ustalić przyczynę.

– Korzysta pani z ciśnieniomierza?

Skinęła głową i wskazała na półkę za kontuarem.

Miała mały bateryjny aparat z wyświetlaczem cyfrowym. Wyjął go z pudełka, zapisał na jej prawym przegubie, wcisnął klawisz i obserwował uważnie, jak mankiet napełnia się powietrzem. Po kilku sekundach odczytał wynik.

Nie było dobrze. Ciśnienie miała bardzo niskie. Nitrogliceryna mogłaby ją zabić.

Obrzucił staruszkę uważnym spojrzeniem. Nie dostrzegł jednak objawów zatrzymywania płynów, puchnięcia stóp lub zatrzymania krążenia w nogach.

– Bierze pani środki moczopędne?

Pokręciła głową.

– Wróć za dziesięć sekund – rzucił.

Pobiegł do swojego malibu, otworzył bagażnik, chwycił torbę pierwszej pomocy i ruszył z powrotem, szybko pokonując dystans wielkimi susami.

Kiedy wrócił, wyglądała jeszcze gorzej. Gdyby już teraz doszło do zatrzymania akcji serca, lekarz z karetki nie miałby szans na reanimację, mógłby jedynie wystawić akt zgonu.

Otworzył torbę i wyciągnął potrzebny sprzęt. Cały czas mówił do chorej, starając się zaszczepić w niej spokój. Równocześnie nasłuchiwał syreny karetki.

Uczył się ratowania życia na ludziach, którzy bardziej przypominali bryły surowego mięsa. Kilku zdołał uratować, innym nie dał rady pomóc. Teraz jednak postanowił, że za nic w świecie nie pozwoli kobiecie umrzeć.

Przetarł jej wewnętrzną stronę ręki alkoholem, znalazł dobrze widoczną żyłę, wbił w nią igłę i przymocował ją do skóry kawałkiem szerokiego szpitalnego plastra. Odkręcił kapturek z drugiego końca wężyka i przymocował go do wylotu woreczka z solą fizjologiczną, który wyciągnął z dna torby. Płyn powinien wpłynąć na podwyższenie ciśnienia. Tę samą metodę zastosowano u Reagana zaraz po tym, jak został postrzelony. Puller dysponował litrowym woreczkiem, z którego płyn wyciekał grawitacyjnie. Uniósł go więc wysoko nad głowę i odkręcił zaworek. Na opróżnienie woreczka potrzeba było około dwudziestu minut. Kobieta miała mniej więcej pięć litrów krwi. Zatem litr solanki musiał zwiększyć tę objętość o dwadzieścia procent.

Gdy do jej żył ściekła połowa płynu, po raz drugi wcisnął guzik ciśnieniomierza. Po chwili odczytał wynik. Podniosło się do bezpiecznego poziomu. Nie był całkiem pewien, czy wystarczająco bezpiecznego, ale nie miał wielkiego wyboru. Staruszka wciąż kurczowo przyciskała rękę do piersi,

pojękiwała coraz głośniej i dłużej.

– Proszę otworzyć usta – polecił.

Zrobiła to, a on wsunął jej pod język tabletkę nitrogliceryny.

Lek zadziałał bardzo szybko. Już po minucie kobieta wyraźnie się uspokoiła, jej oddech spowolnił i stał się głębszy. Wreszcie opuściła rękę. Przy niedomaganiach serca główne arterie dostawały częstoskurczu. Nitrogliceryna skutecznie go stłumiła. A kiedy skurcze ustały, sytuacja mogła się już tylko poprawiać, przynajmniej do czasu przyjazdu karetki.

– Proszę oddychać powoli i głęboko. Sanitariusze zaraz tu będą. Aspiryna, nitrogliceryna i sól fizjologiczna zrobiły swoje. Wygląda pani lepiej. Na pewno wszystko będzie dobrze. Jeszcze nie przyszła na panią pora.

Znowu wcisnął klawisz ciśnieniomierza i odczytał wynik. Ciśnienie jeszcze trochę wzrosło. Oba pomiary się poprawiały. Kobiecie stopniowo powracał naturalny rumieniec. Jak gdyby dokonał się maleńki cud w samym sercu tej górniczej krainy.

– Szpital jest daleko – szepnęła. – Powinnam była przenieść się bliżej miasta. Uśmiechnął się.

– Wszyscy czegoś żałujemy.

Odpowiedziała słabym uśmiechem i chwyciła go za rękę. Pozwolił jej zacisnąć palce na tyle mocno, na ile tylko mogła. Ale był to słaby, mizerny uścisk. Ledwie poczuł jej palce na przegubie, jakby wystawił go na lekki wiatr. Jednakże po jej twarzy rozlał się wyraz ulgi. Zęby miała pozótkłe, w wielu miejscach poczerniałe, z licznymi ubytkami, do tego prawie wszystkie powykrzywiane. Lecz dla niego to był nadzwyczaj miły uśmiech. Bardzo go sobie cenił.

– Dobrze z ciebie ziółko – mruknęła.

– Trzeba się tu czymś pilnie zająć? Powiadomić kogoś w pani imieniu?

Pokręciła głową.

– Zostałam całkiem sama.

Z bliska Puller dostrzegł w jej oczach wyraźne objawy zaćmy. Chyba mógł uznać za cud, że w ogóle go widziała.

– W porządku. Proszę oddychać miarowo i głęboko. Już słyszę syrenę. Wiedzą, że chodzi o zawał serca. Będą przygotowani.

– Dziękuję, młody człowieku.

– Jak pani na imię? Annie, jak w nazwie motelu?

Musnęła palcami po jego policzku, chcąc w ten sposób wyrazić wdzięczność, chociaż zaraz jej skąpy uśmiech przerodził się w grymas bólu, gdy znowu dały o sobie znać kłopoty z sercem.

– Mam na imię Louisa. Nawet nie wiem, kim była Annie. Kupiłam ten motel razem z nazwą i nie miałam już pieniędzy, żeby ją zmienić.

– Lubisz kwiaty, Louiso? Wyślę ci bukiet do szpitala.

Popatrzył jej prosto w oczy, w których wyraz spokoju wciąż jeszcze walczył ze strachem, a forsowany na siłę miarowy oddech miał stłumić niespokojne myśli o sercu próbującym się zatrzymać na zawsze.

– Każda dziewczyna lubi kwiaty – odparła słabym głosem.

Warkot silnika nagle przybrał na sile, rozległ się zgrzyt żwiru pod kołami podjeżdżającej karetki, a potem trzask otwieranych i zamykanych drzwi, wreszcie szybkie kroki przed drzwiami. Sanitariusze natychmiast przystąpili do działania, skutecznie i fachowo. Powiedział im o aspirynie, nitroglicerynie, soli fizjologicznej i pomiarach ciśnienia. Wymienił objawy, bo sama nie miała sił, by się odezwać. Ze stoickim spokojem wypyтали o wszystko, zakładając staruszce maseczkę tlenową i podłączając świeżą kroplówkę. Coraz bardziej nabierała rumieńców.

Jeden z sanitariuszy zagadnął:

– Jest pan lekarzem? Doskonale się pan spisał.

– Nie jestem lekarzem, tylko żołnierzem znającym parę sztuczek. Zadbajcie o nią. Ma na imię Louisa. Jesteśmy kumplami.

Sanitariusz podniósł głowę, żeby spojrzeć na potężnie zbudowanego byłego rangersa, i rzekł:

– Wiesz co, kolego? Twoja kumpelka jest moją kumpelką.

Louisa pomachała do niego, gdy ułożyli ją na wózku. Pochylił się nad nią. Zsunęła maseczkę z ust i powiedziała:

– Mam kota. Czy mógłbyś...

Skinął głową.

– Ja też mam kota. Wszystkim się zajmę.

– Jak się nazywasz, kochasiu?

– Puller.

– Porządne z ciebie ziółko, Puller – powtórzyła.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi i karetka odjechała, a cichnące zawodzenie syreny jak gdyby pobudziło pierwszy brzask wstającego dnia, powtórzył w myślach:

Porządne ziółko.

Zanotował w myślach, żeby znaleźć kwiaciarnię.

Zaczął się rozglądać za kotem i znalazł go w sypialni, do której wchodziło się przez otwarte drzwi za kontuarem. Dachowiec leżał zwinięty pod łóżkiem i spał jak zabity. Dom staruszki składał się z dwóch pokoiów oraz łazienki o wymiarach dwa na dwa metry, z kabiną prysznicową tak małą, że naszły go wątpliwości, czy w ogóle zdołałby się do niej wcisnąć. W obu pokojach zalegały sterty rzeczy, które gromadzili wszyscy ludzie w wieku Louisy. Jak gdyby próbowali zatrzymać czas poprzez zamięłowanie do rzeczy pochodzących z przeszłości.

Jakby chcieli powstrzymać marsz ku śmierci. Która czeka nas wszystkich.

Wtedy, w zasadzce, zginęło czterech jego ludzi. Ale pozostałych czterech uratował. Dostał wówczas całą garść medali za to, co każdy z nich zrobiłby dla niego, nie myśląc o nagrodzie. I wrócił do domu. Razem z połową ośmioosobowego oddziału, przewożoną w błyszczących trumnach zakrytych gwieździstymi sztandarami.

Wojsko opłaciło ich podróż do bazy lotniczej w Dover. Jak również wykupiło miejsca sześć stóp pod ziemią w Arlington. Znaczyły je białe nagrobki, które miały uwiecznić ich nazwiska pośród setek identycznych białych nagrobków.

Cholernie korzystny układ. Dla wojska, pomyślał.

Kocur, stary i gruby, najwyraźniej nie był świadomy kiepskiego stanu zdrowia swojej pani. Puller upewnił się, że jego miseczki z karmą i wodą są wypełnione, a kuweta na odchody jest czysta. Znalazł klucz od biura, zamknął za sobą drzwi i ruszył na śniadanie.

25

Zaparkował malibu przy krawężniku na wprost lokalu. The Crib Room był już otwarty i do połowy zapełniony. Tutejsi mieszkańcy wstawali i jedli wcześnie, co zrozumiałe. Znalazł wolny stolik w rogu sali i usiadł tyłem do ściany. Nigdy nie siadał przy barze, jeśli nie było za nim lustro, w którym mógł obserwować swoje tyły. A tutaj nie było takiego lustro. Dlatego miejsce przy barze w ogóle nie wchodziło w grę. Zza stolika miał zdecydowanie lepszy widok na całą salę.

Zamówił na śniadanie ten sam zestaw, co poprzedniego wieczoru. Wychodził z założenia, że nie warto zmieniać czegoś, co okazało się dobre.

Obrzucił spojrzeniem klientów baru, wśród których przeważali mężczyźni. W większości byli w ubraniach roboczych, więc albo wybierali się do pracy, albo wracali z nocnej zmiany. O tak wczesnej porze nie zauważył nikogo w garniturze. Tylko sami wyrobnicy, jak on. Sprawdził godzinę na ściennym zegarze.

Wpół do szóstej.

Pociągnął łyk kawy. Przeznaczał dwadzieścia minut na oczekiwanie i zjedzenie śniadania, czterdzieści minut na dojazd na miejsce zbrodni. Zatem powinien dotrzeć na miejsce o szóstej trzydzieści. Dokładnie tak, jak zapowiedział Cole.

Pociągnął następny łyk kawy. Była smaczna, gorąca, a kubek duży. Ujął go obiema rękami, żeby ciepło wsączyło się w splecione palce.

Termometr za oknem wskazywał dwadzieścia siedem stopni. W sali panował zaduch. Czuł już kropelki potu występujące na całym ciele, gdy wybiegł z biura motelu do samochodu po zestaw pierwszej pomocy. Jednak gdy było tak ciepło, należało wypić coś gorącego. W ten sposób organizm efektywniej się schładzał. A kiedy było zimno, należało postępować odwrotnie. Prosta sprawa. Ale szczerze mówiąc, niezależnie od temperatury, Pullerowi zasmakowała tutejsza kawa. W wojsku była to jedna z podstawowych rzeczy. Wiedział więc dobrze, jaka powinna być. Zapewniała tych kilka chwil normalności w skądinąd nienormalnym świecie, gdzie ludzie za wszelką cenę próbowali zabijać się nawzajem.

– To ty jesteś John Puller?

Obrócił głowę w lewo i popatrzył na mężczyznę koło sześćdziesiątki stojącego przy stoliku. Miał ponad sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i był lekko otyły, ze skórą wyraźnie ogorzałą od słońca. Spod kapelusza zwieszały mu się strąki posklejanych siwych włosów. Miał na sobie policyjny mundur. Puller spojrział na plakietkę na piersi.

Lindemann. A więc dobroduszny szeryf tej znamienitej osady we własnej osobie.

– Zgadza się, szeryfie Lindemann. Proszę usiąść.

Tamten wcisnął się na krzeselko naprzeciwko niego. Zdjął kapelusz z szerokim rondem i położył go na stoliku. Przeciągnął dłonią po przeredzonych włosach, które od ciągłego nacisku kapelusza sterczały mu na wszystkie strony. Pachniał old spicem, kawą i nikotyną. Puller aż zaczął się zastanawiać, czy są w Drake ludzie niepalący.

– Nie zajmę panu zbyt wiele czasu. Domyślam się, że jest pan bardzo zajęty – rzekł Lindemann.

– Podobnie jak pan, szeryfie.

– Nie musisz mnie tytułować. Mam na imię Pat. A jak mam się zwracać do ciebie?

– Niech zostanie Puller, to mi odpowiada.

– Wiem od Cole, że jesteś specjalistą w swoim fachu. Wierzę jej. Niektórzy gadają, że jako dziewczyna nie powinna wkładać munduru i nosić broni, ale ja ją cenię wyżej od każdego innego oficera w moim biurze.

– O ile zdążyłem się przekonać, w pełni na to zasługuje. Napijesz się kawy?

– Kusząca propozycja, ale muszę odmówić. W każdym razie zmuszają mnie do tego nerki przerabiające już trzy dzisiejsze kubeczki. Do tego dokłada się prostata, która, jeśli wierzyć lekarzowi, jest już wielkości grejpfruta. Poza tym nie za często ma się okazję skorzystać z toalety, gdy cały dzień spędza się w wozie patrolowym.

– Rozumiem.

– Przekłeta robota, nic więcej.

– Jasne.

– Ale i tak nie przywykłem jeszcze do pewnych spraw. Ostatnie zabójstwo mieliśmy tu dziesięć lat temu.

– Co było przyczyną?

– Mężulek przyłapał żonę na zdradzie z jego bratem.

– I ją zabił?

– Nie, ona go ubiegła. Zastrzeliła najpierw jego, a potem kochanka, gdy postanowił się zemścić za śmierć brata. Mówiąc ogólnie, sprawa nie była nazbyt skomplikowana. – Urwał, rozejrzał się na boki i z powrotem wbił spojrzenie w Pullera. – Nie często mamy okazję współpracować z obcymi w sprawach dochodzeniowych.

– Świetnie to rozumiem.

– Ale faktem jest, że potrzebujemy twojej pomocy.

– Cieszę się, że mogę być przydatny.

– Pracuj dalej z Sam.

– Tak zrobię.

– Tylko informujcie mnie na bieżąco. Ze względu na media. – Ostatnie słowo wycodził z ewidentnym obrzydzeniem.

– W tym zakresie wojsko także chętnie pomoże. Mogę podać kilka numerów kontaktowych.

– Byłbym wdzięczny.

Puller wyjął z kieszeni wizytówkę, napisał na odwrocie nazwę sekcji oraz numery telefonów i położył ją na stoliku przed szeryfem. Lindemann nawet na nią nie spojrział, tylko schował od razu do kieszonki koszuli mundurowej.

– Lepiej już sobie pójdę – rzekł. – Życzę smacznego śniadania.

– Dziękuję. Nie wątpię, że będzie smaczne.

Szeryf nałożył czapkę i ruszył do wyjścia z lokalu.

Kiedy Puller powiódł za nim wzrokiem, jego uwagę przyciągnął człowiek siedzący dwa stoliki dalej. I to z jednego, konkretnego powodu.

Miał na głowie czapkę pracownika poczty Stanów Zjednoczonych.

Przyjrzał mu się dokładniej. Mężczyzna jadł powoli, dokładnie przeżuając każdy kęs. Popijał kawą. Brał drobny łyk i odstawiał kubek. Dziesięć sekund, następny łyk, kubek z powrotem na stół. Kiedy kelnerka przyniosła zamówione przez niego dania, zaczął rozprawiać się z nimi dużo łapczywiej, niż początkowo zamierzał. Węglowodany i białka szybko regenerowały jego zapas energii. Na koniec zostawił pieniądze na stole, nie czekając nawet na rachunek. Znał cenę z poprzedniego wieczoru.

Wstał, z kubkiem kawy w rękę przeszedł parę metrów, ignorując ciekawskie spojrzenia tubylców, i stanął przy stoliku listonosza.

Mężczyzna podniósł głowę.

– To pan jest Howard Reed? – zapytał Puller.

Chudzielec o zapadniętych policzkach przytaknął bez słowa.

– Mogę się przysiąść?

Reed nie odpowiedział.

Puller sięgnął do wewnętrznej kieszeni, położył przed listonoszem otwartą legitymację służbową z odznaką i usiadł naprzeciwko niego, nie czekając na reakcję.

– Jestem z Wojskowego Wydziału Śledczego i zajmuję się śledztwem w sprawie zabójstw, na których ofiary natknął się pan w poniedziałek.

Reedem wstrząsnął dreszcz, naciągnął czapkę głębiej na oczy.

Puller obrzucił go uważnym spojrzeniem. Mężczyzna był chorobliwie chudy, co świadczyło wyraźnie o poważnych problemach zdrowotnych. Skórę miał spaloną słońcem. Zapewne wyglądał na dziesięć lat starszego, niż był w rzeczywistości. Garbił się mocno. Cały język jego ciała zdawał się mówić o porażce. Życiowej. Całkowitej.

– Mogę zadać kilka pytań, panie Reed?

Listonosz wziął kolejny odmierzony łyk kawy i odstawił kubek, jakby nie usłyszał pytania. Puller nabrał przeświadczenia, że mężczyzna może cierpieć na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne.

– Dobrze – odezwał się końcu Reed.

Wydusił z siebie tylko to jedno słowo. Głos miał ochrypliwy, słaby, jakby nie używał go za często.

– Opowiedz o drodze, jaką pokonałeś tamtego dnia, zacznij od skrzyżowania w tamtą ulicę. Widziałeś coś? Słyszałeś? A może coś, co zazwyczaj widziałeś lub słyszałeś, właśnie tamtego dnia zniknęło? Rozumiesz, o co mi chodzi?

Listonosz wyciągnął spod talerza papierową serwetkę i wytarł usta. Zaczął opowiadać powoli i systematycznie. Puller był pod wrażeniem jego doskonałej pamięci i techniki odświeżania wspomnień. Miał nadzieję, że skoro człowiek dostarcza tysiące listów i dzień po dniu przemierza ten sam rejon, będąc ciągle świadkiem tych samych rzeczy, powinien zwrócić uwagę na brak jakiegoś stałego elementu.

– Czy kiedykolwiek wcześniej widziałeś Reynoldsów? – zapytał.

– Kogo?

– Ta zamordowana rodzina to byli Reynoldsowie.

– Aha. – Reed pogрузił się w zadumie, i nie spiesząc się, podniósł kubek i upił kolejny odmierzony łyk kawy.

Puller zauważył obrączkę na jego kościstym palcu. Zatem był żonaty, ale jadł śniadanie w restauracji o wpół do szóstej rano? Może właśnie z tego powodu w jego oczach dominował ten wyraz beznadziei.

– Raz widziałem tę dziewczynę. Stała na podwórku od frontu, kiedy roznosiłem pocztę. Jego nie widziałem ani razu. Jego żonę prawdopodobnie też widziałem raz, za kierownicą przejeżdżającego samochodu, gdy mnie mijała.

– Ale znasz Halversonów?

– Tych, którzy tam na stałe mieszkają?

– Tak.

Wolno pokręcił głową.

– Nigdy ich nie widziałem. Nawet nie zbliżałbym się do domu, gdybym nie potrzebował podpisu na potwierdzeniu odbioru paczki. W dodatku poleconej, ze zwrotnym poświadczeniem odbioru. Oni też zostali zabici?

– Nie. Wtedy nie było ich w domu. – Puller zamilkł na kilka sekund, po czym zapytał: – Co się stało z tamtą paczką?

– Paczka? – Reed znieruchomiał z kubkiem uniesionym w pół drogi do ust.

– No tak, tą, która wymagała potwierdzenia odbioru.

Listonosz odstawił kubek, przytknął palec do spękanych i zeschniętych warg,

po czym wyjaśnił:

– Wszedłem z nią do środka. – Znowu się wzdrygnął, aż zacisnął palce na krawędzi laminowanego blatu stolika. – I tam zobaczyłem...

– W porządku, wiem, co zobaczyłeś. Ale postaraj się skupić. Stoisz z tą paczką w rękach. Potem odwracasz się i rzucasz biegiem do ucieczki. Z takim impetem otwierasz drzwi, że aż mocno uderzają o poręcz werandy i pęka w nich szyba. – Dowiedział się tego wszystkiego od Cole.

Zaniepokojony Reed podniósł głowę.

– Będę musiał teraz zapłacić za tę szybę? Nie chciałem jej wybić, po prostu jeszcze nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego. I na Boga głęboko wierzę, że nigdy nie zobaczę tego po raz drugi.

– Nie przejmuj się wybitą szybą. Skup się na paczce. Była adresowana do Halversonów?

Reed skinął głową.

– Tak. Na papierze było właśnie to nazwisko.

Puller nie odpowiedział. Postanowił dać listonoszowi czas do namysłu, do przypomnienia sobie szczegółów tamtej sytuacji. W końcu ludzka pamięć to niezwykła rzecz. Wystarczy jej dać więcej czasu, a z pewnością ujawni jakiś nieznany dotąd szczegół.

Oczy Reeda nagle się rozszerzyły.

– Teraz, kiedy myślę o tej paczce, wydaje mi się, że miała nalepkę C/O.

– Czyli „ostrożnie, krucha zawartość”?

– Tak, właśnie – odpowiedział podekscytowany Reed. Przeciągnął dłońmi po blacie stołu i otoczył palcami swój pusty talerz. Z jego oczu zniknął wyraz beznadziei. Tliły się w nich ogniki podniecenia. Być może po raz pierwszy od lat, pomyślał Puller.

Postanowił rozwinąć myśl:

– Więc w gruncie rzeczy nie była to paczka przeznaczona dla Halversonów? Została tylko wysłana pod ich domowy adres? Czy było na niej wypisane jakieś inne nazwisko? Na przykład Reynoldsów? Bo tylko oni mieszkali wówczas w tym domu.

Reed się nie odezwał, tylko uniósł wzrok do sufitu, jakby pograżał się we wspomnieniach. Puller także zamilkł. Nie chciał przeszkadzać listonoszowi w dochodzeniu do koncentracji. Sam upił łyk swojej kawy, już letniej. Omiótł spojrzeniem całą salę. Ponad połowa gości gapiała się na nich.

Nawet nie mrugnął, gdy zobaczył chłopaka. Dickie Strauss siedział w najdalszym końcu sali, przodem do niego. Towarzyszył mu jeszcze potężniej zbudowany mężczyzna. Miał na sobie koszulę z długimi rękawami, trudno więc było powiedzieć, czy ma na przedramionach taki sam tatuaż. Obaj przyglądali mu się uważnie, robiąc wszystko, żeby nie gapić się nachalnie. Efekt był doprawdy żalosny. Dickie musiał całkiem zapomnieć o tym, co mu wbijano do głowy podczas szkolenia w wojsku, pomyślał Puller.

Skupił uwagę z powrotem na Reedzie, uświadomiwszy sobie, że listonosz gapi się na niego.

– Nie pamiętam – bąknął przepraszająco. – Przykro mi. Pamiętam tylko tę nalepkę C/O.

– W porządku – odparł Puller. – A ta paczka? Była duża czy mała?

– Formatu kartki papieru.

– Rozumiem. Pamiętasz może, kto ją nadał? Albo przynajmniej skąd?

– W tej chwili nie pamiętam, ale chyba znam sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Puller położył przed nim na stoliku swoją wizytówkę.

– Każdy z tych numerów telefonów i adresów mailowych doprowadzi cię do mnie. Czy przypominasz sobie, co z nią zrobiłeś? Wybiegłeś z domu przerażony, kopniakiem otwierając sobie drzwi.

Reed szybko obrócił głowę w bok. Puller nabrał obaw, że listonosz zaraz zwymiotuje na talerz.

– Chyba... musiałem ją upuścić.

– Jeszcze w domu czy już na dworze? Na pewno nie wrzuciłeś jej z powrotem do swojej furgonetki?

– Nie, nie było jej w samochodzie. – Urwał. – Tak, to musiało być w domu. Na pewno. Musiała mi wypaść z rąk. Jak wybiegłem, już nie miałem jej w rękach. Teraz jestem pewien. Bez wątplenia.

– W porządku, na pewno się znajdzie. Zauważyłeś coś jeszcze, o czym chcesz mi powiedzieć?

– Sam nie wiem. To znaczy... nigdy wcześniej nie byłem wpłątany w coś takiego. Nie umiem ocenić, co jest ważne, a co nie.

– Pamiętasz dom po drugiej stronie ulicy? Nie zwróciłeś uwagi na nic podejrzanego?

– U Treadwellów?

– Zgadza się. Mieszkał tam Treadwell i Molly Bitner. Znałeś ich? – Pamiętał z raportu Cole, że Reed zeznał, iż nie zna nikogo w tamtej okolicy, ale chciał to usłyszeć na własne uszy.

Listonosz pokręcił głową.

– Nie. Kojarzę tylko nazwisko. W końcu jestem listonoszem. On prenumerował dużo czasopism motocyklowych. Miał harleya, którego trzymał przed domem.

Puller poprawił się na krześle. Nie wiedział, czy jego rozmówca ma świadomość, że Treadwell i Bitner także zginęli.

– Coś jeszcze?

– Tylko to, co zwykle. Nic zapadającego w pamięć. Chodzi o to, że... ja tylko dostarczam pocztę. Sprawdzam zgodność adresów. Właściwie nie robię nic poza tym.

– Dziękuję, panie Reed. Nie będę zabierał panu więcej czasu. – Postukał palcem w wizytówkę. – Gdyby się pan dowiedział, od kogo była ta paczka, proszę mnie zawiadomić.

Puller wstał. Reed spojrzał w górę na niego.

– Strasznie dużo złych ludzi jest na tym świecie.

– Zgadza się, proszę pana. Bardzo dużo.

– Ale ja wiem to na pewno.

Puller utkwiał wzrok w jego twarzy i czekał cierpliwie.

– Tak. Wiem to na pewno. – Listonosz umilkł, poruszał jeszcze ustami, ale przez kilka sekund nie wydobył się z nich żaden dźwięk. – Moja żona do nich należy.

Puller wyszedł na ulicę, a Dickie Strauss i jego potężny przyjaciel wyszli za nim.

Był przekonany, że tak właśnie się stanie.

27

Puller sięgnął do kieszeni po kluczyki od samochodu, lecz tylko oparł się o maskę i zaczekał, aż podejda.

Dickie i jego kumpel zatrzymali się na chodniku kilka metrów od niego.

– Czym mogę służyć, panowie? – zapytał.

– To nie był Big Chicken Dinner – odpowiedział Dickie. – I to nie było DD.

– Dobrze wiedzieć. Lecz jeśli kłamiesz, najdalej po pięciu minutach będę znał prawdę. Wystarczy mi wcisnąć kilka klawiszy, żeby dostać odpowiedź z archiwum danych osobowych armii. Więc co się stało?

– To było zwykłe rozstanie za obopólną zgodą.

– Z jakich przyczyn?

Dickie spojrzał na swojego przyjaciela, który nie spuszczał wzroku z Pullera.

– To sprawa osobista. Ale na pewno nic złego.

Olbrzym dodał:

– Poza tym nie twój zasrany interes.

– Więc czym mogę służyć? – powtórzył Puller.

– Słyszałem, że Eric Treadwell został zabity.

– Znaliście go?

– Tak.

Popatrzył na tatuaż na przedramieniu osiłka, wskazał go palcem i zapytał:

– Gdzie go sobie zrobiłeś?

– Tutaj, w mieście.

– Treadwell miał na ręku bardzo podobny.

– Podobny. Trochę inny. Ale dla mnie stanowił wzorzec.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie?

– To nie jest odpowiedź.

Olbrzym ruszył w jego kierunku. Był wyższy od Pullera o kilka centymetrów i cięższy o dobre dwadzieścia pięć kilogramów. Wyglądał jak były futbolowy

obrońca z pierwszej ligi. Może nie kwalifikował się jeszcze do drużyny zawodowej, ale na pewno znalazłby na całe cztery lata miejsce w reprezentacji któregoś college'u, i to z niezłym stypendium.

– Ale tak brzmi jego odpowiedź – syknął tamten.

Puller obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– A ty kim jesteś?

– Mam na imię Frank.

– W porządku, Frank. Sądziłem, że rozmowa przebiega między mną a Dickiem.

– No cóż, być może powinieneś to sobie jeszcze przemyśleć.

– Nie widzę powodu.

Popatrzył z uwagą, jak Frank wyciągnął ręce z kieszeni i zacisnął pięści. Dostrzegł również, co tamten trzymał w ręku, chociaż za wszelką cenę próbował to ukryć.

– Mam tu dwa bardzo ważne powody – rzekł Frank, unosząc zaciśnięte pięści.

– Mylisz się, Frank. Nie masz żadnego powodu – odparł spokojnie Puller, prostując się i także wyjmując ręce z kieszeni. On nie miał nic w ręku, ale też niczego nie potrzebował.

– Wiem, że jesteś uzbrojony. Widziałem w restauracji – warknął Frank.

– Broń nie będzie mi potrzebna.

– Jestem od ciebie cięższy o dwadzieścia kilo – powiedział Frank.

– Nawet o dwadzieścia pięć.

– W porządku. Więc na pewno zrozumiałeś?

– Hej, chłopaki, uspokójcie się – wtrącił nerwowo Dickie, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela. – Frank, daj spokój, stary. Szkoda twojego wysiłku.

– Lepiej posłuchaj swojego kumpla, Frank – rzekł Puller. – Nie chcę cię skrzywdzić. Lecz jeśli to, co odczytuję z języka twojego ciała, przerodzi się w działanie, na pewno stanie ci się krzywda. Pozostaje tylko niewiadomą, jak wielka.

Frank prychnął pogardliwie i uśmiechnął się sztucznie.

– Myślisz, że tylko dlatego, że jesteś wojskowym, masz prawo do woli kopać wszystkich po tyłkach?

– Nie. Ale wiem, że tobie mogę skopać tyłek.

Frank zamachnął się szeroko prawą ręką, lecz Puller w tej samej sekundzie skoczył do przodu i czubkiem głowy z całej siły trafił napastnika w twarz. Jego czaszka była dużo twardsza od nosa Franka. Osłupiały, ważący ponad sto dwadzieścia kilogramów olbrzym, poleciał do tyłu, zalany krwią. Puller złapał go za lewą rękę, obrócił gwałtownym ruchem i wykręcił mu ją prawie do granic wytrzymałości. W dodatku podparł stopą lewą nogę Franka, toteż olbrzym jak kłoda zwałił się na chodnik. Puller błyskawicznie ukląkł obok niego i podsunął mu dłoń pod głowę, żeby nie rozbił jej sobie o płyty chodnikowe.

Następnie wyciągnął z jego ręki paczkę ćwierćdolarówek, rzucił ją dalej na chodnik, po czym wstał i spojrzał w dół. Kiedy Frank, który trzymał się oburącz za złamany nos i odgarniał krople krwi spływające mu do oczu, spróbował wstać, Puller przycisnął mu stopą pierś i popchnął z powrotem na chodnik.

– Nie wstawaj. – Obejrzał się na Dickiego. – A ty biegnij do Crib po worek z lodem. I to już! – Kiedy chłopak dalej stał jak wmurowany, Puller dał mu szturchańca. – Ruszaj, Dickie, bo inaczej wrzucę cię do lokalu przez witrynę, żebyś wreszcie oprzytomniał.

Chłopak puścił się biegiem.

– Nie musiałeś tego robić, sukinsynu – wycedził Frank przez zakrwawione dłonie.

– A ty nie musiałeś się na mnie zamierzać rolką ćwierćdolarówek.

– Chyba złamałeś mi nos.

– Na pewno złamałem ci nos. Ale przecież był już złamany wcześniej. To widać po jego przekrzywieniu na lewo i podwyższonym garbku na środku. Pewnie złamałeś go uderzeniem o maskę podczas meczu. Wątpię, żeby ktokolwiek próbował ci go odpowiednio nastawić. I pewnie przez to miałeś do tej pory zdruzgotaną przegrodę. Kiedy teraz będą ci składali nos, może wreszcie zrobią wszystko, jak należy.

Dickie wrócił z woreczkiem lodu zapakowanym w mały ręcznik. Kiedy Puller podniósł głowę, zauważył, że wszyscy klienci restauracji zgromadzili się przy oknach.

Dickie wyciągnął do niego worek z lodem.

– To nie ja go potrzebuję, lecz twój kumpel.

Frank złapał worek i przyłożył go sobie do twarzy.

– Co tu się dzieje, do diabła?

Puller obejrzał się i zobaczył Sam Cole spoglądającą na nich znad

opuszczonej szyby wozu patrolowego. Była w mundurze. Zatrzymała samochód przy krawężniku i wysiadła. Zwrócił uwagę, że jej skórzany pas nie trzeszczy przy każdym kroku.

Spojrzała na Franka, potem na rolkę spakowanych ćwierćdolarówek, następnie na Dickiego, wreszcie na Pullera.

– Zechcesz mi wyjaśnić, co tu się dzieje? Czy to on cię zaatakował, czy może ty jego?

Puller popatrzył na Dickiego, potem na Franka. Kiedy żaden z nich nie zechciał zabrać głosu, rzekł:

– On się pośliznął i złamał nos. Jego kumpel załatwił mu trochę lodu.

Cole uniosła wysoko brwi i spojrzała na Dickiego. Ten wymamrotał:

– To prawda.

Popatrzyła na Franka.

– Ty też potwierdzasz tę bajeczkę?

Dźwignął się na łokciu.

– Tak, proszę pani.

– A ta rolka ćwierćdolarówek przy upadku wysunęła ci się z kieszeni?

– Z kieszonki koszuli – skorygował Puller. – Wypadła podczas upadku. Słyszałem, jak mówił coś, że musi zrobić większe pranie. To by wyjaśniało zapas ćwierćdolarówek.

Cole wyciągnęła rękę i pomogła Frankowi wstać z chodnika.

– Lepiej idź to komuś pokazać.

– Dobrze, proszę pani.

Obaj oddalili się powoli.

– Gotowa do dalszych działań? – zapytał Puller.

– Przede wszystkim gotowa, żeby wysłuchać, co tu się naprawdę zdarzyło.

– Chcesz powiedzieć, że skłamałem?

– Ten gość się nie pośliznął. Wyglądał tak, jakby wpadł pod ciężarówkę. A tę rolkę ćwierćdolarówek pewnie ścisnął w rękę, kiedy się zamierzył na ciebie.

– To jedynie domysły i spekulacje z twojej strony.

– No cóż, ale mam też pewne dowody. – Podniosła rękę i klepnęła go w czoło. – Jesteś zakrwawiony. A ponieważ nie widzę rozcięcia, więc to prawdopodobnie jego krew. Co oznacza, że zamachnął się na ciebie, a ty walnąłeś go z byka. Chciałabym wiedzieć, co było przyczyną.

– Nieporozumienie. – Puller przeciągnął mankietem koszuli po czole, żeby zetrzeć krew.

– W jakiej sprawie?

– Osobistej.

– Wiesz co? Naprawdę zaczynasz mnie wkurzać.

– To bez znaczenia, Cole. W takich małych miasteczkach zazwyczaj dochodzi do konfliktów z obcymi. Jeśli wyniknie, że kryje się za tym coś więcej, jako pierwsza dowiesz się o tym ode mnie.

Nie wyglądała na przekonaną, lecz nie zaproponowała.

– Sądziłem, że spotkamy się na miejscu zbrodni.

– Wstałam wcześniej, pomyślałam więc, że tu cię zastanę – odparła Cole.

– Rozmawiałem z twoim szefem.

– Z szeryfem Lindemannem?

– Przyszedł do restauracji. Dałem mu kilka namiarów na pomoc w rozmowach z mediami.

– Dzięki.

– Wysoko cię ceni.

– Wzajemnie. Właśnie dzięki niemu dostałam szansę na objęcie tego stanowiska.

– Mówiłaś, że przed przyjazdem tutaj wstąpiłaś do policji stanowej.

– To jego pomysł. Uznał, że jeśli taki wpis znajdzie się w moich aktach, nikt w Drake nie będzie protestował, gdy przyznają mi odznakę.

– Ale to chyba nie od niego zależała decyzja o przyznaniu ci samodzielnej funkcji?

– Nie, od komisji okręgowej. Złożonej z samych mężczyzn. Bez wyjątku mających mentalność dziewiętnastowieczną. Boso, w ciąży i w kuchni, tak w skrócie przedstawia się ich przekonanie o życiowej roli kobiety.

– Rozmawiałem też z listonoszem.

– Listonoszem? Masz na myśli Howarda Reeda?

– Tak. Właśnie kończył śniadanie. Powiedział, że dostarczał paczkę, którą upuścił gdzieś w domu. Jak się domyślam, po prostu wypadła mu z rąk. Powiedział też, że była zaadresowana do posiadłości Halversonów, co oznacza zapewne, że była przeznaczona dla Reynoldsa. Macie tę paczkę?

Cole obejrzała się na niego zdziwiona.

– W domu nie było żadnej paczki.

Puller zapatrzył się na nią.

– Wcale się nie zastanawiałaś, dlaczego w ogóle listonosz stanął w drzwiach tamtego domu?

– Zznał, że zapukał, żeby uzyskać podpis na potwierdzeniu odbioru. Zakładałam więc... – Umilkła nagle, a na policzki wystąpił jej rumieniec. – Spieprzyłam. Powinnam się była domyślić.

– Twierdzisz jednak, że w domu nie znaleźliście żadnej paczki? Reed był prawie pewien, że upuścił ją w środku.

– Może właśnie po nią wrócili następnej nocy?

– Niewykluczone, ale twoi ludzie byli tam cały dzień. Dlaczego nie znaleźli porzuconej paczki?

– Spróbujmy znaleźć na to odpowiedź, Puller – odparła. – I to bezzwłocznie.

Dwa wozy patrolowe stały obok siebie – równiutko, drzwi w drzwi – przed dwoma sąsiednimi domami. Czuwający gliniarze byli pochłonięci jakąś dyskusją, gdy Cole zatrzymała się przed nimi, a tuż za nią podjechał Puller. Wskoczyła z samochodu, jeszcze zanim zdążył zaparkować, i weszła między radiowozy.

– Spędziliście całą noc na ziewaniu czy naprawdę wykonywaliście swoje obowiązki? – zapytała ostro.

Puller, który podszedł tuż za nią, zwrócił uwagę, iż dyżurowali dwaj policjanci, których dotąd jeszcze nie widział. Najwyraźniej przegrali z kolegami losowanie o dodatkową nocną służbę.

Obaj wytoczyli się ze swoich aut i stanęli przed Cole niby w służbowej pozie, bardziej jednak wyrażającej lekceważenie niż przejaw służbowej uległości. W wojsku podobną sytuacją ktoś by się zajął najdalej po kilku minutach, a sprawcy wykroczeń przeciwko regulaminowi stanęliby wobec perspektywy wielomiesięcznych kar.

– Macie o czym zameldować? – zapytała Cole.

Pokręcili głowami. Jeden powiedział:

– Nic nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy. Regularnie robiliśmy obchody, ale zmieniając ich pory, żeby nikt się nie zorientował, kiedy będzie następny.

– W porządku. – Wskazała go palcem. – To jest John Puller z Wojskowego Wydziału Śledczego. Współpracuje z nami w tej sprawie.

Ci dwaj obrzucili go równie wrogimi spojrzeniami, co gliniarze z poprzedniego wieczoru. Ale jemu to nie przeszkadzało. Nie przyjechał tu po to, żeby szukać sobie nowych przyjaciół. Skinął głową jednemu, potem drugiemu, po czym spojrzał na Cole. Teraz do niej należało kierowanie tym przedstawieniem.

– Byliście na miejscu zbrodni w poniedziałek – powiedziała. – Czy któryś z was zauważył paczkę, którą listonosz prawdopodobnie upuścił za progiem tamtego domu? – Wskazała posesję Halversonów.

Obaj pokręcili głowami.

– Wszystkie znalezione dowody rzeczowe zostały umieszczone w spisie – rzekł jeden z nich. – Nie widziałem w nim żadnej paczki.

– Jeśli nie ma jej w spisie, to znaczy, że jej nie znaleźliśmy – dodał drugi. – Ale nie byliśmy tam sami. Lan powinien lepiej wiedzieć, czy została znaleziona jakaś cholerna paczka.

– Przede wszystkim to ja powinnam pierwsza wiedzieć, czy znaleźliście jakąś cholerną paczkę – warknęła Cole.

– Więc pewnie nie było tam żadnej paczki, pani sierżant – rzekł pierwszy łagodnym, uspokajającym tonem.

Puller ponownie zmierzył wzrokiem każdego z nich, ale nie potrafił odgadnąć ich intencji. Nie wiedział, czy ich wyzywająca postawa wynika z naturalnego buntu przeciwko uległości wobec wyższej rangą kobiety, czy z czegoś innego, na przykład kłamstwa.

– I tak szybko wyjdzie na jaw, czy ta paczka tam była, czy nie – wtrącił.

Obaj popatrzyli na niego.

Zanim któryś zdążył się odezwać, Puller dodał:

– Zatem w nocy nic się tu nie działo? Nie podjechał żaden samochód, nie było pieszych? Dzieci nie bawiły się przed domami w chowanego?

– Nie pojawił się żaden samochód – odparł pierwszy. – A wszyscy mieszkańcy weszli do swoich domów i nie wychodzili do tej pory.

– Kilkoro dzieci bawiło się na dworze – dodał drugi. – Ale nikt nie zbliżał się do tych dwóch domów. I po zmroku nie widziałem żadnych spacerowiczów. Było gorąco i parno, komary cięły jak oszalałe.

Puller popatrzył na dom, w którym zginęli Treadwell i Bitner.

– Nie mieli żadnych krewnych, których powinniście zawiadomić?

– Jeszcze to sprawdzamy – odparła Cole. – Reynoldsowie, poza rodzicami żony, mieli kilkoro bliższych krewnych. Próbujemy się z nimi skontaktować.

– Wojsko może przyjść z pomocą w tym zakresie. Na pewno kadry dysponują pełnymi informacjami na temat krewnych pułkownika.

Cole skinęła głową dwóm funkcjonariuszom.

– W porządku, wasza zmiana kończy się o ósmej. Możecie wracać do rutynowych zajęć.

Tamci odwrócili się jak na komendę i odeszli.

– Zawsze tak się do ciebie odnoszą? – zapytał Puller.

– No, wiesz, w zasadzie zarzuciłam im kłamstwo albo ukrywanie dowodów, więc mogę w pewnym stopniu zrozumieć takie zachowanie. Chyba zareagowałabym podobnie. Raczej nie powinnam ich traktować w ten sposób, ale wkurzyłam się, że przeoczyłam tę cholerną paczkę. – Spojrzała na niego. – Nie masz nic przeciwko temu, żebym wzięła szybko parę dymków?

– Ja nie, ale twoje płuca tak.

– Myślisz, że nie próbowałam rzucić?

– Mój staruszek palił przez czterdzieści lat.

– I jak mu się udało rzucić?

– Dzięki hipnozie.

– Żartujesz?

– Sam byłem zaskoczony. W ogóle nie sądziłem, że tak upartych ludzi da się zahipnotyzować. Ale widocznie tacy są właśnie najbardziej podatni.

– Mnie też nazywasz upartą?

– Wolałbym cię nazywać byłą palaczką.

– Dzięki. Może i ja się skuszę.

– Zatem powinniśmy teraz sprawdzić spis znalezionych dowodów rzeczowych. A co dalej?

– Lan ma się tu pojawić z samego rana. – Spojrzała na zegarek. – Mniej więcej za godzinę, może trochę później.

– A jeśli ta paczka się nie odnajdzie?

– Sama nie wiem. Po prostu nie wiem, co o tym myśleć.

– Reed obiecał, że postara się sprawdzić na poczcie dane nadawcy. Spróbuje zajrzeć do szczegółowej pocztowej bazy danych. Ale ty chyba mogłabyś oficjalnie uzyskać dostęp do tej bazy.

– Owszem, mogę. Dobrze byłoby wiedzieć, co znajdowało się w paczce, przez którą zginął co najmniej jeden z moich ludzi.

Puller odwrócił się i popatrzył na dom.

– Byłaś w pierwszej grupie, która zjawiała się na miejscu zbrodni?

– Nie. Najpierw przyjechało dwóch ludzi ze służby patrolowej, ten tam Jenkins, i Lou, którego poznałeś wczoraj. Ten, który rozmawiał z człowiekiem podającym się za Treadwella, właściciela domu.

– Kiedy ty znalazłaś się na miejscu?

– Jakies półtorej godziny po odebraniu wezwania. Byłam w tym czasie na

drugim końcu okręgu.

– I pies nadal był w domu?

– Tak. Czemu pytasz? Co pies ma z tym wszystkim wspólnego? Na pewno nie czekał, mogę o tym zaświadczyć.

– No cóż, psy znajdują sobie swoje zabawki. Pewne rzeczy wybierają sobie do gryzienia i czasem zjadają właśnie te rzeczy, których nie powinny.

Cole także popatrzyła na dom, z lekko rozszerzonymi oczami.

– Chodźmy, Puller.

Ruszyła biegiem.

29

Czterdzieści minut później Puller przyglądał się, jak Cole unosi brzeg kapy zakrywającej kanapę, na której leżały zwłoki. Podał jej latarkę i poświeciła nią pod mebel.

– Coś tu jest – powiedziała. Wyciągnęła psią kość i dwie inne plastikowe psie zabawki.

– Wygląda na to, że kundel zrobił sobie tam kryjówkę – mruknął Puller. – To wszystko?

Spróbowała zajrzeć pod najdalszy koniec.

– Poczekaj – rzekł.

Bez trudu podniósł jeden koniec lekkiej kanapy prawie na metr w górę. Popatrzyła na niego zdziwiona.

– To tyle jeśli chodzi o korzystanie z mózgu. Bez mięśni ani rusz.

Spojrzał w dół.

– To chyba fragment szarego kartonu, jak z pudełka pocztowego.

– A to?

Cole podniosła z dywanu skrawek zielonego papieru. Postawił kanapę na podłodze.

Przyjrzała się skrawkowi i podała go Pullerowi.

– Wygląda na róg arkusza potwierdzenia odbioru przesyłki.

– Zgadza się. Tylko gdzie jest reszta? Myślisz, że powinniśmy prześwietlić psu żołądek?

– Raczej zabrali paczkę ci, którzy zabili Wellmana. Mogli się domyślić, że pies ją gdzieś ukrył. Zajrzeli pod kanapę i tam ją znaleźli.

Cole popatrzyła na niego zdziwiona.

– Tylko skąd w ogóle mogli wiedzieć, że została tu jakaś paczka?

– Przesłuchiwali Reynoldsów. Pewnie pułkownik im powiedział, że oczekuje przesyłki.

– Więc czemu jej po prostu nie przechwycili? Mogli poczekać w domu na przyjazd Reeda i potwierdzić odbiór paczki niewyraźnym podpisem tak, jak po

drugiej stronie ulicy zrobił to człowiek podający się za Erica Treadwella. Reed powiedział, że nie znał nikogo z mieszkańców tych posesji, więc nie umiałby rozpoznać adresata przesyłki. Poza tym zależało mu tylko na uzyskaniu podpisu na potwierdzeniu odbioru.

– A jeśli dowiedzieli się o paczce, kiedy było już po wszystkim? Kiedy została już dostarczona pod wskazany adres?

– Nie ogarniam tego, Puller.

Usiadł na brzegu kanapy.

– Reed powiedział, że wszedł do środka, ponieważ potrzebował podpisu. To znaczy, że dostarczał przesyłkę poleconą. Nie umiał jednak od razu powiedzieć, co się z nią stało. Dlaczego tego typu przesyłka miałyby przyjść na adres Halversonów? Oboje są na emeryturze. Reed pamiętał, że naprawdę była to przesyłka dla Reynoldsów, ale nie powiedział tego policji. Zeznał tylko, że potrzebne było potwierdzenie jej odbioru. Stąd też zabójcy mogli pójść tą samą drogą rozumowania, co my teraz. Listonosz musiał wejść do środka ze względu na konieczność uzyskania podpisu. Tylko co było w paczce? Tego musieli się dowiedzieć.

Puller wyjrzał przez okno. Lan Monroe właśnie zajeżdżał przed dom.

– Spróbujmy zapytać Lana, co znajduje się w jego spisie materiału dowodowego.

– Dobra. Ale i tak twierdzę, że nie ma w nim tej przeklętej paczki.

– Upewnijmy się.

Pięć minut później mieli już potwierdzenie. Żadnej paczki w spisie nie było.

Lan z kwaśną miną powiódł wzrokiem po całym pokoju.

– Nie widziałem tu żadnej paczki.

– Pies mógł ją pożreć – podsunęła Cole, zaskarbiając sobie przeciągłe i podejrzliwe spojrzenie Pullera. – Pewnie namówiłabym weterynarza, żeby to sprawdził albo przynajmniej zrobił psu prześwietlenie.

– To głównie papier, więc prawdopodobnie nie wyjdzie na zdjęciu. Niewykluczone też, że kundel zdążył go strawić i wydalić – odparł Puller.

Zadzwoił telefon Cole. Spojrzała na ekranik i zrobiła zdziwioną minę.

– Kto to? – zapytał.

– Roger Trent.

– Wasz górniczy potentat?

Telefon zadzwonił po raz drugi.

– Nie odbierzesz? – Zdziwił się.

– Chyba powinnam. – Odebrała telefon. – Halo? – Przez chwilę słuchała, próbując coś odpowiedzieć, wreszcie całkiem zamieniła się w słuch. – Tak, dobrze – odparła w końcu. – W takim razie do zobaczenia.

Zamknęła kłapkę telefonu.

– I co? – zaciekawił się Puller.

– Roger Trent chce się ze mną zobaczyć. U siebie w domu.

– W jakim celu?

– Twierdzi, że dostaje pogróżki.

– Więc lepiej się z nim spotkaj.

– Pojedziesz ze mną?

– Po co? Myślisz, że będziesz potrzebowała wsparcia?

– Pomoc mi się przyda. Zauważyłam zresztą, że zainteresował cię ten człowiek. Miałbyś okazję, żeby obejrzeć go sobie z bliska i na żywo.

– No to chodźmy.

30

Wyruszyli do posiadłości Trenta jej samochodem.

– Pojedziemy na skróty – powiedziała. – Zaoszczędzimy sporo czasu, ale droga jest wyboista.

Skręciła ostro w prawo i wjechała w wąską boczną szosę pełną dziur i wykrotów.

Droga wydała się Pullerowi znajoma. Zaczął się uważnie rozglądać i wreszcie odkrył, skąd to wrażenie.

– Co to jest, do cholery? – Wskazał gigantyczną betonową kopułę otoczoną gęszczem drzew, winorośli i krzewów. Ujrzał ją niespodziewanie przed sobą pierwszej nocy po przyjeździe, kiedy zgubił drogę.

– Miejscowi nazywają to bunkrem.

– Jasne, ale co to jest?

– Kiedyś mieściła się tu jakaś placówka rządowa. Została zamknięta na długo przed moim urodzeniem.

– Ale z pewnością starsi mieszkańcy pamiętają, co się tam znajdowało. Niektórzy prawdopodobnie tam pracowali.

Cole pokręciła głową.

– Nie. Nikt z Drake nie dostał tam pracy, przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo.

– Wiem, że instytucje rządowe to finansowa czarna dziura, ale nawet administracja z Waszyngtonu nie postawiłaby czegoś takiego, a potem zrezygnowała z wykorzystania budowli.

– Ależ nie, była wykorzystywana.

Cole zwolniła i Puller skupił uwagę na szeregu zabudowań, których zarysy spostrzegł tamtej nocy. W świetle dziennym domy nie wyglądały specjalnie inaczej niż w nocy. Zostały zbudowane co najmniej przed pięćdziesięcioma laty, pewnie nawet wcześniej. W większości wyglądały na opuszczone, ale nie wszystkie. Ciągnęły się równymi szeregami wzdłuż siatki ulic, przez co przypominały mu osiedle wojskowe. Były do siebie podobne jak dwie krople wody.

– Mówisz, że ściągnęli ludzi do pracy w tym bunkrze?

Skinęła głową.

– I postawili to osiedle, żeby mieli gdzie mieszkać.

– Widzę jednak, że wciąż mieszkają tu jacyś ludzie.

– Dopiero od kilku lat. Gospodarka się załamała, ludzie potracili pracę i domy. To osiedle jest stare i zaniedbane, ale gdy się łąduje na bruku, trudno wybrzydząć.

– Mieliście z nimi jakieś problemy? Zdesperowani ludzie czasem robią desperackie rzeczy, zwłaszcza gdy muszą mieszkać na takim osiedlu.

– Patrolujemy je dość regularnie. Ale zdarzały się tu jedynie drobne wykroczenia. Ludzie raczej trzymają ze sobą. Myślę, że w ogóle są wdzięczni, że mają dach nad głową. Władze okręgu starają się im pomóc. Dostarczają koce, żywność, wodę, akumulatory, książki dla dzieci, tego typu rzeczy. Naszym podstawowym zadaniem tutaj jest tłumaczenie im powodów, dla których nie powinni używać piecyków olejowych i podobnego starego szajsu do ogrzewania pomieszczeń. I objaśniamy podstawowe zasady bezpieczeństwa. Mamy już jedną rodzinę, która niemal zatrała się na śmierć tlenkiem węgla.

– A władze tylko udostępniają pustostany?

– Myślę, że federalni w ogóle zapomnieli o istnieniu tego osiedla. Jak w zakończeniu filmu Poszukiwacze zaginionej Arki. To tylko jeden z wielu obiektów w magazynie.

Puller popatrzył na bunkier.

– Kiedy został zamknięty?

– Nie wiem dokładnie. Moja mama mówiła, że gdzieś w latach sześćdziesiątych.

– I co się stało z pracownikami?

– Spakowali się i wyjechali.

– A beton?

– Według mojego taty było co podziwiać, gdy go budowali. Podobno ściany mają metr grubości.

– Metr?!

– Tak twierdził mój tata.

– I nikt z Drake nigdy nie rozmawiał z tymi ludźmi? Nie próbował się dowiedzieć, co tam robią?

– Z tego, co słyszałam, rząd dostarczał pracownikom niemal wszystkiego, czego potrzebowali. A byli to bez wyjątku mężczyźni po czterdziestce, według moich rodziców, obowiązkowo samotni. Oczywiście niektórzy pojawiali się wieczorami w mieście. Ale tata mówił, że w ogóle nie chcieli rozmawiać o tym, czym się tu zajmują.

– Jeśli wtedy byli po czterdziestce, to pewnie teraz większość z nich nie żyje.

– Podejrzewam, że tak.

Puller jeszcze raz przyjrzał się budowli i dopiero teraz dostrzegł biegnące dookoła ogrodzenie z zardzewiałej siatki zwieńczone drutem kolczastym. Ogrodzony teren od osiedla oddzielał pas młodego lasu. Po chwili jego uwagę przyciągnęło kilkuletnie rodzeństwo, które bawiło się na podwórku przed domem. Chłopiec biegał w kółko, a dziewczynka próbowała go złapać. Po chwili oboje runęli na ziemię, dziwacznie splątani.

– Ty masz dzieci?

Puller obejrzał się i złowił badawcze spojrzenie Cole. Jeszcze bardziej zwolniła i jechała teraz w żółwym tempie, gdyż sama przyglądała się zabawie dzieci.

– Nie – odparł. – Nigdy się nie ożeniłem.

– Kiedy byłam małą, bardzo pragnęłam w przyszłości zostać mamą.

– I co ci w tym przeszkodziło?

Przyspieszyła gwałtownie.

– Życie. Samo życie.

Puller ocenił na oko, że część centralna budynku wraz z dwoma odchodzącymi od niego skrzydłami zajmuje powierzchnię około półtora tysiąca metrów kwadratowych. Wyglądało to tak, jakby paryska katedra jakimś cudem została przeniesiona w samo centrum Wirginii Zachodniej. Dwór Trenta stał na szczycie wzniesienia, pod którym najwyraźniej nie było pokładów węgla, gdyż powierzchniowa warstwa ziemi pozostała nienaruszona. Droga pod górę była wyłożona grubą kostką cementową udającą bruk. Wjazdu na teren posiadłości strzegła brama umieszczona w dwumetrowym parkanie z kutych żelaznych prętów. Tuż przy niej stał uzbrojony strażnik. Według Pullera wyglądał na emerytowanego gliniarza. Był otłuszczony i powolny. Lecz nadal mógł celnie strzelać nawet do połowy długości alejki dojazdowej.

Kiedy Cole zwolniła, Puller mruknął:

– Same płoty i strażnicy. Ten człowiek naprawdę potrzebuje ochrony?

– Jak powiedziałam, spółki węglowe nie są popularne, zwłaszcza tam, gdzie węgiel zalega tuż pod powierzchnią. Na pewno budzą mniej wrogich odczuć gdzieś, gdzie nie ma kopalń i gdzie maszyny nie zrównują z ziemią całych wzgórz.

Ochrona musiała zostać poinformowana o ich przyjeździe, gdyż strażnik od razu otworzył bramę i ruchem ręki nakazał jechać dalej.

– Dobrze, że nie przyjechaliśmy tu po to, żeby zabić faceta – powiedział Puller. – Emerytowany gliniarz na straży nie za bardzo się przyłożył do swoich obowiązków.

– Na pewno dostał polecenia bezpośrednio od Trenta. Jak większość tutejszych pracowników.

– Chcesz mi w ten sposób dać coś do zrozumienia?

Po chwili wahania odparła:

– Mówię o większości tutejszych mieszkańców, ale nie o wszystkich. Na pewno nie o sobie.

Z bliska dom wydawał się dwa razy większy niż z daleka. Drzwi frontowe otworzyła im dziewczyna w uniformie pokojówki. Puller niemal się zdziwił, że

nie skłoniła im się do pasa. Była to młoda Azjatka o delikatnych rysach i ciemnych włosach splecionych z tyłu głowy w krótki warkocz. Poprowadziła ich w głąb imponująco długiego korytarza wyłożonego drewnianą boazerią. Na ścianach wisiały olejne portrety naturalnej wielkości. Przez chwilę Puller miał wrażenie, że znalazł się w muzeum. Posadzka był wykonana z płyt spękanego marmuru w rozmaitych odcieniach. Cole zadudniła o nią swoimi podkutymi policyjnymi buciorami. Miękkie podeszwy wojskowych butów Pullera skutecznie absorbowały wszelkie odgłosy, jak zostały do tego zaprojektowane.

– Jeśli się nie mylę, mówiłaś, że gospodarz jest bogaty – odezwał się znowu.
– Pewnie dlatego spodziewałem się dużo bardziej eleganckiego wystroju wnętrza.

Cole, rzecz jasna, nie dopatrzyła się ironii w tej uwadze i dalej bez słowa kroczyła z dumnie zadartą brodą. Minęli schody. Puller zerknął w bok wystarczająco szybko, żeby dostrzec nastolatkę przyglądającą im się uważnie z góry. Miała puciołowatą, jakby nabrzmiałą twarz z zaróżowionymi policzkami, a potargane włosy ufarbowane w pasemka spadały jej w puklach na ramiona. Błyskawicznie zniknęła mu z oczu.

– Trentowie mają dzieci?
– Dwójkę. Dorastającą dziewczynę i jedenastoletniego syna.
– Domyślam się więc, że tatuś i mamusia nie są jeszcze gotowi do przejścia na emeryturę.
– Trent ma czterdzieści siedem lat, a jego żona trzydzieści osiem.
– Zatem cieszę się, że jest dość młody, by korzystać ze swojego bogactwa.
– O tak, korzysta z niego do woli.

Pokojówka otworzyła drzwi i zaprosiła ich do środka. Zamknęła je za nimi. Puller złowił odgłos jej szybkich drobnych kroków oddalających się korytarzem.

Ściany były tu obite ciemnozielonymi draperiami. Na podłodze leżały deski z wiśniowego drewna, wykończone na chropowato. Znaczną ich część zakrywały dwa duże kwadratowe dywany o orientalnym deseni. Fotele i kanapy były obite skórą. Głęboko wpuszczone małe okna w dużym stopniu ograniczały dostęp dziennego światła. Olbrzymi żyrandol z brązu, który mieścił kilkanaście żarówek, musiał ważyć tonę. Na środku pokoju stał duży stół, na którym wzrok przyciągał ogromny bukiet świeżych kwiatów w kryształowym wazonie. I tutaj na ścianach wisiały olejne obrazy. Wyglądały na stare, oryginalne i bardzo

drogie.

Niemniej wszystko urządzono bardzo gustownie, o co zadbał zapewne jakiś wyrafinowany esteta, pomyślał Puller.

– Byłaś tu już wcześniej?

– Kilka razy. Z okazji towarzyskich. Trentowie bardzo się udzielają społecznie.

– I dlatego zapraszają przedstawicieli klasy robotniczej do swoich włości?

Zanim Samantha zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i oboje odwrócili się w ich stronę.

Roger Trent miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i najwyraźniej szybko zmierzał ku granicy nadmiernej otyłości. Odznaczał się masywnym karkiem i podwójnym podbródkiem, nawet drogi garnitur nie był w stanie ukryć imponującego obwodu talii. Mimo chłodu panującego w pokojach był zlany potem.

Może z powodu długiej wędrówki korytarzem, pomyślał Puller.

– Witaj, Roger – odezwała się Cole, gdy wyciągnął do niej rękę na powitanie.

Puller zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem, które zignorowała.

Roger?

– Jestem już zmęczony całym tym gównem, wiesz o tym? – warknął gospodarz.

– No cóż, groźby śmierci należy traktować bardzo poważnie – odparła Cole.

Magnat węglowy przeniósł wzrok na Pullera.

– A ty kim jesteś?

– To agent specjalny John Puller z Wojskowego Wydziału Śledczego w Wirginii – odparła pospiesznie Samantha.

Puller wyciągnął rękę.

– Miło cię poznać, Roger.

Kątem oka złowił grymas wściekłości, który przemknął po twarzy Cole.

Kiedy uścisnęli sobie dłonie, Puller odniósł wrażenie, że trzymał przed chwilą w ręku śniętą rybę.

– Groźby śmierci? – zapytał. – W jaki sposób docierają do ciebie?

– Przez telefon.

– Czy udało ci się nagrać jakąś rozmowę? – zagadnęła Cole.

Trent obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

– Przecież nagrywanie działa tylko wtedy, gdy nie odbiera się połączenia. – Usiadł w fotelu, ale nie poprosił, żeby zrobili to samo.

– Możemy podjąć próbę ich przetrasowania – odparła Cole.

– Kazałem już swoim ludziom to zrobić.

– I co?

– Ktoś dzwonił z budki i zapłacił za rozmowę jednorazową kartą telefoniczną.

– Jasne. Ile było takich telefonów z pogrozkami, kiedy i spod jakich numerów dzwoniли rozmówcy?

– Trzy. Wszystkie koło dziesiątej wieczorem przez ostatnie trzy dni. I wszystkie na mój telefon komórkowy.

– Czy na wyświetlaczu pojawił się numer rozmówcy? – zapytał Puller.

– Oczywiście.

– I mimo to odbierałeś połączenia, chociaż nie rozpoznawałeś numeru?

– Mam rozległe kontakty biznesowe poza tym regionem, nawet poza granicami kraju. Dla mnie rozmowy telefoniczne o tak późnej porze nie są niczym niezwykłym.

– Ile osób zna numer twojego telefonu komórkowego? – włączyła się Cole.

Trent wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Nie rozdaję go na lewo i prawo, ale też nigdy nie trzymałem go w tajemnicy.

– Jak dokładnie brzmiały te pogrozki?

– Usłyszałem, że zbliża się mój czas i że są ludzie, którzy zadbają o to, by sprawiedliwości stało się zadość.

– Padały dokładnie te słowa? Za każdym razem?

– Cóż, nie jestem pewien, czy dokładnie te, ale taki był sens – odpowiedział niecierpliwie.

– Ale rozmówcy powtarzali, że zadbają o to, by sprawiedliwości stało się zadość? I na pewno operowali liczbą mnogą? – zapytał Puller.

– Używali dokładnie tego zwrotu.

– Dzwonił mężczyzna czy kobieta?

– Powiedziałbym, że raczej mężczyzna.

– Zdarzały się już wcześniej takie pogróżki? – zaciekał się Puller.

Trent popatrzył na Cole.

– Kilka razy.

– I były podobne do tych? Może rozmówca miał podobny głos?

– Tamte nie były telefoniczne.

– Więc jakie?

– Już je zbadaliśmy – ucięła ostro Cole. – I odpowiednio zareagowaliśmy.

Puller wpatrywał się w nią przez kilka chwil, zanim ponownie przeniósł wzrok na Trenta.

– W porządku. Dlaczego zatem uważasz, że ktoś ci znowu grozi?

Trent wstał i spojrzał z góry na Cole.

– Co ten facet tu robi? Myślałem, że załatwimy tę sprawę między sobą.

– Współpracujemy w sprawie ostatnich zabójstw.

– To wiem. Rozmawiałem z Billem Straussem. Ale co, do cholery, to może mieć wspólnego z moją sytuacją?

– No cóż, wśród zamordowanych jest także twoja pracownica, Molly Bitner.

– Nadal nie widzę żadnego związku. Bo skoro ona nie żyje, to zapewne nie miała nic wspólnego z tymi pogróżkami.

– Czy kiedykolwiek spotkałeś się z nią? – zapytał Puller.

– Jeśli nawet tak, to nie pamiętam. Nie jestem w ogóle pewien, w którym wydziale pracowała. Zwykle unikam kontaktów z pracownikami tak niskiego szczebla.

Puller z trudem zwalczył pokusę, żeby złapać tamtego za gardło i przycisnąć do ściany.

– Prowadzisz w tej okolicy inne biuro?

– Owszem, mam ich kilka.

– Roger, dokonywaliście eksplozji w niedzielę w nocy w rejonie bliskim osiedla, w którym doszło do zabójstw. Dlaczego właśnie w niedzielę i dlaczego w nocy? Musiałeś zdobyć specjalne pozwolenie na taką akcję.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Skąd, do cholery, miałbym to wiedzieć? Nie uczestniczę w planowaniu wybuchów. Opłacam ludzi, którzy za to odpowiadają.

– Jasne. Rozumiem. Więc kto za to odpowiada?

– Strauss powinien wszystko wiedzieć.

– W takim razie porozmawiamy ze Straussem – wtrącił Puller.

Trent popatrzył na Cole.

– Mnie zależy tylko na tym, żebyście coś zrobili w mojej sprawie.

– Będę mieć ją na uwadze, Roger – odparła kwaśno. – Ale musisz pamiętać, że teraz zajmujemy się przede wszystkim wielokrotnym zabójstwem.

Zignorował to.

– Brzydzę się ludźmi, którzy atakują mnie tylko dlatego, że odniosłem ogromny sukces. To czysta zazdrość i mam tego dosyć. Cholera, dzięki mnie w Drake jeszcze tli się życie. Tylko dzięki mnie są tu jeszcze jakieś miejsca pracy. Wszyscy straceńcy powinni mnie całować po tyłku.

– To prawda, bez wątpienia pańskie życie jest niezmiernie trudne, panie Trent – rzekł Puller.

Gospodarz zmarszczył brwi.

– Ty oczywiście nie masz najmniejszego pojęcia, ile kosztuje zabicie takiej fortuny. Większość ludzi tego nie wie. Nieliczne jednostki potrafią się czegoś dorobić, bo cała reszta zawsze ma pod wiatr. Ale właśnie ta reszta wychodzi z założenia, że jej się wszystko należy i nie trzeba się specjalnie wysilać.

– Zgadza się, proszę pana – odparł Puller. – Obecnie mamy epidemię leniwych nieudaczników na Bliskim Wschodzie, która wiedzie dostatnie i beztroskie życie na koszt naszych podatników.

Trent poczerwieniał z wściekłości.

– Nie to miałem na myśli, rzecz jasna. Całym sercem wspieram wysiłki naszych oddziałów.

– Tak jest, sir.

– Ale teraz, jeśli wybaczyacie, spieszę się na samolot.

– Z Charlestonu? – zdziwił się Puller. – To kawałek drogi stąd.

– Mam własny odrzutowiec.

– Jasne.

Trent wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Puller spojrział na Cole.

– Co z tymi wcześniejszymi pogroźkami? Sprawdzałaś je? Odkryłaś, kto mu groził?

– Śledztwo zostało umorzone. Poza tym muszę mu przyznać rację, ty nie

masz nic wspólnego z tą sprawą.

– Przecież sama prosiłaś, żebym z tobą przyjechał.

– I to był błąd.

– Boisz się tego człowieka?

– Lepiej w to nie wnikaj, Puller – warknęła.

Drzwi się otworzyły.

Ale nie pojawiła się w nich pokojówka ani Roger Trent. Nie była to również nastolatka, która przemknęła na schodach. Kobieta była po trzydziestce. Drobna, ciemnowłosa, o ślicznych, delikatnych rysach, z pozoru nazbyt doskonałych, aby mogły się wydawać prawdziwe. Miała na sobie prostą letnią sukienkę, lecz najwyraźniej z bardzo drogiej tkaniny. Nosila się z wystudiowaną godnością i spoglądała dokoła wzrokiem, któremu nic nie mogło umknąć.

Puller już raz spotkał kobietę o takim spojrzeniu.

Popatrzył szybko na Cole i z powrotem przeniósł wzrok na kobietę. A potem znów spojrział na Samanthę, która powiedziała:

– Jak się masz, Jean?

Jean Trent odparła:

– Doskonale. A co u ciebie, siostrzyczko?

Puller obrzucił uważnym spojrzeniem Jean Trent i szybko przeniósł wzrok na Sam Cole. Nie były bliźniaczkami. Nawet nie były do siebie bardzo podobne. Wystarczyło jednak porównać ich oczy, żeby nabrać pewności, że kobiety są spokrewnione.

– Mam rozumieć, że Sam jest twoją siostrą? – zapytał.

Trent skinęła głową.

– Młodsza o dwa lata i dwa dni.

– Ale wszyscy myślą, że to ona jest młodsza – wtrąciła Cole.

– Bo regularnie poddaję się masażom, mam osobistego trenera i dietetyka. Ty pochłaniasz wszystko migiem, błyskawicznie, żeby nie odrywać się od pracy, Sam, i żywisz się byle czym. A to zbiera swoje żniwo.

– Pewnie tak – mruknęła Samantha i dodała: – Więc pojawiły się kolejne śmiertelne pogrożki?

– On tak twierdzi.

– Nie wydaje się nazbyt zaniepokojony – wtrącił Puller.

– Roger zawsze podróżuje z ochroniarzem. A w domu ma ochronę co najmniej wystarczającą. Do tego posiada licencję na przewóz broni palnej i ochoczo z niej korzysta. Tutejsi mieszkańcy go nie lubią. Ale nikt jeszcze do tej pory go nie zaatakował.

– Skoro tak mówisz... – Puller spojrzał na Cole. – Gotowa do akcji?

– Chodźmy stąd.

Kiedy mijają siostrę, Jean rzuciła:

– Wpadniesz dziś wieczorem na kolację? – Spojrzała na Pullera. – Zresztą możecie przyjść razem.

– Po co? – zapytała Cole.

– Roger wyjeżdża z miasta i twoja siostrzenica o ciebie pytała.

Cole zrobiła taką minę, jakby to zdanie obudziło w niej poczucie winy.

Jej siostra musiała także to zauważyć.

– Może być o wpół do dziewiątej? My tu jadamy późno.

– W porządku – rzuciła Samantha.

– Jeśli miałś nadzieję na uroczystą kolację, to wiedz, że nie zabrałem z domu galowego munduru – zastrzegł się Puller.

– Preferujemy raczej sportowe stroje. – Jean obejrzała się na siostrę. – Dokąd się teraz wybierasz?

– Popatrzeć na sekcję kilku martwych osób.

– No to baw się dobrze.

Poszli do samochodu Cole.

– Jak to się stało, że zapomniałeś mi powiedzieć o powiązaniach rodzinnych?

– odezwał się Puller. – On jest od niej dobre dziesięć lat starszy. Została jego drugą żoną?

– Nie. Po prostu ożenił się w późnym wieku, a ona wcześniej wyszła za mąż. Jej dzieci są też jego dziećmi.

– Wspomniała o swojej siostrzenicy. Wcześniej widziałem na schodach nastolatkę.

– To Meghan. Ma czternaście lat. U dziewczyn to nieciekawy wiek.

– Wspomniałeś, że mają też jedenastoletniego syna.

– Rogera. Ale teraz go nie ma.

– Gdzie jest?

– W akademii wojskowej.

– Trent nie wygląda mi na miłośnika sił zbrojnych.

– Bo nim nie jest. Dużo bardziej od służby państwowej interesuje go prywatny zysk. Ale jego syn ma poważne kłopoty z dyscypliną i chyba moja siostra nie miała ochoty z tym walczyć. Dlatego wysłali go do jakiegoś ośrodka szkoleniowego w Pensylwanii, gdzie charakter kształtuje się różgą i szybko uczy mówić „sir”.

– Nie jest aż tak źle. Dyscyplina to ważny element prawdziwego życia.

– Może i tak. Ale myślę, że za wcześnie zrezygnowali z walki o niego. To jeszcze dziecko. A dyscyplina zaczyna się w domu. Skoro wysyłasz dziecko w tym wieku do szkoły wojskowej, zapewne nabiera przekonania, że masz je gdzieś.

– A jak jest naprawdę? Mają go gdzieś?

– Nie mnie to oceniać.

– Nie utrzymujesz bliskich kontaktów ze swoją rodziną?

– A kogo naprawdę obchodzą więzi rodzinne?

To bardziej prawdziwe, niż ci się wydaje, pomyślał Puller.

– Jak wyglądały wcześniejsze pogroźki? – zapytał.

Odwróciła się do niego i oparła rękę na biodrach.

– Przecież mówiłam, że sprawa została zamknięta.

– Pamiętam, co mówiłaś.

– Więc czemu do tego wracasz?

– Bo chcę wiedzieć więcej, niż mi powiedziałaś. To podstawowy powód, dla którego zadaję pytania.

– Ale ja nie mam ochoty być przedmiotem twoich dociekań.

– Gdzie mieszka twój brat?

– W Drake.

– Czym się zajmuje?

– Wszystkim, co wymaga jak najmniej wysiłku. Czy to przesłuchanie?

– Po prostu staram się zrozumieć sytuację, nic więcej. Jeśli poczułaś się urażona, to przepraszam.

Jego szczerość ją rozbroiła.

– Randy jest najmłodszy. Ledwie przekroczył trzydziestkę, a już na dobre zagubił właściwą drogę. Mamy nadzieję, że na nią wróci. I to niedługo.

– Jak rozumiem, jego nikt nie odesłał do akademii wojskowej.

– A chyba ktoś powinien był to zrobić.

Wsiadli do samochodu.

– Masz już jakieś informacje o tym facecie, którego poszukujesz? – zapytał Puller, zapinając pas.

– Nie. Coś mi podpowiada, że dawno temu wyjechał z Drake.

Ona także zapięła pas i uruchomiła silnik.

– Co zrobiłeś z laptopem i teczką pułkownika? – zapytała.

– Przekazałem kurierowi, który ma je dostarczyć do centrali Wojskowego Wydziału Śledczego.

– To właściwe miejsce?

– Najlepsze. Sama nabrałabyś takiego przekonania, ledwie przekroczyłabyś próg.

– Co bym tam zobaczyła?

– Najpierw w oczy rzuca się logo laboratorium. Wydział kupił je za grosze od pewnego faceta jeszcze w latach pięćdziesiątych.

– Co przedstawia?

– Detektywa Myszka Miki. Facet, który odsprzedał do niego prawa, nazywał się Walt Disney.

– Laboratorium kryminalistyczne ma w swoim logo postać z kreskówki?

– Kiedy ma się odpowiednie wyniki, nikogo nie obchodzi czyjeś logo.

– Skoro tak mówisz.

Wyjechali z posiadłości Trentów i ruszyli w drogę powrotną do prawdziwego świata.

Doktor Walter Kellerman musiał być kiedyś potężnym mężczyzną, ale sporo stracił na wadze, jak zauważył Puller, kiedy przybyli na sekcję zwłok. Wywnioskował to na podstawie zwiotczącej skóry na jego twarzy, jak też po pasku spodni zapiętym na dodatkowo wycięte dziurki, żeby mógł przytrzymywać za luźne spodnie.

Zwłoki zostały przewiezione z domu pogrzebowego do pracowni Kellermana, która mieściła się w dwupokojowej ceglanej przybudówce na tyłach jego gabinetu, bez wątplenia będącej niegdyś czymś domem, oddalonej o dwa kilometry od centrum miasta. Specjalnie zamontowano tu szafę chłodniczą z wysuwanymi szufladami do przechowywania zwłok.

– On jest chory czy stosuje ścisłą dietę? – zapytał półgłosem Cole, gdy wkładali fartuchy chirurgiczne i gumowe rękawice.

– Pewnie jedno i drugie. Chodzi na długie spacer, unika czerwonego mięsa i mniej je. Jakiś rok temu w szpitalu wycięli mu woreczek żółciowy i lewą nerkę. Świetnie zdaje sobie sprawę, że jeśli chce dociągnąć do siedemdziesiątki, musi narzucić sobie dyscyplinę.

– Brałaś już udział w sekcjach zwłok? – zapytał Puller.

– Więcej razy, niżbym sobie życzyła – odparła.

– Lindemann powiedział, że do ostatnich zabójstw doszło u was dziesięć lat temu.

– Ale przeprowadza się też sekcję z innych powodów. Zazwyczaj wtedy, gdy dochodzi do śmiertelnych wypadków. A w rejonie górniczym zdarza się ich sporo. Jak również wypadków samochodowych. Na pewno miałeś do czynienia z kilkoma takimi sprawami.

– Jasne.

– Jeśli się zastanawiasz, czy zacznę rzygać, kiedy zobaczę pierwsze cięcia, odpowiedź brzmi: nie.

Kellerman miał równo przystrzyżoną siwą brodę, niebieskie oczy, resztkę włosów na głowie i pogodne usposobienie. Kiedy poznał Pullera, powiedział:

– Odsłużyłem jedną rundę w wojskach desantowych, dwa lata w Wietnamie,

ale gdy sierżant Bill zobowiązał się opłacić studia, natychmiast skorzystałem z okazji i w ten sposób zostałem lekarzem.

– Jak widać, Wujek Sam miewa niezłe pomysły – odparł.

– Nigdy tego nie żałowałem. Służba wojskowa wzmacnia człowieka.

– Jeśli uda mu się przeżyć – wtrąciła Cole.

Puller zwrócił uwagę na zwłoki leżące na stalowym wózku, zakryte białym prześcieradłem.

– Od kogo zaczynamy?

– To pułkownik Reynolds. – Kellerman obejrzał się na stół sekcyjny. – Mam do pomocy dwóch wyszkolonych pielęgniarzy, ale i tak zapowiada się bardzo długi dzień.

– Jesteśmy tu tylko po to, aby się przyglądać i zadawać pytania – pocieszyła go Cole.

– Możecie śmiało robić jedno i drugie. Z samego rana obejrzałem pobieżnie wszystkie ciała. Rany stanowią ciekawą mieszanicę. Jedne od strzału z obrzyna, drugie z małokalibrowego pistoletu, przyczyną śmierci jak nie uduszenie, to silny cios tępym narzędziem.

– Podejrzewa już pan, od czego zginęło nastoletnie rodzeństwo? – zapytał Puller.

– Prawdopodobnie od ciosów gołą ręką.

– Jesteś pewien? – zdziwiła się Cole.

– Nie jestem pewien. Odpowiedziałem na pytanie, czy mam jakieś podejrzenia. To wszystko.

– Tylko skąd to podejrzenie?

– Drewniany kij, przedmiot metalowy czy inne narzędzie zostawiłyby na skórze jakieś charakterystyczne znaki i osady. Mieliśmy nawet wypadek, kiedy na piersi zabitego pozostało odcisnięte logo firmy produkującej kije baseballowe Louisville Slugger. Ale ciosy zadane gołą ręką także zostawiają charakterystyczne ślady. I takie znalazłem na karku chłopca.

– Co to za ślady? – zapytał Puller.

– Drobne okruchy czarnej skóry.

– To znaczy, że zabójca był w rękawiczkach?

– Wszystko na to wskazuje.

– Wcale nie tak łatwo jest trafić w rdzeń kręgowy w takim miejscu, żeby

spowodować śmierć – ciągnął Puller. – To przestrzeń o długości około siedmiu centymetrów.

– Powiedziałbym zatem, że trzeba szukać sprawcy mającego specjalne przeszkolenie, na przykład w sztukach walki.

– Albo wojskowe – podsunęła Cole.

– Zgadza się. Albo wojskowe – przyznał Kellerman.

Zsunął z czoła na twarz przezroczystą plastikową maseczkę, ściągnął prześcieradło ze zwłok pułkownika i zaczął rozkładać narzędzia.

– Możemy zaczynać?

Nawet z pomocą dwóch asystentów sekcja siedmiu ciał musiała potrwać wiele godzin, jeśli autopsja miała być rzetelna. Puller pochował do specjalnych pojemników szereg próbek, które wraz ze szczegółowymi opisami oraz instrukcjami zamierzał wysłać do laboratorium w Forcie Gillem. Zanotował w pamięci, żeby sprawdzać postęp prac analitycznych drogą mailową i telefoniczną.

W końcu Kellerman zostawił pielęgniarzom do zaszycia rozległe cięcia klatek piersiowych, przebrał się i poszedł do domu. Cole i Puller wyszli przed budynek. Puller nie tylko dysponował próbkami, które teraz ostrożnie umieścił w samochodzie, ale miał też dyktafon prawie wypełniony swoimi uwagami i obserwacjami, natomiast Cole poczyniła wiele notatek. Jednak cała ta działalność nie doprowadziła do ujawnienia czegoś, co mogłoby mieć kluczowe znaczenie podczas rozprawy sądowej.

Włóknina z przybitki naboju obrzyna wydobyta z dziury w głowie Reynoldsa, miała posłużyć do zidentyfikowania rodzaju użytej broni. Okazało się też, że część białych włókien przyklejona do skóry na twarzy, nie pochodzi z przybitki. Kellerman wyraził przypuszczenie, że to resztki opaski, którą litościwie zasłonięto pułkownikowi oczy.

– Pewnie po to, żeby nie próbował się odruchowo bronić czy zasłaniać rękoma – rzekł Puller.

– W ten sposób nie wiedział, co go czeka – dodała Cole.

Cały korpus Stacey Reynolds był posiekany śrutem z obrzyna. Obydwoje dzieci zmarło wskutek uszkodzenia rdzeni kręgowych od ciosów w kark, jak wszystko na to wskazywało. Eric Treadwell i Molly Bitner zginęli od kul małego kalibru 22, które utkwily w ich głowach. Udało się je wydobyć w niezłym stanie, teraz wystarczyło tylko dopasować broń, z której zostały

wystrzelone.

Wellman dostał bardzo silny cios w głowę, który go zamroczył. Nie zginął jednak od przerwania rdzenia kręgowego będącego najczęstszym skutkiem powieszenia, bo do tego potrzebna by była znaczna różnica wysokości, której nie zapewniała niska piwnica. Zmarł zatem wskutek powolnego uduszenia sznurem zaciśniętym na szyi.

Cole i Puller stanęli obok siebie, oparali o karoserię samochodu. Sierżant wyciągnęła z paczki papierosa i zapaliła.

– Nie patrz tak na mnie – mruknęła. – Weź pod uwagę, że dzielnie przetrzymałam aż siedem sekcji. To bardzo stresujące.

– Niewiele zostawili po sobie śladów – odparł.

– Masz jakieś poszlaki?

– Żadnej, która wytrzymałaby próbę czasu.

Spojrzała na zegarek.

– Jesteśmy umówieni na kolację u mojej siostry.

– Czemu i mnie zaprosiła?

– Nie mam pojęcia, jeśli pominąć to, że jesteś młodszy, wyższy i lepiej zbudowany od jej męża.

– Chcesz powiedzieć, że ona go zdradza?

– Nic nie chcę powiedzieć, bo nie mam pojęcia. Roger sporo przeszedł.

– Ale ona nie wydaje się nazbyt przejęta tymi pogroźkami.

– Roger nie jest tu szczególnie popularny. Podejrzewam, że już się z tym oswoił.

– Jeśli nawet początkowo się wystraszyła, to szybko jej przeszło. Za to on był zarówno rozwścieczony, jak i przestraszony.

– W końcu to on jest celem, a nie ona.

– To prawda.

– Mogę cię teraz podrzucić do twojego auta, a później podjechać po ciebie do motelu. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. A muszę się dokładnie wyszorować, żeby zmyć z siebie ten trupi fetor.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek zdołał go z siebie zmyć do końca.

– No to możesz mi wierzyć, że spróbuję.

34

Puller pojechał najpierw na pocztę, która znajdowała się kilka minut drogi od motelu U Annie. Zjawił się tuż przed zamknięciem. Wysłał paczką poleconą pojemniki z próbkami do Atlanty, po czym skupił uwagę na młodej urzędniczce, która spoglądała na niego wyczekująco.

Przytknął do szyby w okienku rozłożoną legitymację.

– Jestem z Wojskowego Wydziału Śledczego.

– Wiem – odparła dziewczyna.

– Skąd? – zdziwił się.

– To małe miasteczko. A ty jesteś za duży, żeby cię przegapić.

– Chciałbym poznać nadawcę pewnej paczki.

– Jakiej?

Wyjaśnił, że chodzi o przesyłkę poleconą, którą Howard Reed w poniedziałek zawiózł Reynoldsom mieszkającym chwilowo pod adresem Halversonów.

Skinęła głową.

– Howard wspomniał o tym z samego rana, kiedy przyszedł odebrać pocztę do swojego rejonu.

– Bardzo mi zależy na tym, żeby ujawnić, kto był nadawcą tej paczki.

Kobieta obejrzała się przez ramię.

– Naprawdę musiałabym poprosić kierownika o zgodę na udzielenie takich informacji.

– Nie ma sprawy.

– Ale dziś już wyszedł z pracy.

Puller oparł swoje wielkie dłonie na kontuarze.

– Jak ci na imię?

– Sandy. Sandy Dreidel.

– W porządku, Sandy, pozwól więc, że coś ci wyjaśnię. Ujawnienie nadawcy paczki może mieć kluczowe znaczenie dla ustalenia, kto zabił tych ludzi. Im dłużej będziemy zwlekać, tym dalej uciekną mordercy. Przecież wystarczy, że

podasz mi nazwisko i adres człowieka, który wysłał tę paczkę, to wszystko.

– Rozumiem, ale... mamy swoje zasady i procedury.

Puller uśmiechnął się.

– Oczywiście. W końcu służę w wojsku. Mogę ci zagwarantować, że na każdy wasz przepis wojsko ma co najmniej dziesięć swoich.

Sandy odpowiedziała uśmiechem.

– Jasne. Założę się, że wiesz, co mówisz.

– Czy jest jakiś sposób na to, żebym szybko poznał tę informację?

– Tak, pewnie. Mamy wszystko w zestawieniach.

– Zatem wystarczyłoby zapewne parę uderzeń w klawiaturę twojego komputera, żeby się tego dowiedzieć?

Zrobiła zakłopotaną minę.

– Cóż, nie wszystko zostało już wpisane do komputera. Ale są przecież dzienne raporty.

Puller wyciągnął notes i długopis.

– Gdybyś zechciała mi poświęcić kilka minut i wpisać do programu nazwisko i adres nadawcy, mogłabyś nam bardzo pomóc w schwytaniu ludzi, którzy mają na sumieniu te wszystkie morderstwa.

Sandy zawahała się, spojrzała ponad jego ramieniem na okno wychodzące na ulicę, po czym wzięła jego notatnik i długopis.

Trwało to pięć minut, a gdy wróciła, bez słowa położyła notatnik z długopisem w okienku przed Pullerem. Spojrzał na zapisane w nim dane i podniósł wzrok na dziewczynę.

– Bardzo mi pomogłaś, Sandy. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

– Ale nie mów nikomu, że to zrobiłam – powiedziała z przejęciem.

– Na pewno nikt się nie dowie tego ode mnie.

Po powrocie do motelu Puller popatrzył na nazwę i adres nadawcy, które Sandy zapisała w jego notatniku.

Nazwa firmy nic mu nie mówiła. Adres w Ohio. Otworzył wyszukiwarkę w swoim laptopie i wpatrywał się w stronę główną firmy. Jak tylko spostrzegł, czym się ona zajmuje, ucieszył się na myśl, że wreszcie nastąpi przełom w sprawie. Niemniej wcale nie było to oczywiste. Zadzwoił pod numer podany na stronie internetowej, ale usłyszał tylko nagrany wiadomość. Firma miała

wznowić działalność o godzinie dziesiątej następnego dnia.

Napotkawszy chwilową przeszkodę, zadzwonił do szpitala, do którego zabrano właścicielkę motelu, Louise. Nie trafił na nikogo, kto zechciałby powiedzieć, jak pacjentka się czuje, udało mu się jednak zamówić dla niej bukiet kwiatów w przyszpitalnym sklepie, za które mógł zapłacić kartą. Poprosił o dołączenie liściku z tekstem: „Kot czuje się dobrze. Mam nadzieję, że ty też. Twoje dobre ziółko, Puller”.

Odłożył słuchawkę, rozebrał się i wszedł pod prysznic. W wojsku nauczył się myć błyskawicznie, a przebierać jeszcze szybciej, więc już po pięciu minutach był czysty i w świeżym ubraniu.

Wkładał właśnie M11 do przedniej kabury, kiedy zauważył karteczkę wsuniętą pod drzwi jego pokoju.

Pospiesznie wyjrzał przez okno, ale nikogo nie zobaczył. Mały dziedziniec był pusty, nikt się po nim nie kręcił, nie było żadnych samochodów. Ściągnął poszewkę z jaśka, klęknął i przez tkaninę podniósł kartkę.

Odwrócił ją. Została przygotowana na drukarce laserowej, tekst był krótki i jasny:

Wiem coś, co chciałbyś wiedzieć.

Poniżej znajdował się adres.

I jeszcze jedno samotne słowo.

Teraz.

Sięgnął po swój telefon, włączył mapę satelitarną i popatrzył na ekranik. Od wskazanego miejsca dzieliło go piętnaście minut jazdy samochodem. I to w kierunku jeszcze większego odludzia niż to, w którym się znajdował.

Do miejsca idealnego na zasadzkę.

Do strzału z broni dalekosiężnej.

Albo z obrzyna z bliskiej odległości.

Albo napaści dziesięciu facetów na jednego.

Czyżby Dickie i jego duży przyjaciel ze złamanym nosem postanowili wziąć rewanż i ściągnąć posiłki na kolejne spotkanie?

Spoglądając na telefon, pomyślał, że chyba powinien zadzwonić do Cole i wprowadzić ją w sprawę. Wybrał numer. Rozległ się jeden sygnał, potem drugi, wreszcie włączyła się poczta głosowa. Pewnie jeszcze tkwiła pod prysznicem, usiłując zmyć z siebie fetor prosektorium.

Zostawił jej krótką wiadomość o swoich najnowszych ustaleniach. Podyktował adres z kartki i przerwał połączenie.

Szybko wykonał jeszcze jeden telefon, do Kristen Craig z USACIL. Zapowiedział, jakich próbek ma się spodziewać w kolejnej przesyłce, i wyjaśnił, jakiego rodzaju wyników oczekuje.

– Znaleźliście już coś w pamięci laptopa i teczce? – zapytał. – Udało się wam w ogóle złamać szyfr dostępu do zamka elektronicznego?

– Owszem, otworzyliśmy teczkę – odparła. – Ale muszę powiedzieć, że jestem bardzo rozczarowana.

– Dlaczego?

– W środku była tylko stara kanapka, kilka wizytówek przedsiębiorców z sektora prywatnego i parę czasopism. Jedyne krótkie sprawozdanie nie było nawet opatrzone klauzulą tajności.

– A co z laptopem?

– Trochę pornosów i mnóstwo śmieci. Oczywiście trzymał na nim pliki związane ze służbą, ale nie było wśród nich niczego, co groziłoby upadkiem cywilizacji Zachodu, gdyby wpadły w ręce złych ludzi.

– Powiadomiłaś już o tym wywiad wojskowy?

– Jasne. Przejmują wszystko. Ktoś ma się osobiście zgłosić po te pliki.

– Pornosy także?

– Pewnie wiesz, że znajdujemy je prawie na wszystkich twardych dyskach wojskowych komputerów. Zresztą tu nie było nawet twardej pornografii. Zwykle śmieci, które można oglądać w pokoju hotelowym i nie zobaczyć ich na rachunku następnego dnia rano. Zwyczajna tandeta bardzo słabej jakości. Ale w końcu nie jestem facetem.

– Kobiety mają znacznie wyższe standardy. Więc skąd te wszystkie syreny alarmowe, zwłaszcza ze strony służb wywiadowczych?

– Daj spokój, rozmawiasz z technikiem, to ty jesteś detektywem – odparła żartobliwym tonem.

Kiedy się rozłączył, przez chwilę w zamyśleniu spoglądał na telefon, później popatrzył na kartkę, rozważając kilka pomysłów.

Miał nadzieję, że Cole oddzwoni, ale się nie doczekał.

Wyszedł i starannie zamknął za sobą drzwi pokoju motelowego.

Uruchomił silnik malibu, wprowadził do nawigatora GPS adres podany na

kartce i ruszył w drogę.

35

Samotna, zardzewiała, pochylona skrzynka na listy.

Minął bitą drogę, u której wylotu stała.

Po obu stronach ciągnął się las.

Zaskoczyło go, że takie miejsce ma adres, który figuruje w bazach danych GPS-u. Big Brother naprawdę wiedział o wszystkim.

Zaparkował sto metrów dalej, wysiadł, zagłębił się w las i skierował z powrotem na zachód. Zza kępy drzew obrzucił uważnym spojrzeniem mały dom. Z oddali doleciał wyraźny odgłos grzechotnika, który ostrzegł o obecności intruza.

Pozostał na miejscu. Przysiadł za drzewami i dalej bacznie obserwował dom.

Przed drzwiami stała stara półciężarówka. Przy dalszym narożniku leżały na ziemi części z innego auta. Wyglądało na to, że z tamtej strony znajduje się garaż. Jego pojedyncze drzwi były zamknięte. Nic nie wskazywało na to, żeby gospodarstwo zostało niedawno opuszczone. Nie było jeszcze na tyle ciemno, żeby trzeba zapalać światła, chociaż gęsty las spowijał zabudowania głębokim cieniem.

Panowała cisza. Nie było widać żywej duszy.

Kucał dalej, zastanawiając się, co zrobić.

Wydawało się oczywiste, że ktoś, kto mieszka tak daleko od miejsca zbrodni, zapewne niczego nie widział. Mógł jednak coś wiedzieć. Zresztą dokładnie tak było napisane w wiadomości.

Pobieżna analiza prowadziła do prostej alternatywy: albo rzeczywiście ktoś mógł go naprowadzić na trop, albo chciał zrobić mu krzywdę. Dickie i spółka szukali okazji do zemsty albo kontratak przygotował ktoś pragnący wykoleić dochodzenie.

Telefon miał przełączony na wibracje i teraz właśnie je poczuł.

Spojrzał na ekran i odpowiedział półgłosem.

– Gdzie jesteś, Puller? – zainteresowała się Cole.

– Pod podanym adresem. W lesie na wschód od domu. A ty?

– Od strony zachodniej, też w lesie.

– Świetnie się składa. Widzisz stamtąd coś? Tutaj martwa cisza.

– Tu też.

– Czy wiesz, kto tu mieszka?

– Nie.

– Na skrzynce na listy nie było nazwiska.

– Co zamierzasz?

– Dowiedzieć się, dlaczego nas tu ściągnięto.

– Jak chcesz to zrobić?

– W najprostszy sposób. Podejdę od wschodu, a ty od zachodu. Zatrzymaj się na linii drzew i obserwuj uważnie.

Schował telefon i ruszył przed siebie z gotowym do strzału pistoletem w rękę. Zakładał, że Cole ze swoją cobrą dobytą z kabury robi to samo z przeciwnej strony.

Minutę później telefon znów zawibrował.

– Jestem na miejscu – powiedziała Cole. – Co teraz?

Nie odpowiedział od razu. Rozglądał się uważnie, analizując widok przed sobą kwadrat po kwadracie, według siatki współrzędnych. Talibowie i bojownicy Al-Kaidy szykowali bardzo sprytne pułapki na amerykańskich żołnierzy. Różnymi sposobami upodabniali najbardziej zabójcze elementy do rzeczy całkiem niewinnych, wykorzystując w tym celu dzieci, kobiety i zwierzęta domowe.

– Puller?

– Zaczekaj minutę.

Zrobił jeszcze kilka kroków w przód, po czym zawołał:

– Halo?! Jest tu ktoś?!

Nie było odpowiedzi. Prawdę mówiąc, wcale jej się nie spodziewał.

Przesunął się jeszcze kawałek, aż całkiem wyszedł spomiędzy drzew. Zadbął jednak, żeby półciągarówka zasłaniała go od strony domu.

Odezwał się do telefonu:

– Widzisz mnie?

– Tak, ale słabo.

– Dzieje się coś po twojej stronie?

– Nic. Wygląda na to, że nikt tu nie mieszka. Coś mi się zdaje, że to

rozsypująca się rudera.

– Bywałaś wcześniej w tej okolicy?

– Nie, tylko przejeżdżałam tędy. Nawet nie zwróciłam uwagi na tę bitą drogę dojazdową. Jak myślisz, o co tu chodzi?

– Zostań na linii. Chcę się o czymś przekonać.

Wsunął telefon do kieszeni i przesunął się ostrożnie w bok, dopóki jego oczom nie ukazały się frontowe drzwi na werandzie. Przyjrzał się ich górnej części, potem dolnej, wreszcie obu bokom. Ale jego uwagę przyciągnęła podłoga werandy. Sięgnął do kieszeni kurtki po lunetkę, którą zawczasu wyjął z plecaka.

Popatrzył przez nią, tak ustawivszy ostrość, żeby dokładnie widzieć ten fragment werandy. Ponownie przyjrzał się górnej części drzwi, potem dolnej, bocznym listwom framugi, w końcu podłodze werandy.

Sięgnął po telefon i przytknął go do ucha.

– Nie ruszaj się z miejsca i nie wystawiaj głowy.

– Co widzisz? Coś tam się dzieje?

– Usłyszysz to głośno i wyraźnie za jakieś pięć sekund, jeśli mnie wzrok nie myli.

– Puller...

Ale on już schował telefon.

Zamocował lunetkę na kolbie swojego M11.

Rozejrzał się po raz ostatni i zawołał:

– Halo! Tu John Puller! Kazałeś mi tu przyjechać. Chciałbym porozmawiać.

Odczekał pięć sekund. Czyżby tamci sądzili, że zwyczajnie podejdzie od samochodu do drzwi?

Podniósł pistolet i starannie wycelował w deski werandy przed drzwiami.

Oddał trzy strzały w krótkich odstępach czasu. Drzazgi z desek poleciały wysoko w powietrze. Trzecia kula zabrzęczała o metal.

To mogło oznaczać tylko jedno. Miał rację. Przykucnął szybko.

Drzwi wyleciały z zawiasów wraz z hukem wystrzału. Impet silnego ładunku z obrzyna bez trudu wyrwał je ze starych zawiasów. Każdy, kto by stał przed nimi, zostałby zwalony z nóg.

Każdy na moim miejscu, przemknęło mu przez myśl.

– Jezu!

Obejrzał się przez lewe ramię i zobaczył Cole spoglądającą z niedowierzaniem to na niego, to na mroczny otwór po wyrwanych drzwiach.

– Skąd wiedziałeś, że to pułapka? – zapytała.

– W podłodze werandy przed drzwiami były nowe deski. Umieścili pod nimi płytę na sprężynach, od której w głąb domu musiał biec naciągnięty drut przytwierdzony do spustu obrzyna umocowanego na wysokości brzucha człowieka. Pewnie słyszałaś, jak trzeci mój pocisk uderzył w żelazną płytę. – Odsunął się od półciężarówki. – Nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego pomyśleli, że po prostu podejść do drzwi, żeby mi łeb urwało.

– Cieszę się, że okazałeś się sprytniejszy, niż sądzili.

Ruszyła do przodu.

Puller dostrzegł jej ruch kątem oka i skoczył w jej kierunku. Trafił ją ramieniem w brzuch i powalił na ziemię, po czym złapał wpół i zarzucił sobie na ramię. Rzucił się w stronę lasu. Dwie sekundy później ściął go z nóg impet eksplodującej półciężarówki. Przednie koło huknęło o ziemię dwadzieścia centymetrów od nich. Dokoła posypały się szczątki. Puller zasłonił Cole swoim ciałem. Na nogi spadł mu kawałek szerokiego pasa gorącej gumy i przykleił się do spodni, ale nie wyrządził poważniejszych obrażeń. Najwyżej mogła mu zostać na łydkach czerwona pręga od poparzenia.

Kiedy wrak stanął w ogniu, Puller natychmiast zrozumiał, że ma kolejny problem. Chwycił Cole za rękę, z powrotem zarzucił ją sobie na ramię i pognął w kierunku lasu. Po kilku sekundach eksplodował zbiornik gazu, wyrzucając w powietrze drugą falę szczątków, które pospadały w znacznym promieniu wokół miejsca wybuchu.

Postawił Sam za drzewem, ukląkł na ziemi i obserwował spadające szczątki wraku. Dopiero gdy ustał deszcz ognia, pozwolił Cole wyjrzeć zza pnia.

– Skąd wiedziałeś? – wysapała, kucając obok niego.

– Zauważyłem drut detonacyjny rozciągnięty między dwoma krzakami.

– Ktoś ewidentnie chciał cię zabić. Zaminowany samochód, drzwi wylatujące z zawiasów... Gdyby jedna pułapka nie zadziałała, była jeszcze druga. – Rozejrzała się na boki i wstrząsnęła nią dreszcz. Jego powodem wcale nie był zapadający zimny wieczór. – W uszach mi dzwoni, jakbym siedziała na kościelnej dzwonnicy.

Puller nawet na nią nie spojrzał. Wpatrywał się w resztki wysadzonej półciężarówki.

– Wszystko w porządku, Puller? Trafiło cię coś?

Pokręcił głową.

– Co teraz?

– Powinienem był spostrzec ten drut zanim w niego weszłaś.

– I tak zobaczyłeś go w porę.

Obejrzał się na nią.

– To zdecydowanie za późno.

– Muszę ściągnąć ekipę techniczną, żeby zbadała te szczątki – powiedziała. – I straż pożarną. Jeżeli ogień przeskoczy na las, bardzo trudno będzie zapanować nad pożarem.

– Pod domem leży zwinięty długi wąż. Jeśli tylko jest jeszcze woda w studni, na pewno uda mi się zgasić płomienie.

– Nie boisz się, że zastawili więcej takich pułapek?

– Jeśli wejdę w którąś, to będę miał to, na co zasługuję.

– Nie wierzę, że cokolwiek ujdzie twojej uwadze, Puller.

Zignorował to.

– Masz do dyspozycji specjalistów od bomb?

– Lan Monroe trochę się na tym zna. A na drugim końcu miasta mieszka emerytowany agent ATF. Mogę go zatrudnić na zlecenie.

– Zrobiłbym to na twoim miejscu. Musisz dowiedzieć się jak najwięcej o zastawionych tu pułapkach.

Cole zajęła się telefonowaniem, on tymczasem odkręcił wodę i skierował strumień na płonący wrak auta. Po dziesięciu minutach zjawili się dwóch zastępców szeryfa i dwa wozy strażackie. Niedługo potem zadzwonił Lan Monroe i przekazał, że jest już w drodze. Cole dogadała się też z byłym agentem Federalnej Agencji do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych, który zgodził się włączyć do śledztwa.

Kiedy strażacy dogaszali mniejsze zarzewia ognia i zlewali wodą rozżarzony wrak półciężarówki, Puller podszedł do zastępców szeryfa i wskazując dom, powiedział:

– Na waszym miejscu nie wchodziłbym do środka. Ściągnąłbym zdalnie sterowanego policyjnego robota i wysłał go na zwiady, zanim pošlecie tam ludzi.

– Policja stanowa ma takiego robota – odparła Cole. – Zaraz do nich

zadzwonię.

Kiedy skończyła rozmowę, Puller rzekł:

– Cóż, jeśli dobrze pamiętam, jesteśmy zaproszeni na kolację.

– Nadal chcesz skorzystać z zaproszenia?

– Tak, jasne.

– A masz w samochodzie ubranie na zmianę?

– Jak zawsze.

– W takim razie możesz wziąć prysznic i przebrać się u mnie. Ode mnie jest bliżej do Trentów niż z motelu.

Zanim ruszyli do swoich aut, wszyscy funkcjonariusze zebrali się pod lasem, jak najdalej od domu i zdetonowanej półciężarówki.

U wylotu drogi dojazdowej natknęli się na szeryfa Lindemanna, który stał oparty o drzwi swojego forda. Otarł twarz chusteczką i splunął na ziemię.

– Coraz ciekawsze rzeczy dzieją się w Drake – powiedział, gdy się zbliżyli.

– Aż nazbyt ciekawe – przyznała Cole.

– Oszczędziłeś mi kłopotu szukania nowego sierżanta do wydziału dochodzeniowego, Puller. Jestem ci za to wdzięczny.

– Niewiele brakowało.

– Liczy się skutek – odparł Lindemann. Popatrzył na bitą drogę ginącą między drzewami i dodał: – Najwyraźniej komuś bardzo przeszkadzasz. Zastałeś kartkę z wiadomością w pokoju motelowym?

– Ktoś ją wsunął do środka pod drzwiami, kiedy brałem prysznic.

– To znaczy, że cię obserwują?

– Wszystko na to wskazuje.

– Czy któreś z was może jakoś wyjaśnić, co tu się dzieje, do cholery?

– Jeszcze nie – odpowiedziała Cole. – Ale sprawa nabrała charakteru osobistych porachunków. Zamierzam więc poświęcić jej każdą chwilę mojego życia, szeryfie.

Skinął głową i znowu splunął.

– Alergia. Nigdy wcześniej jej nie miałem. – Popatrzył na Pullera. – Chcesz jakąś ochronę z naszej strony?

– Nie, dam sobie radę.

– Jak sobie życzysz. Pojadę już. Moja pani czeka na mnie z ciepłą kolacją.

– Uważaj na siebie, szeryfie – pożegnała go Cole.

Kiedy odjechał, Puller zapytał:

– Zamierzasz ubiegać się o stanowisko szeryfa? Wygląda na to, że on ma go już dość.

– To dobry glina, ale pełni służbę od ponad trzydziestu lat i chyba się nie spodziewał, że przed emeryturą będzie miał do czynienia z czymś takim.

Otworzyła już drzwi swojego auta, lecz powiedziała jeszcze:

– Słyszałam, jak pomogłeś Louisie, właścicielce motelu U Annie. Zachowałeś się po prostu wspaniale.

– Potrzebowała pomocy, więc jej pomogłem. Nic wielkiego. Jak ona się czuje?

– Nie wiem, nie miałam okazji, żeby zadzwonić do szpitala. Ale na pewno by nie przeżyła, gdyby nie twoja pomoc.

– Znasz ją?

– Wszyscy znają Louise. To sól tej ziemi.

– Zatem to zaszczyt pomóc soli tej ziemi – odpowiedział cicho. – Tacy ludzie zasługują na powszechną uwagę.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Możesz wreszcie przestać się gryźć w sprawie tego detonatora?

– Gdybym go przeoczył w Azji, w jednej chwili straciłbym całą swoją drużynę.

– Ale my na szczęście wyszliśmy z tego cało.

– Owszem – mruknął głucho.

Wsiadł do swojego auta i pojechał za nią.

Po dwudziestu pięciu minutach jazdy Cole skręciła w ulicę prowadzącą przez osiedle starszych, ale zadbanej domów z szerokimi werandami i starannie utrzymanymi trawnikami. Wjechała na podjazd klockowatego budynku o ścianach wyłożonych szarymi gontami za białym drewnianym płotkiem i kolorowo zagospodarowanym frontowym podwórzem. Bardziej by pasował do Nowej Anglii niż do Wirginii Zachodniej.

Puller wysiadł z samochodu, wyjął z bagażnika czyste ubranie i dołączył do niej przy drzwiach.

– Ładnie tu. Od dawna mieszkasz w Drake?

– Tu się wychowywałam.

– Odziedziczyłaś dom po rodzicach?

– Wykupiłam go po ich śmierci.

– Zginęli razem?

– Tak.

Nie była skora do zwierzeń.

– Można odnieść wrażenie, że dom został przeniesiony ze szczytu skalistego wybrzeża Maine – rzekł Puller.

– Wiem. Dlatego tak bardzo go lubię.

– Czyżbyś była dziewczyną słonych mórz?

– Raczej chciałabym być.

Rozejrzył się po sąsiedztwie.

– Twój dom zdecydowanie się wyróżnia.

– Mój ojciec przez pewien czas służył w marynarce. Za młodu zwiedził kawał świata. Uwielbiał morze. Sam zbudował ten dom.

Puller przeciągnął palcami po solidnym słupku wspierającym dach werandy.

– Złota rączka. Z jakiego powodu osiedlił się właśnie tutaj, skoro tak bardzo lubił morze?

– Pochodził z Wirginii Zachodniej. Wrócił w rodzinne strony. Muszę wykonać kilka telefonów. Możesz skorzystać z łazienki na górze. Ręczniki i

wszystkie potrzebne rzeczy są na miejscu.

– Dzięki.

Znalazł łazienkę, odkręcił wodę, rozebrał się i wszedł pod prysznic. Po pięciu minutach był już suchy i przebrany. Wychodząc z łazienki, o mało nie wpadł na Cole, która szła korytarzem, ubrana w długi frotowy szlafrok.

– Dobry Boże, już jesteś gotowy? – zdziwiła się, widząc go.

Zdjęła buty, toteż był od niej o ponad trzydzieści centymetrów wyższy.

– Gdy w kolejce stoi tysiąc facetów, którzy chcą się wykapać, nie można się guzdrać. A takie rzeczy pozostają głęboko w psychice.

– Nie jestem taka szybka jak ty, ale też nie będę się guzdrała.

– Nie chcesz skorzystać z tego prysznica, skoro jest już wolny?

– Nie, zdążyłam przygotować sobie wszystko na dole.

– Ale twoja sypialnia jest tu, na górze?

– Nie musisz wiedzieć, gdzie jest moja sypialnia – warknęła.

Cofnął się o krok i spojrzał na nią z ukosa.

– W porządku. Mogę dostać trochę wody? Rola niedoszłej ofiary zamachu bombowego wzmacnia pragnienie.

– Butelki są w lodówce w kuchni.

– Wystarczy mi woda z kranu.

– Na pewno nie z naszego wodociągu. Lepiej napij się butelkowanej.

Rozdzielili się na dole, on skręcił do kuchni, ona poszła do łazienki. Gdy usłyszał szum prysznica, ujrzał w wyobraźni, jak ona wchodzi nago pod strumień wody. Szybko odegnał od siebie tego typu myśli. Służba, a zwłaszcza jego służba, nigdy nie szła w parze z innymi relacjami.

Kuchnia przypominała kambuz na statku. Była funkcjonalnie urządzona, z doskonałym wykorzystaniem przestrzeni, idealnie zadbana. Tata z marynarki najwyraźniej przelał swoją pasję na wszystko w tym domu.

Skoro jej rodzice zginęli jednocześnie, to zapewne w jakimś wypadku, pomyślał. Ale Cole ewidentnie nie chciała o tym rozmawiać. W końcu to rzeczywiście nie była jego sprawa.

Zajrzał do lodówki i wyjął butelkę wody Deer Park. Popijając ją drobnymi łykami, wyrztał przez okno na podwórze. Trawa była przystrzyżona, kwiaty podlane. Na środku stała niewielka kamienna fontanna, z której spływał strumyk wody. Dalej znajdowała się biała ogrodowa huśtawka i odgradzony

krąg na ognisko, grill stał pod daszkiem drewnianej altany obrzeżonej kratami porośniętymi kwitnącymi na czerwono pnączami.

Tchnący spokojem, wręcz sielski obrazek nie pasował mu do wyobrażeń domu, w którym mogłaby żyć Sam Cole. Nie był pewien z jakiego powodu. Przecież w gruncie rzeczy wcale nie znał tej kobiety.

Wyszedł na ganek z tyłu domu i upił jeszcze kilka łyków wody.

Potem zamknął oczy i wrócił myślami do chwili naciągnięcia drutu detonatora. Naprawdę wcześniej go nie widział. Zobaczył dopiero, gdy Cole trąciła go nogą. Nawet niezbyt mocno, właściwie tylko otarła się łydką. Według wszelkiego prawdopodobieństwa oboje powinni byli zginąć na miejscu. Ktoś ustawił spore opóźnienie między uruchomieniem detonatora a eksplozją. Od razu się domyślił dlaczego.

Nie dało się wykluczyć, że amatorskie urządzenie po prostu zostało źle zrobione, ale bardziej prawdopodobne było celowe ustawienie. Widocznie zamachowiec uznał, że potknie się o drut i upadnie, a potem minie kilka sekund, zanim wstanie, i dopiero wtedy wybuch urwie mu głowę.

Tak czy inaczej, opóźnienie uratowało życie i jemu, i Cole. Niemniej to on zaważył sprawę. Nie zorientował się dostatecznie szybko.

Już nie jestem taki czujny, jak kiedyś.

Jestem o wiele mniej czujny.

Z dala od terenu walk zmąsły się przytępiają. Człowiek staje się coraz wolniejszy.

Wiedział od dawna, że kiedyś nadejdzie taki dzień, gdy ten element zaważy. Ale nie zdawał sobie sprawy, jak dotkliwie dopadną go z tego powodu wyrzuty sumienia. Istniało jednak tylko jedno wyjście: powrót na Bliski Wschód i kolejna próba przeżycia w tamtejszych warunkach.

Ale ja nie mam na to najmniejszej ochoty. Odsłużyłem aż sześć zmian, padałem ofiarą postrzału albo zamachu bombowego i ocierałem się o śmierć znacznie częściej, niż mogę sobie przypomnieć.

Czy to czyni ze mnie tchórza?

Kilka minut później siedział w ogrodzie na huśtawce, kiedy Cole wyszła z domu. Wcześniej miała na sobie spodnie i bluzkę z koronkowym kołnierzykiem. Teraz była ubrana w zwiewną błękitną letnią sukienkę z haftowanym przodem oraz białe sandały na trzycentymetrowym obcasie. W tym stroju bardziej mu się podobała.

Usiadła obok niego na huśtawce, uniosła sukienkę na kolanach, zakładając nogę na nogę. Włosy miała jeszcze mokre, pachniała jaśminem i bzem. Odchyliła się na oparcie i zamknęła oczy.

– Nie powinniśmy już iść? – zapytał.

– Zadzwoiłam do Jean i uprzedziłam, że się trochę spóźnimy. – Potarła skronie.

– Wyjaśniłaś dlaczego?

Spojrzała na niego.

– Nie. Nie widzę powodu, aby cokolwiek wyjaśniać.

– Sprawdziłem na poczcie nadawcę przesyłki polecanej.

Obrzuciła go podejrzliwym wzrokiem.

– Jak?

– Po prostu zadałem kilka trafnych pytań.

– Dlaczego nie zaczekałeś na mnie?

– Czasami szybkość działania ma kluczowe znaczenie. A poczta znajduje się tylko trzy minuty drogi od motelu.

Uśmiechnął się. Odpowiedziała tym samym.

– Więc zdradź wreszcie, czego się dowiedziałeś.

– Przesyłka pochodziła z firmy zajmującej się badaniami gleby.

– Dlaczego Reynoldsowie mieliby się interesować badaniami gleby?

– Sam chciałbym to wiedzieć.

– Jeśli pies nie zjadł tej przesyłki, to oznacza, że zabójca Larry'ego Wellmana musiał wrócić i ją zabrać. Ale pozostaje pytanie, skąd zabójcy wiedzieli, że listonosz dostarczy ją właśnie wtedy?

Puller dopił wodę i zakręcił butelkę.

– Jak już mówiłem, mogli to wydedukować w ten sam sposób, co my. Musieli się domyślić, że znalazł zwłoki w salonie. Przecież nie wchodziłby do środka, gdyby nie musiał uzyskać potwierdzenia odbioru przesyłki. To jedyny powód, dla którego zapukał do drzwi. Zatem co znajdowało się w paczce? Wrócili, aby się o tym przekonać. Nie wiedzieli, co to było, ale nie chcieli podejmować ryzyka.

– A skąd mogli wiedzieć, że my jej nie znaleźliśmy?

– Może dowiedzieli się od was – rzekł Puller.

– Nie mogę uwierzyć, że wśród moich ludzi jest ktoś, kto miałby im

pomagać.

– Nie twierdę, że tak jest. Mówię tylko, że trzeba brać to pod uwagę.

– A zamach bombowy?

– To akurat uznaję za dobry znak.

– Bo to znaczy, że najwyraźniej działasz komuś na nerwy, jak powiedział szeryf?

– Tak.

– Jeśli w ogóle wybuch należy wiązać z morderstwami. Nieźle wkurzyłeś Dickiego i jego wielkiego kumpla.

– Myślisz, że w odwecie postanowili mnie wysadzić w powietrze?

– Nie. Chyba masz rację.

Znowu zamknęła oczy i odchyliła głowę na oparcie huśtawki. Jeszcze raz potarła skronie i skrzywiła się z bólu.

– Nawet cię nie zapytałem, jak się czujesz – powiedział cicho. – Dość brutalnie zwałem cię z nóg. Na pewno nic ci nie jest? Nie jesteś poobijana?

– Wszystko w porządku. Zwałeś się na mnie, aż zabrakło mi tchu, ale mogło mnie spotkać coś dużo gorszego. – Otworzyła oczy i położyła mu rękę na ramieniu. – A ja nawet ci nie podziękowałam.

– Przed domem było dość ciemno. Do tej pory zauważałem odbłaski słońca na naciągniętych drutach. To z tego powodu talibowie i bojownicy Al-Kaidy wolą stosować płyty na sprężynach i inne rodzaje detonatorów, które można przysypać ziemią.

– Ja w ogóle go nie widziałam. – Pochyliła się i cmoknęła go w policzek. – Dziękuję za uratowanie życia, Puller.

Obejrzał się i popatrzył na nią. Odniósł wrażenie, że w kąciku jej prawego oka zabłysła łza, ale Cole szybko odwróciła głowę i nie zdążył się upewnić.

– Nie ma za co.

Zdjęła rękę z jego ramienia i wstała.

– Lepiej już chodźmy. Ja poprowadzę, więc zostaw tutaj swój samochód. Pojedziemy moim pikapem. Chwilowo mam dosyć jeżdżenia policyjnym radiowozem.

Pozwolił jej oddalić się na parę kroków, zanim w końcu stanęła i się obejrzała. Stała na tle zachodzącego słońca, toteż wyglądała promiennie w zwiewnej, letniej sukience. Dał sobie jeszcze chwilę, by nacieszyć się tym

widokiem.

– Idziesz?

Wstał.

– Idę.

37

Jean Trent była ubrana w spodnie koloru khaki, czerwone sandały i dopasowaną do nich odcieniem bluzkę bez rękawów. Siedziała na przeszklonej werandzie, gdzie słońce już nie docierało. Miała pod ręką koktajl i szybko zapytała Pullera i siostrę, czego się napiją.

On wybrał jasne piwo, ona imbirowe.

– Rety – mruknęła Jean. – Oboje wyglądacie na zmartwionych.

– Przepraszam za spóźnienie – odezwała się Cole. – Zatrzymał nas... wypadek.

– Nie ma sprawy. Miałam w ten sposób czas na kolejne martini. – Spojrzała na Pullera. – Powinieneś spróbować.

Zignorował tę uwagę i zapytał:

– Miałaś jakieś wiadomości od męża? Dotarł tam, dokąd się wybierał?

– Rzadko dzwoni do mnie podczas wyjazdu. Nie jestem nawet pewna, kiedy wróci.

– A gdzie jest Meghan? – zapytała Cole.

– Pływa w basenie tam i z powrotem.

– O tak późnej porze? – zdziwiła się Sam.

– Stara się odzyskać płaski brzuch. Powtarzam jej, że to element procesu dorastania, podskórny tłuszcz nagromadzony w dzieciństwie, ale inne dziewczyny szczycą się swoimi sylwetkami, a ona im zazdrości.

– Też bym zazdrościła na jej miejscu – odparła Cole.

– Roger jest grubokościsty i ma tendencję do tycia. W naszej rodzinie nigdy nie było takich problemów – dodała Jean, zerkając na Pullera, który przysiadł na małym pufie obitym tkaniną z wzorem w zielone i purpurowe pnącza. – Jeśli masz w tym zakresie jakiegokolwiek wątpliwości, lepiej przyjrzeć się uważnie najbliższej rodzinie.

– Owszem, mam wątpliwości – odparł.

– Za strony ojca czy matki?

– Ojca.

– A co z matką? – zapytała Jean.

Nie odpowiedział. Odwrócił się od niej i rozejrzał się po werandzie.

Jean zauważyła kaburę przy jego pasie i zapytała zdziwiona:

– Przyszedłeś z bronią na kolację?

– Tak nakazuje regulamin. Nie wolno mi się z nią rozstawać.

– Meghan dołączy do nas na kolacji? – zapytała Cole.

– Wątpię. Z tych samych powodów prawie nic nie je.

– To niedobrze, siostrzyczko. Dziewczęta w jej wieku są bardzo podatne na zaburzenia odżywiania.

– Rozmawiałam z nią, dopóki starczyło mi cierpliwości. Zaciągnęłam ją na wizytę u specjalisty. Chciał przepisać jej całą masę różnych tabletek, ale temu się sprzeciwiłam. Pozostała mi nadzieja, że to tylko etap przejściowy i wyrośnie z tego.

Cole nie wyglądała na przekonaną.

– To znaczy, że usiądziemy do kolacji tylko we troje?

– Na to wygląda – przyznała Jean.

– Nie wiesz na pewno, tak czy nie?

– Trudno mi odpowiedzieć jednoznacznie w tej chwili.

– Wspaniale – mruknęła Sam z niesmakiem. – Nie mówiłam ci, że mam dosyć pytań bez odpowiedzi w pracy? Idę pogadać z moją siostrzenicą.

– Nie widziałem basenu na podwórzu, kiedy podjeżdżaliśmy – odezwał się Puller.

– To kryty basen – wyjaśniła Jean. – Nie jesteśmy zwolennikami prażenia się na słońcu.

– W dodatku pył węglowy mógłby stworzyć na powierzchni wody czarny kożuch – dodała Cole.

Siostra odwróciła się do niej.

– To kompletna i bezpodstawna bzdura, świetnie o tym wiesz.

– Czyżby?

Pokojówka przyniosła im drinki. Cole chwyciła z tacy swoje piwo imbirowe, a drugą szklankę podała Pullerowi i mruknęła:

– No dobra, idę. Będziecie mieli okazję, żeby mnie obgadać za moimi plecami.

Kiedy wyszła, Jean odwróciła się i trąciła swoim kieliszkiem trzymaną przez Pullera butelkę.

– Jest nazbyt zasadnicza, jak na mój gust.

– To policjantka. Musi być zasadnicza. A ponieważ jest kobietą, musi być bardziej zasadnicza niż jej koledzy.

– Skoro tak mówisz...

– Bardzo się różnicie między sobą. Nie wyglądem, ale pod każdym innym względem.

– Trudno się z tym nie zgodzić. Z jakiego powodu się spóźniliście? Chyba nie przespałeś się z nią jeszcze, co nie?

– Jeszcze? – powtórzył zdumiony. – Nie zrobiła na mnie wrażenia takiej, która od razu idzie do łóżka z nowo poznanymi mężczyznami.

– Nie to miałam na myśli. I faktycznie tak nie postępuje. Ale jest atrakcyjna i wolna, i ty jesteś atrakcyjny, a nie widzę obrączki na twoim serdecznym palcu.

– To nie wyjaśnia, dlaczego użyłaś słowa „jeszcze”?

– No cóż, myślę, że moja siostra jest trochę zdesperowana.

Puller odchylił się do tyłu i pociągnął łyk piwa.

– A więc nie, nie spaliśmy ze sobą. Ktoś nas próbował wysadzić w powietrze.

Wyprostowała się szybko.

– Co takiego?

– Ktoś zastawił pułapkę bombową w półciężarówce stojącej przed domem, do którego się zbliżaliśmy. Zaledwie parę sekund dzieliło cię od tego, byś nie jadła kolacji w naszym towarzystwie ani dzisiaj, ani żadnego innego wieczoru.

Jean odstawiła kieliszek i spojrzała na niego.

– Żartujesz?

– Nigdy nie żartuję z tego, że otarłem się o śmierć.

– Dlaczego Sam nie wspomniała mi o tym ani słowem?

– Nie wiem. To twoja siostra. Na pewno ją znasz dużo lepiej niż ja.

Sięgnęła z powrotem po kieliszek, ale nie uniosła go do ust, tylko popatrzyła na pływające w nim oliwki.

– Żałuję, że została policjantką.

– Dlaczego?

- Bo to niebezpieczne.
 - Wiele rzeczy jest niebezpiecznych.
 - Dobrze wiesz, o co mi chodzi – odparła ostrzej.
 - Pełni służbę publiczną, ryzykuje życie, aby zachować ład i porządek. Aby uczciwi obywatele Drake czuli się bezpiecznie. Ja ją podziwiam.
 - Ale sam jesteś żołnierzem, prawda? To nie jest służba publiczna?
 - Jeśli oprzeć się wyłącznie na opisie wykonywanej pracy, to masz rację.
 - Służyłeś w Iraku czy w Afganistanie?
 - I tu, i tu.
 - Mój kolega ze szkoły średniej, w którym się podkochiwałam, Ricky Daniels, wstąpił do wojska zaraz po maturze. Zginął podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Miał zaledwie dziewiętnaście lat.
 - Gdyby wrócił z Azji, wyszłabyś za Rogera Trenta?
- Jednym haustem dopiła martini.
- To nie twój zasrany interes.
 - Masz absolutną rację. Staralem się tylko podtrzymać rozmowę do powrotu twojej siostry.
 - Zbyteczny trud. To podtrzymywanie rozmowy. Doskonale się czuję w swoim własnym towarzystwie.
 - Więc dlaczego zaprosiłaś mnie na dzisiejszą kolację?
 - Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Uznałam wtedy, że to dobry pomysł. Zazwyczaj działam impulsywnie.
 - Naprawdę? Nie odniosłem takiego wrażenia.
 - Ale tak jest.
 - Więc może opowiedz mi o tych wcześniejszych pogroźkach, jakie dostawał twój mąż.
 - Po co? Dla podtrzymania rozmowy? Mówiłam przecież, że to zbyteczne.
 - Jesteś w błędzie. Wracam do roli wojskowego śledczego.
 - To były przejawy głupoty. Nie mają znaczenia.
 - Pogrożki rzadko bywają przejawem głupoty i nie mają znaczenia.
 - Ale tamte takie były.
 - Sądzisz, że teraz są dziełem tej samej osoby? Dlatego twój mąż nie powinien się nimi przejmować? Najwyraźniej się przejmuje.

Jean nagle utraciła całą pewność siebie. Ręka wyraźnie jej zadrżała, gdy odstawiała szklanę.

– Nie jestem pewna, czy to właśnie ja powinnam odpowiadać na twoje pytania.

– Ale dziś po południu nie wydawałaś się tym przejmować.

– Mój mąż nie jest tutaj Misterem Popularności. Wiele osób go nienawidzi.

– Znasz którąś z nich osobiście?

– Tak.

– I mimo to wyszłaś za niego.

Popatrzyła na niego z zasepioną miną.

– Tak, to prawda. I co z tego? Zresztą nie był jeszcze bogaty, kiedy braliśmy ślub. Ciągłe jeszcze rozkręcał interes. Więc nie wyszłam za niego dla pieniędzy.

– Nie twierdę, że było inaczej, i tym się kierowałam.

– Ale tak myślałam.

– Nie wątpię, że ma wiele innych kuszących zalet.

– A żebyś wiedział, że ma.

– Dobrze wiedzieć.

– Nie podoba mi się twoje nastawienie.

– Nie mam żadnego nastawienia. Po prostu staram się płynąć z prądem.

– To postaraj się bardziej.

38

Wróciła Cole.

– Meghan jest znacznie bardziej zainteresowana spalaniem tłuszczu niż rozmową z ciotką. – Urwała nagle, gdy zobaczyła kwaśną minę Pullera.

– Wszystko w porządku? – zapytała, spoglądając na niego.

– W porządku – odparł.

Ponownie otworzyły się drzwi.

– Randy?! – zawołała Cole.

Chłopak doszedł do siebie od czasu, gdy Puller poprzednio go widział. Był ubrany w świeżo wyprane dżinsy, czarny T-shirt i mokasyny. Ogolił się i starannie uczesał włosy.

Sam wydawała się autentycznie zaskoczona, ale też zadowolona.

Jean wyglądała na równie zaskoczoną, lecz zarazem nieszczęśliwą.

Randy zbliżył się i Cole utuliła go w objęciach.

– Jak się masz, nieznajomy? – zagadnęła swobodnym tonem.

Puller doszedł do wniosku, że stara się zduścić konflikt w zarodku.

– Jakoś sobie radzę – odparł Randy i spojrzał na Pullera. – Poznaliśmy się w motelu U Annie.

– Owszem, zgadza się.

– To ty jesteś tym wojakiem, o którym gada całe miasto?

– Pewnie tak.

– Też chciałem się zaciągnąć do wojska.

– Więc czemu tego nie zrobiłeś?

– Odpadłem na badaniach lekarskich. Wzrok do kitu i jeszcze coś w piersiach. Pewnie od oddychania przez całe życie wspaniałym, świeżym powietrzem.

– Przejdźmy do jadalni – zaproponowała Jean.

Był to duży pokój, wyłożony pasiastą boazerią z wystarczającą ilością ozdobnych listew, gzymsów i medalionów, aby zyskać status pomieszczenia pałacowego. Zasiedli przy jednym końcu wielkiego stołu w stylu Sheratona, na

tyle długiego, by trzeba go było wesprzeć aż na trzech masywnych stojakach.

Randy potarł dłonią brzeg wypolerowanego do połysku blatu.

– Cholera, wydobycie węgla to naprawdę opłacalny biznes, siostrzyczko.

– Nigdy wcześniej tu nie byłeś? – zdziwił się Puller, który usiadł obok Randy’ego i od razu spostrzegł, z jakim zdumieniem ten się rozgląda po bogato urządzonych wnętrzach szeroko otwartymi oczami.

Jean odparła szybko:

– Ale nie dlatego, że nie był zapraszany. Dlatego zaskoczył mnie dzisiaj jego widok. Nigdy wcześniej się nie zjawiał, gdy go zapraszałam.

Puller spojrział uważnie na Randy’ego. Trentowie byli małżeństwem już wiele lat, a on ani razu dotąd nie odwiedził ich w domu? Hipotetyczne wyjaśnienie sprawiło, że serce podeszło mu do gardła.

– Od jak dawna tu mieszkacie? – zwrócił się do Jean.

Wciąż wpatrując się w brata, odparła:

– Od pięciu lat. Aż tyle trzeba było, żeby zbudować taki dom. Przez listy płac przewinęło się wiele nazwisk pracowników.

– Jasne – mruknął Randy. – Na twoim miejscu, siostrzyczko, namówiłbym męża, żeby zbudował jeszcze kilka takich domów. Wtedy wskaźnik bezrobocia w naszym okręgu na pewno wyraźnie by spadł.

Jean roześmiała się nerwowo.

– Myślę, że miejsca w tym jednym domu w pełni nam wystarczy, Randy.

– Cholerna szkoda – warknął jej brat.

– Ale na pewno wiesz, że i dla ciebie znalazłaby się praca w firmie Trenta, gdybyś tylko chciał – powiedziała.

– Niby jaka praca? – zapytał Randy. – Posadka wiceprezesa? Albo dyrektora zarządu? Naczelnego wazeliniarza?

Cole odwróciła się do Pullera i wyjaśniła szybko:

– Randy i nasz ojciec pracowali w Trent Exploration.

– Czym się zajmowali?

– Poszukiwaniem złóż węgla – odparł Randy. – I byliśmy w tym cholernie dobrzy.

– Tak, to prawda – przyznała Jean. – Kilka razy znaleźli bogate złoża w najmniej prawdopodobnych miejscach.

– Tata nawet nie skończył college’u — dodał Randy. – Co tam, ledwie zdał

maturę. Później zaciągnął się do marynarki. Ale dobrze wiedział, jak odczytywać raporty z badań geologicznych. I znał te okolice lepiej niż ktokolwiek inny. Wszystkiego mnie nauczył. – Popatrz na Jean. – I jeszcze teraz jestem lepszy od waszych specjalistów. Nawet od Rogera z tymi wszystkimi wymyślnymi urządzeniami.

– Więc byłoby wskazane, żebyś wrócił do pracy w firmie.

– Chodzi ci o to, żebym dodatkowo powiększył jego dochody?

– Randy, jeśli... – zaczęła Cole.

Przerwał jej, mówiąc:

– Dajcie spokój. Można tu się czegoś napić?

– Jak się tu dostałeś, Randy? – zapytała Cole. – Na piechotę czy samochodem?

– Nie bój się, nie będę prowadził po pijanemu, przecież mogę tu zostać na noc. Hej, Jean, znajdziesz dla mnie jakieś miejsce, prawda? W końcu mogę chyba odwiedzać rodzinę, co nie? Jak za dawnych dobrych czasów.

– Oczywiście, Randy – odparła szybko gospodyni. – Chętnie cię przenocuję.

– Może nie będzie to konieczne? Może mam coś do zrobienia z samego rana? A może jeszcze dziś wieczorem?

Puller popatrzył na chłopaka, żeby przyjrzeć się jego źrenicom, po czym wolno wciągnął nosem powietrze. Nie czuć było od niego alkoholu. Odwrócił głowę w samą porę, żeby zauważyć, że Cole robi to samo.

– Widzisz dla siebie przyszłość w Drake? – zapytał.

Randy uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Stary, ja nigdzie nie widzę dla siebie przyszłości.

– Gadasz od rzeczy, Randy – powiedziała Sam.

Randy trącił Pullera łokciem.

– Widzisz? Myślą, że wszystko musi mieć sens. Ale ja po prostu nie kupuję tego gówna. A ty?

Puller wyczuł, że chłopak ani nie oczekuje, ani nie chce usłyszeć jego odpowiedzi, toteż zachował milczenie. Popatrzył na dwie siostry. A potem znów na ich brata. Uświadomił sobie nagle, czego w tym układzie brakuje.

Rodziców.

Cole wspomniała, że oboje zginęli.

Dom miał pięć lat. Randy nigdy wcześniej tu nie przyjeżdżał.

Wyglądało więc na to, że od śmierci rodziców minęło właśnie pięć lat.

Po raz kolejny spojrzął na Cole. Otworzył usta, żeby zapytać, ale dostrzegł jej reakcję, jak gdyby Sam potrafiła czytać w jego myślach. Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Toteż zamknął usta i spuścił wzrok na swoje splecione dłonie.

Podano kolację. Składała się z czterech dań, z których wszystkie były bardzo smaczne. Trentowie, rzecz jasna, niczego nie robili samodzielnie, tylko zatrudniali kucharza. Puller poczuł się niezręcznie, gdy służąca naląła mu porcję gorącej zupy, a następnie serwowała kolejne dania. Pomyślał jednak, że gdyby wstał i zaczął sam sobie nakładać, naraziłby służącą na większy stres.

Ponad godzinę później wszyscy wstali od stołu z pełnymi brzuchami. Randy po raz ostatni otarł usta serwetką i dopił z kieliszka resztkę czerwonego wina, zdaniem Pullera bardzo drogiego. Kiedy był dzieckiem, ojciec zabrał go razem z bratem w podróż po Prowansji i Toskanii. Nawet jak na europejskie standardy byli jeszcze za młodzi, żeby raczyć się winem, ale już wtedy ojciec robił im wykłady na jego temat. Sam zaliczał się bowiem do koneserów i zbieraczy rzadkich odmian. Bardzo mu w tym pomagała biegła znajomość francuskiego i włoskiego.

– Dzięki za kolację – rzekł Randy. – Nadal pływasz w cementowym stawiku, Jean? Żeby zachować dla Rogera dziewczęcą sylwetkę?

Zakłopotana Cole zerknęła na Pullera.

– Nie sądzę, Randy, abyś musiał przed agentem Pullerem odgrywać rolę buntownika z Beverly Hills.

– Ależ niczego nie odgrywam przed agentem Pullerem. Nie da się ukryć, że jestem białym wyrzutkiem z koneksjami w bogatych kręgach. Ja tylko źle się czuję w tutejszej atmosferze. Niech to będzie dla ciebie nauką. Nigdy nie należy zapominać o swoich korzeniach.

– Mam polecić, żeby przygotowano dla ciebie pokój, Randy? – zapytała Jean.

– Zmieniłem zdanie. Muszę odwiedzić kilka ciekawych miejsc i spotkać się z pewnymi ludźmi.

– Rogera nie zaliczasz do takich ludzi, prawda? – zagadnęła Cole.

Popatrzył na nią z wyraźnie ironicznym, ale zdaniem Pullera także pogardliwym uśmiechem. Mimo to jego uśmiech okazał się zaraźliwy. Puller mimo woli poczuł, że i jego kąciki ust powędrowały ku górze.

– Zdaje się, że wyjechał z miasta, co nie? Tak przynajmniej sądzę.

– Czyżbyś go śledził? – zapytał Puller.

– Nie, po prostu widziałem nad Drake jego odrzutowiec.

– A więc nie zaliczasz Rogera do swoich znajomych, prawda? – powtórzyła Cole.

Puller obejrzał się na nią. Nie widział jej wcześniej aż tak spiętej. A przecież przeżyli wspólnie kilka stresujących sytuacji.

– Nic do niego nie mam, policyjna siostrzyczko – odparł Randy. – Roger podąża swoją drogą, ja swoją. A wy wszyscy także swoją. – Rozłożył szeroko ręce, jakby chciał objąć całą swoją najbliższą rodzinę. – Obawiam się tylko, że wasza droga jest bardzo zbieżna z drogą Rogera.

– Lepiej nie wypowiadaj się o rzeczach, o których nic nie wiesz – odpowiedziała mu Jean. – To zły nawyk. Przez niego ludzie wpadają w poważne tarapaty.

Randy wstał i rzucił serwetkę na stół.

– Cholernie miło było cię odwiedzić. Umówmy się z góry na kolejne rodzinne spotkanie za jakieś dziesięć lat.

– Randy? – odparła łagodniejszym tonem Jean. – Zaczekaj. Źle mnie zrozumiałeś.

Ale on bez słowa wyszedł z jadalni i cicho zamknął za sobą drzwi.

39

Puller wyszedł z Cole jakieś pół godziny później. Usiadł na prawym fotelu jej pikapa i popatrzył przed siebie. W głowie kłębiły mu się pytania dotyczące tego wieczoru, wolał jednak zachować je na razie dla siebie. To nie była jego sprawa.

W końcu Cole zagadnęła:

- Fajnie się bawiliśmy.
- W rodzinie zazwyczaj tak bywa.
- Na pewno nurtuje cię mnóstwo pytań.
- Nie cierpię ludzi, którzy wtrącają się w moje sprawy, więc zamierzam ci wyświadczyć podobną grzeczność.

Przez pięć minut jechali w milczeniu.

– Nasi rodzice zginęli, gdy na ich samochód spadł głaz wyrzucony w powietrze przez wybuch w kopalni odkrywkowej Rogera – oznajmiła w końcu.

Puller popatrzył na nią.

- Jakież pięć lat temu?
- Mniej więcej.
- I Randy bardzo to przeżył?
- Wszyscy to przeżyliśmy – podkreśliła z naciskiem, ale zaraz ostre błyski w jej oczach przycisły i dodała łagodniej: – Ale Randy najbardziej z nas wszystkich. Zawsze był mocno związany z rodzicami. Zwłaszcza z tatą.

Pokonali kolejnych kilka kilometrów w milczeniu. Puller rozejrzył się ciekawie po kabinie auta i zwrócił uwagę na nowe winylowe obicie foteli oraz deskę rozdzielczą, do której nie bardzo pasowało oryginalne wyposażenie samochodu. Nawet płyta podłogowa wyglądała na nową, nie było na niej śladów rdzy.

- To twój ojciec przerobił ten samochód?
- Tak. Dlaczego pytasz?
- Przypomina mi twój dom. Wykupiłaś go razem z domem?
- Owszem. Wpakowałam w to wszystkie pieniądze z ubezpieczenia.

– To z niego do dziś żyje Randy? Bo Jean, rzecz jasna, nie potrzebuje żadnych funduszy.

– Zgadza się. Tak to załatwiliśmy między sobą. Randy dużo bardziej potrzebował wsparcia finansowego ode mnie.

– To oczywiste.

– Śmieszne jest to, że nikt nie podejrzewał, by Roger Trent mógł zostać kimś znaczącym.

– Jak to się stało, że doszedł do pozycji, którą teraz zajmuje?

– Muszę przyznać, że bardzo ciężko pracował. Miał wizję. No i dopisało mu szczęście. Z trudem torował sobie drogę na szczyt w branży węglowej. Jest bezwzględny, arogancki, ale ma szósty zmysł do zarabiania pieniędzy. A mój tata i brat znaleźli dla niego naprawdę bogate pokłady węgla. Nawet jeśli uznamy to za dewastowanie krajobrazu.

– Ale jednak daje ludziom pracę.

– Teraz już w mniejszym stopniu niż wcześniej.

– Dlaczego? Węgiel się wyczerpuje?

– Węgiel cały czas się wyczerpuje. Od pierwszego wydobytego wiadra. Ale chodzi o to, że całe wydobycie w Drake i większość wydobycia w Wirginii Zachodniej pochodzi z kopalni odkrywkowych.

– Czyli w zasadzie ogranicza się do wysadzania w powietrze wzgórz, żeby dostać się do jego pokładów.

– Spółki węglowe stale tłumaczą, że decyzja o rozpoczęciu wydobycia odkrywkowego jest uzależniona od warunków geologicznych, topografii terenu i względów ekonomicznych. Głębokość zalegania pokładów, ich ułożenie pod powierzchnią i konfiguracja terenu muszą być skorelowane z kosztami wydobycia, planowanymi zyskami i tego typu danymi. Ale prawda jest taka, że górnictwo odkrywkowe wymaga mniej ludzi do pracy. A to oznacza większe zyski dla spółek węglowych. Ludzie Trenta twierdzą, że górnictwo odkrywkowe eksploatuje tereny, na których i tak dokonuje się wydobywania głębinowego, jak gdyby wracali na tereny, na których górnictwo głębinowe jest już nieopłacalne. Więc jest to eksploatacja wtórna, której główną zaletą, poza wydobywaniem surowca energetycznego, jest zapewnienie miejsc pracy. I trudno z tym polemizować. Ale to żaden argument, kiedy ludzie nie mają dachu nad głową ani co do garnka włożyć. – Popatrzyła na niego. – Nie mam pojęcia, czy okaże się to w jakikolwiek sposób powiązane z naszym dochodzeniem, ale

chyba warto, byś poznał kilka podstawowych faktów na temat tutejszego regionu górniczego.

Chciał zaprzeczyć, gdyż nie był specjalnie zainteresowany problemami górnictwa i nie sądził, by miały związek z prowadzonym dochodzeniem. Czuł jednak, że Cole chce o tym rozmawiać, a służba w wojsku nauczyła go, że nigdy nie zaszkodzi poznać jak najwięcej szczegółów dotyczących terenu, na którym ma się rozegrać bitwa. Już nie raz stwierdził, że ta reguła świetnie pasuje również do pracy dochodzeniowej.

– Rozumiem.

40

Dwadzieścia minut później Cole zatrzymała samochód i wskazała przed siebie. Blask księżyca był wyjątkowo mocny, Puller bez trudu spostrzegł, co chciała mu pokazać.

– Co o tym myślisz? – zapytała.

Przed nimi wznosił się stumetrowej wysokości kopiec, który wyglądał jak obcy obiekt między dwoma sąsiednimi wzgórzami.

– A co to jest?

– Oni to nazywają „zrównaniem doliny”, a tworzą to z tak zwanego urobku kopalń odkrywkowych. Krótko mówiąc, to pryzma utworzona z wszystkiego, co zdzierają z powierzchni ziemi, a więc z gleby, drzew i skał, które zrywają, żeby się dostać do pokładów węgla. Przecież muszą gdzieś składować to wszystko. A w Wirginii Zachodniej obowiązuje przepis, zgodnie z którym spółki wydobywcze mają obowiązek składować jałowy urobek w pobliżu miejsca wydobycia, toteż firmy skrzętnie go wykorzystują i składują te warstwy w sąsiadującej dolinie, nawadniają je i nawożą, przykrywają ściółką, żeby wywiązać się z obowiązku. Ale problem polega na tym, że tego typu tereny są niejako obrócone do góry nogami. Najlepsze gleby pozostają na dole, a górne skaliste warstwy na wierzchu. Miejscowa roślinność, łącznie z drzewami, nie chce na tym rosnąć, stąd też firmy rozpowszechniają gatunki roślin z odległych krain, przez co cierpi tutejszy ekosystem. Lecz dopóki nie cierpi na tym literatura, nie mówiąc już o jego duchu, nie ma to wpływu na ekosystem. Ale takie hałdy zmieniają również topografię terenu. Rzeki przekierowuje się w nowe koryta, na czym cierpi lokalna gospodarka wodna. Występują powodzie, dochodzi do osunięć ziemi, skutkiem czego skały miażdżą domy.

– Wciąż mam wrażenie, że żyje tu niewielu ludzi.

– Pewnie przez to, że Trent wykupił całe kwartały.

– Czemu to zrobił? Ludzie chcieli się pozbyć swoich działek?

– Nie, po prostu nie chcieli mieszkać w pobliżu terenów regularnie wysadzanych w powietrze w celu odsłonięcia pokładów węgla. Nie mogli pić wody ze studni. Nie mogli suszyć prania na słońcu. Coraz silniej odczuwali problemy zdrowotne dotyczące wszelkich narządów, od płuc do wątroby.

Randy nie żartował, gdy wspominał o swoich kłopotach z płucami. Kiedy miał kilkanaście lat, zdiagnozowano u niego przewlekłą obturacyjną chorobę płuc. A w przeciwieństwie do mnie nigdy nie palił. Za to często grał w futbol i uprawiał jogging na ścieżkach blisko terenów kopalnianych. Nie jest też jedynym sportowcem w tej okolicy cierpiącym na tę dolegliwość. Tak więc jakość życia bardzo się pogorszyła. Po dawnych miasteczkach i osadach zostały tylko samotne zabudowania i gospodarstwa porzucane w lasach. Nic więcej tu nie ma. Kiedyś okręg Drake miał ponad dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Teraz została nawet mniej niż jedna trzecia. W ciągu najbliższych dziesięciu lat możemy wszyscy stąd zniknąć, tak samo jak węgiel.

Przejechała jeszcze kawałek i zatrzymała wóz przed wysokim ogrodzeniem z drucianej siatki, obwieszonym tablicami ostrzegawczymi. Za ogrodzeniem stała olbrzymia hala z blachy falistej, mająca wiele metrów wysokości. Na różnych poziomach wychodziły z niej ciągi podajników taśmowych prowadzące w różnych kierunkach.

– To załadownia. Tutaj kruszą bryły węgla i ładują go na ciężarówki albo do wagonów. Specjalnie doprowadzono do zakładu bocznicę kolejową.

– Pracują do późna – rzekł Puller, patrząc na zapalone latarnie i przemieszczające się snopy reflektorów ciężarówek oraz wsłuchując w otaczającą halę rytmiczne dudnienie.

– Pracują na okrągło, także w weekendy. Kiedyś działali tylko na dwie zmiany w ciągu dnia, ale teraz jest inaczej. Czas to pieniądz. A jedyna rzecz, którą tu sprzedają, to węgiel. Przerwy w pracy nie oznaczają niczego dobrego. W końcu chodzi o surowiec zasilający sieci elektryczne. Potrzebny do działania latarni i laptopów, jak lubią tu powtarzać we wszelkiego typu materiałach reklamowych.

– Domyślam się, że ty się brzydzisz całą tą działalnością.

– Bez przesady, nie całą. Kopalnie zapewniają miejsca pracy. Zaopatrują cały kraj w energię, niezbędną na każdym kroku. Jednak wielu ludzi uważa, że są lepsze sposoby wydobycia węgla niż wysadzanie w powietrze jednego wzgórza za drugim. Poza tym istnieje granica, za którą koszty przewyższają zyski. Część osób jest zdania, że ta granica została przekroczona już dawno temu. Lecz jeśli nie musisz tu mieszkać, nie leci ci z kranu czarna woda, nie musisz się bać wielkich głazów spadających na dachy domów albo przekraczającego wszelkie normy skażenia powietrza, które może się stać przyczyną raka u twoich dzieci, nie musisz się tym wszystkim przejmować. Nasz kraj nazywa się Stanami

Zjednoczonymi Ameryki, ale w rzeczywistości nie jesteśmy zjednoczeni pod żadnym względem. Appalachy dostarczają węgla pozostałym regionom. Ale gdy węgiel się tu wyczerpie, a Wirginia Zachodnia będzie wyglądała jak martwa skorupa Plutona, reszta kraju nie będzie się tym interesować. Życie potoczy się dalej. Taka jest rzeczywistość.

– Co twój ojciec o tym sądził? Odniosłem wrażenie, że i on był solą tej ziemi.

– Poświęcił znaczną część życia na poszukiwania węgla. Wydaje mi się, że już na początku przestał myśleć o tym, jaki skutek jego działalność wywiera na naszą planetę. Nie jestem nawet pewna, czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiał.

– A Randy?

– Co Randy?

– On też szukał węgla i podobno był w tym dobry. A teraz tylko wegetuje na marginesie życia. – Puller urwał na chwilę, po czym zapytał: – Czy to on wcześniej groził Rogerowi?

Cole wrzuciła bieg.

– Jeszcze jedno chcę ci pokazać.

41

Jakieś osiem kilometrów dalej zahamowała i stanęła na poboczu. Wysiadła, sięgnęła za siedzenie i wyciągnęła dwa kaski budowlane. Jeden z nich podała Pullerowi.

– Dokąd idziemy, że musimy wkładać kaski? – zapytał.

– Na spotkanie z moimi rodzicami.

Włożył kask na głowę i ruszył za nią. Cole sięgnęła na skrzynię auta po dużą mocną latarkę i zapaliła ją. Poszli przez las wysypaną żwirem ścieżką, która wkrótce zamieniła się w wąską wstążkę wydeptanej ziemi.

– Formalnie trzeba uzyskać pozwolenie, odebrać przepustkę i pod eskortą dotrzeć tam, dokąd idziemy. Ale ja to chrzanię. W końcu chodzi o moich rodziców.

Skręcili ze ścieżki i przez pas łąki dotarli do siatkowego ogrodzenia. Puller szykował się już, że będą musieli się na nie wdrapywać, lecz Cole wskazała mu dużą dziurę w siatce.

– To twoja robota?

– Owszem, moja – odparła.

Przecisnęli się przez dziurę i poszli dalej. Cole zwolniła, gdy znaleźli się na skraju cmentarza.

– Jak rozumiem, chcesz mi pokazać grób swoich rodziców – odezwał się Puller.

Skinęła głową.

– Po co te wszystkie komplikacje?

– Trent wykupił całą gminę łącznie z cmentarzem położonym na jej terenie. Dlatego formalnie trzeba się zgłosić do zarządu tego terenu, żeby uzyskać pozwolenia na wizytę na grobie swoich bliskich. Ale prawdę mówiąc, Puller, mimo że jestem zaprzysiężonym stróżem prawa, ten wymóg po prostu działa mi na nerwy.

– Rozumiem. Też byłbym wkurzony.

Poprowadziła go między grobami, po czym zatrzymała się przed dwiema bliźniaczymi mogiłami i poświeciła latarką na tablice.

– Mary i Samuel?

Znowu skinęła głową.

– Dostałaś imię po nim?

Uśmiechnęła się gorzko.

– Mieli nadzieję, że urodzi się chłopiec. Kiedy na świat przyszła dziewczynka, nazwali mnie Samanthą, ale w skrócie wołali do mnie Sam. Nie planowali więcej dzieci. Randy był dla nich zaskoczeniem, gdy urodził się po kilku latach.

Odczytał daty urodzin i śmierci wyryte w marmurowej płycie.

– To był głaz? Znaleźli się w złym miejscu i w złym czasie. Koszmar.

Cole nie odpowiedziała od razu. Po kilku sekundach odezwała się stłumionym, głębszym głosem, jakby smutek ścisnął ją za gardło.

– Możesz dać mi parę minut?

– Jasne.

Odszedł na dwadzieścia metrów i zaczął się przyglądać innym grobom. Cmentarz chylił się ku ruinie. Nagrobki były przekrzywione i poprzewracane, miejscami trawa i chwasty sięgały do pasa, a wszystko pokrywała gruba warstwa pyłu. Zwrócił jednak uwagę, że groby Mary i Samuela Cole wyróżniają się, płyty nagrobne stoją prosto, na mogiłach leżą świeże kwiaty, a trawa jest krótko przystrzyżona. Był przekonany, że to robota Cole.

– Hej!

Odwrócił się błyskawicznie, gdy usłyszał jej okrzyk, i po paru sekundach był przy niej.

– Ktoś tam jest – powiedziała, wskazując na lewo.

Puller zapatrzył się w ciemność. Cole skierowała w tamtą stronę światło latarki i zaczęła nim rozjaśniać kolejne miejsca.

– Tam! – Wskazała sylwetkę pochylonego człowieka uciekającego na wschód. Gdy udało jej się wyłowić go z ciemności na trochę dłużej, aż rozdziawiła usta ze zdumienia. – Randy? Randy! – zawołała głośniej.

Chłopak po paru sekundach znalazł się poza zasięgiem latarki.

– To był twój brat? – zapytał Puller.

– Tak. Ciekawe, co tutaj robił.

– Pewnie to samo, co ty. Przy kolacji powiedział, że chce odwiedzić pewne miejsca i spotkać się z pewnymi ludźmi. Może miał na myśli właśnie wizytę na

omentarzu. – Urwał na chwilę. – Chcesz go ścigać?

– Nie. Niech sobie idzie w swoją stronę.

Kiedy zajechała przed swój dom i zaparkowała obok jego malibu, wysiedli z samochodu.

– Masz ochotę na kawę? Mówiłeś, że pomaga ci zasnąć. Wyszukana kolacja Jean nie obejmowała kawy. Ona woli wytworne likiery i markowe herbaty, których nazw nawet nie potrafię wymówić. Dlatego mam ochotę na swoją czarną gorzką Maxwell House.

Pullerowi zależało na tym, żeby wrócić do motelu i popracować, o mało nie powiedział tego wprost. Ale bąknął tylko:

– Dzięki. Brzmi zachęcająco.

Zrobiła kawę i naląła do dwóch kubków. Wyszli na tylne podwórko i usiedli na huśtawce. Cole zdjęła buty i rozmasowała sobie stopy.

– Aż jestem zaskoczony, że nie ma komarów – powiedział.

– Bo spryskałam cały teren – wyjaśniła. – Jedną z zalet mieszkania w pobliżu kopalni jest to, że dokuczliwe insekty nie lubią pyłu węglowego i innych zanieczyszczeń jeszcze bardziej niż my. Poza tym kopalnie skaziły wiele źródeł wody, likwidując jednocześnie miejsca lęgowe owadów.

Przez jakiś czas w milczeniu pili kawę.

– Jestem ci wdzięczna, że pozwoliłeś mi dziś wieczorem rozładować rodzinne napięcia.

– Takie rozładowanie pozytywnie wpływa na człowieka. Pomaga oczyścić umysł.

– To fakt, mamy do rozwikłania siedem zabójstw i jeden zamach bombowy. Pomyśleć, że jeszcze w zeszłym tygodniu moje problemy ograniczały się do zmagania z pijakami i awanturnikami, z kilkoma nielegalnymi bimbrowniami i włamywaczem, którego łupem padła kuchenka mikrofalowa i komplet sztucznych szczęk.

– Jakaś część mojego umysłu pracowała bez przerwy w czasie kolacji, aż do teraz.

– I co ci podpowiada w tej sytuacji?

– To, że robimy postępy.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Ktoś próbował nas zabić.

– I co teraz robimy?

– Powinniśmy kopać dalej. Ale jutro jadę do Waszyngtonu.

Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy.

– Co? Dlaczego?

– Reynolds służył w wywiadzie wojskowym. Muszę porozmawiać z paroma oficerami. To kolejny trop, który powinienem sprawdzić.

– Nie może ktoś inny? Nie jesteś jedynym śledczym w swoim wydziale.

– Nie. Ale ktoś zdecydował, żeby nie wciągać innych agentów w tę sprawę.

– Nadal nie rozumiem.

– Samo życie, Cole. W każdym razie niedługo wrócę.

Zadzwoił jej telefon komórkowy. Odebrała, przez chwilę słuchała uważnie, zadając tylko parę prostych pytań, wreszcie przerwała połączenie.

– Dzwonił szeryf Lindemann.

– I co ci powiedział?

– Wyraził swoje ubolewanie, że jego podwórko stało się widownią brutalnych zabójstw i zamachu bombowego.

– Można go zrozumieć.

– Pożar się rozprzestrzenił. Dom, przed którym miałeś zginąć, stał pusty od wielu lat. Na liście wsuniętym pod twoje drzwi nie było żadnych odcisków palców. Bomby skonstruowali z dynamitu, a spec z ATF orzekł, że w obu wypadkach użyto firmowych, profesjonalnych detonatorów.

– To dobrze. Nie cierpię mieć do czynienia z amatorami. Są nazbyt nieprzewidywalni.

– Cieszę się, że dostrzegasz w tym jakieś pozytywne strony.

– Nie mamy jednak żadnych tropów? Żadnych wskazówek?

– Na razie nie.

– Aż trudno uwierzyć, że ktoś zebrał wszystkie niezbędne części i zmontował dwie bomby, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

– Materiałów wybuchowych jest tu pod dostatkiem. Jest też mnóstwo ludzi, którzy wiedzą, jak z nich korzystać.

Dopił kawę, odstawił kubek na poręcz ławki huśtawki i wstał.

– Lepiej już pójdę.

– Tak, myślę, że tak będzie lepiej.

– Dzięki za wprowadzenie w światek ludzi węgla.

– Nie ma za co. Wciąż masz wyrzuty sumienia z powodu tego drutu zapalnika?

Nie odpowiedział.

– Dziwny z ciebie facet.

– Nazywano mnie już dużo gorzej.

– Chciałam, żeby zabrzmiało to jak komplement. – Obejrzała się na drzwi domu, potem znów spojrzała na Pullera. – Już późno. Mógłbyś zostać tu na noc, gdybyś chciał. – Popatrzyła na niego.

Czytając w jej myślach, odparł:

– Wiesz co? Czasami niewłaściwa pora na pewne rzeczy naprawdę przysparza poważnych kłopotów.

Uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

– Masz rację. – Wstała i podniosła swój kubek. – Lepiej już idź. Zrobiło się późno. O której chcesz się jutro spotkać? Stawiam śniadanie.

– Prześpijmy się z tym. Bądź o siódmej w Crib.

Uśmiechnęła się.

– Jako Julia?

– Jeszcze nie czas na Romea.

Oparła dłonie na jego piersi, wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

– Po raz kolejny słynny ostatni cytat.

Wsiadł do swego samochodu i odjechał. Pomachała mu na pożegnanie z ganku, po czym odwróciła się i weszła do środka.

Obserwował ją w lusterku, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Wykręcił w stronę motelu U Annie.

Zgasił światła i wyciągnął pistolet z kabury.

Okna biura motelu były rozświetlone, przed drzwiami stał pikap. Zamierzał zajrzeć do kota Louisy, lecz najwyraźniej ktoś był teraz w jej mieszkaniu.

Zakradł się od frontu na ugiętych nogach, nie spuszczać z oczu drzwi. Sytuacja mogła o niczym nie świadczyć, ale po tym, jak cudem uniknął śmierci w zamachu bombowym, wolał nie podejmować kolejnego ryzyka. Konstruktor bomb najwyraźniej znał jego miejsce pobytu. Być może postanowił nie zwlekać z kolejnym zamachem.

Zajrzał do szoferki auta, ale nikogo w niej nie było. Uchylił więc prawe drzwi, otworzył schowek w tablicy rozdzielczej, odnalazł dowód rejestracyjny i odczytał z niego nazwisko właściciela.

Cletus Cousins.

Nic mu to nie mówiło.

Wymknął się z za auta, przekradł na mały ganek przed wejściem do biura i zajrzał przez okno do środka. Niski mężczyzna po dwudziestce prznosił duże kartonowe pudło.

Puller ostrożnie nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Otworzył je gwałtownie i wymierzył obcemu prosto w głowę.

Tamten natychmiast upuścił niesione pudło.

– Na Boga, proszę, tylko nie strzelaj. Proszę.

Głowę miał gładko ogoloną. Odznaczał się wydatnym brzuchem i starannie przystrzyżoną kocią bródką, ale minę miał taką, jakby lada chwila mógł narobić w swoje brudne dżinsy.

– Kim jesteś, do cholery? – warknął groźnie Puller.

Tamten zaczął się tak silnie trząść, że Puller mimo woli opuścił nieco broń i natychmiast sięgnął do kieszeni po swoją odznakę i legitymację służbową.

– Śledczy wojskowy – przedstawił się w skrócie. – Nie pociągnę za spust, jeśli mnie przekonasz. Co tu robisz?

– Babcia prosiła, żebym przyjechał.

– Kim jest twoja babcia? Bo na pewno nie Louisa. Powiedziała mi, że nie ma

bliskiej rodziny w tej okolicy.

– Bo nie ma. Moja babcia jest jej najlepszą przyjaciółką.

– Jak się nazywasz?

– Wally Cousins. Moja babcia to Nelly Cousins. Mieszkamy w Drake od zawsze. Wszyscy nas tu znają.

– Pikap jest zarejestrowany na niejakiego Cletusa Cousinsa.

– To mój tata. Odstawiłem swój samochód do warsztatu, więc przyjechałem jego wozem.

– W porządku, Wally, więc zapytam raz jeszcze. Co tu robisz i co chcesz stąd zabrać?

Chłopak wskazał pudło na podłodze. Otworzyło się przy upadku i na podłogę wysypały się ubrania, Pismo Święte, kilka książek, parę fotografii w ramkach, druty do robótek i różnokolorowe kłębki włóczki.

– To, co spakowałem – odparł.

– Dlaczego? Chcesz to zawieść do szpitala, do Louisy?

Chłopak spojrzał na niego w zakłopotaniu.

– Nie, proszę pana.

– Więc dokąd?

– Do mojej babci.

– Zamierzałeś więc wywieźć te rzeczy Louisy do swojej babci. Twoim zdaniem to nie jest kradzież?

Chłopak popatrzył szeroko rozwartymi oczami ze zdumienia.

– Cóż, Louisa nie będzie już tego wszystkiego potrzebowała. Nie żyje.

Puller zamrugał szybko.

– Louisa nie żyje? Kiedy zmarła?

– Jakieś trzy godziny temu. Wcześniej powiedziała mojej babci, żeby zabrała sobie te rzeczy, kiedy ona umrze. Jak mówiłem, były serdecznymi przyjaciółkami. Mniej więcej w tym samym wieku i w ogóle...

Puller jeszcze raz spojrzał na pudło i podniósł wzrok na Cousinsa.

– Bardzo ci się spieszyło, prawda? Jak sępowi nad jeszcze ciepłym trupem.

– Nie zna pan tutejszych realiów.

– Jakich realiów?

– Mnóstwo ludzi tu klepie biedę. Jak tylko rozejdzie się wieść, że ktoś umarł,

a nie miał rodziny, jego rzeczy znikają w okamgnieniu. Nie zastanawiał się pan, dlaczego tak dużo opuszczonych domów to prawie ruiny? Więc jak tylko pani Louisa zmarła, babcia kazała mi tu przyjechać i zabrać te wszystkie rzeczy, które Louisa jej obiecała w wypadku śmierci.

Puller opuścił pistolet.

– A jak twoja babcia się dowiedziała, że Louisa nie żyje?

– Zadzwoiła do szpitala.

– Moja znajoma też dzwoniła do szpitala i niczego jej nie powiedzieli.

– Moja ciocia jest pielęgniarką w szpitalu. Dlatego powiedziała babci.

– Myślałem, że jej się poprawia.

– Pewnie tak było. Według ciotki wyglądała coraz lepiej. Ale nagle aparaty ogłosiły alarm. Louisa po prostu przestała oddychać. Ciotka powiedziała, że czasem tak bywa ze starymi ludźmi. Nagle odchodzą. Jak gdyby zmęczeni życiem.

Puller dokładniej obejrzał rzeczy w pudle i doszedł do wniosku, że nie ma wśród nich niczego wartościowego. Jego uwagę przykuło zdjęcie przedstawiające dwie, dwudziestokilkuletnie kobiety, w jaskrawych baloniastych spódnicach, obcisłych bluzkach i różowych szpilkach, z włosami tak natapirowanymi, że wyglądały jak wielkie gniazda os na sterydach. Odwrócił je i spojrział na wykaligrafowaną atramentem datę.

Listopad 1955.

– Jedna z tych pań to twoja babcia?

Wally skinął głową.

– Tak, proszę pana. Ta ciemnowłosa. – Wskazał utlenioną na jasnoblonde postać z lewej. Uśmiechała się z wyższością, jakby cały świat do niej należał. – A to pani Louisa. Obie wyglądają teraz zupełnie inaczej. Szczególnie pani Louisa, ma się rozumieć.

– Owszem. – Puller rozejrzał się dookoła. – Zabierasz kota?

– Nie. Babcia ma trzy psy. Pożarłyby tego biedaka. – Zerknął trwożliwie na pistolet. – Mogę już iść?

– Tak. Możesz.

Wally podniósł karton.

– Powiedz babci, że przykro mi z powodu śmierci jej przyjaciółki.

– Powiem. A jak się pan nazywa?

– Puller.

– Na pewno jej przekażę, panie Puller.

Chwilę później rozległ się warkot uruchamianej półciężarówki i zgrzyt żwiru pod kołami auta wyjeżdżającego sprzed motelu. Puller rozejrzał się ponownie, aż doleciało go ciche żałosne miauknięcie. Wszedł za kontuar i zajrzał do sypialni na tyłach. Kot leżał na nieposłanym łóżku z łapami ułożonymi na brzuchu. Puller sprawdził zapas jego karmy i wody, zajrzał do kuwety. Kot nie jadł ani nie pił dużo. Pewnie czekał na powrót swojej pani. Jeśli tak, to chyba i on miał niedługo umrzeć. Zresztą wyglądał na równie starego w kocich kategoriach, co Louisa w ludzkich.

Puller usiadł na brzegu łóżka i rozejrzał się po pokoju. Od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego, kloszowych spódnic i całego świata leżącego u jej stóp, po kilku dziesięcioleciach skończyło się żalosną egzystencją w tej zagraconej klitce. A ludzie i tak mieli rozgrabić te wszystkie rzeczy, jeszcze zanim ich właścicielka spocznie w grobie.

Myślałem, że uratowałem jej życie. Ale nie zdołałem jej pomóc. Tak samo, jak moim chłopakom w Afganistanie. Ich także nie udało mi się uratować. Sprawy potoczyły się swoim torem. Poza moją kontrolą. Na żadnych zajęciach wojskowych nie uczą tego, iż rzeczy najważniejsze, decydujące o życiu i śmierci, pozostają całkowicie poza kontrolą człowieka.

Pogłaskał kota po brzuchu, wstał i wyszedł.

Otworzył bagażnik swojego samochodu, wyjął z niego rolkę taśmy, zamknął drzwi biura na klucz i zakleił je odcinkiem żółtej taśmy fluorescencyjnej.

Była widoczna z daleka. A jej przekaz oczywisty:

Wstęp wzbroniony.

Następnie przyjrzał się uważnie drzwiom swojego pokoju, a szczególnie podłodze przed nimi. Usiłował wypatrzeć rozciągnięty drut albo kawałek deski niepasujący do pozostałych, lecz niczego takiego nie zauważył. Podniósł duży kamień z kwietnika na skraju parkingu i rzucił go przed drzwi. Niemal odruchowo dał nura za osłonę samochodu. Kamień spadł na podłogę i nic się nie wydarzyło. Puller wybrał drugi kamień i cisnął nim w klamkę. Trafił, rozległ się donośny metaliczny brzęk.

Ale nic poza tym.

Wyciągnął z plecaka długą teleskopową tyczkę z uchwyty na końcach, które można było ustawiać pod różnymi kątami. Umieścił klucz w zacisku,

wyciągnął tyczkę przed siebie i rozejrzał się ponownie. Dokoła nie było żywej duszy. Wyglądało na to, że pozostał jedynym gościem w motelu.

Wsunął klucz do zamka, przekręcił go i za pomocą tyczki pchnął drzwi.

Nie nastąpił wybuch. Nie buchnęły płomienie.

Złożył tyczkę, schował ją do plecaka, zamknął samochód i wszedł do pokoju. Stanął na środku i czekał, aż jego oczy przywykną do panującego tu półmroku.

Wszystko wyglądało tak, jak zostawił. Sprawdził zastawione przez siebie pułapki, lecz nic nie wskazywało na wizytę intruza.

Zamknął drzwi i przekręcił zasuwkę, po czym usiadł na łóżku. W myślach uzupełnił listę swoich niepowodzeń.

Nie zauważył w porę rozciągniętego drutu detonatora.

Nie udało mu się uratować Louisy.

Spojrzał na zegarek. Zastanawiał się, czy może jeszcze zadzwonić.

Cole prawdopodobnie była już w łóżku. Zresztą co właściwie miałby jej powiedzieć?

Położył się i zacisnął palce na kolbie M11, z którym nie zamierzał się rozstawać przez całą noc.

Po chwili zadzwonił jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz i o mało nie jęknął.

– Słucham, panie generale.

– To rzecz niesłychana, Gunny – rzucił z wyrzutem jego ojciec.

Stary najczęściej zwracał się do niego jak do swojego adiutanta albo, jak teraz, do sierżanta dowodzącego działaniem artylerii, a czasem po prostu nazywał go „durnym szeregowcem”.

– Co się stało, panie generale?

– Nie przyszły rozkazy z dowództwa, tymczasem nastał sobotni wieczór i nie ma nic do roboty. Co byś powiedział, żebyśmy się razem urwali na kilka głębszych? Możemy się zabrać do Hongkongu z transportem wojskowym, który niedługo odjeżdża. Znam kilka fajnych miejsc. Dobra muzyka. Piękne panie.

Puller rozwiązał buty i skopał je na podłogę.

– Jestem na służbie, panie generale.

– Nie jesteś, jeśli ja tak zadecyduję, żołnierzu.

– Dostałem specjalne rozkazy, sir. Prosto ze sztabu.

– To dlaczego o niczym nie wiem? – warknął jego ojciec ze złością.

– Przyszły z pominięciem normalnej drogi służbowej. Nie pytałem dlaczego, generale. To wojsko. Po prostu musiałem je wykonać.

– Zaraz zadzwonię gdzie trzeba. Mam dość tych bzdur. Jak jeszcze raz ci ze sztabu załatwią coś za moimi plecami, będą tego żałować.

– Tak jest, sir. Zrozumiałem.

– Będą tego gorzko żałować.

– Tak jest, sir. Życzę miłej zabawy w Hongkongu.

– Trzymaj się, Gunny. Zadzwonię po powrocie.

– Zrozumiałem, sir.

Połączenie zostało przerwane. Puller zastanawiał się, czy przypadkiem nie wstrzymano jego ojcu podawania leków. Kiedy był pod ich wpływem, zazwyczaj spał już o tej porze, tymczasem już po raz drugi dzwonił do niego tak późno. Należało to sprawdzić.

Rozebrał się do bielizny i położył z powrotem.

Każda taka rozmowa z ojcem zdawała się odrywać kolejny fragment jego rzeczywistości. Obawiał się, że nadejdzie taka chwila, że ojciec zadzwoni do niego, a on uwierzy we wszystko, co usłyszy. Że znowu służy w jednostce liniowej i dowodzi własnym oddziałem, a Puller jest jego zastępcą albo dowódcą działonu artylerii czy też jednym z setek tysięcy durnych szeregowców.

Mogło się to zdarzyć któregoś dnia, ale jeszcze nie dzisiaj.

Zgasił światło i zamknął oczy.

Potrzebował snu, toteż zasnął.

Jednakże był to bardzo lekki sen. Na trzy sekundy do tego, żeby się ocknąć, wymierzyć i strzelić do wroga.

I śniły mu się bomby, kule, nagłe śmierci.

Jak gdyby nigdy nie wyjeżdżał z Afganistanu.

43

O szóstej był już na nogach, wykąpany, ogolony i ubrany.

Usiadł na werandzie przed wejściem do biura i wypił kubeczek kawy ze swojego ekspresu. Nikt nie zerwał żółtej taśmy zabezpieczającej wejście do biura, którą przykleił po odjeździe Wally'ego Cousinsa.

O ósmej w barze Crib zjadł jajecznicę na szynce z grzankami i wypił następną kawę. Cole pojawiła się znowu w mundurze, przez co cała jej kobiecość zniknęła pod warstwami poliestrowej tkaniny i policyjnego sprzętu oraz regulaminowymi czarnymi butami.

– Louisa zmarła wczoraj wieczorem – rzekł Puller.

– Tak? Nie słyszałam o tym – odparła, zamarłszy z widelcem uniesionym do ust.

Opowiedział jej o wizycie Wally'ego Cousinsa w motelu. Potwierdziła, że babcia Cousinsów i Louisa były serdecznymi przyjaciółkami.

– Zadzwońłem dziś rano do szpitala i podałem się za jej wnuka – dodał. – Powiedzieli mi, że zmarła we śnie.

– Moim zdaniem to całkiem niezły sposób na zejście z tego świata.

Lepszy niż wielki gładzający samochód, w którym się właśnie znajdujesz, pomyślał.

– Nie miała tu żadnej rodziny – powiedział. – Kto się zajmie jej zwłokami i zorganizuje pogrzeb? I co będzie z motelem?

– Wykonam kilka telefonów. Zajmiemy się tym, Puller. Drake nie jest już takie, jak kiedyś, lecz nadal mieszka tu sporo dobrych, troskliwych ludzi, którym nie jest wszystko jedno.

– Jasne. – Pociągnął łyk kawy. – Czy ludzie naprawdę muszą działać tak szybko, gdy ktoś umiera?

Wzruszyła ramionami.

– Nie będę cię okłamywać, że Cousins mówił nieprawdę. Kiedy ludzie klepią biedę, robią czasami dziwne rzeczy.

– Jak ci z tamtego osiedla, które mi pokazywałaś, sąsiadującego z betonową kopułą?

– Przyznaję, że część z nich żyje z tego, co zrabuje. Niekiedy zabierają rzeczy ludziom, którzy jeszcze żyją i próbują się bronić. Ale my to kwalifikujemy jako kradzież, włamanie lub rabunek i wyciągamy konsekwencje.

– Wsadzacie ich do więzienia?

– Czasami tak.

Puller włożył do ust porcję jajecznicy. Wcześniej zadzwonił do dowódcy wydziału w Quantico i zapoznał go z ostatnimi ustaleniami. Kiedy wspomniał o zamachu bombowym, Don White orzekł:

– Najwyraźniej działasz komuś na nerwy.

– Zgadza się.

Nie poprosił jednak o przydzielenie pomocy. Gdyby tamten chciał mu ją przysłać, już by to zrobił. A on nie zamierzał żebrać.

Zarezerwował sobie też na popołudnie miejsce w samolocie startującym z Charlestonu. Musiał przeprowadzić kilka rozmów w Pentagonie na temat zadań zabitego pułkownika Reynoldsa, chciał także odwiedzić jego dom w Fairfax City. Napomknął, że tym mógłby się zająć inny agent operujący w Wirginii, ale dowódca dał mu jasno do zrozumienia, że musi radzić sobie sam, bo armia nie jest zainteresowana angażowaniem większych sił.

– Na jak długo wyjeżdżasz? – zapytała Cole.

– Nie wiem. To zależy, czego się dowiem. Ale nie będzie mnie najwyżej kilka dni.

– Masz już jakieś wiadomości z twojego wspaniałego laboratorium z Atlanty?

– Nic na temat teczki i laptopa. Na razie analizują wcześniej przesłane próbki. To specjaliści, ale potrzebują trochę czasu. Skontaktuję się z nimi dzisiaj i zawiadomię cię, gdyby coś mieli.

– A co z tą firmą z Ohio badającą glebę?

– Zaczyna pracę o dziewiątej. Tak więc dokładnie na zero dziewięć planuję skorzystać z telefonu.

– Być może nie zechcą niczego wyjaśnić bez nakazu sądowego.

– Niewykluczone. W takim razie zdobędziemy nakaz.

Cole nie odpowiedziała. W milczeniu popijała kawę i przyglądała się innym klientom baru.

Puller popatrzył na nią.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie o Randy’ego i groźby śmierci.

– Myślę, że nie trzeba być światowej klasy detektywem, żeby do tego dojść.

– Prawdopodobnie Randy uważa, że wasi rodzice zginęli z winy Trenta.

Przeciwko niemu kieruje całą swoją złość. To dlatego zaczął mu grozić. A ty pewnie wszczęłaś śledztwo i wykryłaś autora pogrózek. Załatwiłaś sprawę i puściłaś ją w niepamięć.

– To całkiem wiarygodny ciąg wydarzeń.

– W porządku, ale pozostaje pytanie. Czy to on jest również autorem ostatnich pogrózek?

– Nie sądzę.

– Ale nie jesteś tego całkiem pewna?

– Służę w policji wystarczająco długo, aby wiedzieć, że każdy może stać się agresywny, jeśli ma ku temu powody.

– Chcesz, żebym z nim porozmawiał?

Pokręciła głową.

– To nie twoje śledztwo, Puller. Przyjechałeś tu tylko z jednego powodu.

– Skąd wiesz, że pogrozki nie mają związku z tym, co spotkało Reynoldsów?

W takim razie to byłoby także moje śledztwo.

– Niby jak miałyby to się łączyć?

– Nie wiem. Dlatego prowadzimy dochodzenie. Więc jak, pozwolił mi z nim porozmawiać?

– Zastanowię się. Na razie nawet nie wiem, gdzie on jest.

– Z czego się utrzymuje? Ma jakieś dochody poza pieniędzmi odziedziczonymi po rodzicach?

– Pracuje dorywczo.

– Czy Roger uważa, że to Randy jest autorem tych nowych pogrózek?

Dlatego kontaktował się bezpośrednio z tobą?

– Chyba tak – przyznała.

– Kiedy Trent wraca do miasta?

– Nie wiem. Nie prowadzę terminarza jego spotkań.

– Myślę, że dziś rano byłoby dobrze odwiedzić biuro, w którym pracowała Molly Bitner, i popytać innych pracowników.

– Naprawdę sądzisz, że istnieje związek między nimi a Reynoldsami? Oczywiście pomijając to, że mogli przypadkiem coś zobaczyć.

– Właśnie to musimy ustalić. Ale skoro o tym mowa, nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Oboje popatrzyli przez frontową witrynę na ulicę, gdy przed barem zatrzymał się srebrny mercedes SL600. Dach był złożony i z daleka dało się rozpoznać ludzi siedzących w kabriolecticie.

– O wilku mowa – mruknął Puller. – Twoja siostra za kierownicą, a przy niej brat o morderczym spojrzeniu.

Gdy Jean Trent i Randy Cole weszli do środka, wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę. Ona miała na sobie krótką granatową spódnicę, białą bluzkę bez rękawów i wysokie szpilki, jej fryzura mimo jazdy odkrytym autem pozostawała nienaganna, a makijaż wyglądał tak, jakby robiła go specjalistka z salonu piękności. Można było odnieść wrażenie, że do Crib wdarła się fala wdzięku, która nikogo nie pozostawiła obojętnym, od robotnika do urzędnika. Jak gdyby wszyscy poczuli lekki zawrót głowy, bo wielka gwiazda filmowa zdecydowała się zjeść śniadanie w Drake, w Wirginii Zachodniej.

Jean uśmiechnęła się i pomachała ludziom z jednej i drugiej strony sali. Natomiast Randy stracił całą wojowniczość z poprzedniego wieczoru. Był przygarbiony i wbijał wzrok w podłogę. Brudne dżinsy, biały T-shirt z wizerunkiem zespołu Aerosmith i kwaśna mina świetnie pasowały do jego postawy.

Puller spoglądał przez chwilę na tę parę, po czym wstał i pomachał im ręką.

– Jean? Tutaj! Usiądźcie z nami!

– Na miłość boską, Puller – syknęła Cole.

Popatrzył na nią.

– Nie masz ochoty na towarzystwo najbliższej rodziny?

Jean i Randy ruszyli w ich stronę. Puller przesunął się tak, żeby Jean mogła zająć miejsce na sofie w głębi przepierzenia, po czym usiadł obok niej. Randy klapnął ociężale naprzeciwko, obok swojej drugiej siostry.

– Byłeś wczoraj wieczorem na cmentarzu? – zapytała Cole. – Jestem pewna, że cię tam widziałam.

– A co? Nie wolno? – wymamrotał Randy.

– Zgarnęłam naszego zbuntowanego brata po drodze do miasta – powiedziała Jean. – Przekonałam go, że wspólny posiłek ze starszą siostrą nie oznacza czegoś gorszego od śmierci. – Obrzuciła go taksującym spojrzeniem i dodała: – Zresztą wyglądasz tak, jakby przydało ci się dorzucić trochę mięsa do tego worka kości. Wczoraj wieczorem prawie nic nie zjadłeś.

– Co robiłeś na cmentarzu? – zagadnęła Cole.

- A co ty tam robiłaś? – wypalił.
- Oddawałam cześć zmarłym.
- Tak samo jak ja. Coś ci się nie podoba?
- W porządku. Nie musisz się na mnie wyżywać.

Rozejrzał się dookoła.

- Czy możemy zamówić śniadanie? Jestem głodny. – Potarł palcami skroń.
- Znów dokucza ci ból głowy? – zapytał Puller.
- A tobie co do tego? – warknął Randy.
- Po prostu pytam. Może śniadanie ci pomoże.

Podniósł rękę i pomachał na kelnerkę.

Kiedy Jean i Randy złożyli zamówienia, Puller podniósł do ust kubek z kawą, pociągnął łyk i odstawił go na stół.

– Naprawdę wyglądasz tak, jakbyś bardzo potrzebował kilku godzin solidnego odpoczynku.

Randy popatrzył na niego bykiem.

- Dzięki za troskę.
- Nie ma sprawy. To tylko drobna uwaga. Jesteś już dużym chłopcem, powinieneś sam zadbać o siebie.

– Gadasz dokładnie tak samo, jak moje siostry.

– W końcu od tego ma się siostry – rzekł Puller. – Martwią się o wszystko. A więc także o brata. Kiedy wychodzą za mąż, zaczynają się także martwić o swoich mężów.

– Nawet nie wiem, gdzie teraz mieszkasz – zwróciła się do brata Cole. – Czy w ogóle masz dach nad głową, czy tylko przenosisz się od jednego kumpla do drugiego?

Randy zaśmiał się gardłowo.

- Nie mam aż tak wielu przyjaciół w Drake.
- Kiedyś miałeś – wtrąciła Jean.
- Ale wszyscy dorośli, pożenili się, mają dzieci – mruknął Randy.
- Więc może zrób to samo – podsunęła Jean.

Spojrzał na nią.

– Tak, masz rację. Mógłbym się ożenić z jakąś grubą, bogatą babą, żyć szczęśliwie w wielkim domu i jeździć pięknym fikuśnym samochodem.

Jean nawet nie mrugnęła. Pullerowi przemknęło przez myśl, że pewnie słyszała to samo tysiące razy z ust wielu różnych osób.

– Nie wierzę, że są jakieś grube, bogate baby w Drake, Randy – powiedziała.
– A jeśli myślisz o zmianie tej zgranej płyty na hit z jej drugiej strony, to weź pod uwagę, że jedyny gruby bogaty facet w tym mieście jest już zajęty.

– Wszyscy to świetnie wiedzą – syknął jej brat.

Jean uśmiechnęła się.

– Czasem się zastanawiam, dlaczego w ogóle nadal się tobą przejmuję.

– Nikt cię o to nie prosi.

– Daj spokój, Randy. Wzbudzasz w nas wszystkich poczucie winy. Szlajasz się po mieście, nigdy nie wiadomo, gdzie jesteś, a gdy w końcu się pojawiaasz, wyglądasz jak ostatni łachudra, zabierasz trochę pieniędzy i znowu znikasz na parę dni. Czekamy, żebyś zadzwonił, ale gdy dzwonisz, dajesz tylko następne powody do zmartwień. Przyszedłeś wczoraj na kolację tylko dlatego, że Roger wyjechał z miasta. I wykorzystasteś okazję, żeby zasypać nas swoimi sarkastycznymi uwagami, które uznajesz za zabawne. Biedny Randy. Założę się, że po prostu to uwielbiasz, prawda? Bo on się dorobił, a ty nawet nie możesz o tym marzyć.

Puller nawet się nie domyślał, do czego zmierza ta przemowa. Ale najwyraźniej nie przeczuwała tego również Cole. Dlatego syknęła z wyrzutem:

– Jean!

Puller spojrzał na Randy'ego, który nie spuszczał wzroku ze starszej siostry.

– Mów dalej, siostrzyczko. Naprawdę sprawiasz mi radość.

Jean syknęła:

– Zobaczyłam go włączającego się po ulicy. Zaprosiłam, żeby wsiadł do mojego samochodu. I przywiozłam go tutaj, żeby zafundować śniadanie. Po drodze zaproponowałam mu pracę. Zaoferowałam wszelką pomoc, jakiej potrzebuje. A jedynym podziękowaniem jest to gówno, którym teraz ciska mi w twarz. Mam tego po prostu dość.

Stopniowo coraz bardziej podnosiła głos, aż ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli spoglądać w ich kierunku i wymieniać półgłosem uwagi.

Cole położył rękę na ramieniu Randy'ego.

– Ona wcale tak nie myśli.

– A właśnie, że tak myślę! – wykrzyknęła Jean. – Oczywiście, że tak. I wy myślelibyście tak samo, gdybyście znaleźli odwagę, żeby powyciągać głowy z

cholernego piasku.

Randy uśmiechnął się złośliwie, jakby w jednej chwili odzyskał pewność siebie.

– Ciekaw jestem, Jean, czy Roger ci płaci za każdy numerok? A może ma zniżkę za hurt? Nie zaczęłaś mu liczyć podwójnie, kiedy już zamordował mamę i tatę? No wiesz, żeby mu pokazać, że się gniewasz za to, że pozbawił cię rodziców bez mrugnięcia okiem.

Jean poderwała się i tak mocno uderzyła brata w twarz, że aż zachwiała się od impetu. Randy nie zareagował, nawet gdy stłuczony policzek najpierw się zaróżowił, a potem mocno zaczerwienił.

– Tylko na tyle cię stać? – zapytał. – Ta cała forsa zrobiła z ciebie mięczaka.
– Wstał. – Mam pilne sprawy. Dzięki za podwiezienie, Jean. A właściwie powinnaś podziękować Rogerowi w moim imieniu. W końcu to jego samochód. To on jest właścicielem i domu, i firmy, i ciebie. – Wyjrzał przez okno na mercedesa. – Ten model jest trochę przestarzały, siostrzyczko. Nie wiem, czy Roger nie powinien go sprzedać. Aż dziw, jak daleko zaszedł. Do tej pory nawet nie zdawałem sobie sprawy, że handlarze węglem muszą tak dużo latać swoimi cudacznymi odrzutowcami. A ty, mimo wszystkich ćwiczeń i diety, zbierasz jednak żniwo nadużywania alkoholu i urodzenia dwójki dzieci. Tylko nie zrozum mnie źle. Nadal jesteś ładna. A Roger jest gruby i brzydki. Jednak zasady są inne dla kobiet i mężczyzn. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale tak jest. Bo zasady ustala ten, kto ma złoto. Więc wypada na twojego Rogera. Teraz będziesz miała swój dobry dzień, siostrzyczko.

Odwrócił się i odszedł. Puller popatrzył, jak przybija piątkę kolegom siedzącym kilka przepierzeń dalej, po czym wychodzi na ulicę, trzaskając drzwiami.

Popatrzył na Jean, która siedziała z osłupiałą miną.

Cole zagadnęła:

– Oboje niepotrzebnie powiedzieliście sobie o kilka słów za dużo.

– Mówiłam szczerze to, co myślę – odparła Jean. – I Randy pewnie tak samo – dodała ciszej.

Spojrzała przez okno na samochód. Puller niemalże widział, jak chaotyczne myśli przelewają się jej przez głowę niczym pojedyncze klatki filmu. Zastanawiała się, co teraz porabia Roger i czy naprawdę mógłby ją traktować jak obiekt handlu.

Cole sięgnęła przez stół i położyła dłoń na jej ręce.

– Jean, to, co powiedział Randy, to były zwykłe bzdury.

– Czyżby? – syknęła jej siostra.

Cole spuściła głowę.

Jean obejrzała się na Pullera.

– A ty co o tym myślisz? Podobno jesteś wielkim detektywem.

Wzruszył ramionami.

– Nie umiem czytać w myślach, Jean. Lecz jeśli twój mąż faktycznie cię zdradza, powinnaś wystąpić o rozwód i wyssać z niego tyle forsy, ile tylko zdołają wyciągnąć twoi adwokaci. A ponieważ wyszłaś za niego, kiedy nie był jeszcze bogaty, podejrzewam, że nie spisaliście intercyzy.

– Nie.

– Więc nie masz się czym martwić. To najlepsze, co mogę ci poradzić.

Kelnerka przyniosła dania zamówione przez Jean i Randy'ego. Rozejrzała się po sali i zapytała:

– On wróci?

– Szczerze w to wątpię – wyjaśniła przymilnym tonem Jean. – Ale gdybyś zechciała potrzymać to w piecyku, a później zapakować, postaram się go odnaleźć i przekazać.

– Nie ma sprawy.

Kelnerka odeszła.

Jean pocięła nożem jajecznicę na mniejsze kawałki i chciała coś powiedzieć, gdy Puller wstał.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytała.

– Zaraz wracam – odparł i ruszył w stronę stolika w rogu, przy którym zauważył Billa Straussa.

Jean spojrzała na Cole.

– Spaliście już ze sobą?

– Jean, dlaczego się po prostu nie zamkniesz i nie zajmiesz jajecznicą?

Cole wyszła zza przepierzenia i dogoniła Pullera, który stał już przy Strausie.

– Witam, panie Strauss. Agent śledczy John Puller. Pamięta mnie pan?

Tamten skinął głową. Miał na sobie inny drogi trzyczęściowy garnitur oraz

koszulę z mankietami na spinki i monogramem na rogu kołnierzyka.

– Oczywiście, agencie Puller. Jak się pan miewa?

– Doskonale.

– Jakież postępy w śledztwie?

– Niedługo się pojawią – odparła Cole, wysuwając się zza pleców Pullera.

– Kiedy można się spodziewać powrotu pańskiego szefa do miasta?

– Prawdę mówiąc, nie umiem powiedzieć.

– Szef nie wtajemnicza w takie sprawy swojego zastępcy? – zdziwił się Puller.

– Do czego panu potrzebna informacja kiedy wróci?

– A to już sprawa wyłącznie między Trentem a nami – odparł. Poklepał Straussa po ramieniu i dodał: – Proszę przekazać swojemu szefowi pozdrowienia ode mnie.

Zawrócił i podszedł do siedzącej samotnie Jean.

– Będę musiał znowu porozmawiać z twoim mężem. Powiedz Rogerowi, że musimy się spotkać, jak tylko wróci do miasta.

Odłożyła widelec.

– A o co chodzi?

– Przekaż mu tę wiadomość. Dzięki.

Ruszył do wyjścia.

Cole odliczyła należność za śniadanie, położyła pieniądze na stole, pospiesznie pożegnała się z siostrą i pobięła za Pullerem. Dogoniła go na ulicy, gdzie zatrzymał się, żeby popatrzeć na srebrnego mercedesa.

– Co ty próbujesz rozgrywać ze Straussem? – zapytała.

– Po prostu chcę się czegoś od niego dowiedzieć. Jest dyrektorem w spółce?

– Tak, jest dyrektorem naczelnym.

– Od jak dawna?

– Prawie od samego początku, jak Roger rozkręcił ten interes.

– Strauss jest starszy.

– Tak, ale Roger ambitniejszy, jak sędzę.

– Albo przynajmniej bardziej chętny do podejmowania ryzyka.

Ruszyli w stronę samochodu.

– Nadal wybierasz się do Waszyngtonu?

- Tak. Nie da się tego uniknąć.
- Myślisz, że wkrótce zaczną się tu dziać dziwne rzeczy?
- Zostało zabitych siedem osób – odparł. – Sądzę więc, że już zaczęły się dziać.

45

Pojechali radiowozem Cole do biura Trenta, w którym pracowała Molly Bitner. Po drodze Puller zadzwonił do firmy z Ohio zajmującej się badaniami gleby. Po rozmowach z dwiema osobami, które nie mogły mu pomóc, na migi dał znać Cole, żeby zjechała z drogi. Zatrzymała wóz na poboczu i odwróciła się do niego.

Puller rzucił do mikrofonu:

– W takim razie proszę mnie połączyć ze swoim przełożonym.

Tym razem musiał czekać aż kilka minut, zanim wreszcie ktoś się odezwał na linii.

Wyjaśnił sytuację i wysłuchał odpowiedzi.

– Czy mogę się czegokolwiek dowiedzieć przez telefon? – zapytał.

Pokiwał tylko głową, słuchając rozmówcy. Poprosił o dane kontaktowe i zapisał je w notesie.

– W porządku. Proszę być przygotowanym na nakaz sądowy. Chciałbym jak najszybciej uzyskać odpowiedzi na moje pytania.

Rozłączył się i spojrzał na Cole.

– A więc konieczny będzie nakaz sądowy? – powiedziała. – Nie sądziłam, że wyniki badania gleby są tak poufne. Nic nie chcieli powiedzieć?

– Tylko tyle, że Matthew Reynolds złożył zamówienie. Zapłacił kartą kredytową. Dostarczył kilka próbek materii organicznej i poprosił o ich analizę. Nie chcieli powiedzieć, co w nich znaleźli. Mam tu wszystkie dane kontaktowe. Możesz się zająć robotą papierkową w tej sprawie?

– Jeszcze dziś zajrzę do prawnika rady okręgu.

Uruchomiła samochód, wrzuciła bieg i wyjechała z powrotem na drogę.

– Chyba chodziło o próbki gleby stąd, prawda?

– Tak należy zakładać. Ale musimy mieć pewność.

– Dlaczego zależało mu na analizie gleby?

– Pewnie przez zanieczyszczenia – rzekł Puller. – Bo z jakiego innego powodu mógłby zamawiać analizę?

– Czyżby właśnie o to chodziło? O zanieczyszczenia gleby?

– No cóż, gdyby zabójcy faktycznie wrócili po wyniki badań i przez nie zabili Wellmana, wtedy trzeba by uznać, że faktycznie to było powodem zabójstw. Ale w takim razie mielibyśmy do czynienia z czymś bardzo poważnym.

– Jesteśmy w Wirginii Zachodniej, Puller. Na każdym kroku znajdziesz tu mnóstwo zanieczyszczonej gleby i wody. Do cholery, wody ze studni nawet nie da się pić. Wszyscy to wiedzą. Wystarczy się uważnie rozejrzeć albo zobaczyć, ile jest pyłu w powietrzu, żeby pozbyć się złudzeń co do skażenia terenu. Dlatego nie rozumiem, po co ktoś miałby zabijać siedem osób, żeby zachować w tajemnicy coś, o czym i tak wszyscy wiedzą.

– To ważna kwestia. Spójrzmy na nią z drugiej strony. Czy Trent miał kłopoty z Agencją Ochrony Środowiska?

– Chyba nie ma takiej spółki górniczej w całym stanie, która nie miałaby kłopotów z EPA i innymi państwowymi służbami kontrolnymi. To fakt, że węgiel napędza gospodarkę, ale są pewne granice.

– I kiedy przekracza się limity zanieczyszczenia, można wpaść w poważne kłopoty?

– Owszem – przyznała. – Tylko czy nawet one są warte zabójstwa siedmiu osób, w tym policjanta? Jeśli Roger popadł w konflikt z jakąś służbą, będzie musiał zapłacić grzywnę, co już się zdarzało w przeszłości. Nawet wiele razy. Ale przecież stać go na to. Nie musi się uciekać do mordowania ludzi.

– A jeśli chodzi o coś więcej niż tylko konflikt z którąś służbą?

– Co masz na myśli?

– Sama powiedziałaś, że jeśli ludzie zaczną umierać na raka, Trent może zostać zmuszony do ucieczki z miasta w samych gaciach. Zatruta woda, choroby, wysoka umieralność dzieci. To mogłoby błyskawicznie pogrążyć całą jego firmę. Groziłaby mu utrata wszystkiego, łącznie z tym wielkim domem i prywatnym odrzutowcem. Mogłoby nawet trafić do więzienia, gdyby udowodniono, że o wszystkim wiedział i nic nie zrobił. Więc może ludzie zginęli z powodu takiej właśnie sprawy.

Cole nie wyglądała na przekonaną. Ujechała w milczeniu parę kilometrów, zanim się w końcu odezwała:

– Tylko jak Reynoldsowie mogli być w to zaangażowani? Zrozumiałabym, gdyby chodziło o Bitner. Pracowała w jednym z biur Trenta. Może dowiedziała

się czegoś. Podśłuchiwała jakąś rozmowę. Zobaczyła coś w pliku lub na ekranie komputera, czego nie powinna była zobaczyć. Ale gdyby tak było, to czemu sama nie wysłała próbek gleby do analizy, tylko postanowiła skorzystać z pomocy Reynoldsów?

– Mogła się bać, że jest obserwowana. Dlatego wykorzystwała Reynoldsa jako pośrednika, aby zamaskować własne zaangażowanie. W końcu mieszkali naprzeciwko siebie. Może poznali się wcześniej i zaprzyjaźnili. Mogła widywać go w mundurze, kiedy przyjeżdżał tu służbowo. W końcu był oficerem. Pracował w Pentagonie. Przysięgał bronić ojczyzny. Pewnie uznała, że wykorzysta w tym celu wszystkie swoje znajomości. Zwróciła się więc do niego, a on zgodził się pomóc. Ale ktoś się o tym dowiedział. Dlatego przysłali cały oddział zabójców, żeby zlikwidował obie rodziny naraz.

– Mnóstwo strzelaniny. A przecież Roger nie dysponuje oddziałami zabójców czekających na jego skinienie.

– Skąd wiesz, że nie? Wystąpienia związkowców przeciwko spółkom wydobywczym potrafią być bardzo burzliwe. Ma już ochronę osobistą. A Jean powiedziała otwarcie, że nosi ukrytą broń. Więc chcesz mi wmówić, że nie umiałby zaangażować grupy płatnych zabójców, żeby zajęła się jego sprawą? Nie posunąłby się do zastraszania? Do wyłożenia swoich racji siłą?

– Tyle że w kopalniach odkrywkowych związki nie są tak silne, ponieważ górnicy nie muszą podejmować ryzyka zjeżdżania pod ziemię, aby wydobyć węgiel. Więc tutaj do bitew związkowców nie dochodzi zbyt często. Szczerze mówiąc, siedzibę związków zawodowych zamknięto wiele lat temu.

– Przyznaję, że to tylko teoria, nad którą trzeba popracować. Miejmy nadzieję, że znajdziemy coś w miejscu pracy Bitner. I nie zapominajmy o fabryczce amfetaminy. Jeśli sprawa ma raczej związek z handlem narkotykami, lepiej by było to ustalić wcześniej niż później.

– Uważam, że wątek narkotyków daje większe szanse na rozwiązanie sprawy niż wątek węglowy. Narkotyki, broń i przemoc zazwyczaj chodzą ze sobą w parze.

– Ale to nie wyjaśnia roli analiz gleby. Ani też zaangażowania Reynoldsów. Ani śmierci Wellmana.

– Mózg zaczyna mi się gotować. Dobra, skupmy się na najbliższym zadaniu. Jak chcesz rozegrać wizytę w biurze Bitner? Wymyśliłeś taktykę?

– Zaczynaj od pytań ogólnikowych i oczekuj ogólnikowych odpowiedzi. Musimy jednak mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Absolutnie wszystko w

zasięgu wzroku może się stać naszym celem.

– No cóż, jeśli masz rację i to spółka przyczyniła się do śmierci tylu ludzi, aby zachować coś w tajemnicy, wątpię, żeby koleżanki Bitner okazały się chętne do współpracy. Pewnie będą śmiertelnie przestraszone.

– Nigdy nie obiecywałem, że czeka nas łatwe zadanie.

46

Filia biura Trenta znajdowała się w pomalowanym na jasnożółto jednopiętrowym budynku z betonu, prowadziła do niego kręta, wysypana żwirem alejka dojazdowa. Parking mieścił kilkanaście samochodów. Wyróżniał się wśród nich mercedes S550. Zajmował pierwsze miejsce, tuż przy drzwiach.

– To wóz Billa Straussa? – zapytał Puller, gdy przechodzili obok niego w drodze do wejścia.

– Po czym poznałeś?

– Widziałem go przed barem Crib. Jedynym człowiekiem w mieście poza Straussem, którego stać na takie cacko, jest Roger Trent, a jego w tej chwili nie ma w Drake. Musiał nas wyprzedzić w drodze do biura, pewnie przez to, że poprosiłem cię o postój na poboczu. Albo wybrał inną trasę. – Obrzucił krytycznym spojrzeniem obskurny budynek. – Spodziewałbym się trochę innej siedziby dyrektora naczelnego spółki węglowej.

– Filozofią Trenta jest zabieranie pieniędzy do domu, a nie marnowanie ich na budynki biurowe w samym środku terenu wydobywania węgla. Nawet jego biuro w siedzibie zarządu firmy jest raczej spartańskie.

– To znaczy, że prowadzą wydobywanie gdzieś niedaleko?

– Kawalek dalej znajduje się załadownia podobna do tej, którą pokazywałam ci wczoraj wieczorem. Obecnie prowadzą wydobywanie jakiś kilometr stąd na północ.

– Więc wysadzają skały bardzo blisko biura?

– Wysadzają je w pobliżu niemal wszystkiego. To dlatego liczba mieszkańców tak bardzo zmalała. Kto chce mieszkać w strefie walk? – Zerknęła na niego i dodała szybko: – Oprócz wojska.

– Możesz mi wierzyć, że żołnierze też nie chcieliby mieszkać w strefie walk.

– Z kim chciałbyś tu porozmawiać? – zapytała.

– Zaczniemy od początku.

Weszli do środka. W recepcji Puller zapytał o Straussa i wskazano im drogę. Gabinet był wyłożony wstrętne poplamionymi płytami sklejk. Na środku stało tanie biurko z równie tanimi krzesłami, w rogu stara, blaszana szafa z

szufladami na dokumenty. Przeciwny koniec zajmowała obdarta kanapa i poobijany stolik kawiarniany. Dalej znajdowały się drugie drzwi, prowadzące chyba do prywatnej łazienki dyrektora. Zapewne był to jedyny warunek, jaki postawił Strauss, aby nie być zmuszonym do korzystania ze wspólnej toalety.

Na biurku stał nowy, błyszczący komputer z dwudziestotrzycalowym monitorem. Był to jedyny element nowoczesnej techniki w imperium Trenta zaopatrzonym jakby z zapasów Armii Zbawienia. Kiedy przypomniał sobie wystawnie urządzonej dom, w którym miał okazję gościć poprzedniego dnia, zrozumiał, co Cole miała na myśli.

Oni naprawdę zgarniają całą forszę do domu. Przynajmniej robią tak najgrubsze ryby z tego stawu.

Strauss wstał zza biurka i przywitał się z nimi. Był bez marynarki, która wisiała na haczyku po wewnętrznej stronie drzwi, przez co wyróżniał się jego dość okazały brzusek, opięty białą, nakrochmaloną koszulą z mankietami do spinek.

Palce miał pożółkłe od nikotyny, musiał przed chwilą zdusić niedopałek w przeładowanej popielniczce, bo powietrze było ciężkie od dymu papierosowego. Puller aż pomachał ręką przed nosem, żeby zaczerpnąć trochę tlenu, za to Cole szybko wzięła kilka głębokich oddechów, jak gdyby próbowała w pośpiechu nałykać się jak najwięcej trucizny. Z wdzięcznością wykorzystywała okazję w roli biernego palacza.

– Dzięki, że zechciałeś się z nami spotkać, Bill – powiedziała.

– Nie ma sprawy, Sam. Gdybym wcześniej wiedział, że chcecie dziś ze mną porozmawiać, zostałbym w barze. – Gestem wskazał im krzesła.

– Nie zajmujemy ci wiele czasu – obiecała Cole.

– Świetnie. Jak rozumiem, jedliście wczoraj kolację z Jean.

– Tak. Zaprosiła nas, bo Roger wyjechał z miasta.

– Gdzie on jest, skoro już o tym mowa? – podchwycił Puller.

– Załatwia interesy w Nowym Jorku – odparł Strauss.

– Biznes w Nowym Jorku? – zdziwił się Puller. – Sądziłem, że wasza firma działa w sektorze prywatnym.

Strauss utkwiał w nim przenikliwe spojrzenie.

– To prawda. Trent Exploration jest prywatną spółką. Ale zarazem niezwykle dochodową w sektorze energetycznym. To sprawia, że przyciąga uwagę najróżniejszych inwestorów.

– To znaczy, że Trent chciałby wprowadzić jej akcje na giełdę? – zapytał Puller.

Dyrektor uśmiechnął się kwaśno.

– Naprawdę nie mogę się wypowiadać na ten temat. Zresztą nie rozumiem, jakie to może mieć znaczenie dla śledztwa. – Wyprostował się na krześle i popatrzył na Cole. – Zatem czym mogę ci służyć?

– Jak wspominałam wcześniej, musimy porozmawiać z biurowymi koleżankami Molly Bitner. Ale zanim do tego przejdziemy, chciałabym usłyszeć od ciebie krótki opis tego, czym się zajmowała. I od jak dawna pracowała dla Trenta.

Strauss odchylił się na oparcie i splótł palce za głową. Spojrzał na paczkę marlboro leżącą na biurku obok wysypującej się popielniczki, ale powstrzymał się od zapalenia kolejnego papierosa.

Czekając na jego wyjaśnienia, Puller przyglądał mu się uważnie, odczytując język ciała.

– Była tutaj od czterech lat. Wcześniej pracowała w innym naszym biurze, po północnej stronie miasta.

– Dlaczego została przeniesiona? – zapytał Puller.

Strauss rzucił mu obojętne spojrzenie.

– Często przenosimy pracowników z jednego biura do drugiego. Wszystko zależy od bieżących potrzeb firmy, jak również od życzeń ludzi. Biuro na północy zajmuje się głównie obsługą wydobycia odkrywkowego w tamtym rejonie. Tutaj obsługujemy więcej spraw scentralizowanych, jesteśmy czymś w rodzaju izby rozrachunkowej dla wszystkich terenów eksploatacji. Trudno mi podać konkretną przyczynę, dla której Molly została przeniesiona tutaj, ponieważ jej nie znam. Być może na to pytanie odpowiedzą wam jej biurowe koleżanki.

– Na pewno o to zapytamy – przyznał Puller.

– A czym ona się tu zajmowała? – podjęła Cole.

– Segregowaniem dokumentów, odbieraniem telefonów, obsługą zamówień z terenu. Zwykłymi biurowymi zadaniami. Oczywiście nie mogła samodzielnie złożyć zamówienia bez akceptacji przełożonych. W kręgach biznesowych można by opisać jej stanowisko jako sekretarki bądź asystentki kierownika biura.

– Była dobrą pracownicą? Sprawiała jakieś kłopoty?

- Z tego, co wiem, nigdy nie było z nią żadnych problemów.
- Może zauważył pan coś niezwykłego w jej zachowaniu w ciągu kilku ostatnich tygodni?
- Nie. Ale to o niczym nie świadczy. Jak już mówiłem, oczywiście ją znałem, lecz rzadko ją widywałem.
- Nie miała problemów finansowych, o których by pan wiedział?
- Na pewno nikt nie czynił zakusów wobec jej dochodów, jeśli o to chodzi. Zadali jeszcze kilka pytań, po czym Strauss zaprowadził ich do boksu, w którym pracowała kierowniczką biura. Zanim się pożegnali, Puller zapytał:
 - Jak się powodzi pańskiemu synowi?Strauss odwrócił się szybko do niego.
- Wszystko w porządku. A dlaczego pan pyta?
- Ze zwykłej uprzejmości.
- Świetnie pan wie, że nie ma prawa stawiać pod znakiem zapytania jego wojskowej kariery. I szczerze mówiąc, uważam pańskie pytanie za obraźliwe.
- Przykro mi, że tak je pan odebrał. Czy pan służył w wojsku?
- Nie.
- Gdyby było inaczej, zapewne nie uznałby pan mojego pytania za obraźliwe. Strauss obejrzał się jeszcze na Cole, skrzywił się z niesmakiem i odszedł.

Kierowniczka biura nazwała się Judy Johnson. Chuda jak tyczka, odznaczała się silnym męskim uściskiem dłoni i zasadniczym sposobem bycia. Przetykane siwizną ciemnoblond włosy nosiła zebrane z tyłu w dwa kucyki. Twarz miała pomarszczoną, piwne oczy w odcieniu karmelowym rozbiegane i żywe. Była ubrana w beżowy sweterek i białą bluzkę. Czarne buciki na płaskim obcasie wyglądały na mocno znoszone.

Powiedziała im, że Molly była dobrym pracownikiem. Zwróciła się o przeniesienie na to stanowisko, bo łatwiej było jej dojeżdżać do tej części miasta, a właśnie zwolniła się posada. Nie miała dostępu do niektórych dokumentów w biurze.

– Do których? – zainteresował się Puller.

– Przede wszystkim do tych, które są przechowywane w biurze pana Straussa – odparła Johnson. – Nie miała klucza do szafy, w której znajduje się sejf, gdzie trzymamy dokumenty poufne. Są tam bezpieczne.

– Myślałem, że to drzwi do ubikacji – mruknął.

– Nie. Wszyscy korzystamy z tej samej toalety – wyjaśniła kobieta.

– A kto ma klucz do sejfu? – zapytała Cole.

– Jest odrębny klucz do drzwi szafy i odrębny do sejfu. Pan Strauss nie rozstaje się z nimi nawet na chwilę.

– Co może być aż tak ważnego, że trzeba zachowywać tak dalece posunięte środki ostrożności? – zapytał Puller.

– No cóż, w tym biurze przechowywane są raporty z badań geologicznych obejmujące lokalizację pokładów węgla oraz inne związane z nimi dane. Byłyby bardzo cenne dla ludzi pragnących się dowiedzieć, gdzie znajduje się węgiel.

– Więc Trent nie jest jeszcze właścicielem całego terenu, pod którym są złoża węgla?

– Nie. Bez przerwy poszukuje się nowych pokładów i regularnie wysyła w teren grupy rekonesansowe. Gdyby ktoś się dowiedział, gdzie jest węgiel, mógłby zawczasu wykupić ziemię i dyktować warunki panu Trentowi, a więc

czerpać korzyści z pracy naszych grup.

– Nie prowadzicie tutaj żadnych analiz próbek gleby? – zapytała Cole.

Johnson popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Analizy gleby? Dlaczego mielibyśmy je robić?

– Na przykład w celu wykrycia zanieczyszczeń i temu podobnych rzeczy.

– Przestrzegamy wszystkich obowiązujących przepisów dotyczących ochrony środowiska – wycedziła niemal odruchowo Johnson.

Najwyraźniej została dobrze wyszkolona, pomyślał Puller.

– Nie wątpię. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie – podjęła Cole.

– Bez przerwy prowadzone są analizy gleby – powiedziała Johnson.

– Rozumiem, wydawało mi się jednak, że byłaś zaskoczona moim pytaniem.

– To dlatego, że myślałam, iż powodem waszej wizyty w biurze jest śmierć Molly. A ona nie miała nic wspólnego z badaniami gleby.

– Czy wyniki badań próbek gleby też są przechowywane tutaj? – zagadnął Puller.

– Jeśli tak, to muszą być w sejfie pana Straussa. Sądzę jednak, że większość analiz jest wykonywana przez specjalistycznych zleceniobiorców, którzy przesyłają wyniki bezpośrednio do biura w Charlestonie.

– Jak rozumiem, Molly i Eric Treadwell prowadzili wspólne konto bankowe.

– Zgadza się.

– Tutaj to dość powszechna praktyka, jak dowiedziałem się od sierżant Cole.

– To prawda.

– Jak oni się poznali? – ciągnął Puller.

Johnson powiedziała:

– Jeśli się nie mylę, to na pikniku firmy Trenta, na który Eric przyszedł z przyjaciółmi. Molly od razu wpadła mu w oko. Oboje mieli za sobą nieudane związki, więc nawet nie myśleli, żeby związać się ponownie. Niemniej polubili nawzajem swoje towarzystwo, co, jak wspomniała sierżant Cole, nie jest tu niczym niezwykłym. – Zamilkła i pokręciła palcem jeden kucyk. – To wszystko czy jest coś jeszcze?

– Zatem przyjaźniła się pani z Molly? – zapytał Puller.

– Owszem, przyjaźniłyśmy się.

– Czy przychodzi pani do głowy jakiś powód, dla którego ktoś chciałby skrzywdzić ją i Erica Treadwella?

– Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić.

– Czy kiedykolwiek była pani w ich domu? – ciągnął Puller.

Johnson odwróciła wzrok, zanim odpowiedziała:

– Raz, może dwa razy. Zwykle spotykałyśmy się w mieście, w restauracji albo w kinie.

– Nie naszły panią podejrzenia, że Molly lub Eric mogą mieć problemy z narkotykami?

– Molly? Narkotyki? Niemożliwe.

– Ale wie pani, jak rozpoznać, czy ktoś używa narkotyków?

Johnson zawahała się.

– Ja... mój syn... miał pewne... problemy z narkotykami. Dlatego... Sądzę, że wiem, jakich objawów wypatrywać.

– Więc nic zauważyła ich pani u Molly. A u Erica?

– U niego też nigdy ich nie zauważyłam. Ale jego rzadko widywałam.

– Na pewno nie przypomina pani sobie niczego niezwykłego?

Znowu się zawahała.

– No cóż, była pewna historia. To na pewno nic ważnego, ale wtedy wydało mi się trochę niezwykłe.

– Proszę powiedzieć – zachęciła ją Cole. – Sami ocenimy, czy to coś ważnego.

– Otóż Eric przyszedł tu kiedyś pod koniec dnia pracy pijany i powstało drobne zamieszanie.

– Zgłosiła to pani? – zapytała Cole.

– Nie. Nawet nie wspomniłyśmy o tym panu Straussowi. Wtedy właśnie nasza drużyna uniwersytecka wygrała puchar Big East, dlatego przymknęłyśmy na to oko. Tamtego dnia mnóstwo ludzi chodziło pijanych, wszyscy wiwatowali na ulicach. Z tego, co sobie przypominam, Molly szybko go uspokoiła. W kółko gadał tylko o naszych wspianiałych Mountaineersach. Miał na sobie koszulkę z emblematem WVU i wymachiwał nad głową taką wielką kartonową dłonią. A potem zasnął na kanapie w gabinecie pana Straussa. Zamknęłyśmy więc drzwi i pozwoliłyśmy mu odpoczywać. Molly zaglądała do niego od czasu do czasu.

– Czy Strauss był wtedy w biurze? – zapytał Puller.

– Och, nie. Oczywiście, że nie. Przebywał poza miastem.

– A kiedy dokładnie to się wydarzyło?

– W grudniu ubiegłego roku – poinformowała Johnson. – Wtedy rozgrywane są finały ligi Big East.

– I to był jedyny raz, kiedy zdarzyło się coś niezwykłego związanego z Molly?

– O niczym innym nie wiem.

Zadali jeszcze kilka pytań i pozwolili kobiecie wrócić do kręcenia palcem kucyków w swoim boksie.

Porozmawiali także z kilkoma innymi pracownikami biura. Nikt jednak nie miał nic do dodania. Molly była dobrym pracownikiem. Nikt nie umiał podać żadnego powodu, dla którego ktoś chciałby ją zabić.

Kiedy wyszli z powrotem do samochodu, Cole powiedziała:

– To trochę za mało, żeby podjąć trop.

– Byliśmy razem w domu Treadwella.

– Zgadza się. Co z tego?

– Widziałaś sygnet na jego palcu?

– Owszem, zwróciłam na niego uwagę.

– To był sygnet absolwenta tutejszej politechniki. Zresztą wiemy, że tam studiował. W sypialni wisiał na ścianie plakat uczelnianej drużyny futbolowej. Wydawnictwa o różnych zespołach politechniki cieszą się sporą popularnością, zwłaszcza wśród kibiców futbolu. Więc jeśli ktoś pasjonuje się sportem w tym stanie, to dlaczego miałyby się aż tak podniecić zdobyciem przez Mountaineersów pucharu Big East? Drużyna Politechniki od lat przewodziła rozgrywkom w Big East. Teraz tak samo odgrywa czołową rolę w futbolowej konferencji ACC. Zatem co sprawiło, że zapalony kibic aż tak się podniecił, iż pijany wtargnął do biura swojej konkubiny tylko dlatego, że jego drużyna wygrała finał rozgrywek?

Cole obejrzała się na budynek.

– Myślisz, że przyszedł tu po to, żeby dostać się do gabinetu Straussa? I ewentualnie dobrać się do zawartości jego sejfu?

– Mam takie podejrzenia. Pozostaje więc pytanie, czy tak było naprawdę.

48

Cole podrzuciła Pullera z powrotem do jego samochodu.

Gdy wysiadł, zapytała:

– Sądzisz, że Treadwellowi udało się dostać do sejfu?

– Tak. I uważam, że Molly mu pomogła.

– Jak?

– Strauss wieszka marynarkę na drzwiach od środka. Prawdopodobnie trzyma klucze w wewnętrznej kieszeni. Podejrzewam, że gdy wyszedł do ubikacji, Molly się zakradła i zrobiła odciski tych kluczy. Treadwell był inżynierem mechanikiem, mógł bez trudu wykonać duplikaty. Potem zrobił przedstawienie, udając pijanego, i wyciągnął się na kanapie w gabinecie. Liczył na to, że zostanie choćby na krótko za zamkniętymi drzwiami. Klucze miał przygotowane. Tymczasem Molly zamknęła drzwi i stanęła na straży. Poderwał się z kanapy, otworzył szafę na dokumenty, dostał się do sejfu i wyjął to, czego potrzebował. Molly co jakiś czas zaglądała do niego. Pewnie miała ze sobą jakieś papiery, które właśnie przenosiła. Dał jej rzeczy z sejfu, a ona ukryła je w teczce z papierami. Zwróciłem uwagę, że w odległym kącie sali ogólnej, na uboczu, stoi duża kserokopiarka. Molly pewnie skopiowała na niej te rzeczy i zaniosiła oryginały z powrotem Treadwellowi, kiedy po raz kolejny do niego zaglądała. Ten odłożył oryginały na miejsce i nikt niczego nie zauważył. Musieli wiedzieć, że tego dnia Straussa nie będzie w biurze. Molly z pewnością miała dostęp do jego terminarza.

– O jakie dokumenty mogło im chodzić?

– Johnson powiedziała, że w sejfie są mapy geologiczne.

– Tyle warte, by zabijać dla nich ludzi?

– Najwyraźniej tak.

– Do mnie to nie przemawia.

– Do mnie też, przynajmniej na razie.

Puller odprowadził ją wzrokiem, gdy wyjeżdżała z parkingu, po czym odwrócił się, żeby iść do swojego pokoju i przygotować się do podróży. Nagle zastygł, ujrawszy wychodzącego zza rogu Randy'ego Cole'a.

– Przepraszam, że rano wyszedłem w takim pośpiechu – zagadnął tamten z uśmiechem.

– Nie ma sprawy. Tyle że Jean twoje uwagi dotknęły do żywego.

Randy usiadł na brzegu werandy, Puller zajął miejsce obok niego.

– Nie daj się zwieść. Jest twarda jak głaz. Twardsza od nas wszystkich. Pewnie już zapomniała, co mówiłem. – Potarł policzek, w który go uderzyła. – Owszem, twarda jak głaz.

– Pewnie musi taka być, skoro wyszła za Trenta.

– Masz rację.

– Jak rozumiem, nienawidzisz tego człowieka.

– Zabił moich rodziców.

– Słyszałem, że to był wypadek.

– Wszyscy tak mówią.

– Ty jesteś innego zdania?

– Owszem.

– Możesz to udowodnić?

– On jest tu właścicielem wszystkiego, dzieli i rządzi według uznania. Ani trochę by się nie przejął, nawet gdybym miał najmocniejsze dowody przeciwko niemu.

– Nie przesadzaj, Randy. Twoja siostra jest policjantką. I też nie uważam jej za wielką zwolenniczkę Trenta. Gdybyś faktycznie miał dowód, na pewno zrobiłaby wszystko, żeby go pogrążyć. Czyżbym się mylił?

Randy odwrócił głowę i zrobił taką minę, jakby nagle stracił całą pewność siebie. Nerwowo potarł skronie.

– Dużo się tam teraz dzieje? – zapytał Puller.

– Dużo, ale głównie bólu.

– Naprawdę powinieneś pójść z tym do lekarza.

– Tak, dobrze.

– Rób, jak chcesz. Lecz jeśli coś jest nie tak, im dłużej będziesz zwlekał, tym gorzej dla ciebie.

– Zaryzykuję.

– Twój wybór. Grób twoich rodziców jest jedynym z niewielu zadbanych na cmentarzu. To twoja robota czy Sam?

– Wspólna.

– Dowiedziałem się od Sam, że zginęli w samochodzie przygniecionym przez głaz, który wyleciał w powietrze podczas wysadzania skał.

Randy pokiwał głową i oczy mu się nagle zaszklily. Jeszcze bardziej odwrócił głowę i ukradkiem otarł palcem łzę w kąciku oka.

– Jechali wtedy z wizytą do Jean. Trent prowadził wysadzania wzdłuż drogi. No i lawina skał zeszła prosto na nich. – Urwał, gdy głos uwiązał mu w gardle.

– Zginęli na miejscu? – zapytał Puller.

Randy przytaknął.

– Lekarz powiedział, że zgon nastąpił natychmiast, w ogóle nie cierpieli. Przynajmniej to dobre. Bo minęło trochę czasu, zanim ich odnaleźliśmy.

– Kto ich odnalazł?

– Ja.

– Mówiłeś, że jechali do Jean. Miałeś na myśli ich stary dom?

Randy znowu przytaknął.

– Po co tam jechali?

– To były moje urodziny – odparł tak spiętym głosem, że ledwie słyszalnym.

– Jean organizowała przyjęcie.

– Więc zginęli w twoje urodziny?

Randy pokiwał głową i spuścił ją nisko.

– Dostałem gówniany prezent urodzinowy, możesz być tego pewien. Od tamtej pory w ogóle nie obchodzę urodzin.

– Jak odnalazłeś rodziców?

– Kiedy nie dotarli na miejsce, próbowaliśmy się dodzwonić. Ale nikt nie odbierał. Potem się rozdzieliliśmy. Mogli przyjechać trzema trasami. Z uwagi na prace górnicze część dróg jest okresowo zamykana, więc nie mogli zawsze jeździć tą samą trasą. Musieliśmy sprawdzić wszystkie. Sam wyruszyła jedną. Jean drugą. A ja trzecią. No i trafiłem na tę właściwą. – Znowu urwał gwałtownie, ale tym razem to Puller odwrócił głowę.

– Gdzie był Roger, kiedy to się działo?

– Siedział w domu i zalewał robaka. – Wolno pokręcił głową. – Wiesz, co od niego usłyszałem, kiedy się dowiedział, co się stało?

– Co?

– „Wypadki chodzą po ludziach”. Ten drań mi oznajmił, że „wypadki chodzą

po ludziach”!

– Przykro mi, Randy.

– Jasne – mruknął szorstko.

Puller wbił wzrok w ziemię.

– Rozumiem, jak to może wpłynąć na dorastającego człowieka.

– Nic mi nie jest.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak, naprawdę. Do diabła, rodziny się nie wybiera. Trzeba sobie radzić z taką, jaką się ma.

Doskonale to wiem, pomyślał Puller.

– A Jean? Jak to przyjęła?

– Ona podąża własną drogą. Żyje we własnym świecie. Zawsze jest zajęta. Ale była tak samo załamana jak my dwoje. Jednakże jest młoda i bogata, ma po co żyć. Ma rodzinę, o którą musi się troszczyć. Wychowuje dzieci...

– A co z tobą? Też masz przed sobą długie życie.

– Tak myślisz?

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Puller obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Myślisz o jego przedwczesnym zakończeniu? Bo jeśli tak, to byłoby bardzo głupie.

– Nie, nie warto się nade mną uzalać.

– To ty wysłałeś nowe pogróżki pod adresem Rogera?

– Nie miałem nawet pojęcia, że odbiera jakieś pogróżki. A jak wasze śledztwo?

– Pewnie całe miasto o nim mówi.

– Mniej więcej.

– Toczy się wolno.

– Aż trudno zrozumieć, dlaczego zginęło tyle osób.

– Znałeś Erica Treadwella albo Molly Bitner?

– Nie za bardzo.

– Albo ich znałeś, albo nie, Randy. Więc jak?

– Znałem ich z widzenia. Ale nic poza tym.

– Znałeś ich na tyle, żeby wiedzieć, czy produkowali narkotyki? Albo nimi

handlowali?

– Nie, na tyle nie. Zresztą nie mam styczności z narkotykami, więc nie wiem. Z wyboru uzależniam się od piwa. – Randy obejrzał się przez ramię na biuro motelu. – To miłe, co zrobiłeś dla Louisy.

– Zrobiłem tylko to, co każdy inny powinien zrobić na moim miejscu.

– Można i tak to traktować. Sam jest dobrą policjantką. Naprawdę możesz liczyć na jej pomoc w śledztwie.

– Cały czas na nią liczę.

– Jean powiedziała mi o bombie. Uratowałeś życie Sam.

– Prawie. Zareagowałem za późno.

– I tak jesteś bohaterem w mojej bajce. Może niezbyt często jej to powtarzam, ale jestem dumny z mojej siostry.

– Więc powtarzaj jej to częściej. Życie jest krótkie.

– Pewnie tak zrobię.

– Chciałbyś wrócić na łono rodziny, Randy?

Tamten wstał.

– Nie jestem tego pewien, Puller. Po prostu nie wiem.

– No cóż, w pewnym momencie trzeba dokonać wyboru.

– Tak, jasne.

Odwrócił się i odszedł w tę samą stronę, z której przyszedł.

Puller spoglądał za nim przez chwilę.

Miasteczko Drake w Wirginii Zachodniej okazało się bardziej złożone, niż to sobie wyobrażał.

Tego samego popołudnia Puller wszedł na pokład liniowego odrzutowca startującego z Charlestonu na wschód. Niespełna godzinę później wysiadł na lotnisku Dullesa. Wypożyczył samochód, zameldował się w siedzibie głównej wydziału dochodzeniowego w Quantico i umówił się na spotkanie ze swoim dowódcą, Donem White'em. Następnie pojechał do swojego mieszkania, żeby nacieszyć się krótkimi wagarami. Wypuścił kota na świeże powietrze i uzupełnił jego zapasy jedzenia i wody, a potem wyczyścił kuwetę.

Umówił się też na spotkanie z przełożoną Matthew Reynoldsa w DIA na następne popołudnie. Kiedy się obudził po sześciu godzinach snu, zjadł śniadanie, przebiegł ośmiokilometrową trasę, powyciskał sztangę na sali gimnastycznej w Quantico, wziął prysznic, wykonał kilka telefonów i dokończył zaległą robotę papierkową.

Następnie ubrał się w swój znoszony mundur polowy i pojechał na północ do Pentagonu. Przy wejściu Pentagon Metro czekał na niego agent specjalny DIA z sekcji kontrwywiadu i bezpieczeństwa, który wprowadził go na teren obiektu. Obaj musieli przy tym okazać legitymacje służbowe i zdać do przeglądu swoją broń, zanim uzyskali prawo wstępu do budynku bez eskorty.

Agent wywiadu nazywał się Ryan Bolling. Był to niezbyt wysoki, mający sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu były żołnierz piechoty morskiej, który przeszedł do wywiadu wojskowego ponad dziesięć lat temu. Teraz był już cywilem, podobnie jak reszta agentów jego wydziału.

Gdy szli razem, Puller zagadnął:

– Myślałem, że trochę bardziej zainteresujecie się tą sprawą. Czuję się nieco osamotniony, prowadząc dochodzenie we własnym zakresie.

– To nie moja działka. Robię tylko to, co mi każą, Puller.

Zagłębiali się w złożony kompleks Pentagonu korytarzem 10. pierścienia A, który doprowadził ich do sekcji J2. Znaleźli się w przestronnym dziale recepcyjnym, gdzie dyżurował naczelnny asystent i kilka sekretarek. Za ich stanowiskami znajdowały się drzwi do gabinetów sekcji J2. Dominowały tu barwy narodowe, wisiała flaga dowódcy sekcji, czerwona z dwiema białymi gwiazdkami. Puller był tutaj przed rokiem. Dział sprawiał wrażenie

przytulnego, a wzrok przyciągała wielka korkowa tablica z hasłem „Uwielbiam to miejsce”, wypełniona zdjęciami oficerów w towarzystwie znajomych oraz wysoko postawionych polityków.

Dowódca J2 przebywał gdzieś w terenie. Jego zastępca urzędował w gabinecie po lewej, także udekorowanym czerwoną flagą, ale tylko z jedną gwiazdką. Na prawo znajdowała się mała sala konferencyjna, gdzie szef J2 lub jego zastępca zwoływali odprawy całej sekcji. Ponadto dowódca zjawiał się tu codziennie o piątej rano, aby wysłuchać bieżącego raportu, którego najważniejsze punkty przedstawiał później przewodniczącemu Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

Puller uzyskał zgodę na rozmowę z zastępcą dowódcy sekcji. Była nią generał brygady Julie Carson, bezpośrednio przełożona Matta Reynoldsa.

Zanim weszli do jej gabinetu, Puller zapytał Bollinga:

– Możesz mi powiedzieć kilka słów o tej Carson?

– Będziesz musiał sam przecierać szlaki. Nigdy wcześniej się z nią nie spotkałem.

Kilka sekund później Puller siedział naprzeciwko generał Carson w jej gabinecie. Bolling usiadł nieco z boku. Kobieta była wysoka, elegancka i małomówna. Blond włosy miała krótko obcięte i była ubrana w granatowy mundur polowy.

– Prawdopodobnie mogliśmy załatwić tę sprawę przez telefon – zaczęła Carson. – Niewiele mam do powiedzenia.

– Zawsze wolę rozmawiać osobiście – odrzekł Puller.

Wzruszyła ramionami.

– Widocznie wy, śledczy z CID, macie więcej wolnego czasu od nas. – Spojrzała na Bollinga. – Na pewno bardzo cię ekscytuje rola niańki tego człowieka.

Bolling wzruszył ramionami.

– Ja tylko wykonuję rozkazy, pani generał.

– Chodzi o oficera klasy terenowej – odezwał się Puller – który został zamordowany. Był dowódcą komórki J23. Nadzorował przygotowanie raportu do odprawy J2, następnie szykował z niego wyciąg dla przewodniczącego Połączonych Sztabów. Gdy tylko ofiarę zabójstwa zidentyfikowano jako agenta DIA, drogą służbową przewalił się grad oficjalnych notatek od pani, J2, dyrektora DIA i jeszcze wyżej. Nawet Sekretariat Obrony wykazał

zainteresowanie sprawą.

General pochyliła się do przodu.

– I co z tego?

Puller także pochylił się ku niej.

– Szczerze mówiąc, pani obojętna postawa mnie zdumiewa.

– Moja postawa nie jest obojętna. Chodzi tylko o to, że moim zdaniem nie dysponuję informacjami, które mogłyby być przydatne w dochodzeniu.

– Cóż, wolałbym się sam przekonać, czy to uzasadniona opinia. Co może mi pani powiedzieć o pułkownikowi Reynoldsie?

– Nasze służbowe ścieżki kilka razy się przecięły. Byliśmy równi stopniem, zmieniło się to dopiero w ostatnich czasach, kiedy zaczęłam szybko awansować. To wręcz ironia losu, że ja skończyłam z generalską gwiazdką, a on nie. Wolał jednak zrezygnować ze służby, podczas gdy ja się starałam o kolejne awanse. Był dobrym człowiekiem i dobrym żołnierzem.

– Kiedy ostatni raz go pani widziała?

– W piątek, przed jego śmiercią. Wczesnym rankiem wyruszał w drogę do Wirginii Zachodniej. Mieliśmy spotkanie w sprawie, nad którą pracował, potem wyszedł stąd. Konkretnie, rozmawialiśmy w sali konferencyjnej po drugiej stronie korytarza.

– Sprawiał wrażenie zaniepokojonego albo zmartwionego?

– Nie, jak zawsze wydawał się spokojny i opanowany.

– Mówiła pani, że wcześniej oboje służyliście gdzie indziej.

– Zgadza się. Na przykład w Forcie Benning.

– Znam dobrze to miejsce.

– Wiem o tym. Czytałam twoje akta. Nawiasem mówiąc, jak się miewa twój ojciec?

– W porządku.

– Słyszałam coś innego.

Puller nie odpowiedział. Zerknął na Bollinga. Tamten chyba nie wiedział, o co chodzi. Najwyraźniej przeczuwając, że Puller nie podchwyci tematu, Carson zapytała.

– Jak to się stało, że żołnierz z twoim doświadczeniem bojowym i cechami przywódczymi wyładował w wydziale śledczym?

– A co w tym złego?

– Najlepsi i najzdolniejsi są stworzeni do wyższych celów, Puller. Powinni zajmować stanowiska w dowództwie.

– Czy najlepsi i najzdolniejsi popełniają czasami zbrodnie?

Spojrzała zdziwiona, ale odparła:

– Sądzę, że tak.

– Więc kto miałby ich ścigać, gdyby w CID nie było równie najlepszych i najzdolniejszych?

– Ja nie żartuję, Puller. Gdybyś poszedł do West Point, któregoś dnia siedziałbyś w jednym z tutejszych gabinetów z gwiazdką na ramieniu i tylko czekał na dalsze awanse.

– Gwiazdki bywają bardzo ciężkie, pani generał. Wolałbym unikać obciążenia i pewnie stać na własnych nogach.

Zagryzła wargi.

– Może faktycznie nie jesteś stworzony do dowodzenia. Za mało w tobie powagi.

– Niewykluczone – odparł. – Ale nie przyjechałem tutaj, żeby rozmawiać o meandrach mojej kariery, a nie chciałbym zajmować pani więcej czasu niż to absolutnie konieczne. Sama pani dała do zrozumienia, że jest zajęta. Co jeszcze można powiedzieć o Reynoldsie?

– Był bardzo dobry w swojej pracy. Dopingował ludzi, żeby pracowali jak sprawna, naoliwiona maszyna. Pisał rzeczowe raporty, a leżące u ich podstaw analizy były bezbłędne. Zdecydował się przejść na emeryturę i szukał posady w sektorze prywatnym, co według mnie oznaczało stratę dla naszego kraju. Ale nie był wprowadzony w żadną operację DIA, która mogłaby stać się przyczyną jego śmierci w Wirginii Zachodniej. Czy to ci wystarczy?

– Jeśli pomagał układać raporty dla dowódcy, musiał mieć dostęp do materiałów ściśle tajnych, zawierających potencjalnie cenne informacje.

– Pracuje tu mnóstwo ludzi mających identyczne uprawnienia. Nigdy nie mieliśmy w tej sekcji żadnych problemów z personelem. Nie sądę, aby Reynolds był pierwszy.

– Miał kłopoty finansowe? Problemy osobiste? Jakąkolwiek motywację do tego, żeby sprzedawać informacje naszym wrogom?

– Sprzedaż wcale nie jest taka prosta, Puller. Nasi ludzie są przeświecleni sześć dni w tygodniu. Na pewno Reynolds nie miał problemów finansowych. Był patriotą, jak my wszyscy. No i ożenił się szczęśliwie. Mieli dwójkę

normalnych, dobrze wychowanych dzieci. Służył jako diakon w swoim kościele. Z utęsknieniem czekał na emeryturę, bo bardzo mu zależało na rozpoczęciu nowej kariery w sektorze prywatnym. Tyle że się nie doczekał.

Puller spojrzął na Bollinga.

– Mielicie choć jeden powód, żeby się przyjrzeć bliżej Reynoldsowi?

Tamten pokręcił głową.

– Po raz ostatni sprawdzano go krótko przed naszym dzisiejszym spotkaniem. Facet był bez skazy, wzorowo czysty. Nie dawał powodów do szantażu ani niczego w tym rodzaju.

Puller popatrzył z powrotem na Carson.

– Zatem wiedziała pani, że wyjeżdża do Wirginii Zachodniej?

– Tak. Powiedział mi to. Jego teściowie ciężko chorowali. Wyjeżdżał do nich na weekendy. To nigdy nie kolidowało z jego pracą, więc i mnie nie przeszkadzało.

– Czy wspominał o czymś niezwykłym, co się dzieje w Wirginii Zachodniej?

– Nigdy o tym ze mną nie rozmawiał, kropka. To były jego osobiste sprawy, toteż o nic go nie pytałam. Nie moja sprawa.

– Cóż, jednak ktoś tam zamordował jego i całą rodzinę.

– Owszem, zgadza się. I teraz twoim zadaniem jest odnalezienie sprawców tej zbrodni.

– Dlatego właśnie tym się zajmuję.

– Jasne, ale moim zdaniem odpowiedź kryje się w Wirginii Zachodniej, a nie w Pentagonie.

– Znała pani jego żonę?

Carson zerknęła na zegarek, a potem na telefon.

– Niedługo będę miała konferencję telefoniczną. Poza tym dowódca sekcji J2 przebywa za granicą, więc to ja muszę jutro rano przedstawić raport przewodniczącemu Połączonych Sztabów.

– Zatem błyskawicznie zakończę tę rozmowę – rzekł Puller, ale popatrzył na nią wyczekująco.

– Znałam Stacey Reynolds głównie dzięki rozmowom z Mattem. Widywałam ją sporadycznie przy różnych okazjach. Można by rzec, że byliśmy znajomymi, ale niezbyt bliskimi. To wszystko.

– I pułkownik Reynolds nigdy nie wspomniał, że w Wirginii Zachodniej

dzieje się coś dziwnego?

– Sądzę, że już odpowiedziałam na to pytanie.

Puller jednak cierpliwie spoglądał na nią.

– Nie, nie mówił – odparła po chwili, a on zapisał tę odpowiedź w notesie.

– Kiedy zostałem przydzielony do tej sprawy, usłyszałem, że jest niezwykła. Sądziłem, iż owa niezwykłość polega na tym, że zamordowano oficera wywiadu klasy terenowej, mającego dostęp do ściśle tajnych informacji.

– Na szczęście morderstwa takich osób nie zdarzają się często, więc myślę, że sam ten fakt pozwala je uznać za niezwykłe.

– A moim zdaniem użyto takiego określenia, ponieważ było jasne, że napotkamy poważne trudności w ustaleniu motywów zbrodni. Bo skoro Reynolds nie zajmował się niczym istotnym dla DIA, a według pani jego zabójstwo nie mogło mieć nic wspólnego z zadaniami wykonywanymi przez niego dla DIA, to dlaczego przedstawiono mi tę sprawę jako niezwykłą? W tych okolicznościach powinna być traktowana jak pospolite zabójstwo.

– To nie ja opisałam w ten sposób tę sprawę, więc nie potrafię tego wyjaśnić.

– Znowu spojrzała na zegarek.

– I nie przychodzi pani do głowy nic, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu zagadki tego zabójstwa.

– Absolutnie nic.

– W takim razie porozmawiam ze współpracownikami Reynoldsa.

– Daj spokój, Puller. Myślisz, że to naprawdę konieczne? Powiedziałam ci wszystko, co wiedziałam. Moi ludzie są zajęci swoimi zadaniami i dbają o bezpieczeństwo tego kraju. Ostatnią rzeczą, jakiej im potrzeba, jest odrywanie od zajęć z powodu sprawy niemającej z nimi nic wspólnego.

Puller wyprostował się i zamknął notes.

– Został zamordowany pani przyjaciel i kolega, generał Carson. Mnie rozkazano znaleźć sprawcę tej zbrodni. Mam zamiar wywiązać się z tego zadania. Tak więc będę musiał porozmawiać z jego współpracownikami. Zrobię to szybko i sprawnie, ale zamierzam to zrobić. Teraz.

Doszło do wymiany piorunujących spojrzeń, która zakończyła się wygraną Pullera.

Generał podniosła słuchawkę i przeprowadziła kilka krótkich rozmów.

Kiedy Puller już wstał, żeby wyjść, pani generał powiedziała:

- Być może pomyliłam się co do ciebie.
- W jakiej sprawie?
- Chyba masz jednak w sobie cechy przywódcze.
- Możliwe – przyznał Puller.

Po wyjściu z biura zastępcy sekcji J2 skręcili korytarzem numer 9 w lewo i zjechali windą do podziemi. Najniższy poziom Pentagonu stanowił oszałamiający labirynt sterylnie białych korytarzy, do których nigdy nie docierały promienie słońca. Krążyły legendy, że właśnie w tych korytarzach można napotkać byłych pracowników cywilnych dowództwa armii, jeszcze z lat pięćdziesiątych, błąkających się do dziś w poszukiwaniu wyjścia.

W skład komórki J23 wchodził analitycy i graficy w łącznej liczbie dwudziestu kilku osób, którzy metodycznie tworzyli codzienne raporty nie tylko na podstawie danych zbieranych przez DIA, lecz także pochodzących z bratnich instytucji, takich jak CIA i NSA. Dostosowywali tylko ich język do upodobań aktualnego dowódcy wywiadu wojskowego. Szykowali prezentacje w programie PowerPoint, ale drukowali je także w wersji papierowej, i mieli tendencję do przedstawiania spraw bez owijania w bawełnę. Dla nich ewidentnie honor armii stanowił cnotę nadrzędną.

Komórka J23 obejmowała mieszaninę mundurowych i cywilów. Nic więc dziwnego, że Pullera powitała pstrokaczna starych zielonych i nowych niebieskich mundurów, luźnych, bawełnianych spodni i kolorowych koszul, uzupełnionych gdzieś o krawat. Zespół działał przez całą dobę, pracowników nocnej zmiany wyróżniały jedynie koszulki polo. Reynolds był najwyższym rangą oficerem w tym gronie.

Siedziba J23 mieściła się w strefie Wydziałowych Sekcyjnych Informacji Wrażliwych, toteż Puller i Bolling musieli zostawić swoje komórki i inne urządzenia elektroniczne w szafce zamontowanej w ścianie naprzeciwko wejścia. W tej strefie nie dopuszczano do robienia zdjęć ani nawiązywania połączeń ze światem zewnętrznym.

Wreszcie zabręczał elektryczny zamek drzwi i Puller stanął w wejściu do recepcji, która wyglądem przypominała dziesiątki innych w Pentagonie. Te drzwi stanowiły jedyną drogę na zewnątrz, nie licząc wyjścia pożarowego, które musiało się znajdować gdzieś na tyłach. Wąski korytarz prowadził do rozległej sali ogólnej podzielonej na rzędy boksów, w których analitycy wywiadu na równi z grafikami trudzili się nad ostateczną wersją produktu,

który następnego ranka punktualnie o piątej trafiał do rąk generał Carson. Oświetlenie było słabe, ludzie w boksach pracowali przy zapalonych lampkach. Puller pomyślał, że pewnie połowa tu zatrudnionych będzie potrzebowała okularów przed upływem roku walki z wyimaginowanymi terrorystami na obszarze marnie oświetlonego blatu biurka.

Puller i Bolling okazali swoje legitymacje służbowe i uzyskali dostęp do najwyższego tutaj rangą oficera w stopniu podpułkownika. Wskazano im niewielką salę konferencyjną, w której Puller mógł przepytować pracowników komórki. Rozmawiał z każdym osobno, stosując powszechną praktykę dochodzeniową. Świadkowie przesłuchiwani w większej grupie mieli tendencję do powtarzania wcześniejszych wypowiedzi kolegów, nawet jeśli posiadali odmienne informacje. Na wstępie informowano ich, co skrupulatnie potwierdzał Bolling, że Puller ma dostęp do wszystkich informacji ściśle tajnych i przeszedł stosowne badania na poligrafie. W światku wywiadu wojskowego takie deklaracje często otwierały wiele drzwi, jak również usta wielu ludziom.

Członkowie komórki wywiadowczej okazywali zdecydowanie więcej smutku z powodu śmierci Matthew Reynoldsa niż jego dowódca. Jednakże i oni nie dysponowali przydatnymi informacjami i nie mogli wskazać żadnego tropu w celu wyjaśnienia powodów śmierci Reynoldsa. Wykonywał tajne zadania, ale nie z kategorii tych, które mogły stać się przyczyną jego śmierci. Tak więc po zakończeniu przesłuchań Puller nie był ani trochę bliżej rozwiązania zagadki zbrodni niż w chwili wejścia do Pentagonu.

Na koniec przeszukał gabinet Reynoldsa, zapieczętowany po jego wyjeździe do Wirginii Zachodniej i zabójstwie. Komórka J23 operowała w trybie jawnym, czyli że wszystkie pozostawione w niej materiały powinny zostać na swoim miejscu, nienarażone na żadne niebezpieczeństwo, nie wykluczało to jednak faktu, że Reynolds mógł mieć sejf w swoim gabinecie. Jak się okazało, nie miał. I Puller nie znalazł w pokoju niczego, co mogłyby mu pomóc w dochodzeniu. Gabinet był utrzymany w czystości, urządzony po spartańsku, a pliki na twardym dysku komputera, które Puller przejrzał pod czujnym okiem Bollinga, także nie przyniosły żadnych wskazówek.

Kiedy opuścił sekcję J23, odebrał swój telefon komórkowy z szafki depozytowej, przeszedł przez hol do głównego wejścia i pożegnał się z Bollingiem. Wrócił do samochodu stojącego na rozległym parkingu. Ale nie odjechał od razu. Przysiadł na klapie bagażnika swojego wojskowego forda i

patrzył na wielką budowlę stojącą na planie pięciokąta, gmach o największej użytkowej powierzchni biurowej na świecie. Po ciosie 11 września 2001 roku i naprawie zniszczeń stał się jeszcze potężniejszy.

Długi remont liczącego wówczas prawie sześćdziesiąt lat Pentagonu rozpoczął się jeszcze pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Jak na ironię, właśnie w pierwsze odremontowane skrzydło wbił się odrzutowiec American Airlines, nad którym kontrolę przejęli opętani terroryści. Minęło ponad dziesięć lat, zanim remont gmachu został ukończony. Stanowił żywy testament amerykańskiej wytrzymałości.

Kiedy Puller spojrzął w drugą stronę, zobaczył dzieci personelu bawiące się na terenie tutejszego przedszkola. Dostrzegł w tym symbol odwiecznych zmagañ wojska o zapewnienie następnym pokoleniom swobód obywatelskich i wolności. Widok chłopców i dziewczynek zjeżdżających z plastikowej zjeżdżalni czy bujających się na huśtawkach w kształcie koników jakimś sposobem poprawił mu samopoczucie. Ale tylko trochę. Wciąż bowiem miał do złapania mordercę, a nie był ani trochę bliżej celu niż pierwszego dnia po przydzieleniu mu tego zadania.

Zawibrował telefon komórkowy. Tekst SMS-a był krótki, ale intrygujący:

KLUB MARYNARKI WOJENNEJ W SRODMIESCIU DZISIAJ 19.00 ZNAJDE CIE.

Nie miał pojęcia, od kogo mogła pochodzić wiadomość, ale nadawca wiedział, jak się z nim skontaktować. Patrzył na tych kilka słów jeszcze przez parę sekund, w końcu wsunął telefon z powrotem do kieszeni. Spojrzął na zegarek. Czasu powinno mu wystarczyć. Zresztą i tak zamierzał to zrobić po powrocie na wschód kraju. A po bliższym poznaniu całkiem dysfunkcyjnej rodziny Cole wydawało mu się to jeszcze bardziej ważne.

Wcisnął gaz i wyjechał z parkingu, zegnając Pentagon malejący we wstecznym lusterku.

51

Co ty tu robisz, szeregowy?

Puller stanął na baczność i obrzucił starca uważnym spojrzeniem.

– Melduję się na rozkaz, panie generale! – Zasalutował.

Jego ojciec siedział na krześle przy łóżku. Miał na sobie spodnie od pizamy, biały T-shirt i jasnobłękitny, bawełniany szlafrok przewiązany paskiem. Na długie stopy miał założone skarpetki i miękkie kapcie. Kiedyś miał ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, ale grawitacja i starcza niemoc skróciły go o dobre pięć centymetrów. Teraz, kiedy stał, już nie górował nad większością ludzi, nie mówiąc o tym, że coraz rzadziej się prostował. Prawdę powiedziawszy, prawie w ogóle nie wychodził ze swojego pokoju w wojskowym domu starców. Niemal wyłysiał. Pozostał mu tylko cienki wianuszek szarawego puchu ciągnący się półkolem od ucha do ucha.

– Spocznij – rozkazał starszy Puller.

Jego syn odsunął nieco stopę, lecz się nie rozluźnił.

– Jak przebiegła wycieczka do Hongkongu, sir? – zapytał.

Puller niechętnie podejmował narzuconą mu rolę, stosował się jednak do rady lekarzy, według których tak było lepiej. Co prawda, nie miał zaufania do lekarskich opinii i z konieczności zdawał się na doświadczenie fachowców, lecz jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Samolot transportowy złapał gumę podczas startu i o mało nie zgotował mi drinka z wody morskiej.

– Przykro mi, sir.

– Na pewno nie tak bardzo jak mnie, szeregowy. Musiałem skorzystać z pomocy ambulatoryjnej.

– Rozumiem, panie generale.

Kiedy ojciec spojrział na niego, uwagę Pullera przykuł wyraz jego oczu. Było już legendą w armii, że generał Puller mógłby zabić wzrokiem, gdyż wywoływał w każdym tak głębokie poczucie wstydu z powodu zawiedzenia jego oczekiwań, że każdy miał ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć. Oczywiście niewiele miało to wspólnego z prawdą. Niemniej Puller rozmawiał

z wieloma żołnierzami, którzy służyli pod rozkazami jego ojca, i każdy miał kiedyś do czynienia z tego typu spojrzeniem, powtarzał więc, że utkwilo mu w pamięci poczucie ostatniego dnia pośród żywych na ziemi.

Teraz jednak oczy generała wyglądały zwyczajnie. Nie były pozbawione życia, ale na pewno nie płonęły. Pozostały niebieskie, puste, bez wyrazu. Puller rozejrzał się po ciasnym, urządzonym po spartańsku pokoiku, równie pozbawionym wyrazu, jak setki innych w podobnych placówkach, i przemknęło mu przez myśl, że pod wieloma względami jego ojciec jest już martwy.

– Jakież rozkazy, sir? – zapytał.

Generał nie odpowiedział od razu, często w ogóle nie padała odpowiedź. A kiedy już się rozlegała, niejednokrotnie go zaskakiwała.

– To koniec, szeregowy.

– To znaczy, generale?

– Koniec. Po wszystkim. Dalej nie ma już nic.

Puller zrobił drobny krok do przodu.

– Nie rozumiem, sir.

Ojciec spuścił głowę, ale zaraz uniósł ją i zerknął na syna. W jego oczach pojawiły się błyski przypominające refleksy słońca w niebieskawych bryłach lodu.

– Plotki.

– Plotki?

– Trzeba mieć to na uwadze. Są gówniecznie, ale w końcu trafiają do wyobraźni.

Puller zaczął się zastanawiać, czy do listy ułomności starca nie dołączyła także paranoja. Nie dało się wykluczyć, że towarzyszyła ojcu od dawna.

– Komu trafiają, generale?

Ojciec machnął lekceważąco ręką, jakby chciał dać do zrozumienia, że „oni” są wszędzie.

– Tym, którzy się liczą. Łajdakom rozdającym karty w naszej armii.

– Nie sądzę, aby ktokolwiek cię tu obserwował, generale – odparł Puller, który zaczął żałować, że zdecydował się na tę wizytę.

– Ależ oczywiście, że tak, szeregowy.

– Z jakiego powodu, sir? Jest pan najwyższym rangą generałem.

Za późno się zorientował. Ojciec przeszedł na emeryturę w stopniu

trzygwiazdkowego generała brygady. Był to chyba najwyższy stopień wojskowy, o jakim mógł marzyć człowiek noszący mundur. Ale Puller senior zaliczał się do tego drobnego odsetka oficerów marzących o osiągnięciu najwyższych szczytów, będących ukoronowaniem ich wszystkich osiągnięć.

Powszechnie było wiadomo w całej armii, że generałowi Pullerowi należy się ta czwarta gwiazdka. W pełni zasługiwał także na jeszcze jeden zaszczyt, a mianowicie na Medal Honoru. Zapracował sobie na niego na polach bitewnych Wietnamu, co do tego nie było wątpliwości. Ale w wojsku liczyło się nie tyle męstwo w walce, co zasługi w polityce z dala od pól bitewnych. A prawda była taka, że generał zdążył wkurzyć zbyt wielu ważnych ludzi, mających dużo do powiedzenia w sprawie jego dalszej kariery. Tak więc czwarta gwiazdka i Medal Honoru pozostały w sferze marzeń. I choć kariera generała dalej rozwijała się pomyślnie, to już nie tak szybko jak na wcześniejszej orbicie. Bo gdy dochodzi do spłaszczenia trajektorii, najbardziej oddalone cele stają się nieosiągalne. Można za nimi tylko tęsknić. I generałowi bardzo ich brakowało. Miał trzy generalskie gwiazdki i wszelkie możliwe odznaczenia poza tym jednym, którego pożądał najbardziej.

– To przez niego! – syknął ze złością ojciec.

– Przez kogo?

– Przez niego!

– Nie wiem, kogo ma pan na myśli.

– Majora Roberta Pullera z lotnictwa Stanów Zjednoczonych. DD. Skazanego przez sąd wojenny za zdradę. Uwięzionego do końca życia w USDB. To mnie obarczyli winą za to, co zrobił ten drań. – Ojciec westchnął ze złością. – Plotki. Kurewskie plotki.

Puller skrzywił się. Jego brat został skazany i uwięziony długo po tym, jak ojciec przeszedł na emeryturę. Ten jednak obwiniął syna za kłopoty w swojej karierze. W terenie Puller senior nigdy nie dopuszczał, żeby omijała go choćby częśćka odpowiedzialności. Wszystko brał na siebie. Ale poza polem bitwy sprawy przedstawiały się inaczej. Ojciec był jak drogowskaz. Obarczał winą najbardziej nieprawdopodobne czynniki. Potrafił być małostkowy i mściwy, nieczuły i niesprawiedliwy, brutalny i nieustępliwy. Te same cechy osobowości pasowały także do jego opisu w roli ojca.

W normalnych okolicznościach Puller powiedziałaby jeszcze coś przed wyjazdem. Zastosowałby się do wymogów swojej roli zgodnie z zaleceniami psychiatrów. Ale gdy teraz ruszył do wyjścia, ojciec rzucił ostro:

– A dokąd się wybierasz, szeregowy?

Nie odpowiedział.

– Szeregowy! – krzyknął ojciec. – Nie udzieliłem ci pozwolenia na odejście!
Puller nie zatrzymał się.

Poszedł korytarzem domu weterana, pełnym starych, chorych i umierających żołnierzy, którzy dali z siebie wszystko, żeby reszta kraju mogła żyć w pokoju i dobrobycie. Słyszał krzyki swojego ojca, dopóki nie oddalił się na sto metrów od jego pokoju. Przynajmniej płuca generał miał ciągle zdrowe.

Dotarł do wyjścia, nie oglądając się za siebie.

Czas przeznaczony dla rodziny dobiegł końca.

Teraz pora na wojsko i Klub Marynarki Wojennej.

Wracał na polowanie.

Którego nawet na chwilę nie przerwał.

Stary.

Architektonicznie nieciekawo.

Zdecydowanie niemodny.

Takie wrażenia dominowały w głowie Pullera, kiedy wkraczał do Klubu Armii i Marynarki Wojennej przy Seventeenth Street w centrum Waszyngtonu. Skinął głową wartownikom strzegącym wejścia. Wbiegł po schodkach na balkon i uważnie rozejrzał się po sali. Miał na sobie zielony mundur połowy. Armia stopniowo wycofywała zielone i białe stroje na rzecz granatowych. Te istotnie nawiązywały do korzeni. To właśnie granat był kolorem wybranym przez powstającą armię kontynentalną w czasie wojny o niepodległość, mającym odróżnić bojowników kolonialnych od ubranych na czerwono brytyjskich wrogów. Zarazem były to barwy armii Unii podczas wojny secesyjnej.

Dwie wielkie wojny. Dwa olbrzymie zwycięstwa.

Wojsko nie miało nic przeciwko temu, żeby maksymalnie wykorzystywać dawne sukcesy.

Puller zwykle wkładał swój mundur galowy na specjalne okazje. Nigdy nie pojawiał się w mundurze na przesłuchaniu świadków. Doskonale pamiętał, że kiedy miał jeszcze stopień sierżanta, przesłuchiwanie wyżsi oficerowie patrzyli na niego wilkiem. Teraz, gdy awansował na chorążego, podobne sytuacje już się nie zdarzały. Ponadto adwokaci żołnierzy niższym stopniem już nie mogli formułować zarzutów, że ich klienci czują się zastraszeni, odpowiadając na pytania śledczych wyższych rangą. Dlatego Puller występował głównie w ubraniach cywilnych. Dziś jednak coś mu podszeptało, żeby włożyć mundur.

Na prawo od wejścia znajdowała się główna sala restauracyjna klubu. Na lewo było stanowisko recepcyjne. Poszedł więc prosto przed siebie do schodów, po których zaczął wbiegać, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Zjawił się przed czasem z konkretnego powodu. Nie lubił sytuacji, w których inni musieli go szukać. Sam wolał ich wcześniej namierzyć.

Dotarł na pierwsze piętro i rozejrzał się. Tu znajdowały się kameralne sale konferencyjne oraz małe bufety. Na drugim piętrze była biblioteka, a w niej stał

stół z dziurami po kulach, gdyż przewrócony na bok pełnił rolę zasłony dla amerykańskich żołnierzy w czasie potyczki na Kubie ponad sto lat temu.

Ale coś jeszcze przyciągnęło uwagę Pullera.

Bar. Każdy, kto miałby szukać żołnierza po służbie, powinien w pierwszej kolejności zajrzeć do baru.

Wszedł do środka przez szklane drzwi. Na sali siedziało czterech mężczyzn. Jeden był w zielonym mundurze, drugi w granatowym marynarki wojennej, a dwaj pozostali po cywilnemu, w garniturach, tyle że z poluzowanymi krawatami. Wszyscy czterej pochylali się nad jakimiś dokumentami. Pewnie byli to uczestnicy spotkania, którzy postanowili zakończyć je w luźniejszej, barowej atmosferze.

Ewidentnie żaden z nich nie mógł być autorem SMS-a.

Poszukał wzrokiem dogodnego punktu obserwacyjnego i wypatrył go niemal od razu. Przed wejściem do toalety na końcu korytarza zauważył niewielką poczekalnię z otwartym szerokim przejściem na korytarz. Na ścianie wisiało duże lustro. Puller zajął pozycję przed nim i stwierdził, że zapewnia doskonały widok na wejście do baru.

Kiedy ktoś wchodził z korytarza, Puller udawał, że właśnie wyszedł z toalety, a gdy klient pojawiał się z powrotem w poczekalni, zaczynał poprawiać sobie mundur przed lustrem albo wpatrywał się w ekranik telefonu komórkowego.

Spojrzał na zegarek.

Punktualnie siódma.

I wtedy ją zobaczył.

Była w mundurze. Domyślił się tego wcześniej po wojskowym zapisie terminu spotkania w SMS-ie. A wojskowi punktualność mieli zakodowaną podczas szkolenia.

Kobieta około trzydziestki, szczupła, średniego wzrostu, z krótkimi, ciemnymi włosami okalającymi twarz o przyjemnych rysach. Nosila okulary w drucianej oprawce, w prawym ręku trzymała wojskową czapkę granatowego munduru. Zauważył srebrną belkę na naramienniku, co oznaczało, że ma stopień porucznika. W dodatku nie był to stopień podchorążówki, a zatem przewyższała go rangą. Jej stopień oficerski nadał prezydent Stanów Zjednoczonych, jemu natomiast sekretarz obrony. Dopiero gdyby awansował na najwyższy stopień starszego chorążego sztabowego, dalszy awans musiałby zatwierdzić prezydent. Niemniej w hierarchii wojskowej nadal byłby kimś

gorszym od oficerów dyplomowanych. Tamci kończyli bowiem akademię, takie jak West Point, ROTC albo OCS. On nie. Był specjalistą. Tamci mieli wykształcenie ogólne. Ale z uwagi na dyplom akademii to oni zarządzili w armii.

Wyjrzała przez okno baru.

Wystarczyły mu cztery długie kroki, żeby stanąć za nią.

– Chce pani rozmawiać na osobności, pani porucznik?

Odwróciła się błyskawicznie i chyba tylko dzięki wojskowemu przeszkoleniu nie krzyknęła głośno.

Podniosła wzrok na niego. Zgodnie z regulaminem damskie obuwie mundurowe mogło mieć najwyżej trzycalowy obcas. Ona w pełni wykorzystwała ten przepis, ale i tak wyglądała przy Pullerze jak nastolatka.

Kiedy nie odpowiedziała, popatrzył na plakietkę na lewej kieszonce jej munduru i odczytał nazwisko.

– Porucznik Strickland? Chciała pani ze mną rozmawiać?

Przeniósł spojrzenie na szeregi baretok zdobiących jej mundur. Nie było wśród nich żadnej, która by zwałała z nóg, zresztą wcale się takiej nie spodziewał. Rygorystyczne przepisy dotyczące udziału kobiet na polu walki bardzo ograniczały ich możliwości. A bez krwi nie było chwały.

Zauważył, że ona także prześliznęła się spojrzeniem po jego baretkach i aż oczy jej się rozszerzyły na widok dowodów doświadczenia bojowego i osiągnięć frontowych.

– Porucznik Strickland? – odezwał się znowu, bardziej miękko. – Chciała pani ze mną rozmawiać?

Popatrzyła mu w oczy i zarumieniła się lekko.

– Przepraszam, to przez zaskoczenie... To znaczy...

– Nie lubię, gdy ktoś mnie odnajduje, pani porucznik. Bardziej wolę samemu szukać.

– Zdążyłam zauważyć.

– Skąd pani znała numer mojej komórki?

– Od znajomego znajomego.

Wskazał schody.

– Na górze są sale zapewniające prywatność.

Weszli na piętro, znaleźli ustronne miejsce i zasiedli w powycieranych skórzanych fotelach. Gdy kobieta ociągała się z rozpoczęciem rozmowy, rzekł:

– Chyba nie ulega wątpliwości, że odebrałem SMS-a, pani porucznik.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Barbara.

– A ja Puller. Zatem odebrałem wiadomość. – Zawiesił głos.

– Wiem, że prowadzisz dochodzenie w sprawie śmierci Matta Reynoldsa.

– Była pani jego współpracownicą? Bo jeśli tak, ktoś zapomniał mi o tym powiedzieć.

– Nie byłam jego współpracownicą. Ale go znałam. I to dobrze.

– Byliście przyjaciółmi?

– Więcej. Służył razem z moim ojcem. Był moim mentorem, stał się jednym z głównych powodów, dla których wstąpiłam do wojska. Przyjaźniłam się także z jego żoną. Znałam ich dzieci. Szczerze mówiąc, często się nimi opiekowałam, gdy były młodsze.

– W takim razie proszę przyjąć moje kondolencje.

– Było aż tak źle, jak... słyszałam?

– A co słyszałaś?

– Że cała rodzina została zaszlachtowana.

– Kto tak powiedział?

– Krążyły takie plotki. Nie jestem pewna, od kogo to słyszałam.

– Owszem, było źle – odparł.

– Rozumiem – mruknęła drżącym głosem. Wyjęła chusteczkę i osuszyła kąciaki oczu.

– Jak już wiesz, ja mam znaleźć mordercę.

– Mam nadzieję, że ci się uda – powiedziała stanowczo.

– Ale w tym celu potrzebuję pomocy.

– Ja... chyba mogę udzielić takiej pomocy.

Puller otworzył swój służbowy notatnik.

– Muszę wiedzieć wszystko, co wiesz.

– Nie będzie to szczegółowa opowieść. Wiedziałam, że Matt i Stacey regularnie jeżdżą do Wirginii Zachodniej, żeby opiekować się jej schorowanymi rodzicami. Zabierali też dzieci, które, rzecz jasna, nie znosiły tych wyjazdów. Musiały rozstawać się z przyjaciółmi i spędzać lato na odludziu, ale przecież rodziny się nie wybiera. A Stacey był bardzo przywiązana do rodziców.

– Nie wątpię.

– Matt dojeżdżał w piątki i wracał w niedziele, żeby w poniedziałek zjawić się w pracy. Ostatnio tak wyglądały wszystkie jego weekendy.

– Wiem. Rozmawiałem z jego dowódcą, generał Carson.

Strickland aż się zaczerwieniła, słysząc to nazwisko, lecz zaraz mówiła dalej:

– Zadzwoił do mnie jakieś dwa tygodnie temu i powiedział, że natknął się w Wirginii Zachodniej na coś zdumiewającego.

– Co takiego?

– Nie zdradził szczegółów, ale z jego słów wynikało, że przypadkiem natrafił na jakąś poważną sprawę.

– Na przykład przemyt narkotyków?

Puller nie lubił przerywać świadkowi w trakcie przesłuchania, ale tym razem instynkt podpowiedział mu, że należy tak zrobić.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nie sądzę, żeby chodziło o narkotyki.

– A więc o co?

– O coś dużo poważniejszego. Dotyczącego wielu ludzi. Powinnam chyba dodać, że był przestraszony, nie wiedział, co robić.

– Jak on się na to... natknął, jak się pani wyraziła?

– Sądzę, że dowiedział się od kogoś.

– O czymś niezwykłym, co wiedział ten drugi człowiek?

– Nie jestem pewna. Możliwe, że chodzi o sprawę, której ta druga osoba już się uważnie przyglądała.

Puller wciąż trzymał długopis zawieszony nad kartką notatnika.

– Na przykład policjant?

– Nie, to raczej nie był nikt z władz. W każdym razie Matt nie wspomniał o tym ani słowem.

– Więc kto?

- Mam wrażenie, że człowiek pracujący pod przykrywką.
 - Ale na pewno nikt działający na zlecenie policji?
 - Cóż, policja także czasem wykorzystuje cywilów w tajnych operacjach, zwłaszcza gdy ma do dyspozycji osobę zaufaną pozostającą w bliskim kontakcie z obiektem śledztwa.
 - To prawda. Ale w takim razie musiałyby chodzić o przemyt narkotyków albo handel bronią na dużą skalę.
 - Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z taką sytuacją, bo wówczas Matt nie byłby tak przestraszony.
 - Miał tam rodzinę. Mógł się o nią martwić.
 - Niewykluczone – mruknęła z ociąganiem.
 - Nigdy nie wymienił nazwiska ani nie opisał tego człowieka pracującego pod przykrywką?
 - Nie.
 - Więc może powiedział, jak go poznał?
 - Wpadł na niego przypadkiem.
 - I tamten od razu mu zaufał?
 - Może dlatego, że Matt był w mundurze.
 - Jednak człowiek działający pod przykrywką musiał już być w stałym kontakcie z policją. Dlaczego więc miałby dodatkowo wciągać w sprawę nieznanego sobie oficera wojskowego?
 - Nie wiem – przyznała Strickland. – Wiem tylko, że Matt dał się w coś wciągnąć i był zaniepokojony.
 - Gdzie służysz? – zapytał Puller.
 - Jestem analityczką w Sekretariacie Obrony.
 - Jakimi analizami się zajmujesz?
 - Dotyczącymi Bliskiego Wschodu, a szczególnie pogranicza Pakistanu i Afganistanu.
 - Byłaś tam kiedyś?
- Pokręciła głową.
- Nie. Ale wiem, że ty byłeś. I to wielokrotnie.
 - W porządku, Barbaro. Niektórzy analitycy wyciągają cenne wnioski, inni przeciwnie.

- Niektórzy ludzie są dobrzy w walce. Tak jak ty.
- Czy zechciałabyś przeanalizować sytuację dla mnie?

Spojrzała zaskoczona, ale śmiało skinęła głową.

– Kiedy zostałem przydzielony do tej sprawy, powiedziano mi, że wydarzyło się coś niezwykłego. W sąsiednim stanie odkryto cztery trupy, w tym pułkownika wywiadu wojskowego. Normalnie do takiej sprawy ściąga się ciężką artylerię. Angażuje zespół agentów CID, udziela wsparcia technicznego, a nawet ściąga fachowców z USACIL. Tymczasem ja muszę sobie radzić w pojedynkę, chociaż sprawę uznano za niezwykłą. Przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego tak się stało?

– Zaangażowanie DIA?

– Generał Carson powiedziała, że przyczyną zabójstwa Reynoldsa nie mogło być nic, nad czym pracował, dlatego jej sekcja nie jest zaangażowana w dochodzenie. Niemniej ktoś z Sekretariatu Obrony nawet dzwonił w tej sprawie do naszego laboratorium w Atlancie. Dał do zrozumienia, że dzieje się coś bardzo ważnego, przede wszystkim dla DIA. Dlaczego wyszedł z takiego założenia?

– Czyżby dlatego, że ktoś z DIA powiedział, że to coś bardzo ważnego i należy utrzymać sprawę w ścisłej tajemnicy? – podsunęła Strickland.

– Myślałem w ten sam sposób. Kiedy wcześniej wspomniałem o generał Carson, zaczerwieniłaś się lekko.

Teraz Strickland zbladła.

Puller dodał:

– Jestem wyczulony na tego typu reakcje. Nie bierz tego do siebie. Lepiej powiedz mi coś o tej pani.

– Nie znam jej dobrze.

– Sądzę, że znasz ją o wiele lepiej ode mnie. Powiedz, czy Reynolds podzieliłby się z nią swoimi obawami tak samo jak z tobą?

– Matt był żołnierzem z krwi i kości.

– To znaczy, że ściśle przestrzegał drogi służbowej. A więc mógł i ją wtajemniczyć. Może dostrzegła okazję do ukucia swojego kolejnego zwycięstwa. Co prawda, nieoczekiwanego, ale takiego, które mogłoby jej przynieść drugą generalską gwiazdkę, zwłaszcza gdyby sprawa odkryta przez Reynoldsa wchodziła w zakres bezpieczeństwa narodowego. Czy to prawdopodobne? Czy tylko obszczekuję niewłaściwe drzewo?

Strickland ożywiła się nagle.

– Według mnie Julie Carson byłaby gotowa skakać po trupie swojej matki, gdyby to pomogło jej zdobyć awans.

– Więc jest ambitna?

– Z własnego skromnego doświadczenia wojskowego mogę twierdzić, że każdy, kto ma co najmniej jedną gwiazdkę, jest tak samo ambitny.

– Zatem mogłaby kazać Reynoldsowi przyjrzeć się dokładniej sprawie. Zbliżyć się do człowieka działającego pod przykrywką, skoro zapachniało jej drugą gwiazdką. Ale Reynolds niespodziewanie został wyeliminowany z gry razem z całą rodziną. Carson uznała więc, że siedzi na potencjalnej bombie. Gdyby prawda wyszła na jaw, nie tylko mogłaby zapomnieć o drugiej gwiazdce, ale nawet stracić pierwszą.

Strickland przytaknęła ruchem głowy.

– Powinna więc zatuszować całą sprawę. Dlaczego powiedziała, że służba Matta w DIA nie mogła stać się przyczyną jego śmierci, że nie pracował nad niczym szczególnie delikatnym?

– A co innego mogła powiedzieć? Dowodził sekcją J23. Samo to wystarczy, aby uwierzyć, że zginął z powodów zawodowych. W dodatku pomagał w przygotowaniach codziennych raportów dla przewodniczącego. Kiedy poprosiłem Carson o odpowiedzi na kilka pytań, zajęła takie stanowisko, jakby sama usiłowała dojść do prawdy. Zbyła mnie frazesami, licząc na to, że służba Reynoldsa w DIA musi zostać uznana za przyczynę jego śmierci. I pewnie w głębi duszy liczyła, że prawdziwa przyczyna zbrodni nigdy nie wyjdzie na jaw. Tylko to zapewniłoby jej bezpieczeństwo. W przeciwnym razie musiałyby wiele rzeczy wyjaśnić, zwłaszcza gdyby udało mi się dowieść, że zataiła coś bardzo ważnego, by w ten sposób zdobyć awans. Poszła na całość, ale musiała się zatrzymać już na pierwszej bazie.

– Jeśli to prawda, ściągnęła na siebie poważne kłopoty – oznajmiła Strickland z nieskrywaną radością w głosie.

– Moim zadaniem jest schwywanie zabójcy, a nie spychanie ze stołka jednogwiazdkowego generała za wybór niewłaściwej drogi kariery – przypomniał Puller. – Niewykluczone, że sknociła sprawę, a potem nie miała innego wyjścia, jak opłacić całą orkiestrę, ale to już nie moje zmartwienie, jasne?

Strickland błyskawicznie spoważniała.

– Co chcesz teraz zrobić?

– Uciąć sobie drugą pogawędkę z pewnym generałem – odparł Puller. –

Dzięki za pomoc, pani porucznik.

Strickland znowu zbladła.

– Chyba nie zamierzasz jej powiedzieć...

– Nie zamierzam.

54

Co ty tu robisz, do diabła? – zapytała.

Julie Carson była bez munduru. Miała na sobie dżinsy i ciemnozielony wojskowy T-shirt, do tego była boso. Odsłaniała nieźle umięśnione i opalone ramiona. Prawdopodobnie zaglądała do siłowni codziennie rano, a w porze lunchu wyruszała na jogging, żeby wystawić się na słońce i zarazem utrzymać zgrabną sylwetkę, pomyślał Puller.

Teraz spoglądała na niego z niedowierzaniem przez siatkowe drzwi zewnętrzne swojego domu w zabudowie szeregowej. Wyglądała na dobre sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, a swoją atletyczną, niemal męską sylwetką o szerokich barach mogła zasłonić prześwit prawie każdych drzwi.

– Mam jeszcze kilka pytań.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

– Nie chcę obrażać pani inteligencji, ale jestem wojskowym śledczym, a pani służy w wojsku. Wystarczyło zajrzeć do odpowiedniej książki telefonicznej.

– Co nie znaczy, że mi się to podoba.

– Przyjąłem do wiadomości. Możemy porozmawiać w zaciszu czterech ścian?

– Już rozmawialiśmy.

– Owszem, ale powiedziałem przecież, że mam jeszcze kilka pytań.

– Jestem zajęta.

– A ja prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa jednego z pani podwładnych.

Otworzyły się drzwi w dalszej części korytarza i wyszło dwoje młodych ludzi, którzy obrzucili ich zaciekawionymi spojrzeniami.

– W środku byłoby dużo wygodniej, pani generał – zauważył Puller.

Spojrzała na tamtą parę, cofnęła się bez słowa i wpuściła go do środka, po czym zamknęła drzwi. Poprowadziła go w głąb mieszkania. Zwrócił uwagę na drogie, modne elementy wykończeniowe, obrazy olejne na ścianach i gustowne umeblowanie, nie pochodzące zapewne z pobliskiego centrum handlowego Pentagon City, oddalonego zaledwie o jeden przystanek metra od Pentagonu.

- Ma pani stąd świetny dojazd do pracy.
- Tak, to prawda – odpowiedziała szorstko.

Weszli do salonu, gdzie wskazała mu tapicerowane krzesło, a sama usiadła na małej sofie naprzeciwko niego.

Na ścianach wisiały jej zdjęcia w towarzystwie wysokich rangą oficerów oraz polityków. Przyszło mu na myśl, że każdy z tych mężczyzn stanowił prawdopodobnie tylko trampolinę w jej karierze. Podobną ścianę z fotograficznymi pamiątkami miała w swoim gabinecie w Pentagonie.

- Ładnie tu.
- Mnie się podoba.
- A ja wciąż żyję tak, jak podczas studiów.
- Przykro mi – mruknęła niechętnie. – Może nadszedł czas, żebyś wydorósł.
- Możliwe.
- Nie bardzo rozumiem, jakiego rodzaju pytania chcesz mi jeszcze zadać.
- Wynikające z nowych informacji.
- Jakich znów informacji? – zapytała drwiąco.
- O pułkowniku Reynoldsie. – Urwał i popatrzył na nią.
- W porządku, czekam. Mam zgadywać?

Puller bez pośpiechu wyciągnął notatnik i przygotował długopis. Jednocześnie kątem oka obserwował mimikę Carson. Zauważył, że omiotła spojrzeniem szeregi jego baretek. Na mundurze polowym ich nie ma, ale teraz, w mundurze galowym, prezentował je w pełnym zakresie. Toteż nie zdołała ukryć swojego zaskoczenia. Jak zauważył dowódca jego wydziału, Puller przypominał masywny kołek wbity w sam środek pola golfowego. Nie przywiązywał większej wagi do kolorowych wstążek i kawałków emaliowanej blachy. Doskonale pamiętał jedynie akcje, za które dostawał kolejne odznaczenia. Lecz jeśli w prowadzonym śledztwie zdobyte przez niego prawa do wojskowych zaszczytów przyciągały czyjąś uwagę, stawały się dla niego warte więcej niż sztabki czystego złota.

- Zdobyłeś wiele zaszczytów, Puller – powiedziała z nutą podziwu w głosie.
- Ale w tej chwili zależy mi wyłącznie na ujawnieniu zabójcy.
- Zatem tracisz czas, siedząc tu i rozmawiając ze mną.
- Nie sądzę.

– No to przejdź wreszcie do rzeczy. Mam ważniejsze zajęcia. Jak już mówiłam, jutro rano muszę zdać raport na odprawie.

– Otóż to, jestem nawet zaskoczony, że nie siedzi pani do tej pory w gabinecie i nie upewnia się po raz kolejny, czy raport jest godzien awansu na generała broni.

– To nie twój zasrany interes. I nie zapominaj, które z nas nosi tę generalską gwiazdkę. Zaczynam tracić cierpliwość. Zapewne wiesz, że mam dobre dojścia do CID.

– W to nie wątpię. – Popatrzył na zdjęcia wiszące na ścianie, żeby się upewnić, że jest tam również fotografia obecnego dowódcy CID wbijającego wzrok w obiektyw. – I nie wątpię też, że są to lepsze dojścia od moich.

– No to do rzeczy!

– Proszę mi powiedzieć, co pułkownik Reynolds mówił pani o sprawie, na jaką się natknął w Wirginii Zachodniej. Szczególnie interesuje mnie to, czym się najbardziej martwił.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Powtarzam, że Reynolds nie mówił mi o niczym, co się wydarzyło w Wirginii Zachodniej.

– Pamiętam. Zapisałem w notesie. Chciałem dać pani szansę na skorygowanie stanowiska, zanim w tej postaci trafi do akt.

Przez chwilę mierzyli się piorunującymi spojrzeniami.

– Nie podoba mi się to, co chcesz dać do zrozumienia – powiedziała.

– A ja nie lubię być okłamywany.

– W takim razie stanowisz ewenement.

– Ewenementem jest raczej udzielanie mi fałszywych informacji, które mogą tylko utrudnić odnalezienie zabójcy Reynoldsa.

– Kto ci powiedział, że coś wiem na ten temat?

– Jestem śledczym. Moim zadaniem jest szukanie prawdy.

– Lecz jeśli ludzie mówią o mnie rzeczy nieprawdziwe, mam prawo wiedzieć.

– Jeśli rzeczywiście kłamią. Co innego, jeśli mówią prawdę.

Skrzyżowała ręce na piersi i odchyliła się na oparcie sofy.

Zwrócił na to uwagę. Wcześniej jej postawa była agresywna. Ręce splecione na kolanie, pochylenie ciała w jego stronę, jakby sama wyczuwała, że warto

powiedzieć prawdę, żeby mieć to już za sobą. Ale teraz wszystko się zmieniło.

Musiła zauważyć jego badawcze spojrzenie, bo powiedziała:

– Jestem współautorką podręcznika dotyczącego technik prowadzenia przesłuchań, Puller, więc oszczędź sobie tych marnych prób rozszyfrowania języka mojego ciała.

– Czyżby te obserwacje miały posłużyć do napisania aktualnej wersji podręcznika, pani generał?

– Wiesz równie dobrze jak ja, że wojsko przestrzega konwencji genewskich.

– Oczywiście, proszę pani.

Nie poruszyła się, tylko uciekła spojrzeniem w bok.

Zdecydował się na zwiększenie presji.

– Czy Reynolds był dobrym żołnierzem?

– Oczywiście. Już to mówiłam.

– A dobrzy żołnierze trzymają się ściśle procedur?

– Tak.

– Więc jeśli powiem, że Reynolds zwierzył się ze swoich obaw jeszcze komuś poza drogą służbową, nie wyda się prawdopodobne, że wcześniej musiał o nich powiedzieć bezpośredniemu przełożonemu? To znaczy pani. W tym tkwi sedno sprawy. To pani jest jednogwiazdkowym generałem, jak zechciała niejednokrotnie to zaakcentować.

Założyła nogę na nogę, nieco opuszczając przy tym zadartą brodę.

– Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Świetnie pani wie. Wystarczy mi prawda.

– Mogłabym kazać cię aresztować za tego typu uwagę.

– Ale nie zrobi pani tego.

– Dlaczego? Ze względu na twojego ojca? On już dawno zszedł z pola bitwy, Puller. Więc nie próbuj wywierać na mnie presji, posługując się jego legendą.

– Nawet przez chwilę nie miałem takiego zamiaru.

– Ależ miałeś. Twoja pokerowa twarz pozostawia wiele do życzenia.

– Prawdę mówiąc – ciągnął Puller, jakby nie usłyszał tej uwagi – myślałem przede wszystkim o tej jednej gwiazdce na pani naramienniku.

Jej rysy jeszcze bardziej się wyostrzyły. Wyglądała, jakby chciała poderwać się z miejsca i rzucić na niego. Ale tak doświadczony śledczy jak Puller świetnie dostrzegał pod nieprzeniknioną maską kobiety pierwsze przejawy

strachu.

– Dlaczego? – zdumiała się. – Czyżbyś miał nadzieję na jej strącenie? Nawet nie próbuj. Za bardzo się o nią starałam. I w końcu zdobyłam.

– Szczerze mówiąc, pani generał, wydawało mi się, że ma pani wystarczająco szerokie ramiona, aby nie tylko unieść tę gwiazdkę, ale też co najmniej jeszcze jedną.

Tym ją wyraźnie zaskoczył. Rozplotła ręce, zdjęła nogę z nogi i wyprostowała się na sofie, obrzucając podejrzliwym wzrokiem jego notatnik.

Odnotował w pamięci jej reakcję i dodał:

– To wszystko znajdzie odzwierciedlenie w moim raporcie, podobnie jak cały przebieg naszego pierwszego spotkania w Pentagonie.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się tego rodzaju niuansów z twojej strony, Puller.

– Zapewne większość ludzi ich się nie spodziewa.

Spuściła wzrok, nerwowo pocierając o siebie palce. Kiedy znów spojrzała na niego, zapytała:

– Napijesz się kawy? Mam ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wstał.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Mylisz się, żołnierzu – odparła szybko. – Ja stawiam.

W tej części Arlington można było dostać kawę w dziesiątkach lokali oddalonych o parę kroków. Puller i Carson minęli kilka barów, ale we wszystkich panoszyli się hałaśliwi nastolatki ze swoimi smartfonami i laptopami. Natknęli się wreszcie na kawiarnię w bocznej uliczce, w której byli jedynymi klientami. Parny niż się przesunął i powietrze zrobiło się suche i orzeźwiający. Usiedli przy otwartym oknie.

Puller pociągnął łyk gorącej kawy, odstawił filiżankę i popatrzył na panią generał.

Przed wyjściem z mieszkania włożyła biały T-shirt z długimi rękawami i adidasy. Wokół jej oczu, a zwłaszcza w kącikach, ujawniły się drobne zmarszczki, wyraźniejsze niż u rówieśniczek w cywilu. Służba w wojsku na każdym odciskała specyficzne piętno. Niemniej krótkie blond włosy kontrastujące z opalenizną sprawiały, że była atrakcyjna, świetnie zbudowana i poruszała się tak, jakby jeszcze chciała podkreślić swoje walory. Wiedział, że ma czterdzieści dwa lata i z oddaniem poświęca się służbie, żeby dorobić się kolejnego awansu. Nie zamierzał stać na drodze jej kariery. Każdy ma prawo do jednej poważnej zawodowej pomyłki i wyglądało na to, że jej się właśnie taka przytrafiła.

– Świetnie wyglądasz w zielonym wyjściowym mundurze – zaczęła cicho. – Jakaś specjalna okazja?

– Klub Armii i Marynarki Wojennej. Spotkanie służbowe.

Skinęła głową i pociągnęła łyk kawy.

– Matt zadzwonił do mnie jakieś cztery tygodnie temu – mówiła szybko, jakby chciała z tym jak najprędzej skończyć. Nie patrzyła na niego, wbijała wzrok w blat stolika.

– I co powiedział?

– Że natknął się na coś. Dokładnie tak się wyraził. Natknął się. Na pewno nie wykonywał tam żadnego z zadań, jakie mu przydzieliłam. Dojeżdżał tylko, żeby spędzić weekend z żoną i dziećmi. Telefon od niego odebrałam jak grom z jasnego nieba.

– Rozumiem. – Puller upił następny łyk kawy i odstawił filiżankę.

– Spotkał tam kogoś – ciągnęła dalej Carson – kto się w coś zaangażował. Nie, wróć. Poznał kogoś, kto na coś natrafił.

– Kto i co?

– Nie wiem kto.

– Jak poznał tego człowieka?

– Chyba przez przypadek. W każdym razie nie planował tego.

– A co to było?

– Coś bardzo poważnego, chociaż nie znam szczegółów. Matt uznał, że sprawa jest na tyle poważna, że trzeba zawiadomić kogoś z naszej strony.

– Czemu pani tego nie zrobiła?

Wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Bo za mało wiedziałam. Nie zamierzałam pociągać za spust, gdy ta sprawa mogła mi wybuchnąć przed nosem. Leżała poza kręgiem naszych zainteresowań. I poza naszą jurysdykcją. Cholera, podejrzewam nawet, że nie miała nic wspólnego z wojskiem. Znalazłam się w trudnej sytuacji, Puller, musisz to zrozumieć. Nie miałam kontroli nad przepływem informacji ani sposobu, żeby ją sprawdzić. Zresztą podobnie jak Matt. On w dodatku musiał polegać na ludziach, których nie znał.

– Ale mogła pani pójść z tym na policję. Albo nakazać jemu to zrobić.

– I co miałyby powiedzieć? Matt także nie dysponował wystarczającymi informacjami, w każdym razie tak mi powiedział. Często kierował się intuicją.

– Może doszedł do wniosku, że ten człowiek może działać pod przykrywką?

– Pod przykrywką? – powtórzyła zdziwiona. – To znaczy... na przykład jak wywiadowca policyjny?

– Czasem cywile podejmują takie działania na własną rękę.

– Jak często? – zapytała sceptycznie.

– Wystarczył jeden raz.

– No cóż, w każdym razie Matt nie wspominał o takiej ewentualności.

– Co mu pani rozkazała? Pójść dalej tym tropem? Sprawdzić, czego uda się dowiedzieć? Uznała pani, że trafia się okazja do następnego awansu? Poza normalnym trybem?

– Nazywasz rzeczy dosadnie, bez owijania w bawełnę, ale masz rację. I zaraz po tym się dowiedziałam, że Matt nie żyje. Zginęła cała rodzina. Żona, dzieci... wszyscy. – Usta zaczęły jej drżeć. Kiedy podniosła filiżankę, ręka zatrzęsa jej

się tak, że trochę kawy się rozlało.

Puller wyjął filiżankę z jej palców, odstawił na blat, wytarł kawę papierową serwetką, po czym lekko zacisnął palce na jej dłoni.

– Proszę zrozumieć, że może nie rozegrała pani tego najlepiej, ale nie ma takich, którzy zawsze wybierają najmądrzejsze rozwiązania. Wiem doskonale, że nawet przez moment nie pragnęła pani, żeby tak właśnie się to skończyło.

Spojrzała na niego, ale szybko spuściła wzrok, a po chwili odwróciła głowę i sięgnęła po drugą serwetkę, żeby osuszyć oczy. Puller czekał cierpliwie, aż odzyska panowanie nad sobą.

– Przepraszam – mruknęła. – Generałowie nie powinni płakać.

– Widziałem sporo generalskich łez nad zwłokami żołnierzy.

Uśmiechnęła się smutno.

– Mówiłam o generałach kobietach.

– W porządku. Co pani zrobiła, kiedy się dowiedziała o śmierci Reynoldsów?

– Szczerze mówiąc, wpadłam w panikę. A gdy w końcu doszłam do siebie, potrafiłam myśleć wyłącznie o tym, jak to zbiorowe morderstwo może mi zaszkodzić. Raczej nie świadczy to o mnie najlepiej, ale taka jest prawda.

– Zatem doszła pani do wniosku, że zabójstwo dowódcy sekcji J23 wzbudzi wystarczająco dużo zainteresowania? Powinna się pani domyślać, że przede wszystkim wywoła mnóstwo zakulisowych manewrów, i to w bardzo wysokich kręgach, poza naszym zasięgiem. Może nawet sama wysunęła pani sugestię, że dopóki nie wiadomo nic pewnego w sprawie przyczyn zbiorowego mordy, lepiej oddelegować do sprawy tylko jednego agenta CID i potraktować ją jak przykład zwykłego zabójstwa? Potem zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

– Nie jestem pewna, czy mój plan był aż tak wyrafinowany. Ale zanim jeszcze cokolwiek się wydarzyło, zdałam sobie sprawę, że gdy śledztwo wymknie nam się spod kontroli, efekt może być fatalny. I od tamtej pory ta świadomość spędza mi sen z powiek.

– To akurat mogę zrozumieć. Ale może być też tak, że jest pani dużo bliżej prawdy, niż się pani wydaje. Matt powiedział, że natknął się na tę sprawę przypadkiem?

– Tak. Dodał jeszcze, że jego zdaniem sprawa może mieć konsekwencje dla bezpieczeństwa narodowego. Poważnie, wyraził się dokładnie w ten sposób. Nie miałam szans, żeby to zweryfikować, nie wątpię jednak, że mówił absolutnie szczerze.

– Czy była pani kiedyś w Drake w Wirginii Zachodniej?

Pokręciła głową.

– No cóż, to nie jest jakaś wylęgarnia terroryzmu, jeśli już o tym mowa.

– Wszystko, co mogę powiedzieć, opiera się na relacjach Matta.

– To już coś. Ale ktoś go zabił właśnie z tego powodu. – Puller zamyślił się głęboko, spoglądając na Carson, która wbijała wzrok w swoje splecione dłonie.

– Nie powinna się pani obwiniać, pani generał. Chciała pani po prostu sprawdzić, czy może coś zrobić w tej sprawie i przysłużyć się naszej ojczyźnie.

– Nazywajmy dalej rzeczy po imieniu, Puller. Przede wszystkim myślałam, jak mogę wykorzystać tę sprawę, żeby dostać kolejną gwiazdkę. Zachowałam się egoistycznie i krótkowzrocznie. I teraz cztery osoby nie żyją, do czego wcale nie musiało dojść.

Siedem, skorygował w myślach Puller. *Naprawdę zginęło aż siedem osób.*

– W porządku. Czy przychodzi pani do głowy jeszcze coś, co mogłoby mi pomóc w śledztwie?

– Matt powiedział jeszcze, że niezależnie od tego, co to jest, ma się wydarzyć już niedługo.

– Niedługo, bo tamtych wystraszyła możliwość ujawnienia? Czy przez to, że plan był gotowy już od jakiegoś czasu i wystarczyło go tylko wcielić w życie?

– Pewnie jedno i drugie, biorąc pod uwagę, że uznali za konieczne wymordowanie całej rodziny Matta.

– I tak jestem zaskoczony, że nie podał pani więcej szczegółów.

– Na pewno nie zostawił żadnych informacji pozwalających zidentyfikować osobę, z którą się kontaktował? – zapytała.

– Nie znaleźliśmy niczego takiego. Uważamy, że wyjaśnienie mogą przynieść wyniki analiz próbek gleby.

Popatrzyła na niego z dziwną miną.

– Próbek gleby?

Przytaknął ruchem głowy.

– Nie możemy wykluczyć, że zabójcy wrócili na miejsce zbrodni właśnie po te wyniki. Musiały zatem być ważne. Czy to nie nasuwa pani żadnych skojarzeń?

– Cóż, kojarzę tylko jedno zdanie, że cała ta sprawa może mieć bardzo daleko idące konsekwencje.

– Ale nie zdradził, jakie konsekwencje?

– Nie. Zaczynam żałować, że nie wydusiłam z niego więcej szczegółów. Po prostu nie sądziłam, że tak to się skończy. Powinnam była naciskać. W wojsku uczą, iż należy przewidywać wszelkie ewentualności.

– Jesteśmy tylko ludźmi, a co za tym idzie, nikt nie jest doskonały.

– Ale wojsko wymaga od nas, abyśmy byli doskonali – odparła szybko.

– Nieprawda, tylko oczekuje, że będziemy bliżsi doskonałości niż przeciwnik.

Spojrzała na jego notatnik.

– Co z tego znajdzie się w twoim raporcie?

– To, że była pani bardzo chętna do współpracy i przedstawiła wiele informacji cennych dla śledztwa.

– Jestem twoim dłużnikiem, Puller. Źle cię oceniłam.

– Nie, prawdopodobnie oceniła mnie pani bardzo dobrze. Tylko dokonywała tej oceny w niewłaściwym świetle.

– Tęsknota za generalską gwiazdką w połączeniu z kobiecą naturą daje w efekcie życie w samotności.

– Ale jest pani otoczona bardzo liczną bliską rodziną, która nazywa się Armią Stanów Zjednoczonych.

Uśmiechnęła się słabo.

– Tak, chyba masz rację. Kiedy to się skończy, zajrzyj do mnie. Napijemy się razem.

– To niewykluczone – odparł Puller.

Zamknął notatnik, wstał i wyszedł.

W drodze do samochodu spojrzął na zegarek. Miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia, ale mógł już rezerwować miejsce w porannym samolocie do Wirginii Zachodniej.

Tyle że niestety mogło się to okazać niewykonalne.

Nagle otoczyło go czterech mężczyzn.

56

John Puller?

Pojawili się jak spod ziemi, gdy tylko zbliżył się do samochodu. Zauważył stojące nieopodal na jałowym biegu dwie identyczne czarne terenówki.

– Czym wzbudziłem zainteresowanie Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego?

Lider paczki, niewysoki, szczupły, z kręconymi czarnymi włosami i głębokimi zmarszczkami na czole, zapytał:

– Skąd wiesz, że jesteśmy z DHS?

Puller wskazał kaburę przy pasie jednego z agentów.

– Bo ten ma siga dziewięćmilimetrowego, a ten siga czterdziestkę. – Wskazał drugiego mężczyznę. – DHS to jedna z niewielu agencji federalnych, w której można dowolnie dobierać sobie broń służbową. Dodam, że masz na kieszonce marynarki ślad po klamercie plakietki identyfikacyjnej, a za szybą jednego z waszych aut zauważyłem kartę parkingową agencji.

Mężczyzna rozejrzał się i uśmiechnął.

– Dobrze oko. Nadal chcesz zobaczyć nasze odznaki?

– Tak, chcę. A ja okażę swoją. Wojskowy Wydział Śledczy.

– Tak, wiem.

– Wiem, że wiesz.

– Chcemy, żebyś udał się z nami.

– Dokąd i po co?

– Ktoś inny ci wytłumaczy. Nie pojedziemy daleko.

– Mam wybór?

– Niespecjalnie.

Puller wzruszył ramionami.

– Więc chodźmy.

Jazda trwała dziesięć minut. Skręcili na inny parking, zjechali dwa poziomy pod ziemię, wysiedli i wjechali windą pięć pięter w górę. Poprowadzili Pullera korytarzem, w którym wszystkie drzwi były pozamykane i wyposażone w

zamki cyfrowe. Nic nie wskazywało na to, że mieści się tu jakaś instytucja federalna, w czym nie było nic niezwykłego. Zwłaszcza siedziby DHS w całym kraju wyglądały z pozoru całkiem niewinnie. Ale ktoś, kto wiedział, na co zwracać uwagę, od razu orientował się w charakterze instytucji. Na podłodze leżała typowa dla urzędów państwowych beżowa wykładzina, ściany były pomalowane na beżowo, a drzwi zabezpieczone arkuszami blachy. Rząd wydał mnóstwo pieniędzy, ale oszczędzał na wykończeniach pomieszczeń biurowych.

Wprowadzili go do pokoju i zostawili przy stoliku, po czym wyszli i zamknęli drzwi. Doliczył się pięciu minut i już myślał, że o nim zapomnieli, kiedy drzwi się otworzyły.

Wszedł mężczyzna po pięćdziesiątce, odznaczający się postawą wieloletniego agenta terenowego, którego praca nie polega bynajmniej na przekładaniu papierków czy liczeniu spinaczy. Trzymał w ręku kartonową teczkę. Usiadł. Przerzucił kilka dokumentów w teczkę, zanim wreszcie podniósł głowę i popatrzył na Pullera.

– Napijesz się czegoś? – zapytał. – Może być kawa, ale lura. Może być woda, tyle że z kranu. Nowa zaparzaczką do kawy w ubiegłym roku wypadła z listy zakupów. Cięcia budżetowe dają się we znaki. Tylko patrzeć, jak zaczną nam odbierać broń służbową.

– Dzięki, nie chcę niczego. – Popatrzył na papiery w teczkę. – To o mnie?

– Nie, skądże. – Postukał palcem w teczkę. – Nawiasem mówiąc, nazywam się Joe Mason. – Uniósł się z krzesła i uściśnął Pullerowi dłoń.

– John Puller.

– Zdążyłem się zorientować – powiedział. Zaczął skubać zadartą skórę przy paznokciu i po chwili zapytał: – Jak wyglądają sprawy w Wirginii Zachodniej?

– Byłem pewien, że o to chodzi. Prawdę mówiąc, nie najlepiej. Zakładam, że już wiecie o wszystkim.

– Jak chcesz, możesz zadzwonić do swojego dowódcy. Don White to dobry agent.

– Na pewno do niego zadzwonię.

Mason wyciągnął telefon komórkowy.

– Lepiej załatwmy od razu wszelkie formalności, żebyśmy mogli jak najszybciej przejść do konkretów. Zadzwoni do niego już teraz.

Puller usłuchał. Don White powiedział parę zdań na temat Joe Masona z DHS i kazał mu iść na pełną współpracę.

Kiedy przerwał połączenie i położył telefon na stoliku, Mason znowu zajrzał do teczki.

– Czyżbym o czymś jeszcze nie wiedział?

– Właśnie przed chwilą zadałem sobie to samo pytanie.

– I znalazł pan jakąś odpowiedź?

– Wszystko, co przeczytałem na twój temat, świadczy, że prawdziwy z siebie pistolet. Patriota do szpiku kości, nieustępliwy jak buldog, który dorwie każdego, kto mu zajdzie za skórę.

Puller nie odpowiedział, tylko patrzył na tamtego. Chciał, aby Mason mówił dalej i pozwolił mu się czegoś dowiedzieć.

– Zatem mamy tam sytuację – zaczął agent. – Zabrzmiało banalnie, prawda? Tak czy inaczej, problem polega na tym, że nie wiemy, co to za sytuacja. – Podniósł wzrok znad papierów. – Zachcesz nam pomóc na tamtym terenie?

– To dlatego Sekretariat Obrony zainteresował się śledztwem? Dlaczego zostałem oddelegowany w pojedynkę?

– Sekretarz Obrony jest zainteresowany, bo my się interesujemy tą sprawą. A jesteś na razie jedynym człowiekiem widocznym w terenie, co nie znaczy, że w tajemnicy nie działają inni ludzie. I to nie tylko z naszej agencji.

– Rozumiem jednak, że DIA nie jest bezpośrednio zainteresowane śledztwem.

– Nie byłbym tego taki pewny.

– Kto jeszcze? FBI?

– FBI wtyka nos wszędzie, czy tego chcemy, czy nie. Ale nie chcielibyśmy cię zasypywać kolejnymi skrótowcami, dlatego zostałem wyznaczony do roli pośrednika.

– Zatem mamy sytuację, tylko jeszcze nie wiecie, co to za sytuacja. Mogłoby się wydawać, że DHS powinna raczej zajmować się innymi rzeczami, a nie tego typu sprawą.

– Zgodziłbym się z tobą, gdybym pominął jedną rzecz.

– Jaką?

– Fragment rozmowy, którą NSA przechwyciła dwa dni temu. Chcesz zgadywać, skąd dzwonił rozmówca?

– Z Drake w Wirginii Zachodniej.

– Zgadłeś.

– Wydawało mi się, że NSA ma prawo przechwytywać jedynie rozmowy zagraniczne, a nie śledzić połączenia krajowe lub czytać maile Amerykanów.

– W tej kwestii ani trochę się nie mylisz.

– Czego dotyczyła ta rozmowa?

– Przede wszystkim była prowadzona w języku, o który raczej trudno w Wirginii Zachodniej.

Mason najwyraźniej nie spieszył się z wyjaśnieniami, toteż lekko zdenerwowany Puller zapytał:

– Prędzej w New Jersey? W Bronksie?

– Spróbuj jeszcze raz, tylko celuj bardziej na wschód.

– Po arabsku?

– W dari. Pewnie wiesz, że to jeden z głównych dialektów używanych w Afganistanie.

– Tak, wiem. Zatem Afganistan. Przetłumaczyliście tę rozmowę?

– Tak. Główny przekaz brzmiał: „Niedługo nadejdzie czas”. A dalej, że wszyscy muszą być przygotowani i że sprawiedliwości stanie się zadość.

– Wywnioskowaliście więc, że szykuje się nowy atak na Stany Zjednoczone?

– Płacą mi za to, abym tak myślał, Puller. Jak również za to, bym zapobiegał atakom.

– Cóż było niezwykłego w tej rozmowie? Ludzie bez przerwy wygadują różne głupoty, co jeszcze o niczym nie świadczy. Nawet jeśli mówią w dari.

– Ta rozmowa została zaszyfrowana. I to nie za pomocą żadnego algorytmu komputerowego, ale elektronicznie. Nasi fachowcy twierdzą, że użyto szyfratora, który był bardzo popularny w starym KGB tuż przed zakończeniem zimnej wojny. Wiemy skądinąd, że talibowie zaczęli używać tych starych szyfratorów KGB do utrzymania łączności ze swoimi zagranicznymi komórkami. Myślę, że pochodzą one jeszcze z czasów, gdy po tamtejszej ziemi Armia Czerwona przetaczała się w swoich czołgach.

– Zatem mamy taliba, który w Wirginii Zachodniej rozmawia w dari, wykorzystując stary szyfrator KGB. Teraz rozumiem przyczynę waszego zainteresowania. Ale rozszyfrowaliście komunikat?

– Oczywiście, inaczej nie rozmawiałbym o tym z tobą. Jak na ironię, stare szyfratory elektroniczne wracają do łask, Puller, ponieważ doszliśmy do perfekcji w zakresie łamania szyfrów komputerowych. Ale zmierzam do tego, że po przeczytaniu komunikatu zwróciliśmy baczną uwagę na tę sprawę.

– Nie widziałem w Drake nikogo w turbanie. Tylko paru dumnych Amerykanów z szyjami zaczerwienionymi od sztywnych kołnierzyków. Skąd możesz mieć pewność, że ta wroga akcja ma zostać przeprowadzona w Drake? Terrorysty mogą się tam jedynie ukrywać, a cel zamachu wyznaczyć sobie zupełnie gdzie indziej.

– Z rozmowy wynika jednoznacznie, że ich cel znajduje się co najmniej w pobliżu Drake.

Puller odchylił się na oparcie krzesła i zamyślił na chwilę.

– No cóż, jest tam olbrzymia betonowa kopuła, która zabezpiecza dawny rządowy ośrodek badawczy z lat sześćdziesiątych. To chyba miejsce, od którego należałoby zacząć. Prawdę mówiąc, to jedyna niezwykła rzecz w tamtej okolicy. Nie licząc paru trupów.

– Gdyby to było takie proste... – Mason wyciągnął z teczki kilka dokumentów i popchnął je po stoliku w stronę Pullera, po czym dodał: – Sprawdziliśmy, do czego wykorzystywano tamten ośrodek. I niewiele nam to dało.

Puller przebiegł papiery wzrokiem. Wszystkie zostały oznaczone klauzulą tajności, ale on miał stosowne uprawnienia. Pochodziły z roku 1970.

– Wytwarzano tam części do bomb? – zapytał zdumiony.

– Kluczowe części, chociaż niemające nic wspólnego z samymi układami detonowania ładunków. Ośrodek zabezpieczono betonową kopułą, ponieważ w niektórych wyrobach stosowano materiały promieniotwórcze. Wtedy Departament Obrony dysponował jeszcze ogromnymi funduszami, a EPA chyba w ogóle nie istniała. Więc zamiast posprzątać po sobie, po prostu zamknięto kopułę po opuszczeniu ośrodka.

– Czy stanowi zagrożenie dla środowiska?

– Ekologiczne? Kto to może wiedzieć, do cholery? Niewykluczone. Ale to nie nasza sprawa. Z raportów wynika jasno, że z terenu usunięto wszystkie materiały rozszczepialne i sprzęt laboratoryjny. Nie zamierzamy teraz przekuć się przez metrową ścianę z lanego betonu, żeby sprawdzić, czy licznik Geigera nie zwariuje.

– A gdyby ktoś postanowił wysadzić kopułę, żeby uwolnić radioaktywność, jeśli tylko coś tam z niej zostało?

– Tylko pomyśl, Puller. Trzeba by ściągnąć cały transport materiałów wybuchowych i odpowiednio zabezpieczyć teren, nie mając przy tym pewności,

czy cała ta praca jest cokolwiek warta. A gdyby nawet udało się skazić promieniotwórczo atmosferę wokół Drake? Kogo by to obeszło? – Mason wyprostował się na krześle. – Nie, odpowiedź musi się kryć gdzie indziej.

Puller przesunął papiery w jego stronę.

– W porządku. Coś jeszcze?

– Wiemy, że rozmawiałeś z generał Carson.

– Wyczerpująco odpowiedziała na moje pytania.

– Reynolds wpadł na jakiś trop. To dlatego został zabity. Dotarły do niego informacje, że coś się tam dzieje.

– Właśnie się o tym dowiedziałem. Skoro domyślaliście się tego od jakiegoś czasu, szkoda, że nie sprawdziliście od razu u źródeł.

– O istnieniu Drake usłyszałem dopiero po wysłuchaniu treści zaszyfrowanej rozmowy, to znaczy przedwczoraj. Podejrzewam, że wiesz dużo więcej od nas.

– Głównie dlatego, że już tam byłem. Zostawiliście sprawę mnie i kilku miejscowym gliniarzom. Zaszyfrowana rozmowa z przedwczoraj mogła być powiązana z morderstwami. Należało wysłać na miejsce grupę agentów. Czemu tego nie zrobiliście?

– To podchwytliwe pytanie, na które odpowiedź jest nie mniej podchwytliwa.

– Przywykłem do jednych i drugich.

Mason uśmiechnął się.

– Nie wątpię. Służba jest dużo bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać.

– Niektóre elementy żołnierki to łatwizna w porównaniu z całym tym szambem. Trafienie z pistoletu w środek tarczy wymaga ćwiczeń. Żadne ćwiczenia nie przygotowują człowieka na udział w zakulisowych podchodach. – Urwał na chwilę. – Brałeś kiedykolwiek udział w walce? Wyglądasz na takiego, który niejedno w życiu widział.

– Byłem w piechocie morskiej, ale nie zaliczyłem nawet całej zmiany. Wycofałem się i wróciłem do college’u, ale i tak skończyłem z pistoletem w ręku na służbie Wuja Sama. Tyle że noszę garnitur zamiast wojskowego munduru.

– Piechota morska wiele razy zapewniała mi osłonę.

– A twoi ludzie równie często piechocie, jak się domyślam. Wracając jednak do twojego pytania, powiem tyle, że zapadła decyzja, by pozwolić sprawie jeszcze trochę się rozwinąć. Jeśli wytoczymy ciężką artylerię, złoczyńcy

pochowają się po norach.

– Zapędzenie ich do nory wcale nie musi być złym pomysłem, zwłaszcza jeśli planują powtórkę z 11 września. Tylko dlaczego mieliby teraz wybrać Drake, skoro uderzyli już w Nowy Jork? Rozmiary potencjalnych zniszczeń są nieporównywalne.

– I to nas najbardziej martwi. Więc gdybyśmy wytoczyli ciężkie działa, naszym zdaniem szybko by się rozproszyli, przegrupowali, a potem uderzyli w równie mało newralgicznym miejscu, unikając wcześniejszych błędów. Wybór lokalizacji to teraz największa zagadka, Puller. To nie jest klasyczny cel ataków. Nie ma żadnej wartości w porównaniu z poprzednimi. Gdyby uderzyli w któreś lotnisko, duże centrum handlowe albo dworzec kolejowy, odbiłoby się to głośnym echem w całym kraju.

– Ale atak na zadupie nie może wywołać takiego samego efektu.

– Co oznacza, że wiedzą o czymś, o czym my nie wiemy. I tu nie chodzi o nasze taktyczne bądź strategiczne schematy działania, bo na coś takiego w ogóle nie jesteśmy przygotowani. Nie możemy otworzyć podręcznika na konkretnej stronie. Szczerze mówiąc, na razie to my czujemy się wpuszczeni w maliny.

– Niemniej wasza strategia może kosztować życie wszystkich mieszkańców Drake i okolic.

– Owszem, nie da się tego wykluczyć.

– Ale ponieważ chodzi o tak niewielu ludzi, do tego w większości biednych obdartusów, pewnie waszym zdaniem można o nich zapomnieć.

– Nie posuwałbym się z wnioskami tak daleko. To w końcu też Amerykanie, biedni czy bogaci.

– Ale reakcja byłaby zgoła odmienna, gdyby w grę wchodził znów Nowy Jork czy też Houston, Atlanta lub Waszyngton?

– Każda sytuacja jest inna, Puller.

– Im bardziej rzeczy się od siebie różnią, tym bardziej są do siebie podobne.

– Wojskowy trep, który potrafi filozofować. Jestem pod wrażeniem. Mówiąc poważnie, nikomu nie zależy na śmierci niewinnych obywateli. Ale sytuacja jest niecodzienna. Na pewno, gdyby chodziło o Nowy Jork, Chicago, Los Angeles czy Waszyngton, bez wątplenia natychmiast wytoczylibyśmy ciężką artylerię.

– Więc Drake ma się stać królikiem doświadczalnym ewolucji taktyki?

– Drake stwarza nam okazję.

– W porządku, Reynolds służył w wojsku i może to wystarczyło, żeby stał się celem ataku. Ale jak potraktować zabójstwo Molly Bitner i Erica Treadwella?

– Mieszkali naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, to wszystko.

– Czy jest możliwe, że to na jedno z nich natknął się Reynolds? Bo takiego właśnie określenia użył w rozmowie z Carson.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał Mason.

– Logika podpowiada, że jedynymi ludźmi, z którymi mogli wejść w kontakt, są mieszkańcy z sąsiedztwa. Oczywiście mam na myśli tych sąsiadów, którzy także zostali zamordowani.

– Rozumiem, do czego zmierzasz, i podoba mi się twój punkt widzenia. Nie mamy na nich niczego konkretnego, co nie oznacza przecież, że nie stanowią obiecującego tropu.

– Więc czego oczekujecie ode mnie?

– Żebyś robił to, co do tej pory, czyli dalej prowadził śledztwo. Jedyną odmianę stanowi to, że teraz będziesz składał meldunki bezpośrednio mnie, bez pośrednictwa swojego dowódcy. Będziesz naszymi oczami tam, w terenie. – Mason wstał. – Wiem, że chcesz wracać jak najszybciej.

– Zamierzałem jeszcze odwiedzić dom Reynoldsa w Fairfax City, rozejrzeć się.

– Już to załatwiliśmy. Nic tam nie ma. Twój dowódca może to sprawdzić. Lecz jeśli wolisz obejrzeć dom na własne oczy, masz wolną rękę.

– Owszem, wolałbym go obejrzeć na własne oczy – odparł Puller bez wahania.

– Byłem pewien, że to usłyszę. Masz swobodę działania. Możesz tam jechać zaraz po wyjściu z tego budynku.

– Dzięki.

– A teraz, gdy formalności mamy już za sobą, opowiedz mi o postępach swojego dochodzenia.

Puller przedstawił skondensowaną wersję. Mason podchwycił wątek utrwalenia na taśmie wideo przesłuchania rodziny Reynoldsów.

– Brzmi złowieszczo – oznajmił.

– Owszem – przyznał Puller.

Po raz drugi Mason mu przerwał, gdy doszedł do kwestii analizy gleby.

– Chciałbym zobaczyć te wyniki.

– Tak, oczywiście.

– Czemu ktoś miałby zlecić takie badania?

– Widocznie uznał je za ważne.

– Ale nie wiadomo, skąd pobrał próbki?

– Nie.

– Kiedy się rozejrzysz w domu Reynoldsów, wracaj jak najszybciej do Drake. Chętnie przydzieliłbym ci drużynę DHS, ale nie mam pojęcia, kto może ci się przyglądać. Na razie nie mam zaufania do wielu ludzi.

– Nie ma sprawy. Pojadę swoim autem, tak jak przyjechałem.

Kiedy wyszli na korytarz, Mason dodał półgłosem:

– A Samantha Cole? To twój atut czy balast?

– Atut.

– Dobrze wiedzieć.

– Co intuicja podpowiada ci w tej sprawie?

Mason przez chwilę patrzył prosto przed siebie.

– Że szykuje się coś, co kazałoby wielu ludziom zapomnieć o 11 września.

Powiedziawszy to, skręcił w boczny korytarz po lewej.

Puller poszedł dalej prosto.

Nie miał już innej drogi do wyboru.

Pojechał prosto do domu Reynoldsa w Fairfax City, który stał w starszej dzielnicy skromniejszych domów. Było prawdopodobne, że pułkownik w trakcie swojej kariery kilka razy musiał się przeprowadzać do różnych miejsc w sąsiedztwie Waszyngtonu. Na tych, którzy musieli sprzedawać swoje domy na wolnym rynku, po czym kupować inne, po zawyżonej cenie, sytuacja mogła ściągnąć kłopoty finansowe. Puller nie znał dokładnie statusu majątkowego Reynoldsa, zakładał jednak, że pułkownik spodziewał się znacznie wyższych dochodów w sektorze prywatnym, czym mógłby sobie zrekompensować lata słabszych zarobków, w jego mniemaniu zdecydowanie za niskich jak na kogoś, kto przez lata zasłużył się, mimo niskiego uposażenia wytrwale służąc ojczyźnie.

Po dwóch godzinach zasiadł w saloniku, trzymając w dłoniach osłoniętych gumowymi rękawiczkami oprawiony w ramkę portret rodziny Reynoldsów. Na zdjęciu wyglądali na szczęśliwych, radosnych i pełnych życia. Teraz jednak żadne z tych określeń do nich nie pasowało. Zwrócił uwagę na sprzęt baseballowy w sypialni chłopca oraz kostiumy pływackie i stroje tenisowe na plakatach rozwieszonych w pokoju dziewczyny. Przyjrzał się zdjęciom Matta i Stacey na różnych etapach wojskowej kariery. I na wakacjach. Żeglarstwo, skoki spadochronowe, pływanie z delfinami. Patrzył na zdjęcia dzieci na korcie tenisowym i boisku do koszykówki. Zdjęcia dziewczyny w galowym stroju na rozdaniu matur i kilkulatniego jeszcze chłopczyka, który tulił się do ubranego w mundur ojca. Bez trudu mógł odczytać emocje wypisane na ich twarzach.

Tata dostał nowy przydział w wojsku.

Chłopak nie był tym zachwycony. Przywarł do nogi ojca, jakby w nadziei, że powstrzyma go przed przeprowadzką.

Puller odstawił fotografię na miejsce. Wyszedł i starannie zamknął za sobą drzwi. Wsiadł do samochodu, lecz jeszcze przez dłuższą chwilę gapił się na dom, który nie miał już właścicieli. Wkrótce na rynku musiała się pojawić oferta sprzedaży, meble trafić na przetarg, a rzeczy osobiste zostać rozdysponowane, jakby pamięć o Reynoldsach mogła przetrwać wyłącznie we wspomnieniach przyjaciół i rodziny.

I w mojej.

Wrócił do swojego mieszkania i spakował zapas czystych ubrań do torby podróżnej. Zanim dotarł na miejsce, zrobiło się już bardzo późno. Mimo to pozwolił sobie na kilka minut dezercji, pograżając się w myślach o minionym wieczorze. Wcześniej zamienił rezerwację lotu powrotnego do Charlestonu na następny ranek. Nie miał szans zdążyć na ostatnie wieczorne połączenie.

Carson była dużo bliższa prawdy, niż jej się wydawało, ale zarazem bardzo się myliła. Rzeczywiście działo się coś poważnego. Tyle że w jej mniemaniu tylko ona i Reynolds ze strony rządowej mieli o tym jakieś pojęcie. Bardzo się myliła. Sądziła, że sknocila sprawę, bo nie powiadomiła o niej wyższego szczebla. Ale władze o wszystkim wiedziały, przynajmniej od dnia zabójstwa Reynoldsów. Niemniej to, że zginęła cała rodzina pułkownika, nie napawało go zbyt dużym zaufaniem do możliwości zabezpieczenia mu tyłów przez agentów DHS, gdyby zaszła taka konieczność. Rozumiał jednak, że w zaistniałej sytuacji nawet oni czuli się bezradni.

Wrócił myślami do Sam Cole. Ile mógł jej powiedzieć? Oficjalna odpowiedź była prosta: jak najmniej albo nic. Nieoficjalna odpowiedź była znacznie bardziej skomplikowana. Nie lubił stawiać ludzi w sytuacji zagrożenia, nie mówiąc wprost o grożącym im niebezpieczeństwie. Postanowił jednak odłożyć te rozważania na krótki przelot i zdecydowanie dłuższą podróż samochodem z Charlestonu.

Spojrzał na zegarek. Ustalił to wcześniej. Musiał, bo inaczej mogłoby nie dojść do rozmowy. Wybrał numer. Najpierw musiał odpowiedzieć na kilka pytań. Wreszcie na linii rozległ się znajomy głos.

– Byłem zaskoczony, gdy się dowiedziałem, że zaklepałeś rozmowę na dzisiejszy wieczór – powiedział Robert Puller.

– Chciałem nadrobić zaległości.

– Na wschodnim wybrzeżu już późno.

– Owszem, zgadza się.

– Rozmowa jest monitorowana – ostrzegł brat. – Ktoś nas podsłuchuje. – Zmienił nagle głos i zapytał głębokim barytonem: – Słyszysz nas pan wystarczająco głośno i wyraźnie, cenzorze? Jeśli nie, z chęcią byśmy porozmawiali o naszym tajnym planie zniszczenia świata.

– Przestań, Bobby, bo mogą nas rozłączyć.

– Mogą, ale tego nie zrobią. Znów nie mieliby nic do roboty.

– Widziałem się z nim.

Żaden z nich nie potrzebował dodatkowych wyjaśnień. Był tylko jeden człowiek w ich życiu, o którym tak się wyrażali.

– Rozumiem. Jak on się czuje? – odparł Robert, natychmiast poważniejąc.

– Prawdę mówiąc, nie najlepiej. Następują ciągłe fluktuacje.

– Czyli z ziemi w obłoki i z powrotem?

– Dokładnie tak.

– A poza tym?

– Całkiem zdrowy. Dociągnie do setki.

– Co jeszcze?

– Znowu ma na pieńku.

– Z kim?

– Z odwiecznymi wrogami. Według niego z innymi generałami. Ale trafia kulą w płot.

Puller nie dbał o to, czy monitorujący rozmowę zorientowali się, że tematem jest ich ojciec. Dopóki nie mówili o przestępstwach kryminalnych bądź innych zakazanych sprawach, treść pozostawała ich prywatną tajemnicą. Nikt by nie zaryzykował swojej kariery w wojsku, ujawniając choćby fragment telefonicznej rozmowy któregoś z więźniów, zwłaszcza gdy jednym z rozmówców był zasłużony dla kraju weteran wojenny.

– Można się było tego spodziewać – rzekł Robert.

– Owszem.

– On naprawdę w to wierzy? Czasy się zmieniły.

– Ale nie dla niego.

Puller usłyszał w słuchawce przeciągłe westchnienie.

– Zastanawiałem się, czy w ogóle ci o tym powiedzieć.

– Bo jakie to może mieć dla mnie znaczenie?

– Coś w tym rodzaju. Może nie powinienem był mówić.

– Pracujesz teraz nad jakąś ciekawą sprawą?

– Tak i nie. Tak, pracuję, i nie, nie mogę ci o niczym powiedzieć.

– No cóż, powodzenia. Wierzę w ciebie.

Rozmawiali jeszcze pół minuty o mało istotnych rzeczach, zanim się pożegnali. Kiedy Puller przerwał połączenie, zapatrzył się na wyświetlacz

aparatu, wyobrażając sobie, jak strażnik odprowadza jego brata z powrotem do celi. Gdzie nie było nic do roboty, poza czekaniem na jutrzejszą możliwość wyjścia na godzinę z klatki. Lub też czekaniem na następny telefon od niego. Albo wizytę. Bez jakiegokolwiek wpływu na swoje życie. Nic nie podlegało jego kontroli.

Tylko ja mu zostałem.

I staruszkowi też tylko ja zostałem.

Niech mi Bóg dopomoże.

Im także.

Nazajutrz wczesnym rankiem samolot odrzutowy wystartował z lotniska Dullesa i szybko wzbił się na pułap rejsowy. Puller wypił butelkę wody i postanowił spędzić krótką podróż, wyglądając przez okno. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. Próbował choć trochę się przespać minionej nocy, ale nawet jego wojskowe przeszkolenie zawiodło w konfrontacji z oszalałymi myślami wirującymi mu w głowie niczym turbiny silników odrzutowych samolotu.

Godzinę później wylądowali w Charlestonie i przesiadł się do swojego malibu stojącego na parkingu. Przybył do Drake w porze śniadania. Po drodze zadzwonił do Cole i spotkał się z nią w barze Crib. Wypił dwa kubki kawy i zamówił największy zestaw śniadaniowy, jaki tam oferowano.

Patrzyła na niego z podziwem, gdy pochłaniał olbrzymią porcję.

– Nie dali ci nic do jedzenia w stolicy? – zapytała.

Przeżuł kęs jajeczniczy z kawałkiem naleśnika.

– Podczas tego wyjazdu nie. Nawet trudno mi powiedzieć, kiedy jadłem po raz ostatni. Chyba wczoraj śniadanie.

Upiła łyk kawy, oderwała kawałek tostu i włożyła go do ust.

– Podróż była owocna?

– Tak. Prawdę mówiąc, mamy sporo do omówienia. Ale nie tutaj.

– Coś ważnego?

– Inaczej nie zabierałbym ci czasu. A ty masz jakieś nowiny?

– Przefaksowałam nakaz sądowy – odparła, wyjmując z torebki dokumenty.

– I w odpowiedzi dostałam wyniki analizy próbek gleby.

Puller odłożył widelec i obrzucił wydruki podejrzliwym wzrokiem.

– I co?

– Nie jestem naukowcem.

– Pozwól, że sam na to spojrzę.

Podsunała mu papiery.

Ledwie uniósł pierwszą kartkę do oczu, powiedziała:

– Pierwsze dwie strony to prawniczy bełkot mający chronić ich tyłki w razie,

gdyby sprawozdanie zostało źle przyjęte albo wystąpił jakiś błąd w analizach, a gdyby wyniki miały być prezentowane przed sądem, firma nie bierze za nie żadnej odpowiedzialności.

– To pocieszające – mruknął Puller.

Przeszedł od razu do trzeciej strony, odchylił się na oparcie krzesła i zaczął studiować tabele. Po chwili rzekł:

– Ja też nie jestem naukowcem, i chociaż odczytuję takie nazwy jak apatyt, rutil, markasyt, galena, sfaleryt i inne, o których nigdy wcześniej nie słyszałem, to widzę wśród nich także uran, który oczywiście dobrze znam.

– Nie podniecaj się. Węgiel występuje w pięćdziesięciu trzech z pięćdziesięciu pięciu okręgów Wirginii Zachodniej, a w większości złóż węgla jest również obecny uran. Na szczęście poziom promieniotwórczości jest niski. Ludzie na każdym kroku wdychają tu z powietrzem cząsteczki uranu i nic się nie dzieje. A poziom ppm uranu w tutejszych glebach, jak wynika z tego raportu, wskazuje na jego naturalne pochodzenie.

– Jesteś pewna? Mówiłaś, że nie jesteś naukowcem.

– Jestem pewna, że węgiel to bardziej skała niż minerał. Poza tym powstał z resztek materii organicznej, więc formalnie trudno go zaklasyfikować do minerałów. Ale zawiera w sobie kryształki innych minerałów.

– Wszyscy w Wirginii Zachodniej to wiedzą?

– No cóż, nie wszyscy, ale na pewno większość. Czego można się spodziewać w stanie, którego symbolem jest bryła węgla kamiennego?

Przerzucił pozostałe kartki sprawozdania.

– Nie wiemy nawet, skąd pochodziły te próbki gleby?

– I tu jest pies pogrzebany. Nie wiemy. Mogły pochodzić z dowolnego miejsca. Raport tego nie precyzuje. Sądzę, że jego autorzy byli przekonani, iż Reynolds musi wiedzieć, gdzie je pobierał.

– No cóż, pewnie muszą pochodzić z okolic Drake, bo nie sądzę, aby Reynolds urządził sobie jakieś dłuższe wyprawy.

Cole wyginała w palcach podłużną torebeczkę z cukrem, która w końcu pękła i białe kryształki rozsypały się po stoliku. Zgarnęła je szybko na spodek od filiżanki.

– Myślisz, że Reynolds pracował nad czymś, co nie dotyczyło Drake? Może te próbki pochodziły z Waszyngtonu?

– Nie sądzę, zwłaszcza po tym, czego się tam dowiedziałem.

– To może lepiej się pospiesz i skończ śniadanie, żebyśmy mogli stąd wreszcie wyjść i żebyś mógł mnie wtajemniczyć.

– Dobrze, ale po drodze wpadniemy na komendę policji. Muszę przefaksować wyniki analiz gleby w kilka miejsc.

Zapłacili rachunek i wsiedli do radiowozu stojącego przed barem. Cole podwiozła go na komendę, skąd przefaksował raport z wynikami analiz do Joe Masona z Waszyngtonu oraz Kristen Craig z USACIL w Georgii.

Kiedy znowu wsiedli do wozu patrolowego, Cole odwróciła się do Pullera. Miała na sobie mundur, a gruby skórzany pas z kaburą skutecznie utrudniał taki manewr, sprawiała jednak wrażenie zdeterminowanej.

– Gadaj wreszcie, Puller, i niczego przede mną nie ukrywaj.

– Masz jakiś certyfikat dostępu do tajemnic państwowych?

– Już ci mówiłam, że nie mam, chyba że uwzględnisz ten certyfikat, który dostałam, gdy zaczęłam służbę w policji stanowej, chociaż wątpię, żeby zrobił jakieś wrażenie na agencji federalnym.

– Teraz przynajmniej wiem, że skoro ujawnię przed tobą tajemnicę państwową, to ja dostanę po dupie, jeśli sprawa wyjdzie na jaw.

– Ode mnie nikt się o tym nie dowie.

Spojrzał przez okno.

– Dickie Strauss i jego wielki przyjaciel byli w Crib, obserwowali nas.

– Tak samo jak połowa mieszkańców Drake – odparła Cole.

– Koniecznie musimy zbadać powiązania jego tatusia z Treadwellem.

– Owszem, musimy. Ale na razie najważniejsze jest to, żebyś w końcu zaczął gadać.

– Ruszaj. Wolę opowiedzieć ci to po drodze. Jedź na wschód.

– Dlaczego?

– Bo po wysłuchaniu mnie możesz zapragnąć jechać przed siebie, dopóki nie dotrzesz do wybrzeża oceanu.

Przez godzinę zrelacjonował Cole wiadomości z Waszyngtonu. Wtajemniczył ją w zaangażowanie DHS, chociaż nie powiedział, że w ogólnym zarysie Drake ma posłużyć za przynętę dla ewentualnej komórki terrorystycznej działającej w tym rejonie. Nie powiedział tego, bo uznał, że ona poczuje się zobowiązana do podniesienia alarmu w swoim rodzinnym miasteczku. A wtedy Mason mógłby zapomnieć o próbie schwytania człowieka posługującego się elektronicznym szyfratorem i rozmawiającego w języku dari przez telefon.

Miał jednak wielką ochotę powiedzieć jej także o tym.

– Byłoby miło wiedzieć o takich rzeczach od samego początku – poskarżyła się Cole. – Ci na górze zawsze urządzają sobie podobne gierki?

– Dla nich to nie jest gra. To bardziej skok przez płot, gdy nie wiadomo, komu po drugiej stronie można zaufać.

– Wytrzymałabym w takich warunkach najwyżej pięć sekund. Nie jestem amatorką takich przepychanek.

– Mogłabyś się bardzo zdziwić.

– Prędzej mogłabym kogoś zastrzelić. Dokąd teraz?

– Na miejsce zbrodni. Wpadłem na pewien pomysł w drodze powrotnej.

Lan Monroe wychodził właśnie z rezydencji Halversonów, kiedy podjechali pod dom. Wypchana torba z dowodami rzeczowymi objęła mu się o krótkie nogi. Powitał ich, unosząc wysoko wolną rękę i uśmiechnął się szeroko, gdy wysiedli.

– Witaj z powrotem, Puller – rzucił. – Cieszę się, że w Waszyngtonie nie pożarli cię żywcem.

Puller spojrzał na Cole i zapytał cicho:

– Zawsze jesteś tak dyskretna?

Zmieszała się i burknęła do Monroe:

– Skończyłeś pracę?

– Tak. Można przywrócić pełen dostęp.

Skinęła głową i popatrzyła, jak pakuje swój sprzęt do samochodu.

Tymczasem Puller obserwował radiowóz stojący przed nimi. Rozpoznał

siedzącego w nim zastępcę pani sierżant o nazwisku Dwayne. Po chwili tamten pstryknął niedopałkiem papierosa przez okno samochodu.

– Wiem, że nie powinni palić na służbie, ale Dwayne bardzo się stara rzucić i w dodatku rygorystycznie przestrzega ograniczania dziennych dawek nikotyny. Na pewno byłoby lepiej, gdyby...

Urwała nagle, gdy Puller gwałtownie ruszył.

– Hej! – zawołała i podążyła za nim.

Szybkim krokiem minął róg domu Halversonów, przeszedł wzdłuż płotu sąsiedniej posesji, zatrzymał się i popatrzył na werandę na tyłach tamtego domu. Była zbudowana z surowych drewniany bali po obróbce ciśnieniowej, mocno już pobielałych od słońca i warunków pogodowych. Wolno przeniósł wzrok na skraj lasu na tyłach posesji.

Cole stanęła obok niego.

– Co robisz?

– Doznaję objawienia.

– To właśnie ten pomysł, który przyszedł ci do głowy w samolocie?

– Nie, to pomysł, który wpadł mi do głowy pięć minut temu.

Spojrzał na masywną popielniczkę z grubego szkła stojącą na poręczy tamtej werandy. Była pełna niedopałków. Zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi.

– Kto mieszka w tym domu?

– Starsze małżeństwo, państwo Dougett. George i Rhonda, jeśli dobrze pamiętam. Rozmawiałam z nimi niedawno, gdy robiliśmy wywiad wśród mieszkańców osiedla.

– Które z nich pali?

– On. Kiedy z nimi rozmawiałam, kobieta nie zgodziła się, żeby zapalił w domu, i wskazała mu stojącą na werandzie popielniczkę. Więc cóż to za wielkie odkrycie związane z paleniem jednego z sąsiadów? Czyżbyś obrał sobie za cel zbawienie naszych dusz, wszystkich nieświadomych nałogowców?

– Nie. Zwróciło moją uwagę, że popielniczka stoi na werandzie, a stamtąd jest dobry widok na las. – Wskazał ręką.

Cole powiodła spojrzeniem za jego palcem.

– I co z tego?

– Ile lat ma Dougett? Ten facet, który pali.

– Dobiega osiemdziesiątki. Jest w kiepskiej formie. Ma nadwagę, ziemistą cerę i kłopoty z nerkami, o czym wspomniał w trakcie naszej rozmowy. Do tego problemy z prostatą, której leczenie wykracza poza zakres jego ubezpieczenia zdrowotnego. Mam wrażenie, że to normalna przypadłość w tym wieku. Na szczęście nie tak poważna, żeby gruntownie wpłynąć na jego życie.

– Ale to oznacza, że budzi się w nocy, próbuje wysikać, lecz nic z tego nie wychodzi, więc podenerwowany nie może zasnąć i wychodzi tu na papierosa, bo w ciągu dnia jest za gorąco, żeby palić.

– To prawdopodobne. Ale zdradził mi też, że w ciągu dnia zamyka się w samochodzie, uruchamia silnik z włączoną klimatyzacją i wtedy też może sobie puścić dymka. Tylko co z tego?

– Są teraz w domu?

– Samochód stoi na podjeździe, a mają tylko jeden.

– Zatem wystawimy mój pomysł na próbę.

Puller wbiegł po schodkach werandy przed drzwiami domu Dougettów, przeskakując po dwa stopnie naraz, podczas gdy Cole nie odstępowała go ani na krok. Zapukał. Po czterech sekundach drzwi się otworzyły i stanął w nich George Dougett. Miał niewiele ponad sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, a jego zwalista sylwetka, blada cera, drżące kolana i krzywy kręgosłup świadczyły o licznych kłopotach zdrowotnych i bagażu cierpień. Wyglądał, jakby mógł paść trupem w dowolnej chwili i prawdopodobnie czekał tylko na dogodną okazję.

– Sierżant Cole? Ma pani więcej pytań? – zapytał z entuzjazmem.

Puller doszedł do wniosku, iż życie mężczyzny musi być nudne. Nawet śledztwo w sprawie morderstwa w sąsiedztwie było o wiele lepsze od przesiadywania w samochodzie i palenia papierosów w oczekiwaniu na powrót żony.

– Jestem John Puller z Wojskowego Wydziału Śledczego. Mogę zadać kilka pytań? – zapytał, podtykając mężczyźnie pod nos swoją służbową odznakę, przez co tamten ożywił się jeszcze bardziej.

– No jasne, do pioruna – mruknął zachrypniętym głosem, który po chwili całkiem mu uwiązał w gardle. Mężczyzna zakasłał tak energicznie, że o mało się nie zachwiał na nogach. – Cholerna alergia. Przepraszam. – Głośno wydmuchał nos w gruby zwitek ligniny, który trzymał w zaczerwienionych i pulchnych, jakby spuchniętych palcach, po czym gestem zaprosił ich do środka.

Poszli za nim krótkim korytarzem do małego saloniku o ścianach obitych płytami poplamionej na ciemno sklejki. Został umeblowany dobre czterdzieści lat temu, o czym dobitnie świadczyły wszystkie sprzęty. Wełniany dywan już dawno temu przestał być gruby i mięsisty, a połyskliwa warstwa z mebli zniknęła co najmniej dwadzieścia lat wcześniej. Kiedy usiedli, Dougett rzekł:

– Ja też byłem w wojsku. Och, od tego czasu weszło wiele księżyców, ma się rozumieć. Byłem w Korei. To wspaniały kraj. Ale bardzo zimny. Z radością wróciłem do Ameryki.

– Nie wątpię – przyznał Puller.

– Troszczy się pan o zdrowie, panie Dougett? – zapytała Cole.

Gospodarz uśmiechnął się z rezygnacją.

– Jestem stary, gruby i palę. Poza tym nic mi nie jest. Dzięki za troskę. – Spojrzał na Pullera. – Cholera, niezły z ciebie okaz, synu. Gdybym cię zobaczył przed sobą na froncie, pewnie od razu bym się poddał.

– Rozumiem – odparł z ociąganiem Puller, który zastanawiał się gorączkowo, jak to rozegrać. – Zauważyłem, że pali pan na werandzie na tylnym podwórku.

– Ano tak, żona nie pozwala mi smrodzić w domu.

– A gdzie jest pańska żona? – zapytała Cole.

– Jeszcze w łóżku. Reumatyzm nie pozwala jej wstawać tak wcześnie rano. Zwleka się koło południa, w samą porę, żeby przygotować lunch. Lepiej nigdy się nie zestarzejcie, taką mogę dać wam radę.

– No cóż, alternatywy nie są zbyt zachęcające – odrzekł Puller, robiąc w myślach gorączkowe obliczenia. – Chodzi mi o niedzielny wieczór. Zauważył pan może coś niezwykłego? Albo może usłyszał? Na przykład wystrzał?

– Nie mam najlepszego słuchu, synu. Na dodatek w niedzielę wieczorem straszylem porcelanę w kiblu. Nie posłużył mi obiad przygotowany przez żonę. Niestety, ostatnio często się to zdarza. Tak więc nie wychodziłem na dwór. Zresztą mówiłem to już obecnej tu damie, gdy wypytywała mnie w poniedziałek, a moja pani jeszcze smacznie spała w łóżku. Wygląda na to, że moje bieganie do łazienki przez całą noc i niezbyt przyjemne odgłosy wymiotów nie zakłóciły jej snu.

– Rozumiem. A co się wydarzyło w poniedziałek późnym wieczorem? Wychodził pan wtedy na werandę?

– Owszem. Zasypiam późno, wstaję coraz wcześniej. Pewnie już niedługo spocznię na wieki w drewnianej skrzynce, więc czemu miałbym marnować czas, jaki mi pozostał? Zresztą uwielbiam poranki. Powietrze jest wtedy wspaniale orzeźwiające, pięknie wygląda rosa na drzewach i trawie. To naprawdę miły widok.

– Nie zauważył pan niczego niezwykłego w poniedziałek wieczorem?

Mężczyzna wepchnął do kieszeni zmięty w dłoni zwitek ligniny i przeciągnął palcami po brodzie z taką siłą, jakby chciał się w ten sposób uwolnić od zarostu. Po chwili uśmiechnął się i wymierzył palec w Pullera. – Widziałem ciebie. – Przesunął palec na Cole. – I ją też. Na patrolu czy podczas poszukiwania czegoś w lesie. Mam wrażenie, że formalnie to był już wczesny wtorkowy ranek.

– Szukaliśmy kogoś. Kilka minut wcześniej zauważyłem, jak ktoś ucieka do lasu. Może widział go pan?

Dougett szybko pokiwał głową.

– Widziałem. Zwiewał, ile sił w nogach. Musiał znać tutejsze ścieżki. Bo tam, w głąb lasu, biegnie ścieżka.

– Dlaczego nie powiedział mi pan o tym, kiedy wcześniej rozmawialiśmy? – zapytała poirytowana Cole.

– No cóż, nie pytała pani o to. A ja nie wiedziałem, że to ważne. Zresztą wydarzyło się już po tym, jak przyszła tu pani ze swoimi pytaniami. Skąd miałem wiedzieć, że może to mieć jakiś związek z tym, co się wydarzyło u Halversonów? – Zniżył głos i zapytał: – A miało to jakiś związek?

– Może pan opisać tę osobę? – zagadnął szybko Puller.

– Na pewno był to człowiek. Wysoki, ale nie tak bardzo jak ty, synu. Szeroki w barach. Sprawiał wrażenie łysego. Po sposobie poruszania się oceniłbym, że musi być młody. Ale było ciemno, widziałem go tylko w słabym świetle księżyca. Zauważyłem blizny na jego ramieniu albo ślady poparzenia. W każdym razie duże pląty ciemnej skóry.

– Miał na sobie koszulkę z krótkimi rękawami?

– Powiedziałbym, że bardzo krótkimi, łaskawco.

– Zatem ma pan dobry wzrok – wtrąciła Cole. – Noc, dość duża odległość, słaby blask księżyca.

– Bez zarzutu – wycedził George, wskazując swoje oczy. – Może jestem stary i gruby, ale na dystans wciąż mam dwadzieścia na dwadzieścia. Zresztą to wcale nie było tak daleko.

– Sądzi pan, że to był ktoś miejscowy? – zapytała Cole.

– Trudno powiedzieć. Jak już mówiłem, wyglądało na to, że doskonale zna tutejsze lasy.

– Powiedz im całą resztę, George.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę.

W drzwiach, na trójkołowym skuterku dla niepełnosprawnych siedziała starsza pani w różowym szlafroku i przyciasnych kapciach wciśniętych na opuchnięte stopy. Puller zwrócił uwagę na jej perłowszarą perukę o krótko przystrzyżonych włosach. Kobieta ważyła co najmniej sto kilogramów i wyglądała tak samo niezdrowo, jak jej mąż. Ale mimo reumatyzmu sprawnie operowała dźwignią sterowania wózka i po chwili podjechała bliżej i

zatrzymała się tuż obok Pullera.

– Jestem Rhonda, jego lepsza połowa – przedstawiła się.

– John Puller z Wojskowego Wydziału Śledczego. Jaką „resztę” miała pani na myśli?

George Dougett odchrząknął, obrzucił żonę pełnym wyrzutu spojrzeniem i rzekł:

– Pewnie o tych, które jeszcze widziałem.

– Widzieliśmy – skorygowała go żona. Popatrzyła na Pullera i uśmiechnęła się triumfalnie. – Patrzyłam z okna.

– Dlaczego? – zdziwiła się Cole.

– Bo mój mąż czasami zasypia na dworze, kiedy wychodzi zapalić te swoje nowotworowe zielsko. Dlatego pilnuję go, żeby przypadkiem sam się nie podpalił.

– Nigdy się nie podpale – syknął ze złością George.

– To dlatego, że od pięćdziesięciu sześciu lat masz kochającą żonę, która troszczy się o ciebie – odrzekła Rhonda tonem rodzica upominającego niesforne dziecko.

– I co z tej troski wynika? – zapytał Puller.

– Nic szczególnego – burknął George.

Rhonda prychnęła pogardliwie.

– Wtedy to na pewno było coś, do diabła! – Wskazała na Cole. – Widziałam też twojego zastępcę, który został zabity.

– Larry’ego Wellmana? Widziała pani, co robił?

– Widziałam, jak chodził wokół domu i wszystkiemu się przyglądał.

– Na tym polega praca patrolowa – odparła Cole. – Wykonywał swoje zadanie.

– Czy widziała pani, jak wchodził do środka? – zapytał Puller.

– Nie.

– Był sam?

Rhonda skinęła głową.

– O której to było? – wtrąciła Cole.

– Między wpół do pierwszej a pierwszą w nocy. George palił wtedy swojego czwartego rakowego papierocha i wysysał z niego wszystko, co tylko się da.

– Czy możesz wreszcie przestać używać tego słownictwa? – rzucił ze złością George.

– Och, przepraszam, panie wrażliwy. Więc George wypalał wtedy swojego czwartego gwoźdźcia do trumny, a zwykle kończy go palić około pierwszej w nocy.

– Jak mogłem wytrzymać pięćdziesiąt sześć lat z tą kobietą – mruknął żalonym tonem George. – To przecież cud, że jej do tej pory nie zabiłem.

– Proszę mówić dalej, madam – zwrócił się Puller do Rhondy.

– No więc wstałam i poszłam do łazienki. Dalej może opowiadać George.

– Chwileczkę – odezwała się Cole. – Czy posterunkowy Wellman zauważył, że siedzi pan na werandzie i pali papierosa?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie. Wyciągnąłem się na naszej leżance turystycznej i byłem zwrócony tyłem do posesji Halversonów.

– Więc jak pan mógł wszystko widzieć? – zdziwił się Puller.

– Patrzyłem za róg leżanki i widziałem wszystko, chociaż mnie trudno było zauważyć. Zresztą wtedy już zgasilem papierosa.

– Zatem widział pan, jak Wellman patroluje teren wokół domu. I co było dalej?

– Wtedy chyba musiałem przysnąć – przyznał ze wstydem George.

– No i widzisz? – syknęła Rhonda z naganą w głosie. – Jak tylko się położyłam, mogłeś się spalić żywcem. Najtańsza kremacja na żądanie!

George skrzywił się.

– Przecież właśnie powiedziałem, że już skończyłem papierosa. A ty pewnie byś się cieszyła, gdybym naprawdę się spalił, prawda? Wtedy mogłabyś przeznaczyć pieniądze z mojego zasiłku pogrzebowego na grę w kasynie, o czym tak bardzo marzysz.

– Panie Dougett, czy mógłby się pan skupić na tym, co pan widział? – wtrąciła ostrzejszym tonem Cole.

– No tak, jasne. A więc kiedy się ocknąłem, zobaczyłem tego łysego olbrzyma wybiegającego z domu.

– Zaraz, chwileczkę. Widział pan łysego mężczyznę wychodzącego z domu? – zapytała Cole. – Nie wspominał pan o tym.

– Nie? No to mówię teraz. Wyskoczył w pośpiechu i pobiegł do lasu. Później

usłyszałem podjeżdżający samochód. To było około wpół do piątej. Pamiętam, bo spojrzałem na zegarek.

– To byłem ja – odrzekł Puller. – Przyjechałem tu o tej porze, zadzwoniłem do sierżant Cole, po czym wszedłem do środka. Rozejrzałem się, znalazłem zwłoki Wellmana, a następnie usłyszałem, jak podjeżdża Cole. – Obejrzał się na nią. – Widziałem wówczas faceta uciekającego do lasu, skontaktowałem się z tobą i wspólnie ruszyliśmy na rekonesans.

– Tak więc ten łyśy facet musiał się kręcić po okolicy i obserwować dom, kiedy byłeś w środku – zauważyła Cole.

– Pewnie, że musiał – przyznał George. – Widziałem, jak stamtąd wyskoczył, a kilka sekund później stuknęły kuchenne drzwi i stanąłeś w nich ty. Nie widziałem jednak, gdzie później poszedłeś.

– Ukryłem się za samochodem stojącym na podjeździe – wyjaśnił Puller.

– Ale samochód Larry’ego zniknął – wtrąciła Cole. – Jak to mogło się stać? Kto nim odjechał? – Odwróciła się do Dougettów. – Żadne z was nie widziało nic więcej?

Oboje pokręcili przecząco głowami.

George mruknął:

– Coś się mogło stać, kiedy spałem.

– A ja przez długi czas byłam w łazience – dodała Rhonda. – Jak człowiek się starzeje, każda czynność wymaga więcej czasu.

– Wróćmy do ram czasowych – odezwał się Puller. – Po raz ostatni widzieliście Wellmana w trakcie obchodu terenu między wpół do pierwszej a pierwszą w nocy. Nie wszedł do środka. Później zauważyliście łysego mężczyznę, który wybiegł kuchennymi drzwiami na krótko przed moim przyjazdem. Znalazłem ciało Wellmana około piątej. Ale zmarł w przybliżeniu trzy godziny wcześniej, około drugiej w nocy. Czyli mniej więcej godzinę po tym, jak widzieliście go w trakcie patrolu, zanim poszliście spać. Ale łyśy mężczyzna mógł tu wrócić i wtargnąć do domu, kiedy spaliście.

– To znaczy, że mógł zabić Larry’ego i uciec – dodała Cole.

Puller pokręcił głową.

– W takim razie co się stało z samochodem? Ten facet na pewno nim nie odjechał. A jeśli to on był zabójcą, po co kręcił się na skraju lasu? Czemu po prostu nie zwiął gdzie pieprz rośnie? W końcu tylko dlatego, że kręcił się po okolicy, ja też zdążyłem go zauważyć.

- To rzeczywiście niezła łamigłówka – rzekł George.
- Czy po przebudzeniu zauważył pan, że zniknął radiowóz stojący przed domem? A może pan słyszał, jak odjeżdżał?
- Nie – odparł Dougett. – Chyba naprawdę musiałem przysnąć.
- Nie macie czasem ochoty na kawę i babeczki? – zapytała Rhonda.
- Na litość boską, jest wcześnie rano – warknął jej mąż. – Kto, do cholery, jada babeczki o takiej porze?
- Ja – powiedziała urażona.
- My już jedliśmy śniadanie – odparł Puller.
- No cóż, mam nadzieję, że nasze wyjaśnienia okażą się pomocne – rzekł George.
- Myślicie, że coś nam zagraża? – zapytała Rhonda tonem świadczącym wyraźnie, że zachwyciłaby ją ta perspektywa.
- Mam pistolet – dodał posępny tonem George.
- Tylko nie masz do niego nabojów – wtrąciła szybko jego żona. – A nawet, gdybyś miał, nie strzelałeś od wielu lat. Pewnie prędzej sam byś się postrzelił, niż w cokolwiek trafił.
- Cole i Puller pożegnali się ze skłóconą parą i w pośpiechu ruszyli z powrotem do samochodu.
- I co z tego wynika? – zapytała w końcu.
- Musimy odszukać łysego.
- Masz jakiś pomysł?
- Owszem.

61

W drodze powrotnej do Drake Cole nagle zahamowała i zatrzymała się przy krawężniku. Puller popatrzył za jej wzrokiem.

– Roger Trent wrócił do miasta – oznajmił.

Czarny cadillac escalade ze złotymi wykończeniami stał przed nimi na jałowym biegu, za kierownicą siedział człowiek, którego jeszcze nie widzieli. Puller przyjrzał mu się bliżej, chłonąc wzrokiem wszystkie istotne szczegóły, błyskawicznie utrwalając w pamięci spostrzeżenia oraz wypływające z nich wnioski.

Ciekawe.

Przy limuzynie stał Roger Trent. Był ubrany w garnitur, powypychany i pognieciony, jakby w nim spał. Otworzył właśnie drzwi auta i zaczął do niego wsiadać.

– Wygląda na to, że dopiero co wysiadł z samolotu – zauważył. – Chcę z nim porozmawiać.

Cole zatrzymała wóz patrolowy obok cadillaca i opuściła szybę po swojej stronie.

– Cześć, Roger. Napiłbyś się kawy w Crib?

Trent skrzywił się na widok Pullera, zanim popatrzył na Cole.

– Wypiłem już filiżankę kawy podczas lotu.

– Chcielibyśmy z tobą porozmawiać. To nie potrwa długo.

– Chodzi o te śmiertelne pogróżki?

– Tak.

– Macie dziesięć minut.

Zawrócił i wszedł do baru.

Minutę później oboje zajęli miejsca naprzeciwko niego i zamówili kawę. Mniej więcej trzy czwarte miejsc było zajętych i wszyscy badawczo wpatrywali się w nich.

Puller zauważył to i zapytał:

– Często pan tu bywa? Jak rozumiem, jest pan właścicielem tego lokalu.

– Prawie wszystko w Drake należy do mnie. I co z tego?

Puller obrzucił spojrzeniem jego pogniecioną marynarkę.

– Dopiero wrócił pan do miasta?

– Owszem. I znowu co z tego? – Przeszył Cole ostrym spojrzeniem. – Myślałem, że chcecie rozmawiać ze mną na temat pogrózek.

– Pracujemy nad tą sprawą, Roger.

– No właśnie. Może i teraz byś się przyjrzała swojej rodzinie, jak ostatnio?

– Już się przyjrzałam i moim zdaniem źródło leży gdzie indziej. Chciałam cię o tym poinformować.

– Uważam, że nie jesteś wystarczająco obiektywna.

– Sądzimy, że zabójstwo Molly Bitner miało związek z pracą w twoim biurze, Roger – powiedział Puller.

Cole wyglądała na zaskoczoną, ale Trent nie zwrócił na to uwagi. Wpatrywał się w Pullera.

– Co was doprowadziło do takiego wniosku?

– Wyniki analiz próbek gleby.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi. Jakie wyniki analiz próbek?

– No wiesz, w przybliżeniu środowiskowych.

– Nadal nie rozumiem.

– Eric Treadwell i Dickie Strauss byli przyjaciółmi, wiedziałeś o tym?

– Nie, raczej nie.

– Nosili taki sam tatuaż obejmujący całe przedramię. Dickie powiedział, że skopiował wzór z Erika.

– Co to wszystko ma wspólnego ze mną?

– Jeszcze nie jestem pewien, Roger – odparł Puller. Pociągnął łyk kawy i popatrzył na rozmówcę. – Jak minęła podróż do Nowego Jorku?

Trent zrobił zdziwioną minę.

– Skąd wiecie, że byłem w Nowym Jorku?

– Od Billa Straussa. Nie chciał zdradzić powodów, ale powiedział, że twoja firma okazała się bardzo dochodowa i przynosi wiele okazji do inwestycji.

Trent szybko uciekł wzrokiem w bok, a w jego lewym ręku pojawiło się ledwie zauważalne nerwowe drżenie.

– Każdy potrzebuje zastrzyku świeżej energii – dodał Puller.

– Zgadza się – rzucił krótko Trent. – Skończyliśmy? Bo wygląda na to, że nie macie mi nic do powiedzenia w mojej sprawie.

Cole zerknęła na Pullera. Ten powiedział:

– Chyba masz rację. Powinieneś jechać do domu i trochę się przespać. Wyglądasz na wykończonego.

– Dzięki za troskę – rzucił Trent.

Kiedy wstał, Puller natychmiast poszedł w jego ślady. Zbliżył się o krok i dodał półgłosem:

– Potraktowałbym te pogrożki poważnie, Roger. Ale z całkiem innego powodu, niż podejrzewasz.

Trent zbladł nieco, obrócił się na pięcie i wyszedł. Kilka chwil później rozległ się ryk potężnego silnika escalade.

Kiedy Cole z Pullerem wyszli na ulicę, powiedziała:

– Co dokładnie miałeś na myśli?

– Ten człowiek jest przerażony. Z wielu powodów. Osobistych. Zawodowych. Jak sądzisz, dlaczego? Należy do niego całe miasto. Jest jak wielka ryba w małym stawie.

– Nie wiem – odparła Cole.

– Wielka ryba w małym stawie – powtórzył Puller.

Cole odparła w zamyśleniu:

– Ale w mieście jest większa ryba.

– Niewykluczone.

– Kto taki?

– Znajdźmy łysego, to się przekonamy.

– Jak? Powiedziałaś, że masz jakiś pomysł.

– Ujmę to inaczej. Odszukajmy Dickiego Straussa.

– Myślisz, że to on jest tym facetem, którego Dougett zauważył podczas ucieczki z domu?

– Pasuje do opisu. A blizna na ramieniu? To mógł być duży tatuaż. Zresztą jeśli to nie był Dickie, to może któryś z jego kumpli noszących taki sam tatuaż.

– W Drake nie ma żadnych gangów, Puller.

– Żadnych, o których byś wiedziała – skorygował.

– Co Dickie Strauss miałby robić w tym domu? Jeśli tam był, to znaczy, że

zabił Larry'ego Wellmana. Dlaczego miałyby to robić?

– Jedno wcale nie wynika z drugiego.

– Co masz na myśli? Oboje byli w domu, a później został tylko trup Larry'ego. Ktoś musiał go zabić. Przecież sam się nie powiesił.

– To prawda.

– Więc do czego zmierzasz?

– Lepiej poszukajmy Dickiego zamiast się spierać. Kojarzysz, gdzie on może być?

Wrzuciła bieg.

– Owszem.

– Gdzie?

– Dowiesz się, gdy dojedziemy na miejsce. Ja też potrafię licytować w ciemno.

Odprowadził wzrokiem betonową kopułę, gdy przejeżdżali obok.

– Władze Drake powinny uczynić z niej atrakcję turystyczną – powiedział.

– Tak, to byłoby coś. Za dolara możecie sobie popatrzeć na bloki z cementu – odrzekła Cole.

Skręciła w ulicę i pojechała w głąb osiedla zbudowanego kiedyś dla ludzi pracujących w pobliskim zakładzie. Mijali w większości porzucone domy, w których dachy zaczynały się już zapadać, oraz mniej liczne, utrzymywane w jako takim stanie wielkim nakładem sił i środków. Puller oglądał się za małymi dziećmi o brudnych buziach i chudymi matkami, które nad nimi czuwały. Mężczyzn było niewiele, domyślał się więc, że pracują na utrzymanie rodzin albo przynajmniej próbują znaleźć pracę.

Wciągnął nosem powietrze.

– Miły zapach.

– Staramy się wymóc na ludziach, żeby wyrzucali śmieci do pojemników, ale to z góry przegrana walka. A łazienki w tym rejonie przestały funkcjonować już dawno temu. Większość ludzi postawiła sobie na tylnych podwórkach staroświeckie wychodki.

– Piękny przykład życia obywateli najbogatszego państwa świata.

– No cóż, bogactwa tego kraju muszą być skupione w rękach nielicznych, bo my nic z tego nie mamy.

– Owszem – przyznał Puller. – Weź chociażby swojego szwagra. – Rozejrzał się. – Słupy elektryczne stoją, ale transformatory zdają się nie działać.

– Kilka osób próbowało się do nich podłączyć i usmażyło się żywcem. Miejscowa spółka energetyczna musiała odłączyć całą tę część sieci i zrobić obejście. – Wskazała słup telefoniczny, po którym kable zbiegały na ziemię i rozchodziły się do kilku pobliskich domów. – Jak widzisz, podłączenia telefoniczne też są robione na dziko. Przymykamy na to oczy. Tutejszych mieszkańców nie stać na telefony komórkowe. Ale dzięki temu mogą pozostawać w kontakcie z innymi ludźmi. Firma telefoniczna także ich nie ściga. Do diabła, w dzisiejszych czasach coraz mniej ludzi korzysta z aparatów

stacjonarnych. Teraz wszyscy zarabiają na sieciach komórkowych, podłączeniach do internetu i temu podobnych. – Wskazała przed siebie. – Tam znajduje się nasz cel.

Budynek, sporo większy od pozostałych, stał na końcu ulicy. Puller ze zdumieniem popatrzył na masywne wysokie drzwi pomalowane kiedyś na czerwono, bo większa część farby już się złuszczyła.

Nagle zdał sobie sprawę, co się tutaj mieści.

– To remiza? – zapytał.

– Dawniej była tu remiza, ale straż się stąd wyniosła, kiedy bunkier przykryto betonową kopułą. Przynajmniej tak mi mówiono, kiedy byłam mała.

– A teraz co się tu mieści?

W tej samej chwili rozległ się donośny warkot silnika motocyklowego. Po nim następny i jeszcze jeden.

– Klub harleyowców – odparła Cole. – Którego Dickie Strauss jest członkiem. Nazwali go Xanadu, chociaż część z nich pewnie nawet nie wie, co to znaczy¹. Niemniej klub pomaga utrzymać większość z tych chłopców z dala od kłopotów.

– Treadwell też należał do klubu? Miał harleya. To właśnie stąd pochodzą te duże tatuaże na całe przedramię.

– O tatuażach nic nie wiem. Zresztą nie każdy członek klubu ma taki.

– Ale dobrze byłoby wiedzieć, czy Dickie i Treadwell należeli do tego samego klubu.

– Dopiero co się dowiedzieliśmy, że to Dickie mógł być tym człowiekiem, który uciekał z domu Halversonów. Wcześniej nie miałam podstaw, by o cokolwiek go podejrzewać.

– Może cały gang motocyklowy był zaangażowany w zabójstwo Treadwella.

– To jest klub, Puller, nie żaden gang. Większość członków to starsi faceci. Mają rodziny i rachunki do zapłacenia.

Zatrzymała radiowóz przed bramą dawnej remizy i oboje wysiedli. Przez otwarte drzwi Puller zobaczył stojący na jednym stanowisku stary wóz strażacki na sparciałych oponach, z nieodzownym bosakiem przytwierdzonym do boku. Wzdłuż obu ścian ciągnęły się drewniane szafki, w nich walały się stosy sprzętu przeciwpożarowego.

Na drugim stanowisku stało kilka okazałych harleyów. Puller szybko naliczył pięciu ludzi, przy czym dwóch siedziało na motocyklach i grzało silniki,

pozostali tylko kręcili się wokół swoich maszyn.

– Jak to możliwe, że żaden z tych facetów o tej porze nie pracuje?

– Pewnie dlatego, że nie mogą znaleźć pracy.

– Więc tak po prostu wypalają benzynę, żeby się spotkać i pogadać?

– Większość tych motocykli ma po dwadzieścia lat, Puller. Nikt nie jeździ na nich dla szpanu. Znam większość tych ludzi. Naprawdę ciężko pracują. Ale co mają robić, kiedy nie ma pracy? Stopa bezrobocia w naszym okręgu wynosi prawie dwadzieścia procent, a ci ludzie przynajmniej ciągle szukają zajęcia. Wiele osób już dawno zrezygnowało.

– Tu zostawiają swoje maszyny?

– Czasami tak. Czemu pytasz?

– Powiedziałaś, że mieszkańcy tego osiedla to hieny.

– Owszem, ale nikt nie ośmieli się ruszyć motocykli należących do członków klubu.

– Dlaczego?

– Bo harleyowcy im pomagają.

– W jaki sposób?

– Organizują zbiórki żywności i koców, angażują niektórych do drobnych zajęć, kiedy sami mają pracę i brak im czasu. Większość członków klubu może się pochwalić umiejętnościami mechaników, hydraulików, elektryków czy stolarzy. Jak mówiłam, oni ciężko pracują. W tej okolicy chodzą po domach i naprawiają różne rzeczy za darmo.

– Gromadka dobrych samarytan?

– No właśnie, i to tutaj, w Drake.

Ruszyli spękanym betonowym podjazdem w kierunku bramy remizy. Mężczyźni przy motorach odwrócili głowy. W tej samej chwili z zaplecza wyszedł Dickie Strauss i wycierał zatłuszczone ręce w brudną szmatę.

– Hej, Dickie! – zawołała Cole. – Chcemy z tobą porozmawiać!

Tamten odwrócił się i pognał biegiem na tył budynku.

– Hej! Zaczekaj! – krzyknęła Cole. – Chcemy tylko porozmawiać.

Puller w kilku susach znalazł się w środku.

Dwóch facetów oderwało się od swoich motocykli i zastąpiło mu drogę. Obaj, wyraźnie starsi od niego, byli zbudowani jak wielkie hydranty, mieli na głowach jaskrawe opaski i miny świadczące o dużej pewności siebie.

Odnaczali się wielkimi dłońmi i imponującym umięśnieniem ramion, świadczącym wyraźnie o ciężkiej pracy fizycznej dla zapewnienia sobie codziennego utrzymania.

Pokazał im swoją odznakę.

– Z drogi. I to już.

– To posesja prywatna – odparł hardo jeden z nich. – Pokaż nakaz rewizji wydany przez sędziego.

– Przepuście go – rzuciła Cole.

Puller starał się nie stracić z oczu uciekającego Dickiego, ale zarazem mieć baczenie na tych dwóch z opaskami.

– Muszę z nim porozmawiać – powiedział łagodnie. – Tylko porozmawiać, nic więcej.

– Ale i tak musisz mieć nakaz.

– To jest opuszczona remiza.

– Naprawdę wygląda na opuszczoną, durniu? – zapytał drugi.

Cole miała już sięgnąć po pistolet, gdy pierwszy z opaską położył rękę na ramieniu Pullera. Sekundę później leżał twarzą w dół na betonowej podłodze. Jego osłupiała mina świadczyła dobitnie, że nie ma pojęcia, jak się tam znalazł. Drugi mężczyzna krzyknął i szerokim sierpowym zamachnął się na Pullera. Ten złapał go za rękę, szarpnął nią w dół, wykręcił do tyłu i po chwili napastnik wylądował obok kumpla na posadzce. Chciał wstać, lecz Puller ostrzegł:

– Jak się ruszysz, obaj traficie do szpitala. Jednakże wcale mi na tym nie zależy. To nie wasza sprawa.

Obaj błyskawicznie znieruchomieli.

Puller zdążył się wyprostować, gdy zza załomu ściany wyłonił się wielki przyjaciel Dickiego, Frank. Nos miał zabandażowany, a oczy podbite po spotkaniu z Pullerem. Trzymał w rękach długą deskę.

– Rewanż! – warknął.

Wziął szeroki zamach, gdy niespodziewanie huknęło, kula świsnęła mu koło głowy i odłupała kawał deski, którą impet wystrzału wyszarpnął mu z rąk.

Frank, Puller i harleyowcy obejrzeni się na Cole. Jej cobra była teraz wymierzona w podbrzusze Franka.

– Wybór należy do ciebie – burknęła sierżant. – Chcesz mieć dzieci czy nie?

Frank cofnął się szybko, groteskowo zasłaniając rękoma przyrodzenie.

Puller przemknął obok niego do tylnego wyjścia.

Zza rogu wyskoczył z rykiem silnika mały motocykl motocrossowy i wykręcił prosto na niego. Na szczęście Dickie znalazł chwilę, żeby założyć kask, bo w przeciwnym razie Puller musiałby naprędce obmyślić inny plan działania.

Wyciągnął swojego M11, w ciągu dwóch sekund namierzył cel i przestrzelił tylną oponę. Motor szarpnął w bok, Dickie spadł na beton, a wirująca maszyna zatrzymała się dobre dziesięć metrów od niego.

Po kilku sekundach Puller szarpnięciem podniósł go na nogi.

– Mogłeś mnie zabić! – wrzasnął Dickie.

– Gdybym przestrzelił ci przednią oponę, przeleciałbyś nad kierownicą i wylądował na głowie. A tak tylko podrapałeś sobie tyłek. Chociaż w twoim wypadku nie widzę specjalnej różnicy między tymi dwiema częściami ciała, bo nie sądzę, żebyś w głowie miał choć trochę mózgu.

Cole podbiegła do nich, chowając cokrę do kabury, i wycodziła Dickiemu prosto w twarz:

– Odbiło ci do reszty? Co ty wyczyniasz, do diabła?!

– Przestraszyłem się – wyjąkał chłopak.

– Naprawdę służyłeś w piechocie? – zdziwił się Puller. – Wiem, że w Pierwszej Dywizji przestrzegają wysokich standardów i wierzyć mi się nie chce, że wcielili takiego durnia w swoje szeregi.

– Idź do diabła! – warknął Dickie.

– Za to ty pójdziesz do więzienia – wtrąciła Cole.

– Za co?

– Po pierwsze, za próbę zabicia wojskowego oficera na służbie. Trafisz do federalnej paki, z której wyjdiesz dopiero w średnim wieku – odpowiedział mu Puller.

– Wcale nie próbowałem cię zabić.

– A jak określisz próbę przejechania mnie motocyklem?

– To ty chciałeś mnie zabić! – wrzasnął Dickie i zwrócił się do Cole. – Przestrzelił mi oponę. Mógłby mnie tym zabić.

– Cóż, nie wątpię, że miał cholernie dobry powód. Teraz powiedz, dlaczego zacząłeś uciekać. Chcieliśmy tylko porozmawiać.

– Ten facet już raz pobił Franka. Nie chciałem się znaleźć w jego zasięgu. To

wariat.

– Świetnie wiesz, że wygadujesz głupoty – odparła spokojnie Cole. – Dlaczego uciekałeś, Dickie?

Nie odpowiedział. Wbił wzrok w ziemię i oddychał szybko. Miał krew na łokciu, otartym po upadku na betonowy placyk.

– Dobra, jak wolisz.

Cole skuła go i odczytała mu jego prawa.

– Mój tata będzie bardzo wkurzony.

– Jestem pewna, że będzie – odparła. – Ale to twój problem. Jeśli zaczniesz gadać, ułoży się to dla ciebie dużo lepiej.

– Nic nie powiem. Chcę adwokata. Nic na mnie nie macie. Mój tata dobierze się wam do tyłków.

– Zabiłeś posterunkowego Wellmana? – zapytał Puller. – To by ci załatwiło bilet w jedną stronę za kratki na resztę życia. Aż żałuję, że w Wirginii Zachodniej nie ma kary śmierci.

Dickiemu ze złości krew uderzyła do twarzy.

Puller mówił dalej:

– Co powiesz na to, że znaleźliśmy naocznego świadka, który widział cię na tyłach domu Halversonów mniej więcej o tej porze, gdy zginął zastępca szeryfa, Wellman? Chwilę później sam widziałem, jak uciekasz z miejsca zbrodni.

Dickie odezwał się tak cicho, że ledwie dawało się go usłyszeć.

– Ależ to... Ten człowiek postradał zmysły... – Urwał nagle z taką miną, jakby miał zaraz zwymiotować.

– To ty tak uważasz – odparł Puller. – My mamy zeznania naocznego świadka. Poza tym mogę się założyć, że dotykałeś czegoś w tym domu. Bez trudu znajdziemy twoje odciski palców i próbki pozwalające wykryć twoje DNA. Już znaleźliśmy na miejscu zbrodni nieznane odciski palców i coś mi mówi, że będą się zgadzały z twoimi. Wtedy pożegnamy cię do końca życia.

– A z powodu drobnego wyczynu, na który się właśnie pokusiłeś – dodała Cole – mamy uzasadniony powód, żeby pobrać twoje odciski.

– Zresztą wcale nie musimy ich pobierać – wtrącił Puller. – Skoro byłeś w wojsku, to twoje odciski i próbki DNA są już w aktach.

– Nie macie prawa z nich korzystać – zaprotestował Dickie. – Mogą służyć wyłącznie do identyfikacji zwłok.

Puller uśmiechnął się.

– Nawet to sprawdziłeś? Ciekawe.

Dickie zaczerwienił się aż po czubki uszu.

– Nikogo nie zabiłem.

– Ale byłeś w domu? – zapytał Puller.

Chłopak rozejrzał się. Członkowie klubu stali zbici w gromadkę na tyłach remizy i obserwowali ich uważnie. Frank i tych dwóch, których Puller błyskawicznie sprowadził do parteru, rzucali mu szczególnie mordercze spojrzenia, ale nie ruszyli się z miejsca.

– Czy możemy gdzieś spokojnie porozmawiać? – zapytał Dickie.

– To pierwsze rozsądne słowa, jakie padły z twoich ust od chwili, kiedy cię poznałem – odrzekł Puller.

Dickie usiadł na tylnej kanapie radiowozu Cole, a Puller obok niego. Chłopak z miną skazańca wiezionego na egzekucję odwrócił głowę i popatrzył za okno. Puller spojrział na niego, próbując odgadnąć jego myśli. Mógł zacząć zadawać pytania, ale tego nie zrobił. Chciał Dickiemu dać trochę czasu na przemyślenie wszystkiego. Człowiek winny w takiej chwili próbował stworzyć ciąg kłamstw mających ukryć jego winę. Człowiek niewinny był tylko zaniepokojony, pełen obaw, że jego wyjaśnienia zostaną źle odczytane. Starł się obmyślić najlepszy sposób udowodnienia swojej niewinności. Ale osoba niewinna tylko po części, za to winna niektórych zarzutów, podejmowała bardziej skomplikowany proces myślowy. Puller zaliczył Dickiego Straussa właśnie do tej grupy.

– Jeśli zabierzemy cię na komendę – oznajmiła Cole ze swojego miejsca za kierownicą – całe miasto będzie o tym wiedziało już po pięciu sekundach.

– Czy możemy więc pojechać gdzie indziej?

– Co powiesz na mój pokój motelowy? – zaproponował Puller. – Wiesz, gdzie zamieszkałem, prawda? Miałaś mnie na oku, co nie?

– Powiedzmy – burknął ponuro Dickie.

Dotarli do motelu. Z dala od ciekawskiego wzroku chłopaka Puller dyskretnie sprawdził wszystkie zastawione pułapki, ale nie znalazł śladów włamania. Chłopak usiadł na łóżku. Cole w fotelu naprzeciwko niego. Wcześniej zdjęła mu kajdanki. Puller stanął zwrócony plecami do ściany.

– Słyszałem, że pomógł pan Louisie – zaczął Dickie. – To było miłe z pańskiej strony.

– Ale i tak zmarła. Lepiej skoncentrujmy się na tobie.

– Ile z tego musi wyjść na światło dzienne? – zapytał młody Strauss.

– To zależy, co masz do powiedzenia – odparła Cole. – Jeśli zabiłeś Larry’ego, to wszystko wyjdzie na jaw.

– Już mówiłem, że nikogo nie zabiłem. – Dickie mimowolnie kurczowo zacisnął pięści. Wyglądał jak mały chłopiec, chociaż miał tatuaż zakrywający całe przedramię. Puller mógł sobie nawet wyobrazić, że zaraz wpadnie w histerię i rzuci się na podłogę jak dziecko.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie możemy uwierzyć ci na słowo – powiedziała Cole. – Musisz to udowodnić.

Dickie spojrzał na Pullera.

– Zaglądał pan do moich akt wojskowych?

Ten pokręcił głową.

– Jak mówiłem, ja i wojsko nie za bardzo przypadliśmy sobie do gustu. Ale nie miało to nic wspólnego z moją zdolnością do służby. Naprawdę byłem dobrym żołnierzem. Nie ma w moich aktach ani jednego złego wpisu. Byłem gotów odsłużyć cały regulaminowy okres, gdybym tylko miał taką możliwość. Nawet mi się podobało. Miałem fajnych kumpli. Chciałem służyć mojej ojczyźnie. Ale wybór nie należał do mnie. Nie chcieli kogoś takiego w swoich szeregach.

Puller zamyślił się nad tym, co usłyszał. Kiedy podniósł wzrok na chłopaka, nagle zrozumiał, co się naprawdę stało.

– O nic nie pytaj i nic nie mów – mruknął.

Dickie wbił spojrzenie w podłogę i skinął głową.

– Chodzi o politykę wojska wobec gejów? – zapytała Cole, patrząc na Pullera.

– Która sprawdza się jedynie w teorii, dopóki fakt pozostaje tajemnicą – wyjaśnił. – Jak ty nic nie powiesz, to o nic nie będą pytać. Lecz gdy wyjdzie na jaw, wypadasz z gry. – Spojrzał na Dickiego. – Więc co się stało?

– Ktoś mnie podkablował. I znalazło się kilka zdjęć ukazujących mnie i paru moich kumpli. Do diabła, dzisiaj nikt by nawet na to nie spojrzał na YouTube. Ale wtedy armia jeszcze trzymała kurs.

– Dostałeś ultimatum?

– Bez chwili do namysłu. Powiedzieli, że jeśli nie zgodzę się na bezwarunkowe zwolnienie ze służby, sprawy przybiorą paskudny obrót.

– To mnie wcale nie dziwi.

– Czy twój ojciec wie, że jesteś gejem? – zapytała Cole.

Dickie uśmiechnął się kwaśno.

– A jak sądzisz, dlaczego wstąpiłem do wojska zaraz po skończeniu liceum? Mój stary myślał, że służba mnie wyleczy.

– W porządku, zatem jesteś gejem – rzekł Puller. – To twoja sprawa i na pewno nie jest przestępstwem.

– Dla niektórych jest. Szczególnie tutaj.

– No cóż, my nie należymy do tych niektórych – zauważyła Cole.

– Wróćmy do sprawy posterunkowego Wellmana – rzekł Puller. – Po co byłeś w tamtym domu?

– Przyjaźniłem się z Larrym.

Cole odchyliła się na oparcie fotela, oczy jej się rozszerzyły.

– Chyba nie poszedłeś tam, żeby...? Przecież Larry był żonaty, miał rodzinę. Pilnował odrażającego miejsca zbrodni...

– To nie tak – odparł szybko Dickie. – Wygłupialiśmy się przed maturą, ale Larry był heteroseksualny. Nie zamierzaliśmy tam uprawiać seksu.

– Więc po co poszedłeś do domu? – powtórzyła stanowczo Cole.

Dickie nerwowo potarł dłonie. Puller już wcześniej zwrócił uwagę na kropelki potu na jego skórze, które nie mogły być wynikiem działania klimatyzatora ledwie zdolnego przedmuchać nieco nagrzanego powietrza z jednego końca pokoju w drugi.

– Chciałem zobaczyć, co tam się stało.

– Dlaczego?

– Bo zginęło sporo ludzi. Po prostu chciałem to zobaczyć.

– I Wellman wpuścił cię do środka? – zdziwiła się Cole. – W to nie uwierzę.

– Nie wpuścił.

Cole zrobiła zdziwioną minę.

– Teraz już nic nie rozumiem. Weź głęboki oddech i zacznij od początku, dobrze?

– Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że chcę tylko rzucić na to okiem. Było jasne, że robi to wbrew sobie.

– To przecież oczywiste – syknęła Cole. – Mógłby wylecieć ze służby, gdybym się o tym dowiedziała. Twoja obecność w domu mogła wpłynąć na ślady pozostawione na miejscu zbrodni.

– Ale obiecał, że wpuści cię do środka? – zapytał Puller.

– Powiedział, żebym przyszedł, to coś pokombinuje, może pozwoli mi spojrzeć na pewne rzeczy, pokaże zdjęcia.

– Nie do wiary – mruknęła Cole.

Puller uciszył ją, podnosząc rękę. Nie spuszczał wzroku z chłopaka.

– Mów dalej, Dickie.

– No więc pojechałem tam.

– I go zabiłeś? – nie wytrzymała Cole.

– Mówiłem już, że go nie zabiłem.

– No to co się stało? – zapytał Puller.

– Nie było go przed domem. Zniknął też jego samochód. Pomyślałem, że zrobiło mu się niedobrze albo po prostu stchórzył. Ale zaraz przyszło mi do głowy, że nie mógł tak po prostu zostawić miejsca zbrodni bez nadzoru. Oglądałem w telewizji seriale kryminalne, to znam się na tym trochę.

– Oczywiście. Masz rację. Nie można tak postępować – przyznał Puller. – I co zrobiłeś?

– Zadzwoiłem do niego na komórkę. Ale nie odbierał.

– Która to była godzina? – przerwał mu Puller.

– Nie pamiętam dokładnie. Gdzieś koło czwartej.

– Mów dalej.

– Przeszedłem na tył domu. Kuchenne drzwi były uchylone. Otworzyłem je szerzej. Zawołałem, żeby sprawdzić, czy Larry’ego nie ma gdzieś w środku. Ale nie odpowiedział. Byłem przerażony.

– Lecz mimo to wszedłeś głębiej. Dlaczego? – zapytał Puller.

– Pomyślałem, że Larry’emu mogło się coś stać. W końcu powiedział, żebym przyjechał, a sam zniknął. Martwiłem się o niego.

– Gówno prawda. Chciałeś zobaczyć trupy.

Dickie obejrzał się na niego, marszcząc brwi, ale z jego miny nie dało się wyczytać złości.

– Masz rację, tak było. Przyszło mi do głowy, że Larry został odwołany do jakiegoś pilniejszego zadania. Dlatego przed domem nie było samochodu. Tak czy owak, wszedłem do środka. – Zawahał się i pobladł wyraźnie, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Widziałeś trupy – zagadnął Puller.

Chłopak powoli skinął głową.

– I będę je teraz oglądał w moich w koszmarach sennych aż do śmierci.

– Bardzo poetyckie – zauważyła ironicznie Cole.

– Co było dalej? – zapytał Puller.

– Miałem już wyjść, kiedy usłyszałem jakiś dziwny hałas dobiegający z piwnicy.

– Jaki hałas? – rzekł Puller w napięciu, bo od tej odpowiedzi wiele zależało.

– Coś jak pisk, jakby ktoś coś rozciągał.

Puller rozluźnił się.

– Rozumiem. Co dalej?

– Miałem przy sobie nóż. Otworzyłem drzwi piwnicy i zawołałem. Pomyślałem, że może Larry tam coś robi, a nie chciałem, żeby mnie zastrzelił. Ale nie odpowiedział.

– Więc zszedłeś do piwnicy w domu pełnym trupów w środku nocy, bo usłyszałeś dziwny hałas? Wiesz co? Nadajesz się nie tylko do filmów dokumentalnych odtwarzających różne przestępstwa, ale nawet do fabularnych horrorów w rodzaju *Halloween* czy *Piątek trzynastego*. Nie powinieneś być w ogóle zaglądać do tej cholernejszej piwnicy, Dickie.

– Ale zszedłeś na dół – dodał Puller. – I co dalej?

– Tam zobaczyłem Larry’ego. Wisiał pod sufitem.

– Upewniłeś się, że nie żyje? – zapytała ostro Cole. – Czy też podkuliłeś ogon i uciekłeś, zostawiając go na pastwę losu?

– Nie żył – powiedział chłopak. – Widziałem samobójców w wojsku. Dlatego sprawdziłem puls, zajrzałem mu w oczy. – Urwał, a po chwili powtórzył z wysiłkiem: – Nie żył już.

– I co zrobiłeś? – zapytał Puller.

– Zwiąłem. Wybiegłem kuchennymi drzwiami i pogałem do lasu.

– Przez cały czas biegłeś? – zapytał Puller znowu spiętym głosem.

Dickie zaczerpnął głęboko powietrza.

– Nie. Zatrzymałem się w końcu... Ogarnęły mnie mdłości, myślałem, że się porzygam. Dlatego przykucnąłem w lesie. Siedziałem pod drzewem może dziesięć minut. Wreszcie wziąłem się w garść. I wtedy usłyszałem podjeżdżający samochód. Pomyślałem, że to policja albo...

– Wrócił ten, kto zabił Larry’ego? – dokończył za niego Puller.

Dickie przytaknął ruchem głowy.

– Jeśli tak, to chciałem zobaczyć sukinsyna, żeby potem zgłosić go na policji.

– Albo ją – wtrąciła Cole. – Przecież to mogła być kobieta.

Dickie wskazał palcem Pullera.

– Ale to byłeś ty. Widziałem, jak wchodzisz do środka. Nie wiedziałem jeszcze, kim jesteś, do cholery. Ale potem zobaczyłem odznakę na marynarce.

CID. Wiedziałem, co to oznacza. Larry wspominał, że zabity mężczyzna był wojskowym. To wyjaśniało, co tam robisz po nocy.

– A potem? – zapytał Puller.

– Chwilę później usłyszałem drugi samochód. – Wskazał na Cole. – Tym razem to byłaś ty. Wtedy pobiegłem dalej.

– A ja właśnie wtedy zobaczyłem cię przez okno – odrzekł Puller. Spojrzał na Cole i dodał: – Jego relacja zgadza się z tym, co do tej pory ustaliliśmy.

Ta skinęła głową i spojrzała na Dickiego.

– Nie byłoby źle, gdybyśmy wiedzieli to wcześniej. Powinnam cię aresztować za zatajanie dowodów rzeczowych.

– I za zwykłą głupotę – dodał Puller. – Zatem ty i Eric byliście przyjaciółmi?

– Słabo go znałem. Należał do Xanadu. – Podniósł rękę. – Już mówiłem, że tatuaż zrobiłem sobie na wzór jego.

– Gdy wchodziłeś tamtej nocy do domu Halversonów, wiedziałeś, że mieszkający po drugiej stronie ulicy Eric i Molly również nie żyją?

– Oczywiście, że nie.

Puller odczekał chwilę, żeby ta odpowiedź zawisła w powietrzu.

– Tyle tylko, że martwiłem się o niego.

– Z jakiego powodu?

– Z takich tam.

– Takie tam nazywają się jakoś?

Dickie wzruszył ramionami.

– Z żadnych konkretnych, które dałoby się wysławić.

– Znasz powód, dla którego Eric i Molly postanowili zdobyć wyniki analiz próbek gleby? – wtrąciła Cole.

– Analizy próbek gleby? Nie mam pojęcia.

– A co wiesz o wytwórni amfetaminy? – zapytał Puller.

– Eric nie zażywał amfetaminy.

– Rozumiem, ale może produkował ją na sprzedaż?

Dickie nie odpowiedział od razu.

– Myślę, że i tak będę potrzebował adwokata.

– Myślisz czy wiesz na pewno? – zapytał Puller, na co Cole obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

Ten odepchnął się od ściany i stanął nad chłopakiem.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Dickie. Przekonajmy się, jak to wpłynie na twoją postawę. Odważysz się spędzić kilka minut na szczerej rozmowie?

Cole wtrącała szybko:

– Przecież powiedział, że chce adwokata...

Puller rzucił jej ostre spojrzenie i natychmiast zamknęła usta. Odwrócił się ponownie do Dickiego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Wysłuchaj mnie. Co masz do stracenia? Wojsko dało ci kopa w dupę. Zostałeś zmuszony do rezygnacji ze służby, chociaż wiemy, że chciałeś służyć. Teraz masz drugą szansę, żeby zrobić coś dla ojczyzny.

Dickie wymamrotał:

– Dobrze. Wysłucham.

64

Puller błyskawicznie przysunął sobie krzesło i ustawił je na wprost Dickiego. Kiedy usiadł, jego kolana prawie dotykały kolan chłopaka.

– Zdradzę ci pewne ściśle tajne informacje, Dickie, ale w zamian chcę dostać coś od ciebie. Bo jesteś patriotą, prawda? I chcesz pomóc swojej ojczyźnie?

– Tak samo jak każdy. Sam pan powiedział, że nadal służyłbym w wojsku, gdyby nie wylali tego gówna na mnie.

– Zgadza się. Masz rację. Służyłem zarówno z gejami, jak i heteroseksualistami. Nie stanowiło to dla mnie żadnej różnicy, dopóki trafiali w cel, do którego mierzyli, i osłaniali mnie, kiedy tego potrzebowałem.

Dickie rozluźnił się wyraźnie.

– Więc o co chodzi?

– Drake ma poważne kłopoty, Dickie. Szczerze mówiąc, sprawa jest bardzo poważna. Weź pod uwagę, ile osób już zginęło, w tym także twoi przyjaciele.

– Wiem.

– Ale nie chodzi nawet o tych ludzi. Agenci federalni podejrzewają, że dzieje się tu coś niedobrego. Bardzo niedobrego.

– W Drake? – zapytała Cole, najwyraźniej zaskoczona tą wiadomością.

– Jak bardzo? – zapytał Dickie.

– Gdybym wiedział, nie byłoby problemu. Ale nie wiem. Lecz jeśli sytuacja się nie zmieni, wszyscy będziemy mieli przerąbane, to chyba rozumiesz, prawda?

Dickie przytaknął.

– Tak, myślę, że tak.

– Wiedziałem, że jesteś bystry. Wszyscy zmechanizowani muszą tacy być. O wielu rzeczach trzeba pamiętać, kiedy się używa takich skomplikowanych maszyn. Mnie wystarczyło się troszczyć o swoją broń i rzeczy osobiste. Wy kręciliście się po terenie w trzydziestotonowych pojazdach.

– Tak właśnie było. Ja jeździłem bradleyem. A nawet cholernym starym abramsem. I nie narzekałem.

– W to nie wątpię. Niech wojsko żałuje. „O nic nie pytaj”, to też gówno

warte hasło.

– Cholerna racja – zgodził się Dickie.

– Tak więc zbliża się coś wielkiego. Ludzie giną, fakty nie pasują do siebie. Z Drake wychodzi dziwna paplanina, którą przechwytyją uszy służb federalnych. A zatem potrzebuję od ciebie czegoś, co jest określane jako HUMINT. Na pewno wiesz, co to jest, prawda?

– Oczywiście. Ludzka inteligencja.

– Ale tu, w terenie, w Drake. Wiesz o wielu rzeczach. Znasz ludzi. Zwłaszcza tych, którzy utrzymywali bliskie kontakty z Erikiem i Molly. Twój stary pracuje dla Trenta.

– Myślisz, że Roger Trent jest w to zamieszany? – zapytał nagle Dickie.

– Nie wiem, kto jest zamieszany, a kto nie. Dlatego potrzebuję twojej pomocy. Jesteś na to gotów?

– Czego dokładnie chcesz ode mnie?

– Słuchaj. Odwiedzaj różne miejsca. Przebywaj wśród ludzi. I tylko słuchaj. Ale się z tym nie afiszuj. Nie baw się w detektywa. Chcę, żebyś zachowywał się tak samo jak zawsze, tylko reagował nieco inaczej. Właśnie słuchał, zwracał uwagę na różne rzeczy. Jak coś ci się wyda dziwne, zapamiętaj szczegóły i skontaktuj się z nami. Jasne?

Dickie już wcześniej zaczął kiwać głową.

– Jasne. Oczywiście.

Puller wręczył mu wizytówkę.

– Tu masz moje dane kontaktowe. Zakładam, że wiesz, jak się skontaktować z sierżant Cole.

Wstał.

– To wszystko? – zapytał chłopak. – Mogę iść?

– Na nic się nie przydasz, jeśli będziesz dalej siedział w moim pokoju. Potrzebuję cię tam, na mieście. Dostajesz szansę, żeby znowu służyć ojczyźnie, chociaż wcześniej cię odrzuciła.

Dickie wstał, spojrzął na Cole, po czym wyciągnął rękę do Pullera.

– Mało spotkałem w życiu ludzi gotowych dać mi podobną szansę.

– Ja nie jestem taki, jak większość ludzi.

– Wygląda na to, że źle cię oceniałem.

– Sądzę, że my tak samo źle myśleliśmy o tobie – wtrąciła Cole.

– Podrzucić cię dokądś? – zapytał Puller.

– Nie, dam sobie radę.

Kiedy wyszedł, Cole burknęła:

– Możesz zdradzić, dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, że w Drake ma się wydarzyć coś poważnego?

– Bo takie dostałem polecenie. Dopiero teraz postanowiłem zlekceważyć rozkazy.

– Z czego wynikają te obawy?

– Z rozmowy telefonicznej przechwyconej przez NSA. Prowadzonej w dari. Nadchodzi sprawiedliwość. Cokolwiek ma się zdarzyć, stanie się niedługo.

– W dari? Co to jest, do cholery?

– Dialekt używany w Afganistanie.

– W Afganistanie? I ktoś mówił w tym języku z Drake?

– Na to wygląda. A przynajmniej z okolicy miasta. Nie udało się ustalić dokładnej lokalizacji. Do tego rozmowa była zakodowana starym szyfratorem KGB. I odbyła się zaraz po zabójstwach. W DHS wszystkim podskoczyło ciśnienie krwi.

– Co jeszcze wiesz?

– Niewiele, tego możesz być pewna. Wiesz co? Dickie nie wyjaśnił jednej rzeczy.

– Jakiej?

– Jak się dostał do domu Halversonów w środku nocy? Nie przyjechał samochodem, bo żaden wóz nie stał przed domem. A potem uciekł do lasu. I pobiegł jego skrajem. Nadrobił mnóstwo drogi, żeby wrócić do miasta.

– To prawda.

– Skomplikowany facet. Kto by pomyślał?

– Myślisz, że wie coś więcej?

– Myślę, że znalazł się między młotem a kowadłem. Jest zaangażowany w coś, co wolałby zachować przed nami w tajemnicy. Ale nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z tamtą rozmową telefoniczną.

– Za to ja nie wiem, czemu go zwerbowałeś do pomocy. Zwłaszcza że sam przyznajesz, iż twoim zdaniem jest zaangażowany w coś niezgodnego z prawem.

– Umiem czytać z ludzkich twarzy. Zwłaszcza żołnierzy, nawet jeśli już nie

służą w wojsku. I instykt mi podpowiada, że Dickie chce nam pomóc. Sądzę, że poszedł w środku nocy do domu Halversonów, bo coś podejrzewał. Albo kogoś. A na tej podstawie wywnioskowałem, że chciałby dostać jeszcze jedną szansę udowodnienia, że wojsko popełniło wielki błąd, usuwając go ze służby. Więc taką szansę mu dałem.

– Jeśli teraz zginie, koszty drugiej szansy będą ogromne.

– Zwykle są ogromne w wypadku drugich szans. Ale w większości sytuacji ryzyko się opłaca.

– Sądzisz, że gdy wybrał się do Halversonów, wiedział już, że po drugiej stronie ulicy Treadwell i Bitner nie żyją?

– Niewykluczone, że wiedział. Sądzę, że próbował się dodzwonić, ale nikt nie odbierał. Może najpierw próbował się dostać do ich domu, ale po ciemku nic nie wskórał. A przez okna nie było widać leżących w środku trupów. I nie było śladów włamania.

– Pozostaje pytanie, co naprawdę łączyło go z Treadwellem? Bo nie tylko klub harleyowców. On wyraźnie się boi.

– Zamordowano siedem osób. Trudno się nie bać. Tak samo powinni bać się wszyscy.

65

Cole odjechała, żeby zająć się jakąś papierkową robotą na komendzie. Umówili się na późniejsze spotkanie. Puller także wyruszył spod motelu. Trzy minuty później wjechał na parking, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

Rozmówca rzucił krótko:

– Mason.

– Agencie Mason, tu John Puller.

Doleciało go skrzypnięcie krzesła, gdy tamten prawdopodobnie rozsiadł się wygodniej. Dookoła toczyło się normalne życie, lecz Mason pracował na okrągło, przez siedem dni w tygodniu, żeby utrzymać demony pod kontrolą.

– Cieszę się, że dzwonicz. Rozszyfrowaliśmy drugi fragment rozmowy i zdobyliśmy pewne dane, które w zestawieniu ze sobą każą nam umieścić tego palanta na wyższym poziomie.

– Myślałem, że już trafił na dostatecznie wysoki. Co to za nowe informacje?

– W tym drugim rozszyfrowanym kawałku rozmowy w dani znowu było bredzenie o potężnym dobrym Allahu, które nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia. Za to wrażenie zrobiły liczby.

– Jakie liczby?

– Data, Puller. Podali nam konkretną datę, a przynajmniej tak się nam wydaje.

– Co to za data?

– Na pewno ci się nie spodoba, jak nie spodobała się mnie. Za trzy dni.

– Wspomniałeś też o jakichś dodatkowych informacjach. Na ich podstawie można wyrobić sobie przynajmniej jakieś zdanie o tym, co planują?

– Owszem, to chociaż się ostatecznie wyjaśniło. I to jest jeszcze bardziej przerażające. Chodzi o gazociąg biegnący w pobliżu Drake, przez północno-zachodnią część okręgu.

– Rozumiem.

– W ogóle nie wzięliśmy tego pod uwagę. Rzecz jasna, gazociągi to oczywiste cele, ale niezbyt popularne, bo przyczyniają się do stosunkowo niewielkich strat w ludziach. Ten rurociąg dostarcza gaz ziemny do trzech

stanów, oczywiście do Wirginii Zachodniej, poza tym do Kentucky i Ohio. Jest własnością firmy kanadyjskiej, ale zarządza nim spółka amerykańska. Trent Exploration. Z tego, co mi mówiłeś, masz jakieś dojścia do Rogera Trenta, zgadza się?

– Tak, mam. – Puller myślał gorączkowo. – Myślisz, że ktoś w firmie Trenta jest w to zaangażowany?

– Na tym etapie nie wykluczam żadnej ewentualności.

– Tylko co można zyskać na uszkodzeniu gazociągu? Nawet gdyby go wysadzili, jak dużo szkód mogliby spowodować? Sam powiedziałeś, że miałyby ograniczoną skalę.

– Szkody strukturalne mogłyby być nawet poważne, ale do pokonania. Oczywiście doszłoby do przerwy w dostawach gazu, ale to mało podnieca terrorystów. Zdecydowanie bardziej od gospodyń domowych narzekających na niemożność użycia kuchenek gazowych wołą zakrwawione ludzkie szczątki zwisające z drzew. Poza tym w tamtym rejonie jest wiele firm gotowych przystąpić do natychmiastowej naprawy gazociągu i szybko przywrócić dostawy.

– Jasne. Tak więc pierwszym celem jest gazociąg.

– Ale naszym zdaniem to nie koniec. – Mason umilkł, a Puller zaczął sobie wyobrażać, jak dobiera słowa. – Jaka jest najbardziej popularna taktyka bojówek talibów w Afganistanie? Powinieneś to wiedzieć lepiej od nas.

Owszem, to wiedział aż za dobrze.

– Odwrócenie uwagi przed właściwym atakiem. Jedna bomba ma na celu ściągnięcie jak największej liczby przeciwników, a dopiero druga ma ich zabić.

– Zgadza się, tyle że w tym wypadku chcą chyba zastosować wariant tej strategii. W każdym razie naszym zdaniem atak na gazociąg ma służyć głównie odwróceniu uwagi.

Puller poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku.

– Więc co jest prawdziwym celem?

– Jeżeli nastąpi eksplozja gazociągu, w to miejsce natychmiast zjadą się służby ratownicze nawet z odległości stu kilometrów. Nie opieramy się tylko na domysłach. Istnieje wzajemne porozumienie służb z tych trzech stanów o wspólnej naprawie gazociągu w wypadku uszkodzenia. Wszystkie służby są zobowiązane do przestrzegania tego porozumienia.

– Jasne.

– Tamte rejony są gęsto zalesione – ciągnął dalej Mason. – A o tej porze roku w lasach jest sucho jak diabli. Można się spodziewać gigantycznego pożaru obejmującego trzy stany i zasilanego potężnym strumieniem gazu ziemnego, przynajmniej do czasu zakręcenia kurka. Jak już mówiłem, zakłócenia w dostawach mogą być bardzo dotkliwe. Gazem z tego rurociągu jest zasilanych setki tysięcy domów. Nie wiadomo, kiedy będzie można go uruchomić ponownie, zwłaszcza wobec szalejących wszędzie pożarów.

– To rzeczywiście groźna perspektywa, ale jak sam się wyraziłeś, nadal mało podniecająca dla terrorystów. Zatem powtórzę: co jest głównym celem? – odrzekł Puller. – Z definicji powinien być dużo istotniejszy od celu pozorowanego.

– Sześćdziesiąt kilometrów od gazociągu znajduje się mała elektrownia atomowa zasilająca sieć ogólnokrajową.

Puller wziął głęboki oddech.

– Myślisz, że to jest ich cel?

– To jedyny obiekt w okolicy wart takiego wysiłku, przynajmniej według nas.

– Jak mogą zaatakować elektrownię?

– Jej ochrona wydaje się dosyć solidna. Ale nie możemy sobie pozwolić na to, by dowiedzieć się poniewczasie, że jednak istniały w niej luki. Gdyby jednak zdołali ją opanować i jakimś sposobem wysadzić reaktory, skutki byłyby katastrofalne. Radioaktywna chmura w ciągu kilku dni objęłaby wiele okolicznych stanów. A biorąc pod uwagę, że większość służb ratowniczych byłaby zajęta gaszeniem pożarów i usuwaniem skutków wysadzenia gazociągu, doszłoby do prawdziwej katastrofy.

– No to wzmocnijcie zawczasu ochronę elektrowni.

– Istnieją uzasadnione obawy, że tamci mają w niej swoich ludzi. Można to wywnioskować z tej drugiej informacji, o której wspominałem.

– I nie możecie sprawdzić, kto to jest?

– Przez trzy dni prawdopodobnie nie zdążymy. Więc gdybyśmy teraz wzmocnili ochronę...

– Ich wtyczka szybko by się dowiedziała – dokończył za niego Puller – ostrzegła swoich, a ci mogliby rozpocząć akcję przed wyznaczonym terminem. To samo dotyczyłoby gazociągu.

– Zgadza się. W pewnym momencie i tak będziemy musieli podjąć taką

decyzję i wzmocnić ochronę w obu miejscach. Ale najlepiej byłoby przyskrzynić tych łajdaków, zanim podejmiemy konieczną decyzję o wzmocnieniu ochrony.

– Konieczną? Joe, mamy tylko trzy dni!

– Uprzedzałem, że sytuacja jest nieciekawa.

– Od czasu przyjazdu do Drake nie widziałem tu ani jednego mieszkańca Bliskiego Wschodu.

– Cóż, podejrzewam, że nie wychylają niepotrzebnie nosa ze swojej kryjówki.

– Co ja mam robić w tej sytuacji? Jestem tu zupełnie sam.

– Rób dalej to, co robisz. Znajdź tych facetów, Puller.

– A jeśli nie zdążę na czas?

– Wtedy będę musiał pociągnąć za spust.

– A oni także pociągną za spust.

– Na to wychodzi. Ale na razie informuj mnie na bieżąco, ja też będę w kontakcie. – Zamilkł na krótko. – Żałuję, że nie mogę podesłać ci żadnego wsparcia, sądzymy jednak, że w ten sposób przedwcześnie byśmy się zdradzili.

– Tak, jasne. Mam tu drobne wsparcie.

– No, właśnie, sierżant Cole.

– Nie, faceta, niejakiego Dickiego Straussa. – Puller pokrótce wprowadził Masona w to, jak chłopak miał mu pomóc. – W ten sposób mam przynajmniej dodatkowe oczy w terenie. To były żołnierze.

– Jakoś nie jestem zachwycony tym, że wciągnąłeś w sprawę tego człowieka, Puller. Nic o nim nie wiemy.

– Nie miałem wyboru – odparł.

Usłyszał westchnienie Masona.

– Kiedy się z nim spotkasz? Zostało niewiele czasu.

– Mogę się z nim spotkać dziś wieczorem.

– Masz na to jakieś bezpieczne miejsce?

Puller zamyślił się na chwilę.

– Tak, mam. Klub o nazwie Xanadu.

Puller wysiadł z samochodu i ruszył do biblioteki miejskiej, która mieściła się w parterowym, pomalowanym na pomarańczowo budynku, dosyć obskurnym, architektonicznie pozbawionym smaku. Wszedł do środka, zadał dyżurnemu bibliotekarzowi kilka pytań i uzyskał potrzebne informacje. W sali głównej było kilka komputerów, wolał jednak zająć miejsce przy staroświeckim aparacie do ręcznego przeglądania fotograficznego archiwum prasowego. Sprawdził okres, który wydawał mu się najbardziej podejrzany, ale nie znalazł niczego ciekawego.

Wyszedł z biblioteki, gdy zadzwonił jego telefon. To była Kristen Craig, specjalistka medycyny sądowej z USACIL w Georgii.

– Mam dla ciebie wstępne wyniki analiz, Puller.

Usiadł w swoim samochodzie, wystawił twarz na strumień chłodnego powietrza z dmuchawy, po czym zapisał to, co usłyszał.

– Zrobiliśmy pospieszną analizę DNA w próbkach, które przysłałeś. Szukając elementów charakterystycznych, znaleźliśmy coś, co rzadko się spotyka w badanych łańcuchach DNA. Wysłaliśmy dane do sprawdzenia w bazie danych FBI. Powinno coś z tego wyniknąć.

– To wszystko?

– Zidentyfikowaliśmy przybitkę znaną w zwłokach pułkownika Reynoldsa. Pochodzi z myśliwskiego naboju kalibru dwanaście.

– Ustaliliście może producenta?

– Niestety nie.

– Dobra. Mów dalej.

– Patolog, który badał zwłoki, jest naprawdę dobry. Nasi chłopcy w zasadzie potwierdzili jego wnioski.

– Jasne. – Wyniki nie były bez znaczenia, lecz wolały usłyszeć coś, co pozwoliłoby mu naprawdę szybko wyjaśnić tę sprawę.

– Poza tym stwierdziliśmy coś dziwnego na pocisku kalibru dwadzieścia dwa, który nam przysłałeś.

– Co takiego?

– Musisz wiedzieć, że poprosiłam o potwierdzenie badania przez trzech różnych techników, bo chodzi o coś, czego nie znajduje się na co dzień na kuli wyciągniętej z czyjegoś mózgu.

– Nie trzymaj mnie w niepewności, Kristen.

– To była złota folia. Wirginia Zachodnia to kraina węgla, a nie złota, prawda?

Myśli Pullera powędrowały w stronę wielkiego domu Trenta.

– Cóż, dla niektórych tutejszych mieszkańców to jedno i to samo. Tylko skąd mogła się wziąć złota folia?

– No właśnie. Co prawda zaledwie mikroskopijny kawałek, ale potwierdziliśmy, że nie jest to nic innego. Nie umiem wyjaśnić, co to oznacza.

– Wywnioskowałaś coś z analiz gleby, które ci wysłałem?

– W sprawozdaniu nie ma żadnych zaskakujących wyników. Poziom uranu jest normalny, jak na rejon wydobywania węgla. Nie znalazłam niczego wykraczającego poza normę. Jeśli ktoś zginął z powodu tych wyników, to niech mnie diabli, jeśli wiem dlaczego.

– Mógłbym powiedzieć to samo. A co masz na temat laboratorium produkcji amfetaminy?

– Tu też sprawa wygląda ciekawie. Jesteś pewien, że to laboratorium produkcji amfetaminy?

– Wszystko mi na to wskazuje. Znalazłem tam rzeczy, które normalnie kojarzą się tylko z narkotykami.

– Być może, ale my znaleźliśmy też coś, co ani trochę nie pasuje do tej hipotezy.

– Co takiego?

– Węglik wolframu.

– Na czym go znaleźliście?

– Na niektórych butelkach i słoikach, częściach szklanej aparatury, gumowych węzłach. Było tego wystarczająco dużo, żeby wykluczyć śladową pozostałość na przedmiotach, na których nie powinno go być.

– Podejrzewasz więc, że mógł się znajdować na palcach Treadwella lub Bitner?

– Niewykluczone. Na wielu częściach znaleźliśmy odciski palców Treadwella.

– Więc nie chodzi raczej o substancję umieszczoną na nich celowo – podsumował Puller. – Dobrze wiedzieć.

– Podejrzewałeś, że mogła zostać celowo tam umieszczona?

– Nie. Ale bardzo lubię, gdy jakiś niezależny fachowiec potwierdza moje podejrzenia. A zatem mamy węgiel wolframu? Używa się go do produkcji niektórych specjalistycznych narzędzi przemysłowych, na przykład materiałów ściernych, jak również w pewnych wyrobach jubilerskich.

– Zgadza się. Jest twardszy i bardziej odporny od stali nierdzewnej i tytanu.

– Treadwell nosił sygnet. Czy to możliwe, że został pokryty węglikiem wolframu, który stamtąd przeniknął jakoś na jego palce?

– Wykluczone. Zbadaliśmy ten sygnet.

– Poza tym pracował w sklepie chemicznym. I miał harleya.

– To też nie wyjaśnia obecności tej substancji.

– Coś jeszcze?

– Mało ci? – zapytała Kristen.

– Nie przybliżyłaś mnie do żadnych wniosków.

– Ale przedstawiłam fakty. Sam musisz na ich podstawie znaleźć swoje odpowiedzi, kolego.

Przerwała połączenie. W zamyśleniu odłożył komórkę.

Istniało jeszcze jedno zastosowanie węgliku wolframu, o którym on, jako zawodowy żołnierz, doskonale wiedział. Używano tej substancji do wyrobu amunicji przeciwpancernej, zwłaszcza gdy trudno było o najszerszej stosowany w tym zakresie materiał, czyli zubożony uran.

Lecz jeśli Treadwell zaangażował się w produkcję takiej amunicji, nic innego w jego domu na to nie wskazywało. A jej produkcja wymagała nie tylko przestrzeni, lecz także specjalistycznego sprzętu. No i pieniędzy. Ponadto wielu surowców z tej samej ściśle obserwowanej przez agencje rządowe listy, na której znajdował się zubożony uran. Czy na pewno miłośnik harleyów, pracujący w sklepie z artykułami chemicznymi na zadupiu Wirginii Zachodniej, był do tego przygotowany? A jeśli udało mu się jakimś cudem wejść w taki interes, to dlaczego został zamordowany? Czyżby zginął dlatego, że jego mocodawcę nagle obleciał strach i postanowił za pośrednictwem Reynoldsa nawiązać współpracę z władzami?

Należało sprawdzić w miejscu pracy Treadwella, czy nie brakowało tam pewnych ilości węgliku wolframu, jeśli w ogóle mieli go na stanie. Bo jeśli tak,

dochodzenie mogło obrać zupełnie nowy kierunek. Puller zastanawiał się nad informacjami Masona. Jeśli cel terrorystów stanowił gazociąg oraz reaktor atomowy w elektrowni, ten typ amunicji mógł być wykorzystany do przedziurawienia rurociągu, a może też osłony reaktora. Jeśli tak, to by znaczyło, że Treadwell związał się z bojownikami dżihadu. Rodziło się zatem pytanie, jak to w ogóle było możliwe. Jak bojownicy z Bliskiego Wschodu mogli zorganizować tu operację terrorystyczną i nikt tego nie zauważył?

Następnie wrócił myślami do samego rurociągu, który należał do firmy kanadyjskiej, ale był zarządzany przez Trenta. Czyżby Trent współpracował z terrorystami? Czyżby został hojnie opłacony za umożliwienie im przeprowadzenia tego zamachu? Tylko z jakich powodów bajecznie bogaty i wpływowy potentat węglowy mógłby pójść na taką współpracę? Przecież wysadzenie w powietrze reaktora pobliskiej elektrowni atomowej skaziłoby promieniotwórczo wszystkie pokłady węgla w kopalniach Trenta.

Chyba że terroryści płacili mu więcej, niż były warte jego aktywa. To mogło także tłumaczyć pogróżki. I skrajne zdenerwowanie Trenta. Niewykluczone, że dotychczasowi „partnerzy w interesach” postanowili go nagle wyprowadzić w pole.

Puller zatrzymał malibu przy krawężniku. Zostały mu niecałe trzy dni na odkrycie prawdy. Dobrze wiedział, że szanse są nikłe. Ale włożył mundur po to, by służyć ojczyźnie. A służba była jego powołaniem. Nawet za cenę życia.

Kiedy zajechał przed motel około czternastej, na parkingu stał mercedes SL600. Za kierownicą siedziała Jean Trent. Silnik pracował na jałowym biegu, a klimatyzator głośno warczał. Puller zaparkował obok i wysiadł. Jean zrobiła to samo. Miała na sobie jasnożółtą, letnią tunikę bez rękawów, z głębokim dekoltem, a na ramionach kremowy sweterek pasujący odcieniem do spodni oraz pereł naszyjnika. Fryzurę i makijaż miała bez zarzutu. Stary motel wydawał się absurdalnym tłem dla tak wyrafinowanej elegancji.

– Chcesz wynająć pokój w motelu? – spytał Puller, gdy zatrzymał się na wprost niej.

Uśmiechnęła się.

– Kiedy miałam piętnaście lat, pracowałam tu jako sprzątaczką po cztery dolary za godzinę i myślałam, że jestem bogata. Sam robiła to samo, ale dostawała tylko trzy dolary za godzinę.

– Skąd ta różnica?

– Zawsze była drobniejsza i mniej wytrzymała do ciężkiej pracy fizycznej. A okoliczni mieszkańcy stanowili poważną konkurencję.

– Nie wątpię.

– Znajdziesz czas na obiad? Czy może już jadłeś?

– Jeszcze nie. W Crib?

Pokręciła głową.

– Wybrałam inne miejsce. Ładniejsze. Tuż za granicą okręgu. Ja poprowadzę.

Puller zamyślił się. Miał niewiele czasu, żeby zapobiec ewentualnej katastrofie. Stać go było na taką stratę czasu? Ale zaraz przypomniał sobie, co mówił Mason. Gazociąg znajdował się pod nadzorem firmy Trenta.

– Co to za okazja?

– Jest pora lunchu, a ja poczułam się głodna.

– Długo czekasz?

– Dostyc długo. Chyba byłeś zajęty.

– Chyba tak.

– Jak tam śledztwo?

– Jak śledztwo.

– Jesteś nader lakoniczny.

– To typowe dla wojska.

– Moim zdaniem bardziej typowe dla policji. Moja siostra jest podobnie małowówna.

– Widziałem, że twój mężulek wrócił do miasta. Zje z nami lunch?

Jej promienny uśmiech nieco zbladł.

– Nie, nie zje. Jesteś gotowy?

Popatrzył na jej eleganckie ubranie, potem na swoje wygniecione ciuchy.

– To elegancki lokal? Nie jestem odpowiednio ubrany.

– Wyglądasz całkiem nieźle.

Prowadziła wąskimi i krętymi bocznymi drogami z wprawą zawodowego kierowcy. W samą porę zdejmowała nogę z gazu, wchodziła w zakręt pod odpowiednim kątem i we właściwej chwili zwiększała prędkość, toteż potężny silnik mercedesa pracował w optymalnych warunkach.

– Myślałaś o tym, żeby wystartować w wyścigach NASCAR? – zapytał.

Uśmiechnęła się, dodała gazu na dłuższym odcinku prostym i rozpędziła auto do stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

– Myślałam o wielu rzeczach.

– Więc jaka jest prawdziwa przyczyna lunchu ze mną?

– Przyszło mi do głowy kilka pytań i mam nadzieję, że potrafisz na nie odpowiedzieć.

– Wątpię. Pamiętaj, że jestem wyjątkowo lakoniczny.

– Więc chętnie wysłucham twojej opinii. Co ty na to?

– Wkrótce się dowiemy, jak sądzę.

Dwadzieścia kilometrów dalej minęli granicę okręgu i po ujechaniu dalszych pięciu kilometrów Jean skręciła na ocieniony drzewami asfaltowy podjazd. Musieli jeszcze pokonać dwa zakręty, zanim las się rozstał i oczom Pullera ukazał się piętrowy, stiukowy budynek na kamiennych fundamentach. Można było odnieść wrażenie, że został jakimś sposobem w całości przeniesiony z Toskanii. Przed frontonem stały dwie stare fontanny, dalej wąski strumyk obracał koło młyńskie. Na patio wyłożonym kafelkami stały stoliki na świeżym powietrzu. Zadaszenie nad nimi tworzyła pergola z wypalonych słońcem desek,

obrónięta kwitnącą właśnie winoroślą.

Puller spojrział na tablicę nad drzwiami.

– Vera Felicita? Prawdziwe szczęście?

– Znasz włoski? – zdziwiła się.

– Trochę. A ty?

– Też trochę. Byłam we Włoszech wiele razy. Uwielbiam ten kraj. Marzę o tym, żeby kiedyś się tam przenieść.

– Ludzie zawsze tak mówią po powrocie z Włoch. Ale potem wracają do domu i zdają sobie sprawę, że przeprowadzka wcale nie jest taka prosta, jak by się mogło wydawać.

– Być może.

Obrzucił spojrzeniem drogie samochody stojące na brukowanym placu parkingowym. Większość stolików na powietrzu zajmowali klienci ubrani równie elegancko jak Jean Trent. Pili wino, sięgali łyżkami i widelcami do bogato zdobionych talerzy.

– To musi być popularny lokal – stwierdził.

– Zgadza się.

– Jak go znalazłaś?

– Jestem jego właścicielką.

Jean wysiadła z samochodu i Puller ruszył za nią w stronę wejścia. Przystanęła i odwróciła się do niego.

– Mamy także cztery pokoje noclegowe. Planuję otwarcie centrum odnowy biologicznej. Ściągnęłam szefa kuchni z CIA² i zgromadziłam zespół profesjonalistów, który zajął się uruchomieniem restauracji. W tym roku mamy nadzieję dostać pierwszą gwiazdkę Michelina. Już po osiemnastu miesiącach inwestycja się zwróciła. Nasza reputacja jest coraz lepsza. Przyjeżdżają tu ludzie z Tennessee, Ohio, Kentucky i Karoliny Północnej.

– A w pobliżu nie ma kopalń węgla?

– To jeden z nielicznych okręgów Wirginii Zachodniej, w którym nie występuje węgiel. – Rozejrzała się. – Otaczają nas dziewicze tereny. Góry, rzeki. Bardzo długo szukałam idealnej lokalizacji na taki biznes, aż w końcu znalazłam. Potem musiałam jeszcze sporządzić plan inwestycji, zlecić sondażę wśród tutejszej ludności i analizy marketingowe. Chciałam zapełnić lukę w tej branży. To najlepszy sposób, aby stworzyć coś, co będzie trwałe.

– Nie wiedziałem, że jesteś kobietą interesu.

– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz. Chcesz dowiedzieć się więcej?

– Dlaczego nie?

Weszli do środka i portier wprowadził ich do prywatnej biblioteki, gdzie czekał przygotowany stół z zastawą dla dwóch osób. Puller nie znał się na dekoracji wewnątrz, ale szybko ocenił, że pomieszczenia są dziełem doświadczonego fachowca. Umieblowano je sprzętami najlepszej jakości, wygodnymi, ale nie za bardzo krzykliwymi. Wielokrotnie bywał we Włoszech, toteż mógł ocenić, że lokal urządzono w stylu włoskim, i to tak bardzo, jak to tylko możliwe w Wirginii Zachodniej.

Kelner był ubrany w białą marynarkę z czarną muszką i profesjonalnie trzymał się na dystans. Oboje przejrżeli jadłospis, lecz Puller zdecydował, aby to Jean wybrała dania dla niego. Wcześniej zamówili butelkę białego wina i zaraz stanęły przed nimi dwa napełnione kieliszki.

– Wiem, że formalnie jesteś na służbie – zaczęła gospodyni – ale chcę z dumą pochwalić się tym włoskim chardonnay i mam nadzieję, że przynajmniej

go spróbujesz.

Pociągnął drobny łyk i przełknął powoli.

– Jest dużo bardziej esencjonalne niż jakiekolwiek inne białe wino kojarzone z Włochami.

Lekko trącił brzeg jej kieliszka.

– Nazywa się Jermann Dreams, rocznik dwa tysiące siódmy. Wyrazy uznania dla wojskowego, który zna się na winach. Skąd ta wiedza?

– Mój ojciec często zabierał mnie i brata za granicę, kiedy byliśmy młodszy. Po raz pierwszy zasmakowałem wina w Paryżu, gdy miałem dziewięć lat.

– Ja po raz pierwszy wyjechałam za granicę po trzydziestce.

– Niektórzy w ogóle nie ruszają się ze Stanów.

– To prawda. Teraz wyjeżdżam co roku na miesiąc. Uwielbiam to. Czasami mam ochotę nie wracać.

– Więc dlaczego to robisz? To znaczy wracasz tutaj.

Upiła łyk wina i otarła usta.

– Bo tu jest mój dom, jak sądzę.

– Zdomowić można się wszędzie.

– Zgadza się. Ale stąd pochodzę i tutaj mam rodzinę.

Rozejrzał się.

– Roger partycypuje w tym interesie?

– Nie. To wyłącznie moja inwestycja.

– Dosyć kosztowna.

– On nie dołożył ani grosza. Zainwestowałam swoje oszczędności i wzięłam kredyty bankowe.

– Mimo to jestem pewien, że pozycja żony potentata nie boli.

– Nie boli – przyznała. – A więc znowu wrócił do miasta?

– Zdążyłem już wypić z nim kawę w Crib.

– Z jakiego powodu?

– Żeby porozmawiać o ostatnich pogrózkach. Dla przypomnienia, nie sądzę, żeby i tym razem ich autorem okazał się Randy.

Odstawiła kieliszek.

– Czyżby Sam się wygadała?

– Owszem, wyznała wszystko szczerze. – Umilkł na chwilę. – Podejrzewam,

że interesy Rogera idą doskonale.

- Nie obchodzą mnie jego interesy.
- On w dużym stopniu polega na Billu Straussie.
- To przecież dyrektor naczelny. Robi to, co do niego należy.

Puller zawahał się, rozmyślając, czy wspomnieć o gazociągu. Uznał jednak, że to zbyt ryzykowne. Pochwyciwszy jej podejrzliwe spojrzenie, rzekł:

- Zadaję więcej pytań od ciebie. Niestety, tak już jestem zaprogramowany.
- Później zobaczymy, co da się z tym zrobić – odpowiedziała.

Kelner przyniósł ich potrawy i Puller przez kilka minut był zajęty degustacją. Gdy przełknął ostatni kawałek ryby, rzekł:

- Powinnaś dostać tę gwiazdkę Michelina.

Rozpromieniła się.

- Doceniam ten komplement.
- Niełatwo stworzyć coś takiego w samym sercu głuchej dziczy.

Dopiła resztkę wina z kieliszka.

- Czyżbyś zasypywał mnie komplementami z jakiegoś konkretnego powodu?
- Nie, po prostu jestem szczerzy. Ale to ty zaprosiłaś mnie na obiad. I powiedziałaś, że masz kilka pytań. Może w końcu zaczniesz je zadawać?

- Ale ty zaoferowałaś tylko opinie zamiast konkretnych odpowiedzi.

- Nie mogę obiecywać tego, czego nie mogę zapewnić.

– Napijesz się kawy? Sprowadzam ją bezpośrednio z Boliwii. Na nasze zamówienie zaczęli tam przygotowywać specjalną mieszankę. Jest naprawdę wyjątkowa.

- Nigdy nie odmówię dobrej kawy.
- Byłeś w Boliwii?
- Nie.
- A w ogóle w Ameryce Południowej?

- Tak.

- Służbowo czy dla przyjemności?

- Nie podróżuję dla przyjemności. Zawsze jestem uzbrojony.

Zamówienie zostało złożone i po chwili kelner przyniósł kawę. Serwowano ją w delikatnych porcelanowych filiżankach ze wzorem liści i kwiatu winorośli. Puller od razu się domyślił, że Jean wybrała je osobiście. Zrobiła na nim

wrażenie kobiety pragnącej panować absolutnie nad wszystkim, nawet nad najmniejszymi drobiazgami.

– Świetna kawa – pochwalił.

Skinęła głową i odparła:

– Więc teraz zapytam. W zasadzie mam tylko jedno pytanie. Czy na podstawie wcześniejszych ustaleń możesz stwierdzić, że Rogerowi zagraża realne niebezpieczeństwo?

– Nie potrafię określić, czy tak, czy nie. Przyjechałem tu w celu zbadania zabójstwa pułkownika naszej armii i jego rodziny. Niemniej Rogerowi powiedziałem, żeby traktował te pogrożki jak najbardziej poważnie.

– Dlaczego?

– Tak mi podpowiedział instynkt.

– Podejrzewałeś pewnie, że mało mnie obchodzi bezpieczeństwo mojego męża, ale mogę cię zapewnić, że dużo o tym myślę.

– Ale sama zauważyłaś, że on zadbał o różnorodne środki bezpieczeństwa. – Dopił kawę i odstawił filiżankę. – Czy masz jakiś powód, aby sądzić, że twojemu mężowi zagraża realne niebezpieczeństwo? Albo że jest w jakiś sposób powiązany w ostatnich morderstwach?

– No cóż, jedna z ofiar pracowała w jego firmie. Wątpię jednak, aby Roger ją znał. Nie wierzę, że miał jakiś związek z zabójstwem tych ludzi. Bo jakimi motywami miałyby się kierować?

– Nie wiem. Czy Roger jest w tej chwili obarczony jakąś sprawą, w której musiałby występować przed sądem?

– On wiecznie ma jakieś sprawy sądowe. Zazwyczaj musi się bronić przed oskarżeniami EPA czy innych organizacji środowiskowych. Niekiedy wpływają jeszcze skargi o nieumyślne spowodowanie śmierci w przypadkach zgonu w miejscu pracy.

– Jakiego rodzaju zarzuty stawiają mu organizacje środowiskowe?

– Nie znam szczegółów. Ogólnie rzecz biorąc, powołują się na wnioski, że górnictwo odkrywkowe źle wpływa na środowisko. Tylko nie cytuj tej opinii, na miłość boską. Ale taka jest prawda. Ludzie wychodzą z siebie i zakładają sprawy sądowe. Gdyby władze uważały, że Roger nie sprostął formalnym zobowiązaniom lub złamał przepisy jakiegoś rozporządzenia, od razu by się do niego przyczepiły. Dlatego szczerze opłaca najlepszych adwokatów. Czemu o to pytasz?

Puller pomyślał o wynikach analiz próbek gleby, lecz wolał nie poruszać tego tematu.

Jean dodała:

– W porządku, skłamałam. Mam jeszcze jedno pytanie.

– Słucham.

– Co cię tu naprawdę sprowadza?

– Sądziłem, że to całkiem jasne.

– Zabójstwo pułkownika? Po służbie? Sprawdziłam cię. Jesteś z siedemset pierwszego. Mogli dać tę sprawę śledczemu z Fortu Campbell, bo 701. jednostka zajmuje się sprawami wyjątkowymi. Więc co cię tu naprawdę sprowadza?

– Dobrze znasz wojskowe procedury, prawda?

– Mój ojciec służył w marynarce. Mnóstwo tutejszych mieszkańców musiało odsłużyć swoje w siłach zbrojnych. Jak powiedziałam, sprawdziłam cię.

– Z kim rozmawiałaś?

– Mam swoje kontakty. Z moich informacji wynika, że oddelegowanie do śledztwa kogoś takiego jak ty, powinno być odebrane jak oczywisty komunikat. To nie jest zwyczajne morderstwo.

– W moim podręczniku żadne zabójstwo nie jest zwyczajne.

– Więc nic mi nie powiesz?

– Ja tylko wykonuję swoją pracę, Jean. Poza tym naprawdę niewiele mogę ci powiedzieć.

Odwiozła go do motelu. Puller wysiadł i odprowadził mercedesa wzrokiem, dopóki nie zniknął mu z oczu. Potem odwrócił się i popatrzył na drzwi swojego pokoju. Ale po chwili jego wzrok powędrował w kierunku samochodu. Ruszył w tamtą stronę, lecz zatrzymał się jakieś pięć metrów od niego i przyjrzał dokładnie. Po chwili zaczął go okrążać szerokim łukiem przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Dostrzegł coś. Fragment miedzianego kabla ze ściągniętą izolacją. Był niewielki, miał ledwie kilka centymetrów długości, ale promienie słoneczne odbijały się od niego akurat pod takim kątem, że połyskiwał jak bryłka złota.

Puller przyklęknął i pochylił się. Lecz już po chwili poderwał się na nogi i odskoczył od auta. Następnie zadzwonił do Cole.

– Mam bombę pod samochodem. Zechciałabyś przysłać tu kogoś, żeby ją rozbroił?

Z nadzieją, że Cole już pędzi w tę stronę wraz z całą kawalerią przeciwbombową, usiadł na schodkach werandy przed drzwiami do biura motelu, żeby spokojnie rozważyć sytuację.

Nie ulegało wątpliwości, że tutejsi obywatele lubują się w podkładaniu ładunków wybuchowych.

W tym świetle stawały się jasne przyczyny niespodziewanego zaproszenia na lunch.

Bomba okazała się dużo bardziej prymitywna od tej, którą podłożono przed opuszczonym domem. Tak przynajmniej uznał ekspert, emerytowany agent CIA, który przyjechał na miejsce dwie minuty po nich. Stojąc obok Cole, Puller przyglądał się, jak technicy usuwają bombę i zabierają ją ze sobą.

– Nie mieli dużo czasu – odezwał się do niej.

– Co? – zapytała zdziwiona.

– Nie była zaawansowana, ponieważ nie mieli wystarczająco dużo czasu, żeby złożyć wszystkie elementy do kupy.

– Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Twoja siostra zaprosiła mnie dzisiaj na lunch. Czekala na mnie na tym parkingu. Nalegała, abym z nią pojechał. Zostawiłem więc swój samochód. Szczerze mówiąc, do tej pory nie wiem, dlaczego tak nalegała, bym pojechał z nią do Vera Felicita.

– Zabrała cię do swojego pensjonatu?

– Tak. Później odwiozła mnie z powrotem i szybko odjechała, a ja na szczęście zauważyłem ten ślad buta i kawałek kabla w izolacji przy samochodzie. W przeciwnym razie wezwano by cię do identyfikacji zwłok, o ile zostałyby ze mnie coś, co da się zidentyfikować.

Cole nie odpowiedziała od razu. W zamyśleniu, ze zmarszczonym czołem, pogrzebała czubkiem buta w żwirze, którym był wysypany parking.

– Mam rozumieć, że oskarżasz ją o współudział w tej zbrodni?

– Nikogo o nic nie oskarżam. Po prostu przedstawiłem ci fakty.

– Z jakiego powodu miałyby pragnąć twojej śmierci?

– No cóż, jeśli jej mąż ma coś wspólnego z tymi zabójstwami i pójdzie do więzienia, jego firma prawdopodobnie upadnie, a podobny los czeka i jej wielki dom, i modną restaurację.

– Zbudowała go z własnych pieniędzy i kredytów bankowych.

– Tak twierdzi. Ale to przedsięwzięcie wymagało zaangażowania naprawdę sporych środków. Który bank udzieliłby jej takiego kredytu, gdyby Roger nie udzielił gwarancji?

– Dlaczego sądzisz, że on może mieć coś wspólnego z zabójstwami? Przecież to jemu ktoś groził śmiercią.

– Twierdzi, że odbierał pogróżki. Nie ma na to dowodu.

– To prawda – przyznała.

– Dziś w bibliotece sprawdziłem coś w lokalnych gazetach. Nie było oficjalnego ogłoszenia o wysadzeniu skał w niedzielny wieczór. Zatem detonowali ładunki bez ostrzeżenia.

– To poważne wykroczenie, Puller. Dobra robota.

– Mieliśmy więc strzały i serie wybuchów w tym samym czasie. Jakby jedne służyły zamaskowaniu drugich. Wysadzenia prowadzono w kopalni należącej do Trenta. Kto miał prawo zarządzić taką akcją bez ostrzeżenia w prasie?

– Zgodnie z przepisami nikt. Ten, kto to zrobił, naraził się na poważne kłopoty.

– Chyba musimy się tego dowiedzieć. I trzeba też sprawdzić, czy nikt nie widział, żeby ktoś się kręcił przy moim samochodzie po południu.

– Zajmę się tym od razu. Powinieneś jednak wiedzieć, że według mnie Jean nie ma z tym nic wspólnego.

– Też wolałbym tak myśleć, Cole, ale okoliczności są podejrzane.

– Owszem – przyznała.

Znowu zakręciła czubkiem buta w żwirze.

– Nie jestem pewna, czy powinnam dalej prowadzić to dochodzenie.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, ja przejmę dowodzenie.

– Nie mam nic przeciwko temu. Tylko jeszcze jedna rzecz, Puller.

– Tak?

– Chodzi o moją siostrę, lecz jeśli znajdziesz dowody, nie wahaj się, jasne?

– Oczywiście.

– Kiedy chcesz się tym zająć?

– Teraz.

70

Wymach. Wymach. Wymach. Wymach. Oddech. Wymach. Wymach. Wymach. Wymach. Oddech.

Powietrze było przesycone wilgocią i drażniącym zapachem. Wystarczyło w tej atmosferze zrobić parę kroków, a człowieka już zalewał pot.

Cztery kolejne wymachy. I oddech. Kolejny kwartet uderzeń i Jean Trent wynurzyła się z wody po dotarciu do brzegu basenu po raz sześćdziesiąty.

– Spalasz lunch?

Odwróciła się błyskawicznie i popatrzyła na drugi koniec trzydziestometrowego basenu.

Puller siedział na składanym krzeselku z łokciami opartymi na kolanach.

– Jak się tu dostałeś? – zapytała.

Wskazał sąsiednią przeszkloną ścianę.

– Tymi drzwiami. Naprawdę powinnaś je zamykać.

– Pytałam, jak w ogóle dostałeś się na mój teren?

Wstał, podszedł bliżej i spojrzał na nią z góry.

– Chcesz wiedzieć, w jaki sposób zmyliłem grubego starucha w wypożyczonym uniformie siedzącego przy bramie?

Wyszła po schodkach na brzeg basenu i owinęła ręcznikiem mokre włosy. Miała na sobie czarny, jednoczęściowy kostium. Była świetnie zbudowana i nieźle umięśniona.

Była też osobą, która śmiało mogła spróbować wysadzić w powietrze samochód z nim za kierownicą.

– Pływasz? – zapytała.

– Nie, chyba że ktoś, kogo ścigam, wskoczy do wody. Chciałem z tobą porozmawiać.

Podeszła do stojącego pod ścianą tekowego szezlongu z niebieskim piankowym materacem obszytym białą lamówką. Leżał na nim frotowy szlafrok. Włożyła go i usiadła.

– O co chodzi? Lunch ci nie posłużył? Wyglądasz na cierpiącego.

Usiadł na krześle obok niej.

– Prawdę mówiąc, zastanawiam się, czy powinienem cię aresztować.

Zrobiła zaskoczoną minę.

– Co? Dlaczego?

– Pod zarzutem próby zabójstwa oficera federalnego.

Wyprostowała się.

– A niby jak doszedłeś do tego wniosku?

– Kiedy wróciłem z naszego wspólnego lunchu, pod moim samochodem znalazłem bombę. Mam już dość ludzi, którzy próbują mnie przerobić na krwawą miazgę.

– Nic o tym nie wiem. Ale skoro jedliśmy razem lunch, nie mogłam w tym samym czasie podłożyć ci bomby w samochodzie.

– Mogłaś komuś zapłacić, żeby to zrobił.

– Dlaczego miałabym to robić?

– Właśnie tego zamierzam się teraz dowiedzieć.

– Muszę się ubrać. Wieczorem wychodzę na kolację. Jeśli chcesz kontynuować tę rozmowę, będziemy musieli ją odłożyć na później.

– Nie, dokończymy ją teraz.

Wstała.

– Masz stąd wyjść. Natychmiast!

– Domagam się wyjaśnień. Jestem tutaj z błogosławieństwem miejscowego wydziału policji.

Jean otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

– Innymi słowy, twoja siostra wie, że tu jestem.

– Nie podłożyłam bomby w twoim samochodzie.

– Pod moim samochodem.

– Nie zrobiłam tego. Z jakiego powodu miałabym pragnąć twojej śmierci?

– To proste. Moim celem jest zbadanie serii zabójstw. Jeśli ty lub ktoś, z kim jesteś związana, mieliście coś wspólnego z zabójstwami, chciałybyś usunąć mnie z drogi. Stąd zaproszenie na lunch. Nalegałaś też, byśmy pojechali twoim autem. A kiedy wróciłem, o mało nie wyleciałem w powietrze. Chyba sama rozumiesz, dlaczego jesteś podejrzana.

Usiadła z powrotem, jakby nagle straciła pewność siebie.

– Ja... nie umiem tego wyjaśnić. Nie mam pojęcia, co się dzieje. – Kiedy podniosła głowę, miała łzy w oczach. – Mówię prawdę, Puller.

Wpatrywał się w nią, próbując ocenić szczerść jej łez. Wiele razy był świadkiem płaczu różnych podejrzanych, od twardych, zaprawionych w bojach żołnierzy po zawiedzione matki nastolatków, którzy w wojsku zeszedli na manowce.

– Nie wiem, czy mówisz prawdę – odparł. – Zatem dopóki nie znajdę dowodów przemawiających na twoją korzyść, jesteś oficjalnie podejrzana. Rozumiesz?

Skinęła głową jak automat.

– Więc jeśli dysponujesz jakimikolwiek informacjami mogącymi pomóc w dochodzeniu, byłby to najlepszy moment, abyś je ujawniła.

– O jakie informacje chodzi?

– Na przykład dlaczego twój mąż jest aż tak zdenerwowany. I nie wmawiaj mi, że chodzi o pogroźki. Doszedłem do wniosku, że to bzdura. Podejrzewam, że na podstawie wcześniejszych doświadczeń z pogroźkami od twojego brata Trent postanowił je wykorzystać do stworzenia prostej i wygodnej zasłony.

– Do czego?

– Wzmocnił swoją ochronę, Jean. Kierowca jego escalade to były komandos.

– Skąd wiesz?

– W armii łatwo wyczuć marines z dużej odległości. Ten facet jest zawodowcem i chodzi uzbrojony. Ale pracuje od niedawna, zgadza się?

– Tak.

– To dobry wybór. Lata świetlne dzielą go od tego starego piernika przy bramie.

– Ale ochrona Rogera podczas pobytu w domu nie uległa zmianie. Nadal ogranicza się do emerytowanego policjanta przy wejściu.

– Tylko dlatego, że na razie go tu nie ma. Wynika stąd, że Roger mniej się martwi o twoje bezpieczeństwo czy twojej córki. Zawodowiec nie odstępował go na krok.

– Czego miałby się bać? – zapytała.

– Mówiłaś, że ma wielu wrogów. Ale miałaś na myśli tylko tych starych, prawda? Nie sądzisz, że pojawienie się nowych zagrożeń tłumaczyłoby zatrudnienie nowego goryla?

– Trudno mi sobie wyobrazić, co to mogłoby być. Ale, jak już mówiłam, nie jestem wtajemniczona w działalność Rogera.

– Jeśli dalej będziesz mnie okłamywać, Jean, zakuję cię w kajdanki i siłą wyciągnę z domu.

W jej oczach znów pojawiły się łzy.

– Nie chcę iść do więzienia.

– Więc mów prawdę. Sama zatroszczyłaś się o wszystko w swojej restauracji, łącznie z zastawą stołową. Znasz się na zarządzaniu przedsiębiorstwem. Założę się, że także ty nadzorowałaś budowę tego domu, bo sądząc po urządzeniu wewnątrz w budynkach spółki Trenta, nie jest to jego mocna strona. I teraz chcesz mi wmówić, że jemu pozostawiasz sprawy związane z prowadzeniem firmy? Wybacz, ale nie kupuję tego.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Wilgotność powietrza coraz bardziej dawała mu się we znaki. Na pustyni przynajmniej było sucho. Patrzył na Jean. Nie chciał przerywać milczenia. Nie zamierzał wstać i wyjść. Miał ochotę siedzieć przy niej i czekać cierpliwie, aż w końcu się przełamie.

– Pojawiły się pewne problemy w Trent Exploration.

– Na przykład?

– Braki w finansach. Przekierowane przelewy. Znikające rachunki w bankach zagranicznych. Pojawiają się transakcje, których nie powinno być, i znikają te, które być powinny.

– Roger wie o tym?

– Jak najbardziej.

– Co robi w tej sprawie?

– Wszystko, co może, ale nie ma specjalnego wyboru. W ubiegłym roku zdecydował się na kilka inwestycji wymagających dużych zastrzyków kapitału. Naprawdę dużych. Ale zyski, jakich się spodziewał z tych inwestycji, rozwiły się jak sen. A długi pozostały. Myślał, że wystarczy mu pieniędzy na ich pokrycie. Ale wobec znikających funduszy ma coraz mniejsze możliwości manewru. Właśnie dlatego był w Nowym Jorku, starał się uzyskać pomoc finansową. Jednakże banki nie chcą udzielać kolejnych pożyczek. Próbował zdobyć pieniądze dosłownie wszędzie.

– Do tego jeszcze te pogróżki. Może stoją za nimi ludzie, którzy go okradają?

– Nie wiem – mruknęła Jean. – Naprawdę nie wiem.

– W porządku. Firma Trenta jest duża, ale to nie moloch giełdowy. I do tego

ma siedzibę w małym miasteczku. Chcesz mi powiedzieć, że nikt z was nie podejrzewa, kto tak na żywcza okrada spółkę? Co powiesz o Randym?

– O Randym? Dlaczego miałby kraść?

– Po pierwsze, obwinia Rogera za śmierć swoich rodziców.

– Mimo wszystko nie mógłby okraść spółki. Nie zna się na komputerach i transakcjach finansowych. Musieli tego dokonać ludzie biegli w obu tych kwestiach.

– Może związał się z kimś.

– W Drake? Nie sądzę. W każdym razie sytuacja robi się tragiczna. Roger i Bill mają coraz mniejsze pole manewru.

– A co z tobą? – zapytał. – Jeśli spółka pójdzie na dno, ty stracisz wszystko, także ten dom, prawda?

– Prawdopodobnie tak. Właśnie z tego powodu zbudowałam swój hotel. Nie dlatego, żebym podejrzewała Rogera o machlojki finansowe, ale... Chyba chciałam być po prostu niezależna finansowo.

Wbrew sobie Puller poczuł do niej współczucie.

– Więc on naprawdę nie ma pojęcia, skąd się biorą te wszystkie przekręty finansowe? Jest przecież inteligentny. Jak to się stało, że dał się wykiwać i nawet nie wie komu?

– Ta sprawa doprowadza jego i Billa do szału. Poświęcili całe życie temu przedsiębiorstwu. Jeśli firma pójdzie na dno, oni razem z nią.

Puller nie odpowiedział. Tylko w zamyśleniu popatrzył w bok.

Jean zauważyła blizny na jego szyi.

– Bliski Wschód? – zapytała.

Skinął głową.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam o pewnym chłopaku, w którym byłam zakochana?

– Tym, który nie wrócił z pierwszej wojny w Zatoce?

– Był trochę podobny do ciebie.

– Nadal marzysz o jego powrocie?

– Tak – szepnęła.

Rozejrzał się.

– Nie miałabyś tego wszystkiego.

– A jeśli i tak tego nie mam?

Wstał.

– Nie aresztujesz mnie?

– Nie. To, co mi powiedziałaś, powinno pomóc w śledztwie. Doceniam to.

– Kiedyś byłam szczerą z natury. Ale potem wyszłam za Rogera i wszystko się zmieniło.

Zawrócił w kierunku drzwi, którymi wszedł nad basen.

– Co masz zamiar zrobić? – zawołała za nim.

– Znaleźć mordercę.

71

Cześć, Bill. Jak leci?

Bill Strauss wyszedł właśnie z biura Trenta i zmierzał do swojego samochodu. Puller stał oparty o maskę swojego malibu. Czekał prawie godzinę.

– Puller? Co ty tu robisz?

Odepchnął się od maski i podszedł do dyrektora.

– Taka praca. Mam kilka pytań. Możesz mi poświęcić trochę czasu?

Strauss spojrzął na zegarek.

– Właściwie już jestem spóźniony na spotkanie.

– Nie zajmę ci dużo czasu.

– Nie możesz z tym poczekać?

– Raczej nie.

– W porządku. Pytaj.

– Chodzi o wysadzenia w niedzielny wieczór. Nie było żadnego ostrzeżenia w prasie. Kto to zarządził?

Strauss popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– O czym ty mówisz?

– W ostatnią niedzielę wieczorem dokonano szeregu detonacji w jednej z kopalń należących do Trenta. Macie obowiązek wcześniejszego podawania ostrzeżeń do wiadomości publicznej. Poza tym zwykle nie prowadzi się wysadzania gruntów w niedzielę. Powinniście mieć na to specjalne pozwolenie. Ostrzeżenia w lokalnej prasie nie było. Zdobyliście to specjalne zezwolenie?

– Musiałbym sprawdzić w księgach.

– Roger zeznał, że nic o tym nie wie. Kto w firmie nadzoruje takie rzeczy?

– Formalnie to ja jestem dyrektorem naczelnym. Ale mam dużo innych obowiązków i muszę zlecać innym takie sprawy. Mamy ludzi odpowiedzialnych za zdobywanie zezwoleń i publikację stosownych ostrzeżeń.

– W takim razie z nimi powinienem porozmawiać?

– Na to wygląda. Niestety, nie pracują w tym biurze, tylko w Charlestonie.

– Mogę dostać ich dane?

– Dlaczego to aż tak ważne? Zabici ludzie nie zginęli wskutek operacji prowadzonych w kopalni.

– Mimo wszystko to ważne. Więc jak? Dostanę te dane kontaktowe?

– Jasne – wycedził Strauss.

– Świetnie, zgłoszę się jutro.

– Nie jestem pewien...

– Widziałeś się ostatnio z synem? – przerwał mu Puller.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Z czystej ciekawości. Jesteś członkiem klubu Xanadu?

– Co? Nie, nie jestem.

– Nie będę cię dłużej zatrzymywał.

Puller wszedł do malibu i odjechał. Po drodze zadzwonił do Dickiego i umówił się z nim na spotkanie wieczorem.

Kiedy zajechał na parking przed motelem, stał tam już błyszczący niebieski bentley, a przy nim czekał Roger Trent.

Zakładam, że chcesz się zobaczyć ze mną, bo nikt inny już tu nie mieszka – zagadnął Puller.

Trent miał na sobie ciemne spodnie i białą koszulę rozpiętą pod szyją. W jednym ręku trzymał cygaro. Nalana i zaczerwieniona twarz idealnie komponowała się z nabrzmałymi skrzydełkami jego grubego nosa. Już z daleka czuć było od niego woń alkoholu.

– Jesteś pewien, że możesz prowadzić ten pojazd w takim stanie?

– Niby w jakim stanie?

– Zwanym nietrzeźwością.

– Daleko mi do niego. Nadal mam wielką ochotę na wszystko.

Puller przeniósł wzrok na jego wydatny brzuch.

– W to nie wątpię. Czy kiedykolwiek pomyślałeś o przystąpieniu do ruchu Weight Watchers³?

– Próbujesz mną sterować, odkąd się poznaliśmy.

– Należysz do ludzi, których trudno polubić, Roger.

Ku jego zaskoczeniu biznesmen zaczął się śmiać.

– No cóż, przynajmniej jesteś szczerzy. Słyszałem, że zgodziłeś się zjeść dzisiaj lunch w towarzystwie mojej uroczej żony. W Vera Felicita.

– To ona mnie zaprosiła, nie odwrotnie.

– Nic takiego nie sugerowałem. Więc skorzystałeś z zaproszenia?

– Owszem.

– Dobrze się bawiłeś?

– Jest uroczą towarzyszką. Czy powiedziała ci, co się później stało?

– Tak, wspomniała, że ktoś podłożył bombę pod twoim samochodem. Dlatego przyjechałem, aby ci powiedzieć, że nie miała z tym nic wspólnego.

– Dzięki, to wielka ulga.

– Doszedłem do wniosku, że my dwaj mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Czyżby? A mianowicie co?

– Ktoś najwyraźniej chce nas uśmiercić.

– Ale ty odbierałeś jedynie telefoniczne pogróżki. A mnie podłożono bombę. Trent oparł się biodrem o bentleya.

– Zastanawiałeś się, dlaczego nie wyniosłem się stąd? Dobrze wiesz, że mógłbym mieszkać wszędzie.

– Wiem tylko, że twoja żona wolałaby zamieszkać we Włoszech.

– Może. Ale mówimy o mnie.

– W porządku, masz rację, zastanawiałem się. I wiem też, że bardzo się palisz, żeby mi to powiedzieć. Syndrom dużej ryby w małym stawie?

– Prawdziwy powód jest równie prosty. Otóż widzisz, Puller, ja nie odczuwam potrzeby bycia kochanym. Wręcz przeciwnie. Nie wchodzi się w interes węglowy, żeby być kochanym. Ja uwielbiam być znienawidzonym. Dopiero od tego serce mocniej mi bije. Naprawdę to uwielbiam. Wszyscy przeciwko mnie. Jak pewnie zauważyłeś, w Drake nie mam konkurencji. Jestem najpotężniejszym słabeuszem, a konkretnie najbogatszym. Ale i tak pogardzanym słabeuszem.

– Powinieneś iść do psychologa, wiesz?

Trent znów się roześmiał.

– Lubię cię. Nie bardzo wiem dlaczego. Do diabła, może jednak wiem. Ty też mnie nienawidzisz, ale na innym poziomie. Potrafisz mi cisnąć tę nienawiść prosto w twarz, a nie szkodzić za plecami, jak wszyscy inni.

– Czy to dotyczy także twojej rodziny?

Trent od niechcienia wypuścił kółko dymu i odprowadził je wzrokiem ku górze, dopóki nie rozpląnęło się w powietrzu.

W pobliskim lesie grały cykady.

– Pewnie tak. Sam mnie nie znosi. Randy ma świra na moim punkcie. A Jean kocha tylko moje pieniądze.

– Jedna wielka szczęśliwa rodzina.

– Ale nie mogę winić ludzi. Pamiętasz, jak mówiłem o zazdrości? To prawda. Mogę się założyć, że jesteś krewkim żołnierzem. Pewnie walczyłeś na Bliskim Wschodzie. Masz mnóstwo medali.

– Sam na to wpadłeś?

– Sprawdziłem cię. I jestem pewien, że tam byłeś nie do zdarcia. Ale powiem ci, co jest prawdziwą walką. Biznes to walka. I żeby wygrać, musisz być dupkiem. Żadne ciepłe kluchy nigdy się niczego nie dorobią. Trzeba zabijać,

żeby nie zostać zabitym. A jeśli nie jesteś na szczycie, to jesteś na dnie. Czyli tam, gdzie większość ludzi spędza całe swoje życie. – Pstryknął w cygaro, żeby strząsnąć słupek popiołu, po czym z powrotem wetknął je sobie do ust.

– Dzięki za to abecadło biznesu, Roger. Może opowiesz mi teraz o swoich kłopotach finansowych?

Cygaro zastygło w jego ustach i zniknęły filuterne ogniki z oczu.

– O jakich kłopotach finansowych?

– Ty sprawdziłeś mnie, a ja ciebie.

– Uzyskałeś błędne informacje.

– Od niedawna masz ochronę groźnie wyglądającego komandosa. Nawiasem mówiąc, gdzie go zostawiłeś? Odbierasz śmiertelne pogroźki i zdecydowałeś się wyjść bez obstawy.

– Jestem poruszony twoją troską o mnie.

– Jak się domyślam, bankierzy w Nowym Jorku nie byli aż tak poruszeni twoimi kłopotami finansowymi?

Trent rzucił niedopałek cygara na ziemię i rozdeptał go obcasem.

– Co Jean ci nagadała, do jasnej cholery? Głupia suka.

Pozostały niespełna trzy dni. Puller nie miał więcej czasu. Musiał podjąć ryzyko.

– Staram się trzymać równocześnie wiele srok za ogon, Roger. Bo to nie tylko węgiel, lecz także nadzór nad gazociągami, prawda?

– Co to ma do rzeczy?

– Ty mi to wyjaśnij.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Na pewno?

– Jak najbardziej.

– Utonięcie w długach to nic przyjemnego. Ale zdrada jest o wiele gorsza.

– Jesteś na prochach czy co?

– Chcę po prostu dać ci dobrą radę.

– A dlaczego miałbym z niej skorzystać?

– Bo wypływa z dobrych intencji.

Trent roześmiał się.

– Jesteś naprawdę zabawnym gościem.

– Niestety raczej nie. A jeśli sprawy potoczą się tak, jak podejrzewam, będziesz potrzebował niejednego komandosa, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

– Grozisz mi?! – ryknął Trent.

– Jesteś wystarczająco inteligentny, Roger, żeby wiedzieć, że zagrożenie nie jest wynikiem mojej działalności.

Trent bez słowa wszedł do swojego bentleya i odjechał.

Najwyraźniej Puller znowu trafił w jego czuły punkt. Teraz mógł tylko liczyć na to, że od Dickiego dowie się czegoś konkretnego.

Dochodziła dwudziesta druga, gdy zjawił się na miejscu. Dokoła panowała cisza. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Nic dziwnego. W nagrzanym wilgotnym powietrzu aż roіło się od komarów. W taki wieczór lepiej siedzieć w czterech ścianach, a nie kręcić się po dworze.

Przeprowadził swego malibu siatką ulic, trzymając się tej samej trasy, którą wcześniej pokonał razem z Cole. Wyjechał zza ostatniego zakrętu i ujrzał przed sobą remizę. Nie paliły się żadne światła, ale też wcale na to nie liczył. Okolica nie była zasilana w energię elektryczną. Pewnie dlatego wszyscy rozchodzili się do domów, gdy zaczynało się ściemniać. Drzwi w bramie remizy zastał zamknięte. Przyszło mu na myśl, że mogą być zamknięte na zasuwę. Zatrzymał samochód, wysiadł, rozejrzał się i pociągnął nosem. Komar zabrzęczał mu koło ucha. Odegnął go dłonią. Ale wiedział, że to tylko przyciągnie jego towarzyszy. Wiele razy pokonywał mokradła, więc znał naturę tych krwiopijców.

Zamknął samochód za pomocą pilota. Podjechał pod samą ścianę budynku, żeby zostawić auto tak blisko drzwi, jak to możliwe. Podszedł do bramy, schylił się, złapał za uchwyt i szarpnął w górę. Harmonijkowe wrota łatwo i szybko zsunęły się pod sufit na dobrze naoliwionych prowadnicach. Rozejrzał się jeszcze raz, lecz w pobliżu nikt się nie pojawił. Mimo to oparł prawą dłoń na kolbie M11 spoczywającego w przedniej kaburze. Pstryknął włącznikiem latarki i skierował silny strumień światła do środka.

W oczekiwaniu na Dickiego postanowił sprawdzić pewną teorię.

W prawej części remizy stały obok siebie dwa harleye z przednimi kołami spiętymi łańcuchem. Po lewej zobaczył dużą szafkę narzędziową na kółkach, zamkniętą na masywną kłódkę. Wyglądało na to, że członkowie klubu nie darzą sąsiadów pełnym zaufaniem. Oba harleye miały nad tylnymi kołami duże torby podróżne, także zamknięte na klucz. Nie było w tym niczego niezwykłego, na dobrą sprawę Puller wręcz spodziewał się je zobaczyć.

Wyważył zamki i pozaglądał do toreb, przyświecając sobie latarką. W trzeciej znalazł to, czego szukał: kawałek przezroczystej folii, strzęp taśmy samoprzylepnej i kilka ledwie zauważalnych białych płatków. W drugiej torbie przy tym samym motorze znalazł kilka twardych, brązowych kryształków.

Błyszczące płatki były czystą, krystaliczną amfetaminą. Natomiast brązowe ziarna jej tańszą nieoczyszczoną odmianą, zwaną „masłem orzechowym”. Nielegalne narkotyki w wojsku stanowiły większy problem, niż kadra gotowa była przyznać. Przez lata służby Puller widział wszystkie rodzaje środków odurzających, jakie krążyły wśród żołnierzy.

Odnalazł więc kanał dystrybucyjny wyrobów skromnej pracy Erica Treadwella w domowym laboratorium. Członkowie klubu Xanadu ładowali ten towar do toreb i rozprawdzali motocyklami wśród klientów. A w biednych regionach, gdzie ludzie chcieli zapomnieć o nędznej, napawającej odrazą rzeczywistości, dilerzy mieli łatwą zdobycz.

Zatem Treadwell i Bitner byli drobnymi handlarzami narkotyków. Nie z tego powodu zostali jednak zabici, co do tego nie miał złudzeń. Musiał powiadomić o swoim odkryciu Cole, lecz ani trochę nie przybliżyło go ono do ujęcia terrorystów.

Przejrzał zawartość blaszanych szafek na ubrania pod lewą ścianą. Nic tam nie znalazł. W większości były zapełnione rzeczami należącymi do harleyowców. Ale gdy tak samo próbował zajrzeć do szafek pod prawą ścianą, przekonał się, że są solidnie zamknięte. Wyłamał zamek jednej z nich, lecz także niczego nie znalazł. Zajrzał jeszcze do dwóch następnych, lecz z takim samym skutkiem. Postanowił nie tracić więcej czasu.

Spojrzał na zegarek. Specjalnie przyjechał wcześniej na spotkanie, obawiając się, że Dickie może grać nieczysto i ktoś spróbuje tu zorganizować zasadzkę. Zostało mu jeszcze trochę czasu. Postanowił więc spożytkować go na dokładniejsze przeszukanie remizy. Potrafił sobie wyobrazić, że ludzie zajmujący się dystrybucją amfetaminy mogli dać się namówić na coś dużo bardziej odrażającego, nawet gdyby miało to oznaczać krzywdę dla ich ojczyzny. Tutejsi mieszkańcy mogli wychodzić z założenia, że już nie mają co liczyć na swój kraj, więc powinni się pozbyć skrupułów.

Za lewą ścianą remizy znajdowało się jeszcze jedno pomieszczenie. Wszedł tam, zanurzając się w nieprzeniknionej ciemności głębokiej jaskini, jako że nie było tu okien. Ale pomieszczenie zastał puste. Wycofał się więc, nasłuchując odgłosów towarzyszących obecności drugiego człowieka.

Ruszył schodami na górę. Najpierw trafił na kuchnię, która wyglądała na używaną przez członków klubu. Zajrzał do kilku szafek, lecz ujrzał jedynie puszki z zupą i opakowania płatków śniadaniowych.

Za kuchnią znajdował się jeszcze jeden pokój. Uchylił drzwi i zajrzał do

środką, rozcinając mrok snopem światła latarki. Kiedyś musiał się tu mieścić gabinet komendanta. Wysłuzone biurko, stara blaszana szafka na akta, drewniany regał i kilka zardzewiałych żelaznych krzesłek. Zajrzał do szuflad szafki, ale były puste, podobnie jak regał na książki. Usiadł za biurkiem i zaczął wyciągać szuflady. Nic nie znalazł, dopóki nie wsunął ręki w głąb jednej z nich, w której światło latarki wyłowiło na dnie coś białego.

Wyciągnął pośódkły kawałek papieru. Ujrzał na nim datę: 1964.

W nagłówku znajdował się skrót FIA. Nie wiedział, co oznacza.

Przebiegł wzrokiem treść. Dotyczyła procedur na wypadek pożaru w obiekcie. Nie było w niej niczego, co mogłoby wyjaśniać, o jaki obiekt chodzi. Być może miało to związek z tym, czego dowiedział się od Masona: z zakładem wytwarzającym podzespoły do produkcji bomb.

Spojrzał na zapisek nagryzmolony na marginesie. Tusz dawno wyblakł, ale dało się jeszcze odczytać liczby 92 i 94.

Złożył kartkę i schował do kieszeni, po czym wstał.

Kiedy wychodził z gabinetu, doleciał go warkot silnika nadjeżdżającego motocykla. W kilku krokach podbiegł do ciągu okien na końcu korytarza, wychodzących na placyk przed budynkiem.

To musiał być Dickie. Puller poświecił latarką na zegarek. Dochodziła umówiona godzina spotkania.

Dostrzegł też pojedynczy snop światła reflektora przecinający mrok. Wyłonił się właśnie z uliczki i łukiem omiótł placyk przed remizą. Puller błyskawicznie przyjrzał się sylwetce nadjeżdżającego człowieka. Kanciaste ramiona, krótki tułów. To musiał być Dickie.

Odgłos wystrzału sprawił, że odruchowo odskoczył do tyłu i wtulił głowę w ramiona. Na jego oczach pocisk trafił motocyklistę w głowę, przebił kask, rozplątał czaszkę, przewiercił się przez mózg i wyszedł po drugiej stronie. Harley gwałtownie skręcił w prawo, gdy mężczyzna puścił kierownicę, po czym zwalił się na lewo i runął na beton. Szarpnął się tylko raz i znieruchomiał. Motocykl potoczył się siłą rozpędu, uderzył o ścianę remizy i przewrócił na bok z nadal pracującym silnikiem.

Ale temu Puller już się nie przyglądał. Dосkoczył do pała pożarniczego i przez otwór w podłodze zsunął się na dół.

Strzał został oddany gdzieś z lewej strony, prawdopodobnie z karabinka dalekiego zasięgu. Snajper zapewne ukrył się gdzieś powyżej poziomu gruntu.

Nie było tu żadnych wzniesień, tylko domy, zatem prawdopodobnie ukrył się w którymś z nich. Ale było ich dużo. I wszystkie puste. No, teraz nie wszystkie.

Wypadł z remizy na placyk tuż obok pracującego wciąż motocykla. Schylił się błyskawicznie i wyłączył zapłon, jednocześnie rozglądając się uważnie przed sobą z pistoletem w dłoni. Następnie wyciągnął komórkę i wybrał numer Cole.

Odebrała po drugim sygnale.

W trzech krótkich zdaniach wyjaśnił zaistniałą sytuację.

Już po raz drugi tego dnia obiecała ściągnąć mu na odsiecz kawalerię.

Policzył do trzech i przeskoczył zakosami do swojego malibu. Chowając się za osłoną auta w stosunku do kierunku, z którego padł strzał, otworzył bagażnik i pospiesznie złapał to, czego potrzebował.

Noktowizor.

I kamizelkę kuloodporną. Była to lekka, modułowa kamizelka taktyczna zdolna skutecznie zatrzymać pocisk dziewięciomilimetrowy, ale tego wieczoru mogła się okazać niewystarczająca. Dlatego poświęcił kilka sekund na to, żeby wsunąć w odpowiednie kieszenie dodatkowe płytki ceramiczne zwiększające wytrzymałość kamizelki. Dopiero wtedy włączył noktowizor i popatrzył na teren przed sobą, teraz widoczny w odcieniach jaskrawej zieleni. Skierował wzrok na ciało. Głowę wciąż osłaniał kask motocyklowy i nie dało się zobaczyć rysów twarzy człowieka. Sięgnął więc jeszcze raz do bagażnika po ostatnią i najważniejszą rzecz.

Pistolet maszynowy MP5. Ulubioną broń wszystkich formacji sił specjalnych do walki w bezpośrednim starciu. Miała zaledwie kilkaset metrów zasięgu maksymalnego, co oznaczało, że musiał podkraść się bliżej celu.

Snajperski pocisk w stosunku do jego krótkiej broni ręcznej zmusił go do takiego wyboru. Dokładał się do tego fakt, że zdaniem Pullera snajper musiał dysponować celownikiem noktowizyjnym, skoro zdecydował się na oddanie strzału w takich warunkach. Mógł więc tylko żałować, że nie ma przy sobie ulubionego samopowtarzalnego karabinku snajperskiego. Musiał się zadowolić pistoletem maszynowym.

Niemal odruchowo przestawił go na dwa pojedyncze strzały, jeszcze zanim zamknął bagażnik auta.

Ale musiał też przeprowadzić drobny rekonesans. Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i podjechał do leżących na betonie zwłok. Używając auta jako

tarczy, wysliznął się przez prawy fotel na zewnątrz.

Z daleka widoczne były w kasku dwa otwory po kuli, wlotowy i wylotowy. Włączył noktowizor i spojrzał na wpatrzoną w niego twarz Dickiego Straussa.

Obejrzał się w lewo i od razu to dostrzegł. Gorący pocisk leżał na betonowej płycie placyku. Zapatrzył się w niego, ale wolał nie dotykać.

Był to pocisk kalibru 8,59 milimetra typu Lapua Magnum, którego jego kamizelka nie była w stanie zatrzymać. Stosowano go w nabojach o zasięgu do półtora tysiąca metrów. A w odpowiednich warunkach i przy odrobinie szczęścia snajper mógł nim trafić nawet z większej odległości.

Łamiąc wszelkie procedury obchodzenia się ze zwłokami na miejscu zbrodni, Puller pospieszenie przeszukał zabitego i zabrał jego telefon komórkowy i portfel. Następnie wrócił do swojego samochodu i z głową wtuloną w ramiona podjechał do bramy remizy. Wysiadł po prawej stronie i wsunął sobie na głowę uprząż do mocowania noktowizora.

Czas na polowanie.

Reflektory radiowozu Sam Cole przecinały mrok, a wycie syreny wstrząsało zatopioną w nocnej ciszy okolicą. Doskonale znała tutejsze kręte, boczne drogi, a mimo to kilka razy musiała tak gwałtownie hamować, że aż nachodziły ją obawy, iż zaraz wyleci z nasypu w powietrze i wbije się za zakrętem w pulchną ziemię, ponosząc śmierć na miejscu.

Wreszcie pokonała ostatni zakręt i wdepnęła pedał gazu, wyprowadziwszy wóz na prostą. Kilka sekund później ujrzała remizę. Zatrzymała auto i nakierowała światło reflektorów na leżące na betonie ciało zabitego człowieka. Bez namysłu sięgnęła po pistolet i otworzyła drzwi. Dopiero wtedy zadzwoniła ze swojej komórki pod numer Pullera, ale nie odebrał.

Wysunęła się z za kierownicy, ale pozostała za osłoną otwartych drzwi auta. Popatrzyła na leżący pod ścianą remizy motocykl, a potem na stojącego nieco dalej malibu. Z oddali doleciały syreny. Minutę później obok jej samochodu zatrzymały się dwa policyjne radiowozy.

– Snajper jest gdzieś tam! – krzyknęła.

Zastępcy szeryfa poszli w jej ślady, także przykucnęli za osłoną otwartych drzwi.

– Oslaniajcie mnie! – zawołała Cole.

Miała na sobie standardową kamizelkę kuloodporną i mogła się tylko modlić, że to wystarczy. Pobiegła przed siebie i kucnęła przy zwłokach. Uniosła osłonę sprzed oczu i spojrzała na twarz zabitego.

Dickie Strauss wcale nie wyglądał na pogrążonego we śnie. Sprawiał wrażenie, jakby ktoś wypalił z armaty tuż przy jego głowie.

– Nie żyje! – zawołała do policjantów. Popatrzyła na dziury w kasku motocyklowym Dickiego i dodała: – Dostał w bok głowy. Ciężka artyleria.

– Lepiej niech się pani schowa, sierżancie! – odkrzyknął któryś.

Cole podbiegła z powrotem do samochodu i przykucnęła za drzwiami. Obejrzała się na swoich zastępców.

– Wezwijcie posiłki. Niech zablokują wszystkie drogi dojazdowe do osiedla. Nie można dać uciec łajdakowi.

– A gdzie ten koleś z armii? – zapytał jeden z policjantów.

Cole popatrzyła w ciemność.

Odezwij się, Puller. Tylko mi tu nie zgiń. Nie daj się zabić.

Tymczasem Puller wybrał na punkt obserwacyjny opuszczony dom, stojący około pięciuset metrów od remizy. Według jego obliczeń gdzieś stamtąd padł strzał. Średnio uzdolniony snajper mógł trafić w cel o dowolnej porze dnia i nocy z odległości od sześciuset do tysiąca metrów, jeśli dysponował odpowiednim sprzętem. Pocisk typu Lapua dowodził jasno, że ten strzelec ma taki sprzęt.

Policijni snajperzy podczas obław w mieście zwykle strzelali do celu z odległości kilkudziesięciu metrów. Snajperzy wojskowi mieli do czynienia z większymi dystansami, ponieważ mierzyli się z innym przeciwnikiem. Tym razem Puller słyszał huk wystrzału, a więc strzelec nie mógł się znajdować dalej niż o milę. Wojskowe karabiny snajperskie odznaczały się dłuższymi lufami od broni policyjnej, przez co ładunek miotający wypalał się do końca, zatem z otworu lufy nie buchał płomień, a pocisk uzyskiwał większą prędkość. W ten sposób trudniej było ustalić pozycję snajpera, on zaś miał większe szanse na to, że trafienie będzie śmiertelne.

Ciekawiło go, czy snajper ma do pomocy obserwatora. Jeśli tak, siły były nierówne i wynosiły dwóch do jednego. W oddali słychać już było syreny policyjne. Nadciągała Cole ze swoimi ludźmi, co było zarówno dobre, jak i złe. Dobre dlatego, że posiłki były zawsze mile widziane, a złe, bo strzelec miał teraz silniejszą motywację, by się stąd wynieść.

Zlustrował teren przed sobą, wypatrując cieniutkiej wiązki laserowego namiernika. Takie urządzenia były doskonałe w trakcie mierzenia do celu, ale nie cieszyły się popularnością na polu bitwy, gdyż zdradzały pozycję snajpera. Puller zawsze polegał tylko na doświadczeniu obserwatora i celownika optycznym, na którego skali mógł bez trudu porównać wysokość obiektu z rozmiarem rzeczywistym i w ten sposób obliczyć dystans. Doświadczenie pozwalało błyskawicznie oszacować wielkość głowy człowieka, szerokość w ramionach czy wysokość od bioder do czubka głowy z wartościami przeciętnymi. W takiej sytuacji można było doskonale ustawić odległość w celowniku. Gliniarze najczęściej mierzyli w „morełę”, to znaczy w ten kilkucentymetrowy odcinek rdzenia przedłużonego, łączącego się z mózdzkiem zawiadującym odruchami bezwarunkowymi. W razie trafienia śmierć była natychmiastowa. Snajperzy wojskowi, których cele znajdowały się dużo dalej,

zazwyczaj nie wybierali konkretnego punktu, a mierzyli w korpus stanowiący największą część obiektu.

Strzelec, z którym miał teraz do czynienia, wyłamał się z tego stereotypu. Strzelił w głowę, ale z odległości ponad trzystu metrów.

Był gliniarzem czy wojskowym?

A może jednym i drugim?

Gdyby oddał drugi strzał, Puller mógłby zidentyfikować jego pozycję metodą triangulacji. Tyle że gdyby strzelił i trafił go w głowę lub klatkę piersiową, pocisk Lapua jeśli nie zabiłby go na miejscu, to przynajmniej poważnie zranił.

Wpatrywał się więc w teren przed sobą, lustrując wzrokiem opuszczone domy i wyludnione ulice. Ale nie wszystkie domy były puste. Przed niektórymi stały zaparkowane samochody. Gdzieś w oknach migotał słaby blask światła. Czyżby nikt nie zdawał sobie sprawy, że gdzieś tu się czai snajper? Nikt nie słyszał wystrzału?

Obejrzał się w kierunku remizy i popatrzył na ciało Dickiego Straussa leżące na betonowym placu. Po trafieniu kulą motocykl pokonał jeszcze pewien dystans, chłopak spadł z siodła po jakichś trzech sekundach. Zatem trajektorię pocisku należało odtworzyć z innego miejsca, bardziej oddalonego od bramy. Po raz kolejny powiódł spojrzeniem po okolicy. Tylko jedno miejsce zapewniało idealne pole widzenia. Dom na końcu bocznego zaułka. Tonący w ciemnościach, bez stojącego przed nim auta. Za nim ciągnęły się kolejne domy w zabudowie szeregowej, ale wszystkie skierowane frontem w przeciwną stronę.

Nastawił uszu, próbując ignorować zawodzenie policyjnych syren. Dokoła panowała cisza.

Podjął decyzję.

Chwilę później był już w drodze. Mimo potężnej sylwetki umiał poruszać się prawie bezszelestnie. Miało to swoje wady i zalety. Dzięki długim nogom pokonywał większe dystanse kosztem mniejszego wysiłku. Mało kto się jednak spodziewał, żeby taki olbrzym potrafił się przemieszczać tak cicho. Większość ludzi podejrzewała, że jego ruchom będą towarzyszyć odgłosy przypominające szarżującego słonia. Większość trwała w tym przekonaniu do końca swoich chwil.

Puller miał nadzieję, że teraz ma do czynienia z kolejnym przykładem stereotypowego myślenia.

Karabin snajperski ważył siedem kilogramów i miał sto siedem centymetrów długości, prawie jak sztanga do wyciskania ciężarów. To dlatego najczęściej strzelało się z niego w pozycji leżącej. Przerzucił go do prawej ręki. Dwójnóg przymocowany u końca lufy był złożony. Poruszał się dość szybko, rytmicznym krokiem. Zlikwidował jeden obiekt tego wieczoru. Nie miał ochoty na następny. Nie dzisiaj.

Obejrzał się przez ramię, ale za nim panowała tylko ciemność. Zaledwie dziesięć metrów dzieliło go od linii drzew. Potem wystarczyło pięć minut spaceru przez las, żeby dotrzeć do samochodu. Musiał się jednak spieszyć, zanim policja zdąży zablokować drogi. Podobał mu się ten okręg. Miał dosyć duży obszar i zdecydowanie za mało policjantów, żeby zrobić to, jak należy.

Przystanął i odwrócił się.

Z daleka dolatywało wycie syren policyjnych. Ale było też jeszcze coś innego. Zaskakującego.

Opuścił lewą rękę do pasa.

– Opuść ją jeszcze niżej, a będziesz miał czym złapać swoje bebechy.

Błyskawicznie znieruchomiał jak sparaliżowany.

Ale Puller nie wyłonił się ze ściany lasu. Nie wiedział, czy snajper jest sam. Wolał z ukrycia trzymać łajdaka na muszce.

– Po pierwsze, weź karabin za koniec lufy i rzuć go daleko od siebie. Po drugie, połóż się twarzą do ziemi, z dłońmi splecionymi za głową i zamkniętymi oczami, ale szeroko rozrzuconymi nogami.

Snajper oparł karabin kolbą o ziemię, chwycił go za koniec lufy, wziął zamach i odrzucił w bok. Ciężka broń wylądowała z hukiem trzy metry dalej, wyrzucając w powietrze kępy wyrwanej trawy i ziemię.

– Pierwsza część wykonana. Teraz druga – odezwał się Puller.

– Jakim sposobem mnie wyprzedziłeś? – zapytał obcy.

Pullerowi nie podobało się to pytanie, a jeszcze bardziej nie podobał mu się sposób, w jaki zostało zadane – flegmatyczny, pełen szczerzego zainteresowania, za to bez cienia obaw o konsekwencje schwytania. Po raz kolejny zlustrował

teren przed sobą. Czyżby gdzieś tam krył się obserwator? Człowiek zapewniający wsparcie i osłaniający odwrót snajpera?

– Dzięki triangulacji – odparł. – Wystarczyło tylko wyciągnąć logiczne wnioski, a potem jeszcze wyciągnąć nogi.

– Nie słyszałem, jak się zbliżasz.

– Twoja strata. Dlaczego zlikwidowałeś Dickiego?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Myślisz, że dużo osób w tej okolicy używa naboju typu Lapua.

– Możesz się jeszcze z tego wycofać, Puller. Nawet teraz. Chyba powinieneś skorzystać z okazji.

Ta zmiana taktyki jeszcze mniej mu się spodobała. Poczul się tak, jakby ktoś inny już trzymał go na muszce. I wielkodusznie oferował możliwość ujęcia z życiem.

– Słucham – powiedział.

– Jestem pewien, że już z grubsza ogarniasz całość. Ode mnie nie dowiesz się niczego więcej. To nie moje zadanie, żeby odwalać za ciebie twoją robotę.

– Zginęło osiem osób. Musiał istnieć ku temu cholernie ważny powód.

Puller wsunął palec pod osłonę spustu pistoletu MP5. Wystarczył lekki nacisk, żeby padły strzały.

– Musiał.

– Jak zaczniesz gadać, możemy dojść do porozumienia.

– Nie sądzę.

– Jesteś aż tak lojalny?

– Możesz to i tak nazwać. Pozwoliłem się złapać. Moja wina. Moja odpowiedzialność.

– Kładź się twarzą do ziemi. Mówię po raz ostatni.

Wymierzył w snajpera. Z tej odległości nie mógł nie trafić. Równocześnie zwracał baczną uwagę na teren po swojej prawej stronie. Lewą ręką wyciągnął z kabury M11 i zaczął nim powoli wodzić w promieniu trzydziestu stopni.

Mężczyzna osunął się na kolana. Potem wyciągnął się brzuchem na ziemi. Zaczął już splatać dłonie za głową, lecz błyskawicznie sięgnął prawą ręką do pasa.

Puller użył swojego pistoletu, żeby wpakować po jednej kuli w każde z ramion tamtego, po czym błyskawicznie uskoczył w lewo i skrył się za pnem

drzewa. Zdawał sobie sprawę, że błyski ognia z lufy mogły zdradzić jego pozycję. Nie podszedł bliżej snajpera po wystrzałach, bo nie było takiej potrzeby. Tamten nie mógł już użyć przeciwko niemu jakiegokolwiek broni. Z ranami w obu rękach nie był w stanie wymierzyć. Należało jednak wziąć pod uwagę, że sięgnął po pistolet z dwóch zasadniczych powodów.

Po pierwsze chciał, by Puller go zabił.

On jednak nie zamierzał spełniać tego życzenia. Wolał mieć świadka, którego da się przesłuchać.

A po drugie na pewno chciał, żeby Puller, otwierając ogień, ujawnił swoją pozycję. Właśnie dlatego zaraz po wystrzeleniu dwóch pocisków uskoczył za drzewo.

Czekał cierpliwie, obawiając się strzałów z całkiem innej strony.

Przeliczył się.

Zdażył ledwie obrzucić uważnym spojrzeniem mężczyznę leżącego przed ścianą lasu, z krwią wypływającą mu z ran w obu ramionach. Na szczęście udało mu się uniknąć takiego trafienia, po którym wytrysnęłaby fontanna krwi z rozerwanej tętnicy.

O ułamek sekundy za późno zauważył, że tamten zdołał jednak wsunąć rękę pod siebie. Padł strzał.

– Cholera – warknął, spoglądając, jak ciało snajpera podskakuje od impetu trafienia, po czym nieruchomieje.

Kula wyszła snajperowi przez plecy. W martwym punkcie. Wystarczył strzał z broni przyciśniętej brzuchem do ziemi. Oryginalna forma samobójstwa.

Stracił więc potencjalnie najważniejszego świadka. Kimkolwiek byli ci ludzie, zostali specjalnie przeszkoleni. Decyzja o natychmiastowej śmierci, odrzucenie ewentualności przeżycia, nie mogła przyjść łatwo. Niemniej można było odnieść wrażenie, że strzelec od początku brał pod uwagę takie rozwiązanie. Od chwili, kiedy stało się jasne, że został zdemaskowany i nie uniknie więzienia.

Puller rozluźnił się na chwilę. I był to niemal katastrofalny w skutkach błąd.

W ostatniej chwili zdołał zablokować kolbę pistoletu nóż wymierzony w jego brzuch, ale napastnik zdołał równocześnie drugą ręką wyprowadzić cios w jego ramię, przez co Puller wypuścił z rąk karabinek MP5. Błyskawicznie uniósł pistolet, lecz kopnięcie z boku posłało i tę broń szerokim łukiem na ziemię. Mężczyzna zaatakował natychmiast, wymachując nożem to na prawo, to na

lewo, żeby go zmylić. Miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył ponad sto kilogramów, odznaczał się gęstymi, czarnymi włosami, szczupłą, śniadą twarzą oraz lodowatym spojrzeniem bezlitosnego zabójcy.

Tyle że trafił na Pullera.

Ten błyskawicznie unieruchomił rękę z nożem przy jego piersi, pochylił się nisko i zadał cios głową w krtani tamtego. Nóż z brzękiem wylądował na ziemi. Puller obrócił się na pięcie, trzymając prawą ręką głowę przeciwnika, i szarpnął nią w prawo, równocześnie wymierzając lewym łokciem cios w jego szyję.

Mężczyzna zacharczał, z ust i nosa popłynęła mu krew.

– Poddaj się, to daruję ci życie, dupku – syknął Puller.

Ale tamten nie zamierzał rezygnować. Wymierzył kopniaka w krocze Pullera i zamierzył się na jego oczy. Ciosy były irytujące, ale do zablokowania. Pullerowi zależało na tym, by pojmać przeciwnika żywego. Ale kiedy tamten sięgnął do kabury na jego plecach, by wyszarpnąć drugiego M11, natychmiast doszedł do wniosku, że lepiej pozostać przy życiu bez świadka, niż zginąć na miejscu.

Błyskawicznie obrócił się i zajął pozycję za plecami mężczyzny, jedną ręką, z łokciem uniesionym ku górze, obejmując go za szyję, a drugą zaciskając na jego piersi, po czym szarpnął nimi w przeciwne strony. Kiedy przeciwnik zaczął krzyczeć, podniósł go z ziemi, obrócił dookoła i huknął nim o najbliższe drzewo. Rozległ się trzask pękającego kręgosłupa, toteż puścił ciężar na ziemię. Z trudem łapiąc oddech, popatrzył na leżącego bezwładnie trupa. Potem na nóż. Na ząbkowane ostrze. I wytartą rękojeść. Często był używany. Tego wieczora miał spłynąć jego krwią. Dlatego Puller nie czuł ani trochę żalu po tym, co się stało.

– Puller!

Spojrzał w prawo.

Rozpoznał głos Cole.

– Tu jestem. Uważaj. Mam tu martwego snajpera i jego obstawę. Może ich być więcej. Nic mi nie jest.

Upłynęło dziesięć minut, nim Cole zapytała ponownie:

– Możemy do ciebie dołączyć?

Po raz ostatni omiół spojrzeniem linię drzew.

– W porządku.

Kilka minut później ujrzał Cole i dwóch jej zastępców.

– Puller?

– Po prawej.

Wyszedł zza drzewa, aby go zobaczyli.

Cole i dwaj policjanci pospieszyli w jego kierunku.

Puller ukląkł i przekręcił snajpera na wznak.

– Poświeć na jego twarz.

Gliniarz o imieniu Lou aż jęknął cicho.

– To ten facet, który podał się za Treadwella, gdy rozpytywałem sąsiadów.

Puller wstał.

– Tak mi się wydawało.

– Dlaczego? – zdziwił się Lou.

– Pasował do twojego opisu. Teraz wiemy przynajmniej, że równie celnie strzelał na dystans, co z bliska.

Lou popatrzył na drugiego mężczyznę.

– A jemu co zrobiłeś, do diabła?

– Zabiłem go – rzekł obojętnie Puller. – Zanim on zdążył zabić mnie.

– Przed remizą zginął Dickie Strauss – powiedziała Cole.

– Wiem.

– Co on tu robił?

– Przyjechał na spotkanie ze mną.

Cole spojrzała na rany na ramionach snajpera.

– To od twoich kul?

Skinął głową.

– Sięgał po broń. Chyba miał nadzieję, że go zabiję. Nie zrobiłem tego, tylko go zraniłem. Więc sam strzelił do siebie. Powinienem był to przewidzieć. Ale gdy ktoś chce się zabić, a ma broń pod ręką, niewiele można zrobić.

– Pewnie masz rację – odparła krótko.

Puller rozejrzał się i powiedział:

– Zabezpieczcie oba miejsca zbrodni. Zadzwoń po Lana Monroe i kogo jeszcze trzeba. Wtedy będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

– O czym?

– O wielu rzeczach.

Cole czekała na niego w domu. Puller wpadł tylko na krótko do swojego pokoju w motelu i zaraz zjawił się u niej. Przywitała go przy drzwiach i poprowadziła korytarzem do kuchni.

– Napijesz się czegoś? – zapytała. – Mam piwo.

– Nie, dzięki – odparł.

Usiedli w pokoju za kuchnią, skąd okna wychodziły na tylne podwórze. Było gorąco i parno, a ścienny klimatyzator w pokoju pracował tak samo mało wydajnie, jak ten w motelu. Miał wrażenie, że czuje na języku smak pyłu węglowego, a skóra pokrywa mu się cieniutką czarną powłoką.

Usiadła naprzeciwko niego, trzymając w ręku butelkę piwa.

– Kiedy sprawdzałeś swoje tropy – zaczęła – ja odwiedziłam miejsce pracy Treadwella. Jedyna cenna informacja, jaką tam uzyskałam, jest taka, że nie zauważyli żadnych braków w towarach. I nikt nie umiał wyjaśnić, skąd w domu Treadwella mogły się wziąć ślady węgla wolframu, bo oni tym nie handlują.

– Więc nie podkradał chemikaliów z pracy?

– Nie.

– Znalazłem wyjaśnienie dla laboratorium produkcji amfetaminy.

– Jakże?

Opowiedział jej o swoich odkryciach w remizie.

– Cholera. To oznacza, że klub Xanadu handluje prochami?

– Wszystko na to wskazuje – odparł Puller. – Ale to ślepa uliczka. I kończy nam się czas.

– Co masz na myśli?

Streścił jej swoją rozmowę z Masonem. Powiedział o gazociągu nadzorowanym przez spółkę Trenta, o elektrowni jądrowej będącej prawdopodobnie głównym celem terrorystów, jak też o kłopotach finansowych Trenta.

Kiedy skończył, odstawiła piwo na podłogę i odchyliła się na oparcie fotela.

– Nie jestem pewna, od czego zacząć – mruknęła. – Jean nigdy mi nie wspominała o problemach finansowych. A tobie od razu powiedziała?

– Chyba przyłapałem ją w chwili słabości. Poza tym nie należę do rodziny. Może po prostu nie chciała, żebyście wiedzieli. Może czuła się upokorzona, że grozi jej powrót do ubóstwa.

– Jesteś głodny? Bo ja nagle zgłodniałam.

– Zapomnij o jedzeniu, Cole. Mamy niecałe dwa...

– Muszę zrobić jakieś kanapki, Puller – przerwała mu roztrzęsiona. – Muszę choć na krótko zająć się czymś zwyczajnym. Bo inaczej zwariuję. Autentycznie. Mówię poważnie. Nie byłam przygotowana na coś takiego. Cholera, takie rzeczy nie powinny się zdarzać w miasteczkach typu Drake.

– W porządku. Rozumiem – odparł łagodnie. – W czym ci pomóc?

Poszli do kuchni i przygotowali kanapki z pieczonym indykiem, plastrami ogórków konserwowych oraz chipsami ziemniaczanymi dla ozdoby. Jedli, stojąc przy zlewie.

– O czym myślisz? – zapytała w końcu cicho.

Puller przełknął kęs kanapki i wziął z talerza kilka chipsów.

– Snajper dobrze wiedział, co robi. Dysponował świetnym karabinem oraz specjalistyczną amunicją. Doskonale wybrał stanowisko i niewiele brakowało, żeby zdołał uciec po zabójstwie. Musiałem niezłe wyciągać nogi, żeby go dogonić, w dodatku dopisało mi trochę szczęścia. A jestem naprawdę dobry w tropieniu takich strzelców prawie w każdym terenie i każdych warunkach. – Urwał na chwilę. – A mimo to o mało mi się nie wymknął. Jego obserwator też był dobry. Nie tak dobry, jak ja, ale naprawdę niezły.

– Niech żyje skromność – powiedziała Cole.

– To tylko realizm – odrzekł. – Niedocenianie lub przecenianie własnych umiejętności może być zabójcze. Znam chłopaków jeszcze lepszych ode mnie. On po prostu się do nich nie zaliczał.

– Jasne.

– Załóżmy, że Dickie, Treadwell i Molly wciągnęli się w biznes amfetaminowy. Powiedziałem wcześniej, że moim zdaniem Dickie znalazł się między młotem a kowadłem. Rozprowadzał amfetaminę, co z pewnością chciał zachować w tajemnicy, ale równocześnie natknął się na coś innego, co było o wiele gorsze.

– Mówiłeś, że miałeś się z nim spotkać dziś wieczorem. Przychodzi ci do głowy, co zamierzał ci powiedzieć?

– Nie. Być może nic. To ja go poprosiłem o spotkanie.

Otworzyła lodówkę i wyjęła dwie butelki wody mineralnej. Jedną podała Pullerowi.

– Gazociąg i elektrownia atomowa – powiedziała. – I mamy tylko dwa dni. To czyste wariactwo, Puller.

– Jest jak jest.

– Powinieneś wezwać na pomoc ciężką artylerię.

– Próbowałem, Cole. Ale tamtych na górze to nie rusza.

– Więc po prostu wystawiają nas na odstrzał?

Stali naprzeciwko siebie, bardzo blisko, lecz jemu się wydawało, że dzielą ich kilometry. Przez większą część dorosłego życia służył ojczyźnie. A przecież służba ojczyźnie w rzeczywistości oznaczała służbę na rzecz obywateli. Czyli takich ludzi jak ta kobieta, która teraz z bezradną miną patrzyła mu w oczy. Jeszcze nigdy nie czuł się aż tak rozdarty.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Cole. Naprawdę nie wiem.

– Na pewno jest jedna rzecz, którą musimy zrobić – powiedziała.

– Jaka? – zapytał ostrożnie.

– Trzeba zawiadomić Billa Straussa o śmierci syna.

– Pojadę z tobą.

– Nie musisz.

– Owszem, muszę.

Wyszli razem.

Pojechali jego malibu. Nocne powietrze wydawało się jeszcze bardziej duszne niż za dnia, gdy temperatura wynosiła ponad trzydzieści stopni, a wilgotność utrzymywała się na poziomie dziewięćdziesięciu procent. Światła reflektorów wyłaniały z ciemności roje komarów czyhających na ofiary. Jakies dwadzieścia metrów przed nimi z lasu po lewej wyskoczyła sarna. Puller wcisnął hamulec. Kilka sekund później z krzaków wypadł inny zwierz przypominający małą pumę, w dwóch susach przeskoczył wstęgę asfaltu i zniknął w gąszczu po drugiej stronie.

Wyglądało na to, że drapieżniki masowo ruszyły na łowy.

– Na Bliskim Wschodzie było jeszcze goręcej, ale nie tak wilgotno. Tutejszy klimat bardziej mi się kojarzy z Florydą – powiedział, zwalniając przed kolejnym zakrętem, skłaniającym do wniosku, że proste drogi w ogóle tu nie występują.

– Nigdy nie byłam na Florydzie – odezwała się Cole. – Nigdy nie wyjeżdżałam nawet z Wirginii Zachodniej. Tu jest mój dom.

Podkreślił jeszcze chłodzenie w klimatyzacji i otarł pot z czoła. W jej słowach wyczuł gorycz.

– Porozmawiajmy o tym – zaproponował.

– To mnie stawia w straszliwie niezręcznej sytuacji.

Spojrzał na nią.

– Wiem. Jesteś stróżem prawa. Pełnisz służbę publiczną. Powinnaś strzec i bronić.

– Zgadza się. Więc co mam teraz zrobić? Zgłosić wniosek o ewakuację całego okręgu?

Zacisnęła mocniej palce na kierowcy i zapatrzył się w ciemność. Wcześniej Cole dyktowała mu, którądy ma jechać do domu Straussów, ale widocznie znajdowali się na dłuższym odcinku prostej drogi, przynajmniej według miejscowych standardów, gdyż Cole między kolejnymi wskazówkami najwyraźniej postanowiła wykorzystać tę okazję do wyrażenia swoich obaw.

– Pewnie mogłabyś spróbować. Ale nie dysponując żadnymi konkretnymi,

prawdopodobnie nie osiągnęłabyś żadnego skutku.

– A gdybyś mnie wsparł? Razem z twoimi przełożonymi z Waszyngtonu?

– Na to nie licz – odparł szczerze.

– Dlaczego, do cholery?

Postanowił dalej być całkiem szczerzy.

– Dla tych z Waszyngtonu jesteście okazją do tego, żeby napisać nowy rozdział do podręcznika walki z terroryzmem i jedynie przy okazji uziemić paru łajdaków.

– To znaczy, że traktują nas jak króliki doświadczalne?! – warknęła.

– Dokładnie tak. Federalni doszli do wniosku, że gdyby teraz ogłosić alarm, łajdacy po cichu zwiną majdan i przeniosą się ze swoimi planami w inne miejsce.

– Ale to jest moje miasto. Tu się urodziłam. Znam ludzi. Nie mogę beczynnie czekać, aż nic z tego nie pozostanie.

Puller spojrzał na nią, ale szybko odwrócił wzrok.

– Słyszałeś? Rozumiesz wreszcie moją sytuację?

– Tak, rozumiem. Ale to oznacza tylko, że chyba niepotrzebnie powiedziałem ci o wszystkim.

– Jak to niepotrzebnie?!

– Bo wniosek jest taki, że władze federalne nie zrobią nic, aby temu zapobiec. Czekają, co z tego wyniknie. Ściągną tu wojsko w ostatniej chwili. I tak będą raczej mieli dość czasu, żeby zminimalizować straty wśród ludności.

– Będą raczej mieli dość czasu? Żeby zminimalizować straty wśród ludności?!

– Ale to nie znaczy, że trzeba siedzieć beczynnie z podkulonym ogonem – przerwał jej ostrzej. – Możemy dalej próbować rozwiązać sprawę, zanim łajdacy pociągną za spust.

– A jeśli nic nie wskóramy?

– Nic lepszego nie umiem zaproponować.

– Na dobrą sprawę każesz mi wybierać między ojczyzną a moimi sąsiadami.

– Niczego ci nie każę, Cole. Ja tylko powtarzam, czego sam się dowiedziałem. Nie podoba mi się to tak samo jak tobie.

– Więc co zamierzasz?

– Jestem żołnierzem. Dla mnie wybór jest prosty. Będę dalej wykonywał

rozkazy.

– Gówniana wymówka.

– Owszem, masz rację. Gówniana.

– No więc?

Tak mocno zacisnął palce na kierownicy, że aż odniósł wrażenie, że lekko się ugięła.

– No więc nie wiem.

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Cole przerwała je tylko po to, żeby powiedzieć mu, gdzie ma skręcić.

Gdy już się zbliżali do domu Straussów, zapytała:

– A jeśli sama zdecyduję się podnieść alarm?

– To zależy tylko do ciebie.

– Nie zastrzelisz mnie?

– To też zależy tylko do ciebie – powtórzył. – Ale nie, nie zastrzelę cię. – Westchnął ciężko. – Prawdę mówiąc, prędzej cię poprę.

– Naprawdę? Dlaczego?

Zerknął w jej stronę. Wpatrywała się w niego z uwagą.

– Bo według mnie to będzie słuszne – odparł. – Czasem ci na górze zapominają o tym małym szczególe. Nie myślą o tym, co słuszne.

Przed nimi wyłoniły się światła domu Straussów. Kiedy Puller skręcił na podjazd, dodał:

– Możemy wspólnie przez to przebrnąć, jeśli będziemy współpracować.

Przycisnęła obie dłonie do deski rozdzielczej, jakby chciała w ten sposób powstrzymać oszalałe myśli.

Wyciągnął rękę i lekko ścisnął ją za ramię.

– Nie jesteś osamotniona, Sam. Jestem tu z tobą.

Odwróciła się do niego.

– Pierwszy raz odezwałeś się do mnie po imieniu.

– Służę w wojsku, a to bardzo sformalizowane środowisko.

Poklepała go po dłoni.

– Nic mi nie jest... John. – Spojrzała mu w oczy. – To cię nie drażni? Że czasami i ja będę się do ciebie zwracać po imieniu? Wiem, że to pewnie brzmi głupio, że zwracam uwagę na takie głupstwa wobec tego wszystkiego, co się

dzieje.

- Nie ma sprawy. To i tak lepsze niż Romeo.
- Albo Julia – dorzuciła.

Dom Straussów był tylko w połowie tak duży jak dom Trentów, co według lokalnych standardów oznaczało, że i tak jest ogromny. Zresztą większość amerykańskich standardów była podobna, skorygował w myślach Puller. Stał na ogrodzonej, pięciohektarowej działce, na którą także prowadziła niewielka brama, chociaż przy niej nie było strażnika jak w rezydencji Trenta.

Cole zadzwoniła wcześniej i wyciągnęła Straussa oraz jego żonę z łóżka. Gospodarze czekali już więc na nich, gdy zadzwonili do drzwi. Pani Strauss, która okazała się dużą, potężnie zbudowaną kobietą, znalazła nawet czas, żeby się starannie uczesać, chociaż był to środek nocy. Miała na sobie luźne spodnie i wypuszczoną na nie bluzkę, na jej twarzy malował się wyraz rozpacz.

Bill Strauss ubrał się w dżinsy i koszulkę polo. Obracał w palcach niezapalonego papierosa. Być może jego żona, jak Rhonda Dougett, nie pozwalała mu palić w domu.

Usiedli obok siebie na kanapie. Cole wyjaśniła, co się stało. Kiedy zaczęła mówić o snajperze, Bill Strauss jej przerwał.

– Mówisz, że ktoś go zamordował? Specjalnie zabił Dickiego?

– Byłem przy tym – wtrącił Puller. – Dokładnie tak się stało.

Strauss spojrzał na niego.

– Byłeś w remizie? Po co?

– To teraz nieistotne, panie Strauss – odpowiedziała Cole.

– Macie jakieś tropy pozwalające zidentyfikować zabójcę?

– Powiem więcej – odezwał się Puller. – Mamy zabójcę.

Małżonkowie zapatrzyli się na niego. Po chwili Bill Strauss zapytał:

– Złapaliście go? Kto to jest? Dlaczego zabił naszego syna?

– Nie wiemy, kto to jest. I nie możemy go zapytać, dlaczego zabił Dickiego, ponieważ zastrzelił się kilka minut po oddaniu strzału z karabinu.

Pani Strauss zaczęła cicho płakać, ukrywając twarz w dłoniach, podczas gdy jej mąż trzymał ją w ramionach. Po kilku sekundach kobieta przestała nad sobą panować i dostała spazmów, więc mąż wyprowadził ją z pokoju i powiodł korytarzem w głąb domu.

Puller i Cole w milczeniu czekali na jego powrót. Po kilku minutach Puller wstał i zaczął się rozglądać po pokoju.

Wreszcie wrócił Strauss.

– Przepraszam, że musieliście czekać – rzekł. – Ale chyba rozumiecie, co teraz oboje przeżywamy.

– Oczywiście – odparła Cole. – Możemy przyjechać kiedy indziej, jeśli pan woli. Wiem, że to bardzo trudne dla was chwile.

Strauss usiadł i pokręcił głową.

– Nie, miejmy to już za sobą.

Tym razem przypalił papierosa i wydmuchnął dym w stronę ściany.

– Próbuje się dowiedzieć, kim był zabity. Gdybyśmy go zidentyfikowali, bardzo by to nam pomogło w dochodzeniu.

– Ale jesteście pewni, że nie pochodził stąd? – zapytał Strauss.

– Raczej nie, ale szukamy potwierdzenia.

– Czy przychodzi panu do głowy jakiś powód, dla którego ktoś mógłby pragnąć śmierci waszego syna? – odezwała się Cole.

– Nie. Dickie nie miał wrogów. Tylko przyjaciół. A w klubie motocyklowym dobrych kumpli.

– Gdzie pracował? – zapytał Puller.

– No cóż... Chwilowo nie miał stałej pracy – odrzekł Strauss.

– A gdzie pracował ostatnio?

– W Drake nie ma wielu miejsc pracy.

– Są, w Trent Exploration – zripostował Puller. – A pan jest tam przecież dyrektorem naczelnym.

– Zgadza się. Ale Dickie nie chciał pracować dla Trenta.

– Dlaczego?

– Po prostu nie był zainteresowany taką pracą.

– Więc go utrzymywaliście?

– Co? – rzucił Strauss, jak gdyby w zamyśleniu. – My, a prawdę mówiąc, ja dawałem mu od czasu do czasu trochę pieniędzy. No i mieszkał z nami w domu. Był naszym jedynym dzieckiem. Pewnie go rozpieściliśmy. – Urwał i głęboko zaciągnął się dymem. – Ale na pewno nie zasłużył na to, żeby zginąć w ten sposób.

– Oczywiście, że nie – przyznała Cole.

– Jeśli mieszkał tutaj – rzekł Puller – na pewnym etapie będziemy musieli przeszukać jego pokój.

– Ale nie dziś – dodała szybko Cole.

– Zdradził mi, dlaczego został usunięty z wojska – rzucił Puller, czym zaskarbił sobie ostre spojrzenie gospodarza.

– To było... niefortunne.

– Homoseksualizm czy wyżywanie się na młodszych żołnierzach?

– Jedno i drugie – przyznał szczerze Strauss. – Nie jestem homofobem, agencie Puller. Pewnie myśli pan, że ktoś taki jak ja, pochodzący z małego miasteczka, nie może mieć otwartej głowy na takie sprawy, ale ja kochałem mojego syna.

– W porządku – odrzekł Puller. – Nie był złym człowiekiem. Chciał czynić to, co uważał za słuszne.

– Co masz na myśli?

– Pomagał nam w dochodzeniu – powiedziała Cole.

– Pomagał wam? W jaki sposób?

– Po prostu pomagał.

– I myślisz, że przez to został zabity?

– Nie wiem.

– Mój Boże... – szepnęła Strauss. – Tyle ludzi zginęło w Drake w ciągu zaledwie kilku dni. Uważacie, że te sprawy są ze sobą powiązane?

– Tak sądzimy – odparła Cole.

– Dlaczego?

– Nie mogę o tym mówić – powiedziała.

Puller od pewnego czasu wpatrywał się w Straussa, rozmyślając, czy nie zmienić tematu. Wreszcie doszedł do wniosku, że szkoda marnować czas.

– Dowiedział się pan czegoś o pozwoleniu na tę ostatnią serię eksplozji?

Strauss popatrzył na niego w roztargnieniu.

– Dzwoniłem do biura nadzorującego eksplozje. Sprawdzili. Brygadzista wystąpił o niezbędne zezwolenie na tę operację i je otrzymał. Zawiodło tylko ogłoszenie w prasie, które nie ukazało się na czas. Brygadzista o tym nie wiedział, dlatego i tak zarządził serię strzałów. Niestety, takie rzeczy się zdarzają. Na szczęście nie za często.

– Kto wiedział, o jakiej porze będą odpalane ładunki?

– Ja wiedziałem. I brygadzysta. Wiele osób w firmie.

– A Roger Trent?

– Tego nie jestem pewien, ale gdyby go to interesowało, bez trudu mógłby się dowiedzieć.

Cole wstała i wręczyła mu swoją wizytówkę.

– Jeśli pan sobie coś przypomni, proszę zadzwonić. Bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiego syna.

Strauss ze zdumieniem przyjął to niespodziewane zakończenie rozmowy. Wstał na miękkich nogach.

– Dziękuję, sierżant Cole.

Puller wstał jako ostatni. Zbliżył się do Straussa i rzekł:

– Zginęło wiele osób, panie Strauss. Nie chcemy, aby ta liczba jeszcze się powiększyła.

– Oczywiście, to zrozumiałe. – Tamten nagle poczerwieniał. – Chyba nie sugeruje pan, że miałem cokolwiek...

– Nie, niczego nie sugeruję.

Myślisz, że on kłamie? – zapytała Cole, gdy szli z powrotem do samochodu.

– Myślę, że wie dużo więcej, niż jest skłonny nam zdradzić.

– I sądzisz, że maczał palce w zabójstwie własnego syna? Sprawiał wrażenie autentycznie zrozpaczonego.

– Może nie życzył sobie, aby syn miał z tym wszystkim cokolwiek wspólnego.

Wsiedli do samochodu i Puller wycofał wóz sprzed domu Straussów.

Cole obejrzała się przez tylną szybę.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym stracić dziecko.

– Prawdę mówiąc, każdy potrafi to sobie wyobrazić. Tylko nikt nie chce tego doświadczyć.

– Myślałeś kiedykolwiek o tym, żeby się ożenić?

Jestem żonaty, pomyślał Puller. Moją żoną jest armia Stanów Zjednoczonych. Ona też potrafi być prawdziwą suką.

– Każdy o tym myśli – odparł. – W pewnym wieku.

– Trudno służyć w policji i mieć rodzinę.

– Mnóstwo ludzi jest w takiej sytuacji.

– Chodziło mi o zamężne kobiety policjantki.

– Takich też jest mnóstwo.

– Pewnie tak. Jeśli naprawdę uważasz, że Strauss coś przed nami ukrywa, to chyba niepotrzebnie się pospieszyłam, odkładając przeszukanie pokoju jego syna na dalszy termin.

– W końcu trzeba będzie to zrobić, wątpię jednak, aby Dickie trzymał w domu coś naprawdę znaczącego.

– Więc gdzie miałyby ukryć takie rzeczy?

– Być może w tym samym miejscu, gdzie Eric Treadwell trzymał swój węgiel wolframu.

– Naprawdę sądzisz, że to ważne?

– To ważne, ponieważ nie umiemy tego wytłumaczyć. – Spojrzał na zegarek.

– Chce ci się spać?

– Nie. Czuję się tak, jakby ktoś mi podłączył dodatkowe zasilanie. Ale ty powinienes u mnie zostać na noc.

– Dlaczego? Mam swój pokój.

– Ktoś próbował cię wysadzić w powietrze. I to dwa razy.

– W porządku, może masz rację.

Po drodze zabrali jej samochód i pojechali do jej domu. Zaprowadziła go do pokoju gościnnego i sprawdziła, czy ma wszystko, czego potrzeba.

Zatrzymała się przy drzwiach, gdy usiadł na łóżku i zdjął wojskowe buty.

Popatrzył na nią.

– Tak?

– Dlaczego wybrali Drake? Tylko dlatego, że mamy gazociąg i elektrownię atomową w pobliżu?

– Myślę, że są tacy, którym niczego więcej nie potrzeba.

Rzucił drugi but na podłogę i wyciągnął pistolet z przedniej kabury.

– Nie drażni cię, że spędzisz całe życie z bronią w ręku? – zapytała.

– A ciebie?

– Sama nie wiem. Do tej pory mi się zdawało, że to bardzo dobry pomysł.

– No właśnie. Ja myślę podobnie.

– Puller, jeśli wyjdziemy z tego z życiem... – Zawahała się – to może byśmy...

Popatrzył na nią.

– Już też o tym myślałem.

O pierwszej w nocy znów znalazł się w Afganistanie, w środku strzelaniny, którą miał wygrywać za każdym razem, nawet jeśli nie był w stanie wrócić do bazy ze wszystkimi swoimi ludźmi. Budził się ze snu powoli, spokojnie. Ale tym razem pojawiło się coś jeszcze.

Obudził się z pomysłem.

Odnalazł lukę. A raczej trop, który umknął jego uwadze. Mimo że był zajęty strzelaniem do Afgańczyków na pustyni, jego umysł w końcu się przestawił. Miał jednak mało czasu, żeby zrealizować swój plan. Wstał, ubrał się i wyszedł z domu tak cicho, jak w trakcie patrolu na Bliskim Wschodzie. Zatrzymał się tylko na chwilę w wejściu do pokoju Cole. Spała błogim snem, zakryta prześcieradłem aż po szyję mimo ciepłej nocy. Zostawił jej kartkę z wiadomością na lodówce. Upewnił się jeszcze, czy drzwi frontowe są dobrze zamknięte, po czym wysliznął się na podwórze. Wytoczył samochód z podjazdu i przepchał jeszcze kilkadziesiąt metrów ulicą, nim wreszcie uruchomił silnik i odjechał.

Pół godziny później obrzucił uważnym spojrzeniem szary, obskurny, betonowy biurowiec. Nie było tu żadnego systemu zabezpieczeń. Zwrócił na to uwagę już w czasie pierwszej wizyty.

Po raz ostatni rozejrzał się dokoła i ruszył przed siebie. Z zamkiem w drzwiach poradził sobie w ciągu trzydziestu sekund.

Wszedł do środka. Nie musiał zapalać latarki, gdyż dobrze pamiętał rozkład pomieszczeń z wcześniejszej wizyty. Ruszył korytarzem i po piętnastu krokach zatrzymał się przed drzwiami po lewej. Dopiero tutaj skorzystał z latarki ołówkowej, dobierając narzędzia do otwarcia zamka.

Dwadzieścia sekund później był już w pokoju, po cichu zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na przeciwległe. Ostrożnie przekręcił gałkę i zdziwił się, że nie są zamknięte. Już wcześniej włożył gumowe rękawiczki. Bez zwłoki podszedł do dużego, wolnostojącego sejfu. Ten zamek był najbardziej wymagający, ale on miał ze sobą kilka bezcennych narzędzi potrzebnych do jego pokonania.

Omiótł promieniem latarki przednią ścianę sejfu, starego, lecz solidnego. Wybrał narzędzia i wsunął je w szczelinę zamka. Pracował cierpliwie dobre

pięć minut, zanim w końcu rozległ się cichy trzask. Pociągnął w dół ramię mechanizmu blokady i otworzył drzwi. Dziesięć minut musiał szukać tego, o co mu chodziło.

Wyjął plany i rozłożył je na biurku. Przy świetle latarki obejrzał uważnie wszystkie arkusze. Następnie sfotografował każdy z nich, poskładał plany z powrotem i odłożył na miejsce w sejfie. Zamknął drzwi i upewnił się, że blokada zadziałała. Pięć minut później odjeżdżał już swoim malibu. Po powrocie do domu Cole wyjął aparat, usiadł na swoim łóżku i jeszcze raz uważnie przejrzał sfotografowane plany. Kiedy skończył, zamyślił się głęboko, chcąc uporządkować obserwacje. Strauss miał to w swoim sejfie. Eric Treadwell i Molly Bitner ułożyli sprytny plan, żeby dostać się do środka i skopiować arkusze. Błyskawicznie znalazł potwierdzenie, że tak właśnie było.

Miał przy sobie karty daktyloskopijne zarówno Treadwella, jak i Bitner. Oboje musieli się obficie pocić podczas prowadzenia swojej akcji w gabinecie Straussa, ponieważ wilgoć z ich palców została utrwalona na papierze. A był to taki rodzaj papieru, na którym ich odciski palców musiały pozostać chyba na zawsze. Pokrywały się dokładnie z odciskami ich obojga odcisniętymi na kartach daktyloskopijnych.

Teraz miał przed sobą to, dla czego podjęli tak ogromne ryzyko. Nawet więcej, dla czego poświęcili życie. To był właśnie ten trop, który wcześniej przeoczył.

Pozostawało pytanie: czy miał o wszystkim powiedzieć Cole?

Odpowiedź okazała się jasna i bardziej oczywista, niż się spodziewał.

Spojrzał na zegarek. Była czwarta nad ranem.

Jak na ironię znowu musiał ją obudzić przed świtem.

Sam Cole przekręciła się, otworzyła oczy i aż krzyknęła.

Puller siedział obok niej na krześle, które przysunął sobie do łóżka.

– Co ty tu robisz, do cholery? – wycedziła, siadając.

– Czekam, aż się obudzisz.

– Dlaczego po prostu sam mnie nie obudziłeś?

– Bo spałaś tak spokojnie.

– Nie sądziłam, że to ma dla ciebie jakieś znaczenie. Wcześniej budziłeś mnie przed świtem bez skrępowań.

– Z przyjemnością patrzyłem, jak śpisz.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła i mruknęła tylko:

– Aha.

Puller spuścił wzrok.

– Dlatego postanowiłeś poczekać i śmiertelnie mnie wystraszyć? – zapytała speszona.

– Nie taki był mój plan, ale na swój sposób okazał się skuteczny.

Zanim zdążyła się znowu odezwać, uniósł aparat.

– Chcesz mi zrobić zdjęcie? – zapytała zmieszana.

– Chcę, żebyś obejrzała kilka zdjęć.

– Jakich?

– Nie wstawaj. Zrobię kawę i wtedy obejrzymy je razem.

Po trzydziestu minutach i dwóch filiżankach kawy Cole wciąż siedziała w łóżku, wsparta na poduszkach.

– W porządku. Co to oznacza?

– Że mamy przed sobą dużo więcej kopania. I bardzo mało czasu.

– Ale jesteś pewien, że to ważne?

– Inaczej nie włąmywałbym się do gabinetu Straussa. Myślę, że właśnie przez to zginęli Reynoldsowie, Treadwell i Bitner. Zatem tak, to musi być bardzo ważne.

– Sądziłam, że zginęli z powodu analiz próbek gleby.

– Ja też. Ale wyniki nie były alarmujące. Zginęli, bo jakimś sposobem wyszło na jaw, że wykradli te plany z sejfu w gabinecie Straussa. Zabójcy musieli się też dowiedzieć, że Bitner i Treadwell powiedzieli o swoim odkryciu Reynoldsom. Dlatego i oni musieli umrzeć.

– To co się stało z przysłanym sprawozdaniem z analiz gleby?

– Pamiętasz ten róg awiza przesyłki polecanej, który znaleźliśmy pod kanapą?

– Tak.

– Podejrzewam, że zabójcy specjalnie go tam podrzucili. Na wabia.

– Po co? Nie mogli zostawić całej przesyłki, skoro i tak do niej dotarliśmy?

– Ale wtedy nie marnowalibyśmy czasu na sprawdzanie tego tropu. Gdybyśmy się lepiej nad tym zastanowili, od razu stałoby się jasne, jak bardzo na rękę było zabójcom podrzucenie tego skrawka pocztowego formularza.

– A Larry Wellman?

– Był już na posterunku, kiedy wrócili. Dlatego musieli go uciszyć.

– Cholera, to ma sens, Puller. – Zmarszczyła czoło w zamyśleniu. – Więc zabili Larry'ego tylko po to, żeby podrzucić ten skrawek papieru i nas zmylić?

– Na to wygląda.

– A Dickie?

– To go przerosło. Nie sędzę, żeby wcześniej wiedział coś o zabójstwach. A kiedy się dowiedział, pozostało to wyłącznie kwestią czasu. Gdy go wciągnąłem do pomocy, to jakbym podpisał na niego wyrok śmierci.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Kiedy to wszystko wykombinowałeś?

– Kiedy byłem już w Afganistanie.

– Słucham?

– Oczywiście tylko w myślach – dodał szybko półgłosem. – Mój mózg mobilizuje się do wydajniejszej pracy, kiedy wracam do wspomnień.

Cole spojrzała na ostatnie zdjęcie widoczne na wyświetlaczu aparatu.

– To co z tym robimy?

– Mam zamiar przerzucić fotografie na komputer i je wydrukować. Ale to nie zmienia faktu, że trzeba tam pojechać.

– Pojechać?! Po to, żeby się przyglądać?

– Nie, miałem na myśli coś więcej. – Spojrzał na zegarek. – Jest jeszcze ciemno. Wchodzisz do gry?

– Przecież to bez znaczenia, czy wchodzę, czy nie. Na pewno nie ma czasu do stracenia. Więc wynoś się z mojego pokoju, żebym mogła się ubrać.

81

Podkradli się do skraju lasu, przyklękli i rozejrzeli po terenie. Puller przerzucił plecak z lewego ramienia na prawe.

Jeszcze raz zlustrował uważnie okolicę. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Nadchodził świt.

Cole także wbijała wzrok w ciemność.

Nigdzie nie paliły się światła. Domy tonęły w mroku. Nie przejeżdżały samochody.

Można było odnieść wrażenie, że pozostali jedynymi żywymi ludźmi na całej planecie.

Puller popatrzył w prawo, potem w lewo, jeszcze raz przyjrzał się celowi i dał Cole znać skinieniem głowy.

Wyszli spomiędzy drzew.

On miał na sobie mundur polowy i twarz przyczernioną pastą maskującą. Oprócz obu M11 w kaburach, przez pierś miał przewieszony pistolet MP5.

Cole była ubrana w czarne spodnie i ciemną koszulę. Twarz miała tak samo przyczernioną. Była uzbrojona w swoją cobrę.

Na koszulce Pullera ciemniały plamy potu. Poziom wilgotności przekraczał wszelkie normy, w połączeniu z nagrzanym, stojącym powietrzem miał powalające działanie. Aż trudno było sobie wyobrazić starszych ludzi smażących się w domach pozbawionych elektryczności. Mogli cieszyć się jedynie tym, że mieli dach nad głową.

Spojrzał na betonową kopułę. Dźwigała się w mroczne niebo niczym nabrzmiały wrzód pośród mniej czy bardziej zdrowych organów. Za pomocą nożyc do drutu szybko wyciął dziurę w siatkowym ogrodzeniu i po kilku minutach razem z Cole byli już przy guzie.

Cole wyciągnęła ze swojego plecaka kilka kartek i zaczęli oglądać wydruki w świetle latarki ołówkowej.

– Musimy określić rozmiary budowli – szepnął.

Przytaknęła ruchem głowy.

Została na miejscu pod ścianą, tymczasem on odwrócił się na zachód i ruszył

przed siebie wydłużonymi susami, z których każdy miał w przybliżeniu sto dwadzieścia centymetrów długości. Zatrzymał się po stu krokach. Wybujałe zielsko utrudniało mu zadanie, oszacował jednak, że pokonał sto dwadzieścia metrów. Więcej niż długość boiska piłkarskiego.

Zrobił zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i ruszył wzdłuż drugiego boku.

Tym razem zatrzymał się po dwustu krokach. Dwieście czterdzieści metrów szerokości. Prawie ćwierć kilometra. Pospiesznie obliczył powierzchnię pod kopułą i otrzymał imponujący wynik. Federalni rzadko robili coś na małą skalę, zwłaszcza w tamtych czasach, kiedy dysponowali olbrzymim budżetem.

Budynek był duży. Wystarczająco duży. Tylko na co?

Plany znalezione w sejfie Straussa nie zdradzały szczegółów.

Było do nich dołączone pismo zabraniające prowadzenia jakichkolwiek wysadzeń w promieniu pięciu kilometrów od kopuły. Ponadto w kilku punktach planu rozmieszczono znaki symbolizujące niebezpieczeństwo. Nie znalazł nigdzie daty. Nie było żadnych uwag objaśniających. Razem z Cole uważnie przestudiowali wszystkie arkusze i nadal nie mieli pojęcia, do czego wykorzystywano ten ośrodek.

Był objęty ścisłą tajemnicą. Prawdopodobnie dlatego ulokowali go w Drake. Dzisiaj pozostał po nim olbrzymi guz na środku pustkowiec.

Kiedy wrócił do Cole, zapytała:

– Ile?

– Więcej niż mogłoby się wydawać – odparł cicho.

Obejrzał się na las i stojące za nim osiedle. Budynki nosiły cechy stylu z końca lat pięćdziesiątych. Ponad pół wieku temu. Dużo wtedy się działo na świecie.

Odwrócił się do niej.

– Co jeszcze rodzice mówili ci o tym ośrodku?

– Nie za dużo. Któregoś dnia zaczęła donośnie wyc syrena. Ale tata mówił, że nikt się nie dowiedział, co się stało. Na pewno nie wzywano na miejsce policji, tego jestem pewna. Wtedy szeryfem był poprzednik Lindemanna. Miałam okazję z nim rozmawiać długo po tym, jak przeszedł na emeryturę. Twierdził, że ten teren został wyłączony spod jego jurysdykcji.

Puller wyciągnął z kieszeni kartkę z instrukcją przeciwpożarową znaną w remizie i popatrzył na zapisane na marginesie liczby 92 i 94.

– Udało ci się w końcu rozgryźć, co oznaczają te liczby? – zapytała Cole.

– Być może.

– Więc co?

Jeśli rzeczywiście odnosiły się do tego, co mu przyszło do głowy, cała ta sprawa mogła zyskać zupełnie nowy, potencjalnie katastrofalny wymiar.

– Powiem ci, kiedy się upewnię.

– Czemu nie teraz? Wcześniej dzieliłeś się ze mną swoimi pomysłami.

– Muszę zdobyć pewność. Nie chcę cię straszyć, gdyby się okazało, że się mylę.

Nerwowo oblizła wargi.

– Już jestem przerażona, Puller. Mamy gazociąg, reaktor atomowy. Co jeszcze gorszego mogłoby nas czekać?

– To może być o wiele gorsze.

– W porządku, a więc mój wskaźnik paniki przekroczył już dozwolony poziom.

Puller przyklęknął i zasłuchał się w dobiegające zewsząd odgłosy. Wstawał świt. Gdzieś w pobliżu zagrzecotał wąż. Wiedział, że oprócz grzechotników występują tu również mokasyny. Na bagnach Florydy aż się roiło od agresywnych mokasynów błotnych. Podczas ostatniego etapu szkolenia część żołnierzy została przez nie pokąsana. Niektórzy z jego kolegów panicznie bali się węży, ale nie okazywali po sobie strachu. Jeden z nich o mało nie umarł po śmiertelnym ukąszeniu koralówki, z trudem udało się go uratować. Tylko po to, żeby zginął cztery lata później w Afganistanie, kiedy bomba wybuchła mu pod stopami.

Węże były groźne, ale bomby przydrożne jeszcze groźniejsze.

Zasłuchany w odgłosy budzącej się przyrody, zastanawiał się, co dalej robić. Decyzję podjął szybko, bo nie miał specjalnego wyboru. Wstał i ruszył wzdłuż tylnej ściany kopuły. Przecisnął się przez gąszcz młodych drzewek, rozsunął zasłone winorośli i przeciągnął palcami po szorstkiej powierzchni betonu.

– Twój tata mówił, że ten mur ma metr grubości?

– Tak. Przyglądał się, jak go wylewają.

Tak wielka konstrukcja wymagała więc całego oceanu cementu. Tylko władze federalne były zdolne postawić coś takiego. Na swój sposób przypominało to kolosalną Zaporę Hoovera. Po co tyle zachodu?

– Musimy dostać się do środka tego cholerstwa – powiedział.

– Jasne, tylko jak?

Jeszcze raz przytknął dłoń do ściany. Beton, w przeciwieństwie do drewna, dość szybko się starzał, zwłaszcza w tego typu konstrukcjach. Ale metr grubości stanowił zdecydowanie za duży margines błędu w zakresie degradacji materiału. Puller popatrzył w górę, na mur wznoszący się prawie na dziesięć pięter. Pojedyncze drzewa były już wyższe od kopuły, lecz niewiele. Po winorośli mógłby się chyba wspinać aż na sam szczyt, tylko co dalej?

Metr grubości. Nie było szans, żeby się przebić przez taki mur. Postawiłby na nogi całą okolicę, gdyby skorzystał z młota pneumatycznego i dynamitu. Spojrzał w dół, gdzie beton wyłaniał się z ziemi. A pod spodem?

Wyciągnął z plecaka składaną saperkę i zaczął kopać. Pół metra pod powierzchnią gruntu natknął się na coś twardego. Odgarnął jeszcze trochę ziemi i poświecił latarką w głąb wykopu.

– To wygląda na żelazo – powiedział Cole.

– Zgadza się. Zardzewiałe, ale solidne.

Zastanawiał się, jak daleko od muru mogły sięgać te wzmocnienia. Może na wiele metrów. Ludzie, którzy zaprojektowali tę gigantyczną kopułę raczej nie oszczędzali na innych materiałach.

Zatem podkop także nie wchodził w grę.

Mimo wszystko musiał istnieć jakiś sposób. Niemożliwe, żeby w takiej konstrukcji nie zainstalowano jakichś drzwi ewakuacyjnych na wypadek, gdyby coś się stało i trzeba było wejść do środka.

Nagle go olśniło.

– Pokaż mi jeszcze raz te plany.

Podawała mu plik papierów. Przerzucił kilka kartek, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Popatrzył na opis. Jasna sprawa. Po prostu wcześniej nie zwrócił na to uwagi. A tego właśnie potrzebował.

Spojrzał na Cole.

– Potrzebujemy twojego brata.

– Randy’ego? Co on ma z tym wszystkim wspólnego? – Skrzywiła się. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że i on jest w to zamieszany? Najpierw twierdziłeś, że moja siostra chciała cię wysadzić powietrze, a teraz...

Złapał ją za rękę.

– Nie podejrzewam twojego brata, myślę, że potrafi nam pomóc. Musimy go odszukać.

Po powrocie do domu Cole umyli się, przebrali i przystąpili do poszukiwań. Ale znalezienie Randy'ego Cole'a okazało się dużo trudniejsze, niż można by sądzić po wielkości miasteczka. Cole w ciągu godziny wyczerpała wszystkie możliwości. Zadzwoiła do siostry, ale Jean także nie miała pojęcia, gdzie może być Randy. Poszli więc do Crib i stamtąd przeszukali systematycznie, ulica po ulicy, centralną część Drake.

Bez rezultatu.

– Chwileczkę – rzucił w końcu Puller.

Nie oglądając się na depczącą mu po piętach Cole, szybkim krokiem doszedł do motelu U Annie. Bez wahania zaczął kopniakami otwierać kolejne drzwi. Kiedy Cole zajrzała do piątego pokoju, zapytała:

– Randy?

Jej brat leżał w ubraniu na łóżku.

Oboje weszli do środka i Puller zamknął drzwi, po czym zapalił światło.

– Randy? Obudź się.

Tamten nawet nie drgnął.

Cole podeszła bliżej.

– Nic mu nie jest? Randy!

– Nic mu nie jest. Oddycha miarowo.

Puller rozejrzał się, po czym mruknął:

– Zaczekaj.

Ze zniszczonego biurka wziął poobijaną miskę i poszedł do łazienki, skąd doleciał szum odkręconej wody. Kiedy po chwili wrócił z pełną miską, chlusnął wodą Randy'emu w twarz.

Chłopak podskoczył i spadł z łóżka.

– Co jest, do cholery?! – wrzasnął, wylądowawszy na podłodze.

Puller złapał go za kołnierzyk koszuli, podniósł z podłogi i pchnął z powrotem na łóżko.

Odzyskawszy zdolność widzenia, Randy popatrzył na Pullera, zaraz jednak

przeniósł wzrok na swoją siostrę.

– Sam? Co się dzieje, do cholery?!

Puller usiadł obok niego.

– Na łóżku wygodniej niż w krzakach? – zapytał.

Randy przeniósł z powrotem wzrok na niego.

– To była woda?

– Bardzo jesteś pijany?

– Nie bardzo. Teraz już nie.

– Potrzebujemy twojej pomocy.

– W czym?

– Chcemy dostać się do bunkra – rzekł Puller.

Randy przetarł oczy.

– Że co?

– Byłeś w środku, prawda?

– Co?

Puller zacisnął palce na jego ramieniu.

– Randy, zostało nam mało czasu i nie chcę go marnować na wyjaśnienia. Znaleźliśmy plany bunkra, a z nimi ostrzeżenie, że nie wolno prowadzić wysadzeń w promieniu pięciu kilometrów. Jedynym sensownym powodem, dla którego wydano taki zakaz, musi być sztolnia prowadząca pod kopułę. Dlatego władze zastrzegły, żeby nie detonować żadnych ładunków w najbliższym sąsiedztwie. Twój ojciec był najlepszym eksploratorem pokładów węgla w tej okolicy. A ty z nim pracowałeś. Na pewno znasz cały ten okręg lepiej niż ktokolwiek inny. Czy jest szyb, który prowadzi do wnętrza bunkra?

Randy podrapał się po głowie i ziewnął.

– Tak, jest. Razem z tatą natknęliśmy się na niego któregoś dnia. Natrafiliśmy przypadkiem na jego wylot, bo szukaliśmy czegoś zupełnie innego. W gruncie rzeczy są tam dwa szyby. Poszliśmy w głąb pierwszego i natknęliśmy się na drugi, prowadzący w innym kierunku. Poszliśmy tamtędy, ale tylko kawałek. Tata od razu się zorientował, że wchodzimy pod bunkier. I miał rację. Ten drugi szyb był starszy, musiał powstać jeszcze w latach czterdziestych. Tata przynajmniej tak uważał.

– I weszliście do środka? – zapytał Puller.

Randy rzucił mu senne spojrzenie.

– Co? Nie, skądże. Przynajmniej nie wtedy. Myślę, że tata był ciekaw, dokąd da się dojść. Zawsze opowiadał nam tajemnicze historie o bunkrze. Planowaliśmy tam wrócić. Ale potem zginął.

Randy wziął głęboki oddech i skrzywił się, jakby zrobiło mu się niedobrze.

– Weź się w garść, Randy – syknął Puller. – To bardzo ważne.

– Po śmierci taty wróciłem tam i szukałem dalej. Natrafiłem na boczny szyb. Potem długo tam nie zaglądałem. Wpadłem w alkoholowy cug. Potem zająłem się wysyłaniem pogroźek do tego dupka, Rogera. Wróciłem do szybu dopiero jakieś półtora roku temu. Sam nie wiem dlaczego. Chyba myślałem o tym, żeby skończyć to, co tata zaczął. Wtedy znalazłem przejście. Trzeba było jeszcze trochę pokopać i przerzucić nieco betonowych bloków, ale po kilku miesiącach udało mi się wejść do środka. Przykryli go kopułą z betonu, ale betonowe posadzki w budynku były cieńsze i popękały w wielu miejscach, pewnie tam, gdzie pojawiły się uskoki gruntu, być może nawet wskutek wysadzania skał nad pokładami węgla gdzieś niedaleko.

– Więc dostałeś się do środka. I co tam znalazłeś? – dopytywał się Puller.

– Nic specjalnego. Ciemno tam jak w grobie. Ale trochę się rozejrzałem. Zostawili trochę sprzętu. Stoły montażowe, kupę śmieci na podłodze, jakieś beczki.

– Z czym?

– Nie wiem. Nawet się nie przyglądałem.

– Randy, to jest niebezpieczne jak cholera – odezwała się Cole. – Tam wszystkie substancje mogą być toksyczne. Albo radioaktywne. Może dlatego tak kiepsko się czujesz od pewnego czasu. Ciągłe narzekasz na bóle głowy i w ogóle.

– Możliwe.

– Co jeszcze widziałeś w środku? – zapytał Puller.

– Nic. Zwiąłem stamtąd. Tam włos się jeży na głowie.

– W porządku. Następne ważne pytanie. Czy mówiłeś komuś o swoim odkryciu?

– Nie. Po co miałbym mówić?

– Nikomu? – rzucił ostro Puller. – Na pewno?

Randy zamyślił się na chwilę.

– No, jeśli sobie przypominam, to chyba komuś mówiłem.

– Dickiemu Straussowi?

Randy spojrzał na niego.

– A ty skąd to wiesz, do diabła? Graliśmy razem w futbol. Spędzaliśmy ze sobą sporo czasu. Jeździłem nawet do Xanadu przez jakiś czas, dopóki nie odebrali mi motoru za niepłacenie rat. No więc tak, powiedziałem mu. I co z tego? Jakie to ma znaczenie?

– Dickie nie żyje, Randy – wtrąciła Cole. – Został zamordowany. I myślę, że to ma związek z bunkrem.

Randy wyprostował się szybko, jakby nagle wytrzeźwiało.

– Ktoś zabił Dickiego? Za co?

– Pewnie powiedział komuś o twojej wizycie w bunkrze – odparł Puller. – I jeszcze ktoś znalazł drogę prowadzącą pod kopułę. Cokolwiek tam jest, przyczyniło się do śmierci tych wszystkich ludzi.

– No to co tam jest, do cholery?!

– Właśnie tego zamierzam się dowiedzieć.

– Masz jakieś podejrzenia? – zwróciła się do niego Cole. – Domyślasz się, co jest w środku?

– Chyba tak – rzekł Puller.

– Co to jest? Powiedz.

Milczał, patrząc na nią z tak mocno bijącym sercem, jakby chciało mu wyskoczyć z klatki piersiowej.

W Kansas był wczesny poranek, ale Robert Puller nie sprawiał wrażenia zaspanego. Robert był błyskotliwy, a uzdolnieni ludzie nie sypiali za długo, skoro świat potrzebował zarówno ich czasu, jak też intelektu. Puller wychodził z założenia, że tym trudniej spać, jeśli można patrzeć wyłącznie na trzy gołe ściany z betonu oraz czwartą kratę z żelaznych prętów, zamkniętą przez dwadzieścia trzy godziny na dobę.

– Jak się masz, bracie? – zagadnął Robert.

– Raz lepiej, raz gorzej.

– Równowaga w życiu jest niezbędna.

– Dziewięćdziesiąt dwa i dziewięćdziesiąt cztery. Czy te liczby coś znaczą dla ciebie?

– Sąsiednie parzyste numery.

– A z innej perspektywy?

– Podaj mi jakiś kontekst.

W jego głosie dało się wyczuć zaangażowanie zamiast zwykłej ciekawości.

– Czysta nauka. Z twojego zakresu wiedzy.

Wskazówka zegara przesunęła się o dwie sekundy.

– Dziewięćdziesiąt dwa to liczba atomowa uranu, a dziewięćdziesiąt cztery plutonu.

– Też o tym pamiętałem.

– Czemu pytasz?

– Czysto hipotetycznie.

– Jasne.

– Jakiego rodzaju uranu i plutonu potrzeba do skonstruowania bomby atomowej?

– Co?

– Wystarczy mi odpowiedź na pytanie.

– W co ty się wpackowałeś, do jasnej cholery, John?

Brat nieczęsto zwracał się do niego po imieniu. Najczęściej mówił po prostu

„bracie”, ewentualnie „junior”, choć ten ostatni termin rzadko był w użyciu ze względu na to, że za bardzo kojarzył się z ich ojcem.

– Odpowiedz najlepiej, jak potrafisz.

– Potrzeba wielu rzeczy. Większość można po prostu kupić. Inne skonstruować samemu. Wystarczy trochę czasu i odrobina specjalistycznej wiedzy, to wcale nie jest takie trudne. Za to niełatwo zdobyć paliwo jądrowe do ładunku. Możliwe do wykorzystania są tylko dwa rodzaje.

– Uran i pluton.

– Zgadza się. Ale do skonstruowania bomby potrzebny jest silnie wzbogacony uran, U-235 albo HEU. Aby go otrzymać, trzeba mieć odpowiednią instalację, mnóstwo pieniędzy, zespół naukowców i kilka lat.

– A pluton?

– Naprawdę musimy o tym rozmawiać? Przecież wiesz, że rozmowa jest monitorowana.

– Nikt nas nie podsłuchuje, Bobby – odparł Puller. – Załatwiłem to.

Jego brat nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

– W takim razie musisz wiedzieć, że to, w co się zaangażowałeś, daleko wykracza poza problem hipotetyczny.

– Więc co z plutonem?

– Pluton Pu-239 uzyskuje się głównie z rozpadu uranu w reaktorze atomowym. Ale resztki z przemiany paliwa reaktora stanowi w dużym stopniu izotop Pu-240, który może zakłócić przebieg reakcji łańcuchowej w materiale użytym do budowy bomby plutonowej.

– I ten również jest trudny do zdobycia?

– Wręcz niemożliwy dla zwykłego śmiertelnika. Bo kto trzyma reaktor jądrowy na podwórku?

– Ale można zdobyć taki pluton?

– Najwyżej ukraść albo kupić na czarnym rynku.

– Jak jest w USA? Jak się otrzymuje ten izotop?

– Jedyne federalne zakłady stosujące dyfuzję gazową znajduje się w Paducah, w Kentucky. Ale tam wzbogaca się uran do wykorzystania w paliwie reaktorów jądrowych, a to zupełnie inny proces.

– I w tym procesie nie da się go wzbogacić do tego stopnia, żeby możliwe było jego wykorzystanie do budowy bomby atomowej?

– Ośrodek w Paducah jest nastawiony na wzbogacanie uranu do wykorzystania w reaktorach jądrowych, a nie do budowy bomb.

– Pytałem, czy taki zakład jak w Paducah, mógłby silnie wzbogacić uran? – powtórzył cierpliwie Puller.

– Teoretycznie tak – Robert urwał. – Gdzie dokładnie to wszystko się dzieje?

– Ile U-235 potrzeba do budowy bomby?

– To zależy od rodzaju konstruowanej bomby oraz wybranej metody.

– Ogólnie – rzekł Puller.

– Przy najprostszej konstrukcji takiej bomby, jaką zrzucono na Nagasaki, potrzeba od piętnastu do pięćdziesięciu kilogramów wysoko wzbogaconego uranu lub od sześciu do dziewięciu kilogramów plutonu. Gdybyś pracował nad szczególnie wymyślną bombą i chciał zastosować idealną konstrukcję, wystarczyłoby około dziewięciu kilogramów wysoko wzbogaconego uranu i tylko dwa kilogramy plutonu.

– Do uzyskania takiego efektu jak w Nagasaki?

– Tak, czyli do uzyskania efektu ponad dwudziestu jeden tysięcy ton trotylu, nie licząc dodatkowych skutków opadu radioaktywnego. Powtarzam, mówimy o dwudziestu jeden milionach kilogramów trotylu, a więc o broni masowej zagłady.

– A gdyby było trochę więcej HEU albo plutonu?

– Skutki zwiększają się w postępie geometrycznym. Wszystko zależy od konstrukcji bomby. Możesz użyć metody zestrzelenia ładunków, co nie jest za bardzo wydajne, choć zadziałało skutecznie w pierwszej bombie zrzuconej na Japonię. Z grubsza chodzi o długą rurę, w której umieszczasz po połowie ładunku jądrowego na każdym końcu, a pod nim konwencjonalny ładunek wybuchowy. Detonacja spowoduje wypchnięcie paliwa jądrowego do środka i jego zderzenie z drugą połową ładunku, co zapoczątkuje reakcję łańcuchową. To metoda prymitywna i mało wydajna, pozwalająca na ograniczone zastosowanie bomby. Do podtrzymania reakcji łańcuchowej potrzebna byłaby rura nieskończonej długości. I możliwy do wykorzystania byłby tylko uran, a nie pluton, z powodu silnych zanieczyszczeń. Dlatego przemysł zbrojeniowy zaadoptował metody implozyjne.

– Zrób mi wycieczkę po tej metodzie – poprosił Puller.

– Można używać albo uranu, albo plutonu. Także stosuje się konwencjonalne materiały wybuchowe, tak zwane soczewki, do uzyskania wysokiego ciśnienia

w komorze zawierającej paliwo jądrowe w ilości nadkrytycznej. Fala uderzeniowa kompresji uranu lub plutonu musi być idealnie sferyczna, bo w przeciwnym razie materiał ucieknie przez dziurę i dojdzie do stanu zwanego fiaskiem. Do tego potrzebny jest jeszcze inicjator, spowalniacze i przyspieszacze oraz idealny reflektor neutronów kierujący je z powrotem do komory. Sztuką jest maksymalne opóźnienie rozpadu komory, jeszcze przed osiągnięciem optymalnej masy nadkrytycznej. Im dłużej w materiale jądrowym zachodzi reakcja, tym więcej atomów ulega rozpadowi i tym silniejsza jest eksplozja. Przy odpowiedniej konstrukcji bomby można nawet potroić moc wybuchu poprzez dodanie zaledwie jednego grama paliwa jądrowego.

– Z czego wykonuje się niektóre potrzebne elementy?

– A konkretnie?

– Powiedz mi o zastosowaniu złotej folii oraz węglika wolframu.

Przez trzy sekundy na linii panowała cisza.

– Dlaczego interesują cię właśnie te materiały? Czyżby występowały w prowadzonej przez ciebie sprawie?

– Tak.

– Jezu.

– Powiedz coś, Bobby. Mam mało czasu.

– Złotą folię stosuje się w konstrukcjach inicjatora. Wytwarza się niewielką kulkę z warstwami berylu i polonu rozdzielonymi złotą folią. Umieszcza się ją w samym środku komory reakcyjnej i jest to jeden z kluczowych elementów konstrukcji.

– A węgiel wolframu?

– To substancja trzy razy twardsza od stali, o bardzo dużej gęstości, która dobrze się sprawdza w roli reflektora neutronów. Jej zadaniem jest zawracanie szybkich neutronów do komory w celu zmaksymalizowania efektu nadkrytycznego ładunku. Czy chcesz mi powiedzieć, że... Skąd dzwonicz, do cholery?

– Ze Stanów Zjednoczonych.

– Jak oni zdobyli paliwo?

– Co powiesz na to, że chodzi o tajny ośrodek rządowy działający w latach sześćdziesiątych, ale zamknięty dawno temu i przykryty betonową kopułą o ścianach metrowej grubości, po czym porzucony na pastwę losu? Wszyscy pracownicy zostali tu przywiezieni z innych rejonów i zamieszkali w osiedlu

zbudowanym blisko ośrodka. Ludziom nie wolno było w ogóle rozmawiać o swojej pracy z okolicznymi mieszkańcami, a po zamknięciu ośrodka pracowników wywieziono. Nie budzi to żadnych skojarzeń? Siedziałeś po uszy w tym temacie, kiedy jeszcze służyłeś w lotnictwie.

– Metrowa warstwa betonu?

– I odlana z niego kopuła.

– W jakimś odludnym miejscu?

– Na zabitej dechami prowincji. Cała ludność miasteczka zmieściłaby się w jednym kwartale na Brooklynie. Obiekt miał własną straż pożarną, na starej instrukcji przeciwpożarowej znalezionej w remizie zostały właśnie zapisane te dwie liczby, dziewięćdziesiąt dwa i dziewięćdziesiąt cztery. Dowiedziałem się też, że wydano zakaz wysadzania skał w kopalniach odkrywkowych węgla w promieniu pięciu kilometrów od tej kopuły.

– W okolicy wysadza się skały? Mówisz poważnie?

– Tak.

– To niewiarygodne. Nawet jeśli eksplozji dokonuje się w odległości kilku kilometrów, w skałach mogą powstawać szczeliny osłabiające podłoże. A to grozi katastrofalnymi skutkami.

– Wiesz coś o takim obiekcie?

– Trudno mi powiedzieć. W latach sześćdziesiątych nie było mnie jeszcze na świecie.

– Ale gdybyś miał zgadywać, na podstawie swoich doświadczeń?

Doleciało go przeciągłe westchnienie.

– Gdybym był w mundurze, niczego byś się ode mnie nie dowiedział. – Robert urwał na chwilę. – Pewnie mógłbym za to zostać oskarżony o zdradę, ale ponieważ już ciąży na mnie takie oskarżenie, więc mam to gdzieś. – Znów umilkł na krótko. – Słyszałem kiedyś, że we wczesnej fazie budowy arsenału nuklearnego stawiano takie ośrodki przetwarzania i wzbogacania paliwa w odludnych rejonach Ameryki. To było zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej, kiedy nie liczyło się nic poza dążeniem do skopania dupska Sowietom. Obiekty te służyły wzbogacaniu uranu, ale otrzymywano w nich również pluton do budowy głowic nuklearnych. Większość z nich, jeśli nie wszystkie, w krótkim czasie zamknięto.

– Dlaczego?

– Stosowano w nich prymitywne i bardzo kosztowne metody. Wtedy to była

zupełnie nowa nauka. Ludzie poruszali się po omacku, metodą prób i błędów. Przeważnie błędów.

– W porządku. A więc pozamykano je. Ale chyba zabrano ze sobą cały sprzęt i materiały, prawda? – Robert milczał. – Mam rację, Bobby?

– Gdyby zabrano stamtąd sprzęt i materiały, to po co budowano betonową kopułę o metrowej grubości ścian, żeby ukryć pod nią sam budynek?

– I nikt nie narzekał na ten proceder? Miejscowi? Ludzie z rządu?

– Pamiętaj, jakie to były czasy, John. Lata sześćdziesiąte. Mieliśmy przeciwko sobie potężny i zły Związek Radziecki. Nie istniał dobowy cykl publikacji wiadomości. Ludzie naprawdę ufali władzom, miało się to zmienić dopiero po wojnie wietnamskiej i aferze Watergate. A ponieważ chwilowo nic się nie działo, miejscowi, jak sądzę, uważali po prostu, że wszystko jest w porządku. – Zawiesił głos. – I to stoi tak sobie, dostępne dla wszystkich?

– Nic tu nie jest ogólnie dostępne. A kopuła stopniowo ginie w lesie.

– Jak uważasz, co tam się teraz dzieje?

– Pewnie to samo, co i ty teraz myślisz.

– Musisz jak najszybciej powiadomić o wszystkim dowództwo.

– Chciałbym, ale jest jeden szkopuł.

– Jaki?

– Nie jestem pewien, czy mogę zaufać moim przełożonym.

– A jest ktoś, komu możesz zaufać?

– Tak. Ale musisz wyświadczyć mi kolejną przysługę.

– Liczysz na moją pomoc? Przecież siedzę w więzieniu, John.

– To bez znaczenia. I tak możesz mi pomóc. Mam pełne poparcie CID. Możesz więc liczyć na odrobinę elastyczności, nawet w tych warunkach. A ja naprawdę cię potrzebuję, Bobby.

Brat odpowiedział bez wahania.

– Powiedz mi tylko, czego potrzebujesz.

Puller pojechał do domu Cole. Po dwóch godzinach odebrał telefon. Kiedy później telefon zadzwonił po raz drugi, był to ten rozmówca, na którego czekał. Kiedy wojsko chciało coś osiągnąć, potrafiło działać niezwykle sprawnie. W końcu nikomu nie przeszkadzało, że sprawę popchnął sam sekretarz obrony.

Cole usiadła w saloniku naprzeciwko Pullera i wpatrywała się z niepewną miną.

Podniósł słuchawkę.

Na drugim końcu linii znajdował się emerytowany pułkownik grubo po osiemdziesiątce, niejaki David Larrimore z Sarasoty na Florydzie. Puller liczył na jego pomoc, gdyż Larrimore jako inżynier i wysoki rangą oficer nadzorował ze strony wojska działalność ośrodka w Drake w latach sześćdziesiątych. Ściślej rzecz biorąc, według archiwalnych danych, był jedynym pozostałym przy życiu człowiekiem z kadry kierowniczej.

Głos miał słaby, ale mówił wyraźnie. Już po kilku zdaniach Puller nabrał przekonania, że mężczyzna jest w pełni sprawny umysłowo. Pozostawało jeszcze mieć nadzieję, że pamięć go nie zawodzi.

Larrimore zaczął:

- Wygląda na to, że mundurowi nigdy na dobre nie przechodzą na emeryturę.
- Pewnie tak.
- Nie jest pan przypadkiem spokrewniony z Walecznym Johnem?
- To mój ojciec.
- Nigdy nie miałem przyjemności służyć pod jego rozkazami, lecz armia i cały kraj mogą być z niego bardzo dumni, agencie Puller.
- Dziękuję. Przekażę ojcu pańskie słowa.
- Odebrałem telefon od pewnego generała. Pożegnałem się z mundurem prawie trzydzieści lat temu, ale wojskowe szarże wciąż budzą mój respekt. Nakazano mi mówić o wszystkim otwarcie. Nie powiedziano tylko dlaczego.
- To skomplikowane. Ale naprawdę potrzebujemy pańskiej pomocy.
- Chodzi o Drake, prawda?
- Interesuje mnie wszystko, co może pan powiedzieć.

– To miejsce do dziś jest moją bolączką, synu, przynajmniej we wspomnieniach.

– Dlaczego?

Puller spojrział na Cole, która wpatrywała się w niego w takim napięciu, jakby miała za chwilę dostać ataku serca. Włączył głośnik w aparacie i obrócił go na stoliku w jej kierunku.

Głos Larrimore'a rozległ się w pokoju.

– Zostałem oddelegowany do Drake, ponieważ był to ostatni rządowy ośrodek działający w ramach federalnego programu rozwoju broni nuklearnej. Miałem dyplom z inżynierii jądrowej i stacjonowałem w Los Alamos, współpracowałem krótko przy produkcji bomb, które spadły na Hiroszimę i Nagasaki. Drake działało w latach sześćdziesiątych, kiedy klasyczne bomby A, jakie zrzuciliśmy na Japonię w czterdziestym piątym, przeszły już do historii, ale i tak niewiele jeszcze wiedzieliśmy o broni termojądrowej. W bombie z Hiroszimy zastosowaliśmy zwykłą metodę zestrzelenia ładunków. W porównaniu z tym, co robi się dzisiaj, to było przedszkole. Wtedy mierzyliśmy moc każdej udanej eksplozji i doszliśmy do bomby o sile siedmiu dziesiątych megatony, kiedy Sowieci odpalili w Arktyce bombę wodorową nazwaną Carem. To był ładunek pięćdziesięciomegatonowy, największy w historii. Czymś takim można zetrzeć z powierzchni cały kraj.

Puller spojrział, jak Cole odchyła się na oparcie fotela, przyciskając dłoń do piersi.

– Dotarłem do oficjalnego sprawozdania, w którym jest mowa o tym, że we wspomnianym ośrodku wytwarzano komponenty do produkcji bomb. Uznano, że na terenie mogła pozostać tylko jakaś szczątkowa radioaktywność, ale nic więcej.

– To nie jest zgodne z prawdą – rzekł Larrimore. – Lecz wcale mnie nie dziwi, że w oficjalnym sprawozdaniu znalazł się taki zapis. Wojsko lubi zacierać po sobie ślady. Poza tym wtedy zasady gry były dużo bardziej liberalne.

– Mam więc rozumieć, że zajmowaliście się wytwarzaniem paliwa jądrowego do głowic, w których stosowano metodę implozyjną?

– Jesteś jądrowcem?

– Słucham?

– Tak wtedy nazywaliśmy między sobą ludzi znających się na rzeczy.

– Nie jestem jądrowcem, ale mam przyjaciół w tych kręgach.

– Współpracowaliśmy z firmą działającą na zlecenie departamentu obrony. Jej nazwa nie ma znaczenia, bo spółka już dawno przestała istnieć, a jej majątek był wielokrotnie sprzedawany.

Puller wyczuł, że Larrimore zagłębia się w zbyteczne szczegóły, a on nie miał na to czasu.

– Powiedział pan, że ośrodek stał się pańską bolączką. Dlaczego?

– Ze względu na to, w jaki sposób przejeźliśmy teren i zbudowaliśmy tego potwora, nikomu nie mówiąc, do czego służy. Wszystko było transportowane z innych rejonów. Nie mieliśmy odwagi nawiązać współpracy z miejscowymi. Kiedy nasi ludzie wyprawiali się do miasteczka, byli pod ścisłą obserwacją. Ale wtedy po prostu tak było. Każdy miał paranoję.

– Nie sądzę, żeby w tym zakresie wiele się zmieniło – odparł Puller. – Czy to był jedyny powód pańskiej bolączki?

– Nie dawało mi też spokoju, w jakim stanie wszystko zostawiliśmy.

– Ma pan na myśli tę kopułę z betonu, o ścianach metrowej grubości?

– Coś podobnego!

– Nie wiedział pan o tym?

– Nie. Ośrodek miał zostać rozebrany do ostatniej cegły i wywieziony w inne miejsce. To było jedyne rozwiązanie ze względu na to, co tam mieliśmy.

– Wszystko zostało jednak na miejscu. Na to przynajmniej wygląda. Pod gigantyczną kopułą z betonu. Nie wiem, ile pokrywa hektarów, ale na pewno dużo.

– Kto to wymyślił, do diabła?!

– Jak to się stało, że pan nic o tym nie wiedział? – zapytał Puller.

– Wykonałem swoje zadania przy likwidacji ośrodka i zostałem przeniesiony do innej podobnej placówki na południu. Poza tym byłem tylko nadzorcą projektu ze strony wojska, w rzeczywistości ośrodkiem kierowali ludzie z sektora prywatnego, a w trakcie likwidacji generałowie podpisywali każdy świstek, jaki im podsuwano.

– No cóż, najwyraźniej bardziej im się opłacało zakryć wszystko betonową kopułą niż rozbierać ośrodek. Tylko dlaczego?

Larrimore nie odpowiadał.

– Panie pułkowniku?

– Tak, jestem.

– Proszę odpowiedzieć na to pytanie.

– Zakończyłem czynną służbę dawno temu, agencie Puller. Bezgranicznie zaskoczył mnie dzisiejszy telefon. Dostałem dobrą emeryturę, którą parę lat temu przeznaczyłem na to, żeby się na starość powygrzewać w tutejszym słońcu. Nie chciałbym tego stracić.

– Zapewniam, że tak się nie stanie. Ale jeśli mi pan nie pomoże, bardzo wielu Amerykanów może stracić życie.

Po chwili Larrimore odezwał się nieco pewniejszym głosem:

– To może mieć związek z główną przyczyną, dla której musieliśmy zamknąć ośrodek. To właśnie miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że nie podoba mi się sposób, w jaki załatwiliśmy tę sprawę.

– Co tam się stało?

– Sknociliśmy robotę.

– W jaki sposób? Coś poszło nie tak w procesie dyfuzji?

– Nie prowadziliśmy dyfuzji gazowej.

– Myślałem, że właśnie o takim procesie mówimy. Wykorzystywanym do dzisiaj w Paducah.

– Byłeś kiedykolwiek w ośrodku w Paducah, synu?

– Nie.

– To olbrzymi zakład. Musi taki być do prowadzenia dyfuzji gazowej. Nasz ośrodek w Drake był o wiele mniejszy.

Puller ze zdziwioną miną zerknął na Cole.

– W takim razie czym się zajmowaliście w Drake?

– Eksperymentami.

– Z czym?

– Ogólnie rzecz biorąc pracowaliśmy nad uzyskaniem superpaliwa jądrowego, które dałoby się zastosować w głowicach bojowych. Naszym głównym celem w tamtych czasach, jak sądzę, było zniszczenie Związku Radzieckiego, zanim on zniszczy nas.

Superpaliwo jądrowe?

Znów spojrzał na Cole. Siedziała ze zwieszoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę.

– Panie Larrimore, w remizie niedaleko ośrodka w Drake znalazłem kartkę papieru...

– Dobrze pamiętam tę remizę. Mieliśmy kilka wypadków i strażacy bardzo nam się przydali.

– Na marginesie tej kartki ktoś zapisał liczby dziewięćdziesiąt dwa i dziewięćdziesiąt cztery.

– To liczby atomowe uranu i plutonu.

– Zgadza się. Ale dyfuzji gazowej używa się tylko do wzbogacania uranu. Nie da się jej wykorzystać do wzbogacania plutonu, który powstaje tylko w reaktorach powielających.

– To prawda. Przez wychwyty neutronów uzyskuje się izotop dwieście trzydzieści dziewięć.

– Lecz jeśli na kartce zostały zapisane te dwie liczby, to znaczy...

– Tak, w Drake wykorzystywaliśmy zarówno uran, jak i pluton.

– Dlaczego?

– Jak powiedziałem, do prób uzyskania superpaliwa jądrowego do głowic nuklearnych. Nie mieliśmy pojęcia, czy takie mieszanki przyniosą jakiś skutek. W każdym razie naszym celem było wykorzystanie obu metali w konstrukcji nowej bomby. W ciemno próbowaliśmy różnych kombinacji i mieszanin obu izotopów, żeby sprawdzić, która z nich da większą moc wybuchu. Mówiąc najprościej, staraliśmy się znaleźć coś pośredniego między metodami zestrzelenia oraz implozji, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

– Dowiedziałem się, że metoda zestrzelenia była bardzo mało wydajna i nie nadawała się do produkcji głowic plutonowych.

– Właśnie te przeszkody próbowaliśmy pokonać. Chcieliśmy przede wszystkim wygrać z komunistami w tym wyścigu. A efekty mierzyło się w megatonach mocy eksplozji.

– Przyznał pan jednak, że spapraliście robotę.

– No cóż, powiedzmy, że nauka i projektowanie na pewnym etapie się rozminęły. W efekcie pracowaliśmy nad czymś, co nie mogło się udać. Właśnie dlatego ośrodek został zamknięty.

– Ale w takim razie cały materiał radioaktywny powinien zostać stąd zabrany?

– Owszem, ale fakt budowy betonowej kopuły o ścianach metrowej grubości podpowiada mi, że tak się nie stało.

– Więc dlaczego, do cholery, pozostawiono tu coś tak potwornie zabójczego?

Larrimore przez kilka sekund nie odpowiadał.

– W tej kwestii mogę jedynie spekulować.

– Proszę mówić.

– Chyba ktoś się wystraszył, że może mu to wybuchnąć przed nosem i skazić promieniotwórczo znaczną część kraju. Nie mogę powiedzieć, że byłem zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że tylko zalali wszystko betonem. Wtedy tuszowało się wiele rzeczy, szczerze mówiąc. Ktoś widocznie doszedł do wniosku, że tak będzie bezpieczniej, niż przewieźć wszystkie materiały. Jesteś chyba za młody, żeby to pamiętać, ale w tamtym czasie doszło do kilku wypadków, które wywołały panikę wśród ludzi. Najpierw B-52 z bombą wodorową pod skrzydłem rozbił się gdzieś w Kansas. Oczywiście bomba nie wybuchła, w ogóle nie było takiego zagrożenia, bo broń atomowa nie działa w ten sposób. Ale później zdarzył się pociąg z plutonem.

– Pociąg z plutonem?

– Owszem. Wojsko postanowiło przetransportować część zapasów plutonu z jednego miejsca w drugie. Dosłownie przez cały kraj. I pociąg przejeżdżał przez duże skupiska ludności. Nic się nie stało, ale prasa zwierzyła sprawę i połączyła ją z katastrofą bombowca. A nie był to już dobry czas dla wojska. Na Kapitolu odbywały się przesłuchania, niektórzy generałowie utracili swoje gwiazdki. Możesz sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby dzisiaj doszło do czegoś takiego? Z naszym dobowym cyklem odświeżania wiadomości? W każdym razie wtedy wszyscy mieli świeżo w pamięci te zdarzenia, zwłaszcza ci z dowództwa. Więc pewnie ktoś zdecydował: „Pieprzyć to. Niech wszystko zostanie tam, gdzie jest”.

– Chyba dołożyło się jeszcze to, że ośrodek stał w słabo zaludnionym okręgu rolniczym.

– Ale to nie była moja decyzja. Gdyby to ode mnie zależało, inaczej załatwiłbym sprawę.

– Wydawałoby się naturalne, że ktoś w końcu powinien zrewidować ten problem.

– Niekoniecznie. Gdyby teraz podjąć tam jakąś działalność, na pewno dziennikarze od razu zwietrzyliby trop. No i rząd musiałby zacząć się tłumaczyć. Zresztą mogła przeważyć obawa, że jeśli otworzy się tę puszkę Pandory, nikomu nie spodoba się zawartość.

– Minęło pięć dziesięcioleci – podsumował Puller. – Myśli pan, że jakieś materiały, jeśli jakiegokolwiek tam zostały, mogą być nadal niebezpieczne?

– Okres półrozpadu plutonu dwieście trzydzieści dziewięć wynosi dwadzieścia cztery tysiące lat. Powiedziałbym zatem, że daleko nam do wyjścia z lasu.

Puller wziął głęboki oddech i spojrzał na Cole.

– Ile tego mogło zostać w środku?

– Trudno mi powiedzieć. Ale ujmę to w ten sposób. Jeśli nie zlikwidowano stałego zapasu surowców, który zawsze mieliśmy pod ręką, i teraz zostały one w jakiś sposób użyte, efekt byłby taki, że bomby zrzucone na Japonię wydawałyby się dziecięcymi zabawkami. Dlatego powiem wprost, że ten, kto podjął decyzję o pozostawieniu tam wszystkich materiałów, powinien trafić do więzienia. Tyle że prawdopodobnie już nie żyje.

– Szczęściarz – skomentował Puller.

– I co zamierzacie z tym zrobić? – zapytał Larrimore.

– Musimy dostać się pod kopułę. Ma pan jakiś pomysł?

Cole klepnęła go w ramię i przekazała szeptem:

– Szyb.

Ale pokręcił głową i spojrzał na telefon.

– Przychodzi panu coś do głowy? – zapytał ponownie.

– Tam jest metr betonu, synu. Masz młot pneumatyczny?

– Trzeba to zrobić po cichu.

Puller złowił w słuchawce szmer przyspieszonego oddechu pułkownika.

– Myślisz, że ktoś mógłby...? – Znowu zapadła cisza.

– Nie stać nas na to, aby nie brać pod uwagę takiej możliwości, prawda? Nie wątpię, że zna pan ośrodek jak każdy, kto tam pracował. Dlatego pytam, czy

przypomina pan sobie cokolwiek, co mogłoby nam pomóc.

– Myśleliście o zrobieniu podkopu pod murem kopuły?

– Na zewnątrz wychodzą żelazne zbrojenia, które sięgają dalej, niż byłoby to uzasadnione.

Znów przez chwilę dawało się słyszeć jedynie szmer oddechu. Puller spojrzął na Cole, która wpatrywała się w niego. W pokoju nie było szczególnie gorąco, mimo to dostrzegł kropelki potu na jej czole. Jedna stoczyła się ze skroni w dół policzka. Ale nawet nie próbowała jej wytrzeć. On sam zresztą czuł warstwę potu na swojej twarzy.

Wreszcie Larrimore rzucił:

– Szyby wentylacyjne.

Puller wyprostował się gwałtownie.

– Rozumiem.

– W samym ośrodku nie można było dopuścić do gromadzenia się brudu i kurzu, poza tym w powietrzu pojawiały się cząstki substancji, które koniecznie należało usuwać. Dlatego zamontowaliśmy najmocniejszy i najbardziej rozbudowany system filtracji i wentylacji powietrza, jaki znaleźliśmy na rynku. Główne szyby wentylacyjne wychodziły z budynku po wschodniej i zachodniej stronie. Ale sam system filtrowania powietrza był na tyle rozbudowany, że nie dało się go umieścić wewnątrz budynku. Zresztą byłoby to niewskazane także z innych powodów. W każdym razie powietrze było tłoczone do stacji filtrów, tam oczyszczane i zawracane do ośrodka, w którym z oczywistych przyczyn w ogóle nie umieszczono okien. Pracowaliśmy w obiegu zamkniętym, przez co robiło się czasem bardzo gorąco, zwłaszcza o tej porze roku.

– Muszę dokładnie wiedzieć, gdzie są te szyby i w którym miejscu znajdował się system filtrowania zanieczyszczeń.

– Mogę powiedzieć tylko mniej więcej, gdzie znajdują się szyby. Minęło ponad czterdzieści lat od czasu, kiedy wyjechałem stamtąd na dobre, synu. Pamięć jest zawodna. Ale wiem dokładnie, gdzie znajdował się system filtrowania. Powietrze z obu szybów trafiało bezpośrednio do niego. Poza tym szyby były olbrzymie. Miały wystarczającą średnicę, żeby dorosły człowiek poruszał się w nich swobodnie.

– Więc gdzie jest ten system filtrowania? – zapytał zniecierpliwiony Puller.

– Bezpośrednio pod remizą.

Razem z Cole wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Larrimore ciągnął dalej:

– Pomyślałem, że to najlepsze miejsce, gdzie można go ulokować. Bo w takich systemach zawsze istnieje groźba pożaru. Gdyby coś poszło nie tak, na miejscu byłoby ludzi przeszkoleni do zwalczania ognia. Straż w remizie dyżurowała przez okrągłą dobę, a system był wyposażony w instalację alarmową, która natychmiast dałaby znać strażakom, gdyby coś się stało.

– W jaki sposób można się dostać do systemu filtrującego z remizy?

– Byłeś tam?

– Tak.

– Więc pewnie pamiętasz drewniane szafki na sprzęt. Te po prawej stronie, w głównej hali remizy.

– Pamiętam.

– Jest zamaskowane wejście za plecami ostatniej szafki po lewej. Trudno je zauważyć, jeśli się nie wie, czego szukać. Uruchamia je płytką naciskową wewnątrz szafki. Znajduje się w górnym lewym rogu. Jeśli ją popchniesz, tylna ścianka szafki obróci się na zawiasach. Za nią jest dźwignia. Kiedy pociągniesz ją w dół, cały rząd szafek odsunie się w prawo. Wtedy zobaczysz schody prowadzące w dół. To niezły przykład porządnej inżynierii. Tymi schodami można się dostać do systemu filtracyjnego. A stamtąd można przejść szybem wentylacyjnym do ośrodka.

– Jestem panu wdzięczny za tę informację, panie Larrimore – odparł Puller.

– Jeśli naprawdę zamierza pan tam wejść, agencie Puller, proszę pamiętać o kilku rzeczach. Proszę włożyć kombinezon ochronny typu Hazmat z najlepszym filtrem do maski przeciwgazowej, jaki uda się panu zdobyć. I proszę koniecznie wziąć ze sobą latarkę, bo w środku na pewno nie ma oświetlenia. Grudki metalicznego plutonu i uranu powinny być w beczkach obłożonych ołowiem. Bryłki plutonu oznakowano czerwonymi znakami przedstawiającymi czaszkę z puszczelami. Bryłki uranu mają takie same oznakowania, tyle że niebieskie. Działaliśmy na całkiem dziewiczym polu, toteż musieliśmy przyjąć własny sposób znakowania materiałów.

– Zatem oba rodzaje paliwa są w grudkach?

– Tak. Ponadto termin „paliwo” jest nader mylący, agencie Puller. Grudki obu metali przypominają z pozoru małe pączki. Ale oba są bardzo radioaktywne, zwłaszcza w postaci wzbogaconej. Pluton jest nadzwyczaj radioaktywny. Pracownicy ośrodka przenosili go chwytakami zdalnie

sterowanymi zza paneli ochronnych. Nawet współczesny kombinezon Hazmat zapewne nie jest w stanie całkowicie ochronić człowieka przed promieniowaniem. I jeszcze jedno, agencie Puller.

– Tak?

– Życzę ci cholernie dużo szczęścia, synu. Bo jestem pewien, że będziesz go potrzebował.

Stanął przed popękany lustrem w łazience swojego pokoju w motelu U Annie. Znów miał na sobie mundur polowy, a twarz pomalowaną w maskujące, zielone i czarne smugi. Oba pistolety M11, w przedniej i tylnej kaburze, czekały z nabojami w komorach, a MP5, maksymalnie załadowany, był ustawiony na wystrzeliwanie dwóch pocisków. Cztery zapasowe magazynki tkwiły w uchwytach na jego spodniach. Musiał pochylić się lekko ku przodowi, żeby ujrzyć całą swoją sylwetkę w nierówno pokrytej srebrem tafli szkła.

Na Bliskim Wschodzie trudno było o lustro, zwłaszcza na pustyni. Puller korzystał z nierównego kawałka szyby pokrytej od zewnątrz farbą olejną, dość skutecznie odbijającej światło, a tym samym tworzącej namiastkę lustra. Niektórzy z podwładnych uważali go za dziwaka, gdy widzieli, że przegląda się w tym kawałku szkła przed wyruszeniem do walki. Pullera nie obchodziło jednak, co myślą. Robił to z jednego jedyne powodu.

Jeśli miał umrzeć, chciał po śmierci wyglądać na człowieka w mundurze ruszającego do walki o coś, co warte jest tej walki. W Iraku i Afganistanie łatwo było o motywację. Pochodziła przede wszystkim od następnego żołnierza w szereg. Była walką o utrzymanie go przy życiu. Ale poniekąd wynikała również z tego, że reprezentował siły, których był częścią, a więc armię Stanów Zjednoczonych w ogóle, a dywizję rangersów w szczególności. Na trzecim miejscu plasowała się walka za ojczyznę. Cywil pewnie uznałby za nienormalne, że jego priorytety są na swój sposób odwrócone. Ale Puller dobrze wiedział, że te priorytety są ustawione dokładnie w takiej samej kolejności jak u każdego, kto nosił mundur i na co dzień narażał się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Zakończywszy swój rytuał, zgasił światło, zapewne po raz ostatni zamknął drzwi swojego pokoju i ruszył do samochodu. Sprawdził sprzęt i upewnił się, że każdy drobiazg jest dokładnie tam, gdzie powinien go znaleźć w razie konieczności. Dorzucił kilka rzeczy, które Cole zdobyła dla niego. Odjeżdżając przed motelu, wspomniawszy tamten dzień, kiedy przyjechał do Drake. To było niedawno, chociaż jemu wydawało się, że minęły długie miesiące. Niemniej było tak samo nieznośnie gorąco jak wtedy. Już teraz czuł, jak pot zbiera mu się na skórze pod strojem bojowym.

Spojrząwszy na biuro motelu, przypomniał sobie mały pokoik na zapleczu, w którym drobna starsza pani spędziła Bóg wie ile lat – od plisowanych spódnic, mocno tapirowanych fryzur i marzeń wybiegających pewnie daleko poza Drake w Wirginii Zachodniej aż po śmierć zniszczonego życiem ciała sześć dekad później. Spotkał się z tą kobietą zaledwie dwa razy, nawet nie pamiętał jej nazwiska, ale z jakichś powodów uważał, że nigdy nie zapomni o Louisie, choćby dlatego, że nie zdołał jej uratować. Miał nadzieję, że powiedzie mu się przynajmniej próba uratowania życia pozostałych mieszkańców Drake.

Spędził przy telefonie kilka godzin i rozmawiał z różnymi osobami z dowództwa. Zwracał się do nich z niezwykle prośbami. A wojskowi zawsze z rezerwą podchodzą do tego, co niezwykle. Puller był jednak nieugięty, przez co bardziej zyskiwał ich zaufanie.

Ale miał też swoje żądania. A na ich poparcie doskonale uzasadniony logicznie wniosek, że jeśli zginą niewinni ludzie, ponieważ wojsko odmówiło podjęcia odpowiednich kroków, niektóre kariery zostaną przerwane, i to nie tylko jego.

W ten sposób zaskarbił sobie uwagę pewnych ludzi i teraz jego plan znalazł się w fazie realizacji.

Mimo to jechał, przestrzegając ograniczeń prędkości, wpatrując się nieruchomo w drogę przed sobą. Pokonawszy wszelkie możliwe zakręty lokalnych dróg, zatrzymał się w umówionym miejscu, żeby zaczekać, aż światła reflektorów auta Cole wyłonią się z ciemności. W jego zegarku uruchomił się alarm ustawiony na godz. 23.30 i zaczął się niepokoić, że sierżant się rozmyśliła, kiedy jej jasnoniebieski pikap zatrzymał się przy jego wozie. Wysiadła, pochyliła się nad skrzynią swojego wozu, dźwignęła ze środka plastikową szpulę kabla telefonicznego i zapukała w pokrywę jego bagażnika. Otworzył klapę i popatrzył, jak wrzuca kabel do środka. Zatrzasnęła bagażnik i wśliznęła się na prawy fotel malibu.

Miała na sobie skórzaną kurtkę, czarny T-shirt, ciemne dżinsy i także buty. Z kabury wystawała jej rękojeść służbowej cobry. Spojrzał w dół i zobaczył wyrzucenie u dołu jej nogawki skrywającej kaburę nad kostką.

– Kaliber? – zapytał.

– Trzydzieści osiem. Krótkolufowy Silvertips. – Rozpięła suwak kurtki, odchyliła połę i pokazała mu przymocowaną do pasa kaburę z szerokim, krótkim, myśliwskim nożem do patroszenia zwierzyny. – A to na wyjątkowo kryzysowe sytuacje.

Skinął głową z aprobatą.

Popatrzyła na niego.

– Sprawiasz wrażenie gotowego do walki.

– Bo jestem gotowy.

– Naprawdę myślisz, że ktoś tam będzie?

– Nie gram w ciemno. Wolę być przygotowany na wszelkie ewentualności.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że mój brat powiedział Dickiemu Straussowi o odnalezionym szybie i wtedy wszystko się zaczęło.

– I to właśnie kolejny powód, dla którego musimy dostać się do bunkra inną drogą.

– Bo w przeciwnym razie moglibyśmy wpaść w zasadzkę.

– Zgadza się.

Dotarli na miejsce oddalone czterysta metrów na wschód od betonowego bunkra.

Puller wciągnął plecak na ramiona. Zapakował sporo różnego sprzętu. Szpulę kabla telefonicznego zarzucił sobie na ramię, po czym sięgnął po kamizelkę kuloodporną.

– Włóż to. Będziesz musiała ściągnąć paski po bokach, żeby dopasować kamizelkę do swojej sylwetki. Pewnie i tak będzie na ciebie za duża, ale lepsze to, niż wystawiać się na to, co mogą szykować przeciwko nam.

– Jest ciężka?

– Na pewno nie tak bardzo jak perspektywa taszczenia twoich zwłok z powrotem.

– Dzięki, to mi wystarczy. A co z tobą?

– Już mam na sobie kamizelkę.

Pomógł jej się w nią wcisnąć, a po drobiazgowej kontroli i kilku poprawkach w zapięciu, dał znak do wejścia w las.

Cole ruszyła za nim, gdy pewnym krokiem skierował się między grube konary, wyszukując ścieżki i szlaki dla niej niewidoczne.

– Mieszkam tu całe życie, ale zgubiłabym drogę w tym gąszczu po dziesięciu sekundach – mruknęła.

Puller ominął skraj ściany bunkra i poszedł dalej na północ, aż dotarł do rogu, za którym skręcił na zachód. Spojrzał na luminescencyjną tarczę zegarka. Przybyli na miejsce dwie minuty przed planowanym czasem. Na polu walki

pojawienie się przed czasem bywało równie zgubne, co spóźnienie. Dlatego zwolnił kroku, ale tylko trochę.

Kiedy wreszcie dotarli do skraju lasu, Puller przykucnął na piętach, a Cole poszła w jego ślady, zajmując pozycję po jego prawej stronie.

Na wprost mieli remizę.

Puller wskazał na prawo od budynku.

– Linia telefoniczna prowadzi mniej więcej tamtędy. Gniazdko jest w gabinecie na piętrze.

Cole zamyśliła się na chwilę.

– Przejścia od remizy do bunkra nie było na planach.

– To prawda – odparł. – Nie było.

– Dlaczego?

– Pewnie z ważnego powodu. Nikt nie chciał ujawniać istnienia drzwi ewakuacyjnych. – Wstał. – Jesteś gotowa? Czas przystąpić do akcji.

Cole także wstała, chociaż kolana trzęsły jej się trochę. Ale szybko odzyskała pewność siebie. Przełknęła jeszcze tkwiący jej w gardle kłęb wielkości pięści i odparła:

– No to do dzieła.

Pierwsza część misji poszła wyjątkowo sprawnie. Weszli do remizy tylnymi drzwiami. Puller po cichu wyważył zamek, spróchniałe drewno ramy ustąpiło bez oporu.

– W wojsku szkolą włamywaczy? – zapytała półgłosem Cole.

– To jeden z elementów walki w warunkach miejskich – wyjaśnił.

Ruszyli schodami na piętro, upewniwszy się, że w głównej części budynku nie ma żywej duszy. Puller poświęcił dziesięć minut na odkręcanie kabla w ściennym gniazdku telefonicznym. Następnie wyciągnął z plecaka coś, co wyglądało jak zabytkowy aparat satelitarny wielkości dużej cegły.

– Skąd masz takie starocie? – zdziwiła się Cole.

– Z wojskowych rezerw. Armia nigdy nie pozbywa się takich rzeczy.

Podłączył kabel do telefonu, wcisnął klawisz i przyłożył aparat do ucha.

– Jest sygnał centrali – powiedział.

– Planujesz rozmowę międzymiastową? – zapytała z ironicznym uśmiechem.

– Na bardzo daleki dystans – odparł.

Zeszli z powrotem na dół i podeszli do drewnianych szafek, o których mówił David Larrimore. Wszystkie były pozamykane i wyglądały tak, jakby nikt ich nie dotykał od czasu likwidacji tutejszej straży pożarnej.

Zdjął z ramion plecak i powiedział:

– Czas się ubrać na przedstawienie.

Wyjął dwa kombinezony ochrony chemicznej wraz z maskami przeciwgazowymi.

– Pułkownik powiedział, że okres półrozpadu plutonu wynosi dwadzieścia cztery tysiące lat – zauważyła Cole.

– Zgadza się.

Podał jej kombinezon. Spojrzała pytająco.

– Powiedział też, że żadne ubrania ochronne nie zabezpieczą nas przed napromieniowaniem przez to świństwo.

– Te są dużo lepsze od kombinezonów ochronnych, jakie stosowano w latach

sześćdziesiątych. Ale jak chcesz, możesz tu zostać i zabezpieczać moje tyły. Nie wiem, czy nie byłoby to lepsze od ciągnięcia cię ze sobą do środka.

– Gówno prawda i świetnie o tym wiesz.

Zaczęła się wciskać w kombinezon.

Kiedy skończyli, popatrzyła na niego.

– Wyglądamy jak astronauta gotowi na spacer po Księżycu.

– Może to wcale nie jest dalekie od prawdy.

Puller włamał się do ostatniej szafki, odnalazł kłapkę na tylnej ścianie, nacisnął ją i plecy szafki się odsunęły. W ciemności wymacał dźwignię. Miał nadzieję, że mimo upływu lat mechanizm zadziała.

Odetchnął z ulgą, gdy rozległ się stuk, twarz owionęła mu fala chłodnego powietrza i cały ciąg szafek z cichym skrzypieniem przesunął się wzdłuż ściany. Prawdopodobnie od czterdziestu lat nikt nie otwierał tego przejścia. Na tę myśl uśmiechnął się. Wyglądało na to, że kimkolwiek byli ich przeciwnicy, nie korzystali z tej drogi. Musieli iść szybem.

Cole poświeciła latarką do środka. Ukazał im się ciąg schodów.

– Wyglądasz na rozczarowaną – mruknął niewyraźnie Puller przez maskę przeciwgazową.

Obejrzała się na niego zaskoczona.

– Miałaś nadzieję, że nie damy rady tędy przejść?

– Chyba tak – przyznała.

– Lepiej stawić czoło obawom, niż żyć z nimi – powiedział.

– A jeśli mówimy o strachu, którego nie da się pokonać?

– Wtedy może lepiej od razu umrzeć.

Wyjął dwie pary gogli noktowizyjnych.

– W środku prawdopodobnie panują nieprzeniknione ciemności, więc tylko dzięki temu będziemy mogli cokolwiek widzieć. Dopiero gdy stwierdzimy, że oprócz nas nikogo tam nie ma, zapalimy latarki. Pokażę ci, jak korzystać z tych gogli. Trzeba się z nimi oswoić. Gdyby coś mi się stało, będziesz ich potrzebowała, żeby jak najszybciej się stamtąd wydostać.

– Jeśli tobie coś się stanie, pewnie to samo spotka mnie.

Pokręcił głową.

– Niekoniecznie. Musimy zwiększyć szansę, że przynajmniej jedno z nas przeżyje.

Wyjaśnił, jak działa noktowizor, po czym włożył go jej na głowę i zsunął na szkła maski przeciwgazowej. Włączył zasilanie i pokrótce objaśnił, na co patrzy.

– W porządku, teraz jesteś oficjalnie przeszkolona w zakresie korzystania z gogli noktowizyjnych.

Włączył też swój noktowizor i nasunął sobie na oczy. Podał jej rolkę kabla.

– Rozwijaj go w czasie marszu.

– Wzięłam najdłuższy, jaki był w sklepie. Myślisz, że wystarczy?

– Musimy bazować na tym, co mamy. Jeśli okaże się za krótki, wymyślimy coś innego.

Skinęła głową.

Poprowadził ją schodami w dół, mając nieco zawężone pole widzenia, gdyż zielonkawa poświata ekranu sprawiała takie wrażenie, jakby się poruszał w brudnym akwariium. Ale niektóre szczegóły były uwypuklone dużo bardziej, niż gdyby patrzył gołym okiem.

A Puller cenił szczegóły. Od nich często zależało, czy człowiek wyjdzie cało z tarapatów, czy zostanie wyniesiony.

Dotarli do podnóża schodów. Przed nimi otworzył się długi korytarz o betonowych ścianach pomalowanych na żółto. Pokonali mniej więcej połowę dystansu, gdy w przodzie zamajaczyła instalacja do filtrowania powietrza. Poklepał Sam po ramieniu i powiedział:

– Stacja filtrów.

Cole dała mu znak, że także ją zauważyła.

Na drodze stanęła im duża i skomplikowana maszyna, będąca zapewne najnowszym osiągnięciem techniki w swoim czasie. Puller mniej więcej czegoś takiego się spodziewał, chociaż stacji nie było na planach obiektu. Najtrudniejszy do pokonania okazał się wielki wentylator, o średnicy dwukrotnie większej od jego wzrostu. Ale przynajmniej nie musieli się martwić, że niespodziewanie zacznie się obracać. Z wysiłkiem precyzyjnie obok łopatki, po czym pomógł przejść Cole. Musieli jeszcze uważać, żeby nie przerwać kabla telefonicznego, gdyż bardzo źle by się stało, gdyby utracili łączność ze światem zewnętrznym, a przez metrowej grubości betonowe ściany nie przedostawał się sygnał telefonii komórkowej. Dlatego Puller starannie ułożył kabel na gładkiej obudowie wentylatora, żeby nie stykał się z żadnymi innymi elementami maszyny.

Przeszli jeszcze trzydzieści metrów. Według obliczeń Pullera powinni być już blisko ściany bunkra. Ułożył więc sobie plecak na ramionach i wyjął M11 z przedniej kabury. MP5 miał przewieszony luźno przez pierś i mógł po niego sięgnąć w ciągu paru sekund. Obejrzał się i zobaczył, że Cole także wyciągnęła swoją cobrę.

Wnętrze obiektu był wystarczająco duże, by nie zaliczać go do pomieszczeń zamkniętych, ale pistolet MP5 był bronią niszczycielską niemal we wszystkich sytuacjach, które nie wymagały strzelania na duże odległości. Niemniej obecność snajpera gdzieś wewnątrz obiektu, wyposażonego w takie samo urządzenie noktowizyjne, mogłaby oznaczać, że oboje z Cole zginą na miejscu.

Utorowali sobie drogę przez dwie kolejne przeszkody, z których pierwszą Puller musiał zdemontować, po czym znaleźli się w olbrzymiej otwartej przestrzeni. Panowała tu nieprzenikniona ciemność. Bez noktowizorów musieliby się poruszać po omacku. Pozostało im około trzystu metrów kabla telefonicznego. Miał nadzieję, że to wystarczy. Natychmiast skierował się w prawo, za osłonę długiego żelaznego pulpitu montażowego. Cole trzymała się krok za nim. Śmierdziało tu pleśnią i stęchlizną. Betonowa kopuła nie chroniła ośrodka przed wilgocią przenikającą od ziemi.

Puller rozejrzał się po ścianach budynku. Były wysokie, pozbawione okien, zbudowane z cegły. Sufit znajdował się około trzydziestu metrów nad nimi. Był zrobiony z betonowych płyt, z żelaznej kratownicy pod nim zwieszały się kasetony ze świetlówkami. Zgodnie z planami powyżej musiały być jeszcze następne piętra. Pewnie mieściły się tam pomieszczenia administracyjne i biurowe. Wyglądało jednak na to, że znaleźli się w głównej hali ośrodka.

Kiedy Puller pomyślał, że cały ten budynek pokrywa gigantyczna betonowa kopuła, poczuł się tak, jakby byli w ośrodku umieszczonym wewnątrz skorupy jajka.

- Musimy szczegółowo przeszukać tę salę – powiedział cicho przez maskę.
- Czego dokładnie szukamy?
- Istot żywych, dwustulitrowych blaszanych beczek z ołowianą okładziną i wszystkiego, co wyda nam się nie na miejscu.
- To znaczy? – mruknęła zniecierpliwiona Cole.
- Czegoś, co będzie wyglądało na nowe – wyjaśnił. – Ty idź w lewo, ja pójdę w prawo. Powoli będziemy się poruszać w kierunku środka hali. – Podał jej krótkofalówkę. – To powinno tutaj działać, nie wymaga łączności z przekaźnikiem satelitarnym. Ale przekaz nie jest szyfrowany, więc ktoś może

nas podsłuchać.

Trzydzieści minut później Puller natknął się na beczki.

Było ich pięć. Nie umiał powiedzieć, czy są okładane warstwą ołowiu, ale liczył na to, że tak. Przy bliższej lustracji dostrzegł, że są pokryte na bokach plamami brudu i pleśni. Miał nadzieję, że nie są dziurawe. Gdyby były, już by nie żył. Pochylił się i dłonią w rękawiczce starł osad z tabliczki ze znakiem przedstawiającym niebieską czaszkę z puszczelami.

Niebieskie znaki oznaczały uran.

Druga beczka była taka sama. Spróbował ją popchnąć w stronę pierwszej. Sprawiała wrażenie pełnej, tak przynajmniej należało sądzić. Nie umiał tylko określić, w jakim stopniu jej waga zależy od ołowianej okładziny. Ale pokrywy beczek wyglądały na solidnie zamknięte, a wzdłuż ich krawędzi było wystarczająco dużo osadu, żeby sądzić, iż nie były otwierane od dziesięcioleci. Dwie następne beczki miały tabliczki z czerwonymi napisami i znakami ostrzegawczymi.

A więc zawierały pluton. Je również spróbował pchnąć. Okazały się tak samo ciężkie.

Ostatnią beczkę w szeregu także oznakowano czerwoną tabliczką. A więc pluton. Ale nie to przykuło jego uwagę.

W tej brakowało pokrywy. Zrobił ostrożny krok. Po chwili wahania, doszedłszy do wniosku, że nie ma wyjścia, powoli zajrzał do środka. Beczkę pokrywała gruba okładzina z ołowiu. Uznał to za dobry znak. Zewnętrzna warstwa wyglądała na nienaruszoną.

Doskonale.

Ale beczka była pusta. Pluton zniknął.

A to oznaczało katastrofę.

Wtedy zauważył coś jeszcze. Na betonowej posadzce widać było sześć śladów po dalszych beczkach. Od razu się zorientował, co to znaczy. Sześć pozostałych beczek zniknęło w całości. A zawierały uran albo pluton. I zniknęły bez śladu.

Sięgnął po krótkofalówkę.

– Znalazłem materiały. Jedna beczka jest pusta. Zawierała pluton. Sześć beczek zniknęło.

Z głośnika krótkofalówki rozległ się trzask i Cole odpowiedziała roztrzęsionym głosem:

- Ja też coś znalazłam.
- Wszystko w porządku, Cole?
- Tak... Lepiej tu przyjdź. Jestem po stronie wschodniej, jakieś trzysta metrów od miejsca, gdzie weszliśmy do środka.
- Co tam masz? Co znalazłaś?
- Rogera. Rogera Trenta.

Stanął przy niej i popatrzył na leżącego bez ruchu mężczyznę. Był związany. Puller klęknął, ściągnął rękawicę i zacisnął palce na jego nadgarstku. Po chwili obejrzał się na Cole.

– Puls słaby, ale miarowy. Musieli go czymś naszprycować.

– Znalazłam jeszcze to.

Obejrzał się we wskazywanym przez nią kierunku i ujrzał ostatnią rzecz, jakiej mógłby się tu spodziewać.

Kasety bankowe. Otworzył pierwszą z nich. Była pełna sprawozdań finansowych. Przerzucił kilka z wierzchu. Przy teczkach z papierami leżał też plastikowy woreczek z oznakowanymi nalepkami pendrive'ami.

– Co to jest? – zapytała Cole.

– Wygląda na dokumentację finansową. Już ci mówiłem, że według twojej siostry Roger miał problemy finansowe. Może na podstawie tych zapisów uda się odtworzyć historię, którą wszyscy woleliby zachować w tajemnicy. Nie wyłączając Rogera.

– Tylko kto za to odpowiada?

– Mam swoją teorię.

– Tak? Chodziło mi o to... – Urwała nagle, spostrzegłszy, że Puller wpatruje się w coś za jej plecami.

– Na pewno dokładnie sprawdziłaś całą tę stronę hali? – zapytał.

– Nie. Posuwałam się wzdłuż ściany, gdy zauważyłam leżącego na podłodze Rogera. Dlaczego pytasz?

Wskazał przed siebie.

– Dlatego.

Cole odwróciła się i zobaczyła, co tak przykuło jego uwagę.

Pod przeciwną ścianą budynku pojawiło się jakieś źródło światła, łagodnego i zielonego. Musiało pojawić się dopiero teraz. W całkowitych ciemnościach łatwo byłoby je dostrzec z daleka.

Ruszyła za Pullerem, wyciągając cokrę z kabury.

Zatrzymał się gwałtownie, ona tuż za nim.

Podążyła za jego wzrokiem.

Skrzynka miała nieco ponad metr długości i tyle samo szerokości, została zrobiona z nierdzewnej stali. Precyzyjnie wykonana, bez widocznych spoin. Wyglądała wręcz tak, jakby została odlana w całości, żeby stanowić dowód najwyższej biegłości rzemieślniczej. Puller uklęknął i położył na pokrywie dłoń w rękawiczce. Ale szybko ją cofnął.

Obejrzał się na Cole.

– Gorąca.

– Niby jak miałyby być zasilana? – zdziwiła się. – Przecież nie ma tu dopływu energii elektrycznej.

– Za to jest mnóstwo innej energii, Cole. W tamtych beczkach jest chyba wystarczająco dużo surowców energetycznych, żeby zapewnić zasilanie Nowego Jorku na tysiąc lat, jeśli się je umieści w reaktorze jądrowym.

Zapatrzyła się na skrzynkę.

– Więc to... to jest właśnie to? Bomba? Nie wygląda na bombę.

– A zdarzyło ci się widzieć z bliska bombę atomową?

– Widziałam je pod skrzydłami samolotów. Oglądałam na History Channel filmy o bombach zrzuconych na Japonię. W niczym nie przypominały takiej skrzynki.

– No cóż, wygląd może być mylący.

– Właśnie teraz się włączyła? Nie widziałam wcześniej tego światła.

– Ja również, co oznacza, że to cholerstwo dopiero teraz obudziło się do życia.

Zaczerpnęła głęboki oddech.

– Jest tam jakiś zegar? Odlicza?

– Naoglądałaś się za dużo filmów sensacyjnych. – Puller uważnie lustrował skrzynkę, szukając jakiegokolwiek łączenia, zawiasu, szczeliny w metalowej obudowie. Jeszcze raz przeciągnął po niej palcami, próbując wyczuć coś, co mogłoby umknąć jego wspomaganą elektronicznie uwadze.

– Więc nie ma zegara?

Puller nie wytrzymał.

– Cole, nie wiem tego, jasne? Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z bronią jądrową.

– Przecież służysz w wojsku.

– Ale to o niczym nie świadczy. Większość głowic jądrowych jest pod kontrolą lotnictwa i marynarki wojennej. Piechota to wojskowa klasa robotnicza, mięso armatnie. Najpotężniejsza broń, z jaką miałem do czynienia, to działko kalibru pięćdziesiąt. Można z niego zabić setki ludzi. Ale taka bomba może pozbawić życia dziesiątki tysięcy, a pewnie nawet więcej.

– Jesteś pewien, Puller, że gdy otworzysz tę skrzynkę, nie zginiemy od razu?

– Może tak być. Lecz jeśli jej nie otworzymy, i tak prawdopodobnie nas zabije. Tyle że razem z nami mnóstwo innych ludzi.

Zastygł nagle bez ruchu, jakby wyczuł pod palcami coś około piętnastu centymetrów od górnej krawędzi po prawej stronie.

– Znalazłeś coś? – zapytała niecierpliwie.

Nie odpowiedział, tylko wyciągnął swój zabytkowy telefon i wystukał na klawiaturze jakiś numer.

– Nadszedł czas, aby wezwać ciężką artylerię.

– A jeśli nie uzyskasz połączenia?

– Wtedy będziemy załatwieni, ot co.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale powstrzymał ją, unosząc palec.

– Mam sygnał – powiedział. Chwilę później rzucił do słuchawki: – Cześć, Bobby. Znajdziesz czas, żeby podszkolić młodszego brata w zakresie rozbijania ładunków jądrowych?

Z polecenia sekretarza obrony w wojskowym więzieniu federalnym Robert Puller czekał przy aparacie już dwie godziny. Mimo że wojsko dysponowało wieloma ekspertami od zbrojeń nuklearnych, Puller Junior uparł się, że chce mieć kontakt z jedynym zaufanym człowiekiem, to znaczy ze swoim starszym bratem. To, że Robert odsiadywał wyrok dożywocia za zdradę, czyniło ten wybór jeszcze bardziej problematycznym. Ale gdy Puller sprzeciwił się najwyższym rangą generałom, sekretarz obrony w końcu uległ jego prośbie. W tej sytuacji nawet wojskowi eksperci musieli przyznać, że mało jest na świecie ludzi, którzy mogą dorównać wiedzą o ładunkach nuklearnych Robertowi Pullerowi.

Dlatego Robert czekał przy aparacie, pełen niepokoju. Przeczynał, że w końcu jego brat natknie się na bombę atomową. We wcześniejszej rozmowie John wtajemniczył go we wszystko, czego się dowiedział od Davida Larrimore'a.

– Opisz mi tę skrzynkę – poprosił teraz Robert.

– Ma około czterech metrów kwadratowych powierzchni. Wykonana ze stali nierdzewnej. Przytwierdzona do podłoża.

– Mów głośniej. Słabo cię słyszę.

– Niestety, mówię przez maskę.

Puller powtórzył wcześniejsze informacje.

– W porządku, zatem to ładunek implozyjny.

– Na to wygląda.

– Powiedz mi coś więcej o beczkach. W tej pustej był pluton?

– Tak. Przynajmniej na to wskazuje tabliczka na beczce.

– Czy ten facet, Larrimore, powiedział, ile plutonu znajdowało się w beczkach?

– Nie. Nawet nie wiem, czy sam wiedział. Wyraził się jasno, że nie potrafi uwierzyć, że pozostawiono te materiały bez nadzoru pod betonową kopułą. W tym zakresie muszą się z nim zgodzić.

– Czyli powiniennem zakładać, że nie chodzi o jakiś wyrafinowany model

ładunku, raczej o prymitywny, zawierający co najmniej sześć kilo plutonu.

– W beczce mogło znajdować się dużo więcej niż sześć kilogramów materiału, nawet biorąc pod uwagę ciężką ołowianą okładzinę.

– Rozumiem, ale podane przez ciebie rozmiary skrzynki sugerują, że nie jest to bomba skonstruowana z całej zawartości dwustulitrowej beczki plutonu. To byłaby zdecydowana przesada.

– Ale możemy mieć do czynienia z fanatykami. Wziąłeś to pod uwagę?

– Na razie zapomnijmy o tym i skupmy się na rzeczach zasadniczych.

– Myślisz, że mogę zdjąć pokrywę skrzyni i nie zginąć od promieniowania plutonu?

– Ile ona może ważyć?

Puller zważył ją w dłoniach i odpowiedział:

– Nie jest szczególnie ciężka.

– Więc chyba nie ma ołowianej okładziny ani innej osłony. Pluton powinien być całkowicie otoczony materiałem wybuchowym z umieszczonymi w nim spowalniczami i przyspieszaczami, może być także pod dodatkową warstwą ochronną, która powinna cię zabezpieczyć przed promieniowaniem. Poza tym wiemy, że reflektor neutronów jest zrobiony z węgla wolframu, a to materiał o bardzo dużej gęstości. Tym bardziej nie powinno ci nic zagrażać.

– Nie powinno?

– Nie mogę udzielić ci lepszej gwarancji, bracie.

Puller nabrał powietrza i gestem dał znać Cole, żeby się odsunęła. Zrobiła to. Szarpnął do góry. Pokrywa ustąpiła. I nie oślepił go nagły niebieski rozbłysk.

– John?

– Nic mi nie jest. W każdym razie nie świecę. To dobry znak.

– Widzisz gdzieś zegar?

Puller zerknął na Cole, która wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się pod maską.

– Naprawdę używa się zegarów w takich konstrukcjach?

– Owszem. I nie chodzi o efekt melodramatyczny, jak na filmach, lecz konkretną przyczynę. Ładunki konwencjonalne muszą eksplodować dokładnie w tej samej chwili, bo inaczej utworzy się luka w fali uderzeniowej. Nastąpi fiasko reakcji łańcuchowej, o którym wcześniej rozmawialiśmy, bracie.

Puller obejrzał wewnątrz skrzynki. Przesunął na bok gruby pęk kabli i zobaczył

zegar.

– Dobra. Znalazłem. Widocznie od niego pochodziła ta poświata, która zwróciła naszą uwagę. To cholerstwo musi mieć własne źródło zasilania, bo nie widzę żadnej baterii.

– Ile pokazuje zegar?

– Sześćdziesiąt dwie minuty i odlicza do zera.

– W porządku – rzekł Robert. – Są tam jakieś kable?

Cole skierowała strumień światła latarki do środka, żeby je lepiej widział. Na szczęście noktowizor najnowszej generacji pozwalał mu nadal wszystko widzieć mimo źródła jaskrawego światła.

– Cały pęk – powiedział do aparatu. – Zegar zasłaniał. Czy powinienem zaryzykować i poprzecinać niektóre z nich? Zatrzymam w ten sposób odliczanie?

– Nie. Istnieje ryzyko, że tylko uruchomisz obwody awaryjne. Pamiętaj, że nawet jeśli patrzysz na dwadzieścia przewodów, tylko trzy mają konkretne zastosowanie. To powszechna sztuczka w bombach domowej roboty, powinniśmy zakładać, że na tej samej zasadzie użyto zbędnych przewodów w ładunku atomowym. Gdybyś przeciął któryś z tych dodatkowych, licznik mógłby od razu przeskoczyć na zero i byłoby po tobie.

– Więc nie będę przecinał kabli – odparł stanowczo Puller.

Robiło się nieznośnie gorąco, a szczelny kombinezon ochronny tylko dodatkowo nasilał ten efekt. Szkła okularów w masce gazowej raz za razem pokrywały się parą, toteż przecierał je czołem, co nie było najlepszym rozwiązaniem, bo tylko rozmazywał na nich kropelki potu. W końcu po prostu zerwał maskę z twarzy, przetarł szkła palcami i włożył ją z powrotem.

– Inicjator musi się znajdować w samym środku kuli – ciągnął dalej Robert. – To on zapełni komorę neutronami w chwili detonacji. Złota folia, którą znalazłeś na miejscu zbrodni, została prawdopodobnie użyta do rozdzielania warstw berylu i polonu, jak mówiłem ci to wcześniej. Przestrzeń wokół inicjatora powinna być wypełniona plutonem. Od zewnątrz musi go jeszcze otaczać warstwa przyspieszacza i spowalniacza. Pierwszy wytwarza falę uderzeniową spadającą do komory. Drugi powstrzymuje komorę przed szybkim rozpadem, aby zmaksymalizować wydajność reakcji.

– W porządku, Bobby, niepotrzebny mi wykład na temat szczegółów konstrukcyjnych bomby.

– Raczej sam staram się zachować pewność, że jeszcze wiem, o czym mówię
– odparł w zamyśleniu jego brat.

– Dobrze wiesz, o czym mówisz. Jesteś geniuszem. Zawsze nim byłeś.

– Dobra. Warstwa zewnętrzna musi być zrobiona z tak zwanych soczewek eksplozyjnych. Powinieneś je widzieć. Wyglądają jak skórzane łatki, z których szyje się piłki. To po prostu odpowiednio ukształtowane ładunki wybuchowe. Najlepsze muszą wyglądać jak dzieło geometrii przestrzennej. Widzisz je?

– Widzę.

– Ile ich jest?

– Dużo.

– Jak są rozłożone?

– Prawie nie widać szczelin między nimi.

– Nie ma szczelin?

– Ja ich nie widzę.

Na drugim końcu linii rozległo się przeciągłe westchnienie.

– Ktoś wiedział, co robi.

– Co to, do cholery, oznacza dla mnie?

– Jeśli uda się dostatecznie długo powstrzymać reakcję łańcuchową, wydajność ładunku wzrośnie wykładniczo, jak mówiliśmy. A z twojego opisu wynika, że zastosowano dość wyrafinowaną konstrukcję.

Puller spojrzął na zegar. Pozostało pięćdziesiąt dziewięć minut i dwadzieścia siedem sekund.

– Jak mogę zatrzymać odliczanie, Bobby?

– Szczerze mówiąc, nie można go zatrzymać.

– Więc co, do cholery, jeszcze tu robisz?! – Puller krzyknął tak głośno, że Cole aż podskoczyła, o mało nie wypuszczając latarki.

– W gruncie rzeczy jest tylko jeden sposób na unieszkodliwienie bomby – powiedział spokojnie Robert. – Musimy zniszczyć geometrię ładunku. Jeśli soczewki są do siebie ściśle dopasowane, trzeba zakłócić moment detonacji, żeby powstrzymać reakcję łańcuchową.

– Jak mam to zrobić?

– Zakłócenia sekwencji detonacji dokonuje się poprzez dodanie własnego ładunku wybuchowego.

Puller spojrzął na Cole z przerażeniem.

– Mówisz, że chcąc zneutralizować bombę, powinienem ją wysadzić w powietrze? Czy ja na pewno dobrze cię zrozumiałem, do cholery?!

– Z grubsza tak – przyznał Robert.

– Jasna cholera! – warknął Puller. – Na pewno nie ma innego sposobu?

– Gdyby był, od razu bym ci powiedział.

– A jeśli w ten sposób tylko uruchomię obwody zapasowe?

– Wtedy nad Wirginią Zachodnią wyrośnie grzyb chmury atomowej.

– Powinienem był wezwać kawalerię, żeby zabrała to cholerstwo śmigłowcem i zrzuciła do oceanu.

– Nie zdążyliby w ciągu godziny. To tylko czcze gadanie.

– Ale może zajęliby obiekt jeszcze przed rozpoczęciem odliczania. Albo zdemontowali bombę i ukryli w jakiejś głębokiej jamie.

– To też tylko gdybanie.

– Jeśli to eksploduje, Bobby, ja będę wszystkim winny.

– Zapominasz o dwóch sprawach, John. Jeśli bomba wybuchnie, na pewno nie będziesz się już zadręczał poczuciem winy. A po drugie, odpowiedzialny jest ten człowiek albo ludzie, którzy skonstruowali bombę, a nie ty! Ile czasu zostało?

– Pięćdziesiąt siedem i pół minuty do końca świata.

Puller spojrzał na Cole, wskazał jej wylot szybu wentylacyjnego i przekazał bezgłośnie: *Uciekaj. Natychmiast.*

Pokręciła głową, więc po raz drugi wskazał jej wylot tunelu. Gdy zrobił to po raz trzeci, pokazała mu środkowy palec.

– John? Jesteś tam? Co się dzieje? – spytał zaniepokojony Robert.

– Nic. Musieliśmy rozwiązać pewien problem taktyczny. Wracając do sprawy, jakie mogą być skutki, jeśli dojdzie do eksplozji, ale nie będzie reakcji łańcuchowej?

– Nastąpi wybuch o sile jakiejś pół kilotony, ale to tylko akademicka spekulacja. Betonowa kopuła powinna wziąć na siebie większą część impetu.

– Pół kilotony? – powtórzył Puller. – Przecież to jest równoznaczne pięciuset tonom trotylu. I ty to nazywasz fiaskiem?

– Wybuch nad Hiroszimą miał siłę trzynastu kiloton i choć do konstrukcji bomby użyto sześćdziesięciu kilogramów uranu, tylko sześćset miligramów wzięło udział w reakcji łańcuchowej, a to w przybliżeniu tyle, co

dziesięciocentówka. Nie mam pojęcia, ile plutonu załadowali do skrzynki, ale musimy się liczyć z najgorszym scenariuszem. Nie ma mowy, żeby porównywać moc ewentualnej eksplozji z tym, co było w Hiroszynie. Tam była metoda zestrzelenia ładunków, tu jest implozyjna. Tam był uran, tu pluton. Można spokojnie założyć, że chodzi o moc rzędu milionów ton trotylu. Taka eksplozja wyniesie betonową kopułę na orbitę, radioaktywna chmura obejmie sześć albo więcej stanów, a cała Wirginia Zachodnia zniknie z powierzchni ziemi.

Puller poczuł, jak krople potu występują mu na czoło.

– Rozumiem, w porównaniu z tym pół kilotony nie wygląda wcale tak źle. Powiedz mi teraz, jak spowodować fiasko tego wybuchu.

– Musimy dokonać przedwczesnej eksplozji.

– W porządku, to zrozumiałem. Tylko jak?

– Wziąłeś rzeczy, które kazałem ci zabrać?

Cole zerknęła na Pullera, po czym sięgnęła do plecaka po laskę dynamitu, zwój kabla, zapalnik oraz detonator zegarowy. Sama zebrała ten sprzęt na jego polecenie i teraz podsunęła mu pod rękę, gdy przyciskał słuchawkę do ucha.

– Myślałem, że będziemy tego potrzebować do zrobienia dziury w czymś. Gdybyś powiedział mi wtedy, że mam użyć dynamitu do zdetonowania bomby atomowej, pewnie nie byłoby mnie tu teraz.

– Nieprawda, byłbyś – skwitował Robert. – Za dobrze cię znam, bracie.

Zabrzmiało to lekko, niemal żartobliwie, lecz Puller świetnie wiedział, że jego bratu nie jest do śmiechu. Podejrzewał, że Robert chce w ten sposób rozładować napięcie, w miarę możliwości uwolnić go od myśli o tym, że ma przed sobą ładunek promieniotwórczy o mocy milionów ton trotylu.

– Gdzie mam umieścić ten dynamit?

– Jeśli patrzysz na bombę z przodu, wsuń laskę pięć stopni na lewo od ładunku.

– Dlaczego właśnie pięć stopni?

– Bo lubię cyfrę pięć, John. Zawsze ją lubiłem.

Puller wsunął dynamit pod kulę ładunku jądrowego i potwierdził ten fakt bratu.

– W porządku – rzekł Robert. – Teraz oczywiście musisz tak ustawić detonator, żeby dynamit wybuchł przed eksplozją bomby. W wypadku broni jądrowej wystarczy nawet różnica milisekundy. Wybuch dynamitu powinien

wybić dziurę w powłoce soczewek i wywołać szereg wtórnych detonacji, które muszą zniszczyć geometrię kuli i zapobiec fazie kompresji. Komora reakcyjna ucieknie wtedy przez powstałe otwory i nigdy nie dojdzie do powstania stanu nadkrytycznego. Bez komory pluton nie zostanie ściśnięty i cała konstrukcja nie wypali.

– I na pewno o to nam chodzi? – zapytał Puller.

– Przedstawię ci trzy potencjalne scenariusze. Jeśli naprawdę dopisze nam szczęście, pozostaniemy poza zasięgiem reakcji jądrowej. Dojdzie jedynie do wybuchu klasycznego brudnego ładunku i nic poza tym. W najgorszym razie nastąpi drobna eksplozja jądrowa z uwolnieniem radiacji, lecz na tyle słaba, że betonowa kopuła powinna to wytrzymać. Tak byłoby najlepiej. W drugim, gorszym wypadku nastąpi atomowe fiasko z eksplozją o mocy jakiejś pół kilotony. I w takiej sytuacji dużą rolę powinna odegrać betonowa kopuła znajdująca się na odludziu, bo w ten sposób straty wśród ludności cywilnej nie powinny być duże.

– Prawdę mówiąc, w tym okręgu mieszka sporo ludzi – odparł Puller, czując na sobie uważny wzrok Cole. – W większości już teraz mają przesrane. Więc ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują do szczęścia, jest grzyb eksplozji atomowej.

– Przykro mi, John. Nie wiedziałem.

– Nie było powodu, żeby o tym opowiadać. – Puller westchnął ciężko. – A trzeci scenariusz?

– Mój plan zadziała, ale dojdzie do reakcji jądrowej.

– A to oznacza?

Robert milczał przez kilka sekund.

– Nigdy cię nie okłamywałem, John, i nie zamierzam kłamać dzisiaj. Oznacza to, że duża część rejonu, w którym się znajdujesz, po prostu wyparuje bez śladu. Efekt będzie taki, jakby uderzyło tam sto huraganów jednocześnie. Nie zostanie nic w promieniu wielu kilometrów. Taka jest natura bomby atomowej.

– Rozumiem. – Puller zamyślił się, po czym rzucił do słuchawki: – Daj mi kilka minut.

– Po co? – zdziwił się jego brat.

– W każdym twoim scenariuszu ta bomba musi wybuchnąć, prawda?

– Tak.

– Więc daj mi kilka minut.

Odłożył słuchawkę, poderwał się na nogi i pobiegł. Cole skoczyła za nim.

– Puller! Co robisz?!

Podbiegł do szeregu beczek, zmierzył je wzrokiem, rozejrzał się pospiesznie za jakimś dogodnym miejscem i szybko podjął decyzję.

– Tam jest wylot szybu kopalni. Spróbuję przetoczyć te beczki w głąb korytarza najdalej, jak się da. Gdy nastąpi eksplozja, przy odrobinie szczęścia fala uderzeniowa przepchnie je w głąb skały, gdzie zostaną na zawsze pogrzebane pod rumowiskiem. To nasza jedyna opcja.

– Lepsza niż uwalnianie promieniowania w powietrze nad Wirginią Zachodnią – przyznała Cole.

Zebrawszy siły, Puller przewrócił pierwszą beczkę na bok i szybko dotoczył ją do wylotu szybu. Korytarz opadał stopniowo, toteż beczka stoczyła się w dół i szybko zniknęła mu z oczu. Kiedy wrócił do pozostałych, ujrzał, jak Cole próbuje przewrócić następną, ale brakło jej sił.

– Wystarczy, że mi poświecisz – rzekł. – Sam się tym zajmę.

Kilka minut później wszystkie beczki wylądowały w szybie. Oboje podbiegli z powrotem do bomby i Puller podniósł słuchawkę.

– Już jestem.

– Co tam robiłeś, do diabła? – warknął Robert.

– Musiałem przetoczyć beczki z tym radioaktywnym gównem w bezpieczniejsze miejsce.

– Aha. Dobry pomysł. Gotowy?

– Jesteś szczęśliwy? – zapytał niespodziewanie Puller.

Jego brat odpowiedział szybko:

– Ważniejsze, czy ty jesteś szczęśliwy.

Oblizał wargi i popatrzył na Cole, która stała nad nim, jakby skamieniała.

Ustawił detonator zegarowy na trzydzieści minut. To powinno wystarczyć, aby wydostali się poza obszar eksplozji.

Nagle rozległ się cichy jęk.

– Roger odzyskał przytomność – powiedziała Cole.

Jej szwagier rzeczywiście odzyskiwał przytomność.

– Rozwiąż go i przetłumacz mu, że musimy stąd...

– Puller! – krzyknęła. – Patrz!

Robert najwyraźniej usłyszał to przez telefon, gdyż zapytał:

– Co się dzieje?

Puller nie odpowiedział. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w zegar bomby atomowej.

Ten przestawił się nagle z czterdziestu siedmiu minut i ośmiu sekund na równe pięć minut.

Najwyraźniej musieli uruchomić któryś z obwodów zapasowych, może przez samo zdjęcie pokrywy ze skrzyni.

Puller pospiesznie przestawił swój detonator na jedyną możliwą wartość.

Poniżej pięciu minut.

Zamknął pokrywę bomby, po czym razem z Cole podbiegł do Trenta. Swoim wojskowym nożem błyskawicznie porzcinał więzy. Oboje chwycili mężczyznę pod ręce i w panice ruszyli biegiem do wylotu szybu wentylacyjnego.

– John! – rozległ się za nimi okrzyk Roberta z porzuconego telefonu.

Ten już nie mógł odpowiedzieć. Nie zamierzał wracać po aparat.

Teraz liczyła się jedynie ucieczka z bunkra. Biegąc jednak obok Cole i ciągnąc zwisającego między nimi półprzytomnego Trenta, w myślach powtarzał tylko jedno:

Już po nas.

W pewnym momencie Trent wymamrotał:

– Co się dzieje? Kim jesteście?

– Zamknij się, Roger, i spróbuj lepiej wyciągnąć nogi – syknęła Cole.

Przedostali się przez system filtracji znacznie szybciej, niż kiedy szli w tę stronę, mimo że teraz musieli holować Trenta. Wbiegli schodami na górę i wypadli z remizy na betonowy placyk. Puller i Cole nie tracili nawet czasu, żeby przystanąć i rzucić z siebie kombinezony ochronne. Mokre od potu włosy lepiły im się do twarzy. Z czasem pocili się coraz mniej, ale tylko dlatego, że byli już odwodnieni.

Zaczerwieniony od wysiłku Trent oddychał szybko.

– Boję się, że zaraz dostanę zawału.

– Nie zatrzymuj się! – krzyknął na niego Puller.

Zerwał z dłoni rękawice i spojrział na zegarek. Minęły prawie cztery minuty. Została im niecała minuta. Pod kopułą mógł eksplodować ładunek o mocy pięciuset ton trotylu. Wziąwszy pod uwagę osłonę betonowej kopuły, potencjalny promień rażenia fali uderzeniowej wynosił dużo więcej, niż byłoby w stanie przebiec w ciągu tej minuty, nawet gdyby byli mistrzami olimpijskimi w sprincie. A gdyby doszło do reakcji łańcuchowej, mniej więcej za pięćdziesiąt sekund, i tak zostałyby z nich jedynie obłoczki pary.

Cole zauważyła, że spojrział na zegarek, i domyśliła się po jego minie, do jakich doszedł wniosków. On wyczuł na sobie jej wzrok i obejrzał się na nią. Ich spojrzenia się spotkały, mimo że pędzili ze wszystkich sił.

– Miło było z tobą pracować, agencie Puller – wysapała, siląc się na uśmiech.

– Cała przyjemność po mojej stronie, sierżant Cole.

Pozostało im trzydzieści sekund życia.

W tym czasie zdołali pokonać kolejne sto metrów. Za nimi kopuła była doskonale widoczna. Puller wołał już nie patrzeć na zegarek. Biegł dalej i jeszcze przyspieszył kroku. Podobnie jak Cole. I Trent. Świeże powietrze wyraźnie go ożywiło i chyba uzmysłowił sobie wreszcie, że uciekają przed niechybną śmiercią.

Pullera zaciekało, jak odczują falę uderzeniową, ale zaraz doszedł do wniosku, że wkrótce się o tym przekona.

W skrzynce wewnątrz bunkra eksplodowała laska dynamitu.

Zaproponowana przez Roberta metoda przyniosła skutek, gdyż w milisekundowych odstępach nastąpił szereg eksplozji wtórnych, które utworzyły w powłoce refleksyjnej wystarczająco dużą szczelinę, żeby komora implozyjna ulotniła się przez nią.

Usunęli warunki do wybuchu termojądrowego.

Pozostała jedynie zwykła bomba.

Ale wciąż potężna. Cały okręg Drake, z prowadzonym na przestrzeni lat rabunkowym wydobywaniem węgla, nigdy wcześniej nie był świadkiem eksplozji o takiej sile.

Ziemia zadygotała im pod stopami, ale odczuwali wstrząsy jedynie przez sekundę, gdyż po tym czasie stracili grunt pod nogami. W jednej chwili fala uderzeniowa wyrzuciła ich kilka metrów w górę. A gdy spadli, przetoczyła ich jeszcze po ziemi kawał drogi. Kiedy wreszcie znieruchomieli, znajdowali się z dala od siebie, dobre pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym zastał ich wybuch. Puller o mały włos uniknął zderzenia z grubym pniem wielkiej sosny.

Z nieba sypał się gruz.

Ogłuszony i zakrwawiony, powoli obrócił się na wznak. Jakimś cudem nie zgubił przewieszzonego przez pierś pistoletu MP5. Ledwie zdążył się uchylić przed spadającą żelazną beczką, której krawędź rozcięła mu policzek. Każdy fragment jego ciała zdawał się palić nieznośnym bólem, zarówno od bezpośredniego natarcia fali uderzeniowej, jak i od łupnięcia w ziemię z impetem po pokonaniu w powietrzu kilkudziesięciu metrów. Zrobiwszy jeszcze unik przed nadlatującą bryłą betonu, odwrócił się i popatrzył na bunkier.

Ale bunkra już nie było. W każdym razie zniknęła górna część kopuły. Odłamki betonu wciąż jeszcze latały w powietrzu. A w miejscu po gmachu w niebo wzbijał się słup dymu i pary. Także nie był pionowy, tylko przekrzywiony w bok, najwyraźniej pod wpływem działania potężnej fali uderzeniowej, która poderwała ich z ziemi. Odniósł wrażenie, że znalazł się na krawędzi wulkanu, który niespodziewanie zbudził się do życia.

Z pobliskiego osiedla nie doleciał ani jeden okrzyk, chociaż grad odłamków musiał tam spaść na domy. Pamiętał, że mieszkało tam pięćdziesiąt siedem osób. Cole miała wczesnym wieczorem wysłać tam swoich zastępców, żeby

nakłonili ludzi do wyjazdu pod zarzutem nielegalnego zajmowania cudzych posesji. Za wymówkę miała posłużyć wymyślona skarga mieszkańców miasta na uciążliwe sąsiedztwo. Ci siedzieli teraz w schronach, podczas gdy na zajmowane przez nich domy sypał się deszcz betonowych odłamków i kawałków prętów zbrojeniowych. Dlatego w tej chwili takie rozwiązanie wyglądało na optymalne.

Nie miał pojęcia, czy opadające szczątki bunkra są radioaktywne, czy nie, ale w tej chwili nie dbał o to. Musiał odnaleźć Cole.

Wcześniej znalazł Rogera Trenta. Niestety ten w locie uderzył głową o pień drzewa znacznie twardszy od jego czaszki. I połowa jego głowy zniknęła. Problemy finansowe tego potentata górniczego, na równi z jego problemami małżeńskimi, przestały istnieć.

Puller rozglądał się nerwowo dookoła, gdy kolejna eksplozja wstrząsnęła terenem, wyrzucając w powietrze następną porcję odłamków.

Wreszcie ją zauważył.

Leżała prawie pięćdziesiąt metrów od niego. Próbowwała wstać.

– Nie ruszaj się! – zawołał. – Już idę.

Popędził ku niej, lawirując między latającymi w powietrzu kawałkami gruzu, równie zabójczymi jak pociski z broni wielkiego kalibru. Był dziesięć metrów od niej, gdy to się stało. Odłamek betonu wielkości pocisku mózdzierzowego trafił ją w głowę i upadła z powrotem na ziemię.

– Nie! – krzyknął Puller.

Przyspieszył kroku, przeskakując bryły betonu oraz kawałki prętów zbrojeniowych i lawirując między sypiącymi się z nieba, bliżej niezidentyfikowanymi szczątkami. Czuł się tak, jakby po raz kolejny wymknął się ze szponów śmierci w Kabulu i Bagdadzie.

Dopał do Sam i uklęknął.

Tył głowy miała zakrwawiony. Między włosami tkwiły kawałki czaszki.

Delikatnie obrócił ją na wznak.

Spojrzała na niego. Ale jej oczy zaraz zmętniały. Mózg już nie funkcjonował.

Wyciągnął do niej rękę.

Jej rozbiegane oczy zatrzymały się na chwilę i zapatrzyły na niego, a usta się rozchyliły, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć.

Zaraz jednak wstrząsnął nią deszcz i wydała z siebie ostatnie tchnienie. Źrenice jej się rozszerzyły.

Samantha Cole wyzionęła ducha.

Usiadł na ziemi obok niej. Nie pierwszy raz się zdarzało, że musiał opłakiwać serdecznego towarzysza poległego na polu walki. Nie pierwszy raz. Zdarzało się to wielokrotnie. Lecz mężczyźni z rodu Pullerów nie płakali. To była zasada numer jeden.

Jednak gdy Sam Cole go opuściła, wbrew sobie poczuł łzy staczające się po policzkach.

Przedstawiciele agencji federalnych zwalili się na Drake w Wirginii Zachodniej z mocą armii inwazyjnej i tak należało ich traktować na tym etapie.

FBI otoczyło miasto kordonem, całkowicie odcinając dostęp do terenu wokół bunkra. Każdy cal ziemi został wnikliwie zbadany przez zespoły ekspertów ubranych w najnowsze kombinezony ochronne. Pobrano do analizy próbki powietrza i gleby. W rejonie eksplozji przez całą dobę kręciły się rozmaite roboty. Dziennikarze nie mieli tutaj wstępu. Władze wykorzystywały zdobywane przez lata doświadczenie w tym zakresie. Według oficjalnych komunikatów doszło do niezwykłego połączenia eksplozji metanu oraz przechowywanych w tym rejonie starych, pochodzących z okresu drugiej wojny światowej zapasów nieznanych substancji, które stworzyły w Wirginii Zachodniej ten niezwykły pokaz fajerwerków.

Zanieczyszczenie powietrza i gleby okazało się znacznie niższe, niż się obawiano. Nie trzeba było organizować ewakuacji ludności. Dzięki najnowszym osiągnięciom prognozowania komputerowego stwierdzono, że beczki stoczone przez Pullera w głąb korytarza kopalnianego spoczęły bezpiecznie pod tysiącami ton skalnego gruzu. Chwilowo nie zapadła jeszcze decyzja, czy powinno się je wydostać, czy też pozwolić im zostać tam, gdzie się znalazły. W końcu błyskawiczna akcja Pullera zaoszczędziła władzom olbrzymich kosztów składowania i utylizacji tego typu odpadów.

Pozostałości amatorskiej bomby plutonowej zostały znalezione i wywiezione. Przystąpiono do procesu oczyszczania terenu. Przedstawiciele władz bez mrugnięcia okiem okłamywali zarówno dziennikarzy, jak i mieszkańców Drake, w każdym aspekcie wydarzenia, i robili to w sposób budzący zaufanie.

John Puller został zobligowany zarówno przez liczne grono generałów, jak i prominentnych przedstawicieli służb cywilnych, do trzymania języka za zębami. A ponieważ był żołnierzem, postępował zgodnie z rozkazami.

Któregoś dnia to wszystko się zmieni, powtarzał sobie. Tylko jeszcze nie teraz.

Robert Puller został pierwszym człowiekiem w historii Stanów Zjednoczonych, którego wyróżniono za pomoc w uniknięciu nuklearnego

koszmaru, mimo że wcześniej został skazany za zdradę. Jednak ani razu nie padła propozycja złagodzenia jego wyroku. A samo wyróżnienie zostało przyznane w ścisłej tajemnicy.

Puller nie uczestniczył w pogrzebie Rogera Trenta. Wyszedł z założenia, że będzie to przedstawienie wyreżyserowane przez wdowę po nim, czyli Jean. Wątpił też, by pokazał się tam ktokolwiek z mieszkańców Drake. Trenta uwolniono od wszelkich zarzutów o współudział w przygotowaniu nuklearnego holokaustu. Nie zmieniało to jednak faktu, że w oczach ludzi uchodził za sukinsyna, który odarł ten rejon z czci i zrujnował życie wielu osobom. A Puller nie zamierzał dodawać swoich trzech groszy do tego wizerunku.

Tylko na jeden pogrzeb w Drake poszedł.

Wysiadł ze swojego malibu ubrany w nowy, granatowy mundur galowy. Później dołączył do trzech mężczyzn, którzy na własnych ramionach ponieśli trumnę z katafalku do grobu.

Był to pogrzeb Sam Cole, w którym po prostu musiał wziąć udział.

Przybyła rodzina Sam, nie wyłączając Randy'ego, który miał na sobie nowiutki garnitur, bez wątpienia kupiony przez Jean specjalnie na tę okazję. Niemniej wyglądał w nim bardziej jak zagubiony chłopiec niż mężczyzna pogrążony w żałobie.

Jean była ubrana na czarno. Sprawiała wrażenie zdruzgotanej. Według Pullera z większym żalem chowała jednak poległą siostrę niż zmarłego męża. Była teraz bardzo bogatą wdową. Ale straciła siostrę.

Samantha Cole została pochowana w swoim mundurze polowym, a nie w galowym, to znaczy tym, w którym występowała na co dzień. Znaleźli w jej domu testament, w którym wyraziła takie życzenie. Wydawało się to stosowne dla typu gliniarza, jakim była. Razem z nią w grobie spoczęła jej służbowa cobra, o co także poprosiła w testamencie, a Puller czuł się zobligowany do przestrzegania jej ostatniej woli co do każdego drobiazgu. Swój dom zapisała bratu.

Wcześniej stanął pod jej drzwiami i przyczepił kartkę z ostrzeżeniem, że każdy, kto spróbuje coś ukraść z terenu tej posiadłości, będzie ścigany przez armię Stanów Zjednoczonych i zostanie osądzony według kodeksu wojskowego i to w maksymalnym wymiarze, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Kiedy stanął nad otwartą trumną, żal ścisnął go za gardło, a serce omal nie zamarło mu w piersi. Było piekielnie gorąco, słońce prażyło niemiłosiernie, do tego dokładała się wilgoć wyrażana już chyba w skali trzycyfrowej. A mimo to

poczuł lodowaty powiew śmierci. Musnął palcami wygładzony mahoń trumny i wymamrotał pod nosem kilka słów. Czuł się jak prowincjonalny Romeo nad trumną poległej Julii.

W końcu się opanował i powiedział głośniej:

– Byłaś dobrą policjantką, Cole. Nie powinnaś tak skończyć. – Urwał, starając się ze wszystkich sił powstrzymać emocje. Po chwili zakończył frazesem: – To był zaszczyt służyć u twego boku.

Kiedy wracali po ceremonii do samochodów, dogoniła go Jean Trent.

– Co tam się naprawdę stało? – zapytała. – Nikt nie chce mi niczego zdradzić.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Uniosła brwi.

– Czy chcę wiedzieć, dlaczego straciłam męża i siostrę? A ty nie chciałbyś tego wiedzieć na moim miejscu?

– Prawda nie wróci im życia.

– No cóż, bardzo mi pomogłeś – warknęła.

– Po prostu staram się udzielić ci najlepszych wyjaśnień – odparł.

Zatrzymała się, więc on także stanął.

– Nie było cię na pogrzebie Rogera – oznajmiła.

– Owszem.

– Ale dzisiaj przyjechałeś na cmentarz w swoim wymuskany mundurze ze wszystkimi medalami na piersi. Dlaczego?

– Bo byłem to winien twojej siostrze – odpowiedział. – Musiałem jej złożyć hołd.

– Troszczyłeś się o nią, prawda?

Nie odpowiedział.

– Czy mógłbyś złapać tego, przez którego zginęła?

– Owszem, tak się stanie – potwierdził.

Odwróciła wzrok, zaciskając przy tym wargi w wąską linię.

– Nie wiem, co teraz mam począć.

– Jesteś bogata i wolna. Możesz robić, co chcesz.

– Ta pierwsza część nie jest jeszcze pewna. Większość aktywów Rogera zniknęła bez śladu.

– Ale masz swoją restaurację, a tak przezorna kobieta z pewnością zabezpieczyła sobie jakiś fundusz na czarną godzinę.

– Zakładając, że tak jest, co byś zrobił na moim miejscu?

– Naprawdę pytasz o to mnie?

– Sam bardzo dużo o tobie myślała. A niełatwo było jej zaimponować. Więc jeśli doszła do wniosku, że jesteś w porządku, będę myśleć tak samo. Dlatego pytam cię o radę.

– Przenieś się do Włoch. Otwórz restaurację. I ciesz się resztą swego życia.

– Naprawdę? Myślisz, że tak powinnam zrobić?

– Nic cię tu nie trzyma.

– Mam jeszcze brata.

– Więc zabierz go ze sobą.

– Randy'ego? Do Włoch?

Puller obejrzał się na chłopaka, który siedział samotnie na ławce, ze wzrokiem utkwionym w dal, jakby nawet nie wiedział, gdzie jest.

– W końcu poszedł do lekarza, prawda?

Skinęła głową.

– Ma guza mózgu, to rak. Na szczęście nie taki, który w każdym wypadku bywa śmiertelny. Lekarze uważają, że można go zaleczyć lub przynajmniej spowolnić jego rozwój, ale nie wiadomo, ile czasu mu zostało.

– Tym bardziej powinniście wystartować od nowa. Powodzenia.

Odwrócił się, żeby odejść, ale zawołała:

– Puller, urządzam stypę w naszym domu. Mam nadzieję, że przyjdziesz.

Nawet się nie obejrzał. Nie miał czasu na przyjęcia.

Musiał zakończyć tę sprawę. I bardzo chciał to zrobić. Dla siebie.

Ale przede wszystkim dla Sam Cole.

Mężczyzna zapalił papierosa i pomachał zapalną, dopóki nie zgasła, po czym rzucił ją na mokry bruk. Był ubrany w ciemnogrnatową kurtkę, białe lniane spodnie oraz kapelusz z rondem opuszczonym nisko na oczy. Na białej koszuli nie miał monogramu. Była poplamiona kawą, a tuż nad mankietem miała dziurkę wypaloną przez papierosa.

Przez większą część dnia padało, chmury na niebie wciąż wisiały napuchnięte wilgocią. Powietrze też było wilgotne, ale trochę chłodniejsze, co czyniło je znośnym.

Spojrzał w prawo, potem w lewo, i przeszedł przez ulicę.

Nad barem świecił się neon, który skwierczał i trzeszczał wraz z każdą zmianą niepewnego napięcia sieci elektrycznej. Poobijane drzwi baru znaczyły szeregi półkolistych wgnieceń przypominających ślady po kulach. Ale ten widok mu nie przeszkadzał. Nie po raz pierwszy odwiedzał ten lokal.

Przepchnął się przez tłum do baru. Znał tutejszy język na tyle, żeby zamówić drinka. Niektórzy ze stałych bywalców go znali, przynajmniej z widzenia. Posługiwał się fałszywym paszportem, ale wyglądającym na tyle dobrze, aby umożliwić mu przekroczenie granicy. Nie miał pojęcia, jak długo będzie musiał tu zostać. Miał nadzieję, że krótko.

Wziął swojego drinka, rzucił na kontuar odliczone monety, po czym odwrócił się na stołku, żeby popatrzeć na tłum. Większość stanowili miejscowi, ale oprócz nich była garstka turystów oraz kilku sztywniaków w garniturach, prawdopodobnie przebywających tu służbowo. Na nikim nie zatrzymywał dłużej wzroku. Wspecjalizował się jednak w wypatrywaniu takich, którzy mu się przyglądali. Ale tych ostatnich dzisiaj nie zauważył. Odwrócił się z powrotem w stronę baru, ale wytężył słuch nastawiony na skrzypienie frontowych drzwi. W każdej chwili gotów spiorunować spojrzeniem nowych gości, zarówno mieszkańców, jak i turystów.

Kobieta podeszła do niego. Młoda, ładna, ciemnowłosa, mówiła z wyraźnym obcym akcentem, ale głos miała przyjemny. Widywał ją tu wcześniej. Lubiała zaczepiać mężczyzn. Ale jego wcześniej nie zaczepiała. Zazwyczaj wybierała kogoś w swoim wieku.

– Chce zatańczyć? – zapytała.

– Nie – odparł.

– Czy może mi postawić drinka?

– Nie – powtórzył.

– To czy ja mogę postawić mu drinka?

Odwrócił się do niej, pochylając nisko głowę, żeby nie mogła mu się przyjrzeć.

– Dlaczego? – zapytał.

– Bo jestem samotna – wyjaśniła.

Powiódł wzrokiem po zatłoczonym barze.

– Nie wiem, jak to możliwe. Widywałem cię tu wcześniej. Mężczyźni odnoszą się do ciebie bardzo przyjaźnie.

Wyciągnęła papierosa i poprosiła o ogień.

Znalazł w kieszeni zapalki, wyjął jedną, potarł o pudełko i jej przypalił. Następnie pomachał zapalką w powietrzu, żeby ją zgasić, i znów zapatrzył się na kobietę.

Zaciągnęła się dymem, wydmuchnęła go w stronę poplamionego sufitu, pod którym bambusowe łopatki wentylatora powoli przepychały zadymione powietrze z jednego końca baru w drugi. Robiło się ciepłej. Czuł pod pachami mokre plamy potu.

– Nie jesteś stąd – zagadnęła.

– Wiem, że nie jestem. A ty?

– Od kiedy wyszłam z łona matki. Po co tu przyjechałeś?

– A po co ludzie tu przyjeżdżają?

– Nigdy nie byłam nigdzie indziej. Chciałabym się stąd wyrwać.

– Wyrwać...

– Co?

Nabrał ochoty, żeby z nią porozmawiać, chociaż nie był pewien z jakiego powodu. Może i on nagle poczuł się samotny.

– Właśnie dlatego tu jestem. Żeby się wyrwać.

– Wyrwać? Od czego?

– Od życia.

– Jest aż tak złe?

– Bardzo złe. Ale również bardzo dobre.

– Mówisz bez sensu.

Wyprostował się na stołku.

– Nieprawda, to ma sens. Jeśli spojrzysz na to w odpowiednim kontekście.

Popatrzyła na niego z zakłopotaną miną.

– W kontekście? A co to jest kontekst?

Dopił drinka i podniósł rękę, żeby zamówić następnego. Szklaneczka stanęła przed nim po kilku sekundach. Opróżnił ją jednym haustem, otarł usta rękawem marynarki, po czym starł pot z czoła.

– Kontekst jest wszystkim. To prawda. Jedyna rzecz, która się liczy.

– Mówisz zabawnie śmieszne rzeczy, ale cię lubię.

Jedną ręką odgarnęła włosy do tyłu. Ten ruch, jej zapach, coś w nim obudziły.

Odniosł wrażenie, że już rozumie, dlaczego podeszła do niego w barze.

Zapłacił za drinka, za nią także.

Położyła rękę na jego ramieniu, a po chwili przesunęła na kark. Przycisnął połą marynarki z portfelem do siebie, chociaż był niemal pewien, że nie o pieniądze jej chodzi.

Pieniądze.

Za usługi.

A on chciał zostać obsłużony.

Wyszli z baru pół godziny później. Przeszli do jego hotelu, który stał w odległości zaledwie pięciu minut drogi. Był to najlepszy hotel w mieście, a mimo to przypominał zatechłą norę. On nie zamierzał jednak zatrzymywać się tu na długo. Na pewno.

Poszli do jego pokoju na samej górze. Zdjął kapelusz i marynarkę, po czym rzucił je na podłogę. Rozpięła mu koszulę, pomogła uwolnić się od butów. Kiedy był już bez spodni, powiedziała:

– Daj mi kilka minut, abym mogła się odświeżyć.

Położył dłoń na jej imponującym pośladku i ścisnął. Pocałowała go w szyję. Wsunął dłoń pod jej sukienkę i przeciągnął palcami po gładkiej skórze.

Pocałowała go znowu, przesunęła językiem po policzku i po uchu.

Sięgnął drugą ręką do jej piersi, ale pobiegła do łazienki. Żeby się odświeżyć. W ciemności położył się na łóżku. Pod sufitem cicho mruczał obracający się

wentylator. Patrzył na niego, licząc obroty, w końcu zamknął oczy, czekając na stuknięcie drzwi łazienki; na jej powrót, aż znów pojawi się przy nim. Może już naga, może prawie naga. Jego życie w tak krótkim czasie zmieniło się diametralnie.

To było równocześnie przerażające i ekscytujące.

Wtedy rozległ się męski głos:

– Witaj, Bill. Czas, abyśmy porozmawiali.

Bill Strauss usiadł gwałtownie, kiedy usłyszał ten głos. Zaczął dygotać na całym ciele. Była to natychmiastowa, instynktowna reakcja, z efektem paralizującym.

Patrzył, jak ciemna postać zbliża się do niego. Drzwi łazienki się otworzyły, kobieta weszła do pokoju, ale zaraz wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

Pułapka. Dał się schwytać.

Mężczyzna wyłonił się z cienia, sylwetka nabrała konkretnych rysów.

Stanął przed Straussem i spojrzał w dół.

– Jesteś dość daleko od Drake w Wirginii Zachodniej, Bill – odezwał się John Puller.

Strauss siedział bez słowa, spoglądając na górującego nad nim agenta.

Ten przysunął sobie krzesło, obrócił je i usiadł na wprost Straussa. W prawym ręku trzymał jeden ze swych pistoletów M11.

– Skąd wiedziałeś? Bo uciekłem?

– Domyśliłem się wcześniej. Nie jesteś dobrym kłamcą. Bez większego trudu rozszyfrowałem cię tamtej nocy, kiedy przyjechaliśmy do ciebie z wiadomością, że twój syn nie żyje. W Trent Explorations byłeś ważną figurą. Ale pragnąłeś większego domu. Byłeś mózgiem całej operacji, Roger ją tylko firmował. Dlaczego zgarniał lwią część zysków? No i stałeś na wymarzonej pozycji, żeby go wykiwać. Nikt nie podejrzewał ciebie, liczykropy, bo każdy zakładał, że jeśli firma pójdzie na dno, to ty razem z nią. Mogłeś odmienić ten stan rzeczy tylko w jeden sposób, zgarniając całą forszę. Poza tym plany okolic bunkra znajdowały się w twoim sejfie, Bill. Nie u Rogera. To przeważyło. Dobrze wiedziałeś, co jest pod kopułą. I to ty się zorientowałeś, że Treadwell i Bitner wykradli te plany.

Strauss spuścił głowę na piersi.

– Skup się. Musisz się skupić. – Puller trącił dyrektora w ramię i ten natychmiast podniósł wzrok.

– Zabili twojego syna, Bill.

Strauss zacisnął pięści i stuknął się nimi po udach.

– Wiem o tym.

– I nie zamierzasz nic z tym zrobić?

– A co ja mogę?

– To koniec twojej ucieczki. Idziesz do więzienia na resztę życia. Ale możesz zmazać część winy. Masz wyjątkową okazję. Wtedy wyrównałbyś rachunki na swoich zasadach. A to już coś.

– Nie mogę. Nie zrobię tego, Puller.

Pochylił się na krzesło, unosząc nieco pistolet.

Strauss spojrzał na niego.

– Masz zamiar mnie zabić? Po to tu przyjechałeś?

– Pokonałem długą drogę, żeby się z tobą zobaczyć. Nie zamierzam cię zabijać. Chyba że mnie sprowokujesz.

– Przykro mi z powodu Sam.

– Nie przyjechałem tu, by rozmawiać o Sam. Chcę rozmawiać o tobie.

– Jak mnie znalazłeś?

– Nawet nie musiałem cię szukać.

Strauss zrobił zdziwioną minę.

– Nie rozumiem.

– Nie musiałem, bo ani na chwilę nie straciłem cię z oczu. Przez cały czas wiedzieliśmy, gdzie jesteś. Prawdę mówiąc, wytrwale podążaliśmy twoim tropem.

– Nie rozumiem. Jakim cudem...

Puller wstał.

– Zabili Dickiego, Bill. Dostał kulkę w głowę. Nie zamierzałeś do tego dopuścić, prawda?

Strauss pokręcił głową.

– To nie powinno się tak skończyć. Na pewno nie tak.

– Dostał prosto w głowę. Jechał na motorze i nagle: bum!

Dyrektor o mało nie spadł z łóżka, gdy Puller wystrzelił z pistoletu, a pocisk wbił się w ścianę tuż przy jego głowie.

– Zastrzelili go – ciągnął spokojnie agent. – Wpakowali mu kulkę w łeb. Byłem przy tym i wszystko widziałem. Na jego głowę podziałało ciśnienie

hydrostatyczne pocisku pędzącego z prędkością naddźwiękową. Pocisku typu Lapua, Bill. O wielkiej sile rażenia. Chcieli mieć pewność, że zginie na miejscu. Nie miał żadnych szans. Nawet byś nie poznał swojego syna, Bill. Z jego twarzy nic nie zostało.

Strauss podciągnął się wyżej na łóżku i warknął:

– Tego nie było w planie. Nie wiedziałem... Nikt mi nie powiedział, że Dickie... – Urwał i po chwili zaczął płakać.

– Podejrzewam, że jest ci przykro z powodu śmierci syna – rzekł Puller.

– Pewnie, że tak. Kiedy dowiedziałem się, że zginął, byłem zrozpaczony. Jego matka jest zdruzgotana.

– Ale zostawiłeś ją samą – zauważył cierpko Puller.

– Nie mogłem jej zabrać ze sobą. Nie mogłem jej też wytłumaczyć... – Znowu urwał, zakrył twarz dłońmi i zaszlochał.

– Zatem nie wtajemniczyłeś żony w swoje plany?

– Założyłem dla niej konto bankowe. Dla siebie nigdy niczego nie pragnęła.

– Z wyjątkiem męża i syna. A skoro od niej uciekłeś, to nawet nie wiesz, czy przeżyła wybuch bomby.

– Powiedzieli mi, że... nasz dom stoi na tyle daleko...

– Naprawdę nie wkurza cię, że zamordowali ci syna? – przerwał mu ostro Puller.

Nie doczekał się odpowiedzi.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął fotografię.

– Mam zdjęcie z autopsji. Chcesz zobaczyć swojego syna? Chcesz się przekonać, co z nim zrobili?

Łzy strumieniem spływały po twarzy Straussa. Już nawet nie próbował ich ocierać.

– Nie powinno było do tego dojść.

– Ale jednak doszło, Bill. Chcesz zobaczyć? – powtórzył Puller, wyciągając do niego zdjęcie.

Strauss szarpnął się do tyłu.

– Nie. Nie chcę go oglądać... w takim stanie – odparł cicho.

– Gdyby ktoś wyrządził krzywdę mojemu synowi, pragnąłbym zemsty. Chciałbym, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Ja... Nie ma już sposobu.

– Oczywiście, że jest. – Puller schował zdjęcie z powrotem do kieszeni. – Pomyśl o zadośćuczynieniu, Bill. Możesz zmasać część swoich grzechów. Możesz to zrobić dla swojego syna.

– Nie mogę. Widziałeś moją żonę. Mogliby ją skrzywdzić...

– Ona już jest objęta ścisłą ochroną. Zostanie wciągnięta do programu ochrony świadków. Wszystko jest ustalone. Załatwione. Teraz tylko ty musisz dokonać właściwego wyboru.

Puller usiadł i schował pistolet do kabury.

– A co ze mną? – zapytał Strauss. – Mogę...

– Ty idziesz do więzienia, Bill – przerwał mu znowu agent. – Nie ma dla ciebie innych ofert.

– Nawet jeśli zacznę gadać, i tak pójdę do więzienia? – zapytał tamten z goryczą.

– Ale będziesz żyć. To lepsza alternatywa od śmierci.

– Więc jednak masz zamiar mnie zabić? Jeśli nie zechcę współpracować?

– Nie muszę.

– Dlaczego?

– Rząd Stanów Zjednoczonych zrobi to za mnie. Zostaniesz stracony za zdradę.

Kilka sekund upłynęło w ciszy.

– Potrzebna mi twoja odpowiedź, Bill. Transport czeka. W zależności od twojego wyboru zostaniesz przewieziony w jedno miejsce albo w drugie.

Bill Strauss wstał z łóżka.

– Chodźmy.

Puller poderwał się i złapał go za ramię.

– Słuszny wybór.

– Dla mojego syna.

Do uprawiania joggingu Puller wybierał odludne, rzadko uczęszczane ścieżki. Lubił wyciskać z siebie pot i pogrążyć się w myślach. Dlatego wolał biegać z dala od innych ludzi.

Włożył słuchawki do uszu, włączył iPoda i ruszył przed siebie. Osiem kilometrów dalej skręcił truchtem w stronę samochodu.

I nagle się zatrzymał.

Sprawił to widok sześciu mężczyzn. Jeden opierał się o maskę jego malibu. Cztery inni zapewniali mu ochronę ze wszystkich stron. Szósty stał przy tylnych drzwiach auta. Przed nim i za nim zaparkowały dwa duże, czarne wozy terenowe, blokując mu wyjazd z zatoczki.

Puller ruszył dalej wolnym krokiem. Wyciągnął słuchawki z uszu i razem z iPodem ukrył w prawej dłoni.

– Cześć, Joe. Jak leci?

Joe Mason odkleił się od maski auta.

– Puller, nie odzywałeś się od jakiegoś czasu. Wydawało mi się, że moje rozkazy są jasne. Miałeś mi składać meldunki.

– No cóż, czasami ujawnione fakty nakazują omijać rozkazy, które powinny zostać zmienione.

– Tak myślisz?

– Mniej więcej.

– Cóż, nikt mnie o tym nie powiadomił. A zawsze dobrze jest usłyszeć to z pierwszej ręki. Dlatego tu jestem.

Puller podszedł kilka kroków. Zauważył, że czterech ochroniarzy zbliżyło się do niego. Wszyscy uzbrojeni. I byli to ci sami agenci, którzy już raz otoczyli go w piętrowym garażu w Arlington, gdy wyszedł ze spotkania z generał Carson.

– Więc zjawiałeś się tu, żeby wysłuchać meldunku?

– Zgadza się.

– W porządku. Nic prostszego. Są trzy podstawowe sprawy. Po zabójstwie Dickiego coś mi nie pasowało i zacząłem grzebać w papierach. A oto, co znalazłem. Znalicie się z Billem Straussem. Wychowywaliście się razem w

New Jersey. Sprawdziłem. I razem służyliście w marines. Strauss próbował mnie wykiwać i powiedział, że nigdy nie służył w wojsku. Ale wiedział, co oznaczają skróty BCD i DD. I zmusił swojego syna, żeby się zaciągnął, bo myślał, że wojsko wyleczy chłopaka ze skłonności homoseksualnych. Nie zrobiłby tego, gdy sam wcześniej nie służył w wojsku.

– W porządku, znałem go. Nie tylko my dwaj służyliśmy w marines.

– On też nie wytrzymał długo, jak jego syn. Dickie wyleciał ze służby z powodu DADT. Ale jego stary też wyleciał, ponieważ był drobnym złodziejaszkiem i dilerem narkotyków, a dowództwu marines znudziło się chronić jego tyłek. Zaciekawilo mnie to, że mniej więcej w tym samym czasie odszedłeś ze służby. Tyle że w twoich aktach nie było żadnych negatywnych wpisów, jak u Straussa, bo w przeciwnym razie nigdy nie trafiłbyś do FBI, a później do DHS. Ale moim zdaniem pozostawaliście ze Straussem w bliskich kontaktach. A kiedy Dickie powiedział ojcu o drodze prowadzącej szybami do bunkra, o której dowiedział się od Randy’ego Cole’a, i o tym, co tam zobaczył, Bill zadzwonił do ciebie. Doszedł do wniosku, że dzięki twoim kontaktom będzie można na tym coś ugrać. To znaczy zdobyć kupę forsy mimo chaosu i cierpień, jakie wywołało to odkrycie.

– Jesteś pewien?

– Tak, Joe, jestem. Po cichu zjawiłeś się w Drake, wszedłeś do bunkra i sprawdziłeś, o czym mówił Randy Cole. Tylko w przeciwieństwie do niego zorientowałeś się, co jest w beczkach. Gotowe kształtki do głowic jądrowych. Porzucone i zapomniane. Ile były warte? Miliardy?

– Skąd miałbym to wiedzieć?

– Dałeś mi jeszcze formalne sprawozdanie na temat bunkra. Oczywiście na tyle zgodne z prawdą, na ile wojsko uznało za słuszne. Sytuacja wymarzona dla ciebie. Ostatnią rzeczą, na której mogło ci zależeć, byłby ktoś węszący wokół bunkra. Kiedy więc zacząłem wypytywać, ty po prostu wyciągnąłeś sprawozdanie i w ten sposób skreśliliśmy bunkier z listy potencjalnych celów ataku terrorystów.

– Mów dalej.

– Po drugie, należało skonstruować bombę. Strauss zlecił Treadwellowi wykonanie pewnych elementów, nie mówiąc mu, do czego chce je wykorzystać. Po prostu przekazał mu specyfikację techniczną, którą dostał od ciebie. Ale Treadwell i Bitner zrobili się wścibscy i popełnili olbrzymi błąd, wtajemniczając swojego sąsiada, Matta Reynoldsa. A ten służył w DIA. W

bardzo niewygodnym dla was wydziale. I zlecił wykonanie analiz próbek gleby. Założę się, że zostały pobrane gdzieś w bezpośrednim sąsiedztwie bunkra. Nie sądzę, aby Reynolds wiedział, że pod kopułą jest pluton, pewnie doszedł do wniosku, że chodzi o jakieś toksyczne chemikalia, którymi mogą się zainteresować postronni ludzie. Gdyby zaczął bardziej węszyć wokół sprawy, twój plan mógłby leć w gruzach. Tak więc sześć osób musiało umrzeć, w tym dwoje dzieci. Który z twoich chłopców się tym zajął, Joe? – Puller rozejrzał się i wskazał jednego z obstawy. – Ten? – Wskazał drugiego. – A może tamten dupek? Bo wątpię, żebyś sam się tu zjawił. Dowódca nigdy nie brudzi sobie rąk. Obserwowałeś tylko akcję za pośrednictwem wideo. Zastrzeleni rodzice, dzieci zatłuczone na śmierć. Co, nie mieliście serca, żeby do nich także strzelać?

Mason nie odpowiedział.

– A potem, w poniedziałek wieczorem, twoi chłopcy zauważyli Larry’ego Wellmana na służbie. Żółtodzioba. Zaskoczyli go, pewnie gdy robił obchód gdzieś na tyłach domu, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Machnęli mu przed nosem odznakami. Agenci federalni są niczym bogowie. Wellman z całego serca chciał im pomóc. Zgodził się bez słowa sprzeciwu. Nie zadawał pytań. Zaprowadził twoich chłopaków do piwnicy, a oni go tam powiesili jak wypatroszoną świnię. Podrzucili jeszcze skrawki awiza przesyłki poleconej i odjechali jego wozem patrolowym.

– A jak niby mielibyśmy przejąć ten list?

– To nie było pismo z wynikami analiz. Wiedziałaś o tym, ponieważ Wellman powiedział to Dickiemu albo Matt Reynolds sam ci zdradził, kiedy go przesłuchiwałaś. Wyniki analiz w ogóle nie zostały wysłane pocztą, więc nie moglibyśmy ich znaleźć w domu. Zatem wiedziałaś, że pismo nie zostało wysłane, ale chciałaś, byśmy podążyli tym tropem, bo zdawałaś sobie sprawę, że prowadzi donikąd i stracimy tylko czas. Tak więc zabiłaś człowieka jedynie po to, żeby podrzucić fałszywe dowody na miejscu zbrodni.

– Interesujące – powiedział Mason.

– Potem wymyśliłaś rozmowę telefoniczną w dari, żeby obarczyć winą ludzi w turbanach, którzy nie istnieli. Nikt nigdy nie zwróciłby uwagi na Drake, ale ręka cię świerzbiała z powodu morderstw. Wiedziałaś, że dochodzenie przypadnie w udziale CID. Dlatego sfingowałaś tę rozmowę, a później zapewne rozkazałaś swoim chłopcom jeszcze trochę pogadać przez telefon, żeby podsunąć mi wiarygodny, lecz fałszywy trop dotyczący gazociągu i elektrowni

atomowej. Powiedziałeś mi, że mamy tylko trzy dni, gdyż wiedziałeś już, że bunkier ma wylecieć w powietrze dzień wcześniej. A Strauss spreparował pogroźki pod adresem Rogera Trenta, by stworzyć atmosferę, że coś się dzieje wokół jego osoby. Zamierzał przecież wykorzystać tę okazję, aby pozbyć się szefa wraz z dokumentacją finansową zawierającą dowody na defraudację. To dlatego Trent wraz z księgami spółki znalazł się pod kopułą. Nie zostałyby po nich żaden ślad, nie licząc opadu radioaktywnego. Ludzie doszliby do wniosku, że to Trent coś wykombinował, chcąc się uwolnić od kłopotów finansowych spowodowanych przez Straussa, albo że ten, kto groził mu śmiercią, w końcu dopadł swoją ofiarę. We dwójkę wymyśliliście całkiem zgrabny plan.

– Nie masz żadnych dowodów, które łączyłyby mnie z tą sprawą – odparł Mason.

Puller wyprostował trzeci palec.

– A teraz się dowiesz, dlaczego przestałem składać ci meldunki, a zamiast tego zacząłem kopać w archiwach. Byłeś jedynym człowiekiem, któremu zdradziłem, że Dickie Strauss nawiązał ze mną współpracę. Co ważniejsze, tylko tobie powiedziałem o tym, że mam się z nim spotkać tamtego wieczoru w remizie. Tak więc jego śmierć nie była dziełem przypadku. Twój snajper zjawił się na miejscu na długo przedtem, żeby zdążyć wszystko przygotować do wykonania zadania. Byłeś jedynym człowiekiem, który mógł zorganizować ten zamach. Nikt inny.

– Nie tak to pamiętam – odparł Mason. – Dickie powiedział, co powiedział.

– A ty go zabiłeś, ponieważ nabrałeś obaw, że Dickie mógłby zmienić front. Zakradł się do domu i znalazł powieszzonego Larry’ego Wellmana. Widział trupy rodziny Reynoldsów. Wiedział, że Treadwell i Bitner także zginęli. Był przerażony. Wątpię, czy mu powiedziałeś, jaki jest prawdziwy plan, ale kiedy ludzie zaczęli ginąć, szybko zrozumiał, że sprawa go przerosła. Mógł dojść do wniosku, że najlepiej współpracować z władzami. Ale ty nie mogłeś do tego dopuścić. Dlatego twój człowiek strzelił mu w głowę.

– To ty tak twierdzisz. Nie masz dowodów.

Puller spojrzał na ochroniarzy.

– Postawiłeś na swoim, Joe. Wysadziłeś bunkier. Zdobyłeś paliwo do głowic jądrowych. Roger Trent nie żyje. Dokumenty finansowe wyparowały. Więc co tutaj robisz? Twój plan się powiódł.

Mason nie odpowiedział. W napięciu patrzył Pullerowi w oczy.

Ten zbliżył się do niego na krok.

– A może telefoniczna paplanina islamistów wcale nie była daleka od rzeczywistości, nawet jeśli ją sfabrykowałeś? Może zostałeś wynajęty przez wrogów naszej ojczyzny, by doprowadzić do detonacji brudnej bomby atomowej w Wirginii Zachodniej. Myślę, że te beczki, które zostawiłeś pod kopułą, były częścią bomby. Ale ludzie, z którymi prowadziłeś interesy, zapewne kręcą nosem, że nie wszystko poszło zgodnie z planem. To dlatego przyjechałeś, żeby odegrać się na mnie. A może ocalić tyłek przed zemstą facetów w turbanach? Ile można zarobić, atakując swoją ojczyznę, Joe? Podaj chociaż przybliżoną kwotę.

Mason odchrząknął.

– Nie do końca rozpracowałeś tę sprawę, Puller. Jestem patriotą. Nie mógłbym wystąpić przeciwko ojczyźnie. Dobrze wiedziałem, czym dysponuję. Ale nie wziąłem forsy za to, żeby doprowadzić do wybuchu atomowego.

– Pieprzysz! – syknął Puller. – Niczym się nie różnisz od fanatyków, którzy zaatakowali 11 września.

– Sam nie wiesz, co mówisz, do cholery! – wybuchnął Mason.

– Zatem wytłumacz mi, Joe. Wyjaśnij, jak były komandos stał się zdrajcą.

Mason zaczął szybko mówić:

– W DHS poznałem wielu specjalistów od broni atomowej. I wiedziałem, jak dotrzeć do ludzi, którzy byli mi potrzebni do skonstruowania bomby. Gdy masz paliwo, reszta jest już prosta. Władze nigdy by się nie przyznały, że pozostawiły takie materiały bez nadzoru. Mogłem sprzedać towar i nikt by się o niczym nie dowiedział. Popełniłem wielki błąd, pozwalając Straussowi zaangażować tego idiotę Treadwella do budowy reflektora i kilku innych elementów, co srogo się na mnie zemściło.

– Nie powiedziałeś niczego istotnego. Nadal jesteś zdrajcą. Zostawiłeś w bunkrze beczki z częściami do ładunków uranowych i plutonowych. Gdyby eksplodowały, zostałyby skażonych pięć albo sześć stanów.

– Beczki były puste. Nie zostawiłem pod kopułą żadnych materiałów rozszczepialnych. W tej kwestii masz rację. Ten towar był wart miliardy dolarów.

– Kłamiesz – rzucił Puller. – Widziałem te beczki. Ich pokrywy nie były ruszane od lat.

Mason uśmiechnął się triumfalnie.

– Bo poodcinaliśmy ich dna, Puller. A potem przyspawaliśmy z powrotem. Napełniliśmy beczki gruzem. Jak widzisz, umiem się zabezpieczyć na każdą okoliczność. Jak również na taką, że zaczniesz się dobierać do bomby. Twoje poczynania uruchomiły obwód alarmowy detonatora zegarowego.

– Ale mimo wszystko była to bomba atomowa. Zatem tak czy inaczej, chciałeś skazić radioaktywnie dużą część swojej ojczyzny, dupku.

– Wiedziałem, co robię, jasne? – syknął ze złością Mason. – Skonstruowaliśmy bombę z minimalnej ilości plutonu, wystarczającej tylko do tego, żeby nastąpiło małe bum i powstało niewielkie skażenie. I to na odludziu. Co by się stało, gdyby Drake w Wirginii Zachodniej zasypał radioaktywny popiół? To miasto i tak jest już martwe.

– Mieszka tam ponad sześć tysięcy ludzi, Joe.

– Dużo więcej osób ginie każdego roku w wypadkach drogowych. A setki tysięcy umierają co roku w szpitalach z powodu błędów lekarzy. W tym kontekście straty wśród ludności cywilnej byłyby niewielkie.

– Ale i tak zamierzasz sprzedać to paliwo jądrowe naszym wrogom. Oni nie będą detonować swoich bomb na pustkowiach, Joe. Wysadzą w powietrze Nowy Jork i Waszyngton.

– Dlatego przeprowadzam się do innego kraju. Tutejsze warunki już mnie trochę zmęczyły. Tyle że ty utrudniłeś mi kilka spraw. Wciąż mogę sprzedać ładunki, ale teraz to nie będzie już takie proste. Dlatego tu jestem. Aby powetować sobie straty, które spowodowałeś.

– Naprawdę tak bardzo potrzebujesz pieniędzy? – zapytał Puller. – Żeby zaprzedać się terrorystom? Jesteś zwykłą gnidą.

– Wypruwałem sobie żyły dla tego kraju ponad trzydzieści lat. A następna kolejka cięć budżetowych pozbawiłaby mnie stanowiska. Nic nie jestem nikomu winien.

Puller wyprostował czwarty palec.

– Mówiłeś, że masz tylko trzy istotne sprawy – zaoponował Mason.

– Skłamałem. Odnaleźliśmy Billa Straussa w Ameryce Południowej. Oczywiście zwiął przed eksplozją bunkra. W końcu i tak nie zamierzał się męczyć w cieniu atomowego grzyba, choć nie trudił się, by zabrać ze sobą żonę pogrążoną w żałobie. To on jest prawdziwym zwycięzcą. Nie mówiłem jeszcze, że syknął zarówno ciebie, jak i wszystkich twoich ludzi?

– To wykluczone – wycedził Mason. – Rozmawiałem z Billem...

– Zgadza się, rozmawiałeś z nim i wczoraj, i dziś. Byłem przy nim w pokoju, kiedy odbierał twoje telefony. FBI nagrała te rozmowy.

– Blefujesz.

– A jak myślisz, skąd znam szczegóły, o których właśnie mówiłem? Jestem niezłym śledczym, ale Strauss wyprostował mój punkt widzenia na kilka spraw. Inaczej nigdy bym nie poznał prawdy.

Mason wytrzeszczył na niego oczy.

– Krótko mówiąc, siedzisz na kilku beczkach z paliwem jądrowym, których i tak nie będziesz w stanie sprzedać – ciągnął Puller. – Ale przecież w więzieniu nie będziesz potrzebował pieniędzy. No, chyba że skażą cię za zdradę i dostaniesz śmiertelny zastrzyk. Tak czy inaczej, ja jestem zadowolony z efektu.

Puller spojrzał na ochroniarzy Masona i zwrócił uwagę, że wszyscy wyglądali na skrajnie zdenerwowanych. To było tak samo dobre, jak i złe. Dobre przez to, że nerwowi mężczyźni już nie byli tak skutecznymi przeciwnikami. Ale złe, ponieważ nerwowi uzbrojeni mężczyźni mieli skłonność do podejmowania błędnych decyzji i przez to stawali się nieprzewidywalni.

Lecz nawet wobec przewagi sześciu na jednego, Puller wyczuwał, że już czują się osaczeni i pokonani.

Spojrzał na Masona.

– Jesteś gotów się poddać, Joe? – zapytał.

– Zaraz się dowiesz, na co jestem gotów, Puller. Powiem ci to prosto w twarz.

Mason obejrzał się na szóstego mężczyznę stojącego przy tylnych drzwiach malibu i gestem nakazał mu podejść. Był to człowiek po pięćdziesiątce, ubrany w grube spodnie i lekką wiatrówkę, choć zrobiło się ciepło. Był uzbrojony w dziewięćmilimetrowego siga, którego trzymał w prawym ręku lufą do dołu. Niższy o jakieś pięć centymetrów od Pullera, sprawiał wrażenie cięższego o dobre dwadzieścia kilo. Wyglądał na niewzruszonego, bezwzględnego, gotowego zabijać.

– Poznaj Siergieja, Puller – rzekł Mason. – Służył w armii radzieckiej. Specjalizuje się w zadawaniu bólu. Zabierze cię w pewne miejsce i popracuje nad tobą, zademonstruje ci kilka unikalnych metod. Jest naprawdę bardzo dobry w swoim fachu.

Puller zerknął na tamtego, który przyglądał mu się z pogardliwą miną.

– Wojska radzieckie? W bezpośredniej walce jesteście gównem warci. Pozwoliliście, aby bandy wieśniaków z pustyni skopały wam dupska w Afganistanie.

Lekceważący uśmiezek Siergieja jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zastąpiły mordercze błyski w oczach.

– Nie jestem pewien, czy to była mądra uwaga, Puller – dodał Mason.

– Zraniłem twoje uczucia, Siergiej? Czyżbyś był jednym z tych, którym brakuje jaj, żeby nosić broń? Może służyłeś na tyłach i pracowałeś z tymi, którzy nie mogli walczyć?

Teraz wzrok Siergieja mógłby zabijać. Puller właśnie do tego zmierzał. Chciał wykorzystać to, że rozwścieczeni ludzie popełniają błędy. Przynął się jeszcze o krok.

– Pozwól, że nakreślę ci nasz scenariusz, Puller – powiedział Mason. – Zabierzemy cię w pewne miejsce, gdzie Siergiej zada ci prawdziwy ból, a ja będę się temu przyglądał. A potem raz na zawsze uwolnisz się od bólu. Dwukrotnie próbowałem cię wyeliminować, jeszcze przed dojściem do etapu bomby, ale dwukrotnie mi się nie udało. Jednakże, jak mówią, do trzech razy sztuka.

Puller rozrzucił szeroko ramiona i wykorzystał ten ruch, aby odwrócić ich

uwagę od tego, że przesunął się jeszcze dwa kroki do przodu. Powiedział:

– Więc tak przedstawia się wasz plan? Mam nadzieję, że nie spędziłeś nad nim dużo czasu, Joe, bo naprawdę jest do niczego.

– Ale mnie odpowiada. Zresztą mam plan awaryjny. Jak zawsze. Niezależnie od tego, czy Strauss siedzi w federalnej pace, czy nie, ja znikam. I nawet nie myśl o tym, że uda ci się wszcząć jakąś bójkę. Zastrzelimy cię na miejscu, jeśli będzie potrzeba.

Puller wzruszył ramionami.

– No cóż, miejmy to już za sobą. Czeka mnie jeszcze dzisiaj kilka spraw do załatwienia.

Zanim Siergiej zdążył unieść broń, Puller zaatakował. Boczna krawędź iPoda miał wypolerowaną na wzór najlepszego bojowego noża rangersów.

Nie minęła sekunda, a Rosjanin z rozplataną szyją, zalany krwią, upadł na maskę auta. Puller złapał go za kołnierz, obrócił wokół siebie i kopniakiem wytrącił pistolet z ręki Masona. Następnie pozwolił Siergiejowi wykrwawiać się na śmierć na ziemi i błyskawicznie otoczył ramieniem szyję Masona, przekręcił się, unosząc agenta z ziemi, i wbił go czołem w przednią szybę malibu.

Mason legł rozciągnięty na masce, z zakrwawioną głową i twarzą pociętą w krwawą miazgę. Puller nie miał nawet pojęcia, czy agent przeżył atak. Mało go to obchodziło.

Pochylił się i szepnął mu na ucho:

– To za sierżant Samanthę Cole.

Odwrócił się i powiódł wzrokiem po ochroniarzach Masona. Wszyscy mierzyli do niego z broni, ale wyglądali na sparaliżowanych niespodziewanym atakiem.

Nie na długo.

Dwudziestu rangersów w pełnym rynsztunku bojowym wyrosło jak spod ziemi, mierząc ze swoich MP5 w czterech mężczyzn. Tak więc przewaga wynosiła pięć do jednego. Szanse na zwycięstwo z zaskoczenia spadły gwałtownie do zera.

Czterej agenci rzucili broń na ziemię.

Kiedy zostali skuci, Masona wyciągnięto z resztek pogruchotanej przedniej szyby auta, a zwłoki Siergieja zapakowano do plastikowego worka, z lasu wyszła generał Julie Carson. Przelotnie spojrzała na Masona, minęła go i

stanęła przed Pullerem. Podała mu butelkę wody.

- Pomyślałam, że chętnie się napijesz po wysiłku fizycznym.
- Jasne. I dzięki za to, że dała mi pani chwilę sam na sam z Masonem.
- Nie ma za co. Obserwowałam to z przyjemnością.
- Mason nie żyje?
- Przeżył. Puls jest wyczuwalny. Chociaż słaby.
- Nie spieszcie się z wzywaniem karetki.

Uśmiechnęła się.

- Przyjęłam.
- Nawet nie chodzi mi o to, że będziemy go jeszcze potrzebowali, bo zakładałam, że pani ludzie zarejestrowali wszystko, co zostało tu powiedziane.

Carson podsunęła mu pod nos przenośną pamięć.

- Chyba wiesz, jak poważnie armia Stanów Zjednoczonych traktuje dane wywiadowcze? Myślę jednak, że możemy z nagrania wyciąć ten fragment z twoimi prowokacjami wobec Masona i jego rosyjskiego najemnika. Bo w końcu, czy ktoś musi o tym wiedzieć?

Uśmiechnął się.

- Raczej nie spodziewałem się takich niuansów z pani strony, generał Carson.

Odpowiedziała uśmiechem.

- Mam jeszcze kilka niespodzianek. A skoro czas nas goni, mów mi Julie.
- Z przyjemnością, Julie.

Obejrzała się na swoich ludzi, którzy właśnie odjeżdżali.

- Myślę, że w całej sprawie chodziło głównie o pieniądze.
- Chyba tak. A co z materiałami rozszczepialnymi?
- Nie pojawiły się jeszcze na rynku, więc je przejmujemy. To jedyna rzecz, na której mogą polegać ci ludzie, wnioskując o złagodzenie wyrokowanych kar śmierci.

Puller popatrzył na roztrzaskaną przednią szybę malibu.

- Chyba powinienem go tu zostawić.
- Nie przejmuj się. Podrzucę cię.
- Dzięki.
- I może wreszcie wyskoczymy na drinka.

– Chętnie.

Zostałeś bohaterem, Bobby – rzekł Puller. – Uratowałeś nie tylko miasto, ale prawdopodobnie cały stan.

Siedział naprzeciw brata w USDB.

Robert Puller starał się ukryć radość z pochwały. Po raz pierwszy podczas widzenia w więzieniu federalnym mógł odnotować, że jego brat traktował tę sprawę z wyraźną dumą.

– Dostarczyli ci wyróżnienie?

Robert skinął głową.

– Chyba pierwsze w historii USDB. Nie bardzo byli pewni, co mają z tym zrobić.

– Nie wątpię...

– Przykro mi z powodu śmierci twojej przyjaciółki, Sam Cole.

– A mnie jest przykro, że mimo wyróżnienia nie przyszło im do głowy, żeby zrewidować twój wyrok.

– Naprawdę się tego spodziewałeś? Wojsko nie bazuje na domysłach. A to by oznaczało przyznanie się do błędu, czego wojsko także nigdy nie robi.

Puller sięgnął przez stół i ścisnął dłoń brata, ignorując badawcze spojrzenie żandarma dyżurującego przy drzwiach.

– Uratowałeś mój tyłek.

– W końcu od tego są starsi bracia.

Przez większą część lotu Puller wyglądał przez okno. Kiedy znaleźli się nad Wirginią Zachodnią, pilot ogłosił pozycję przez interkom, po czym dodał, że sam pochodzi z Bluefield, jego zdaniem najpiękniejszego zakątka w tym kraju. Wtedy Puller zaczął przeglądać magazyn linii lotniczych i odgrodził się od słów padających z głośników.

Na lotnisku odebrał naprawionego chevroleta i pojechał do swojego mieszkania. Kot powitał go serdecznie, toteż poświęcił mu kilka minut. Później wyjrzał na mały dziedziniec widoczny z kuchennego okna. Widok sprawił, że wrócił myślami do idealnie urządzonego podwórza Sam Cole, gdy siedzieli i rozmawiali przy fontannie. Aż musnął palcami policzek, w który go wtedy

pocałowała. Zastanawiał się, czy postąpił słusznie, odrzucając dość bezpośrednie zaproszenie do łóżka. W końcu doszedł do wniosku, że wówczas było to słuszne dla nich obojga. Mimo że zawsze sądził, iż jego spotkania z kobietami powinny przebiegać inaczej.

Więc jakie mieli szanse? Takie, że on przeżyje. A ona zginie. W końcu ta bryła betonu mogła równie dobrze trafić jego. Albo w pień drzewa. Albo w sarnę. Ale trafiła właśnie w Sam Cole i zakończyła jej życie.

Człowiek może to wytłumaczyć, twierdząc, że po prostu nie nadszedł jeszcze jego czas. Puller wiele razy korzystał z tej wymówki, uchodząc z życiem podczas potyczek bojowych. Ginęli wyłącznie inni, ale nie on. Tymczasem jemu to wyjaśnienie nie wystarczało. Zwłaszcza nie tym razem. Nie był pewien, dlaczego ten wypadek różni się od innych, ale był pewien, że właśnie o to chodzi.

Zrezygnował z odpoczynku i zgłosił się do dowództwa CID w Quantico. Pisał sprawozdania i spotykał się z ludźmi, z którymi chciał porozmawiać. Dowiedział się, że przyszedł wniosek o awans, według którego zasługiwał na przeskoczenie od razu dwóch stopni, a nie tylko jednego, co było wręcz niespotykane.

Zrezygnował z awansu bez podania powodu.

Dowódca długo próbował mu to wyperswadować.

– Inni agenci daliby się zabić za coś takiego.

– Więc niech inni korzystają z takich okazji.

– Nie rozumiem cię, Puller. Naprawdę nie rozumiem.

– Tak, wiem, sir. Czasami sam siebie nie rozumiem.

Posprzątał swoje biurko, odpowiedział na zaległe maile, spotkał się z kilkoma oficerami. Wreszcie postanowił na jakiś czas wziąć urlop od wojska. Zaoszczędził trochę pieniędzy. Teraz postanowił je wykorzystać. Zapewne nie było takiego oficera w wydziale, który odrzuciłby jego prośbę. Ludzie, którzy uratowali kraj przed nuklearną zagładą, mogli robić wszystko, na co im przyszła ochota.

Ale w granicach rozsądku.

W końcu służył w armii Stanów Zjednoczonych.

Wrócił do domu, spakował kilka rzeczy razem z kotem, załadował wszystko do malibu i odjechał. Nie patrzył na mapę, nie miał żadnego planu, nie wybrał celu. Postanowił być zwyczajnym agentem CID na urlopie. Kot siedział na

tylnym siedzeniu auta w takiej pozie, jakby to on był szoferem.

Wyruszył o północy, gdyż zdecydowanie wolał jechać nocą. Natrafił na jakąś szosę prowadzącą na zachód i zmienił kierunek. Do świtu pokonał ponad pięćset kilometrów, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Kiedy w końcu zrobił sobie przerwę, żeby skorzystać z toalety, rozprostować nogi i zatankować, zafundował sobie też największą oferowaną porcję kawy i wypuścił kota na krótki spacer, po czym stwierdził ze zdumieniem, że znalazł się w Wirginii Zachodniej. Nie zamierzał jednak wracać do Drake, trafił do innej części stanu. Do Drake nic go już nie ciągnęło, o ile kiedykolwiek było inaczej.

Nie chciał oglądać ponownie bunkra, a raczej tego, co z niego zostało. Nie chciał się spotykać ani z Trentami, ani z Cole'ami, ktokolwiek z tych rodzin pozostał przy życiu.

Wolał poruszać się u boku Sam Cole we wspomnieniach tak długo, jak długo żyły w jego pamięci. Jej towarzystwo sprawiło, że stał się lepszym stróżem prawa. I lepszym człowiekiem. Był pewien, że będzie mu jej brakowało do końca życia. Nie miał co do tego wątpliwości.

Mógł wrócić do wojska i dalej łapać ludzi robiących złe rzeczy. Z jakiegoś powodu czuł, że wróci do służby silniejszy niż dotąd. To było przyjemne uczucie. Uważał, że je także zawdzięcza Sam Cole.

Otworzył drzwi i kot wskoczył z powrotem na tylne siedzenia auta. Puller usadowił się za kierownicą, wrzucił bieg i zapytał:

– Gotów do dalszej podróży?

Kot miauknął potakująco.

Puller wyjechał ponownie na drogę i dodał gazu.

Pojechał dalej przed siebie, szybko, bez przystanków.

I chwilę później już go nie było, jakby nigdy nie zatrzymywał się nawet na chwilę.

W końcu to prawda.

Nie dało się uniknąć tego, czego nie sposób przewidzieć.

Podziękowania

Dla Michelle, podróż trwa dalej.

Dla Mitcha Hoffmana, za pomoc w widzeniu światła.

Dla Davida Younga, Jamie'ego Raaba, Emi Battaglii, Jennifer Romanello, Toma Maciaga, Marthy Otis, Chrisa Barby, Karen Torres, Anthony'ego Goffa, Lindsey Rose, Boba Castillo, Michele McGonigle i całego zespołu Grand Central Publishing, który wspiera mnie w każdy możliwy sposób.

Dla Aarona i Arleen Priestów, Lucy Childs Baker, Lisy Erbach Vance, Nicole James, Frances Jalet-Miller i Johna Richmonda, za trwanie przy mnie.

Dla Mai Thomas, cesarzowej e-booków.

Dla Anthony'ego Forbesa Watsona, Jeremy'ego Trevathana, Marii Rejt, Trishy Jackson, Katie James, Aimee Roche, Becky Ikin, Lee Dibble'a, Sophie Portas, Stuarta Dwyera, Anny Bond i Michelle Kirk z Pan Macmillan, za pomoc w uzyskaniu moich najlepszych rezultatów w Wielkiej Brytanii.

Dla Rona McLarty'ego i Orlagh Cassidy, za użyczenie swoich nadzwyczajnych głosów do moich historii.

Dla Stevena Maata z Bruna, za wywindowanie mnie na pierwszą pozycję w Holandii.

Dla Boba Schule'a, za sokole oko.

Dla doktora Anshu Gulerii, za rzeczowe rady medyczne.

Dla zwycięzców aukcji charytatywnej, Matthew Reynoldsa, Billa Straussa oraz Jean Trent, z nadzieją, że spodobają im się książkowe sobowtóry.

Dla załogi Fortu Benning, która tak hojnie dzieliła się ze mną swoim czasem i wiedzą: gen. mjr. Boba i Patti Brownów, dowódcy mjr. sierż. Chrisa Hardy'ego, dowódcy mjr. sierż. Stevena McClaflina, emerytowanego ppłk. Selby'ego Rollinsona, Susan Berry, płk. Seana McCaffreya, płk. Terry'ego McKenricka, emerytowanego płk. Grega Campa, ppłk. Jaya Bartholomeesa, ppłk. Kyle'a Fegera, ppłk. Mike'a Junota, ppłk. Davida Koonce'a, ppłk. Todda Zollingera, mjr. Joe'ego Ruzickiego, kpt. Matthew Dusablona, st. chor. szt. Larry'ego Turso, st. chor. szt. Jose'ego Aponte'a, st. chor. szt. Shawna Burke'a, agenta specjalnego Josepha Leary'ego, agenta specjalnego Jasona Watersa,

agenta specjalnego Jasona Hugginsa, sierż. Steve'a Lynna, sierż. szt. Shawna Goodwilla, Nory Bennett, Terri Panco oraz Courtlanda Pegana.

Dla Toma Colsona, za informacje o CID.

Dla Billa Chadwella, za przybliżenie mi zawłości Pentagonu.

Dla emerytowanej płk Marguerite Garrison, za to samo.

Dla Michaela Fureya, za bezcenną pomoc.

Dla Christine Craig, za oprowadzenie mnie po USACIL.

Dla Billa Colwella i emerytowanego kontradmirała Johna Faigle'a z USCG, za wprowadzenie mnie do klubu armii i marynarki wojennej.

Dla gen. mjr. Karla Horsta, za wspianiały obiad i rozmowę.

Dla Dave'a i Karen Halversonów, za możliwość wykorzystania ich nazwiska.

Dla Timothy'ego Imholta, on wie za co.

Dla Kristen i Natashy, bo bez was bym się zgubił.

Specjalne podziękowania dla Erin Race za dołączenie do zespołu Columbus Rose.

Życzenia wspianiałego wypoczynku na emeryturze dla Lynette i Arta, wraz z serdecznymi podziękowaniami za wspianiałą pracę.

I wreszcie dla Rolanda Ottewella, za kolejną znakomitą pracę edytorską.

Przypisy

- [1](#) Xanadu to w anglosaskiej mitologii kraina szczęśliwości.
- [2](#) Culinary Institute of America.
- [3](#) Strażnicy Wagi.

ŚLADY



ZBRODNI!

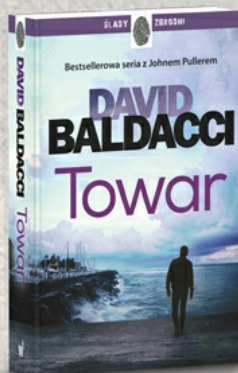
Dzień zero

Pierwszy tom ekscytującej serii z Johnem Pullerem

W Wirginii Zachodniej dochodzi do makabrycznej zbrodni, której ofiarami są pułkownik Matthew Reynolds, jego żona i dwoje nastoletnich dzieci. Śledztwo w tej sprawie prowadzi John Puller, jeden z najlepszych agentów amerykańskiej armii. Wspiera go lokalna detektyw Samantha Cole. W zapierającym dech wyścigu z czasem Cole próbuje ocalić społeczność, w której się wychowała, a Puller stara się zapobiec nadciągającej katastrofie...

Ale czy można zapobiec czemuś, o czym nie wiemy, że nadchodzi?

Seria z Johnem Pullerem



Patronat medialny:

 lubimyczytać.pl

CRIME+
INVESTIGATION
POLSAT



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5961-8

EAN 9788327159618

U.WD.KRW097.1.01.01

